

JOYCE CAROL OATES

CÓRKA GRABARZA

(PRZEKŁAD: KATARZYNA KARŁOWSKA)

Mojej babce, Blanche Morgenstem,
„córce grabarza”
IN MEMORIAM

oraz Davidowi Ebershoffowi,
taką okrężną drogą

Źródła

Fragmenty Części I ukazały się pierwotnie, w nieco innej wersji, na łamach czasopisma „Witness”, lato/jesień 2003.

Rozdziały 6 i 7 ukazały się pierwotnie na łamach czasopisma „Conjunctions”, jesień/zima 2003

Rozdziały 16 i 17 ukazały się pierwotnie w innej wersji w antologii *Childhood*, pod redakcją Marian Wright Edelman, wydawnictwo Houghton Mifflin, rok 2003.

I

W DOLINIE
CHAUTAUOUQA

PROLOG

W świecie zwierząt nie ma miejsca dla słabych.

Od dziesięciu lat nie żył. Od dziesięciu lat jego zmasakrowane szczątki leżały w grobie. Od dziesięciu lat nikt go nie opłakiwał. Myślałbyś, że przez ten czas ona, jego dorosła córka, już żona i matka, wreszcie się go pozbyła. Starła się, do jasnej cholery! Nienawidziła go przecież. Tych oczu koloru nafty, tej gęby jak ugotowany pomidor. Zagryzała wargi do krwi, tak strasznie go nienawidziła. W pracy, gdzie była najbardziej bezbronna. Słyszała go przy taśmie montażowej w Niagara Fiber Tubing, kiedy ukołysana hukem maszyn wpadała w trans. Słyszała go przy taśmie, która wibrowała tak silnie, że aż dzwoniło jej w zębach. Słyszała go tam, gdzie czuła w ustach smak zeschniętego krowiego łajna. Nienawidziła go! Obracała się na ugiętych nogach, myśląc, że to pewnie czyjś kawał, chamski numer, że wrzesczy jej do ucha któryś z tych drani pracujących razem z nią w fabryce. Z tym uczuciem, że męskie paluchy obmacują jej piersi przez kombinezon albo gmerają jej między nogami; stawała sparaliżowana, niezdolna oderwać uwagi od kawałków przewodów na gumowej taśmie posuwającej się spazmatycznie do przodu, zawsze prędzej, niżby się chciało. Cholerne zaparowane okulary ochronne, które wrzynały się boleśnie w twarz. Przymykała oczy, wciągając śmierdzące, pyliste powietrze do ust, choć doskonale wiedziała, że nie powinna tego robić. Chwila wstydu, uwiędu duszy, tego poczucia „żyjesz albo zdechniesz, jaka to różnica”, które nachodziło ją w momentach wyczerpania albo smutku, i wtedy po omacku szukała na taśmie tego przedmiotu, który w owej chwili nie miał nazwy, tożsamości ani przeznaczenia, ryzykując, że maszyna sztancująca zagarnie jej dłoń i zmiażdży połowę palców, zanim ona zdąży na dobre wytrząsnąć go z głowy, jego, który przemawiał do niej spokojnie, wiedząc, że zostanie usłyszany mimo jazgotania maszyny.

– Dlatego musisz ukrywać swoją słabość, Rebeko.

Jego twarz tuż przy jej twarzy, jakby byli parą spiskowców. Nie byli, nie mieli z sobą nic wspólnego. Ani trochę nie byli do siebie podobni. Nienawidziła tego kwaśnego smrodu z jego ust. Tej twarzy jak pomidor, który się rozpadł w gotowaniu. Widziała tę twarz, jak eksplodowała krwią, chrząstkami, mózgiem. Starła tę twarz ze swoich nagich rąk. Do jasnej cholery, starła tę twarz z własnej twarzy! Wydłubała tę twarz z włosów. Dziesięć lat wcześniej. Dziesięć lat i prawie cztery miesiące. I nigdy nie zapomni tamtego dnia. Nie miała z tym człowiekiem nic wspólnego. Nigdy. I z matką też nigdy nic. Nie dopatrzyłbyś się żadnego podobieństwa. Była dorosłą kobietą, już dwudziestotrzyletnią, co ją zdumiewało: żyła już tak długo. Przeżyła ich. Wyrosła z tamtego zastraszonego dziecka. Wyszła za człowieka, który był prawdziwym mężczyzną, a nie jakimś biadolącym nad sobą tchórzem i mordercą, i ten mężczyzna dał jej dziecko, syna, którego jej zmarły ojciec nie miał nigdy zobaczyć. Ależ satysfakcja dla niej: nigdy nie zobaczy wnuka. Nigdy nie wsączy swego jadu do uszu jej dziecka. A jednak wciąż ją nachodził. Wiedział, kiedy była słaba. Kiedy była śmiertelnie zmęczona, kiedy jej dusza kurczyła się do rozmiarów uschniętego winogrona. W tej hałaśliwej fabryce, gdzie jego słowa nabierały przemożnego, maszynowego rytmu, mocy, gdzie okładały ją tak długo, aż wreszcie pogrążyła się w stanie tępego posłuszeństwa.

– W świecie zwierząt nie ma miejsca dla słabych. Dlatego musisz ukrywać swoją słabość, Rebeko. Jak my wszyscy.

CHAUTAUQUA FALLS, STAN NOWY JORK

1

Pewnego wrześniowego popołudnia, w 1959 roku, młoda robotnica, która wracała do domu ścieżką holowniczą biegnącą nad Kanałem Erie, na wschód od małej miejsciny Chautauqua Falls, zauważyła, że jakieś trzydzieści stóp za nią idzie mężczyzna w kapeluszu panama.

Panama! I do tego dziwny, jasny garnitur, z gatunku tych, jakie w Chautauqua Falls widywało się raczej rzadko.

Młoda kobieta nazywała się Rebeka Tignor. Była mężatką, straszliwie dumną z nazwiska Tignor otrzymanego po mężu.

– Tignor.

Taka zakochana i taka dziecinna w swojej próżności, choć przecież już nie dziecko, tylko mężatka i matka. Mimo to kilkanaście razy dziennie wymawiała swoje nazwisko na głos.

Przyspieszyła kroku. *Lepiej niech on za mną nie idzie. Tignorowi to by się nie podobało.*

Żeby zniechęcić mężczyznę w panamie, wybić mu z głowy pomysł, żeby ją doganiał i zagadywał do niej, jak to czasami, nie często, ale jednak, robili mężczyźni, zaczęła bez wdzięku grzmocić podeszwami swoich roboczych butów po ścieżce. Zresztą i tak była wnerwiona, zeźlona jak koń zadrażniony przez gzy.

Tego dnia prasa omal nie zmiażdżyła jej dłoni. Psiakrew, ależ się rozkojarzyła!

A teraz to. Ten facet! Posłała mu wredne spojrzenie ponad ramieniem, niech sobie nie myśli.

Na pewno nikt znajomy?

Nie wyglądał na kogoś stąd.

W Chautauqua Falls mężczyźni lepiłi się do niej czasami. Przynajmniej wzrokiem. Na ogół starała się tego nie zauważać. Mieszkała kiedyś z braćmi, znała się na mężczyznach. Nie zaliczała się do tych dziewczynkowatych kobiet, nieśmiałych i strachliwych. Była silna, umięśniona. Mówiła sobie, że potrafi o siebie zadbać.

A jednak tego popołudnia z jakichś powodów było inaczej. Tego wyblakłego, ciepłego dnia o barwie sepii. Z tych, co to sprawiają, że chce ci się płakać, Bóg jeden wie dlaczego.

Co wcale nie znaczy, żeby Rebeka Tignor płakała. Nie ona.

Niemniej na ścieżce holowniczej nie było żywej duszy. Gdyby zawołała o pomoc...

Ten odcinek znała jak własne pięć palców. Czterdziestominutowa wędrówka do domu, nieco mniej niż dwie mile. Przez pięć dni w tygodniu wędrowała tą ścieżką do Chautauqua Falls i przez pięć dni w tygodniu wracała nią do domu. Najprędzej jak się dało w niewygodnych, roboczych buciorach.

Czasami miją ją barka płynąca kanałem, wprowadzając odrobinę życia w to wszystko. Na barkach byli faceci i Rebeka odpowiadała na ich pozdrowienia, śmiała się z ich dowcipów. Kilku z nich znała.

Teraz jednak na kanale było pusto, w którąkolwiek stronę by spojrzeć.

Kurcze, ale też nerwy ją wzięły! Aż spocił jej się kark. A spod pach to wręcz się lało. I serce biło jej strasznie mocno; to był taki ból, jakby między żebrami uwięzło coś ostrego.

– Tignor. Cholera, gdzie ty jesteś?

Wcale tak naprawdę go nie winiła. I jednocześnie winiła, jak nie wiadomo co.

To Tignor ją tu sprowadził, kazał jej tu żyć. Pod koniec lata 1956 roku. To, co na samym początku Rebeka wyczytała w lokalnej gazecie, było tak obrzydliwe, że ledwie potrafiła w to uwierzyć: jakiś tutejszy zamordował własną żonę; pobił ją i wrzucił do kanału, gdzieś właśnie przy tym wyludnionym odcinku, i tak długo rzucał w nią kamieniami, aż utonęła. Kamieniami! Trwało to jakieś dziesięć minut, powiedział policji. Nie chwalił się, ale też wcale się nie wstydził.

Ta suka chciała ode mnie odejść, powiedział.

Chciała zabrać mi syna.

Co za ohydna historia, Rebeka aż żałowała, że ją przeczytała. A już najgorsze było to, że każdy facet, który o tym przeczytał, również Niles Tignor, potrząsał głową, wydawał pogardliwe odgłosy.

Rebeka spytała Tignora, o co mu chodzi, do diabła. Jak można się z tego śmiać?

– Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.

To właśnie powiedział jej Tignor.

Rebeka miała swoją teorię: wszystkie kobiety z Doliny Chautauqua znały tę historię albo inną, podobną. Wiedziały, co robić, kiedy jakiś mężczyzna wrzuca cię do kanału. (Albo do rzeki. Żadna różnica.) Dlatego kiedy zaczęła pracować w mieście, chodzić po tej ścieżce nad kanałem, wymyśliła sobie sposób, jak się uratować, jeśli nadejdzie jej pora. Kiedy nadejdzie jej pora.

Myślała o tym wyraźnie i barwnie, więc niebawem zaczęła sobie wyobrazać, że to już jej się przydarzyło, albo prawie. Ktoś (bez twarzy, bez nazwiska, facet większy od niej) wepchnął ją do szlamowatej wody i musiała walczyć, żeby ratować życie. *Najpierw zerwij lewy but czubkiem prawego, a potem szybko ten drugi! A potem...* Miałyby zaledwie kilka sekund, ciężkie robocze buty ciągnęłyby ją na dno niczym dwie kotwice. Ale gdyby zrzuciła buty, miałyby przynajmniej jakąś szansę, zdarłaby z siebie kurtkę, zanim cała nasiąknie wodą. Byłoby trudno zdjąć te przeklęte, robocze spodnie, przez ten rozporek z przodu i guziki, przez nogawki jakby przyciasne w udach. Psiakrew, musiałyby też płynąć w kierunku przeciwnym do swego mordercy...

Chryste! Sama siebie nastraszyła. Ten facet za nią, facet w panamie, to prawdopodobnie zbieg okoliczności. Wcale jej nie gonił, tylko szedł za nią.

Nie specjalnie, tylko przypadkiem.

A jednak musiał wiedzieć, że ona o nim wie, że ją nastraszył. Mężczyzna, który idzie za kobietą, na takim pustkowiu.

Kurcze, jak ona nie cierpiała, kiedy ktoś za nią szedł! Nie cierpiała, kiedy jakiś facet podążał za nią choćby tylko wzrokiem.

Wiele lat wcześniej mama wpoila jej lęk przed Bogiem. *Ty uważaj, żeby coś ci się nie przydarzyło, Rebeko! Dziewczynka bez niczyjej opieki, mężczyźni polują na takie. Nawet chłopcy, których znasz, im też nie wolno ufać.*

Mama się bała, że nawet starszy brat Rebeki, Herszel, mógłby jej coś zrobić. Biedna mama!

Rebecie nic się nie stało, wbrew wszelkim obawom mamy.

A w każdym razie niczego takiego nie pamiętała.

Mama nie miała racji w tylu sprawach...

Rebeka uśmiechnęła się, gdy sobie przypominała swoje dawne życie, kiedy jeszcze była zwykłą dziewczyną i mieszkała w Milburn. Jeszcze nie mężatką. Dziewicą. Teraz w ogóle o tym nie myślała, to już należało do przeszłości. Niles Tignor ją wyratował. Niles Tignor był jej bohaterem. Wywiózł ją z Milburn swoim samochodem, zwiali razem do Niagara Falls. Przyjaciółki jej zazdrościły. Wszystkie dziewczyny z Milburn podziwiały Nilesa Tignora z daleka. A potem wywiózł Reбекę, swoją narzeczoną, na wieś, na wschód i trochę na północ od Chautauqua Falls. Four Corners, tak się nazywało to miejsce.

Tam urodził się ich syn, Niles Tignor Junior. Pod koniec listopada Niley miał skończyć trzy lata.

Chlubiała się tym, że jest panią Tignor, i chlubiła się tym, że jest matką. Miała ochotę nawrzeszczyć na mężczyznę w panamie: Nie masz prawa za mną iść! Jakby co, to się obronię!

Tak było. Rebeka miała w kieszeni ostry pasek blachy. Ukradkiem, nerwowo gładziła go palcem.

Już ja cię oznakuję, facet, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

W szkole w Milburn Rebeka musiała czasami się bić. Była córką miejscowego grabarza, inne dzieci się z niej wyśmiewały. Starła się nie zwracać na nie uwagi, najlepiej jak umiała. Tak radziła jej matka. *Ale ty się nie zniżaj do ich poziomu, Rebeko.* A jednak się zniżała. Wdawała się w bójki polegające na wariackim mlóceniu pięściami i kopaniu, musiała się przecież bronić. Któregoś dnia dyrektor, przeklęty drań, wydalil ją ze szkoły.

Oczywiście nigdy nikogo nie atakowała pierwsza. Nigdy nic nie zrobiła nikomu ze swojej klasy, nawet tym, którzy sobie zasłużyli. Nie wątpiła jednak, że gdyby została zmuszona walczyć o życie, to potrafiłaby zranić, i to porządnie.

Au! Pasek blachy był na końcu ostry jak szpikulec do lodu. Będzie musiała wbić go głęboko w pierś albo w gardło...

– Myślisz, że nie potrafię tego zrobić, ty gnojku? A właśnie, że potrafię.

Rebeka zastanawiała się, czy nieznamy mężczyzna w panamie to przypadkiem nie jest jakiś znajomy Tignora. Ktoś, kto zna Tignora.

Jej mąż pracował w branży piwowarskiej. Często wyjeżdżał na kilka dni albo nawet tygodni. Zazwyczaj przadł nieźle, przynajmniej takie sprawiał wrażenie, ale zdarzało mu się narzekać na brak gotówki. Twierdził, że w piwowarstwie, w marketingu, w dostarczaniu ale i piwa detalistom w całym stanie Nowy Jork panuje „zbójecka konkurencja”. Tignor mówił o tym z takim żarem, że chcąc nie chcąc, człowiek wyobrażał sobie poderżnięte, ociekające krwią gardła. Choć mu wmawiano, że „zbójecka konkurencja” to coś dobrego.

W branży piwowarskiej dochodziło do rywalizacji. Były związki zawodowe, były strajki, zwolnienia, spory pracownicze i pikiety. Branża zatrudniała ludzi pokroju Nilesa Tignora, którzy potrafili sobie radzić w trudnych sytuacjach. Tignor powiedział kiedyś

Rebecce, że ma wrogów, którzy nigdy nie odważą się jawnie go zaatakować, „Ale co innego z żoną. Żonę mogliby”.

Tignor mówił Rebecce, że zamordowałyby gołymi rękami tego, kto by tylko do niej zagadał.

Na wszelki wypadek uznała, że mężczyzna w panamie raczej nie wygląda na przedstawiciela branży piwowskiej. Sportowy kapelusz, okulary z przyciemnianymi szklami i spodnie kremowej barwy zupełnie nie pasowały do przemysłowych przedmiotów Chautauqua Falls; byłyby bardziej stosowne latem, na plaży nad którymś z jezior. Podobnie biała koszula z długim rękawem, prawdopodobnie z dobrej bawełny albo może nawet z lnu. I jeszcze ta mucha. Mucha! Nikt w Chautauqua Falls nie nosił muchy, a już z pewnością żaden znajomy Tignora.

To było tak, jakby zobaczyć na ulicy Binga Crosby'ego albo Freda Astaire'a, tego niesamowitego, sędziwego tancerza. Mężczyzna w panamie wyglądał na kogoś tego typu. Na kogoś, kto się w ogóle nie poci i pewnie się uśmiecha, jak widzi coś pięknego. Taki mężczyzna nie do końca prawdziwy.

On by się nie uganiał za kobietą po jakichś odludziach, żeby ją zaczepić.

(Czyżby?)

Żeby chociaż to nie było późne popołudnie. W pełnym świetle dnia nie czułaby się aż tak nieswojo.

Wraz z nastaniem września z każdym dniem zmierzch zapadał coraz wcześniej. Po Święcie Pracy człowiek zauważał, że dni się skracają. Że czas zdaje się przyspieszać. Spomiędzy zarośli porastających brzegi kanału, a także od roziskrzanej niczym skóra węża ciemnej wody podnosiły się coraz bardziej wyraźne cienie, niczym te myśli, które starasz się odpychać, tyle że w chwilach słabości nie możesz. Niebo zavalone chmurami wyglądało jak jakaś włóknista substancja, najpierw ściśnięta, a potem uwolniona. I tliło się w niej jakieś dziwne, rozdygotane, wrogie życie. Na moment spod zwałowisk chmur wyjrzało słońce; łypnęło groźnie niczym rozżarzone, obłąkane oko, sprawiając, że każde źdźbło trawy rosnące obok ścieżki wyodrębniło się na tle innych. Wszystko stało się zbyt wyostrome, światła było tyle, że aż oślepiało. A potem słońce zniknęło. To, co jeszcze przed chwilą było odrębne, rozlało się i zmętniało.

Głucha kanonada piorunów od strony jeziora Ontario. I przez tę okropną wilgoć strasznie kęsały muchy.

Buczały dookoła głowy i Rebeka starała się je odegnąć, wydając ciche okrzyki popłochu i odrazy.

W Niagara Tubing było parno i gorąco jak w środku lata, człowiek wręcz się dusił, bo temperatura sięgała stu dziesięciu stopni Fahrenheita. Oblepione brudem okna uchylano minimalnie, a połowa wentylatorów nie działała albo działała zbyt wolno, więc i tak do niczego się nie nadawały.

To była tymczasowa praca. Rebeka mogła wytrzymać w Niagara Tubing jeszcze te kilka miesięcy...

Odbijała kartę o ósmej pięćdziesiąt osiem. I potem jeszcze raz o siedemnastej zero dwa. Osiem godzin. Przez pięć dni w tygodniu. Kazali nosić okulary i rękawice ochronne. Czasami fartuch ochronny, strasznie ciężki! A jaki gruby! I jeszcze buty robocze ze wzmacnianymi noskami. Zdarzało się, że brygadzysta rewidował. Że rewidował kobiety.

Przed fabryką Rebeka pracowała w hotelu jako pokojówka. Musiała nosić uniform, czego nienawidziła.

Za te osiem godzin zarabiała szesnaście dolarów i osiemdziesiąt centów. Brutto.

– To dla Nileya. Robię to dla Nileya.

Nie miała zegarka, nie wkładała go do Niagara Tubing. Drobnutki pył mógłby się dostać do mechanizmu i go zniszczyć. Ale wiedziała, że dochodzi szósta. Tuż po szóstej odbierze Nileya od sąsiadów. Nie przeszkodzi jej w tym żaden drań, który lezie za nią.

Zbroiła się wewnętrznie do biegu. Bo a nuż zniecka... Bo a nuż on, za jej plecami... Znała jedną kryjówkę, gdzieś tam w przedzie, cuchnący przepust w nasypie, niewidoczny ze ścieżki, a dokładnie tunel z zardzewiałej blachy, około dwunastu stóp głębokości i pięciu stóp w przekroju; mogła się skulić, przebiec przez ten tunel i wybiec na pole, jeśli to nie było jakieś bagno, mężczyzna w panamie nie połapałby się tak od razu, gdzie ona zniknęła, a gdyby nawet, to być może już by mu się odechciało ją gonić...

Rebeka wymyśliła sobie tę trasę ucieczki i od razu z niej zrezygnowała: przepust otwierał się jednak z drugiej strony na cuchnące bagno, na wielką zlewnię ścieków; gdyby tam wbiegła, to mogłaby się potknąć, przewrócić...

Podejrzewała, że ścieżka holownicza to idealne miejsce, gdzie można gonić upatrzoną ofiarę. Nic nie widać, co jest za obydwo ma nasypami. Horyzont znajdował się nienaturalnie blisko. Jeśli chciało się zobaczyć niebo ze ścieżki, trzeba było spojrzeć w górę. Zadrzeć głowę, wyciągnąć szyję. Oczywiście same z siebie nie znajdowały nieba.

Rebeka uznała, że to niesprawiedliwe, że przyszedł tu za nią! Tu, gdzie zawsze odczuwała taką ulgę, że wreszcie wyszła z fabryki. Zawsze też podziwiała ten krajobraz, mimo że zaniedbany, taka dzicz. Zawsze myślała o swoim synu, który nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy.

Wiedziała: nie może być słaba. Nie może okazać strachu.

Odwróci się i zagada do niego, do mężczyzny w panamie. Odwróci się, z rękoma na biodrach, spiorunuje go wzrokiem w stylu Tignora.

Bezdźwięcznie przećwiczyła słowa, którymi zamierzała go poczęstować: „Ej, ty tam! Idziesz za mną, czy jak?”

Albo: „Ej, co jest? Czy pan za mną idzie?”

Albo – i tu z nienawiści serce zaczęło jej bić szybciej – „Do jasnej cholery, kim ty jesteś, że za mną idziesz?”

Nie była nieśmiałą młódką i nie była słaba. Ani fizycznie, ani pod względem instynktów. Była wręcz mało kobieca jak na kobietę. Ani trochę miękka, ustępliwa, rozlazła; uważała się raczej za twardą, mocną. Miała twarz, która przyciągała uwagę, a do tego duże, głęboko osadzone, bardzo ciemne oczy, z ciemnymi brwiami gęstymi jak u mężczyzny, i kiedy rozmawiała z innymi ludźmi, w jej postawie też było coś z mężczyzny. Zasadniczo gardziła kobiecością. Wyjątkiem był jej związek z Tignorem. Nie chciała być Tignorem, ale chciała być kochana przez Tignora, który z kolei nie zaliczał się do zwyczajnych mężczyzn, jej zdaniem. Tak czy owak, w głębi duszy gardziła słabością kobiet. Budziła w niej wstyd, rozwścieczała ją. Ta odwieczna słabość kobiet, słabość jej matki, Anny Schwart. Słabość podbitej rasy.

W fabryce mężczyźni na ogół zostawiali ją w spokoju. Wiedzieli, że jest mężatką. Nie wychwytywali żadnych oznak, by ich zainteresowanie sprawiało jej przyjemność. Nigdy nie patrzyła im w oczy. Nie zastanawiała się nad tym, co też mogą o niej myśleć.

Mimo to tydzień wcześniej musiała stawić czoło pewnemu draniowi, który uśmiechał się złośliwie i zawsze przechodził blisko niej, kiedy stała przy taśmie montażowej, który taksował ją wzrokiem od stóp do głów, chcąc ją zawstydzić;

powtarzała mu, że ma jej dać spokój, do jasnej cholery, poskarży się brygadziście, ale w samym środku tego potoku słów nagle połykała ślinę, głos jej wiązał w gardle i ten drań tylko szczerzył się do niej wrednie. *Mmm, kotku! Podobasz mi się.*

Mimo to nie zamierzała odchodzić z fabryki. Ani jej się śniło odchodzić.

W Niagara Tubing zatrudniła się w marcu. Przy taśmie montażowej, gdzie nie wymagano żadnych kwalifikacji. A jednak w fabrykach dostawało się więcej niż na posadach przeznaczonych typowo dla kobiet – kelnerki, sprzątaczkę, sprzedawczyni. Nie trzeba się było uśmiechać do klientów, być „miłą”. To tylko tymczasowa praca, powiedziała swojej przyjaciółce Ricie, która też pracowała przy taśmie w Niagara Tubing, na co Rita się roześmiała, mówiąc, jasne, dla niej praca w Niagara Tubing też jest tylko tymczasowa. Już od siedmiu lat”.

Ten spłaszczony horyzont. Budził lęk, bo przez niego nie było jak wymyślić trasy ucieczki. W krzaki? Tam rosły jeżyny, dzikie róże, kłęby bluszczu. Między drzewa? I jak najdalej od ścieżki holowniczej, na której mogło zdarzyć się wszystko?

Most przy Poor Farm Road znajdował się co najmniej milę dalej. Nie potrafiła ocenić, ile to minut: dwadzieścia? Nie dobiegłaby tam. Zastanawiała się, co się zdarzy podczas tych dwudziestu minut.

Powierzchnia wody w kanale marszczyła się niczym wielka, drzemiąca bestia, której łeb jest niewidoczny. Tylko sam tułów, ciągnący się po horyzont.

Tyle że tam dalej praktycznie nie było żadnego horyzontu. Kanał wtapiał się w cienistą mgłę w oddali. Na podobieństwo torów kolejowych, kiedy to oczy płatają ci figla, wmawiając, że tory się zwężają, że się kurczą i znikają, jakby uciekały z teraźniejszości ku przeszłości, której zobaczyć się nie da.

Ukrywaj, że jesteś słaba. Nie możesz całe życie być dzieckiem,

Ani trochę nie była już dzieckiem. Była mężatką, matką. Miała pracę w Niagara Fiber Tubing, w Chautauqua Falls, w stanie Nowy Jork.

Nie była osobą nieletnią, zależną od miłosierdzia dorosłych. Nie była podopieczną hrabstwa zamieszkałą w Milburn. Córką grabarza, nad którą trzeba się litować.

To były czasy powojennego boomu w przemyśle amerykańskim. Tak powiadano. Tak się wydawało. W Chautauqua Falls fabryki pracowały pełną parą, podobnie zresztą jak w innych miastach i miasteczkach na północy stanu Nowy Jork, wśród których największym i najlepiej prosperującym było Buffalo. Jak dzień długi niebo nad Doliną Chautauqua było zasnuwane dwoma odmianami chmur: naturalnymi, poziomymi chmurami i pionowymi chmurami fabrycznego dymu. Miały wyraziste barwy, unosiły się z identycznych kominów. Bez pudła jednak dawało się wyróżnić wśród nich stalowy, pachnący gumą dym, który buchał ku niebu z Niagara Fiber Tubing.

Do pracy splatała gęste długie włosy w luźne warkocze, które upinała dookoła głowy i nakrywała chustką. Kiedy je potem szcztokowała, i tak pachniały fabryką. Te włosy, dawniej barwy pięknej, lśniącej czerni, takie cygańskie, jak je nazywał Tignor, stawały się suche, kruche, skorodowane jak żelazo. Miała ledwie dwadzieścia trzy lata, a już znajdowała siwe włosy! Na dłoniach porobiły jej się odciski, paznokcie się odbarwiały, mimo że w pracy nosiła rękawice. Grube okulary ochronne pozostawiały jasny ślad na twarzy, wgłębienia po bokach nosa.

Przecież była mężatką, dlaczego tak się z nią działo?

Tignor wariował kiedyś na jej punkcie. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że ten czas już przeminął.

Nie podobała mu się, kiedy była w ciąży. Z tym wielkim, rozdętym brzuchem, twardym jak bęben. Z tymi jasnoniebieskimi żyłami na ciele, które wyglądały, jakby mogły popękać. Z tymi napuchniętymi kostkami i stopami. Z tą zadyszka. Ciepło, które biło od jej skóry, było osobliwie seksualne, a jednak odstręczało mężczyznę.

Była wysoka, miała pięć stóp i osiem cali. Ważyła jakieś sto piętnaście funtów. W ciąży z Nileyem sto czterdzieści. Silna jak koń, tak mawiał o niej Tignor.

Idący za nią mężczyzna dowie się, że jest twardą kobietą, pomyślała. Kobieta, która potrafi się bić.

Chętnie by się dowiedziała, czy on ją zna, skądkolwiek. Bo jeśli tak, to być może wie, że mieszka sama ze swoim synkiem. Że mieszka na wsi, na starej, odludnej farmie. Ale jeśli zna te fakty, to być może również wie, że w dni robocze jej synkiem opiekuje się sąsiadka i że gdyby Rebeka się spóźniała, gdyby się nie pojawiła, to pani Meltzer by się domyśliła, że coś jej się stało.

Tylko ile minie czasu, zanim pani Meltzer wezwie policję?

Meltzerowie raczej nie wezwaliby policji, gdyby mogli tego uniknąć. Nie paliliby się do tego podobnie jak Tignor. Raczej poszliby cię szukać. I dopiero wtedy, gdyby cię nie znaleźli, podjęliby decyzję, co robić dalej.

Ile musiałoby minąć czasu? Może wiele godzin.

Że też nie zabrała z domu noża do chleba. Tego ranka. Ścieżka holownicza biegła przez pustkowie. Gdyby tak Tignor się dowiedział, że jego żona spaceruje nad kanałem jak jakaś puszczalska. Wokół stacji kolejowej snuli się bezdomni. Na most nad kanałem przychodzili samotni rybacy. Samotni mężczyźni.

Gdyby ten kanał nie był taki piękny, toby jej tak do niego nie ciągnęło. Rankami niebo bywało na ogół przejrzyste, to i powierzchnia kanału wydawała się przejrzysta. Kiedy niebo robiło się ciężkie i ołowiane od chmur, powierzchnia kanału wydawała się nieprzenikniona. Jakby dawało się po niej iść.

Nie miała pojęcia, jak dokładnie głęboki jest ten kanał. Ale był głęboki. Na pewno przykryłby czubek głowy przeciętnego człowieka. Dwadzieścia stóp? Nie było co liczyć, że dałoby się przejść go w bród i w ten sposób uratować. Brzegi były strome; żeby wydostać się z wody, należałoby się podzwignąć na rękach i byłoby po tobie, gdyby ktoś cię przy tym kopał.

Była świetną pływaczką! Tyle że od czasu narodzin Nilesa Juniora nie pływała ani razu. Bała się odkryć, że jej ciało brakuje już dziewczęcej sprężystości, że nie jest już młode. Że najadłaby się wstydu, idąc na dno jak kamień. Bała się konfrontacji z tą prawdą, którą poznajesz tylko wtedy, kiedy nad głową masz wodę, a twoje ręce i nogi dokonują wysiłku ponad miarę, by utrzymać cię na powierzchni.

Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła go: mężczyznę w panamie, w pewnej odległości za nią. Nie próbował jej dogonić, chociaż to. A jednak wyraźnie za nią szedł. I obserwował ją.

– Ej, ty! Lepiej zostaw mnie w spokoju!

Głos Rebeki zabrzmiał ostro, piskliwie. Zupełnie nie jak jej własny głos.

Odwróciła się z powrotem i przyspieszyła kroku. Naprawdę się do niej uśmiechnął? On się do niej uśmiechał?

Uśmiech potrafi być drwiną. Na przykład jej uśmiech albo uśmiech jej zmarłego ojca. Udający żarliwość. Udający czułość.

– Drań. Nie masz prawa...

Rebeka przypomniała sobie teraz, widziała tego mężczyznę poprzedniego dnia.

Wtedy ledwie zwróciła na niego uwagę. Wychodziła z fabryki po swojej zmianie, o piątej po południu, razem z tłumem innych pracowników. Jeśli nawet zauważyła mężczyznę w panamie, to nie miała powodów, by przypuszczać, że on się nią interesuje.

To, że tego dnia szedł za nią, mogło być sprawą przypadku. Nie mógł wiedzieć, jak ona się nazywa – bo skąd?

Jej umysł pracował na najwyższych obrotach, z desperacją. Niewykluczone, że ten nieznamy mężczyzna po prostu wybrał sobie kobietę na chybił trafił, żeby ją prześladować. Zasadził się pod fabryką niczym myśliwy, który czyha na ofiarę, wyczulony na wszelkie okazje. Albo równie prawdopodobne: czekał na jakąś inną kobietę, ale ta się nie pojawiła lub sytuacja nie była na tyle dogodna, by mógł za nią iść.

Serce waliło jej z wściekłością. A jednocześnie ogarnęło ją przerażenie.

– Mój mąż cię zabije...

Nie chciała myśleć, że ten człowiek mógł znać Tignora. Że mógł mieć jakieś porachunki z Tignorem. *Jeden z tych facetów, którym się wydaje, że mnie znają.*

W przypadku Tignora człowiek nigdy nie wiedział, co taka uwaga może oznaczać. Czy to, że ma prawdziwych wrogów, czy raczej to, że są jacyś ludzie, niezidentyfikowani, nierozsądni, którzy uważają się za jego wrogów.

Jeden z tych facetów, co to by chcieli oberżnąć mi jaja.

Tignor śmiał się, kiedy mówił takie rzeczy. Był człowiekiem, który miał o sobie wysokie mniemanie, śmiał się ochoczo i z pewnością siebie.

Rebeka traciła tylko czas, gdy pytała, co miał na myśli. Tignor nigdy nie odpowiadał na pytanie bezpośrednio, a już zwłaszcza nie wtedy, gdy pytanie zadawała kobieta.

– Nie masz prawa! Nie masz prawa za mną chodzić! Bydlak.

Pogładziła pasek blachy ukryty w prawej kieszeni.

Odniosła wrażenie, że nieznamy mężczyzna uniósł rękę tak, jakby zamierzał uchylić kapelusza.

Uśmiechnął się?

Nagle poczuła, że robi jej się słabo od tego nadmiaru wątpliwości. Bo dotąd nie wykonał żadnego groźnego gestu w jej stronę. Nie wołał do niej, a przecież tak robiłby mężczyzna, który by chciał ją nastraszyć. Nie zrobił żadnego ruchu, żeby ją dogonić. Może tylko sobie wyobraziła, że coś jej grozi. Pomyślała o swoim synku, który na nią czekał, o tym, że strasznie chce z nim być, żeby pocieszyć zarówno jego, jak i siebie. Przy linii drzew między zwałami chmur na krótką chwilę ukazało się oszalałe oko słońca i wtedy pomyślała, z zaciętrzewieniem, z jakim tonąc, chwyciłaby się czegokolwiek, byle wydostać się z wody: *Jego ubranie.*

Spodnie z jakiejś dziwacznej kremowej tkaniny. Biała koszula z długim rękawem i mucha.

Przyszło jej na myśl, że mężczyzna w panamie ma w sobie coś dziwnie zwiewnego, pogodnego, że w jego twarzy nie ma ani trochę stężonego zła, jak by przystało na kogoś, kto chciałby seksualnie poniżyć albo skrzywdzić kobietę.

– Może on mieszka tam gdzieś. Po prostu idzie do domu, tak jak ja.

Ścieżka holownicza była miejscem publicznym. Niewykluczone, że mężczyzna wybrał tę drogę, bo też chciał iść na skróty. Po prostu nigdy wcześniej go nie spotkała. Równoległe do kanału biegła asfaltowa Stuyvesant Road, która pół mili dalej spotykała się

ze zwirową Poor Farm Road, z jej drewnianym, jednopasmowym mostem przecinającym kanał. Przy tym skrzyżowaniu dróg znajdowała się niewielka osada zwana Four Corners. Budynek poczty, sklep wielobranżowy z wielką reklamą produktów firmy mleczarskiej Sealtest na wystawie, warsztat samochodowy pana Meltzera. Wciąż czynny spichlerz, stary kamienny kościółek, cmentarz. Tu właśnie mąż Rebeki wynajął zdewastowany farmerski dom, podczas jej drugiej ciąży.

Pierwsze dziecko stracili. Poronienie.

„W taki sposób natura naprawia błąd”, powiedział jej doktor, sugerując, że może nie stało się nic złego...

– Chrzanić to.

Pożałowała, że nie zdjęła kurtki zaraz po wyjściu z pracy. Teraz było za późno. Przecież nie mogła robić takich rzeczy, rozbierać się, kiedy ten drań obserwował ją od tyłu. Odczytałby to jako sygnał. To oczywiste. Szła szybko i czuła, że on gapi się na jej tyłek, biodra, nogi, domyślając się, że ona bardzo chce ruszyć do biegu, ale się boi.

Jak z psem: odwróć się tyłem i zacznij biec, a zaraz cię dopadnie.

Strach ma swój zapach. Drapieżnik go wyczuje.

Dzień wcześniej mężczyzna nie miał na głowie kapelusza. Stał po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko bramy fabryki, opierał się o mur, w miejscu gdzie oceniała go markiza. Na tym krótkim odcinku mieściła się kawiarnia, zakład szewski, rzeźnik, nieduży sklep spożywczy. Mężczyzna sterczał między kawiarnią a zakładem szewskim. Dookoła kręciło się mnóstwo ludzi, to była ruchliwa pora dnia. Rebeka nie zwróciłaby na niego najmniejszej uwagi, tyle że teraz była do tego zmuszona.

Łatwo jest odtwarzać przeszłość. A gdyby tak jeszcze dawało się odtwarzać przyszłość, toby się można uratować...

Ruch zawsze wzmagał się o piątej, kiedy fabryki otwierały podwoje. Niagara Fiber Tubing, Empire Paper Products, Arcadia Canning Goods, Chautauqua Sheet Metal. Przy następnej przecznicy Union Carbide Steel, gdzie zatrudniano najwięcej osób w całym mieście. Setki mężczyzn i kobiet pracujących na dziennej zmianie wylewały się gwałtownie na ulicę, jakby ktoś uwolnił ich z piekła.

Można wręcz powiedzieć, uciekali gdzie pieprz rośnie.

Za każdym razem, kiedy wychodziła z Niagara Tubing, rozglądała się, czy na ulicy nie ma gdzieś Tignora. Kiedy zniknął na dłuższy czas, żyła w stanie, który można było określić jako „czekanie na Tignora”, i odruchowo, nawet nie wiedząc, że to robi, szukała jego wysokiej, barczystej sylwetki w każdym publicznym miejscu. Miała nadzieję, że go zobaczy, a jednak strasznie się bała, że go zobaczy, bo nigdy nie wiedziała, jakich emocji mogłaby doznać, ani też nie umiała odgadnąć, co mógłby poczuć Tignor. Od marca już dwa razy wszedł ponownie w jej życie w taki oto sposób: jak gdyby nigdy nic siedział w swoim samochodzie, srebrnozielonym pontiacu rocznik 1959, zaparkowanym przy krawężniku, i czekał na nią, jakby jego nieobecność – przez całe dni, tygodnie, a ostatnio przez pięć tygodni pod rząd – była czymś, co Rebeka tylko sobie wyobraziła. I wołał: „Hej, mała! Tutaj!”

Dawał jej znak, że ma do niego podejść. Więc podchodziła. Dwa razy tak było. Wstydziła się, a jednak podeszła. Widząc, że Tignor uśmiecha się do niej, daje jej znaki,

spieszyła się do niego. Na ich widok można było pomyśleć, że to mąż odbiera żonę po pracy, podobnie jak wiele żon odbierało swych mężów.

„Ej, uspokój się, dzieciaku. Ludzie patrzą” – mówił. Albo: „Dawajże buziaka, mała. Stęskniłem się za tobą”.

Ale Tignora nie było. Ani poprzedniego dnia, ani tego dnia.

Rebeka spodziewała się niejasno, że Tignor zadzwoni w niedzielę. Albo tak sobie roiła. Ostatnie wieści o nim były takie, że pojechał do Port au Roche na granicy kanadyjskiej, nad jeziorem Champlain, gdzie posiadał albo tylko współposiadał jakąś nieruchomość: hotel, gospodę, może przystań. Rebeka nigdy nie widziała Port au Roche, ale orientowała się, że to miejscowość wypoczynkowa, znacznie piękniejsza od Chautauqua Falls o tej porze roku, gdzie zawsze było dziesięć stopni zimniej. Nie należało nikogo obarczać winą za to, że woli jezioro Champlain od Chautauqua Falls.

Rita trąciła łokciem Rebeke, zwracając jej uwagę na kogoś innego, nie na Tignora.

– Patrz no tylko na tego ważniaka. Kto to jest?

Pod markizą po drugiej stronie ulicy sterczał nieznajomy mężczyzna, na oko trzydziesto-, może czterdziestoletni. Nie miał na sobie kremowych spodni, ale ubrany był wymyślnie i elegancko. Sportowa marynarka w prążek, beżowe spodnie. Włosy siwoblond, jakby ufryzowane, i do tego przyciemniane szkła, które nadawały mu wygląd aktora filmowego.

Mimo ośmiu godzin spędzonych przy taśmie Rita czuła, lub raczej udawała, że czuje, żywe, acz zabarwione ironią zainteresowanie seksualne atrakcyjnym, nieznajomym mężczyzną.

– Widziałś go już kiedyś?

– Nie.

Rebeka zaledwie zerknęła na mężczyznę. Nie interesowało jej, kto to taki.

Jeśli nie Tignor, to już nikt.

Tego popołudnia wyszła z fabryki sama. Nie chciała szukać Tignora na ulicy, bo wiedziała, że jego tam nie będzie, a mimo to szukała, jej oczy rozglądały się prędko, wczepiając się w fantomowe postacie obcych mężczyzn. Niemalże poczuła ulgę, kiedy go nie zobaczyła.

Bo już go teraz nienawidziła, tak bardzo zranił jej serce.

I dumę też. Wiedziała, że powinna odejść od Tignora, zabrać dziecko i zwyczajnie odejść od niego. A jednak brakowało jej sił.

Miłość! Królowa wszystkich słabości. A teraz jeszcze to dziecko, które związało ich z sobą na zawsze.

Zerwała z głowy przekłętą, przepoconą chustkę i wepchnęła ją do kieszeni. Strumyk potu na karku, niczym pełznący insekt. Ruszyła prędko z miejsca. Od fabrycznych wyziewów robiło jej się niedobrze.

Za następną przecznicą znajdowała się stacja kolei Buffalo & Chautauqua; przechodziła przez nią, by dojść na skróty do kanału. Znała już tę trasę tak dobrze, prawie nie musiała patrzeć, gdzie idzie. Nie zauważyła idącego za nią mężczyzny, dopóki nie znalazła się w połowie drogi przez stację, a i wtedy sprawił to czysty przypadek.

W swoim miastowym ubraniu zupełnie nie pasował do tego miejsca. W kapeluszu. Tymczasem szedł tak zdecydowanie przez stację, między wagonami, od których śmierdziało bydlęm i nawozami sztucznymi.

Kto to jest? I co on tu robi!

Niby rzadki widok, a jednak widywało się czasami mężczyzn w garniturach na tej stacji. Na ulicach w pobliżu fabryki. Człowiek nigdy nie wiedział, kim oni są, prócz tego, że zajmują stanowiska kierownicze, że jeżdżą w teren nowymi modelami samochodów i że zazwyczaj dokonują jakichś inspekcji, względnie prowadzą jakieś poważne rozmowy i że nie zostają zbyt długo na dworze.

A jednak ten w panamie zachowywał się inaczej. Chyba nie do końca wiedział, dokąd idzie. Przemierzał zachwaszczony teren takim krokiem, jakby uwierały go buty.

Rebeka maszerowała przed siebie, wiedząc doskonale, dokąd idzie. Po ochlapanych olejem chwastach, po betonie tak popękany, że przypominał lodowe kry. Tak pewnym krokiem jak kozica górską.

Każdy kolejny dzień w Niagara Tubing nie różnił się niczym od tamtego pierwszego: te same emocje, hałas, duchota. To samo nieruchome powietrze, cuchnące spalonym włóknem. Człowiek przyzwyczajał się do hałasu, znieczulając się na niego, upodabniając do sparaliżowanej kończyny. Żadnej samotności. Żadnej prywatności, chyba że w toalecie, gdzie i tak nie wolno było przebywać zbyt długo, a smród był jeszcze gorszy. Odbębniła już tyle tych dni od pierwszego marca i co tydzień starała się coś odłożyć, kilka dolarów, garstkę drobnych, do kasetki ukrytej w domu, dla niej i dla dziecka, na wszelki wypadek.

Na wypadek, gdyby doszło do najgorszego, tak się mówiło. Oto zameężna kobieta, która w tajemnicy odkłada pieniądze, nie do banku, tylko chowa je gdzieś w swoim domu, w oczekiwaniu na ten dzień, kiedy stwierdzi, że doszło do najgorszego.

Przeskoczyła przez rów odwadniający. Przepchnęła się przez dziurę w rozdartym ogrodzeniu z siatki. Zawsze w tym miejscu, kiedy dochodziła już do kanału i do obrzeży miasta, zaczynała czuć się lepiej. Na ścieżce holowniczej było na ogół pusto, powietrze robiło się chłodniejsze. Woń bijąca od kanału i ziemisty, zbutwiały zapach liści. Wychowała się na wsi, od dziecka przywykła do wędrówek po polach, lasach, wiejskich drogach w okolicach Milburn, dziewięćdziesiąt mil na wschód, dlatego zawsze weselała w takich momentach. Przychodziła do domu pani Meltzer i tam czekał na nią Niley, który krzychał „Ma-mu-sia!” i biegł do niej z wyrazem tak zbolalej miłości, że ledwie potrafiła to znieść.

To właśnie w tym momencie przypadkiem go zauważyła: dziwnego mężczyznę w panamie, mężczyznę, którego nie znała, który szedł chyba w tym samym kierunku co ona. Nie miała podstaw, by uważać, że może iść za nią albo że w ogóle ją zauważył. A jednak zobaczyła go w tym momencie.

Zobaczyła i postanowiła zignorować ten fakt.

Pokonała kolejny rów, od którego wionęło obrzydliwie smrodem przypominającym siarkę. Nieopodal, na stacji rozczepiali wagony kolejowe: ostry brzęk niczym uderzenia sierpów. Nie zastanawiała się nad tym w jakiś zborny, logiczny sposób, ale była przekonana, że wystrojony mężczyzna w panamie zaraz zawróci. Tacy jak on nie zapuszczali się tutaj, nie korzystali ze ścieżek, które służyły małym chłopcom i włóczgom.

Tignorowi też by się nie podobało, że ona się szwenda po tej okolicy. Podobnie jak jej matce wiele lat wcześniej. Ale Tignor o niczym nie wiedział, podobnie jak Anna Schwart nie wiedziała o wszystkim, co Rebeka robiła po kryjomu.

Później Rebeka miała sobie przypomnieć, że już w tym momencie dotarło do niej, że się naraża, idąc tą trasą, a jednak nadal nią szła. Mimo że po zejściu z nasypu na

ścieżkę holowniczą prawdopodobnie znalazłaby się całkiem sama, a nie byłoby to dobre, gdyby mężczyzna w panamie naprawdę za nią szedł. Dlatego miała taki oto wybór: mogła zniecka zawrócić i pójść w stronę pobliskiej bocznej drogi, przy której bawiły się dzieci, albo mogła iść dalej ścieżką holowniczą.

Nie zawróciła. Szła dalej.

Nawet sobie nie pomyślała: *W ogóle się go nie boję, taki człowiek mnie nie przestraszy.*

W swej przemyślności i sprycie, jak przystało na córkę grabarza, wyjęła jednak z pojemnika na złom pasek blachy długości na oko siedmiu cali i szerokości cala i schowała go do prawej kieszeni kurtki koloru khaki. Zrobiła to szybko, żeby mężczyzna w panamie jej na tym nie przyuważył.

Pasek blachy był ostry. I dobrze. Ale brakowało mu rękojeści, przypominał szpikulec do lodu.

Gdyby musiała go użyć, to zacięłaby się w rękę. Mimo to się uśmiechnęła: *Przynajmniej go pokaleczę. Pożądaje, jeśli mnie dotknie.*

Niebo zdążyło pociemnieć, nadciągał zmierzch. Ponury, mroczny wieczór. Krajobraz nad kanałem nie miał już w sobie ani odrobiny piękna. Nad horyzontem wзираły ostatnie resztki słońca niczym płomyk pełgający pośród dymiących popiołów.

Do Poor Farm Road było tylko ćwierć mili: Rebeka widziała już drewniany mostek. Serce łomotało jej głucho. Rozpaczliwie chciała dotrzeć do mostka, wspiąć się po nasypie do drogi, gdzie byłaby bezpieczna. Pobiegłaby środkiem do domu Meltzerów, pół mili...

W tym momencie mężczyzna w panamie przystąpił do działania.

Niespodziewanie usłyszała za sobą odgłos jakby tłuczonego szkła: kroki na zeschniętych liściach. Natychmiast wpadła w panikę. Nie obejrzała się za siebie, tylko na oślep wbiegła na nasyp. Czepiała się dzikich róż, ostów, wysokich traw, żeby się podciągnąć do góry. Była zdesperowana, przestraszona. Przez głowę przemknęły jej wspomnienia, jak próbuje wspinać się po płotach albo dachach, co jej braciom przychodziło z taką łatwością, a jej nie. Usłyszała, że mężczyzna za nią coś mówi, że woła za nią, zaczęła się zsuwać, nasyp był zbyt stromy. Wykręciła nogę w kostce, runęła w dół całym ciężarem. Ból wywołał szok, mdłości. Po części przyhamowała spadanie mięsistym skrajem prawej dłoni.

A jednak spadła do końca, nie poradziła sobie. W oczach zrobiło jej się czarno, jak przy zaćmieniu słońca. Przecież jest kobietą, ten człowiek goni ją, bo jest kobietą. Lada chwila ją dopadnie.

– Niech panienka zaczeka! Niech mnie panienka wysłucha! Proszę! Nic pani nie zrobię.

Rebeka przykucnęła, ciężko dysząc. Mężczyzna w panamie podszedł do niej ze współczującą miną. Ostrożnie, tak jak się podchodzi do warczącego psa.

– Nie! Proszę się nie zbliżać! Niech pan odejdzie!

Rebeka po omacku sięgnęła do kieszeni, szukając paska blachy. Jej zakrwawiona dłoń była zdrętwiała. Nie mogła jej wcisnąć do kieszeni.

Mężczyzna w panamie zobaczył teraz, co Rebeka ma na twarzy, i znieruchomiał raptownie. Zaniepokojony zdjął okulary z przyciemnianymi szklami, żeby jej się przyjrzeć. Pewną osobliwość w związku z nim Rebeka miała pamiętać jeszcze długo

potem: te zaintrygowane, wytrzeszczone, nagie oczy. Oczy, które się zastanawiały, kalkulowały, pragnęły. I sprawiały wrażenie pozbawionych rzęs. Prawe oko wydawało się jakby lekko uszkodzone, niczym przepalone włókno żarówki, a oba białka były odbarwione niczym stara kość słoniowa. To był młodo-stary mężczyzna, o chłopięcym wyrazie na pomarszczonej twarzy, nijako przystojny, ale też miał w sobie coś jakby zamierającego, niematerialnego. Rebeka stwierdziła, że taki mężczyzna nie może być groźny, no chyba że miałby broń. Ale gdyby miał broń, to do tej pory już by ją pokazał.

Zaląła ją ulga, ależ była głupia, że tak źle oceniła tego nieznanego!

– Wybacz, bardzo proszę – mówił teraz z zażenowaniem. – Nie chciałem cię nastraszyć. Naprawdę to ostatnia rzecz, jakiej chciałem. Jesteś może ranna, moja złociutka?

Złociutka! Rebeka poczuła lekką pogardę.

– Nie. Nie jestem ranna.

– Ale... Może ci jednak pomóc? Chyba skręciłaś nogę w kostce. Wyraźnie oferował, że pomoże jej się podnieść, ale Rebeka wskazała mu gestem, że ma się do niej nie zbliżać.

– Nie potrzebuję pana pomocy. Idź pan sobie.

Wstała chwiejnie. Serce nadal jej łomotało, a krew wrzała. Była wściekła na tego człowieka, że ją przestraszył, upokorzył. Jeszcze bardziej była wściekła na samą siebie. Gdyby ktoś znajomy zobaczył, jak się kuliła ze strachu... Nieznajomy gapił się na nią swymi dziwnymi oczyma bez rzęs, nie mogła tego ścierpieć.

– Hazel, prawda? – spytał nagle mężczyzna, niemalże z tęsknotą w głosie. – Hazel Jones?

Rebeka wytrzeszczyła na niego oczy, nic nie rozumiejąc.

– Masz na imię Hazel, prawda? Mam rację?

– Hazel? Jaka Hazel?

– Hazel Jones.

– Nie.

– Ale wyglądasz identycznie jak ona. Z pewnością się nie mylę, że ty to Hazel...

– Powiedziałam, że nie. To nie ja.

Mężczyzna w panamie uśmiechnął się niepewnie. Był co najmniej tak samo zdenerwowany jak Rebeka i na dodatek się pocił. Kraciasta mucha przekrzywiła się, a koszula z długim rękawem zwilgotniała, widać było niesympatyczny odcisk podkoszulka ukrytego pod spodem. Za to zęby wprost idealne, na pewno protezy.

– Wyglądasz, złociutka, zupełnie jak ona, jak Hazel Jones. Coś nie potrafię uwierzyć, że mogłyby istnieć dwie młode kobiety, bardzo ładne, młode kobiety, które byłyby takie podobne i mieszkały w tej samej okolicy...

Rebeka pakuwała się z powrotem na ścieżkę holowniczą. Sprawdziła swój ciężar na kostce – czy jest w stanie iść dalej albo pobiec. Twarz miała zaczerwienioną ze wstydu. Otrzepta ubranie, do którego przywarły grudki ziemi i osty. Ależ była zła! A mężczyzna w panamie nadal się na nią gapił, przekonany, że ona jest kimś, kim wcale nie była.

Zauważyła, że zdjął kapelusz i że obraca go nerwowo w dłoniach. Jakby ufryzowane, siwoblond włosy, sklejone w pasma jak włosy manekina, prawie wcale się nie potargały pod kapeluszem.

– Muszę już ruszać, proszę pana. Proszę za mną nie iść.

– No ale... ależ zaczekaj! Hazel...

Nieznajomy przemawiał teraz tonem subtelnej przygany. Jakby wiedział, że ona go oszukuje, a nie potrafił pojąć dlaczego. Miał przecież takie dobre intencje, był dżentelmenem nie przyzwyczajonym do tego, by ktoś go traktował po chamsku, nie potrafił zrozumieć dlaczego.

– Masz oczy zupełnie takie same jak Hazel – mówił teraz uprzejmie, z wkurzającą natarczywością – za to włosy chyba ci ściemniały. I jesteś też jakaś taka bardziej opryskliwa, ale to ja ponoszę tu winę, bo cię przestraszyłem – dodał pospiesznie. – Po prostu nie wiedziałem, jak do ciebie podejść, złociutka. Zobaczyłem cię wczoraj na ulicy... i uznałem... toż to przecież Hazel Jones, po tylu latach, a dzisiaj... po prostu musiałem za tobą pójść.

Rebeka gapiła się na niego, roztrząsając to wszystko w głowie. Teraz naprawdę czuła, że ten przejęty mężczyzna mówi prawdę: taką, jak ją widział. Mylił się, ale nie wyglądał na obłąkanego. Mówił stosunkowo spokojnie, a jego rozumowanie, biorąc pod uwagę okoliczności, brzmiało logicznie.

Jemu się wydaje, że ja to ona i że ja kłamię.

Rebeka roześmiała się, to było takie niesamowite! Takie dziwne.

Żałowała, że nie może opowiedzieć o tym Tignorowi, kiedy ten zadzwoni. Mogliby się pośmiać razem. Tignor potrafił jednak być zazdrosny, a zazdrosnemu mężczyźnie lepiej nie mówić, że ugania się za tobą inny mężczyzna, mężczyzna, który sobie wmówił, że jesteś jakąś inną kobietą, jego ukochaną.

– Przykro mi, proszę pana. Nie mam na imię Hazel.

– Ale...

Podchodził do niej. Powoli. Mimo że mu powiedziała, że ma się trzymać z daleka, mimo że go ostrzegła. Chyba nie wiedział, co robi, i Rebeka też nie do końca była tego pewna. Naprawdę wydawał się nieszkodliwy. Niewiele wyższy od Rebeki, miał brązowe sznurowane buty pokryte kurzem. Mankiety pastelowych spodni też były przybrudzone. Rebeka poczuła słodkawy zapach wody kolońskiej albo płynu po goleniu. Był nie tylko młodo-stary, ale także słabo-silny. Był mężczyzną, który na oko wydaje się słaby, podczas gdy w rzeczywistości jest silny. Miał w sobie wolę młodej miedzianki, zwiniętej w kłęb. Na jej widok myślisz, że jest sparaliżowana strachem, unieruchomiona panicznym lękiem, że mogą ją zabić, a tymczasem wcale tak nie jest; zwyczajnie gra na zwłokę, przygotowując się do ataku. W zamierzonych czasach ojciec Rebeki, Jakub Schwart, grabarz z Milburn, był takim słabo-silnym człowiekiem; tylko rodzina wiedziała o jego straszliwej sile, o jego gadziej woli ukrytej pod pozornie spolegliwym zewnętrzem. Rebeka wyczuła podobną dwulicowość w tym człowieku. Przepraszał ją, ale nie był pokorny. W jego duszy nie było żadnej pokory. Wyraźnie myślał o sobie jak najlepiej. Znał Hazel Jones, ścigał Hazel Jones, nie zrezygnowałby z Hazel Jones, nie tak łatwo.

Tignor oceniłby źle tego człowieka, bo Tignor był uroczo powierzchowny w swoich opiniach i nigdy ich nie rewidował. A jednak ten mężczyzna wyraźnie miał pieniądze i wykształcenie. Pieniądze najprawdopodobniej odziedziczył. Wyglądał na kawalera, a jednak był zadbany. Nosił ubranie dobrej jakości, nawet jeśli teraz było lekko zmięte, sfatygowane.

Na prawej dłoni błyskał złoty sygnet z czarnym oczkiem.

– Nie wiem, dlaczego się mnie wypierasz, Hazel. Co ja takiego zrobiłem, że się ode mnie odcinasz? Jestem synem doktora Hendricksa, na pewno mnie rozpoznałaś.

Mówił to na poły z żalem, oskarżycielsko.

Rebeka roześmiała się, bo nie знаła żadnych Hendricksów.

– Syn doktora Hendricksa? – spytała jednak, jakby chciała zwabić go w pułapkę.

– Ojciec zmarł w listopadzie zeszłego roku. Miał osiemdziesiąt cztery lata.

– Współczuję, ale...

– Mam na imię Byron. Na pewno pamiętasz Byrona.

– Obawiam się, że nie. Już panu powiedziałam.

– Miałaś najwyżej dwanaście albo trzynaście lat! Taka młoda dziewczyna. Ja ledwie co zrobiłem dyplom szkoły medycznej. Byłem dla ciebie kimś dorosłym, dzieliła nas przepaść pokoleniowa. A teraz ta przepaść nie jest już taka głęboka, prawda? Na pewno się zastanawiałaś, co się z nami działo, Hazel. Jestem teraz lekarzem, poszedłem w ślady ojca. Ale w Port Oriskany, nie w dolinie. Dwa razy w roku wracam do Chautauqua Falls, żeby odwiedzić krewnych, żeby doglądać rodzinnej posiadłości. I żeby posprzątać na grobie ojca.

Rebeka stała w milczeniu. A diabła tam, żeby miała na to odpowiedzieć!

– Jeśli uważasz, że zostałam źle potraktowana, Hazel... Ty i twoja matka... – Byron Hendricks mówił prędko dalej.

– Powiedziałam panu! Ja nawet nie pochodzę z Chautauqua Falls. Mój mąż mnie tu sprowadził. Jestem mężatką.

Rebeka mówiła z żarem, ze zniecierpliwieniem. Żałowała, że nie włożyła obrączki, bo teraz mogłaby zamachać nią przed nosem temu człowiekowi. Po prostu nigdy nie wkładała swojej pięknej obrączki do Niagara Tubing.

Byron Hendricks westchnął.

– Mężatka! – Wyraźnie nie brał tego wcześniej pod uwagę. – Jest coś dla ciebie, Hazel. Przez całe swoje długie i, bywało, burzliwe życie mój ojciec nigdy o tobie nie zapomniał. Zdaję sobie sprawę, że w przypadku twojej biednej matki jest już za późno, ale... Czy przyjmiesz chociaż moją wizytówkę, złociutka? Na wypadek gdybyś kiedyś chciała nawiązać ze mną kontakt.

Wręczył jej niewielką, białą wizytówkę. Rebeka odniosła wrażenie, że te schludnie wydrukowane litery to jakaś nagana.

*Dr Byron Hendricks
Medycyna ogólna i rodzinna
Wigner Building, lokal nr 414
Owego Avenue 1630
Port Oriskany, Nowy Jork
Tel. 693-4661*

– Po cholere miałabym się z panem kontaktować? – spytała ze złością Rebeka.

Roześmiała się i podarła wizytówkę na małe kawałeczki, które następnie cisnęła na ścieżkę. Hendricks zagapił się na nią z konsternacją. Jego pozbawione rzęs powieki krótkowidza zadrżały.

Rebeka odwróciła się i odeszła. Może to był błąd: że odwróciła się plecami do tego faceta, który teraz wołał za nią:

– Bardzo przepraszam, jeśli cię uraziłem! Na pewno masz powody, że jesteś taka niegrzeczna. Ja nie osądzam innych, Hazel. Jestem człowiekiem nauki i rozumu. Nie osądzam ciebie. Jesteś teraz taka zasadnicza, taka... twarda. Ale ja cię nie osądzam.

Rebeka nie odpowiedziała. Za nic nie chciała się obejrzeć.

Cholera, ależ on ją nastraszył! Wciąż cała się trzęsła.

Znowu za nią szedł w niewielkiej odległości. I nie poddawał się.

– Hazel, moja złociutka! Już chyba rozumiem. Uważasz, że zostałam skrzywdzona, albo dałam to sobie wmówić. I dlatego chcesz się teraz odplacić pięknym za nadobne. Ale jak już powiedziałem, jest coś dla ciebie. Ojciec pamiętał o tobie w swoim testamencie.

Rebeka miała ochotę zatkać sobie uszy dłońmi. Nie, nie!

– Zadzwonisz do mnie któregoś dnia, moja miła? Do Port Oriskany? Albo... może tak przyjedziesz do mnie? Żeby powiedzieć, że nam wybaczyłaś. I przyjąć ode mnie spadek po doktorze Hendricksie.

Rebeka wspinała się już po nasypie w stronę drogi. Wąską, stromą ścieżką, którą znała tak dobrze. Oszczędzała wprawdzie kostkę, ale upadek jej nie groził. Byron Hendricks został z tyłu, odprowadzał ją wzrokiem. Pewnie ścisnął w dłoniach swój idiotyczny kapelusz, w pozie petenta. Mimo to Rebeka czuła potęgę woli tego mężczyzny, dygotała na samą myśl o niej. Musiała przejść blisko niego, mógł wyciągnąć rękę i ją złapać. Tylko uschłe liście ją wtedy ostrzegły, kiedy podkradł się do niej od tyłu, jeszcze długo potem to pamiętała.

W testamencie.

Spadek.

To było kłamstwo. Na pewno. Podstęp. Nie wierzyła w ani jedno słowo. Niemal żałowała, że Hendricks nie spróbował jej dotknąć. Chętnie dźgnęłaby go paskiem blachy. Albo przynajmniej spróbowała.

Mamuu-siu!

Dziecko podbiegło do niej, gdy tylko weszła do kuchni Meltzerów, obłapiło jej nogi. Jego małe, ruchliwe ciało tryskało energią, podnieceniem, a jego oczy były lśniące, pełne ognia niczym ślepią dzikiego zwierzęcia. Rebeka pochyliła się, żeby pocałować syna; śmiała się i jednocześnie się trzęsła. Jego krzyk wdzierał się do jej serca, czuła się taka winna, że oddaliła się od niego.

– Niley, chyba sobie nie pomyślałeś, że mamusia nie wróci, prawda? Przecież zawsze wracam.

Jego ulga na jej widok była absurdalna, raniła ją. Czuła, że on chce ją ukarać. I że chce ją też ukarać za nieobecność Tignora. Często tak było. Psiakrew, jakie to niesprawiedliwe, że była podwójnie karana, i przez syna, i przez jego ojca!

– Niley? Wiesz, że mamusia musi pracować, prawda?

Niley z uporem pokręcił głową, nie.

Rebeka pocałowała go. W tę rozgorączkowaną buzię.

Teraz musiała wytrzymać opowieść Edny Meltzer o tym, jak Niley marudził cały dzień, bo koniecznie chciał posłuchać radia, i o tym, jak niespokojnie biegał od okna do okna, gdy tylko słońce zaszło za drzewami, bo już czekał na mamusię.

– On nie lubi, jak dni stają się krótsze, wie, że przez to noc zapada wcześniej. Nie mam pojęcia, jak będzie z nim zimą. – Pani Meltzer krzywiła się, histeryzowała. Między nią i Rebeką utrzymywało się stłumione napięcie, podobne do buczenia sygnału w słuchawce telefonu. – Och, to dziecko wyszłoby na drogę, gdybym choć na chwilę spuściła je z oka – dodała ze śmiechem. – Gdybym mu pozwoliła, podreptałby nad kanał, żeby ci wyjść naprzeciw jak jakiś usychający z tęsknoty szczeniaczek.

Usychający z tęsknoty szczeniaczek! Rebeka nienawidziła takiego kwiecistego języka.

Ukryła twarz w ciepłym karku syna i mocno przytuliła go do siebie. Serce biło jej z ulgi, że nic jej się nie stało na ścieżce holowniczej i że nikt się nigdy nie dowie.

Spytała Nileya, czy był grzecznym chłopcem. Powiedziała mu, że jeśli był niegrzeczny, to dopadnie go wielki pająk. Aż zaskrzeczał z uciechy, kiedy połaskotała go pod pachami, żeby puścił jej nogi.

– Jesteś dziś w dobrym humorze, Rebeko – zauważyła Edna Meltzer.

Pani Meltzer była krępą, krzepką kobietą o lejącym się biuście i twarzy jak pudding. Zachowywała się dobrotliwie, po macierzyńsku, ale też zawsze subtelnie oskarżała.

A mam nie być w dobrym humorze? Żyję.

– Bo wyszłam z tej piekielnej dziury i wracam do niej dopiero jutro. Dlatego.

Rebeka pachniała silnie kobiecym potem, jej skóra sprawiała wrażenie lepko-bladej, rozgorączkowanej. Oczy miała nabiegłe krwią. Płoszyła się, kiedy pani Meltzer przypatrywała jej się z tak bliska. Starsza pani zapewne się zastanawiała, czy Rebeka przypadkiem nie piła. Szybki drink z koleżankami z pracy w mieście, zamiast przyjść prosto do domu? Bo wydawała się taka podniecona, rozkojarzona. Śmiała się dziwnie dziko.

– O! A co to, przewróciłaś się?

Zanim Rebeka zdążyła się cofnąć, Edna Meltzer schwyciła jej prawą rękę i podniosła ją do światła. Umięśniony skraj dłoni był otarty i umazany ziemią, krew ciekła powolnymi kroplami, które lśniły niczym klejnoty. Na palcach miała cieniutkie nacięcia od ściskania paska blachy ukrytego w kieszeni; te prawie wcale nie krwawiły.

Rebeka wyrwała rękę z uścisku starszej kobiety. Mruknęła, że to nic takiego, że nie wie, skąd to się wzięło, że wcale się nie przewróciła. Wytarłaby dłoń o kombinezon, gdyby Edna Meltzer jej nie powstrzymała.

– Lepiej to umyj, kotuś. Jeszcze złapiesz, no ten... jak mu tam... tynżec.

Niley zaczął się dopytywać, co to takiego jest tynżec. Edna Meltzer wyjaśniła mu, że to coś bardzo złego, co może ci się przydarzyć, jeśli się skaleczysz na dworze i potem się nie umyjesz do czysta dobrym, silnym mydłem.

Rebeka dała posłuch pani Meltzer i umyła ręce przy kuchennym zlewie. Czerwieniła się ze złości, bo nie cierpiała, jak ktoś jej mówił, co ma robić. I to w obecności Nileya! Myła swoje przeklęte ręce jak dziecko, kostką ziarnistego, szarego mydła, które nazywało się 20 Mule Team, z grubsza usuwając brud. Edna Meltzer była żoną Howiego Meltzera, właściciela stacji Esso.

Ojciec Rebeki zawsze używał żrących mydeł, żeby zmyć z siebie cmentarną ziemię. Tyle że oczywiście takiej ziemi nie można zmyć do czysta.

– Tynżec! Tynżec! – pokrzykiwał Niley z podnieceniem i tulił się do Rebeki, bo też chciał umyć ręce. Był w tym wieku, w którym nowe słowa napawają dreszczem, jakby były kolorowymi ptakami fruującymi wokół głowy.

Za oknem nad zlewem zrobiło się ciemno. Rebeka widziała w szybie, że pani Meltzer ją obserwuje. Tignor nie lubił Meltzerów, bez żadnego powodu prócz takiego, że traktowali przyjaźnie jego żonę podczas jego nieobecności. Rebeka nie umiała orzec, czy sama lubi Ednę Meltzer, kobietę, w której wieku byłaby jej matka, gdyby nie umarła młodo, czy też jej nie znosi. Zawsze taka pełna cnót, taka macierzyńska! Ciągle mówiła Rebecę, młodej, niedoświadczonej matce, co powinna robić.

Pani Meltzer miała piątkę dzieci. To krzepkie, korpulentne ciało wydało na świat pięcioro dzieci. Na samą myśl Rebecę robiło się słabo. Wszystkie dzieci Meltzerów dorosły już i odeszły z domu. Rebeka zastanawiała się, w jaki sposób Edna Meltzer to zniosła: rodziła dzieci, kochała je z czułością i zawziętością, przetrwała tyle w ich imieniu, a potem utraciła je na rzecz czasu. To przypominało gapienie się na słońce, kiedy nic nie widzisz, bo masz oślepienie oczy, dlatego Rebeka nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że kiedyś nadejdzie taki czas, kiedy Niley dorośnie i też od niej odejdzie. Jej mały chłopczyk, który tak ją uwielbia i tak się jej trzyma.

– Mamuu-siu! Kocham cię!

– Mamusia też cię kocha, syneczku. Ale nie tak głośno!

– Przez cały dzień był taki, Rebeko. Nie chciał spać. Prawie nic nie zjadł. Wyszliśmy do ogrodu, ale wtedy się uparł, żeby mu ustawić radio na poręczu werandy i włączyć na pełen regulator. – Pani Meltzer potrząsała głową i śmiała się.

Dziecko wierzyło, że niektórzy prezenterzy radiowi to jego ojciec, ich głosy przypominały mu głos Tignora. Rebeka próbowała mu wytłumaczyć, że to tak nie jest, ale Niley miał własne poglądy.

– Przepraszam – wybąkała Rebeka z zażenowaniem. Była wytrącona z równowagi, nie wiedziała, co powiedzieć.

– Och, to nic takiego – zapewniła ją prędko pani Meltzer. – Sama wiesz, jakie są dzieci; tak naprawdę wcale nie wierzą w to, co im się wydaje. Tak jak my.

Rebeka zaczęła szykować Nileya, żeby już go zabrać do domu, i usłyszała samą siebie, jak niby od niechcienia pyta panią Meltzer, czy kiedykolwiek słyszała o osobie zwanej Hazel Jones.

– Mieszka gdzieś tutaj? To ktoś od nas?

– Chyba mieszka w Chautauqua Falls.

Rzeczywiście tak było? Mężczyzna w panamie powiedział chyba, że Hazel Jones mieszkała w Chautauqua Falls, kiedy była mała.

– A czemu pytasz? Kim ona jest?

– Och, ktoś spytał, czy tak się nazywam.

Ale to też była nieściskość. Człowiek, który był synem doktora Hendricksa, spytał, czy Rebeka to Hazel Jones. To była znacząca różnica.

– Pytał, czy tak się nazywasz? Czemu ktoś chciałby to wiedzieć? – Edna Meltzer wykrzywiła swoją szeroką, tłustawą twarz i zaśmiała się. Tak właśnie brzmiała odpowiedź na wszystko, co odbiegało od miejscowym norm: lekceważący śmiech.

Niley wybiegł na zewnątrz, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Rebeka wybiegłaby za nim, ale pani Meltzer dotknęła jej ramienia, przemawiając do niej ściszym głosem. Młodsza kobieta poczuła ukłucie obrzydzenia pod wpływem tego dotyku i tej wymuszonej bliskości.

– Tignor już chyba niebawem wróci, Rebeko? Coś długo go nie ma.

Rebeka poczuła, że jej twarz pulsuje ciepłem.

– Wcale nie!

Pani Meltzer nie ustawała.

– A właśnie, że tak. Nie ma go od wielu tygodni. I to dziecko...

– Mój mąż jest biznesmenem, Edno – odparła Rebeka wesołym, beztróskim tonem, żeby wbić klin w tę bliskość. – Podróżuje, jest teraz w drodze. Jest właścicielem nieruchomości.

Na oślep pchnęła siatkowe drzwi i pozwoliła, by same się zamknęły. Niley biegł przez trawnik, młóćąc rękami i pokrzykując z dziecięcym podnieceniem. Ileż zdrowia było w tym malcu, jak w jakimś żyjącym własnym życiem zwierzątku! Rebeka nie cierpiała tej kobiety za to, że mówi do niej, do matki tego dziecka, takim tonem. Pani Meltzer przemawiała do niej w swojej kuchni cierpliwym, napastliwym, wkurzającym głosem.

– Niley stale wypytuje o „tatusia”, a ja nie wiem, co mu mówić.

– Zgadza się, Edno – odparła chłodno Rebeka. – Nie wiesz, to nie wiesz. Dobrej nocy.

Po powrocie do domu, małego, piętrowego farmerskiego domu przy końcu bitej drogi odchodzącej w bok od Poor Farm Road, który wynajął dla nich Tignor, Rebeka napisała drukowanymi literami nowe słowo dla Nileya: TĘŻEC.

Odszukała to słowo w słowniku, jeszcze zanim zdjęła przepocone ubranie i zmyła z ciała brud Niagara Tubing. To był sfatygowany Webster, z czasów, kiedy jeszcze mieszkała w Milburn i chodziła do podstawówki; wygrała go w konkursie ortograficznym,

sponsorowanym przez miejscową gazetę. Niley był zafascynowany wklejką zamieszczoną w środku:

MISTRZYNI ORTOGRAFII OKRĘGU nr 3 w MILBURN
1946 ROK
REBEKA ESZTERA SCHWART

W tamtym miejscu i w tamtym czasie była córką swoich rodziców, nosiła nazwisko, które jej ojciec przywiózł do Nowego Świata: Schwart.

(Rebeka nie chciała poprawiać błędów, z jakim napisano jej drugie imię: „Eстера”. Nie chciała niszczyć pięknie wydrukowanej wklejki.)

Od czasu, gdy Niley skończył dwa lata, Rebeka zaczęła sprawdzać słowa w słowniku, żeby wiedzieć, jak je dla niego napisać. Sama nie czuła żadnej ochoty, by coś pisać, czytać czy w ogóle myśleć, dopóki mocno się nie zestarzeje, ale nie zamierzała powiełać swych rodziców w procesie wychowywania jej dziecka. Najpierw starannie kaligrafowała słowo na arkuszu sztywnego papieru. Potem Niley próbował ją naśladować. Ścisnął ołówek w swych kielbaskowatych, dziecięcych palcach, wodząc nim z zapalczywą, niesłabnącą koncentracją po papierze. Rebeka była wstrząśnięta głębokim zawstydzeniem dziecka, że mozolnie pisane słówko ani trochę nie przypomina słówka napisanego przez mamusię; Niley podobnie wstydził się innych niepowodzeń – że rozlał jedzenie, że zmoczył łóżko. Czasem zalewał się łzami, a czasem się wściekał, kopał i spazmował. Bił swymi dziecięcymi piąstkami mamusię. Bił się po własnej buzi.

Rebeka prędko tuliła go w takich momentach. Przytulała go z całej siły!

Kochała go namiętnie, tak jak kochała jego ojca. A jednak bała się o niego, wyraźnie hodował w sobie temperament ojca. Niemniej uczył się chętnie, i to w sposób różniący go od Tignora. Podczas ostatnich kilku miesięcy zaskoczył ją, bo tak bardzo zafascynował się literami alfabetu, tym że razem łączą się w „słówka”, aby reprezentować różne „rzeczy”.

Sama była kiepsko wykształcona. Nie skończyła szkoły średniej, jej życie zostało brutalnie przerwane. Czasami była wręcz bliska omdlenia ze wstydu, kiedy rozmyślała o tym wszystkim, czego nie wie, czego nie potrafiła się dowiedzieć i czego nawet sobie nie wyobraża, że nie wie, bo ignorancja do tego stopnia ogranicza jej wyobraźnię. We własnych wyobrażeniach tkwiła w bagnie, w ruchomym piasku po kostki, po kolana.

Ta ziemia to kloaka. Ignorancja! Głupota! Okrucieństwo! Chaos! I obłęd, na domiar wszystkiego.

Rebeka zadygotała pod wpływem tego wspomnienia. Jego głos. Ta wściekła, rozpasana gorycz.

– Mamuu-siu? Popatrz.

Niley z bolesną powolnością wypisał słowo „Tęzec”. A teraz zadarł głowę i przyglądał jej się zmrużonymi oczyma, z niepokojem. Niewiele przypominał swojego ojca, a już z pewnością nie miał w sobie nic z ojca Rebeki. Miał delikatne, jasnobrązowe włosy i również jasną karnację, podatną na wysypki; rysy dość drobne, ściągnięte. Jego oczy przypominały oczy Rebeki, głęboko osadzone i intensywne w wyrazie.

Niley jak zawsze dziwacznie pochylał swoje litery ku dołowi, przez co zabrakło mu miejsca; ostatnie dwie wchodziły jedna na drugą – „EC. Rebeka uśmiechnęła się, Niley

był taki zabawny. W okresie niemowlęcym przypominał jej małą małpkę, z tą pomarszczoną, ekspresywną twarzą.

Niemniej brak miejsca na kartce mógł sprawić, że zaraz wpadnie w histerię. Rebeka prędko zabrała kartkę i dała mu drugą.

– W porządku, cukiereczku! Chodź, napiszemy to słówko razem.

Niley skwapliwie wziął do ręki czerwoną kredkę. Tym razem musiało mu pójść lepiej.

Rebeka przysięgła sobie: na tym etapie życia swojego syna nie będzie popełniała błędów. Póki jest taki mały, póki jeszcze nie chodzi do szkoły. Kiedy dziecko jest zdane niemal wyłącznie na łaskę rodziców. Dlatego właśnie Rebeka szukała słów w słowniku. I zaopatrzyła się w podręczniki do szkoły średniej. Żeby wszystko robić dobrze. Żeby robić dobrze choć to, co można, pośród tych wielu rzeczy, których nie można.

Głos w uchu Rebeki, ostry, ponaglający.

– Jezus, uważaj!

Ocknęła się z transu. Wybuchnęła nerwowym śmiechem. Jej prawa dłoń, ogromna, bo w rękawicy roboczej, zawędrowała niebezpiecznie blisko do maszyny sztancującej.

Podziękowała osobie, która ją ostrzegła. Czerwieniła się ze wstydu, oburzenia. Psiakrew, tak było przez prawie cały poranek: jej umysł gdzieś się błakał, traciła koncentrację. Ryzykowała, jakby dopiero co zaczęła tę pracę i nie miała jeszcze pojęcia, jaka potrafi być niebezpieczna.

Jazgotliwe maszyny. Duszące powietrze. Żar o smaku osmalonej gumy. Pot pod roboczym ubraniem. I na dodatek wdzierający się do tego hałasu jakiś inny, naglący dźwięk, którego nie umiała rozszyfrować, więc nie wiedziała, czy wyrażał nadzieję, czy uwodził, czy też drwił. HAZEL JONES HAZEL JONES HLAZEL JONES.

Minął ją brygadzysta. Nie po to, żeby z nią porozmawiać, tylko po to, żeby go zauważyła: jego obecność. Zauważyła go, tego sukinsyna.

W Niagara Tubing nikt jej dobrze nie znał. Nawet Rita, która się z nią kolegowała. Być może wiedzieli, że jest mężatką, niektórzy może nawet wiedzieli, kto jest jej mężem: Niles Tignor był znany w niektórych kręgach Chautauqua Falls. O Rebecce wiedzieli tyle, że trzyma się na uboczu. Że jest uparta, że ma w sobie jakąś taką zawziętą godność. Że nie dałaby sobie wcisnąć kitu.

Nawet wtedy, kiedy była tak zmęczona, że aż kręciło jej się w głowie. Kiedy chwiała się na nogach i musiała iść do toalety, ochlapać sobie twarz letnią wodą. Nie tylko nielicznym robotnikom z Niagara Tubing kręciło się w głowie, ale także mężczyznom. Weteranom wielu lat spędzonych przy taśmie.

Tamtego pierwszego tygodnia, kiedy zaczęła pracę na hali, mdliło ją od smrodu, od wściekłego tempa, od hałasu. Od tego łup-łup-łup! Przy tylu decybelach hałas to już nawet nie tylko dźwięk, ale coś materialnego, porażającego trzewia, coś, co jak prąd elektryczny mknie przez twoje ciało. Coś, co przeraża, nakręca na coraz wyższe obroty. Zmusza serce, by puściło się w cwał, żeby dotrzymało tempa. Nawet mózg się wtedy rozpędza, ale nie dociera donikąd. Nie da się utrzymać w nim żadnej spójnej myśli. Myśli rozsypują się niczym paciorki z pękniętego sznureczka...

Strasznie się bała, czuła, że jeszcze chwila, a zwariuje. Że jej mózg rozpadnie się na kawałki. Tam trzeba było krzyczeć, żeby cię usłyszeli, krzyczeć do ucha, i ludzie też krzyczeli ci do ucha, prosto w twarz. Chaotyczne, pulsujące, pierwotne życie. Tam nikt nie posiadał osobowości, tam nie było miejsca na subtelności duszy. Delikatna dusza dziecka, takiego jak Niley, uległaby destrukcji. W maszynach, w fabrycznym piekle, toczyło się obce, dzikie życie, które naśladowało rozedrgany rytm prawdziwego życia. I to niby-życie dławilo żywe serce i żywy mózg. Maszyny miały swój rytm, każda emitowała swoje łup-łup-łup. Hałas jednej nakładał się na hałas innych i zagłuszał wszelkie naturalne dźwięki. Maszyny nie znały słów, potrafiły tylko hałasować. I ten hałas brał górę nad wszystkim. Był w nim chaos, mimo mechanicznej powtarzalności, pseudouporządkowania, rytmu.

Imitacja naturalnego, pulsującego rytmu. A niektóre z maszyn, te bardziej skomplikowane, naśladowały wręcz ludzkie myślenie, to najbardziej prymitywne.

Mówiła sobie, że dłużej tego nie zniesie!

Mówiła sobie, kiedy już była spokojniejsza, że nie ma wyboru.

Tignor obiecał Rebecce, że nie będzie musiała pracować, kiedy zostanie jego żoną. Był dumnym mężczyzną, łatwo się obrażał. Nie pochwalał tego, że jego żona pracuje w fabryce, a jednak dawał jej za mało pieniędzy, nie miała wyboru.

Nastało lato i Rebeka jakoś się przystosowała. Ale żeby tak do końca? Chryste, nigdy!

To oczywiście była tylko tymczasowa praca. Dopóki nie...

Patrzył na nią z takim przekonaniem! HAZEL JONES.

Jakby ją znał. Nie Reбекę w jej zesztywniałym od brudu roboczym ubraniu, tylko kogoś innego, pod spodem.

Znał jej serce. HAZEL JONES HAZEL NAZYWASZ SIĘ HAZEL JONES NAZYWASZ SIĘ HAZEL JONES. Długie, poranne godziny i cały czas to HAZEL JONES HAZEL JONES, usypiające i uwodzicielskie, jakby ktoś mruczał jej do ucha. Po południu HAZEL JONES HAZEL JONES przeobraziło się w szyderyczy jazgot.

– Nie, to nie ja. Zostaw mnie w spokoju, do jasnej cholery!

On, kiedy zdejmował okulary. Inteligenckie, przyciemniane okulary. Żeby mogła zobaczyć jego oczy. Zobaczyć, jaki jest szczery, że prosi ją z całego serca. Uszkodzona tęczęwka jednego oka, jakby nadpalona. Niewykluczone, że nie widział na to oko. Uśmiechał się do niej, był pełen nadziei.

– Że niby ja to ktoś wyjątkowy. „Hazel Jones”.

Ani trochę nie chciało jej się myśleć o tej Hazel Jones. A jeszcze mniej o mężczyźnie w panamie. Chętnie nawrzeszczałaby mu prosto w twarz. Jeszcze raz zobaczyła tę wstrząśniętą minę, kiedy darła jego wizytówkę. Dobrze, że to zrobiła.

Tylko dlaczego: dlaczego tak go nie cierpiała?

Musiała to przyznać, był kulturalnym mężczyzną. Dżentelmenem. Człowiekiem wykształconym, który miał pieniądze. Nikogo takiego nie znała, w życiu nawet nikogo takiego nie spotkała. A on tak ją błagał.

Miał dobre serce, chciał postąpić jak należy.

– Tylko dlatego, bo ja to niby Hazel Jones, czy dlatego, że ja to ja.

Pamiętał o tobie. W swoim testamencie.

Spadek.

– Niech pan zrozumie, że ja nią nie jestem. Panu się to tylko wydaje.

Na pewno mnie rozpoznałaś. Syn doktora Hendricksa.

– Mówiłam panu, że nie.

Cholera jasna, powiedziała mu, że nie, mówiła prawdę od samego początku. Ale on obstawał przy swoim, jak trzylatek, który upiera się przy istnieniu czegoś, co nie może istnieć. Wciąż przemawiał do niej takim tonem, jakby usłyszał „tak” tam, gdzie ona powiedziała „nie”. Jakby zaglądał do jej duszy, jakby znał ją w sposób, w jaki ona siebie nie zna.

– Powiedziałam już panu. Nie nazywam się Hazel Jones.

Ależ była zmęczona. Późne popołudnie to pora, kiedy łatwo ulec wypadkowi. Nawet tym starym wyjadaczom się zdarza. Człowiek robi się ospały, znużony. PRZEDE WSZYSTKIM BEZPIECZEŃSTWO! – plakaty, na które nikt już nawet nie spoglądał, bo

tak się opatrzyły. 10 GŁÓWNYCH ZASAD BEZPIECZEŃSTWA. Jedna z nich brzmiała: ZAWSZE PATRZ NA TO, CO ROBISZ.

Kiedy pod okularami ochronnymi coś zaczęło dygotać i widziała wszystko jak pod wodą, to był znak ostrzegawczy: że zaśnie na stojąco. Ale z kolei to było takie... Takie kojące. Tak właśnie zasypiał Niley, powieki same mu opadały. Jakie to niesamowite, że ludzie zasypiają tak jak zwierzęta. Czym jest „osoba” dla „osobowości” i dokąd odchodzi, kiedy zasypiasz. Ojciec Nileya, Tignor, spał snem nadzwyczaj głębokim, przy czym zdarzało się, że zaczynał wtedy oddychać dziwnymi, urywanymi seriami, które napępiały ją lękiem, że mógłby przestać oddychać, że jego wielkie serce mogłoby przestać pompować krew i wtedy co? Wziął z nią ślub cywilny w Niagara Falls. Miała wtedy siedemnaście lat. Gdzieś było świadectwo ślubu, zawieruszone pośród innych jego rzeczy.

– Jestem jego żoną. Jestem panią Tignorową. Ślub był prawdziwy.

Rebeka prędko zadarła głowę. Gdzie by była, gdyby nie...?

Wsadziła palce pod okulary ochronne, przetarła oczy. Najpierw jednak musiała zdjąć rękawice ochronne. Ależ z niej niezdara! Miała ochotę się rozplakać z frustracji... *skrzywdzona. Albo dałaś to sobie wmówić. Ja nie osądzam.* Przyglądał jej się z progu, rozmawiał o niej z jednym z szefów. Zobaczyła go kątem oka; nie gapiała się, nie pozwoliła, by wiedzieli, że ich zauważyła. Miał na sobie pastelowe ubranie, na głowie kapelusz. Inne zerkwały na niego z zaciekawieniem. Zapewne był jednym ze współwłaścicieli. Albo inwestorów. Ale nie menedżerem, nie ubrał się jak do biura. Poza tym był też lekarzem...

Dlaczego podała jego wizytówkę?! To chamstwo odziedziczyła po swoim ojcu grabarzu. Wstydziła się za siebie, kiedy przyszło jej na myśl, jak bardzo musiała go zaszokować i obrazić.

Ale przecież on nie osądzał.

– Ocknij się. Ocknij się, dziewczyno.

Znowu omal nie zasnęła. Maszyna omal nie wciągnęła jej ręki, tym razem lewej.

Uśmiechnęła się pod wpływem wariackiej myśli: palców przy lewej dłoni tak bardzo by jej nie brakowało. Była praworęczna.

Wiedziała, że mężczyzna, którego zobaczyła na terenie fabryki, to wcale nie był tamten w panamie. Prawdopodobnie zobaczyła dyrektora fabryki, kątem swego zamazanego oka. Dyrektor był mniej więcej tego samego wzrostu i wieku, ubierał się przeważnie w białe koszule z krótkim rękawem. Żadnej muchy i na pewno żadnej panamy.

Po pracy znowu go prawie-zobaczyła. Po drugiej stronie ulicy, pod markizą nad zakładem szewskim. Odwróciła się prędko, odeszła, nie oglądając się za siebie.

– Jego tu nie ma. Nie ma Tignora i jego też teraz tu nie ma.

Nikt nie widział: dopilnowała tego.

Poszła poszukać strzępków wizytówki Hendricksa. Znalazła kilka bardzo małych na ścieżce holowniczej. Bez pewności, co właściwie znalazła. To, co było na nich wydrukowane, rozmazało się, zatarło bez śladu.

– I bardzo dobrze. Nie chcę wiedzieć.

Zniesmaczona sobą zmięta skrawki papieru w kulkę i wrzuciła tę kulkę do kanału; długo utrzymywała się na ciemnej tafli wody, podrygując niczym wodny żuk.

Minęła niedziela, ale Tignor nie zadzwonił.

Żeby czymś zająć niespokojne dziecko, zaczęła opowiadać mu historyjkę o człowieku na ścieżce holowniczej. O panu w panamie.

– Niley, ten pan, ten obcy pan, szedł za mną ścieżką. I czy zgadniesz, co do mnie powiedział?

Głos mamusi był wesoły, tętnił życiem. Gdyby ktoś chciał namalować go kredkami, to użyłby jaskrawej żółci i czerwieni.

Niley słuchał skwapliwie, nie bardzo wiedząc, czy powinien się uśmiechnąć: czy to historyjka o radosnym przebiegu czy raczej taka, która go zdenerwuje.

– Mamusiu, jaki pan?

– Taki tam pan, Niley. Nie znamy go: nieznajomy. Ale...

– Nieza-jomy?

– Nieznajomy. Czyli ktoś, kogo nie znamy, rozumiesz? Obcy człowiek.

Niley rozejrzał się nerwowo po pokoju. (Jego maleńka sypialnia miała skośny sufit, przylegała do jej sypialni.) Mrugał gwałtownie, patrząc w stronę okna. Była noc, pojedyncza szyba odbijała jedynie zamazane, podwodne wnętrza.

– Jego tu teraz nie ma, Niley. Nie bój się. Poszedł sobie. Ja ci tylko opowiadam o pewnym miłym, uprzejmym panu. Przyjaznym panu. On chce być moim przyjacielem. Naszym przyjacielem. Miał dla mnie bardzo ważną wiadomość.

Niley wciąż się niepokoił, rozglądał dookoła. Żeby przyciągnąć jego uwagę, mamusia musiała schwycić go za małe ramionka i unieruchomić. Był taki ruchliwy, jak mały węgorz. Miała ochotę nim potrząsnąć. Miała ochotę przytulić go z całej siły, otoczyć opieką.

– Mamusiu? Gdzie?

– Na ścieżce nad kanałem, kochanie. Kiedy wracałam do domu po pracy, kiedy szłam odebrać ciebie od pani Meltzer.

– Dzisiaj, mamusiu?

– Nie dzisiaj, Niley. Wczoraj.

Było później niż zwykle, dziecko jeszcze nie poszło spać. Dziesiąta, a jej udało się przebrać go w piżamę tylko dzięki temu, że zrobiła z tego zabawę. Zdzierła z niego ubranie, buty, podczas gdy on leżał biernie, prawie nie stawiając oporu. To był ciężki dzień, Edna Meltzer skarżyła się Rebecce. Rebeka widziała pulsowanie nerwu przy delikatnym spojeniu kości na czole dziecka.

Pocałowała ten nerw. Podjęła swoją historyjkę. Padała ze zmęczenia.

Trzylatek był zbyt nieznośny, żeby wykąpać go w wielkiej wannie, mamusia musiała się mocno namęczyć, żeby umyć go myjką i to niezbyt dokładnie. Był zbyt nieznośny, żeby mu coś przeczytać. Tylko radio potrafiło go uspokoić, to cholerne radio, które Rebeka miała ochotę wyrzucić przez okno.

– Pan, bardzo miły pan. Pan w panamie...

– Że jak, mamusiu? W bananie?

Niley roześmiał się z niedowierzaniem. Rebeka też się roześmiała.

Zachodziła w głowę, czemu, do diabła, zaczęła to opowiadać. Żeby zrobić wrażenie na trzylatku? Wygrzebała z pudełka czarną kredkę i narysowała patykowatego człowieka, z głupawą, okrągłą jak piłka głową; żółtą kredką domalowała kapelusze w

kształcie banana. Banan był nieproporcjonalnie duży i stał pionowo. Niley chichotał, wierzgał i wił się z zachwytem. Chwycił za kredki, by sam narysować przekrzywiony bananowy kapelusz.

– Dla tatuś-sia. Kapelusz z banana.

– Tatuś nie nosi kapelusza, koteczku.

– Dlaczego nie? Dlaczego tatuś nie nosi kapelusza?

– No cóż, możemy sprawić tatusiowi kapelusz. Kapelusz z banana. Zrobimy bananowy kapelusz dla tatusia...

Oboje się zaśmiewali do rozpuku, snując pomysły na temat bananowego kapelusza dla tatusia. Rebeka dała się uwieść dziecięcym nonsensom, uznając, że nie ma w tym nic szkodliwego. Ależ to dziecko miało wyobraźnię! Pani Meltzer kręciła głową, nie było jak orzec, czy jest rozbawiona, czy przestraszona. Rebeka się uśmiechała i też kręciła głową. Martwiła się, że Niley nie rozwija się jak inne dzieci. Jego mózg zdawał się funkcjonować na podobieństwo rozedrganego taśmociągu. Interesował się wszystkim z zapalem, ale krótko. Nie było co liczyć, że będzie podążał śladem jakiegoś toku rozumowania, nie miał cierpliwości do opowieści, które trwały dłużej niż kilka sekund. Chyba że narzuciło się temu dziecku swoją wolę, jak to się czasami Rebecce zdarzało, gdy wpadała w rozdrażnienie. Bo inaczej sprawiało, że się błąkała, zataczała. W zamieci poszatkowanych myśli, wśród okrawków źle usłyszanych słów. W takich momentach czuła, że zaraz się utopi w rozgorączkowanym, dziecięcym mózdzku, była maleńką figurką dorosłej osoby pochwyconej w pułapkę infantylnego umysłu.

Rozpaczliwie pragnęła zostać matką. Więc została matką.

Rozpaczliwie pragnęła zostać żoną Nilesa Tignora. Więc została żoną Nilesa Tignora.

Te właśnie niepodważalne fakty próbowała wyjaśnić człowiekowi w panamie, który stał i gapił się na nią z lekkim uśmiechem urazy. Miał krótkowzroczne oczy, niemalże widziało się na nich cienką powłoczkę krótkowidztwa, podobną do brudnego osadu na powierzchni wody. Siwoblond włosy tak osobliwie uklepane. Zmarszczki mimiczne głęboko wryte w twarzy, staro-młodej twarzy, wyblakłej, a jednak dziwnie chłopięcej, ufnej. Było widać, że to kulturalny mężczyzna, dżentelmen. Przekonany, że kocmołuchowata, młoda kobieta w roboczym ubraniu okłamuje go, a jednak prosił ją uniżenie.

Człowiek nauki i rozumu.

Przyjmij chociaż moją wizytówkę

Na wypadek gdybyś kiedyś zechciała...

Sprawdziła nazwisko Jones w książce telefonicznej Doliny Chautauqua. Znalazła jedenastu Jonesów, z samymi męskimi imionami lub inicjałami, które mogły oznaczać albo mężczyznę, albo kobietę. Ale ani jednego zdecydowanie kobiecego imienia. Żadnej „H. Jones”.

To jej nie zdziwiło. Byron Hendricks bez wątpienia sprawdzał wiele razy w książce telefonicznej. Na pewno wydzwaniał do tych Jonesów w poszukiwaniu Hazel Jones.

– Idiotka! Jak można zrobić coś tak durnego!

Obudziła się w samym środku pewnej nocy i zrozumiała, z mocą ciosu zadanego pięścią w brzuch, że jest lekkomyślną matką, złą matką: schowała prowizoryczną broń, siedmiodłowy pasek blachy do szuflady komody, gdzie mógł znaleźć go Niley, który wiecznie buszował w jej rzeczach.

Wyjęła pasek blachy i przyjrzała mu się dokładnie. Wyglądał nieprzyjemnie, ale ostatecznie nie był aż taki ostry. Musiałaby dźgać nim wyjątkowo rozpaczliwie, żeby się obronić.

Tak czy owak, pomyliła się co do mężczyzny w panamie. Nie chciał jej zrobić nic złego, po prostu pomylił ją z kimś innym. Nie rozumiała, czym się tak zdenerwowała. Ależ była beznadziejna, jaka prymitywna w swoich podejrzeniach.

A jednak nie wyrzuciła paska blachy, tylko zawinęła go w stary, podarty sweter, który trzymała na najwyższej półce w szafie, gdzie Niley i Tignor nigdy niczego nie szukali.

Dwa dni później zadzwonił Tignor.

– Słucham? Kto mówi?

– A jak myślisz, dziewczyno?

Potrafił sprawić, że stawała się kompletnie bezsilna. Opadła na kuchenne krzesło, znienacka słaba. A Niley jakimś sposobem już wiedział. Przybiegł z drugiego pokoju, krzyczał.

– Tatuś? Tatuś!

Wbił się w kolana matki, rozgorączkowany, podobny do węgorza, cały drżący z podniecenia. Jego przywiązanie do ojca było tak żarliwe i tak ślepo posłuszne, że przypominało przywiązanie szczeniaka do jego pana. A jednak wiedział, że nie wolno mu chwycić za słuchawkę; wiedział, że porozmawia z tatusiem, kiedy tatuś będzie gotów z nim rozmawiać, ale nie wcześniej.

Rebeka przypomniła to sobie później: nie przeczuła, że Tignor zadzwoni tego wieczoru. Od czasu, gdy zakochała się w tym mężczyźnie, zrobiła się przesądna; podejrzewała, że to słabość spowodowana miłością, bo wtedy nawet sceptyczny umysł jest podatny na omeny, znaki. A jednak tamtego dnia nie spodziewała się, że usłyszy w słuchawce głos Tignora, nie była na to przygotowana.

Tignor mówił Rebecce, że wraca, wraca do niej i chłopca, pod koniec tygodnia.

Tignor nigdy nie mówił, że wraca do domu. Tylko: *Wracam do ciebie i chłopca.*

Rebeka spytała go, gdzie jest, czy jeszcze w Port au Roche. Ale Tignor zignorował pytanie. Nigdy nie odpowiadał na pytania zadane mu prosto z mostu. I jego głos w telefonie miał w sobie wymuszoną serdeczność, był jowialny i bezosobowy niczym głos spikera radiowego.

Tylko w bezpośrednim kontakcie był zdolny do intymności. Tylko tam, gdzie mógł dotknąć, pogładzić, uścisnąć. Tylko wtedy, kiedy się z nią kochał, Rebeka miała pewność, że z nią jest.

Przynajmniej fizycznie.

Mówił jej teraz, że miał małe kłopoty. Ale wszystko już „rozlało się po kościach”.

– Kłopoty? Jakie... ?

Wiedziała, że jej nie odpowie. To były jakieś kłopoty związane z interesami, być może rywalizacja z jakimś innym browarem. O niczym przedtem nie słyszała, dlatego najlepiej było wejść w ton Tignora. *Rozlazło się po kościach.*

Kiedy Tignor wyjeżdżał, Rebeka układała na podłodze mapę stanu Nowy Jork, żeby pokazać Nileyowi, gdzie jest tatuś albo gdzie się mamusi wydawało, że tatuś jest. I brał ją strach: to dziecko mogło się domyślić, że mamusia nie zawsze to wie, że mamusia mogła zostać niedoinformowana. Bo terytorium tatusia było ogromne, ciągnęło się od Chautauqua Falls na zachodnim skraju stanu, gdzie mieszkali, przez całą szerokość stanu aż po dolinę Hudson, na północ, do gór Adirondack i na wschód, do jeziora Champlain, gdzie znajdowało się miasteczko Port au Roche, tak małe, że na mapie było zaledwie kropką wielkości ziarnka maku, jeszcze mniejszą niż Chautauqua Falls.

Co ten Tignor jej teraz mówił? Coś, żeby ją rozśmieszyć?

Zrozumiała: *Powinnam się roześmiać.*

To było ważne. Już na samym początku swojego związku z Nilesem Tignorem dowiedziała się, że powinna śmiać się z jego żartów i że sama powinna żartować. Kto by chciał ponurą dziewczynę, na litość boską!

Poza tym w miejscach, w których Tignor był stałym bywalcem, pojawiała się wiele takich dziewczyn i kobiet, które konkurowały między sobą w zaśmiewaniu się z jego żartów. Tak było zawsze, jeszcze zanim Rebeka poznała Tignora, i tak miało być zawsze, mimo że już był jej mężem. Zrozumiała: *Jestem jedną z nich. On musi być szczęśliwy, jestem mu to winna.*

– Niley, bądź grzeczny! – szepnęła do ucha chłopca, który się już niecierpliwił.

Tignor rozmawiał z kimś na drugim końcu linii. Nakrył dłonią słuchawkę, nic nie mogła zrozumieć. Klócił się? Czy tylko coś tłumaczył? Ależ jej było niewygodnie: na tym krzeselku, z Nileyem, który wiercił się na jej kolanach, z sercem, które biło tak mocno, że to aż bolało, z tymi włosami splątanymi i mokrymi, bo dopiero co je umyła.

Zastanawiała się, co pomyślałby mężczyzna w panamie, gdyby ją zobaczył. Przynajmniej by się przekonał, że jest matką i żoną. Nie pomyliłby jej z...

Tignor chciał rozmawiać z Nileyem. Rebeka podała mu słuchawkę.

– Tatu-siu! Alo! Tatu-siu!

Skurczona buzia Nileya ożywiła się z zadowolenia. Znienacka uszczęśliwione dziecko; teraz to było oczywiste, jaką przedtem przeżywało udrękę, ból. Rebeka odsunęła się chwiejnie, pozostawiając go samego z telefonem. Była oszołomiona, wyczerpana. Zatoczyła się do drugiego pokoju, padła całym ciałem na kanapę. Na kanapę z połamanymi sprężynami, okrytą niezbyt czystym kocem. W uszach jej huczało jak w Niagara Tubing. Jak przy słuzach w Milburn, na które w dzieciństwie potrafiła się długo gapić z chorą fascynacją.

Dlaczego nie potrafiła oskarżyć Tignora, że ją zaniedbuje. Dlaczego nie potrafiła powiedzieć Tignorowi, że i tak go kocha, że mu wybacza.

Nie musiał jej prosić o wybaczenie. Wiedziała zresztą, że nigdy nie poprosi. Chodziło jedynie o to, czy przyjąłby jej wybaczenie!

Dzwoniłeś do mnie tylko trzy razy. Przysłałeś mi zakichane sześćdziesiąt pięć dolarów, bez żadnego listu, bez adresu zwrotnego na kopercie. Chrzań się.

I musiała to zaakceptować, to paplanie Nileya na użytek tatusia. *Kocha tatusia bardziej niż mamusię. Zawsze tak było.*

Rebeka wróciła do kuchni. Z zamiarem odebrania słuchawki Nileyowi.

– Niley! Powiedz tatusiowi, że muszę z nim porozmawiać, zanim...

Kiedy Niley wręczył słuchawkę swojej matce, Tignor najwyraźniej już się rozłączył, bo na linii było głucho.

Nie chodziło o muzykę. O tę muzykę, która działała jej na nerwy. Chodziło o głosy spikerów. Radiowe głosy. Reklamy. Wesołkowate i bezczelne, recytowane potoczyście, z radosną swadą. I przycupnięty obok Niley, który marszczył się i przysłuchiwał w skupieniu. Przekrzywił małą główkę, cały skupiony, w pozie zupełnie niedziecięcej. Słuchał głosu tatusia z radia! Rebeka czuła ukłucie urazy i złości, że jej dziecko daje się tak bałamucić, że zupełnie o niej zapomina.

– Niley, wyłącz to.

Ale Niley jej nie słuchał. Niley nie słuchał mamusi.

– Niley, powiedziałam, że masz wyłączyć to cholerstwo.

I wtedy Niley z niechęcią przyciszał odbiornik. Ale nie wyłączał. Więc Rebeka nadal słyszała głosy, jazgoczące niczym myśli.

Nie, nie, nie, powtarzała dziecku. To nie tatuś.

To w radiu to nie tatuś. Nie!

Żaden z nich. Żaden z tych radiowych głosów.

(Czy wierzył mamusi? Czy w ogóle słuchał mamusi?)

(A dlaczego miałby wierzyć mamusi? Była bezradna tak jak on, nie miała skąd wiedzieć, czy tatuś wróci do nich tym razem.)

A jednak ona też często czerpała z niej otuchę. Z tej muzyki płynącej z radia.

Słuchała jej, na poły pogrążona we śnie. Uśmiechała się, a wtedy otulał ją sen, który opowiadał o niezrównanym pięknie. Był w nim Niley, nie ten mały chłopczyk o patykowatych nóżkach, o którego się martwiła, że nie rośnie jak należy, że nie rozwija się prawidłowo, tylko piętnasto-, może szesnastoletni chłopak, chłopak, już nie bezbronne dziecko, ale jeszcze nie niedobry, nieprzyjemny mężczyzna, chłopak o niewyraźnej, a jednak urodziwej twarzy i doskonale proporcjonalnej sylwetce, który siedział przy pianinie i grał dla widowni tak licznej, że Rebeka nie była w stanie dojrzeć ostatnich rzędów.

– On będzie to robił. Będzie. Zostało mi to obiecane.

Własna matka jej to obiecała, tak przynajmniej zdawało się Rebecce. Razem słuchały radia, w tajemnicy. Papa byłby wściekły, gdyby wiedział! Ale papa nie wiedział.

Podejrzewał, oczywiście. Ale nie wiedział.

Anna Schwart grała na pianinie, kiedy była mała. W zamierzonych czasach, w „starym świecie”. Przed „przeprawą”.

We śnie Rebeka płała się w szczęściu. I uczyła się, że szczęście jest czymś takim nieskomplikowanym. Jak wygładzanie pomarszczonego obrusa, jak zwilżanie i pieczołowite prasowanie obrusa. Takie właśnie łatwe jest szczęście.

– Jesteś matką, Rebeko. Wiesz, co trzeba zrobić.

Ulubioną muzyką Nileya nie była jednak muzyka fortepianowa, tylko melancholijnie biadoląca country and western. Wesołe popularne piosenki, które sprawiały, że chciało ci się tańczyć. Niezależnie od tego, jak ciężko jej było na duszy, Rebeka śmiała się, chcąc nie chcąc, na widok trzylatka, który kolebał się z boku na bok na

krótkich, tłustych nóżkach, dziecięcych nóżkach, które wyglądały, jakby składały się z samego ciała, jakby nie było w nich kości. Niley jak w natchnieniu młócił rękami. Pokrzykiwał, podniecał się. Rebeka rzucała w diabły to, co akurat robiła, i tańczyła z nim, ściskając jego maleńkie rączki. Zupełnie dziczała, kochała go tak strasznie. Nie podobała się Tignorowi podczas ciąży, więc chrzanić Tignora: oto owoc ciąży i ten owoc należy do niej.

Zataczali się i tłukli po domu, beztriosko zderzając się z meblami, przewracając o krzesło, objając i robiąc sobie sińce na nogach, niczym pijana para, którą ogarnął szal radości.

– Mamusię kochasz najbardziej, no powiedz! Powiedz, że kochasz!

Muzyka milkła znienacka. Muzyka zawsze milknie znienacka.

Głosy spikerów, tak działające na nerwy. Boże! Człowiek nienawidził tych głosów, tak samo jak się nienawidzi ludzi, których widujesz zbyt często, na przykład w szkole albo w pracy. Zawsze te same (męskie) głosy. I wyraz twarzy Nileya zmieniał się, bo teraz się wsłuchiwał: czy to głos tatusia?

Rebeka próbowała mu tłumaczyć. Czasami nie ufała samej sobie, odchodziła.

To przecież śmieszne, dziewczyno, sama zobacz. Odejdź.

Nie dotykaj tego dziecka. Masz w sobie straszną złość, lepiej jej nie uwalniaj.

Najbardziej przerażało ją to, że mogłaby skrzywdzić Nileya. Że będzie potrząsać, potrząsać tym upartym gówniarzem, aż zaczną mu szczekać zęby, aż oczy zapadną się w głąb czaszki. Bo tak ją samą dyscyplinowano, kiedy była mała. Wolałaby wspominać, że to ojciec ją dyscyplinował, ale w rzeczywistości robili to zarówno ojciec, jak i matka. Wolałaby wspominać, że na to zasługiwała, ale nie miała pewności, czy rzeczywiście tak było.

Tignor wróci prawdopodobnie w niedzielę.

Nie wiedziała, na jakiej podstawie wysnuła taki wniosek. Ot, przecucie.

Istniała jeszcze możliwość, że Tignor pokaże się pod bramami fabryki w piątkowe popołudnie albo w poniedziałkowe popołudnie. Jego srebrnozielony pontiac rocznik 1959, na jałowym biegu przy krawężniku.

Hej, mała: tutaj!

Rebeka niemalże słyszała jego głos. Uśmiechnęła się, tak samo jak wtedy, kiedy go słyszała.

Witajcie, nocne marki. Tu Radio Buffalo Wonderful WBEN i Zack Zacharias, który nadaje dla was najlepsze kawałki radiowe.

Niley niemal codziennie zasypiał przy tym programie. A jednak nie potrafiła wejść do jego pokoju i wyłączyć radia, bo budził się tak łatwo; nie mogła wejść do jego pokoju nawet po to, by zgasić światło. Obudzony w takich okolicznościach natychmiast się przerażał i ostatecznie Rebeka musiała z nim zostać.

Nocą przynajmniej pozwalał, by radio było nastawione cicho. Potrafił leżeć bardzo spokojnie, w odległości kilku cali od radia, i czerpał z niego pocieszenie.

Dzięki temu, że drzwi między ich pokojami były zamknięte, Rebeki przynajmniej nie budziło światło.

– Kiedy wróci tatuś, to wszystko się skończy.

Obok łóżka Nileya stała lampka-króliczek z mlecznego szkła, kupiona w sklepie meblowym w Chautauqua Falls. Króliczek miał sterczące uszy i różowy nos, niewielki abażur wykonano z mechatej tkaniny brzoskwiniowego koloru. Rebeka była zachwycona lampką, ta bladawa, ciepła łuna na twarzy uspionego dziecka dodawała jej otuchy. Wkręcało się do niej żarówkę zaledwie sześćdziesięciowatową. W dziecięcym pokoju lepiej nie używać ostrzejszego światła.

Zastanawiała się, czy jej matka też stała nad nią i przyglądała się jej, kiedy spała. W dawnych czasach. Uśmiechnęła się, tak, może.

Niebezpieczeństwo ukryte w macierzyństwie. Na nowo przeżywasz swoje dawne ja, oczyma własnej matki.

Stała na progu i przyglądała się śpiącemu Nileyowi. Przez długie, zaczarowane minuty, które potrafiły przeobrażać się w całe godziny. Serce łomotało jej ze szczęścia, poczucia pewności. Matka wie jedynie tyle, że dziecko jest. Matka wie jedynie tyle, że dziecko jest, bo to ona, matka, tak sprawiła.

Oczywiście jest jeszcze ojciec. Ale nie zawsze.

Niles Junior. Miała nadzieję, że odziedziczy choć trochę siły po swoim ojcu. Odnosiła wrażenie, że w tym dziecku jest mnóstwo pragnień, impulsów. Że ma w sobie jakąś sprężynę, naciągniętą tak mocno jak sprężyna w zabawce, która jak obłąkana podskakuje hałaśliwie w miejscu. Wszystko z nim było dobrze tylko wtedy, gdy spał. Jego nakręcona dusza się uspokajała.

Błysk śliny na jego wargach niczym jakaś zabłąkana myśl. Chciała ją zetrzeć pocałunkami. Ale lepiej nie.

Pasmo wilgotnych włosów przywarło mu do czoła. Chciała je odgarnąć, ale nie, lepiej nie.

Sekretny syn Hazel Jones.

Radio na parapecie grało cicho. Akurat nadawali jazz. Radio, podobnie jak lampa, emitowało kojącą łunę. Rebeka przyzwyczajała się do niego, już jej tak nie irytowało. Głos spikera zupełnie nie przypominał radiowych głosów za dnia. Czy Zack Zacharias to Murzyn? Miętko modulował głos, miał taki śpiewny głos, wręcz żartobliwy, zadziorny. Poufały głos w twoim uchu.

I ta muzyka. Rebeka zaczynała lubić muzykę.

Chłodny, nastrojowy jazz. Uwodzicielski. Rebeka oczywiście rozpoznawała muzykę fortepianową, ale innych instrumentów знаła niewiele. Klarnet? Saksofon? Nie mogła ścierpieć, że wie tak mało.

Ignorantka, robotnica z fabryki. Żona, matka. Nawet nie skończyła szkoły średniej. Co za wstyd!

Tylko raz słuchała muzyki klasycznej z radia swego ojca. Tylko raz, w towarzystwie matki. Ojciec o niczym nie wiedział, na pewno by zabronił. *To moje radio. Ja jestem ojcem, wszystkie fakty należą do mnie. Mam prawo nie dopuszczać was, moje dzieci, do wszelkiej wiedzy o świecie, który istnieje poza tym domem płaczu.*

Tignor nie dopytywał się zbyt nachalnie o rodziców Rebeki. Coś wiedział i raczej nie chciał wiedzieć więcej.

Brat Rebeki, Herszel, zwykł mawiać: Jezu, on się wcale nie nazywa Schwart. Żadne z nas zasrane Schwarty.

Herszela to wszystko strasznie śmieszyło. Aż obnażał swoje wielkie, zaślinione zęby chwalipięty i osła.

W takim razie jak się nazywamy, spytała Rebeka. Jeśli nie Schwart, to jak? Herszel wzruszył ramionami. A kto to wie, gównu tam, komu na tym zależy?

Pierdoły ze starego świata, powiedział Herszel. W Ju-Es-Ej wszyscy to mają w dupie, więc ja też.

Rebeka błagała, żeby jej zdradził, jak się nazywają naprawdę, skoro nie Schwart, ale Herszel odszedł, wykonawszy chamski gest na jej użytek.

Gdyby Jakub Schwart żył, miałby teraz sześćdziesiąt trzy lata.

Sześćdziesiąt trzy lata! Stary, ale nie tak naprawdę stary.

A jednak w głębi duszy ten człowiek był starcem już wtedy. Pamiętała ojca wyłącznie jako zniszczonego życiem starca.

Zdenerwowała się pod wpływem tych myśli. W nowym życiu rzadko myślała o tych sprawach.

Hazel Jones nie miewała takich myśli.

– Mamama...

Niley nagle zaczął jęczeć przez sen. Jakby dotarło do niego, że Rebeka stoi nad nim.

Gładka, dziecięca buzia była pomarszczona, brzydka. Och, przecież on wyglądał jak starzec! Skórę miał bladą jak wosk. Powieki trzepotały i jeszcze ten nerw na czole. Jakby do mózgu wbił mu się sen o niewłaściwych rozmiarach i z samymi ostrymi krawędziami.

– Niley.

Krajało jej się serce, kiedy tak patrzyła na syna uwięzionego w pułapce snu. Zazwyczaj odruchowo wyswobadzała go z takich snów. Ale nie, lepiej nie. Mamusia nie zawsze będzie w stanie go uratować. Musi się uczyć, jak ratować się sam.

Sen przemijał, zaraz miał się skończyć. Za chwilę Niley miał się uspokoić. Był dzieckiem nowej epoki: urodził się w 1956 roku. Nie można było nazwać Nilesa Tignora Juniora „powojennym” (bo wszystko było „powojenne”), tylko „po-powojennym”. Nic z przeszłości nie mogło mieć dla niego większego znaczenia. Tym, czym dla pokolenia Rebeki była pierwsza wojna światowa, tym druga wojna miała być dla Nileya. Pierdoły ze starego świata, jak by powiedział Herszel.

Nie miało w nim zostać nic ze Schwartów, którzy go nie poznali.

Ród wymarł, stara, przegniła, europejska linia została przerwana.

Wszystko wskazywało na to, że sen Nileya zaniknął. Chłopczyk spał teraz jak przedtem, oddychając wilgotnie przez usta. Lampa-króliczek jarzyła się na nocnym stoliku. Radio na parapecie emitowało jednostajne, kojące dźwięki jazzu granego na pianinie. Rebeka uśmiechnęła się i zrobiła krok w tył. Ona też pójdzie teraz spać. Z Nileyem wszystko będzie dobrze, nie musi go budzić. Nie będzie go całowała. A jednak będzie wiedział (była tego pewna), że jego matka go kocha, że jego matka będzie zawsze w pobliżu, że będzie go pilnowała, chroniła. Będzie to wiedział przez całe życie.

– Żaden Bóg nie będzie tego świadkiem, bo żadnego nie znam. Ale przysięgam.

Niedziela, za trzy dni. Rebeka policzyła na palcach. Uśmiechnęła się na myśl, że tatuś Nileya wtedy do nich wróci. Miała takie przeczucie!

Cyganeczka. Żydówka...

Głos Tignora: cichy, bezradny jęk, zstępujący jęk, cudownie brzmiący w uszach. Jego umięśnione ciało dygoczące z pożądania, jakby przebiegał przez nie prąd elektryczny.

Rebeka uśmiechnęła się pod wpływem wspomnienia. A jednak krew uderzyła jej do twarzy, silną, gorącą falą. Nie była Cyganką i nie była Żydówką!

I ta krew uderzała też silną, gorącą falą między nogami, gdzie była taka samotna.

– Cholera jasna! – Miała kłopoty z zaśnięciem. W łóżku, które należało do niej i do Tignora. Cały ten dzień, wszystkie te dni od ścieżki holowniczej nad kanałem, o Chryste, nerwy miała napięte jak drut.

Pogoda nareszcie się zmieniała. Wiatr od wielkiej połaci jeziora, skłębionej i ciemnej, czterdzieści mil na północ, zdawał się napierać na szyby starego, farmerskiego domu. Do rana marzycielska aura babiego lata zaniknie, powietrze stanie się bardziej ostre, chłodniejsze, wilgotne. Pojawi się w nim posmak zimy. Zima w Chautauqua Falls, u podnóża gór...

Ale nie. Nie będzie o tym myślała. Nie o przyszłości, która się zdarzy za kilka następnych dni.

Podobnie jak jej rodzice stopniowo przestawali myśleć o przyszłości.

Pod koniec upodobnili się do zwierząt. Bez przyszłości, tak już bywa z człowiekiem.

Jak strasznie łaknęła snu! Za kilka godzin będzie musiała wstać, wrócić do Niagara Fiber Tubing. Nie tego snu jak rzadka, blada piana, która obmywała jej obolały mózg i dawała niewiele pokrzepienia, potrzebowała tego głębszego, prawdziwszego snu, snu, który spowalnia uderzenia serca, przybliżając je ku śmierci, snu, który odziera cię z wszelkiej świadomości czasu, miejsca, tego, kim jesteś albo kiedyś byłeś.

– Tignor. Pragnę cię! Pragnę cię mieć w środku. Pragnę cię...

Nakłaniał ją, żeby mówiła mu takie rzeczy, jak: *Różnij mnie, różnij. Tak, żeby trochę bolało.*

Im bardziej się wahała, im bardziej się krępowała, im więcej miała wstydu na twarzy, tym bardziej Tignor był zachwycony. Zadowolenie tego mężczyzny rosło bezgranicznie, stawało się niczym wysoki kufel, do którego wlewane jest piwo, wlewane, wlewane, wlewane, aż wreszcie spienione wylewa się poza brzegi.

Był jej jedynym kochankiem. Niles Tignor. Co on z nią robił, czego ją nauczył, żeby mu robiła. Ależ to było bolesne, tak leżeć tu, na tym łóżku i nie myśleć o nim, nie myśleć o tych rzeczach. Serce biło jej coraz szybciej z pożądania.

Z jałowego pożądania. Mogła się sama dotykać, ale po co, skoro nie dotykał jej Tignor.

Przed Tignorem nigdy nie spała na takim wielkim łóżku. Uważała wręcz, że wcale sobie nie zasłużyła na takie łóżko. (Choć było to zwyczajne łóżko, przypuszczała. Używane, kupione tutaj, w Chautauqua Falls. Miało lekko zaśniedziałą ramę z mosiądzu i

nowy, twardy, niepodatny materac, który prędko pokrył się plamami od słonego potu Tignora.)

Przewróciła się na plecy. W pokoju obok grało cicho to przeklęte radio. Nie słyszała muzyki, ale czuła rytm. Rozpostarła szeroko ręce, miała mokro pod pachami. Jej grube włosy, gęste jak końska grzywa, wyschły wreszcie i rozłożyły się na poduszce niczym wachlarz, w ten sam sposób, w jaki Tignor, z twarzą stężałą od głębokiego, zmysłowego zadowolenia, układał je czasami swymi niezdarnymi dłońmi.

Tego właśnie chcesz, Cyganieczko? Tego?

Wiedziała, że miał inne kobiety. Wiedziała, zanim za niego wyszła, kim on jest. W hotelu, w którym kiedyś pracowała, krążyły opowieści o Nilesie Tignorze. W całej Dolinie Chautauqua i dalej. Zrozumiała, że żadna kobieta Tignora nie może się spodziewać, że taki mężczyzna jak on będzie wierny jej w sposób, w jaki zwyczajni mężczyźni są wierni kobietom. Sam Tignor jej przecież powiedział, tuż po tym, jak się pobrali, nie z okrucieństwem, ale tonem autentycznego zdumienia, że jest zazdrosna: „No co ty, mała? Im też się podobam”.

Rebeka roześmiała się pod wpływem tego wspomnienia. Wcisnęła kłykcie do ust.

To było śmieszne. Że należało posiadać poczucie humoru, aby być wartą Nilesa Tignora. Zawsze oczekiwał, że go rozśmieszysz.

Ułożyła się na plecach, bo czasami to pomagało. Czuła skurcze w mięśniach. Ta cholerna ręka, która zabłąkała się w pobliże cholernej maszyny sztancującej... Cofnęła ją w samą porę.

W jakimś innym wszechświecie tak mogło się stać. Jej dłoń przemielona jak mięso. Odcięta od ramienia. Zasłużyłaby sobie, głupia cipa, bo nie uważała.

Ależ Tignor wytrzeszczyłby oczy! Rebeka mimo woli się roześmiała, gdy to sobie wyobraziła.

Nienawidził jej wielorybiego brzucha. Gapił się z fascynacją i nie potrafił trzymać rąk z daleka.

Ten wiatr wśród gałęzi cisów. Ten szyderczy szum. Miejsce, które wynajmowali, sąsiedzi nazywali farmą starego Wertenbachera. Minęły już trzy lata i Rebeka zaczęła się dziwić, że jeszcze nie mają własnego domu.

Naprawdę ich kochał. Ją i Nileyę. W głębi serca wcale nie był niewierny.

Jej ojciec, Jakub Schwart, też ją kochał, w głębi serca. Kochał ich wszystkich. Nie chciał im zrobić nic złego, chciał tylko wymazać historię.

Jesteś jedną z nich. Urodziłaś się tutaj.

Tak było? Objęła się ramionami, z uśmiechem. Nareszcie osuwając się w sen podobny do kamiennej studni, która jest tak głęboka, że nie ma dna.

MILBURN, STAN NOWY JORK

1

Listopad 1936 roku. Do tego małego miasteczka na północy stanu Nowy Jork rodzina Schwartów przyjechała autobusem, z brzuchatymi walizkami, neseserami, torbami. A jednak sprawiali takie wrażenie, jakby pojawili się znikąd. Patrzyli nieprzytomnym wzrokiem. Mieli sfatygowane ubrania, potargane włosy. Rzucano się w oczy, że to cudzoziemcy. Imigranci. Później mówiono o Schwartach, że wyglądali, jakby uciekali przed Führerem (w 1936 roku w takich miejscowościach jak Milburn w stanie Nowy Jork wolno było myśleć o Adolfie Hitlerze, z tym jego wąsikiem, wojskową sylwetką i wytrzeszczonymi oczami, jako o postaci komicznej, wręcz podobnej do Charliego Chaplina), nie zatrzymując się po drodze, żeby coś zjeść, odetchnąć, umyć się.

Ależ oni śmierzdzili! Tak później komentował kierowca autobusu i przewracał oczami.

Wszyscy uznali, że to jak najbardziej stosowne, gdy Jakub Schwart, głowa rodziny, znalazł pracę w charakterze dozorca cmentarza miasta Milburn – komunalnego cmentarza urządzonego wśród nieużytków okalających miasto. On i jego rodzina – żona, dwóch synów, córka w powijakach – mieli zamieszkać w zniszczonej, kamiennej chatce zbudowanej obok bramy, przez którą wchodziło się na cmentarz. Za tę chatkę nie płacono czynszu, dlatego ta posada była taka atrakcyjna dla człowieka, który rozpaczliwie szukał jakiegoś lokum.

Pan Schwart dziękował wylewnie miejskim urzędnikom, którzy go zatrudnili, mimo że nie miał żadnego doświadczenia ani jako dozorca cmentarza, ani nawet jako grabarz. Gorąco ich zapewniał, że potrafi pracować. Zarówno rękami, jak i głową.

– Łaskawi panowie nie pożałują. Już ja tego dowiodę.

W czasie, kiedy się wprowadzali do tej kamiennej chatki, pełnej pajęczyn, byle jak uprzątniętej po poprzednich mieszkańcach, śmierzdzącej silnie czymś, co przywodziło na myśl płynny ług, najmłodsze dziecko Schwartów, Rebeka, było chorym, pięciomiesięcznym niemowlęciem, ciasno owiniętym w brudny szal swej matki. Przez większą część jazdy autobusem przez cały stan Nowy Jork ten szal służył za coś w rodzaju pomocniczej pieluchy dla marudzącego dziecka.

Była taka mała, wspominał potem jej brat Herszel, wyglądała jak jakieś bezwłose zwierzę, na przykład prosię, i tak też pachniała.

– Papa w ogóle na ciebie nie patrzył, pewnie se myślał, że ty umrzesz.

Czy była wtedy Rebeką Esterą Schwart? Taka młoda, nie miała ani imienia, ani tożsamości. Z tych pierwszych dni, tygodni, miesięcy i wreszcie lat w Milburn zapamiętała tak niewiele. Bo w rodzinie Schwartów nie pielęgnowało się wspomnień.

Była mama, która karmiła ją piersią. Mama, która czasami odpychała ją z głuchym pomrukiem, jakby jej dotyk sprawiał ból.

I był papa. Który nazywał się Jakub Schwart. Nie dawało się przewidzieć, co zrobi. Wiecznie się zmieniał, jak niebo. Tak jak ich ohydna kuchnia na węgiel, tak papa czasami

tylko dymił, a czasami się rozjarzał. Człowiek wolał nie dotykać tej kuchni, gdy w jej wnętrzu płonął ogień. Kiedy indziej ogień w kuchni wygasał. Robiła się zimna, martwa.

Jakub Schwart wylewnie dziękował obcym ludziom z małej, prowincjonalnej miejsciny, że go zatrudnili. A jednak w czterech ścianach kamiennej chatki stale pograżał się w niemiłych rozmyślaniach i wyrażał zgoła inne uczucia.

– Chcą mnie traktować jak psa! Bo na imię mam Jakub! Bo jestem obcy, bo nie jestem bogaty, bo nie jestem jednym z nich! Któregoś dnia sami zobaczą, kto tu pies, a kto człowiek.

Już w niemowlęctwie instynktownie czuła, że jej ojciec, ten potężny byt, który pochylał się nad jej kołyską, czasami dźgał ją zdumionymi palcami, a nawet brał ją na rękę, odniósł potworną ranę na duszy i ta rana oszpeciła go na całe życie, podobna do skrzywienia kręgosłupa. Jakby wiedziała, mimo że się wzdragała przed tą okropną wiedzą, że ona, członek rodziny urodzony na samym końcu, „malutka”, nie była chciana przez Jakuba Schwarta i że jest zewnętrzną oznaką tej rany.

Nie wiedziała dlaczego, dziecko nie pyta dlaczego.

Zapamiętała, jak jej spanikowana matka, potykając się, dopadała do jej kołyski, przyciskała wilgotną dłoń do jej ust, by stłumić płacz. Żeby nie obudziła papy, który spał znękanym snem w pokoju obok.

– Nie! Proszę, nie! Zamorduje nas obie.

I tak oto Jakub Schwart spał. Rzucając się i pojękując przez sen jak jakieś ranne zwierzę. Po dziesięciu, dwunastu godzinach pracy na cmentarzu padał na łóżko w roboczym ubraniu, cuchnąc potem, w ciężkich, ubłoconych buciorach nadal przysznutowanych do nóg.

Te buty znalazł w szopie. Przypuszczał, że należały do poprzedniego dozorca cmentarza w Milburn.

Były za duże. Wypchał czubki szmatami.

Uważał, że jego stopy w tych butach przypominają kopyta. Ciężkie, zwierzęce. Śniło mu się, że wpada w tych butach do wody, do oceanu, i aby się uratować, musi w nich pływać, bo nie jest w stanie ich zdjąć.

Historia nie istnieje: Istnieją tylko jednostki, a dla nich tylko jednostkowe chwile, tak oderwane od siebie jak potrzaskany kręgosłup. Wypisał te słowa drukowanymi literami, niezdarnie ściskając ołówek w zeszywniałych palcach. Ależ z niego był myśliciel! Na cmentarzu jego głowę atakowały myśli-szerszenie, nad którymi nie był w stanie zapanować.

Niezdarnie spisywał te myśli. Zastanawiał się, czy należą do niego. Wpatrywał się w nie i dumał nad nimi, a potem miał kartkę w dłoni i ciskał ją do pieca.

Grabarz Schwart. Można go było zobaczyć z daleka.

Z wyglądu przypominał trolla. Trochę garbaty, z pochyloną głową.

Na cmentarzu, wśród nagrobków. Krzywiąc się do siebie, wymachiwał kosą, sierpem albo gracą, pchał zardzewiałą, ręczną kosiarkę zawziętymi, jednostajnymi ruchami przez gęstą dziką trawę, kopał groby i wywoził ziemię na rozklekotanym wózku, zatrzymując się w trakcie, by otrzeć czoło i napić się ze słoika, który nosił w kieszeni kombinezonu. Odchyłał głowę, przymykał oczy i pił, głośno chlipiąc jak spragniony pies.

Czasami mali chłopcy przyczajali się za okalającym cmentarz, zrujnowanym murkiem, zbudowanym z polnych kamieni zlepionych grudami zaprawy; wzdłuż niego rosły głogi, bluszcz i sumaki. Na cmentarz wchodziło się porytą koleinami, żwirowaną drogą, przez bramę z kutego żelaza, którą zamykało się z wielkim trudem; tuż przy bramie stała kamienna chatka dozorczy, a za nią jakieś budy i szopy. Najstarsze nagrobki praktycznie dochodziły aż do tylnej ściany chatki i do porośniętego trawą placu, gdzie żona dozorczy wieszała pranie na sznurach rozpiętych między dwoma spróchniałymi palikami. Chłopcom nie zawsze udawało się podejść dostatecznie blisko do pana Schwarta, żeby móc się z niego naśmiewać albo rzucać w niego kasztanami i kamieniami; poprzestawali wtedy na pani Schwart, która pokrzykując z obrazy, bólu i histerycznego strachu, ciskała to, co akurat miała w ręku, na trawę i spanikowana umykała w bardzo śmieszny sposób, żeby się schować za szopą na narzędzia.

Zwracano później uwagę, że nękanie dozorczy cmentarza ma długą historię, datującą się od czasów sprzed przybycia Jakuba Schwarta. Jego poprzednik też padał ofiarą prześladowań, podobnie jak jego poprzednik. W Milburn, tak samo jak w innych miasteczkach tej epoki, prześladowanie grabarzy i akty wandalizmu na cmentarzach nie należały do rzadkości.

Niektórzy z tych uczniów nękających Jakuba Schwarta mieli najwyżej dziesięć, jedenaście lat. Z czasem pojawili się też starsi. W tym tacy, którzy już nie chodzili do szkoły: młodzi, dwudziestoletni mężczyźni. Nie od razu, w latach trzydziestych, ale później. Ich okrzyki, niesforne, impulsywne, z pozoru wydawały się równie bzdurne jak ochryple wrzaski wron gniazdujących wśród wysokich dębów na tyłach cmentarza.

Grabarz! Szwab! Nazista! Żyd!

Anna?

Naszło go przecucie. To był początek zimy 1936 roku, mieszkali tu od zaledwie kilku tygodni. Podczas uprzątnięcia śmieci naniesionych przez burzę na teren cmentarza znieruchomiał nagle, jakby do jego uszu...

Nie, to nie byli ci nieletni szydercy. Nie tamtego dnia. Tamtego dnia był sam na cmentarzu, nikt nie odwiedzał grobów.

Biegnij! Biegnij! Serce mu opadło do żołądka.

Był zbity z tropu. Z jakiegoś powodu ubrał sobie, że Anna właśnie rodzi, rodzi dziecko, które się zaklinowało w jej rozdętym ciele, że Anna wydziera się wniebogłosy, że wije się na brudnym, zakrwawionym materacu...

Wiedział to, a jednak myślami był gdzie indziej. Na jakimś cmentarzu pokrytym skorupą śniegu, pośród krzyży.

W miejscu, którego nie potrafiłyby nazwać, poza tym, że znajdowało się gdzieś na wsi i że było w nim dzikie, bezludne piękno, teraz, kiedy większość liści opadła z drzew. I niebo zasnuwane chmurami wezbranymi deszczem.

– Anna!

Nie było jej w kuchni, nie było jej w sypialni. Ani też w żadnej z czterech ciasnych izdebek kamiennej chatki. Znalazł ją w drewnianej szopie, z której wchodziło się do kuchni; w ciemnym kącie zagraconej szopy, gdzie przykucnęła na podłodze z ubitej ziemi – czy to mogła być Anna?

W szopie intensywnie pachniało naftą. Dostatecznie, by przyprawić człowieka o mdłości, a jednak właśnie tam kuliła się Anna, z kocem zarzuconym na ramiona, ze zmierzwionymi włosami, pierściami obwisłymi i sflaczałymi pod spłowiałą koszulą nocną. A na kolanach trzymała dziecko, po części ukryte pod brudnym kocem, z rozdziawionymi ustami, z oczyma jak załzawione półksiężycy w lalkowatej twarzy, znieruchomiałymi jak w śpiączce. A on, mąż i ojciec, on, Jakub Schwart, trząsał się nad nimi i bał się spytać, co się stało, co ona, do diabła, tu robi, co ona ukrywa, czy coś się stało, czy ktoś zapukał do drzwi chatki, co ona zrobiła ze swoją córką, czy ona ją udusiła? Przeraził się, a jednocześnie był wściekły. Nie potrafił uwierzyć, że po tym wszystkim, co razem przecierpieli, ta kobieta rozpada się w taki sposób.

– Anno! Wytłumacz się.

Do Anny stopniowo docierało, że on tam jest. Albo zasnęła, albo wpadła w ten swój trans. W takich momentach można było pstryknąć jej przed nosem palcami, a ona i tak ledwie cię słyszała, powodowana zwykłym uporem.

Jej oczy drgały nerwowo w oczodołach. W tym miejscu, które nazywało się Milburn, pośród krzyży, kamiennych aniołów i tych obcych, gapiących się na nią na ulicy, robiła się skryta i nieufna jak dziki kot.

– Anno. Powiedziałem...

Oblizwała wargi, ale się nie odezwała. Kuliła się pod brudnym kocem, jakby w ten sposób mogła się przed nim schować. Zerwał z niej koc, żeby ją obnażyć. Durna kobieta!

– W takim razie daj mi malutką. Chcesz, żebym ją udusił?

To oczywiście był żart. Żart wypowiedziany w złości, Anna potrafiła sprawić, że człowiek wygadywał takie rzeczy.

To nie Jakub Schwart mówił, tylko... no kto? Cmentarnik. Grabarz. Troll w roboczym ubraniu i butach wypchanych szmatami który szczyrzył się do niej drapieżnie, zaciskając pięści. Nie ten człowiek, który ją wielbił, który błagał, żeby za niego wyszła, i obiecywał, że zawsze będzie ją chronił.

To najwyraźniej nie był ojciec dziecka. Ten ktoś, kto garbił się nad nimi i dyszał jak zdenerwowany byk.

A jednak Anna bez słowa podała mu dziecko.

W Ameryce. W otoczeniu krzyży.

Po to zmusił rodzinę do przeprawy przez Atlantycką, żeby znalazła się tutaj: na cmentarzysku pełnym kamiennych krzyży.

– Ale heca! Boki zrywać z tego Jakuba.

Śmiał się, autentycznie rozbawiony. Drapał się pod pachami, po brzuchu, po kroczu, że Bóg to taki kawalarz. Czasami aż mu się robiło słabo ze śmiechu, parskał z uciechy, wspierając się na szpadlu, aż w końcu łzy spływały mu po zarośniętych policzkach i kapąły na zardzewiałą łopatę.

– Jakub przeciera oczy, to chyba jakiś sen! Posrałem się w gacie, oto mój sen! Ameryka. I co rano sen się powtarza. Jakub, który jak mara błąka się po tym miejscu i dogląda zmarłych chrześcijan.

Gadał do siebie, tam nie było nikogo innego. Nie mógł rozmawiać z Anną. Nie mógł rozmawiać z dziećmi. Widział w ich oczach, jak się go boją. Widział w oczach „tych innych”, jak się nad nim litują.

Ale jeszcze była malutka. Nie chciał jej pokochać, bo myślał, że umrze. A jednak nie umarła na zapalenie oskrzeli, nie umarła na różyczkę.

– Rebeka.

Uczył się wymawiać to imię powoli. Przez długi czas nie miał na to odwagi.

Pewnego dnia Rebeka była już dostatecznie duża, by chodzić bez niczyjej pomocy! Dostatecznie duża, żeby się bawić w „nie-widzę-cię” ze swoim ojcem. Najpierw w domu, a potem poza domem, na cmentarzu.

Och! Och! Gdzie jest malutka? Gdzie ona się chowa?

Za nagrobkiem, prawda? Nie zobaczy jej.

Chichotała i piszczała z podniecenia, ostrożnie zerkając. A papa wciąż jej nie widział.

Mrużył oczy i krzywił się, bo gdzieś posiał swoje przeklęte okulary. Zabrali mu je i przełamali na pół.

Sowa Minierwy wylatuje o zmierzchu.

Tak powiedział Hegel: prawdziwy kapłan filozofii, który ogłosił porażkę ludzkiego rozumu.

Och! Ach! Oczy papy omiotły malutką, a jednak wcale jej nie zauważyły!

Zabawa, że hej. Ubaw po pachy. Tyle śmiechu!

Nie był mężczyzną postawnym, tylko raczej niskim, krępy, ale postarał się i nabrał krzepy. Dłonie i stopy miał kobiece, czego się wstydził. Nosił buty po poprzednim dozorczy, sprytnie wypchane szmatami.

Urzędnikom miasta Milburn zademonstrował nadzwyczajną ogładę jak na zwykłego robotnika, więc chyba zrobił na nich wrażenie?

– Szanowni panowie, jestem gotów. Do takiej ciężkiej pracy. Nie jestem postawny, ale za to silny, zapewniam. I jestem też... – (Jak brzmiały te słowa? No przecież je znał!) – ...sumienny. Niczego nie rzucam w połowie.

Zabawa w „nie-widzę-cię” polegała na tym, że malutka wymykała się z domu i biegła za nim na cmentarz. Ależ to było cudowne! Chowala się przed nim, stając się niewidzialna, potem łąpała okiem, żeby mu pokazać, że jest niewidzialna, potem znowu kulila się za czymś nagrobkiem, drżąc jak małe zwierzątko, a tymczasem jego wzrok przemykał po niej, jakby nie była niczym więcej jak jednym z tych maleńkich białych motyli krążących wśród traw...

– Nikogo. Tu nikogo nie ma. A może jest? Czy ja tu widzę jakiegoś małego duszka? Nie! Nikogo!

O tak wczesnej godzinie papa jeszcze nie pił. Nie zżymał się na nią. Mrugał do niej i cmokał ustami, nawet wtedy (och, widziała, bo to przypominało przygasanie światła), gdy o niej zapominał.

Nogawki roboczych spodni miał wepchnięte do gumiaków, flanelową koszulę wsadzał luźno w spodnie bez paska. Rękawy koszuli podwijał, sztywne włosy rosnące na przedramionach lśniły metalicznie. Nosił czapkę z szarego sukna. Koszulę rozpiął pod kołnierzykiem. Poruszał zuchwą, uśmiechał się i krzywił, kiedy robił wymachy sierpem, odwracając się do niej plecami.

– Wróć już do domu, mały duszku, dobrze? No już, idź. Cudowna zabawa w „nie-widzę-cię” dobiegła końca – na pewno?

Skąd wiadomo, kiedy zabawa dobiegła końca? Papa nagle przestawał ją widzieć, jakby jego oczy stawały się ślepe. Jak te bulwiaste oczy kamiennych aniołów na cmentarzu; czuła się strasznie dziwnie, kiedy do nich podchodziła. Bo jeśli papa jej nie widział, to już nie była malutką, nie była Rebeką, nie miała imienia.

Te małe tablice nagrobne, niektóre ułożone płasko na trawie, takie zwietrzałe i zniszczone, że już nie dawało się z nich wyczytać żadnych imion. To były groby niemowląt i małych dzieci.

– Papa...!

Już nie chciała być niewidzialna. Stała, trzęsąc się, za niewielkim, kanciastym, nagrobkiem, sterczącym z pagórka porośniętego trawą.

Czy mogłaby pojeździć na wózkach? Czy zechciałby ją powozić? Obiecała, że nie będzie się wiercić, piszczeć ani wygłupiać! Woził ją, jeśli na wózkach nie było skoszonej trawy, kolczastych gałęzi albo ziemi wykopanej pod przyszły grób. Śmieszny, stary wózek, który kolebał się i podskakiwał jak pijany koń.

– Papa...? – błagała go wątłym głosem.

Zdawał się jej nie słyszeć. Był pochłonięty swoją pracą. Teraz dla niej stracony. Serce dziecka kurczyło się z przykrości i zawstydenia.

Była zazdrosna o swoich braci. Herszel i August pomagali papie na cmentarzu, bo byli chłopcami. Herszel dorównywał już ojcu wzrostem, ale Gus wciąż był mały, miał chude ręce i nogi, włosy ostrzyżone tuż przy guzowatej czaszce sprawiały, że jego głowa wydawała się mała i śmieszna jak łysa głowa lalki.

Gus został odesłany do domu, bo w szkole wykryli mu wszy. Płakał, bo wołali na niego „Menda! Menda!”, a niektóre dzieci rzucały w niego kamieniami. To mama go ostrzygła, bo papa nie chciał się zbliżyć.

Miała na imię Rebeka. Ale kim właściwie była? Kim była Rebeka? Mama twierdziła, że to piękne imię, bo takie samo nosiła jej praprababka, która żyła w dawnych czasach za oceanem. Rebeka wcale jednak nie była przekonana, czy to imię jej się podoba. Ani też czy jej się to podoba, że jest dziewczynką.

Byli chłopcy i były dziewczynki.

Jej bracia byli chłopcami. W takim razie ona musiała być dziewczynką.

Stała za tym jakaś logika, tyle rozumiała. A jednak czuła, że to niesprawiedliwe.

Bracia mogli się bawić na bagnach, wśród wysokich liści rdestu wężownika, jeśli chcieli. A ona nie. (Czy użądliła ją kiedyś pszczoła, czy popłakała się kiedyś strasznie? Czy raczej to mama uszczypnęła ją w rękę, żeby pokazać, na czym polega takie użądlenie?)

Mama co rano szczotkowała jej włosy, jej dziewczynskie włosy, a potem splatała je w warkocze, tak mocno ściągając, że aż bolała ją czaszka. I besztowała ją, jeśli się wierciła. Również wtedy, gdy podała ubranie albo się ubrudziła. Albo jeśli hałasowała.

Rebeko! Jesteś dziewczynką, nie chłopcem jak twoi bracia.

Niemalże słyszała głos mamy. Chyba że włączyła się po cmentarzu za papą, pytając, czy może pomóc. Czy może mu pomóc?

– Papa?

Przecież może mu pomóc! Może wyrywać drobne chwasty, zanosić połamane gałęzie i śmiecie naniesione przez burzę na wózek. Przecież się nie pokaleczy wśród głogów, które papa nazywał przeklętymi, nie potknie, nie zrobi sobie krzywdy. (Na nogach miała mnóstwo sińców. I strupy na łokciach.) Rozpaczliwie chciała pomagać papie, bo wtedy znów by ją zobaczył i robił to „cmok-cmok” przeznaczone tylko dla niej.

Strasznie chciała widzieć światełko w oczach papę. Ten przebłysk miłości, nawet jeśli blakł tak prędko.

Ruszała do biegu i zaraz się potykała.

– A niech cię cholera! – natychmiast rozległ się głos papę. – Przecież powiedziałem, że nie.

Nie uśmiechał się. Jego twarz była zaciśnięta jak pięść.

Pchał wózek po gęstej trawie, jakby chciał go popsuć. Był odwrócony do niej plecami, we flanelowej koszuli przesiąkniętej potem. Nagle sterroryzowana dziecięcą bezradnością patrzyła, jak oddala się od niej, jakby nie zdawał sobie sprawy, że ona tu jest. Teraz to była zabawa w „nie-widzę-cię” na poważnie. To była śmierć.

Papa krzyknął na jej braci, którzy pracowali w pewnej odległości. Wobec nich prawie nie używał słów, tylko raczej burczał z irytacją, bez żadnej czułości, a jednak chciała, żeby do niej też odzywał się w taki sposób, jako do swojego pomocnika, a nie jakiejś dziewczynki, którą należało odesłać do domu.

Z powrotem do mamy, do domu pachnącego naftą i gotowaniem.

Została zraniona do żywego. Bardzo wiele razy została zraniona do żywego. Aż wreszcie mogła sobie powiedzieć, że go nienawidzi. Znienawidziła go dużo wcześniej, zanim umarł w strasznych okolicznościach. Dużo wcześniej, zanim zapomniała, że w czasach, kiedy była małą dziewczynką, uwielbiała go, a on niekiedy zdawał się ją kochać.

Nie-widzę-cię.

Obiecujesz, że im nie wygadasz? – warknął Herszel.

Och, obiecała!

Bo jeśli się wygada, ostrzegął Herszel, to on wetknie pogrzebacz w jej mały zadek.

– Rozgrzany do czerwoności.

Rebeka chichotała i cała drżała. Jej starszy brat, Herszel, zawsze ją straszył w taki sposób. Oj, nie! Oj, nie! Nikomu nie powtórzy.

To właśnie Herszel opowiedział jej o tym, jak to było, kiedy się urodziła.

Czyli o tym, co Rebeka sama sobie zrobiła, ale niczego nie pamiętała, bo to się stało w tak dawnych czasach.

Rodzice Rebeki w życiu by jej nie powiedzieli. Nigdy przenigdy! Nie opowiadaliby o czymś takim, podobnie jak nigdy by się nie rozebrali do naga na oczach swoich zdębiałych dzieci.

Dlatego padło na Herszela. Właśnie on opowiedział o tym, jak to było, kiedy się urodziła, malusieńkie, ruchliwe stworzenie, na statku, który przyplłynął z Europy do portu w Nowym Jorku.

Na statku, rozumiesz? Na wodzie.

Jako jedyna z całej cholerniej rodziny, dodał Herszel, urodziła się po tej stronie Atlantyku, gdzie nie trzeba mieć zasranej wizy, w ogóle żadnych papierów.

Zdumiona Rebeka chłonęła jego słowa. Nikt na całym świecie nie mówił jej takich rzeczy jak starszy brat Herszel.

Można się było zestrachać, jak się słuchało słów, które wylatywały z ust Herszela jak jakieś nietoperze. Bo tu, na cmentarzu w Milburn, pośród krzyży, pogrzebów, żałobników i grobów przystrojonych kwiatami w donicach, w małej mieścinie o nazwie Milburn, gdzie chłopcy wołali na niego „Grabarz! Szwab”, Herszel wyrastał prędko na brutalnego, wulgarnego chłopaka. Miał małe, pozbawione rzęs oczy, dziwnie straszne, bo osadzone po bokach czaszki jak u ryby. Jego twarz była kanciasta, z wypukłym czołem i szerokimi szczękami drapieznika. Do tego szorstka, plamista cera, usiana znamionami i pryszczami, które robiły się czerwone, gdy ich właściciel się zdenerwował albo zeźlił, do czego zresztą dochodziło nader często. Tak jak ich ojciec miał mięsiste, glizdowate wargi, zazwyczaj wykrzywione z pogardą, a jego przebarwione zęby przypominały kształtem łopaty. W dwunastym roku życia Herszel dorównywał już wzrostem Jakubowi i nawet wydawał się wyższy, bo Jakub wiecznie się garbił i pochylał głowę. Ponadto od częstego pomagania ojcu na cmentarzu nabawił się byczego karku, a jego plecy i ramiona wypełniły się mięśniami; stopniowo coraz bardziej przypominał Jakuba Schwarta, tyle że rozmazanego, zniekształconego, pogrubionego: stał się karłowatą wersją dorosłego mężczyzny. I gorzko rozczarował swego ojca, bo nie radził sobie w szkole, aż dwa razy repetował.

Zaraz po tym, jak przyjechali do Milburn, Jakub Schwart zakazał całej rodzinie mówić po niemiecku, bo w owych czasach w Ameryce nienawidzono Niemców i wszędzie szukano niemieckich szpiegów. Poza tym Jakub Schwart zaczął się brzydzić własną mową ojczystą – „językiem bestii”. I tak oto Herszel, który mówił po niemiecku od

maleńkości, otrzymał zakaz posługiwania się niemieckim, choć ledwie znał „nowy” język. Mówiąc, często zaczynał gwałtownie się zacinać, co brzmiało tak, jakby powstrzymywał się od śmiechu. Bo to chyba miał być żart, to gadanie? Tak czy nie? Żeby coś powiedzieć, trzeba było znać właściwe dźwięki, wiedzieć, jak poruszać ustami, kurde, to musiały być dźwięki znane innym ludziom, tylko skąd ci inni ludzie je znali? Ten związek między dźwiękami dobywającymi się z ust (w których zawadzał ci własny język) a znaczeniem doprowadzał go wręcz do szewskiej pasji. I jeszcze te drukowane słowa! Książki! Zastrasza szkoła! To, że jacyś obcy ludzie, dorośli ludzie gadali do niego, oczekując na dodatek, że będzie siedział na dupie w ławce, gdzie jego cholerne nogi za nic się nie mieściły, bo takie było pierdolone prawo stanu Nowy Jork, i jeszcze będzie patrzył im w twarz? Na oczach tych wszystkich smarków, połowę od niego mniejszych? Które gapiły się na niego jak na jakieś dziwo? I nauczycielka też, ta stara suka bez cycków? Bo niby co, kurde? Szkoła, do której chodził Herszel, klasowy osiłek, kazała mu uczestniczyć w „specjalnych kursach edukacyjnych”, ale zgodnie z prawem stanowym mógł rzucić naukę w wieku szesnastu lat. Co za ulga nie tylko dla nauczycieli, ale także dla koleżanek i kolegów z klasy! Nie tylko nie potrafił wyrażać się spójnie w żadnym języku, ale także nie potrafił w ogóle czytać. Wysiłki jego ojca, by nauczyć go podstaw arytmetyki, spełzły na niczym. Książki budziły w nim pogardę, a poza pogardą, jeśli nie zostały prędko odsunięte sprzed jego rozjarzonego wzroku, furię. Znajdowano na podłodze podarte i okaleczone podręczniki jego brata, Gusa, i nawet jego siostry, pierwszoklasistki. W gazecie wydawanej w Port Oriskany, którą Jakub Schwart czasami przynosił do domu, jedynie komiksy przykuwały zainteresowanie Herszela, choć niektóre, na przykład *Terry i Piraci* albo *Dick Tracey*, nastęrczały mu sporych trudności. Herszel zawsze lubił swoją maleńką siostrzyczkę, malutką, jak ją nazywali w domu, a mimo to często jej dokuczał i wtedy w jego żółtawych oczach pojawiało się złe światło i nie mogła być pewna, czy zaraz nie doprowadzi jej do płaczu. Ciągnął ją za warkocze, tak schludnie zaplecione przez matkę, szczyrzył się w uśmiechu i brutalnie łaskotał ją pod pachami, po brzuchu, między nogami, sprawiając, że pizzczała i wierzgała. Idzie tu! Ostrzegał ją Herszel. Wąż boa, dusiciel. Czyli taki ogromniasty wąż, który nie tylko oplatał się wokół ciebie, ale też potrafił strasznie łaskotać.

Zachowywał się tak nawet wtedy, gdy w pokoju była mama. Nawet wtedy, gdy mama nacierała na niego, krzycząc: *Schwein! Flegel!*, bijąc go i kuksając po głowie za to, że się tak zachowuje. Fizyczne kary z ręki matki przyprawiały go o śmiech, bywało, że nawet kary z ręki ojca miał za nic. Rebeka bała się zwałistego, starszego brata, a jednak ją fascynował, zwłaszcza tymi zdumiewającymi słowami, którymi splotował jak śliną.

Tamten dzień, kiedy Herszel opowiedział Rebecce o tym, jak to było, kiedy się urodziła.

Jak to było, kiedy się urodziła! Była taka mała, jej mózg jeszcze nie był w stanie pojąć, że nie zawsze istniała.

Fuj! Miała głębę czerwoną jak mała i wiła się jak robał, mówił z czułością Herszel. Człowiek w życiu nie widział takiego brzydactwa i to jak obdartego ze skóry. I zupełnie bez włosów.

Bo czemu to trwało tak długo, jedenaście cholernych godzin, wszyscy wysiedli z tego zakichanego statku oprócz nich, bo ona ułożyła się głową do góry i jeszcze jej się podwinęła ręka. Dlatego to tyle trwało. Dlatego było tyle krwi.

I tak oto się urodziła. Wylazła cała lepka i czerwona z mamy. No jak oni na to mówią... z weginy. Znaczy się z dziury. Z tej włochatej dziury, Herszel w życiu nie widział czegoś podobnego. Obrzydlistwo! Jak wielkie, rozdziawione, krwawe usta. Widział je później jeszcze raz, te włosy między nogami mamy i wyżej, na brzuchu, podobne do męskich wąsów, widział je w sypialni, kiedy przypadkiem otworzył drzwi, mama próbowała się zakryć, właśnie zmieniała koszulę nocną albo może się myła. Widziałas to kiedy? Gęste włosy jak u wiewiórki.

Hej, powiedział Herszel, pstrykając palcami przed pustą twarzą Rebeki. Hej, myślisz, że ja tu, kurde, kłamię, czy jak? No co się tak gapisz?

Rebeka próbowała się uśmiechnąć. W uszach miała ryk jakby tysiąc moskitów.

Czekasz na boa dusiciela, co?

Tylko nie boa! Och! Błagam, tylko nie boa.

Herszel lubił straszyć siostrę, to go dziwnie uspokajało. Jej się pewnie wydaje, stwierdził, że on to wszystko zmyślił, ale tak nie było. A jak twoim zdaniem się urodziłaś, co? Jesteś Bóg wie kim? A jak się rodzą ludzie, jak myślisz? Każdy wyłazi z dziury swojej matki. Nie z dupy, nie z tego miejsca, gdzie wychodzą gówna, tylko z tej drugiej dziury, która najpierw jest mała, a potem robi się większa, dziewczyny i kobiety je mają, mam ci pokazać?

Potrząsnęła głową. Nie! Nie!

Jesteś dziewczyną, więc też ją masz, jest strasznie mała, jak ziarnko grochu, ale na pewno ją masz między nogami, tam, gdzie robisz siku, tam, gdzie cię uszczypnę, widzisz? Nie wierzysz swojemu bratu Herszelowi?

Rebeka prędko go zapewniła, że tak, że mu wierzy! Wierzyła mu.

Herszel podrapał się w pierś, marszcząc czoło. Próbując sobie przypomnieć. Tamta zafajdana kajuta na statku, gdzie mieszkali. Wielkości psiej budy. Bez okien. Koje. Pełno szmat, zdeptanych karaluchów i smrodu rzygów, bo Gus się wcześniej pochorował, i jeszcze od wszystkiego waliło gównem. A do tego krew mamy. To świństwo, co z niej wyłaziło, kiedy leżała na koi. Wreszcie byli w porcie w Nowym Jorku i wszyscy na wariata chcieli zejść z tego śmierdzącego statku, ale oni musieli zostać, bo ona akurat chciała się urodzić. Papa mówił, że miałaś się urodzić dopiero za miesiąc, jakby mógł się z tym kłócić. Wszyscy byliśmy głodni, że Jezu. Mama gorączkowała, była nie jak ona, była jak jakieś dzikie zwierzę. Darła się, pęknął jej jakiś mięsień czy co tam w gardle, dlatego teraz nie mówi. I sama wiesz, że ma z głową.

Taka jedna starucha miała pomóc mamie, żebyś się urodziła, ale wszystkim kazali zejść z pokładu, więc też zeszła. Został się tylko papa. Biedny papa, któremu szajba odbiła. Mówił, że mu odbija, bo tak się denerwuje. Co będzie, mówił, jak nas nie wpuszczą? Do Ju-Es-Ej? A jak nas odeślą do pierdolonych nazistów, to oni nas wyrzną jak świnie. Bo widzisz, ci naziści napadli na papę tam, gdzie on pracował, dlatego musiał wyjechać. Musieliśmy wyjechać stamtąd, gdzie mieszkaliśmy. Ty nawet nie wiesz, ale nie zawsze żyliśmy jak zwierzęta, nie zawsze tak było... Cholera, nie pamiętam tego dobrze, byłem mały i ciągle się bałem. Mówili nam, że w oceanie są łodzie podwodne nazistów, torpedy, które próbują nas zatopić, dlatego płynęliśmy zygzakami i dlatego ta przeprawa była taka długa. Biedny papa, ciągle zaglądał do swojego pasa na pieniądze, który nosił na brzuchu, sprawdzał papiery, wizy. Cholera, kto nie był obywatelem Ju-Es-Ej, ten musiał mieć wizę z wszystkimi pieczętkami i w ogóle, ci popaprańcy by cię nie wpuścili, gdyby mogli. Ci popaprańcy w ogóle nas nie chcieli, gapili się na nas, jakbyśmy śmierdzieli!

Jakbyśmy byli najgorszymi świniami, bo nie umieliśmy mówić jak należy. Papa bał się na statku, że nam buchną papiery. Bo widzisz, tam każdy kradł, co tylko można. To tam się nauczyłem kraść. Dajesz nogę, staruchy za tobą nie pobiegną. Jak jesteś mały, to się ukryjesz jak szczur, chociaż taki szczur jest mniejszy ode mnie. Tego się od nich nauczyłem. Papa chodzi i gada, że szczury wyjadły mu bebechy na morzu. To taki jego dowcip, powinnaś doceniać poczucie humoru starego. Szczury wyjadły mi bebechy na Atlantyku, sam słyszałem, jak opowiadał jednej staruszce na cmentarzu, co to kładła kwiaty na grobie i papa zagadał do niej, czego nam nie każe robić, gadać do tych ludzi, którym nie możesz zaufać, ale wtedy gadał i rechotał tym swoim śmiechem, jakby to pies szczekał, a ona na niego patrzyła, jakby się go bała. No to se pomyślałem, że papa się schlał, nie wie, co robi.

Na statku musieliśmy jeść, co nam dawali. Zepsute żarcie z wołkiem zbożowym, z karaluchami. Człowiek je wybierał, zdeptywał i dalej jadł, bo był głodny. Albo jadł, albo zdychał z głodu. Zanim dobiliśmy do brzegu, wszystkim popsuky się bebechy i wszyscy srali taką jakby ropą z krwią, ale z papą było najgorzej przez wrzody, mówił, że przez przeklętych nazistów dorobił się wrzodów wiele lat wcześniej. Bo widzisz, bebechy papy nie są normalne. Przyjrzyj mu się, nie zawsze był taki jak teraz.

Rebeka chciała wiedzieć, jaki kiedyś był papa.

Na twarzy Herszela pojawił się dziwny wyraz, niczym myśl, której rozmiar nie pasował do jego czaszki. Podrapał się po kroczu.

O kurde, nie wiem. Chyba się tak nie wściekał. Chyba był bardziej zadowolony. Znaczący się, zanim zaczęły się kłopoty. Zanim się zrobiłem za duży, nosił mnie wszędzie, wiesz? Tak jak ciebie. Mówił na mnie Lejb czy jakoś tak. On mnie całował! A żebyś chciała wiedzieć. I razem z mamą lubili muzykę, głośne śpiewy z radia, co się nazywają opera. Oni śpiewali w domu. Najpierw papa coś śpiewał, mama mu śpiewała w odpowiedzi z drugiego pokoju, a potem oboje się śmiali.

Rebeka próbowała, ale nie umiała sobie wyobrazić rodziców, jak śpiewają.

Nie umiała wyobrazić sobie ojca, który całuje Herszela!

Bo widzisz, oni wtedy byli inni. Byli młodszy. Wyjazd stamtąd, gdzie przedtem mieszkaliśmy, ich wykończył. Bali się, jakby ktoś ich gonił. Na przykład policja. Ci naziści. Jechaliśmy pociągami; ale też był hałas. I tłok. A potem ten cholerny statek, człowiek mógłby pomyśleć, że fajno pogapić się na Atlantyk, ale tak nie było, ciągle wiał wiatr i to cholerne zimno, ludzie się pchali i kasłali ci w twarz. Byłem wtedy mały, nie taki jak teraz, nikogo nie obchodził mały dzieciak, jeśli na mnie nadepnęli, sukinsyny! Ta przeprawa, to ich wykończyło. Mamę zabiło to, że cię urodziła, i papę też. To nie twoja wina, złotko, już ty się nie martw. To ci naziści. Oddziały szturmowe. Mama miała ładne, miękkie włosy i była śliczna. Mówiła innym językiem. Jezu, ja mówiłem innym językiem. To był niemiecki, mówiłem nim lepiej niż tym co teraz, no tym angielskim. Cholera, czemu one są takie różne, niech mi kto powie! Tylko same kłopoty. Teraz to już prawie tamten zapomniałem, ale dla mnie ten angielski jest gównem wart. Papa też taki był. Naprawdę umiał gadać. Mówili, że był nauczycielem. A teraz, Jezu, ale by się śmiali! Wyobraź se papę, który uczy w szkole!

Herszel parsknął. Rebeka zachichotała. Wizja rzeczywiście była śmieszna: papa, który stoi przed klasą pełną uczniów, w starym roboczym ubraniu i sukiennej czapie, z kredą w dłoniach; mruga do nich i zezuje.

Nie. Nie dało się. Nie dało się tego wyobrazić.

W czasie przeprawy przez Atlantyk Herszel miał dziewięć lat i nie zapomniał jej przez całe swoje „popieprzone życie”, ale też wcale nie pamiętał jej dokładnie. Żadne ze wspomnień nie było wyraźne. Jakaś mgła opadła na jego mózg i od tego czasu się nie podniosła. Bo kiedy Rebeka pytała, ile czasu trwała przeprawa przez ocean, ile dni, Herszel zaczynał powoli liczyć na palcach, a potem się poddawał i mówił, że to było cholernie długo i że mnóstwo ludzi umierało, a potem się wyrzucało ich za burtę jak śmieci, żeby jadły je rekiny, dlatego człowiek cały czas się bał, że zdechnie na tę całą dyzenterię. Tylko tyle wiedział. Że przeprawa trwała bardzo długo.

Dziesięć dni? – pytała Rebeka. Dwadzieścia?

Ale tam dni, nie dni, tylko zasrane tygodnie, parsknął Herszel.

Rebeka była tylko małą dziewczynką, ale już musiała wiedzieć, czym są liczby, fakty. Co jest prawdziwe, a co tylko zmyślane.

Spytaj papę, powiedział Herszel, nagle się ożywiając. Herszel się wściekał, jeśli zadawało mu się pytania, na które nie znał odpowiedzi, raz na przykład wściekł się na swoją nauczycielkę w szkole, która aż wybiegła z klasy, wołając o pomoc. To spojrzenie w oczach Herszela zasnuła pajęczyną i to, jak obnażał swe żółte zęby niczym pies. I powiedział: *Spytaj papę*, skoro tak cię rajcują te stare bzdety.

Stanął nad nią, przytłaczając ją swoją sylwetką, i w tym momencie kant jego dłoni zdzielił ją w skroń z towarzyszeniem ostrego płask!, Rebeka wiedziała tylko tyle, że upadła na bok jak szmaciana lalka, zbyt zdziwiona, żeby się rozplakać. Po chwili Herszel hałaśliwie wymaszerował z pokoju.

Spytaj papę. Rebeka wiedziała, że nie należy pytać o nic ojca, żadne z nich nie było na tyle odważne, by doprowadzić ojca do szału.

Schwart! To żydowskie nazwisko, prawda? Czy raczej – hebrajskie?

Nie, niemieckie. On i jego rodzina byli niemieckimi protestantami. Ich chrześcijańska wiara wywodziła się od protestanckiej sekty założonej przez człowieka, który żył w tych samych czasach co Marcin Luter, w szesnastym wieku.

Bardzo mała sekta, z nielicznymi wyznawcami w Ameryce.

Przełknij swoją dumę jak flegmę, Dżej-kob.

W tym amerykańskim miasteczku, tajemniczym i zmieniającym się ciągle niczym sen, cudzy sen, nie jego: w Milburn w stanie Nowy Jork.

Nad kanałem o dziwacznej nazwie: Erie.

Brzmiacej poniekąd melodyjnie – „Ie-rii” – obie sylaby akcentowane.

I jeszcze rzeka Chautauqua, która płynęła w odległości ćwierci mili na północ od cmentarza, za granicami miasta: nazwana tak przez Indian. „Cza-taa-kua”. Tyle razy starał się wymówić tę nazwę, a jednak nie potrafił, czuł, że jego język robi się gruby i niezdamy.

Region, w którym zamieszkał z rodziną, miejsce, w którym znaleźli tymczasowe schronienie, nosił nazwę Doliny Chautauqua. U podnóża gór Chautauqua.

Piękny krajobraz, rolnicze ziemie, lasy, otwarte pola. Jeśli z tym przetrąconym grzbietem, oczyma zamazanymi ziemią i nierówno bijącym sercem trolla miałeś ochotę tak na to patrzeć.

I jeszcze było USA – Ju-Es-Ej. Nie mamrotało się ani nie połykało tych słów, tylko wypowiadało się je stanowczo, z dumą. Nie mówiło się Ameryka, bo to było słowo, którym posługiwali się tylko imigranci. Ju-Es-Ej – tak brzmiała właściwa nazwa tego kraju.

Tak jak kiedyś tam nauczył się posługiwać terminem alianci. Wojska alianckie. Wojska alianckie, które pewnego dnia wyzwoliły Europę od państw Osi.

„Faszyści”. Z tym brzydkiem słowem Jakub Schwart nie miał trudności, choć nie wypowiadał go publicznie.

Ani też ze słowem „Naziści”. To słowo też dobrze znał, choć nigdy go nie wypowiadał.

Przełknij dumę. Człowiek wdzięczny jest człowiekiem szczęśliwym. Jesteś szczęśliwym człowiekiem.

Był szczęśliwy. Bo tu, w Milburn, wszyscy go znali: to ten dozorca cmentarza, ten grabarz. Cmentarz zajmował kilka akrów pagórkowatej, skalistej ziemi. Zgodnie z północnoamerykańskimi standardami to był stary cmentarz, najwcześniejsze płyty nagrobne pochodziły z roku 1791.

Ci zmarli spoczywali w spokoju. Niemal można im było zazdrościć.

Człek tak roztropny jak Jakub Schwart nie dopytywał się o to, jaki los spotkał jego poprzednika, nikt też z własnej woli nie dostarczał mu informacji na temat Liama McEnnisa. (Nazwisko chyba irlandzkie? Jeszcze przez wiele miesięcy od wprowadzenia się Schwartów przychodziły pocztą różne przesyłki adresowane na McEnnisa. Bezwartościowe przesyłki, głównie druki reklamowe, ale Jakub pieczołowicie wypisywał drukowanymi literami ZŁY ADRES i wrzucał je do skrzynki pocztowej przy ulicy, by listonosz mógł je stamtąd zabrać.) Nie był z natury wścibski, nie wtrącał się do cudzych spraw. Robił swoje, zarabiał na szacunek i wynagrodzenie wypłacane mu przez urzędników Milburn, którzy dali mu te posadę i uporczywie nazywali go Dżej-kob, po amerykańsku nietaktowni i sympatyczni.

Zatrudnili go jak jakiegoś psa. Albo jak jednego ze swych byłych niewolników, Murzynów.

Dla odmiany Jakub Schwart starał się przemawiać do nich z najwyższym respektem. Był nauczycielem szkolnym i wiedział, jakie to ważne, by zaspokajać małość tych ludzi. „Szanowni panowie”, „mili panowie”, tak zawsze się do nich zwracał. Posługując się swoją powolną, niezbyt składną angielszczyzną, bardzo uprzejmy, w owym czasie zawsze starannie ogolony, w stosunkowo czystym ubraniu. Miał sukienną czapkę w dłoniach i dbał o to, by w oczy patrzeć im z wahaniem, lękliwie, a nie z ogniem i odrazą.

Dziękował im za ich dobroć. Za to, że go zatrudnili i że dali mu chatkę na terenie cmentarza, by miał gdzie mieszkać.

Bardzo wdzięczny. Dziękuję wam, szanowni panowie!

(Chatka! Kto tak nazywa zawilgoconą, kamienną norę? Cztery ciasne izdebki, z podłogą z desek, gołymi kamiennymi ścianami i pojedynczym piecem na węgiel, którego wyziewy zatruwały powietrze, tak im wysuszając nozdrza, że aż krwawiły. Tam mieszkała jego mała córka, jego córka Rebeka, i serce mu się krajało, gdy widział, jak kaszle i wypluwa jedzenie, ocierając krew z nosa.)

W Europie nastał czas szaleństwa. Dziękuję wam w imieniu mojej żony i również moich dzieci.

Był złamanym człowiekiem. Był człowiekiem, któremu szczury wyjadły trzewia. Ale też był człowiekiem upartym. Przebiegłym.

Widział, że ci ludzie uśmiechają się do niego z litością, niektórzy wręcz z lekkim obrzydzeniem. Oczywiście nie chcieli podawać mu ręki. A jednak wierzył, że są mu przychylni. Upierał się przed Anną, że ci ludzie są mu przychylni, że wcale nim nie gardzą. Widzą, że jesteśmy porządni, że ciężko pracujemy, że nie jesteśmy podobni do tych, których w tym kraju nazywa się „śmieciami”.

Bo jak już raz stwierdzili, że jesteś śmieciem, to bez chwili wahania wyrzucali cię na bruk.

„Na pysk” – by użyć tego barwnego określenia.

Papiery miał w porządku. Wizę, którą po sporej zwłóce, udręce i dzięki łapówkom dla najważniejszych osób dostał od konsula amerykańskiego w Marsylii. Dokumenty ze stemplem amerykańskiego urzędu imigracyjnego na Ellis Island.

A oto, do czego nie mógł się przyznać: że w Monachium był nauczycielem matematyki w szkole dla chłopców, a oprócz tego trenerem piłki nożnej, że potem, kiedy już go zwolniono ze szkoły, został pomocnikiem drukarza w drukarni specjalizującej się w tekstach naukowych. Jego umiejętności korektorskie wychwalano pod niebiosa. Jego cierpliwość, dokładność. Nie płacono mu aż tyle, ile by mu płacono w innych okolicznościach, ale to były niezłe pobory i razem z rodziną posiadali dom, z własnymi meblami, a nawet z pianinem żony, pod dobrym adresem, blisko rodziców i krewnych żony. Nie powiedział tym ludziom, których uznał za swoich adwersarzy już na początku 1936 roku, że jest wykształconym człowiekiem, bo się połapał, że żaden z nich nie odebrał wykształcenia wyższego niż szkoła średnia, połapał się, że ze swoim dyplomem uniwersyteckim, ze swoją inteligencją stanie się jeszcze większym dziwadłem w ich oczach i że na dodatek wzbudzi ich podejrzenia.

Tak czy owak, Jakub Schwart nie był aż tak dobrze wykształcony, jak by sobie tego życzył, dlatego powziął plan, że jego synowie będą lepiej wykształceni niż on. Nie życzył

sobie, by na zawsze zostali synami grabarza z Milburn, jego pobyt tutaj miał być tylko tymczasowy.

Rok, może dwa. Będzie się upokarzał, odłoży jakieś pieniądze. Chłopcy podszkołą się w angielskim i będą mówili jak prawdziwi Amerykanie – prędko, wręcz beztrzesko, bez konieczności wygłaszania precyzyjnie ułożonych zdań. W tym kraju istniała edukacja publiczna, będą studiowali, by zostać – inżynierami? lekarzami? biznesmenami? Może któregoś dnia założą drukarnię „Schwart i Synowie”. Znakomitą drukarnię. Najtrudniejsze teksty naukowe i matematyczne. Nie w Milburn, oczywiście, tylko w jakimś wielkim, bogatym amerykańskim mieście: w Chicago? San Francisco?

Na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech – rzadkość i luksus w przypadku Jakuba Schwarta. W związku z Rebeką, czyli malutką, nie miał i nie chciał mieć aż tak wyraźnych planów. Dorośnie, poślubi któregoś z tych ludzi. Z czasem ją utraci. Ale nie Herszela i Augusta, nie swoich synów.

– Przecież trzeba przeżyć od jednego dnia do drugiego, mam rację? Robić, co do ciebie należy. Nie ulegać słabości. Nigdy na oczach dzieci. Musimy, wszyscy. Będę odkładał centy, dolary. W ciągu roku wyciągnę nas z tego straszego miejsca, obiecuję – tak mówił do Anny, nocą, na ich pozapadającym łóżku, w oparach smrodu.

Leżąca obok, twarzą do ściany, w której szczelinach gnieździły się pająki, kobieta, żona Jakuba Schwarta, nie odpowiedziała.

Z mamą było podobnie. Człowiek żył w ciągłym strachu, że doprowadzi mamę do szaleńca.

Tak jak mówił Herszel, z jakiegoś dziwnego powodu, z nią było jeszcze gorzej niż z papą. Papa po prostu cię łapał i bił, kiedy się powiedziało coś nie tak, za to biedna mama drżała i dygotała, jakby posikała się w majtki, i zaczynała płakać. Więc człowiek czuł się jak gówno. Miał ochotę uciekać gdzie pieprz rośnie.

– Czemu chcesz wiedzieć? Kto cię pyta o takie rzeczy? Ktoś cię pytał? Może w szkole? Ktoś nas szpieguje?

Niczym zapalka ciśnięta do zbiornika z naftą, tak mama rozpalala się znieczeka i zaczynała się zaplawać, kiedy jej się zadało najbardziej niewinne pytanie. Jeśli się wypowiadało słowa, których mama nie rozumiała albo nie słyszała wyraźnie (wiecznie nucila, gadała i śmiała się do siebie w kuchni, udając przy tym, że nie zauważyła, kiedy ktoś tam wszedł, nawet się nie oglądała, jak jakaś głucha kobieta), albo kiedy zadało się jej pytanie, na które nie umiała odpowiedzieć. Jej usta robiły się brzydkie. Miękkie, sflaczałe ciało zaczynało się trząść. Jej oczy, zdaniem Rebeki piękne oczy, natychmiast wzbierały łzami. Głos nabierał chropawej barwy, łamał się niczym uschłe łodygi kukurydzy, kiedy powieje wśród nich wiatr. Nowym językiem posługiwała się z taką pewnością, z jaką kaleka kobieta wędruje po zdradzieckim, pękającym lodzie. Jakoś nie potrafiła naśladować tych dźwięków, których jej dzieci uczyły się z taką łatwością i które nawet jej mąż potrafił naśladować na swój obcesowy sposób:

– Anno, musisz spróbować. Nie „da” tylko „the”. Nie „ta” tylko „to”. No powtórz!

Biedna Anna Schwart powtarzała szeptem, kuląc się ze wstydu.

(Rebeka też się wstydzila. W sekrecie. W życiu nie śmiałyby się otwarcie z mamy jak jej bracia.)

W Milburn były różne sklepy, na przykład sklep spożywczy i apteka, nawet dom handlowy Woolwortha, w którym Anna Schwart bała się odezwać i milcząco podawała listy sprawunków, wypisane ręcznie przez Jakuba Schwarta (tylko na początku, z czasem zaczęła wypisywać je Rebeka), dzięki czemu nie dochodziło do nieporozumień. (A jednak wciąż dochodziło do nieporozumień.) Wszyscy się z niej śmieją, twierdziła. Nawet nie czekali, aż się odwróci albo znajdzie się poza zasięgiem słuchu. Nazywali ją „panią Schwarz”, „panią Schwartz”, „panią Schwazz”, „panią Warts”. Sama słyszała!

Chłopcy, szczególnie Herszel, wstydzili się swojej matki. Nie dość, że byli synami grabarza, to jeszcze byli synami żony grabarza. Ażeby to szlag!

(Mama nic nie może na to poradzić, to te jej nerwy, tłumaczył Gus Herszelowi, a Herszel mówił, że o tym wie, że, kurwa, wie o tym, ale to wcale niczego nie ułatwia, prawda? Oboje mieli nie po kolei, ale papa przynajmniej umiał o sobie zadbać, papa umiał mówić po angielsku, więc przynajmniej dawało się go zrozumieć, i jeszcze papa miał, no, jak to się nazywa, trzeba to oddać staremu, papa miał godność.)

Któregoś razu, kiedy Rebeka była jeszcze zbyt mała, by chodzić do szkoły, do drzwi chatki dozorca cmentarza ktoś zapukał.

Gość! Kobieta w średnim wieku o tłustawych biodrach i szerokiej, rumianej twarzy, jakby tarła ją mocno ścierką, z głową przewiazaną bawełnianą chustką.

Była żoną farmera, który mieszkał jakieś sześć mil od nich. Słyszała o Schwartach, że pochodzą z Monachium. Ona też była z Monachium: urodziła się tam, w 1902 roku! Tego dnia przyszła na cmentarz, żeby posprzątać na grobie swojego ojca, i przyniosła Annie Schwart *Apfelkuchen*, który upiekła tego ranka...

I mama trzęsa się na progu jak ktoś, kto się obudził z koszmarne go snu. Jej twarz zrobiła się chora, obwisła, jakby wyciekła z niej wszelka krew. Mrugała gwałtownie, w jej oczach wezbrały łzy. Wyjąkała, że jest zajęta, bardzo zajęta. Rebeka usłyszała, że gość przemawia do mamy dziwnym, chrapliwym językiem, a jednak ciepłym tonem, jakby były siostrami, wymawiała słowa zbyt prędko, by Rebeka coś zrozumiała. *Sie... haben?... Nachbarschaft?*, tyle tylko usłyszała. Ale mama zamknęła drzwi przed nosem kobiety. A potem poszła chwiejnie do sypialni na tyłach i tamte drzwi też zamknęła.

Przez resztę popołudnia ukrywała się w sypialni. Odcięta od niej, przestraszona Rebeka słyszała pojękiwanie sprężyn łóżka. Słyszała, że matka coś mówi, że wyklóca się z samą sobą w zakazanym języku.

– Mamo? – Rebeka wcisnęła sobie palce do ust, żeby jej nie słyszano.

Rozpaczliwie chciała być z mamą, chciała się przytulić do mamy, bo czasami mama na to pozwalała, czasami nuciła i śpiewała przy łóżeczku Rebeki, czasami, kiedy zaplatała Rebecę włosy, dmuchała jej do uszu, dmuchała w drobniutkie kosmyki nad jej karkiem, by ją delikatnie polaskotać, nie tak jak Herszel, który laskotał ją zbyt brutalnie. Rozpaczliwie chciała nawet wdychać pot mamy, przemieszany z zapachem frytury i smrodem nafty.

Mama pojawiła się dopiero wtedy, gdy już się zmierzchało, z umytą twarzą i włosami ciasno splecionymi i owiniętymi wokół głowy w sposób, który Rebecę przywodził na myśl małe węże, widywało się takie czasami splecione z sobą, w trawie przy niepogodzie, ogłupiałe i powolne. Mama zapięła się pod szyją. Zamglone, poczerwieniałe oczy zamrugały na widok Rebeki. Chrapliwym szeptem przykazała Rebecę, że ma nic nie mówić papie. Że ma nie mówić papie, że ktoś zapukał tego dnia do ich drzwi.

– On by mnie zamordował, gdyby się dowiedział. Ale ja jej nie wpuściłam. Nie chciałam jej wpuścić. Powiedziałam do niej chociaż słowo? Nie. Och, nie. W życiu bym tego nie zrobiła. Nigdy!

Widziały za oknem ruch w odległym zakątku cmentarza. Pogrzeb, wielki pogrzeb z udziałem mnóstwa ludzi i papa miał być zajęty jeszcze długo po odejściu ostatniego żałobnika.

– Hej! Ktoś nam chyba zostawił ciasto.

To był Herszel, wrócił ze szkoły. Wparował do kuchni z formą do ciasta w rękę, opakowaną w pergamin. To był *Apfelkuchen*, pozostawiony przez żonę farmera na schodku przed domem.

Zdjęta poczuciem winy mama skrzyżowała ręce na piersiach i nie była w stanie nic powiedzieć. Na jej twarzy wykwił ognisty rumieniec, który wyglądał jak krwotok.

Rebeka wsadziła sobie palce do ust i nic nie powiedziała.

– Papa powie, że te skurwiele chcą nas wkurzyć – rzekł ze śmiechem Herszel, odłamując kawał ciasta, i hałaśliwie je przeżuł. – Ale stary jeszcze nie przylazł, co nie?

Na razie będziemy musieli z nią żyć.

Tak mówił. Wiele razy. Przez wiele miesięcy, a potem lat.

A jednak tak często chorowali. August, niewyrośnięty jak na swój wiek, nerwowy, podobny do szczura, ciągle mrugał, jakby miał słabe oczy. (Jak właściwie było z oczyma tego chłopca? Było za daleko, żeby go zawieźć do doktora od oczu, do najbliższego większego miasta, czyli do Chautauqua Falls.) A Rebeka często zapadała na choroby układu oddechowego. I Anna też.

Rodzina Schwartów, w norze grabarza.

Coraz częściej zwracał uwagę na fakt, że cmentarz jest położony na stromiznie. Oczywiście zauważył to na samym początku, ale wtedy jeszcze nie chciał tego widzieć.

Teren cmentarza wznosił się stopniowo do góry. Na jego tyłach płynęła rzeka, a cmentarz był położony w kotlinie. Przy drodze, przy głównym wejściu, gdzie został zbudowany ich dom, teren był bardziej wyrównany. *Tu ścieka śmierć.*

Kiedy się starał o tę posadę, wypytywał o wodę w studni, z wahaniem, bo nie chciał obrazić urzędników. Było oczywiste, że robią mu przysługę, tak? Że w ogóle z nim rozmawiają, że wytrzymują tę jego powolną, boleśnie łamaną angielszczyznę, tak?

Zapewniali go, że to głębinowa studnia z czystą wodą, do której nic nie przecieka z grobów. Na twarzach mieli uśmieшки samozadowolenia.

Tak, z całą pewnością. Woda została sprawdzona przez władze hrabstwa.

Wszystkie studnie w Chautauqua Falls były sprawdzane w „regularnych odstępach czasu”. Oczywiście!

Jakub Schwart słuchał i przytakiwał.

Tak, proszę szanownych panów. Bardzo dziękuję. Ja się tylko niepokoję...

Nie drażył sprawy. Chwilowo ogłupiał z wyczerpania. I tyle spraw na głowie: lokum dla rodziny, wikt dla rodziny. Och, był taki zdesperowany! Ta wyniszczająca wola, o której Schopenhauer pisał tak elokwentnie, by istnieć, przeżyć, trwać. Maleńka córeczka, która raniła mu serce swoją zdumiewającą, miniaturową urodą, a jednocześnie wprawiała go we wściekłość, bo marudziła po nocach, darła się co sił w płucach, wymiotowała mlekiem swojej matki, jakby to była trucizna. Płakała tak długo, że wreszcie we śnie gęstym jak klej widział samego siebie, jak przyciska dłoń do jej maleńkich, zaślinionych ust.

Anna mówiła z troską o „cmentarnej wodzie” – była pewna, że w tej wodzie jest coś groźnego. Jakub starał się ją przekonać, że nic im nie grozi, że nie powinna wygadywać takich bzdur. Powtarzał jej to, co usłyszał od urzędników: woda w ich studni była dopiero co badana, to czysta, źródłana woda.

– A zresztą nie będziemy tu długo mieszkali.

Z czasem jednak zaczął jej mówić prosto z mostu:

– Na razie będziemy musieli z nią żyć.

Czy na cmentarzu czymś zalatywało? Czy po deszczu unosił się tam mdląco-słodkawy odór, jakby zgnilizny? Smrodu zepsutego mięsa, mięsa, w którym zaległy się larwy, rozkładu?

Nie było nic czuć, gdy wiatr wiał od północy. A przecież wiatr wiał zawsze od północy, jak się zdawało. Na tym terenie, u podnóża gór Chautauqua, na południe od jeziora Ontario.

Na cmentarzu w Milburn czuło się zapach ziemi, trawy. Skoszzonej trawy gnijącej na przyzmach kompostowych. Latem duszącą woń słońca, żaru. Zdaniem Jakuba Schwarta woń rozkładu materii organicznej była nawet przyjemna.

Z czasem ten zapach stał się zapachem Jakuba Schwarta. Przesiąknął jego starą skórę i osadził się na zmierzwionych włosach. Na wszystkich jego ubraniach, których niebawem nie dawało się oczyścić nawet boraksem.

Oczywiście wiedział, że jego dzieci będą musiały wytrzymywać durne docinki w szkole. Herszel dostatecznie już wyrósł, by móc się obronić, ale August był bojaźliwym dzieckiem, kolejnym rozczarowaniem dla swego ojca, mało wygadany i słabym. I jeszcze ta zupełnie bezbronna Rebeka.

Aż mu się robiło mdło na myśl, że jego córka, której nie mógł ochronić, będzie kiedyś wysmiewana przez dzieci z klasy albo nawet głupich nauczycieli.

Córka grabarza!

Mówił jej, uroczystym tonem, jakby już była w wieku, w którym się rozumie takie słowa:

– Musisz zrozumieć, że ludzie boją się śmierci. Dlatego sobie z niej żartują. We mnie widzą sługę śmierci. W tobie córkę takiego sługi. Ale oni nas nie znają, Rebeko. Nie znają ani ciebie, ani mnie. Ukrywaj przed nimi swoją słabość, któregoś dnia im się odpłacimy! Odpłacimy się naszym wrogom, którzy się z nas naśmiewają.

Celem wszystkich ludzkich uczynków jest dobro.

Tak dowodził Hegel, za Arystotelesem. W czasach Hegla (zmarł w roku 1831) można było wierzyć, że istnieje „postęp” w historii ludzkości, że sama historia postępuje od abstrakcyjnego do konkretnego, tym samym spełniając się w czasie. Hegel uważał również, że natura jest zdeterminowana i poddana konieczności, podczas gdy ludzkość jest zaznajomiona z wolnością.

Jakub czytał też Schopenhauera. Oczywiście. W kręgu Jakuba wszyscy czytali Schopenhauera. On jednak nie uległ pesymizmowi tego filozofa. *Świat jest moim wyobrażeniem. Jednostka jest zagubiona. Życie jest nieustającą walką, zmaganiem. Wola jest wszystkim: ślepym szaleńcem kopulacji insektów, zanim zabije je pierwszy mróz.* Zaczytywał się Ludwigiem Feuerbachem, którego upodobał sobie szczególnie: z dreszczem zachwyty odkrył dziką krytykę religii Feuerbacha, bo filozof ten nie widział w religii nic więcej jak wytwór ludzkiego umysłu, projekcję najwyższych wartości w formie Boga. Oczywiście! Tak musiało być! Pogańscy bogowie starożytności, gromowładny Jehowa, Jezus Chrystus na krzyżu, taki smutny i umęczony – i triumfujący w zmartwychwstaniu. „To wszystko to był podstęp. Sen”. Tak tłumaczył sobie Jakub w wieku dwudziestu lat. Ślepotą, przesąd, stare ryty ofiarne, którym nadano „cywilizowaną” oprawę: wszystko to należało do przeszłości, wszystko to umarło albo wyginęło w dwudziestym wieku.

Czytał Karola Marksa i został zaprzędanym socjalistą.

Wobec przyjaciół określał się jako agnostyk, wolnomyśliciel i Niemiec.

...Niemiec! Gorzki żart, z perspektywy czasu.

Hegel, ten fantasta, miał rację co do jednego: sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu. Bo filozofia nieodmiennie przychodzi zbyt późno. Zrozumienie przychodzi zbyt późno. Zanim ludzki rozum zrozumie, co się dzieje, dzieje się trafia w ręce bestii i staje się historią.

Oderwane cząstki, jak potrzaskany kręgosłup.

Och! Mogłabym cię słuchać i słuchać, jesteś taki mądry.

Na samym początku ich miłości to właśnie powiedziała Anna Jakubowi, z oczyma lśniąco uwielbieniem. Opowiadał jej z pasją o swoich socjalistycznych zapatrywaniach, oszołomił ją, a nawet lekko oburzył swoim głębokim przekonaniem. Żadnej religii? Żadnego Boga? Nic? Anna wywodziła się z podobnego środowiska, jej rodzina mocno przypominała jego rodzinę, bardzo dumną ze swojego zasymilowania z kulturą niemieckiej klasy średniej. W jego obecności wierzyła w to, w co on wierzył, uczyła się powtarzać niektóre jego słowa. *Przyszłość. Ludzkość. Ci, którzy kształtują nasz los.*

Teraz rzadko rozmawiali. Dzielili ich ciężka, materialna cisza. Kamienie zakłopotania i głazy milczenia. Poruszali się w intymnej bliskości jak jakieś bezokie podmorskie stwory, choć każde doskonale wiedziało, że to drugie tam jest, i czasem rozmawiali albo nawet się dotykali, ale między nimi zapanowała martwota. Anna знаła go jak nikt: był złamanym człowiekiem, tchórzem. Został odczłowieczony. Szczury wyjadły mu też sumienie. Musiał walczyć, żeby uratować siebie i swoją młodą rodzinę, zdradził wielu krewnych, którzy mu zaufali, Annę również; gdyby miał sposobność, być może zrobiłby coś jeszcze gorszego. Anna go nie oskarżała, bo była jego współniczką, bo była matką jego synów. Nie pytała, jak zdobył tę zawrotną kwotę potrzebną na ucieczkę z Monachium, na eskapadę przez Francję i miejsce na statku odpływającym z Marsylii. Była wtedy w ciąży z ich trzecim dzieckiem, wcześniej urodziła dwóch synów, Herszela i Augusta. Z czasem zrozumiała, że nic się dla niej nie liczy prócz jej dzieci, prócz tego, żeby jej dzieci nie umarły.

– Będziemy żyli dla nich, tak? Nie będziemy oglądali się za siebie.

Składał takie przysięgi, jak przystało na mężczyznę, mimo że został odczłowieczony, mimo że nie miał płci. Szczury wyjadły także jego płć. Tam, gdzie kiedyś miał genitalia, było teraz coś bezużytecznego, oklapły, przegniły owoc. Żałosny, komiczny. Tą kluchą z mięsa oddawał mocz, bywało, że z trudem. Och, tego już za wiele!

– Przecież powiedziałem. Na razie będziemy musieli z nią żyć.

Tak jak nie mówiła o swym strachu przed skażoną wodą, nawet po ulewnych deszczach, kiedy woda ze studni była taka mętna i dzieci dławili się i pluły, tak Anna nie mówiła o ich przyszłości. Nie zadawała żadnych pytań. O to, ile pieniędzy zaoszczędził, na przykład. Kiedy będą mogli wyjechać z Milburn.

I jakie ma pobory jako dozorca cementarza?

Gdyby Anna odważyła się spytać, Jakub odparłby, że to nie jej sprawa. Była żoną, matką. Była kobietą. Co tydzień dawał jej pieniądze: jedno-, pięcio-, dziesięciodolarowe banknoty, by miała za co robić zakupy. Odliczał monety na kuchennym stole, krzywiąc się i pocąc w aureoli nagiej żarówki dyndającej mu nad głową.

Owszem, Jakub Schwart miał konto oszczędnościowe. Za dostojną, neoklasycystyczną fasadą First Bank of Chautauqua na Main Street. Nie byłoby przesadą stwierdzenie, że Jakub rozmyślał o tym konczie, o zgromadzonej na nim kwocie niemalże bezustannie; nawet wtedy, gdy nie myślał świadomie, ta myśl krążyła w jakimś bocznym zakamarku jego umysłu.

Moje pieniądze. Moje.

Cienka, czarna książeczka oszczędnościowa wystawiona na Jakuba Schwarta była tak przemyślnie ukryta, owinięta w wodoszczelne płótno na półce w szopie, gdzie stała kosiarka, gdzie nie znalazłby jej nikt prócz niego samego.

Co tydzień od pierwszej wypłaty starał się – och, jak się starał! – coś zaoszczędzić, choćby tylko kilka centów. Bo mężczyzna powinien mieć oszczędności. A jednak do października 1940 roku zaoszczędził zaledwie dwieście szesnaście dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. Po czterech latach! Niemniej ta kwota była zdeponowana na trzy procent, a z tego przecież rodził się zysk, centy i dolary.

Nie trzeba być matematycznym geniuszem, by to wiedzieć: grosz do grosza...

Niebawem poprosił urzędników miasta Milburn o podwyżkę.

Poprosił bardzo uprzejmie, podczas drugiego roku swej pracy na posadzie dozorcycmentarza. Odpowiedzieli sztywno, z rezerwą.

Hmm, Dżej-kob. Może w przyszłym roku.

Wszystko zależy od budżetu. Od podatków lokalnych, rozumiesz?

Wskazał im uprzejmie, że korzystają z bezpłatnej pracy fizycznej jego starszego syna, który pomagał mu teraz przez wiele godzin tygodniowo. A także czasami jego młodszego syna.

Z kolei oni wskazali mu, że mieszka za darmo w chatce dozorcycmentarza. I że nie płaci podatku gruntowego.

Nie tak jak my, pozostali obywatele, Dżej-kob. My płacimy podatki.

Śmiali się. Byli sympatyczni, dobrotliwi. I przyglądali mu się niczym psu, który służy, stając na tylnych łapach.

Czy wywiązywał się ze swych obowiązków jako dozorca, no cóż – owszem, wywiązywał się. Utrzymywanie porządku na cmentarzu to posada, która nie wymagała kwalifikacji, tyle że tak naprawdę to musiałeś coś umieć. Nie mogłeś też się zapisać do żadnego związku zawodowego. I nie należały ci się ani emerytura, ani ubezpieczenie zdrowotne, tak jak innym ludziom zatrudnionym przez miasto.

I w końcu zacząłeś się bać, bo mogli uznać, że narzekasz. Zacząłeś się bać, że w Milburn w stanie Nowy Jork staniesz się znany jako ten „Schwart, który narzeka”.

„Schwart-ten-Szwab”, tak go nazywali za jego plecami. Wiedział o tym.

„Schwart-ten-Żyd”.

(Bo czy Schwart nie miał żydowskiego nosa? Nikt w Milburn nigdy nie widział prawdziwego Żyda, tyle że teraz, na przykład w takich czasopismach jak „Life” albo „Collier's” reprodukowali nazistowskie komiksy i karykatury obok zabawnych fotografii żalonych brytyjskich cywilów szkolących się na rzecz obrony swojej ojczyzny.)

Przysięgał sobie, że jeszcze im pokaże! Pokaże tym ludziom, którzy obrażali jego i jego rodzinę. Tym ludziom, którzy weszli w potajemny sojusz z Hitlerem. Miał własne tajemnice, oszczędzał pieniądze, by móc uciec. Uciekł od Hitlera i ucieknie od Milburn w

stanie Nowy Jork. Pieczołowicie odkładał każdy grosz, bo chociaż Jakub Schwart nie był Żydem (Nie był!), to jednak miał w sobie odwieczną, żydowską przemyślność, dzięki której mógł się wyślizgnąć z uścisku adwersarza, prosperować i mścić się. Z czasem.

Tamtego dnia Gus przybiegł do domu ze szkoły z nosem pełnym smarków, pochlipywał, pytał mamę, kto to jest Żyd, co to takiego Żyd, bo ci gówniarze na Post Road nabijali się z niego, a Hank Diggles to rzucał w niego kaczanami kukurydzy i wszyscy tak się śmiali, jakby go nienawidzili, w tym tacy, których uważał za swoich kolegów. I mama, która była bliska omdlenia i sprawiała takie wrażenie, jakby się topiła, zawiązała sobie chustkę na głowie i pobiegła odszukać papę na cmentarzu, jękając się, łapiąc powietrze, i to był pierwszy taki raz w jego wspomnieniach, kiedy zobaczył ją, swoją żonę, tak daleko od kamiennej chatki, na cmentarzu, gdzie kosił sierpem wysokie trawy i głogi atakujące zbocze, zobaczył i przeżył wstrząs na jej widok, takiej przestraszonej, takiej rozczochranej, w tej bezkształtnej sukni domowej i pończochach zrolowanych do kostek, z tymi tłustawymi, oślepiająco białymi łydkami, które porastały jasnobrązowe włoski, z tą spuchniętą, pokrytą plamami twarzą, a przecież kiedyś była szczupłą, piękną dziewczyną, uśmiechającą się nieśmiało z uwielbieniem do swego męża, szkolnego nauczyciela, i grała Chopina, Beethovena, Mendelssohna – Boże, jak on ją kochał! – tymczasem teraz miał przed sobą kłocowatą babę, która bełkotała łamaną angielszczyzną, przez co nie do końca rozumiał, co ona, do diabła, wygaduje, uznał więc, że pewnie te cholerne dzieciaki ukryły się za murkiem i rzucały kolbami kukurydzy w pranie wiszące na sznurze albo w nią, a potem to usłyszał, usłyszał „Żyd, Żyd, Żyd” i wtedy ujął ją za ramiona, potrząsnął nią, mówiąc, żeby się zamknęła i wróciła do domu, wieczorem zaś spoliczkował otwartą dłońią Gusa, który miał wtedy dziesięć lat i chodził do piątej klasy, a potem powiedział coś, co Gus miał zapamiętać na długi czas, podobnie jak jego siostra Rebeka, która stała tuż obok.

– Nigdy nie wypowiadaj tego słowa.

Było to jeden z najbardziej zdumiewających czynów, na jakie się poważał za swego życia w Ameryce.

Podczas zimnej wiosny 1940 roku kupił od handlarza z Milburn radio. On, Jakub Schwart! Sam się przeraził swoją impulsywnością. Swoją absurdalną wiarą w uczciwość nieznanego człowieka. Radio było używane i nie miało gwarancji. Tym beztróskim gestem pogwałcił zasady zdrowej nieufności wobec tych ludzi, którą zamierzał zaszcześcić w swoich dzieciach, żeby je uchronić od katastrofy.

– Co ja zrobiłem! Co...

To było porównywalne do aktu przypadkowego cudzołóstwa. Albo przemocy.

On – on! – który rzekomo nie był człowiekiem skorym do przemocy, tylko człowiekiem cywilizowanym, obecnie przebywającym na wygnaniu ze swego prawdziwego życia.

A jednak ten zakup planował od tygodni. Wieści nadchodzące z Europy nabrały takiego tempa, iż nie potrafił znieść, że żyje w niewiedzy. Miejscowe gazety nie wystarczały. Nic nie mogło go zadowolić oprócz radia, dzięki któremu mógłby codziennie, co noc wysłuchiwać wieści z tyłu źródeł, ile to tylko możliwe.

W stanie ledwie kontrolowanego podniecenia stawiał się przed okienkiem kasowym w First Bank of Chautauqua. Nieśmiało, a jednak zdecydowanie wpełchnął do otworu swoją książeczkę oszczędnościową. Kasjer, człowiek bez jakiegokolwiek ważności, gdyby nie fakt, że trzymał w ręku książeczkę Jakuba Schwarta, przyjrzał się ze zmarszczonym czołem cyfrom wypisanym tam atramentem, jakby szykując się, by zaraz obrzucić surowym spojrzeniem wystraszonego trolla w brudnym, roboczym ubraniu i sukiennej czapie, który przedstawił się jako Jakub Schwart, i poinformować go, że takie konto oszczędnościowe nie istnieje, że absolutnie się pomylił. Zamiast tego, jakby to była jakaś codzienna transakcja, kasjer mechanicznie odliczył banknoty, nie raz, ale dwa razy, sztywne, świeżo wydrukowane banknoty, co absurdalnie zachwyciło Jakuba Schwarta. Kiedy kasjer podsuwał w jego stronę pieniądze i książeczkę, wydawało się, że mruga do swego klienta. *Wiem, co zrobisz z tymi pieniędzmi, Jakubie Schwart!*

Przez wiele dni potem Jakub, gnębiony poczuciem winy, cierpiał na bóle brzucha i biegunkę. Czy raczej uradowany i gnębiony poczuciem winy. Radio! W norze dozorczy! *Motorola, najlepszy producent radioodbiorników na świecie.* Drewniana obudowa, skala jarzyła się ciepłym światłem zaraz po włączeniu. To było wprost niesamowite, zaraz po wciśnięciu guzika czuło się pulsujący wigor tego cudownego przyrządu zamkniętego w obudowie, jakby miał on swoją duszę.

Jakub oczywiście kupił radio, nic nie mówiąc Annie. Już w ogóle nie tłumaczył się swej żonie z tego, co robił. Z niejasnych powodów oboje zaczęli czuć do siebie obrzydzenie. Ich kamienne milczenie potrafiło się utrzymywać przez wiele godzin. Cały dzień, całą noc. Kto kogo zranił? Kiedy to się zaczęło? Niczym głupie, ślepe, podmorskie stworzenia mieszkali razem w swej ciemnej jaskini, ledwie zdając sobie sprawę z obecności tego drugiego. Jakub nauczył się wyrażać swoje życzenia poprzez pochrząkiwanie, pokazywanie palcem, krzywienie się, wzruszanie ramionami, nagłe

poprawianie się na krzesła, zerkanie w stronę Anny. Była jego żoną, jego służką. Musiała okazywać mu posłuszeństwo. Kontrolował ich finanse, wszelkie transakcje z zewnętrznym światem należały do niego. Odkąd zakazał tej zastraszonej kobiecie mówić ich ojczystym językiem, nawet wtedy, gdy byli sami w ich sypialni, nawet w łóżku, w ciemnościach, Anna znalazła się w niekorzystnym położeniu i nabawiła się odrazy do mówienia po angielsku.

Ona też była głęboko zszokowana impulsywnym zakupem męża i zinterpretowała ten akt jako nie tylko nietypową rozrzutność, ale także małżeńską niewierność. *To szalenie. Tak to się właśnie zaczyna.* Przecież mieli tak mało pieniędzy, dzieci potrzebowały ubrań i musiały chodzić do dentysty. A jeszcze te ceny węgla i jedzenia... Była wstrząśnięta i nie potrafiła o tym mówić, nie jękając się.

Jakub jej przerywał.

– Radio jest używane, Anno. Wytargowałem je. I to jest Motorola.

Wiedziała, że z niej szydził. Bo Anna Schwart nie miała pojęcia, co to jest Motorola ani co to znaczy; tyle samo wiedziała o księżycach Jowisza.

Tamtego pierwszego wieczoru Jakub był podniecony z radości, wspaniałomyślny: zaprosił rodzinę do saloniku, żeby sobie posłuchali dźwięków z wielkiego pudła stojącego obok krzesła. Anna nie przyszła, za to chłopcy i Rebeka byli oczarowani. Niemniej Jakub zrozumiał, że źle to sobie wymyślił, bo tego wieczoru nadawano wieści o ataku na Morzu Północnym, niemieckie statki wojenne zatopiły brytyjskiego niszczyciela *Glowworm*, ale marynarzy wyratowała załoga jednego z niemieckich statków... Jakub natychmiast zmienił zdanie, postanowił, że dzieci nie będą słuchały radia, i kazał im się wynosić z pokoju.

Niemieckie statki wojenne! Wyratowanie brytyjskich marynarzy! Co to oznaczało...

– Nie. Tego się nie da przewidzieć. Brzydactwo. To się nie nadaje dla młodych uszu.

Miał na myśli wiadomości. Nieprzewidywalne i dlatego brzydkie.

Dziewiętnaście lat później, kiedy Rebeka słuchała mamrotania i buczenia z radia w pokoju Nileya, przypominało jej się radio ojca, które stało się taką rysą na gospodarstwie domowym. Było niczym złowrogi bóg, domagający się ciągłej uwagi, wywierający nieodparty wpływ, a jednak nie dawało się do niego zbliżyć, poznać go. A to dlatego, że nikt oprócz papy nie odważał się usiąść na fotelu papy (obitym popękana skórą, wyposażonym w podnózek i solidne, niemalże prostopadłe oparcie, bo papę bolał kręgosłup), i w związku z tym nikt oprócz papy nie odważał się włączać ani wręcz dotykać radia.

– Słyszycie? Nikt.

Mówił to z powagą. Drżącym głosem.

Na ogół te ostrzeżenia kierował do Herszela i Augusta. Wiedział, że Anna za bardzo gardzi radiem, żeby go dotknąć. Wiedział, że Rebeka nigdy nie okazałaby nieposłuszeństwa.

Traktował ten przedmiot tak zazdrośnie, jakby to była (tak drwiąco zauważył Herszel) jego kochanka. Aż się człowiek zastanawia, co stary z nim robi w niektóre noce, co nie?

Za dnia, kiedy papa pracował na cmentarzu, radio stało bez żadnej ochrony w saloniku. Papa nieraz pojawiał się znienacka w domu, wchodził ukradkiem do saloniku, by sprawdzić przewody z tyłu radia: jeśli były gorące lub choćby tylko ciepłe, to rozpętywało się piekło i ktoś musiał zapłacić, zazwyczaj Herszel.

„Prąd nie rośnie na drzewach”, tak brzmiał powód owej oszczędności. I papa wielokrotnie powtarzał ponurym tonem, że wiadomości z wojny nie są przeznaczone dla młodych uszu.

Za plecami starego Herszel zapluczał się z oburzeniem.

– Srał wiadomości z wojny. Bo te, kurde, nie ma w radiu innych rzeczy, jak muzyka albo kawały? Stary skurwiel nie zdechłby od tego, gdyby dał posłuchać.

Herszel był już dostatecznie duży, by wiedzieć, co to jest radio, miał kumpli w mieście, których rodziny posiadały radia i wszyscy ich słuchali od rana do wieczora, różnych rzeczy, nie tylko zaszranych wiadomości z wojny!

A jednak papa dzień w dzień zamykał im przed nosem drzwi saloniku.

Im więcej papa pił przy kolacji, z tym większą stanowczością zamykał te drzwi.

W niektóre noce pragnienie posłuchania radia było tak przemożne, że obaj bracia Rebeki skomleli przez drzwi.

– Możemy też posłuchać, papa?

– Nie będziemy gadać, czy coś...

– Naprawdę! Nie będziemy.

Herszel był tak odważny, że stukał otartymi kłykcami w drzwi, aczkolwiek nigdy zbyt głośno. Rósł tak szybko, że wiecznie miał za krótkie rękawy, a jego kołnierzyk robił się tak ciasny, że nie dawał się zapiąć na jabłku Adama. Niebawem na dolnej połowie twarzy wykiełkowały mu sztywne włosy, które musiał golić przed pójściem do szkoły, bo inaczej nauczycielka odsyłała go do domu.

Wszyscy troje, Herszel, August i Rebeka, słuchali radiowego głosu, który unosił się i opadał niczym morskie fale, ale nie byli w stanie wyróżnić żadnych słów, bo papa tak cicho nastawiał radio. Co ten głos mówił? Dlaczego te wiadomości z wojny były takie ważne? Rebeka była za mała, by wiedzieć, co to jest wojna (Biją się, mają karabiny, bomby i są też samoloty, tłumaczył jej Herszel), ale mama powiedziała jej, że to wszystko dzieje się daleko, w Europie: tysiące mil od nich. Herszel i August wypowiedali się przemądrzale na temat „nazistów” i „Hitlera”, ale twierdzili, że ci też są daleko. Nikt nie chciał, żeby wojna dotarła do Ju-Es-Ej. A zresztą dzielił ich od niej Atlantyk. Wojna nie mogła dotrzeć do takiego miejsca jak Milburn, gdzie na kanale, po którym pływały barki, była tylko jedna śluza.

– Ci posrani naziści nie zawracaliby se głowy taką dziurą – stwierdził lekceważąco Herszel.

Matka Rebeki gardziła radiem, nazywała je zabawką ojca, którą ten sobie kupił, mimo że nie było ich na nią stać. Kupił! Nigdy mu nie wybaczyła.

Był 1940 rok, mijał miesiąc za miesiącem. I potem nastał rok 1941.

O czym mówiły wiadomości z wojny? Papa twierdził, że to obrzydlistwa, z każdą chwilą coraz bardziej obrzydliwe. Jednak Ju-Es-Ej trzymało się z dala od tego wszystkiego, jakby te przekłete tchórze bały się, że oberwą. Ale przecież skoro mieli w nosie Polskę, Francję, Belgię, Rosję, to chociaż powinni byli zainteresować się Anglią...

Mama robiła się nerwowa i zaczynała głośno nucić. Czasami posykiwała swym chrapliwym, łamiącym się głosem.

– Wiadomości z wojny są nie dla młodzieży.

Rebeka nic nie rozumiała: papa chciał, żeby wojna tu przyszła? Tego chciał papa?

Bywały takie wieczory, kiedy w samym środku kolacji papa robił się rozkojarzony, człowiek wtedy wiedział, że myśli o wiadomościach z wojny. To chore, stęsknione spojrzenie w jego oczach. Stopniowo przestawał jeść, odsuwał talerz i zaczynał pić miarowymi łykami, jakby przyjmował lekarstwo. Czasami pił piwo, czasami mocny cydr (kupowany w gorzelnii w Milburn, milę dalej nad rzeką; wiatr nawiewał stamtąd silny zapach), a czasami whisky. Często powtarzał, że szczury wyjadły mu żołądek. Na cholernym statku z Marsylii. Stracił bebechy i stracił młodość, tak mawiał papa. Rebeka wiedziała, że to miał być dowcip. Ale dla niej to brzmiało tak smutno! Papa nieświadomie omiatał ją wzrokiem, widząc nie ją dokładnie, tylko tę malutką, tę niechcianą, dziecko urodzone po jedenastu godzinach porodu, w brudnej kajucie na brudnym statku, który stał na kotwicy w nowojorskim porcie, pusty, bo pozostali pasażerowie z niego uciekli. Była zbyt mała, by cokolwiek wiedzieć, a jednak wiedziała. Kiedy papa wygłaszał któryś ze swoich dowcipów, zaśmiewał się tym swoim szyderczym śmiechem. Herszel naśladował jego śmiech niczym echo i również August, tylko mniej pewnie. Mama nigdy. Rebeka nie pamiętała, by matka śmiała się kiedykolwiek z dowcipów albo mądrych uwag ojca.

Najgorzej było wtedy, gdy papa przychodził do domu w złym nastroju, kuśtykając i przeklinając, zbyt zmęczony, żeby się umyć po dziesięciu, dwunastu godzinach pracy na cmentarzu, i nawet perspektywa, że będzie mógł wysłuchać wiadomości z wojny, go nie ożywiała. Przeżuwał kolację, jakby jedzenie go bolało albo wywoływało chorobę. Coraz częściej pił alkohol. Wygarniał widelcem tłuste kawałki mięsa na ceratowy obrus i w końcu odsuwał talerz z westchnieniem obrzydzenia.

Ble! Komuś się chyba wydaje, że jesteśmy stadem świń, skoro karmi nas takimi pomyjami.

Matka Rebeki sztywniała przy stole nakrytym do kolacji. Jej zaczerwieniona, obwisła twarz młodej dziewczyny była upchnięta w inną, starszą i bardziej zmęczoną twarz, na której nie było śladu urazy, nawet śladu, że słyszała, co powiedział papa. Chłopcy się śmiali, ale nie Rebeka, która czuła ukłucie bólu w sercu matki, jakby to było jej serce.

Papa mruczał, że ma dosyć. Odsuwał krzesło od stołu, chwycił za butelkę, by zabrać ją do saloniku, zatrząskiwiał drzwiami przed rodziną. Za nim podążało skrzepowane, wstydlive milczenie. Nawet Herszel, z poczerwieniałymi uszami, wbijał wzrok w talerz i zagryzał dolną wargę. W saloniku słyszało się obcy głos: stłumiony, zadziorny, szyderczy. Mama wstawała prędko od stołu, zaczynała nucić i potem dalej nuciła, żwawa jak rój pszczoł, trzaskała garnkami i sztućcami w zlew, kiedy zmywała statki w wodzie nagrzanej na piecu. Teraz, kiedy była już dużą dziewczynką i już nie raczkowała, Rebeka co wieczór pomagała mamie wycierać. To były jej szczęśliwe chwile. Mogła się przytulać do nóg mamy, która nie dawała po sobie poznać, że to zauważyła, że to ją złości; od tych nóg biło takie ciepło. Czasami zerkała w górę zmrużonymi oczyma i widziała, że mama jej się przygląda. Bawiły się w ten sposób? To była zabawa w „nie-widzę-cię”, tym razem z udziałem matki?

Kolacja kończyła się znienacka. Chłopcy wychodzili z domu. Papa szedł do saloniku. Tylko Rebeka i mama zostawały w kuchni, myły naczynia. Mama od czasu do czasu mruczała pod nosem słowa w tym dziwnym świszczącym języku, którym mówiła do

niej żona farmera na ich progu, zbyt prędko, by Rebeka zdołała coś zrozumieć, ale i tak wiedziała, że to nie jest przeznaczone dla jej uszu.

Kiedy ostatni talerz był umyty i osuszony, mama, nie uśmiechając się do Rebeki, odezwała się nagle ostrym głosem jak ktoś, kto się obudził ze snu:

– Byłaś chcianym dzieckiem, Rebeko. Bóg cię chciał. I ja cię chciałam. Nie wierz w to, co mówi ten człowiek.

Nigdy nie wypowiadaj tego słowa

I były jeszcze inne słowa, których nie wolno było wypowiadać. Które z czasem odchodziły w zapomnienie.

Jednym z nich była „Marea”.

Marea – brzmiało jak muzyka, było tajemnicze.

Kiedy Rebeka miała pięć lat, latem 1941 roku.

W późniejszych wspomnieniach „Mareę” wymazały emocje ojca, w czasie Pearl Harbor.

Marea – Pearl Harbor – druga wojna światowa (bo tak to brzmiało w uszach Rebeki). W czasach, gdy Rebeka była jeszcze mała, zbyt mała, by chodzić do szkoły.

Któregoś wieczoru po kolacji zamiast iść do saloniku, papa został w kuchni. On i mama mieli dla nich niespodziankę.

Chcielibyście mieć brata? – takie oto pytanie usłyszeli Herszel i Gus.

Chciałabyś mieć dwie siostry? – takie oto pytanie usłyszała Rebeka.

To papa się tak tajemniczo wyrażał. Ale obok niego stała mama, bardzo nerwowa. Wesoła i dziewczęca, z błyszczącymi oczyma.

Kiedy dzieci wytrzeszczyły oczy, papa wyjął z koperty fotografie, które następnie ułożył starannie na kuchennym stole nakrytym ceratą. Był ciepły, czerwcowy wieczór, cmentarz żył odgłosami nocnych owadów, a w kuchni fruwało kilka małych ciem, które rzucały się na nagą żarówkę dyndającą pod sufitem. Papa z podniecenia potrącił głową tę żarówkę, sprawiając, że aureola światła zatoczyła pijacki krąg dookoła stołu; to mama wyciągnęła rękę, żeby unieruchomić żarówkę.

Ich kuzyni. Z miasteczka Kaufbeuren, które było w Niemczech, po drugiej stronie oceanu.

I jeszcze wujek Leon i ciocia Dora, młodsza siostra ich matki.

Chłopcy wybałuszyli oczy. Rebeka wybałuszyła oczy. *Wasi kuzyni. Wasz wujek, ciocia.* W życiu nie słyszeli takich słów z ust ojca.

– Pamiętasz ich, Herszel, co? Wujek Leon, ciocia Dora. Elżbiety, waszej małej kuzynki, pewnie nie pamiętasz. Była wtedy niemowlęciem.

Herszel zgarbił się nad stołem, by ze zmarszczonym czołem przyjrzeć się miniaturowym postaciom na fotografii, które spozierały na niego, obok kciuka papy. Oddychał chrapliwie przez nos.

– Ja ich pamiętam? A czemu?

– Bo ich widziałeś, Herszel. Jak byłeś mały, w Monachium.

– W Monachum? A co to, kurde, jest?

Papa mówił teraz pospiesznie, jakby słowa sprawiały mu ból.

– Tam mieszkaliśmy. Tam się urodziłeś. W tamtym innym miejscu, przed Milburn.

– Ale tam – zaprotestował Herszel, potrząsając głową tak gwałtownie, że aż zadrgały mu wargi. – Ja tam nie byłem. Nie ja.

Ich matka dotknęła ramienia papy.

– Może Herszel nie pamięta, był taki mały – powiedziała cicho. – I tyle od tamtego czasu...

– On pamięta – uciął papa.

– Kurwa, nie pamiętam! Urodziłem się w zasranym Ju-Es-Ej.

– Herszel! — upomniała go matka.

To był niebezpieczny moment. Papie trzęsły się ręce. Popchnął jedną z fotografii w stronę Herszela, żeby na nią spojrzeć. Rebeka zauważyła, że fotografie są pozaginane i pomarszczone, jakby były stare albo pokonały daleką drogę. Kiedy Herszel wziął fotografię do ręki, by unieść ją do światła i przyjrzeć się uwiecznionej na niej parze zmrużonymi oczami, Rebeka przestraszyła się, że mógłby przedrzeć fotografię na pół; jej starszy brat potrafił zniecka wpadać na takie dzikie pomysły.

Herszel zamiast tego odburknął coś i wzruszył ramionami. Może tak, może nie.

Tym udobruchał papę, który wyrwał fotografię z ręki Herszela i wygładził ją na blacie stołu, jakby to było coś drogiego.

Fotografii było pięć, wszystkie co do jednej pomarszczone i jakby spłowiałe.

– To twoje nowe siostry, Rebeko – powiedziała mama. – Widzisz?

Rebeka spytała, jak one mają na imię.

Mama wymawiała imiona dzieci na fotografii, jakby to były jakieś specjalne imiona:

– Elżbieta, Freyda, Joel.

– Elż-bie-ta. Frey-da. Jo-el – powtórzyła Rebeka swoim przejętym, dziecięcym głosem.

Elżbieta jest najstarsza, wyjaśniła mama. Ma dwanaście albo trzynaście lat. Freyda jest najmłodsza, w wieku Rebeki. A Joel gdzieś pomiędzy.

Rebeka widywała wizerunki ludzi w gazetach i magazynach, ale nigdy nie widziała fotografii, które można potrzymać w rękach. Schwartowie nie posiadali aparatu fotograficznego, bo to był luksus, a im luksusy się nie należały, tak mawiał papa. Jakie to dziwne, pomyślała Rebeka, i jakie cudowne, że fotografia może przedstawiać kogoś, kogo znasz, kogo znasz z imienia. I może przedstawiać dzieci! Małą dziewczynkę w wieku Rebeki!

Mama powiedziała, że to są jej siostrzenice i siostrzeniec. Dzieci jej siostry Dory.

Jak dziwnie słuchało się Anny Schwart, która opowiada o siostrzenicach, o siostrzeńcu. O siostrze!

Ci sympatyczni obcy ludzie nie nazywali się Schwart, tylko Morgenstern. Nazwisko zupełnie nieznane, ale takie melodyjne.

Dzieci Morgensternów na fotografiach uśmiechały się niepewnie. Można im się było przyjrzeć z bliska i dzięki temu odnieść wrażenie, że patrzą właśnie na ciebie. Elżbieta krzywiła się w uśmiechu. Albo może wcale się nie uśmiechała. I Joel też się nie uśmiechał, mrużył oczy, jakby oślepiła go światło. Freyda, z całej trójki najmłodsza i najpiękniejsza, stała z pochyloną głową, więc nie można było zobaczyć wyraźnie jej twarzy. Uśmiechała się bojaźliwie, jakby błagała: *Nie patrzcie na mnie, proszę!*

W tym momencie Rebeka się połapała, że Freyda jest jej siostrą.

W tym momencie Rebeka się połapała, że Freyda ma takie same oczy jak ona, ciemne i ocienione rzęsami. I mimo że Freyda miała puszystą grzywkę opadającą na czoło, a z kolei ona sama odsłaniała czoło, to jednak ich włosy zaplecione w warkocze też były identyczne. Na jednej fotografii, ulubionej fotografii Rebeki, bo na niej można było obejrzeć Freydę najdokładniej, mała dziewczynka zdawała się szarpać za swój warkocz przerzucony przez lewe ramię w taki sam sposób, w jaki Rebeka czasami szarpała swój warkocz, kiedy się czymś zdenerwowała.

– Freyda mogłaby spać w moim łóżku.

– Masz rację, Rebeko – odparła mama, ściskając ją z aprobatą za rękę. – Freyda mogłaby spać w twoim łóżku.

Papa powiedział, że Morgensternowie będą „się przeprowadzali” w połowie lipca, razem z dziewięciuset innymi pasażerami, na statku, który nazywa się *Marea* i który będzie płynął z Lizbony w Portugalii do miasta Nowy Jork. A potem wyruszą w górę stanu Nowy Jork, do Milburn, gdzie zatrzymają się u Schwartów do czasu, aż się „urządzą” w tym kraju.

Rebeka wysłuchiwała tego z podnieceniem: jej kuzynowie będą się przeprowadzali przez ten sam ocean, przez który rodzina Rebeki przeprowadziła się przed jej narodzinami? Naszła ją dziwna wizja, niczym sen, prędką jak mrugnięcie okiem, wizja, która rozwiała się bez śladu, zanim Rebeka zrozumiała ją do końca: urodzi się jeszcze jedna mała dziewczynka. Tak jak urodziła się ona sama. Czy to znaczyło, że kiedy Morgensternowie do nich przyjadą, będzie z nimi jakieś nowe dziecko?

Tak właśnie wydawało się Rebecce, że owszem, będzie nowe dziecko w domu. Ale wiedziała, że lepiej o tym nikomu nie wspominać, nawet mamie, bo już powoli do niej docierało, że niektóre rzeczy, które uważała za prawdziwe, to tylko marzenia zrodzone w jej głowie.

Herszel zauważył ponuro, że jak ci nowi ludzie *przyjadą*, to przecież nie starczy dla wszystkich miejsca.

– A już i tak żyjemy jak świnie.

Gus prędko odparł, że kuzyn Joel może spać razem z nim w jego łóżku.

A mama prędko odparła, że miejsca starczy dla wszystkich!

Papa nie wydawał się taki przekonany jak mama, martwił się bardziej niż ona, garbił się i przecierał oczy kłykciami, jak to miał w zwyczaju, przez co wydawał się strasznie zmęczony i stary, mówił, że tak, dom jest mały, ale on i jego szwagier postarają się może go powiększyć. Przerobi się drewnię na dodatkowy pokój. Leon jest stolarzem, mogą pracować do spółki. Właściwie to mógłby już zacząć razem z chłopcami, jeszcze przed przyjazdem Morgensternów. Trzeba tam posprzątać, wyrównać klepisko, ułożyć podłogę z desek. Zdobyć papę do izolacji.

– Papa! – parsknął Herszel. – Ze śmietnika czy jak?

Milę dalej, na Quarry Road, znajdowało się miejskie wysypisko śmieci. Herszel i Gus często tam buszowali, podobnie jak inne dzieci z sąsiedztwa. Czasami przywlekali różne przedmioty do domu, użyteczne przedmioty, na przykład dywaniki, krzesła, abażury, wyrzucone przez innych ludzi. Krążyły pogłoski, że Jakub Schwart też buszuje po wysypisku, choć nigdy wtedy, gdyby ktoś go mógł zobaczyć.

Wysypisko było jednym z tych miejsc, do których Rebecce zakazywano chodzić. Nawet z braćmi, a już szczególnie samej.

Mama powiedziała swym szybkim, ciepłym głosem, że urządzi ładniej wszystkie pokoje. Jakoś nigdy nie zabrała się do tego, co sobie zaplanowała, była taka zmęczona, kiedy się wprowadzili. A teraz powiesi zasłony. Sama je uszyje. Mama wzbudziła w swoich dzieciach lęk, bo nigdy wcześniej nie mówiła takich rzeczy. Uśmiechała się promiennym, nerwowym uśmiechem, pokazując przerwę między zębami, i przeczesywała włosy obiema dłońmi, jakby wplątały się w nie ćmy.

– Tak, sami zobaczycie. Wystarczy miejsca – zapewniała.

Herszel wzruszył ramionami ukrytymi pod koszulą, przy której brakowało połowy guzików, i stwierdził, że dom jest za ciasny, żeby mieszkało w nim, ilu ludzi? Dziesięciu?

– Dziesięciu ludzi jak w jakiej oborze, kurde, już teraz jest źle. Zastrany piec ogrzewa tylko ten pokój, woda ze studni capi skunksem, ja i Gus wiecznie na siebie włączymy w naszym pokoju, to jak tam jeszcze wsadzicie nowego brata? Jasna dupa.

Ręka papy strzeliła do przodu bez ostrzeżenia, prędko jak żmija miedzianka, i zdzieliła Herszela w skroń. Herszel zwinął się wpół, wyjąc, że pękł mu bębenek.

– Nie tylko on ci pęknie, jeśli nie zamkniesz swojej cholерnej jadaczki raz na zawsze.

– Och, proszę... – powiedziała błagalnym tonem mama.

Gus siedział skulony za stołem, nie ruszając się, bojąc się spojrzeć na ojca; powtórzył jeszcze raz, że Joel może z nim spać, że on się tam zgadza.

– Kto, do diabła, będzie z nim spał, przecież on co noc szczy w łóżko! – odezwał się głośno Herszel. – Jakby mu było mało, że śpimy w jednym pokoju jak świnię.

Tym razem jednak Herszel mówił to ze śmiechem. Rozcierał lewe ucho, demonstrując, że uderzenie ojca wcale go mocno nie zabolowało.

– Nic mnie to, kurde, nie obchodzi – mówił. – Ja w tym sraczu nie zostanę. Jeśli będzie wojna, to się zaciągnę. Kumple chcą się zaciągnąć, to i ja też, będę latał na samolotach i zrzucał bomby, jak ten, no... Blitz. Tak, ażebyście wiedzieli, że się zaciągnę.

Rebeka starała się nie słuchać tej wrzawy. Przyglądała się ukradkiem Freydzie, mojej siostrze Freydzie, która (prawie w to wierzyła!) przyglądała się z kolei jej. Teraz już się znały. Teraz już miały wspólne tajemnice. Rebeka odważyła się podnieść fotografię do światła, by w jakiś sposób do niej zajrzeć. Och, jak ona strasznie chciała zobaczyć stopy Freydy, dowiedzieć się, jakie nosi buty! Była dziwnie przeświadczona, że Freyda nosi ładniejsze buty niż ona. A to dlatego, że Freyda miała na sobie piękniejszą sukienkę niż wszystkie ubrania, jakie kiedykolwiek miała Rebeka. *Kaufbeuren*, pomyślała Rebeka, w *Niemczech, za morzem*.

Rebecę wydawało się, że tak, może zajrzeć choć trochę do wnętrza fotografii. Jej kuzyni stali na dworze, za jakimś domem. W tle rosły drzewa. W trawie krył się chyba pies z białymi łatkami na pyszczku, pies o spiczastym nosie, z wyprężonym ogonem.

– Freyda... – wyszeptała Rebeka.

Tak naprawdę było: Freyda miała włosy przedzielone schludnie na czubku głowy i zaplecione tak samo jak Rebeka. W dwa grube warkocze, takie same jak warkocze, w które zaplatała mama włosy Rebeki, często pełne kołtunów, podobnych do maleńkich gniazd pajaków zdaniem mamy. Mama zaplatała włosy Rebeki tak ciasno, że aż bolały ją skronie; mówiła, że to jedyny sposób, by je ujarzmić.

Jedyny sposób, by ujarzmić niesforną, małą dziewczynkę.

– Freyda.

Będą sobie wzajemnie rozczesywały i zaplatały włosy, obiecały to sobie!

Nadeszła pora, kiedy młodsze dzieci musiały iść spać. Herszel wypadł jak burza z domu, nie mówiąc już ani słowa, ale Gus i Rebeka chcieli jeszcze siedzieć, zadawać kolejne pytania na temat kuzynów z Kaufbeuren w Niemczech.

Nie, uciął ich papa. Schował fotografie do koperty, której Rebeka nigdy wcześniej nie widziała, z niebieskiego papieru cienkiego jak bibułka.

Ćmy wciąż fruwały wokół nagiej żarówki. Było ich teraz więcej, miały maleńkie, białe, ruchliwe skrzydła. Gus powiedział, że nie wiedział dotąd o żadnych kuzynach. Kurde, w ogóle nie wiedział, że w ich rodzinie są jacyś ludzie!

Tamtego lata przez chwilę nie była sama. Zapamiętała to na zawsze. Kiedy się bawiła, to nigdy sama, tylko ze swoją nową siostrą Freyda. Obie wiecznie o czymś paplały i szeptały sobie do ucha. Och, Rebeka już teraz nigdy nie była samotna! Nie musiała ciągle trzymać się swojej matki, nie musiała tak długo czepiać się kolan matki, aż wreszcie ta ją odpychała, skarżąc się, że za gorąco na takie wygłupy.

Herszel lubił dawać młodszej siostrze prezenty, rzeczy, które znajdował na wysypisku i przynosił dla niej do domu, w tym dwie lalki, które nazwała Maggie i Minnie, i teraz Maggie została lalką Freydy, a Minnie lalką Rebeki i wszystkie cztery bawiły się razem przy domu, wśród malw. Maggie była ładniejsza, dlatego Rebeka dała ją Freydzie, bo Freyda była ładniejszą z siostr i bardziej wyjątkową, bo pochodziła z Kaufbeuren w Niemczech, za oceanem. Maggie była lalką-dziewczynką, z plastikowymi włosami i szeroko otwartymi, niebieskimi oczyma, za to Minnie była zwyczajnym, nagim niemowlakiem z gumy, z łysą głową i zmurszałą, mopsowatą buzią, bardzo brudną. Herszel dał Rebecce Minnie w taki sposób, że podrzucił ją wysoko w górę, naśladując przy tym odgłosy płaczu niemowlęcia, i lalka wylądowała z głośnym łomotem pod nogami Rebeki, co tak ją przestraszyło, że aż się posiusiała. Kiedy Minnie robiła się niegrzeczna, można ją było ukarać w ten sam sposób, czyli ciskając ją na ziemię, z czego wychodziła bez szwanku, ale z Maggie tak się nie postępowało, bo Maggie mogła się popsuć, i dlatego Maggie była tą grzeczniejszą lalką i bez wątpienia mądrzejszą, bo starszą. I Maggie umiała też trochę czytać. Czytała stare gazety i czasopisma papy, podczas gdy Minnie była niemowlakiem i nawet nie umiała mówić. O takich właśnie sprawach Rebeka i Freyda szeptały bezustannie wśród dzikich malw, w skwarze samego środka dnia, aż w końcu mama wychodziła na zewnątrz, by przyjrzeć im się ze zdumieniem, z dłońmi wspartymi na biodrach.

Pytała Rebece, co ona, do licha, tam robi, na tym upale i kurzu, z kim tam rozmawia. Mówiła to wszystko ochrypłym, załamującym się, załęcznionym głosem, a z kolei Rebeka uparcie siedziała tyłem, czerwieniąc się i dając, za nic nie chcąc oderwać wzroku od lalek, jakby w ogóle nikt nic do niej nie powiedział.

Idź sobie! Idź sobie, Freyda i ja wcale cię tu nie potrzebujemy.

Za to poniedziałek był dniem prania i obie dziewczynki bardzo chciały pomagać.

Anna Schwart rzadko opuszczała kamienną chatkę i dlatego to był taki niezwykły dzień. Pospiesznie obwiązywała głowę chustką, by częściowo ukryć twarz, i nawet w bardzo upalne dni wkładała jedną z kurtek Herszela na swoją bezkształtną, domową suknię: dzięki temu jeśli ktoś ją podglądał (z cmentarza, zza walącego się kamiennego murku), to nie widział jej dokładnie. Jakub Schwart próbował nakłonić żonę, żeby się nie zachowywała tak dziwnie, bo przecież ludzie odwiedzający cmentarz na pewno ją widzieli, na pewno kręcili głowami i śmiali się ze stukniętej żony grabarza, ale Anna Schwart puszczała to mimo uszu, bo czy Jakub Schwart, mimo całego tego słuchania radia i czytania gazet, mógł coś wiedzieć o swoich sąsiadach z Milburn? Ona zaś owszem, wiedziała.

Tak czy owak brudne ubrania musiały zostać uprane w starej pralce ustawionej w szopie, potem przepuszczone przez wyżymaczkę i umieszczone w wiklinowym koszu, a z kolei ten kosz trzeba było zatargać na podwórko, gdzie świeciło słońce i wiał wiatr. Kosz pomagała nieść Rebeka. I ona, do spółki z Freyda, podawała rzeczy z kosza, by mama mogła je przypinać na starym sznurze uwiązanym między dwoma palikami, gdzie robiły pac-pac-pac w wietrzne dni. Rebeka rozśmieszała Freyde w ten sposób, że wkładała sobie podkoszulek na głowę, kiedy mama odwracała się akurat plecami, albo niby przypadkiem, a jednak specjalnie upuszczala parę szortów na trawę, udając, że wyslizgnęły jej się z rąk, ale Freyda zbierała podkoszulek i szorty, by podać je mamie, bo Freyda była grzeczną dziewczynką, Freyda była poważną dziewczynką, często przykładala palec do ust, mówiąc *Ciii!*, kiedy Rebeka hałasowała albo się wydurniała.

Tuliły się, miętosiły, obejmowały i czasami łaskotały w łóżku Rebeki. Rebeka przysuwała ciepłą, nagą rękę Freydy do swojego boku, do swoich żeber, przytulając się jeszcze mocniej, dzięki czemu mogła zasnąć i nie słuchać całą noc głosów z radia papy.

Och, to cudowne, senne rozmarzenie: Rebeka i jej nowa siostra Freyda idą razem do szkoły, w identycznych blezerach i bucikach z lśniącej skóry, najpierw przez Quarry Road, potem przez Milburn Post Road, pokonując półtorej mili do szkoły podstawowej w Milburn, trzymając się za ręce, jak przystało na siostry. I nie boją się, bo są we dwie. Ale niestety, mama stwierdziła, że tego roku jest jeszcze za wcześnie, nie chciała pozwolić, by Rebeka już poszła do szkoły. *Niech moja dziewczynka zostanie przy mnie jak najdłużej, nie chcę, żeby coś jej się stało.* Papa mówił, że Rebeka będzie musiała iść do szkoły, że będzie musiała zacząć pierwszą klasę, czemu nie tego roku, skoro zna już alfabet, liczby i prawie umie czytać, ale mama była uparta. *Nie. Jeszcze nie. Dopiero za rok. Jeśli przyjdą nas spytać, powiemy, że jest za mała, że nie jest zdrowa, że cały czas kaszle i płacze.*

Rebeka myślała tylko o jednym: Freyda będzie teraz ze mną. I Elżbieta.

Wszystkie trzy siostry będą razem chodziły do szkoły.

Czuła dreszcz triumfu, matka nie mogła jej teraz przeszkodzić.

To było takie dziwne, że podczas tych tygodni w lipcu 1941 roku w kamiennej chatce panowało podniecenie podobne do buczenia pszczół wśród kruchych kwiatów rdestu wężownika, blisko którego nie wolno się było bawić, bo te pszczoły mogły cię użądlić, i podobne też do tego mdlącego uczucia, gdy zbiegasz z pagórka i tak się rozpędzasz, że grozi ci upadek, a jednak nazwisko Morgenstern wypowiedano rzadko, a jeśli już, to tylko szeptem. Nazwisko Morgenstern oznaczało i dorosłych, i dzieci, mimo to Rebeka nie poświęciła ani jednej myśli rodzicom swych kuzynów. *Freyda!* Tylko to imię ją interesowało. Jakby ci pozostali nie istnieli, łącznie z Elżbietą i Joelem. A już szczególnie nie istnieli dorośli.

A zresztą, nawet jeśli ci Morgensternowie istnieli, to byli tylko obcymi ludźmi na fotografiach, mężczyzna i kobieta w otoczeniu wypranym z wszelkiego koloru, którzy sami zaczynali blaknąć niczym duchy.

Tak więc czekali, w kamiennej chatce dozorczy, zbudowanej tuż przy bramie cmentarza miasta Milburn.

Tak więc czekali, z początku cierpliwie, potem z coraz większym zdenerwowaniem i niepokojem przez drugą połowę lipca, wreszcie w strasliwym, parnym skwarze, który w pierwszych dniach sierpnia zaatakował Dolinę Chautauqua.

A jednak Morgensternowie, krewni Anny Schwart, nie przyjechali. Nikt nie przyjechał, ani wujek, ani ciocia, ani kuzyn, ani kuzynki. Nie przyjechali, mimo tych wszystkich przygotowań na ich przyjęcie, mimo że szopa została wysprządana, a w oknach zawisły firanki. I nastał w końcu taki dzień, taka godzina, kiedy wreszcie stało się jasne, że nie przyjadą, i Jakub Schwart pojechał do Milburn, żeby zadzwonić i upewnić się, że to prawda.

– Boga pytaj dlaczego: dlaczego dzieją się takie rzeczy. Nie mnie.

Głos ojca, który boleśnie dźgał ją w serce, tyle w nim było furii i wstydu.

Sprawiał, że czuła się bliska omdlenia, wręcz zamroczona, jakby deski podłogi kolebały się pod jej bosymi stopami, kiedy słyszała jego głos. A jednak pobrzmiwało w nim również osobliwe podniecenie. Swoista ulga, że zdarzyło się to najgorsze, którego spodziewał się od samego początku. On się nie pomylił tak jak Anna, która się łudziła jakimiś nadziejami.

– Zawrócili ich! Zawrócili dziewięciuset uchodźców, skazali ich na niechybną śmierć.

Poprzez szum w uszach i paniczne bicie serca Rebeka słyszała rodziców rozmawiających w kuchni. Słowa ojca, ostre i wyraźne, słowa matki, które nie były słowami, tylko niezrozumiałymi odgłosami, żalobnym lamentem.

Przeżyła wstrząs, gdy usłyszała płacz matki! Zduszone, okropne dźwięki, jakie mogłoby wydawać obolałe zwierzę.

Rebeka odważyła się pchnąć drzwi. W szczelinie zobaczyła tylko plecy ojca, w odległości kilku stóp. Był ubrany w koszulę przesiąkniętą potem. Poszarzałe włosy opadały poniżej kołnierzyka, tak przerzedzone na czubku głowy, że prześwitywała między nimi skóra niczym blady, połyskliwy półksiężyc. Mówił teraz niemalże spokojnym głosem, a jednak wciąż było w nim słyhać podniecenie, wulgarne zadowolenie. Bo już na nic nie liczył i tak już miało zostać. Nadzieja towarzysząca minionym tygodniom okaleczyła Jakuba Schwarta, który czekał z utęsknieniem na najgorsze, który strasznie chciał mieć już za sobą najgorsze, i swoje życie też. Rebeka była pięcioletnim dzieckiem, a jednak o tym wiedziała.

– Czemu nie zabić ich na statku, dlaczego nie podpalić statku? W porcie nowojorskim, żeby cały świat to zobaczył? Takie już żydowskie szczęście. Ci wszyscy chrześcijanie popełniliby przecież akt miłosierdzia, nie jest tak? Roosevelt, ten hipokryta i sukinsyn, oby jego dusza zgniła w piekle, powinien ich tam zabić, zamiast odsyłać, żeby ginęli jak bydło.

Rozpaczliwie chciała podbiec do matki, ale nie mogła, Jakub Schwart zagradzał jej drogę.

Odruchowo sięgnęła do dłoni Freydy. Od tamtego wieczoru, kiedy na kuchennym stole zostały ułożone fotografie, nie rozstawała się ze swoją siostrą. Były jak papużki nierozłączki! Obie tego samego wzrostu, obie nosiły warkocze, obie miały identyczne, ciemne oczy, osadzone głęboko, bystre i czujne. A mimo to teraz poczuła tylko powietrze, kiedy sięgnęła do dłoni Freydy.

Nie mogła już się odwrócić, zobaczyć, jak Freyda przykłada palec do ust – *Ciii, Rebeko* – bo sama Freyda stała się powietrzem.

Rebeka otworzyła drzwi na oścież i weszła do kuchni. Była na bosaka, cała się trzęsła. Zobaczyła, że ojciec obraca się w jej stronę z irytacją, z zaczerwienioną twarzą, ze wściekłymi oczyma, w których w tym momencie nie było śladu miłości do niej ani choćby śladu, że ją poznaje. Jąkała się, pytając, co się stało. Gdzie jest Freyda? To prawda, że Freyda nie przyjedzie?

Ojciec kazał jej wyjść, wynosić się stamtąd!

Rebeka zaczęła skomleć – *Mamo? Mamo!* – ale matka nawet na nią nie spojrzała, tylko odwróciła się w stronę zlewu, pochlipując. Kryła twarz w spierzchniętych dłoniach i płakała bezdźwięcznie, a jej miękkie, obwisłe ciało trzęsło się jakby z uciechy. Rebeka podbiegła do niej, chcąc pociągnąć ją za rękę, ale przeszkodził jej papa, który schwycił ją w żelazny uścisk.

– Co ja powiedziałem!

Rebeka podniosła na niego wzrok i zobaczyła wtedy, jak on jej nienawidzi.

Później miała się zastanawiać, co takiego zobaczył w niej Jakub Schwart: co takiego było w niej, w pięcioletnim dziecku, że tak nią gardził.

Jeszcze przez wiele lat była zbyt mała, by rozważyć taką oto możliwość: *On we mnie nienawidzi siebie. A także, choć w mniejszym stopniu: On nienawidzi życia, we wszystkich swoich dzieciach.*

Wybiegła na dwór. Potykając się, na bosaka. Cmentarz był miejscem zakazanym, nie pozwalano jej włóczyć się po cmentarzu wśród grobów, które sygnalizowały miejsce spoczynku zmarłych i stanowiły cudzą własność, własność tych ludzi, dzięki którym Jakub Schwart otrzymywał pobory; wiedziała, bo powtarzano jej to nieskończenie wiele razy, że ci ludzie nie życzą sobie, żeby jakieś dziecko błąkało się samopas po cmentarzu, który stanowi ich własność. Jej braciom też zakazywano wchodzić na cmentarz, chyba że mieli w czymś pomagać ojcu.

Rebeka biegła dalej, oślepiona łzami. W miejscu, gdzie ojciec schwycił ją za ramię, czuła pulsujący ból. *Freyda*, szeptała, ale to było na nic, wiedziała, że to na nic, że jest teraz samotna i że zawsze będzie samotna, bo nie ma żadnej siostry.

Na cmentarzu było pusto, nikt nie odwiedzał grobów. Wietrzne powietrze smakowało wilgocią, pomazana bielą kora brzoź lśniła nienaturalnym blaskiem. W koronach najwyższych drzew ochryple nawoływały się wrony. Nie było słycać głosu Jakuba Schwarta, nie było widać Anny Schwart, która łkała odwrócona tyłem, zupełnie załamana. Na cmentarzu zaś było tak, jakby nic się nie stało.

Okrzyki płonących pasażerów *Marei* – słyszała je. Taką wizję podsuwała jej pamięć: ktoś podpalił *Mareę*, widziała pożar na własne oczy, widziała, jak jej siostra Freyda płonie żywcem.

Dlaczego?

Boga pytaj dlaczego: dlaczego dzieją się takie rzeczy. Nie mnie.

Przestraszona ukrywała się na cmentarzu przez wiele godzin.

Nikt jej nie wołał po imieniu. Nikt za nią nie tęsknił.

Poprzedniego dnia odbywał się czyjś pogrzeb, z udziałem procesji samochodów i karawanu wiozącego trumnę w stronę otwartego grobu, starannie przygotowanego przez Jakuba Schwarta. Rebeka przyglądała się z daleka żałobnikom; naliczyła dwudziestu dziewięciu tych ludzi, z których część została przy grobie, jakby za nic nie chcieli odejść, a kiedy wreszcie odeszli, pojawił się Jakub Schwart, odziany na ciemno, milczący jak ptak padlinożerca, by zamknąć grób, sypać na trumnę wilgotną ziemię tak długo, aż była tam już tylko ziemia, potem pagórek z ziemi, wreszcie gładka, granitowa płyta, na której wygrawerowano jakieś litery, cyfry. I jeszcze kwiaty w donicach, pieczołowicie ustawione w równych odległościach dookoła prostokątnego grobu.

Rebeka szła w stronę tego grobu, który znajdował się w sporej odległości od kamiennej chatki. Była na bosaka, kuśtykała. Skaleczyła lewą stopę o kamień. Latem była tak opalona, że wyglądała jak indiańskie dziecko, płochliwe i często brudne, z warkoczami, z których wymykały się pojedyncze pasma. Nic dziwnego, że takiemu dziecku nie pozwalano błąkać się po cmentarzu, gdzie mogła straszyć i denerwować odwiedzających groby.

Dopiero kiedy zobaczyła odjeżdżającego pick-upa ojca, wyszła z ukrycia i wróciła do domu, do matki. Przyniosła jej bukiet z pięknych, jasnoniebieskich kwiatków, które odłamała od jednej z roślin w donicach.

Od tamtego dnia w kamiennej chatce przy cmentarzu Milburn nie wymawiało się takich słów, jak: kuzyni, Morgenstern, statek, *Marea*. A już pod żadnym pozorem nie należało wypowiadać słów Kaufbeuren, ciocia Dora, Freyda, Niemcy. W każdym razie nie w zasięgu słuchu mamy; mama, w swym znerwicowanym stanie, nie mogła nawet sobie wyobrazić, że je usłyszała. I nie mógł ich także usłyszeć papa, bo wtedy wpadłby w jeden ze swych szałów wściekłości.

Rebeka pytała braci, co się stało. Co się stało z ich kuzynkami i kuzynem? Czy *Marea* została podpalona? Ale Herszel tylko wzruszał ramionami i z krzywym grymasem odpowiadał, że skąd on to, kurwa, ma wiedzieć, w ogóle nie wierzył, że ktoś przyjedzie do Milburn, i to z za oceanu, w którym teraz pełno łodzi podwodnych i bomb. I jeszcze te kłopoty z cholernymi wizami, papa też się o nie denerwował.

– No weź zrozum, nie ma miejsca dla wszystkich. Tych ludzi, którzy mają jeszcze gorzej od nas, to są chyba miliony. To tak jak z tym zasranym domem, widać, że już nikt więcej tu się nie wciśnie! Ty to widzisz, to i ci od imigrancji w Ju-Es-Ej też to widzą.

Rebeka spytała, kim są ci od imigrancji w Ju-Es-Ej.

– Coś jak policja. Albo żołnierze. Muszą strzec kraju, żeby nie przyjechało tu za wielu uchodźców. Ludzie próbują zwać przed Hitlerem, nie ma co ich winić. Ale tych tutaj też nie ma co winić, że przeganiają stąd tych, co zwiewają. Za cholerę nie rozumiem, czemu nas wpuścili – dodał Herszel, drapiąc się po kroczu. – Ja to się zaciągnę do marynarki, jak tylko będę mógł. Mam nadzieję, że już niedługo będzie wojna.

Koniec lata 1941 roku i lwią część jesieni mama przeleżała w łóżku. Albo spała, albo leżała, nie śpiąc, ale z zamkniętymi oczami, albo leżała, nie śpiąc, z oczami otwartymi, ale nieprzytomnymi, pokrytymi dziwną, cienką błonką, jakby z zaschłej ropy. Kiedy Rebeka szeptała do niej – *Mamo?* – zazwyczaj nie słyszała odpowiedzi. W najlepszym razie mama trzepotała powiekami, jakby jakaś mucha przeleciała zbyt blisko.

Drzwi sypialni były przeważnie zamknięte przed rodziną, tyle że oczywiście papa mógł tam wejść w dowolnej chwili (w kamiennej chatce nie było takiego miejsca, w którym można się było odgradzić od Jakuba Schwarta). I czasami Rebeka z wahaniem przynosiła matce jedzenie, a na wychodnym zabierała brudne talerze i szklanki, które sama potem myła, stojąc na krześle ustawionym przed zlewem w kuchni. Sypialnia była niewielka, starczyło w niej miejsca tylko na podwójne łóżko i komodę. I do tego duchota, smród, wilgoć jak w jakiejś pieczarze. Mama nie godziła się, by bodaj trochę uchylić okno. Tak jak przedtem czuła smak śmierci w wodzie ze studni, tak teraz czuła zapach śmierci w wilgotnym, zielonkawym powietrzu cmentarza. Naddarta, spłowiła roleta była zsunięta przez cały dzień i całą noc, więc nikt nie mógł zajrzeć do środka.

Bo ci ludzie doskonale wiedzieli, co spotkało Schwartów w ich kamiennej chatce na cmentarzu. Całe Milburn w stanie Nowy Jork doskonale o tym wiedziało. Na pewno do wszystkich dotarło, że *Marea* została zawrócona z nowojorskiego portu, i teraz zaśmiewali się swym okrutnym, chamskim śmiechem niczym hieny. Chcąc nie chcąc, człowiek to sobie wyobrażał, jak się nabijają, kiedy rozmawiają o „pani Schwarz”, o „pani Warts”, o „żonie grabarza”, która dużo wcześniej przestała się pokazywać na mieście i powszechnie

uważano, że choruje na jakąś wyniszczającą chorobę typu gruźlica, rak mózgu, rak macicy.

Kiedy Jakub Schwart był trzeźwy, wchodził do pokoju chorej żony z ostentacyjnym milczeniem, potem w milczeniu się rozbierał, w milczeniu zapewne spał obok nieruchomego, mięsistego, spoconego cielska tej kobiety i wczesnym rankiem, o bladym świetle wstawał, ubierał się i wychodził. Nie wezwano żadnego lekarza, bo Anna Schwart wrzeszczała i walczyła jak spanikowany, dziki kot, gdyby jakiś obcy człowiek próbował wdrzeć się do jej azylu, a zresztą Jakub Schwart jakoś nie uważał jej za aż tak chorą, by potrzebowała lekarza. Oszczędność weszła mu w nawyk, nawet nie musiał się zastanawiać nad frazesami, które czerpał z całego mrowia formuł słownych dostępnych w języku wciąż dla niego nowym i trudnym: *Dolary nie rosną na drzewach. Nie pożądaj, a nie będziesz trwoniał.*

Kiedy papa pił, robił się hałaśliwy, agresywny i wpadał na różne sprzęty, co Rebeka słyszała ze swojego łóżka, na którym leżała z otwartymi oczami, w ciemnościach, czekając, aż stanie się coś, co miało się stać dopiero za osiem lat. Zdarzało się też, że papa robił się po pijanemu rzewny i wiódł z sobą rozmowy od serca. Przeklinał i śmiał się. Ze strony Anny Schwart nigdy nie było żadnej słyszalnej reakcji. Kiedy uwalął się ciężko na łóżko, rozlegało się skrzywienie sprężyn, jakby to łóżko zaraz miało się załamać, a potem następował atak kaszlu, rytmicznego, flegmowego. Papa prawdopodobnie nie zwracał sobie głowy rozbieraniem, nawet nie zdejmował swych ubłoconych butów roboczych, bo nie był w stanie rozplatać przekłębionych sznurowadeł. Po jego śmierci te wykoślawione robocze buty trzeba było pociąć nożem, bo niczym podkowy wrosły w jego ciało.

W kamiennej chatce nie było już wspólnych posiłków, tylko przypadki samotniczego, często żarłocznego jedzenia. Bywało, że jadło się prosto z ciężkiej, żeliwnej patelni, która zasadniczo cały czas stała na płycie kuchennej, z na stałe wżartym tłuszczem, przez co w ogóle nie trzeba było jej czyścić. Gotowało się też owsiankę, w garnku, którego nigdy nie myto. Jadło się chleb, pajdy i skórki chleba, a także krakersy Ritza, całymi garściami; było jedzenie w puszkach – groszek, kukurydza, buraczki, kiszona kapusta, czerwona fasola i fasola w sosie pomidorowym, wszystko łąpczywie wyjadane prosto z tych puszek. Na pobliskiej farmie kupowało się świeże jajka, które potem smażyło się na patelni, w ogromnych ilościach tłuszczu, i było też świeże mleko w butelkach, które trzymano w chłodziarce, obok powoli topniejącej bryły lodu, bo Jakub Schwart uważał, że dzieci powinny pić mleko („Żeby wasze kości nie gięły się tak i nie łamały jak moje”). Kiedy był trzeźwy, sam chętnie sięgał po mleko, które pił prosto z butelki tak jak piwo, przełykając je chciwie, z pozoru wcale się nim nie rozkoszując czy wręcz nie czując smaku, z głową odrzuconą w tył i z szeroko rozstawionymi nogami, w klasycznej pijackiej pozycji. Zaczął żuć tytoń, przez co mleko, które nadpił, często potem smakowało śliną o smaku tytoniu.

Rebeka dławiała się, pijąc to mleko. Przeważnie była taka głodna, że nie miała wyboru.

Z czasem Anna Schwart powstała z łoża boleści i w ograniczonym zakresie podjęła na nowo obowiązki pani domu i matki. Z czasem, w związku z katastrofą w Pearl Harbor 7 grudnia 1941 roku i długo oczekiwanym wypowiedzeniem wojny przez Stany

Zjednoczone państwowi Osi, Jakub Schwart odzyskał część swojej dawnej, rozjątrzonej energii.

– W świecie zwierząt nie ma miejsca dla słabych. Dlatego musisz ukrywać swoją słabość, Rebeko

Tak, papo.

– Kiedy ci ludzie będą pytać, skąd jesteś, z jakiego narodu się wywodzi twoja rodzina, masz im mówić: „Z Ju-Es-Ej. Tu się urodziłam”.

Tak, papo.

– Dlaczego ten świat to taka kloaka! Spytaj tego, który rzuca kości! Bo człowiek to nic więcej jak kości. Człowiek to tylko cień, który przemyka po dnie oceanu. – Przesadnym gestem przyłożył pobliznioną, spierzchniętą dłoń do ucha. – Słyszysz to? Hę? Ten łomot skrzydeł? „Sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu”.

Uśmiechnęła się blado. Tak, papo. Tak.

Zastanawiała się: Naprawdę jest jakaś sowa? Rzeczywiście, nocami wśród koron najwyższych drzew rozlegało się czasem pohukiwanie sów: przenikliwy, upiorny krzyk złożony z gwałtownie opadających nut, który sygnalizował obecność sów. Nie miała jednak pojęcia, co to takiego ta Minerva.

Oddech papy, cuchnący alkoholem i czymś jakby rozmokłym, słodkawo-zgniłym, też przyprawiał ją o mdłości. Jego zeszywniałe od brudu ubranie, niemyte ciało. Tłuste włosy, niechlujne wąsiska. A jednak nie potrafiła od niego uciec. Nie odważyła się od niego uciec. Bo z wszystkich jego dzieci właśnie ona, malutka, ta niechciana powoli stawała się ulubienicą Jakuba Schwarta. Synowie go rozczarowali, często nie mogli ścierpieć ich widoku. Herszel był ponurym brudasem, który nie znosił pomagać ojcu na cmentarzu za darmo; Gus wyrastał na chuderlawego chłopaka o patykowatych rękach i nogach, wiecznie mrużącego oczy, jakby się bał, że skądś spadnie na niego cios. (Kiedy ich matka zamknęła się w sypialni, Gus przestał o niej mówić i wiele tygodni później, kiedy stamtąd wyszła, odwracał oczy na jej widok, jakby poryta zmarszczkami twarz Anny Schwart go denerwowała, zawstydziała.)

I w takie wieczory papa zwracał się do niej, do malutkiej, brał ją za ręce i przyciągał do siebie, śmiejąc się, przekomarzając, szepcząc do niej takie dziwne, wydumane rzeczy, których nie rozumiała, więc jak miała stawić opór, jak miała przed nim uciec, och, nie mogła!

I była jeszcze mama, która jakimś sposobem wcale się nie zmieniała. Bodajże już do końca dzieciństwa Rebeki nie zaszła w niej żadna zmiana.

Niemniej od czasu, gdy zapadła na swoją tajemniczą, przewlekłą chorobę, coraz bardziej oddalała się od rodziny. Swoich synów, niezdarnych chłopców o nieproporcjonalnych ciałach, zdawała się prawie nie zauważać, ale oni zauważali ją aż nadto i na dodatek wstydzili się jej, typowo dla dorastających chłopców, dla których taki fizyczny, seksualny byt to byt dominujący. Bo Anna Schwart miała takie bujne ciało, które jakby rozsadało jej domową suknię, a do tego obfite, obwisłe i obdarzone wydatnymi sutkami piersi, rozdęty brzuch oraz nogi poryte żyłakami i spuchnięte w kostkach – jak jej synowie mogli oderwać od niej wzrok? Dla odmiany twarz zachowała stosunkowo młodzieńczy wygląd, zwłaszcza z tą zaróżowioną jakby od gorączki cerą. Mama była

chorobliwie nieśmiała i wiecznie się bała, że ktoś ją będzie podglądał, a jednak ku konsternacji synów wydawała się niepomna tego, jak wygląda, kiedy wiesza pranie na wietrze, który uwypuklał zarysy jej pleców, pośladków i ud w byle jak pozapinanym ubraniu. Umierali ze wstydu, gdy patrzyli na swoją rodzicielkę, nieodmiennie kręcącą się na zewnątrz akurat wtedy, gdy kondukt żałobny mijał kamienną chatkę, z jakąż bolesną powolnością. Herszel narzekał, że cycki mamy przypominają krowie wymiona, czemu se nie kupi cyckonosza jak inne baby, czemu czegoś z sobą nie zrobi?, a Gus wtedy protestował, że mama nic na to nie może poradzić, przez te jej nerwy, Herszel powinien o tym wiedzieć. Herszel odpowiadał wtedy, że, kurde, już on dobrze o tym wie, ale to i tak nikomu nie pomoże.

Rebeka nie zwracała aż takiej uwagi na wygląd matki. Anna Schwart tak ją fascynowała, przerażała i martwiła, że do Rebeki ledwie docierało, jak ona może się jawić w oczach innych ludzi. Czuła dzielący je dystans, nawet w ciasnych izdebkach kamiennej chatki. Podczas posiłków spocona, rozgrzana twarz mamy była nieobecna, czymś pochłonięta; w jej oczach czaiło się dziwne, rozmarzone spojrzenie, jakby we wnętrzu swojej głowy słyszała głosy, których nikt inny nie słyszał, zdecydowanie bardziej interesujące niż wulgarne, kłótlive rozmowy rodziny. W takich momentach Rebeka czuła ukłucie straty i zawiści. Niemalże nienawidziła matki za to, że porzuciła ją na pastwę innych ludzi, ojca i braci! Podczas gdy ona pragnęła przede wszystkim matki.

Bo Rebeka nie miała już siostry. Straciła Freyde nawet we snach. I zgodnie z dziecięcą logiką za tę stratę obwiniła Annę Schwart. Jakim prawem ta kobieta opowiadała o „swoich siostrzenicach i siostrzeńcu, o małych kuzynach”? Jakim prawem pokazała im te fotografie, a teraz chodziła cała wyniosła i nieobecna!

Szczególnie zaś Rebeka nie znosiła matki za to gadanie do siebie. Dlaczego mama nie porozmawia z nią, zamiast z tymi widmami, które przywołują uśmiech na jej twarzy, podczas gdy jej rodzina tego nie potrafi. Rebeka nieraz słyszała, jak ukryta w sypialni matka mamrocze, śmieje się ze smutkiem, wzdycha. Że kiedy wrzuca pełne naręcze drewna do pieca, hałaśliwie pompuje wodę z ręcznej pompy przy zlewie, odkurza postrzępione dywany, to gada do siebie monotonnym, acz ożywionym głosem niczym woda ciurkająca po kamieniach. *Ona rozmawia ze zmarłymi*, zrozumiała z czasem Rebeka. *Ona rozmawia z tą swoją rodziną, która została w Niemczech*.

Pewnego zimowego dnia mężczyźni wrócili do domu i odkryli, że mama pozdejnowała zasłonki z okien. Te same zasłonki, które z takim zapalem szyła w lipcu. W kuchni zawisły wtedy zasłonki przymarszczane i żółte jak żonkile, w saloniku bladuróżowe, cienkie, gdzie indziej w kwiciasty wzorek.

Dlaczego? Bo już czas najwyższy, odparła mama.

A kiedy ją spytano, o co jej, kurde, się rozchodzi, odpowiedziała bez cienia irytacji, że już był czas najwyższy zdjąć te zasłonki, bo chce wykorzystać je na szmaty, a szmaty nie powinny się kurzyć, bo przecież będą służyły do odkurzania.

I buch do torby na szmaty ukrytej w szafie, wypchanej łupami Anny Schwart! Jakub Schwart żartował na użytek dzieci, że któregoś dnia sam trafi do tej torby, znaczy się jego kości obrane do czysta.

Herszel i Gus mieli nietęgę miny, ale śmiali się. Rebeka tak długo obgryzała paznokieć, aż rozkrwawiła sobie palec, bo matka zamiast coś powiedzieć, po prostu gapiała się z uśmiechem w podłogę.

A jednak po jakimś czasie się ocknęła i spytała, lekceważąco przy tym chichocząc, komu by zależało na takich starych, dziurawych kościach. Bo jej nie.

Gardzisz mną, no powiedz, odparł zimno papa.

Powiem ci coś, mamó, dodał równie zimno. Kupię sobie broń. Dubeltówkę. Będiesz mogła rozwalić łeb Jakubowi Schwartowi, mamó. Obryzgasz jego mózgiem swoją drogocenną ścianę.

Ale matka Rebeki już gdzieś sobie poszła, obojętna na to, co miał do powiedzenia.

Tamte godziny, samotne, mimo że już chodziła do pierwszej klasy. Kręciła się przy matce jak jakiś szczeniak. W nadziei, że może usłyszy: Pomóż mi w tym, Rebeko. Albo: Rebeka, chodź no tutaj! I wtedy Rebeka przybiegłaby natychmiast, w podskokach.

Tamte lata. Rebeka zapamiętała, jak pracowały razem, często w milczeniu. Przez całe jej dzieciństwo aż do trzynastych urodzin, kiedy Anna Schwart umarła.

Rebeka mówiła potem, że ona umarła. Bo nie chciała mówić: *Zginęła*.

Bo nie chciała mówić: *Została zamordowana*.

A jednak podczas tych wszystkich lat (szykowania posiłków, sprzątania po posiłkach, prania, odkurzania, szorowania i trzepania dywanów) nigdy nie rozmawiały o poważnych rzeczach. Nigdy o rzeczach, które miały zasadnicze znaczenie.

Matka Rebeki ożywiała się, w jej głosie brzmiała nuta zainteresowania tylko wtedy, gdy przestrzegała Rebekę przed niebezpieczeństwem.

Nie włącz się po drodze! Trzymaj się z daleka od ludzi, których nie znasz! A nawet jeśli ich znasz, nie wsiadaj do ich samochodów albo ciężarówek! I nie chodź nad kanał! Tam rybacy łowią ryby, tam są mężczyźni, którzy pływają na łodziach.

Zrozum, nie chcę, żeby coś ci się stało, Rebeko. Sama będziesz sobie winna, jeśli coś ci się stanie.

Zrozum, jesteś dziewczynką.

Uważaj w tej swojej szkole, dziewczynkom w szkole dzieją się najróżniejsze rzeczy. Wiele rzeczy. Okropnych rzeczy. Jeśli chłopcy będą cię chcieli zwabić na przykład do piwnicy czy w jakieś inne miejsce albo zaczają się w rowie, to bierz nogi za pas, zrozum, jesteś dziewczynką.

Mama rozpędzała się, wpadała w pasję, kiedy mówiła tak długo. W żadnych innych sytuacjach nie mówiła tak długo. Ostrzegała też, by Rebeka nie popełniła tego błędu i nie włączyła się za braćmi, bo to są chłopcy; mogą uciec i zostawić ją gdzieś, a przecież jest dziewczynką.

Rebeka z czasem zaczęła uważać, że to coś w rodzaju rany. Bycie dziewczynką.

Szkoła! Niezwykłe zdarzenie w młodym życiu Rebeki.

Matka zawzięcie się sprzeciwiała. Do ostatniego dnia próbowała zatrzymać ją w domu. Bo Rebeka musiała pokonywać samotnie pół mili po Quarry Road, zanim spotkała inne dzieci, a zresztą mama nie ufała tym innym dzieciom, bo one mieszkały w walącej się chałupie blisko miejskiego wysypiska śmieci.

Za to samą szkołą Rebeki mama zupełnie się nie interesowała, tylko tymi zagrożeniami istniejącymi w teorii. Tak to wręcz wyglądało, jakby przez to, że zagrożenia się nie materializowały, gardziła szkołą, podobnie jak gardziła Milburn i swymi sąsiadami. Oczywiście nie przychodziła do szkoły tak jak inni rodzice. (Jakub Schwart też tego nie

robił.) Żadne z rodziców Rebeki nie robiło nic więcej prócz zerkania okiem na świadectwa córki. Musiały minąć całe lata, zanim do Rebeki dotarło, że jej matka nie potrafi czytać po angielsku i dlatego traktuje wszelkie druki ze wzdargą: potrafiła wyrzucić podręczniki Rebeki razem ze starymi gazetami i magazynami swojego męża, miały dla niej tak niewielkie znaczenie. Czasami tylko zdarzało jej się spojrzeć przelotnie na fotografie. Któregoś razu Rebeka zobaczyła ją w kuchni, jak przyglądała się fotografii zamieszczonej w czasopiśmie „Life”, przedstawiającej zakrwawione, po części nagie ciała mężczyzn, kobiet i dzieci, leżących wśród ruin w jakimś dalekim mieście. Kiedy Rebeka podeszła bliżej, chcąc przeczytać podpis, matka zabrała gwałtownie czasopismo i trzepnęła nim Rebeke w twarz.

– Nie. Dziewczynka nie powinna na to patrzeć. Jesteś niegrzeczna.

Któregoś razu widziałam na własne oczy, jak zabijała węża motyką, a przecież zawsze twierdziła, że strasznie boi się węży. Wieszaliśmy pranie na sznurze i spod domu wypełzła żmija miedzianka, w odległości jakichś dwunastu cali od moich nóg, i mama, nic nie mówiąc, poszła po motykę, która stała oparta o ścianę domu, i zaczęła siekać; jak obłąkana siekała tę żmiję i siekała, aż wreszcie żmija zdechła, cała zakrwawiona i poskręcana.

W pierwszej klasie podstawówki Rebeke uczyła panna Lutter, która pierwszego dnia lekcji przedstawiła się jako chrześcijanka. Była chudą kobietą o włosach barwy kurzu i zębach, które przy uśmiechu wystawały jej z ust. Powiedziała Rebecie i pozostałym dzieciom, że ich dusze to „maleńkie płomyczki” płonące w ich ciałach, w okolicy serca; te płomyczki nigdy nie wygasną jak zwyczajny ogień.

Rebeka, która nigdy wcześniej nie słyszała czegoś takiego, wiedziała natychmiast, że tak musi być.

Bo przecież piec na węgiel i kuchnia na drewno w domu Schwartów zawsze podtrzymywały ciepło w ich domu podczas najcięższych mrozów, a zatem płomyczki ukryte w człowieku sprawiały, że on też nie zamarzał. Rebeka niemalże widziała te płomyczki w swoim ojcu i matce, płonące w ich oczach, a jednak wiedziała, że nie wolno jej o tym im mówić. Głosy autorytetów spoza ich rodziny doprowadzały ich do pasji.

Wszelkie poglądy tych ludzi przekazywane ich dzieciom doprowadzały ich do pasji.

Ja w sobie też mam taki płomyczek.

To objawienie bardzo uszczęśliwiło Rebeke; żałowała, że nie może się nim podzielić ze swoją siostrą Freydą.

Rebeka Estera Schwart.

Nabijał się z niej, prawda? Z jej nazwiska? Czy z tego, kim była?

Bo czuła oddziaływanie tego nazwiska, tu, pośród tych obcych ludzi. Ostro brzmiąca ostatnia sylaba biła po uchu niczym cios zadany szpadlem.

– Rebeka, jesteś tutaj?

Panna Lutter trąciła ją. Ocknęła się z transu, wstała i cała drząc, ruszyła w stronę przejścia między krzesłami, a stamtąd ku oświetlonemu podium. Ryk krwi w jej uszach mieszał się z oklaskami publiczności – jakże głośnymi! Przypominały trzaskanie płomieni. Rzędy obcych ludzi, tych ludzi, jak by ich z pogardą nazwał papa, a jednak uśmiechali się do niej z podobnym entuzjazmem, z jakim ją oklaskiwali, jakby podczas tych kilku sekund ich życia ciemnowłosa, cygańska z wyglądu dziewczyna Schwartów, córka grabarza, nie była postacią, nad którą należało się litować.

– Rebeko? Gratuluję.

Była zbyt przestraszona, by wymamrotać, że dziękuje. Nie widziała wyraźnie twarzy człowieka, który do niej przemawiał, tylko połyskujące okulary, pasiasty krawat; powiedziano jej wcześniej, jak on się nazywa i kim on jest, ale oczywiście zapomniała. Rozpaczliwie wyciągnęła rękę w stronę tego czegoś, co wręczał jej ten pan – ciężka księga, jakiś słownik – i wtedy ludzie na widowni zachichotali z rozbawieniem, bo omal nie upuściła księgi, bo nie przewidziała, że będzie taka ciężka. Pan w połyskujących okularach zaśmiał się i schwycił książkę – „Hopsa, panienko!” – po czym wręczył jej nagrodę w bardziej bezpieczny sposób i w tym momencie spostrzegła, że on przygląda jej się z ciekawością, jakby ją sobie zapamiętywał, „tę dziewczynę od Schwartów, córkę grabarza, biedne dziecko, które wygląda jak jakaś dzikuska”.

Zamroczona wstydem i zagubieniem, potykając się, zeszła ze sceny i wróciła do swojego rzędu, na swoje miejsce, gdzie uśmiechała się do niej pani Lutter, gdy tymczasem tamten pan wywołał kolejne nazwisko.

To był kwiecień roku 1946. Miała dziesięć lat, wygrała Konkurs Ortograficzny szkół podstawowych miasta Milburn. Reprezentowała swoją podstawówkę, to był okręg numer 3. Przez wiele tygodni wkuwała długie listy słów. Takich słów jak: rozrzutny, odczynnik, pochopny, epitet, dysforia, cenzura, codzienny, lapidarium, płaczliwy, nieruchomy, nieruchawy, nieporównywalny, nowo powstały, ohydny, mównica, ponury, bładzić, nękać, bezbożny, forte, flejtuch, prorocstwo, wróżba, uprzedzać, rezygnować, wskrzeszać, genealogia, świętokradczy, nadęty, gnomiczny, pokrętny, dzielny, ewentualność, autarchia, arogancki, chwalba. Podobnie jak inni uczniowie, którzy uczyli się pisowni tych wyrazów, Rebeka miała mętne pojęcie, co one oznaczają. To były tajemnicze dźwięki, sylaby, które równie dobrze mogły pochodzić z jakiegoś obcego języka. Cała zabawa polegała na tym, żebyś nauczyć się je pisać. Ale jednocześnie sprawiała, że się denerwowałaś, wierciłaś i pociłaś przez całą noc. Panna Lutter twierdziła uparcie, że Rebeka mogłaby stawać w zawody z uczniami gimnazjum, tak więc ze strachu, że jej się nie powiedzie i że rozczaruje swoją nauczycielkę, Rebeka wykuła wszystkie

słowa na pamięć, wygrała z innymi dziećmi, a teraz panna Lutter była z niej dumna i ścisnęła jej złodowaciałą dłoń, dzięki czemu ryk w jej uszach zaczął ustępować.

A jednak później przypomniała sobie, że szukała ich wzrokiem na widowni, na tyłach szkolnej auli, wiedząc, że oczywiście nie przyszli. Ani jej matka, Anna Schwart, ani jej ojciec, Jakub Schwart. W życiu nie przyszliby do takiego publicznego miejsca, by patrzeć, jak nagradzają ich córkę. Po ceremonii niczym lękliwe zwierzę lawirowała przez hol liceum, gdzie zorganizowano przyjęcie na rzecz laureatów konkursu, z udziałem ich krewnych, nauczycieli i innych dorosłych. Była niezdarna i speszona w ich obecności, samotne dziecko bez rodziny. Czuła, jak z urazy i wstydu piecze ją twarz. A jednak wiedziała, że rodzice gardziliby tym miejscem i zebranymi w nim ludźmi.

Nie wolno ci ufać tym ludziom, to nasi wrogowie.

– Rebeka? – wołano ją po imieniu, ale nie spodziewano się, że ona to usłyszy pośród wrzawy głosów i śmiechu. Szła już w stronę bocznych drzwi z napisem WYJŚCIE.
– Rebeka Schwart? Proszę, podejdź tutaj.

Ktoś złapał ją za rękę. Została otoczona wiankiem dorosłych. Jakaś kobieta z włosami jak hełm z brązu i wścibskimi oczyma. Był tam również mężczyzna w połyskliwych okularach i z krawatem w paski, dyrektor liceum, który ujął ją silnie pod łokieć i doprowadził do grupy uczniów i dorosłych, których właśnie fotografowano do „Milburn Weekly Journal” i „Chautauqua Valley Gazette”. Rebeka, najmłodsza i najmniejsza z wszystkich laureatów konkursu, musiała stanąć na przedzie, w samym środku. Kazano jej się uśmiechnąć, więc się uśmiechnęła. Błysnęły flesze. Nadal się uśmiechała zaskoczonym, krzywym uśmiechem i flesze znowu błysnęły. Słyszała i jednocześnie nie słyszała pomruku rozmowy, która toczyła się nie do końca poza zasięgiem jej słuchu.

– Ta dziewczyna Schwartów... gdzie jej rodzice?

– Nie ma ich tutaj.

– Czemu nie, na litość boską?

– Po prostu nie.

W tym momencie Rebeka została puszczona wolno i ruszyła w stronę wyjścia. Gdzieś za jej plecami wołała do niej panna Lutter – „Rebeko, może cię podwieźć do domu?” – ale tym razem już się nie odwróciła.

Nie zamierzała pokazywać im słownika. Ani w ogóle nikomu w domu. Powiedziała ojcu o konkursie i o ceremonii rozdania nagród, ale ledwie jej słuchał. Matka też nie słuchała. A teraz postanowiła ukryć słownik pod łóżkiem, bo wiedziała, jak bardzo będą nim gardzić.

A poza tym istniało jeszcze niebezpieczeństwo, że mogliby go wrzucić do pieca.

Sporo wcześniej Jakub Schwart żywił nadzieję, że jego synowie świetnie sobie poradzą, ale Herszel zupełnie sobie nie poradził i Gus raczej też nie, więc zobojętniał w kwestii edukacji swoich dzieci i okazywał lekceważenie dla podręczników Rebeki; przeglądał je czasami, twierdząc, że to jakieś bajki, śmieci. Gazety i czasopisma, które znosił do domu, zazwyczaj czytał dokładnie, z perwersyjnym zapałem, a jednak też je traktował jako śmieci. Od czasu, gdy wojna dobiegła końca, nie słuchał radia po kolacji i pozostałym członkom rodziny też nie pozwalał słuchać. „Słowa to kłamstwa”, często wygłaszał takie oświadczenie, krzywiąc się przy tym z samozadowoleniem. Jeśli akurat żuł tytoń, to dodatkowo spluwał.

Tyle rzeczy od czasu wojny uważał za żarty. A jednak nie zawsze dawało się przewidzieć, co jest dla niego żartem, a co nie. Pod wpływem czego będzie się śmiał tak serdecznie, że aż dostanie ataku kaszlu. Albo co wkurzy papę.

Na przykład coś w gazecie.

Potrząsał pierwszą stroną gazety, z twarzą wykrzywioną drwiną i oburzeniem, albo wręcz uderzał pięścią w płachtę papieru, rozplaszczając ją na stole kuchennym przykrytym ceratą. Szczególne obrzydzenie żywił do gubernatora stanu Nowy Jork, małego człowieczka o lśniących, czarnych włosach i czarnych wąsach; na widok podobizny gubernatora jego usta zaczynały się poruszać z bezsłowną furią. Dlaczego dokładnie, tego nikt w rodzinie nie wiedział. Jakub Schwart gardził republikanami, ale przede wszystkim gardził Franklinem Delano Rooseveltem, a przecież to był demokrat. Rebeka starała się zapamiętywać te nazwiska poprawnie. To, co miało takie znaczenie dla papy, musiało mieć również jakieś znaczenie dla niej.

Ci ludzie. Nasi wrogowie. Jesteśmy dla nich błotem, które muszą zdrapywać z butów.

– Co to jest, do cholery? To ty?

To był wstrząsający moment: papa cisnął „Milburn Weekly” na stół, rozplaszczając go pięścią i patrząc groźnie na córkę.

Był oburzony, obrażony. Rebeka rzadko widywała go podobnie wyrażonego z równowagi. A zdenerwował się, bo na grupowej fotografii, zamieszczonej na pierwszej stronie gazety wypatrzył „Rebekę Esterę Schwart, z okręgu szkolnego nr 3 w Milburn”. Fotografia przedstawiała „Laureatów konkursu ortograficznego na ceremonii rozdania nagród w szkole średniej w Milburn”. Papa przywłókł Rebeke do stołu, żeby popatrzyła na siebie, na pomniejszony i przestraszony wizerunek samej siebie, pośród grupy uśmiechniętych, obcych ludzi. Zapomniała o tamtej sytuacji, w ogóle się nie spodziewała, że z tego błyskania i żartobliwego, komicznego „Uśmiech, proszę!” naprawdę coś wyniknie. A teraz jej ojciec chciał wiedzieć, co to jest! Co to znaczy!

– W ogóle o niczym nie wiedziałem! Do jasnej cholery, nie podoba mi się, że moje własne dziecko robi coś za moimi plecami – mówił, ocierając usta.

Rebeka wyjąkała, że przecież mu mówiła, że próbowała mu powiedzieć, ale papa dalej się wściekał. Wpadł w jeden z tych ataków szału, który karmił się sam sobą, wprawiał go w ekstazę. Podstawiał gazetę do światła, pod różnymi kątami, żeby obejrzyć inkryminującą stronę jak najdokładniej. Wreszcie spojrział wprost na Rebeke, z wyraźnym niedowierzaniem.

– To przecież ty! A niech to jasny szlag! Moja własna córka, za moimi plecami.

– M-mówiłam ci o tym, papo. O konkursie ortograficznym.

– Jakim znowu konkursie?

– Ortograficznym. Dyktowali nam słowa. W szkole.

– Słowa! Już ja ci powiem, co to są słowa: pierdoły i tyle. Wszystkie słowa kiedykolwiek wypowiedziane przez ludzkość to same pierdoły.

Herszel i Gus, których przyciągnęło całe zamieszanie, przyglądali się ze zdumieniem skandalicznej pierwszej stronie gazety i artykułowi. Gus stwierdził, że to chyba dobra wiadomość, co?

– Wyciągaj tę cholerną nagrodę – warknął papa, bryzgając śliną. – Chcę obejrzyć tę zasraną nagrodę. No jazda!

Rebeka pobiegła wydobyć słownik z ukrycia. Spod łóżka. Ależ była głupia, wiedziała przecież, że tylko wpakuje się w kłopoty, że schowała słownik pod łóżkiem.

Jakby przed Jakubem Schwartem można było cokolwiek ukryć. Jakby żaden sekret nie mógł wyjść na jaw, z czasem, niczym brudna bielizna albo pościel.

Rebeka czuła, że jej twarz zrobiła się bardzo gorąca, że oczy pieką ją od łez. (Gdzie jest mama? Dlaczego nie ma tu mamy, która mogłaby interweniować? Czy mama ukryła się w sypialni przed podniesionym głosem papy?)

Rebeka przyniosła słownik Webstera, bo ojcu okazywała posłuszeństwo nawet wtedy, gdy się go bała i nienawidziła. Jakby wiedząc zawczasu, z typowo dziecięcą uległością wobec losu, tak jak skazane na śmierć zwierzę nadstawia gardło drapieżnikowi, że ojciec ciśnie słownik do pieca i jeszcze przy tym zaklnie.

Rebeka niemal zapamiętała, że to zrobił. Cisnął jej słownik do pieca, śmiejąc się przy tym.

A jednak nie zrobił tego. Wziął z jej rąk ciężką księgę i położył ją na stole, nagle milknąc, jakby się czegoś przestraszył. Taka ciężka księga, z pewnością bardzo droga!

Jego umysł przystąpił gwałtownie do kalkulowania, ile taka książka mogła kosztować: Pięć dolarów? Sześć?

Złote litery na grzbiecie i okładce. Wyklejki w marmurowy wzorek. Prawie dwa tysiące stron.

Zamaszystym ruchem otworzył na pierwszej stronie i zobaczył wklejkę:

MISTRZYNI ORTOGRAFII OKRĘGU nr 3 w MILBURN
1946 ROK
REBEKA ESZTERA SCHWART

Natychmiast zauważył błąd, zaśmiał się chrapliwie i zaczął triumfować.

– Widzisz? Obrażają cię z tą Eszterą. Obrażają nas wszystkich. To nie jest przypadek, zrobili to z premedytacją. Źle wpisali imię dziecka, żeby obrazić tego, kto jej nadał to imię.

Papa pokazał wklejkę Herszelowi, który spojrzał posłusznie, ale nie potrafił przeczytać. Sfrustrowany dźgnął palcem słownik tak jak się trąca węża kijem.

– Łe Jezu – powiedział. – Zabieraj mi to kurewstwo. Mam alergię. Tym sprowokował papę do serdecznego śmiechu, papa miał słabość do wulgarnego poczucia humoru starszego syna.

Gus za to wyraził sprzeciw.

– Do cholery, Herszel, chociaż raz ktoś w tej rodzinie coś dostał, moim zdaniem to miłe. – Chciał dodać coś jeszcze, ale papa i Herszel go wyśmiali.

Papa zatrzasnął słownik. Rebeka wiedziała, że to jest ten moment, kiedy pochyli się z głuchym pomrukiem, otworzy drzwiczki pieca, wrzuci słownik do środka...

Tymczasem papa powiedział z zamyśleniem w głosie:

– Cholera, nie lubię, jak któreś dziecko Jakuba Schwarta skrada się za moimi plecami jak jakaś łasica. W tej piekielnej dziurze, gdzie wszyscy się na nas gapią, możecie być pewni. Fotografia w gazecie, którą wszyscy mogą zobaczyć. Następnym razem...

– Już więcej nie będę, papo! – zapewniła go zrozpaczonym głosem Rebeka.

Zauważyła z ulgą, że ojciec wyraźnie stracił zainteresowanie tematem, tak jak to często bywało, gdy nikt mu się nie sprzeciwiał. Nagle się znudził i odepchnął słownik na bok.

– Zabieraj to paskudztwo, niech ja tego więcej nie oglądam.

Rebeka schwyciła ciężką księgę. Papa i jej bracia, chcąc nie chcąc, śmiali się z niej, była taka zdesperowana, że omal nie upuściła słownika.

Pognała z powrotem do sypialni. Znowu go ukryje, pod łóżkiem.

Słyszała, jak ojciec strofuje synów:

– Czym są słowa? Słowa to pierdoły i kłamstwa, kłamstwa! Sami się przekonacie.

Odpowiedział mu beztroski śmiech Herszela.

– No to powiedz nam jakieś nie-pierdoły, papa, w końcu jesteś, kurde, geniuszem, co nie?

Słoneczny, letni dzień. Rolety w saloniku były zasunięte. Rebeka odtwarzała później ten dzień, próbując obliczyć, ile wtedy miała lat, ile lat miała wtedy jej matka, na ile to było miesięcy przed śmiercią Anny Schwart. A jednak nie potrafiła obliczyć, dzień był tak olśniewająco jasny, że oślepiał ją nawet we wspomnieniach.

Wiedziała, że to było lato: czas, kiedy nie chodziło się do szkoły. Błąkała się po rozległym zalesionym terenie na tyłach cmentarza, włączyła się po ścieżce holowniczej nad kanałem, przyglądając się barkom, odmachując pilotom, którzy do niej pomachali, mimo że jej tego zakazano. Chadzała też na miejskie wysypisko śmieci. Sama, bez koleżanek.

Bo teraz Rebeka miała już koleżanki. Na ogół były to dziewczynki takie jak ona, które mieszkały na obrzeżach Milburn. Na Quarry Road, Milburn Post Road, Canal Road. Te koleżanki mieszkały w zniszczonych, starych domach farmerskich, w chałupach obitych papą, w przyczepach postawionych na betonowych bloczkach na zachwaszczonych i zaśmieconych podwórkach. Takie dziewczynki nie gardziły Rebeką Schwart jako córką grabarza.

Ich ojcowie, jeśli w ogóle miały ojców, nie różnili się niczym specjalnym od Jakuba Schwarta.

Ich bracia, o ile miały braci, nie różnili się niczym specjalnym od Herszela i Gusa.

A ich matki...

– Jaka jest twoja mama? – pytały koleżanki Rebece. – Choruje? Coś z nią nie tak? Ona nas nie lubi?

Rebeka wzruszała ramionami. Ponurą, zawziętą miną dając do zrozumienia: Nie twój zakichany interes.

Żadna z koleżanek Rebeki nigdy nie widziała Anny Schwart, nawet przelotnie, aczkolwiek ich matki być może przypominały sobie, że widywały ją wiele lat wcześniej, w centrum Milburn. Teraz jednak Anna Schwart już się nie wyprawiała do miasta, nawet się nie oddalała od kamiennej chatki. I oczywiście Rebece nie było wolno przyprowadzać koleżanek do domu.

Tamtego dnia na cmentarzu odbywał się pogrzeb. Przyczała się za jedną z szop, żeby sama nie będąc widziana, przyglądać się powolnej procesji pojazdów. Grube, ciemne włosy opadały na jej plecy niczym grzywa, skórę miała stwardniałą i opaloną. Była ubrana w szorty koloru khaki i brudną koszulkę bez rękawów, obklejoną rzepami. Gdyby nie te włosy, można by ją wziąć mylnie za smukłego, długonogiego chłopca.

Karawan! Stateczny, czarny i połyskliwy, z przyciemnianymi szybami. Rebeka gapiała się na niego, czując, że jej serce zaczyna dziwnie bić. *Tam jest śmierć. W środku jest śmierć.* Za karawanem jechało siedem samochodów, ich koła chrzęściły na wysypanej żwirem drodze. Rebeka dostrzegła twarze w środku, kobiet w kapeluszach z woalkami, mężczyzn ze wzrokiem wbitym przed siebie. Wśród nich jakieś młodsze twarze. Rebeka kuliła się zwłaszcza wtedy, gdy mógł ją przyuważyć ktoś w jej wieku, ktoś, kto mógł ją znać.

Pogrzeb na cmentarzu miasta Milburn oznaczał, że poprzedniego dnia Jakub Schwart przygotował grób. Większość nowszych grobów powstawała na pagórkowatym terenie na tyłach cmentarza, gdzie rosły wysokie dęby i wiązy, z korzeniami wrosniętymi w kamienistą glebę. Praca grabarza była tutaj zadaniem morderczym. Jakub Schwart musiał kopać groby szpadlem, od czego łamało go potem w krzyżu; nie mógł sobie pomagać mechanicznymi narzędziami.

Rebeka osłoniła oczy ręką, przyglądając się ojcu na tyłach cmentarza. Jakub Schwart był człowiekiem podobnym do trolla. Niczym stworzenie, które wypełzło z ziemi, lekko przygarbiony, wykrzywiony, z głową wykręconą pod nienaturalnym kątem, przez co zawsze sprawiał takie wrażenie, jakby przyglądał się światu z podejrzliwością, z boku. Kiedyś zerwał sobie ścięgno w kolanie i teraz utykał, a jedno z jego ramion sterczało nieco wyżej niż drugie. Zawsze w roboczym ubraniu, na głowie nieodmiennie czapka z sukna. Znał swoje miejsce pośród dyrektorów domów pogrzebowych i żałobników, do których zwracał się per „proszę pana” i „proszę pani”, zawsze z uniżeniem. Herszel opowiadał, że raz widział ojca idącego po Main Street, w stronę First Bank of Chautauqua, ależ to był widok, stary w swoich łachach i buciorach grabarza, który idzie z pochyloną głową, nie widząc, że się na niego gapią, mając gdzieś, że włązi na kogoś, kto nie zszedł mu w porę z drogi.

Herszel ostrzegł Rebekę, że jeśli będzie w mieście i natknie się na papę, to ma zrobić wszystko, żeby papa jej nie zauważył.

– Stary skurwiel się wścieknie jak nie wiem co. Że niby go szpiegujemy, jak chodzi do banku. Jakby kogoś to obchodziło, co on wyprawia, jemu się wydaje, że nikt nic nie wie.

Tyle milionów trupów, powrzucanych do byle dołów jak zwykle mięso.

Pytaj dlaczego: pytaj Boga, dlaczego wolno robić takie rzeczy.

Kiedy ojciec o tym nie wiedział, Rebeka gapiła się na niego i czasem przebiegał ją dreszcz, jakby patrzyła na niego cudzymi oczyma.

– Mamo... ?

W ten słoneczny dzień wewnątrz kamiennej chatki było mroczne, wilgotne, pełne pajęczyn. W kuchennym zlewie odmakwały naczynia, na płycie od śniadania stała patelnia. Nad wszystkim zawisał smród tłuszczu. Od czasu swojej choroby matka Rebeki zrobiła się mało staranna w obowiązkach domowych albo może obojętna. Od czasu *Marei*, uznała Rebeka.

Rolety były zaciągnięte na wszystkich oknach, w samym środku dnia.

Z saloniku dobiegał jakiś dziwny dźwięk: gwałtowny i zapalczywy jak tłuczenie szkła. Drzwi były zamknięte.

Teraz, kiedy papa już nie słuchał wieczornych wiadomości po kolacji, radio rzadko grało. Papa na to nie pozwalał. *Elektryczność nie rośnie na drzewach. Nie pożądaj, a nie będziesz trwoniał.*

Ale Rebeka słyszała teraz radio.

– Mamo? Mogę wejść?

Nie było odpowiedzi. Rebeka ostrożnie pchnęła drzwi.

W pokoju była jej matka, siedziała tuż obok Motoroli, jakby się przy niej grzała. Przystawiła sobie stółek, nie usiadła na fotelu papy. Rebeka widziała, że skala jarzy się

pomarańczową barwą jak coś żywego. Z zakurzonego głośnika płynęły dźwięki tak piękne, gwałtowne, a przy tym tak precyzyjnie wykonywane, że Rebeka słuchała tego ze zdumieniem. To fortepian? Muzyka fortepianowa?

Matka Rebeki zerknęła na nią takim wzrokiem, jakby chciała się upewnić, że to nie Jakub Schwart, że nic jej nie grozi. Jej powieki zatrzepotały. Była skupiona i nie chciała, by coś ją rozpraszało. Palec przyłożony do ust sygnalizował: Nie odzywaj się! Bądź cicho! Dlatego Rebeka usiadła przy nogach matki i potem tylko słuchała, zupełnie się nie ruszając.

Nie istniało nic oprócz tej Motoroli, oprócz mrocznego, śmierdzącego grzybem saloniku w starej, kamiennej chatce na cmentarzu.

Nie istniał nikt oprócz mamy, która pochylała się w stronę radia, potakiwała i uśmiechała się do muzyki fortepianowej.

Nie istniało nic poza szczęściem, które przepęniało tę chwilę.

Kiedy w muzyce nastąpiła przerwa, najkrótsza z możliwych przerw między poszczególnymi częściami sonaty, matka Rebeki szepnęła:

– To Artur Schnabel. Gra Beethovena. Ten utwór nazywa się *Appassionata*.

Rebeka słuchała skwapliwie, nie rozumiejąc większości słów matki. Kiedyś tylko słyszała o Beethovenie – to było wszystko, o czym miała pojęcie. Widziała porytą miękkiemi zmarszczkami dziewczęcą twarz matki, lśniąca od łez, które nie były łzami urazy, smutku ani upokorzenia. I oczy jej matki stały się piękne, ciemne, lśniące, pełne zaskakującej siły, oczy, które z tak bliska budziły niepokój.

– Kiedy byłam małą dziewczynką, w starym kraju, grałam *Appassionatę*. Nie grałam tak jak Schnabel, ale starałam się.

Mama po omacku odnalazła dłoń Rebeki, uścisnęła jej palce, czego nie robiła od lat.

Znów odezwała się muzyka. Matka i córka słuchały razem. Rebeka przywarła do ręki Anny Schwart, jakby groziło jej, że zaraz spadnie z wielkiej wysokości.

Wspomnienie tego piękna i jego bliskości Rebeka pielęgnowała potem przez całe życie.

Papa! Chodź no tu, ale to piorunem!

Do kuchni wparował mocno zasapany Herszel. Był wysokim, słoniowatym chłopakiem o żuchwie porośniętej niechlujną szczeciną i ochrypłym, niemile jazgotliwym głose. Chuchał w dłonie, to był zimny, jesienny poranek.

To był poranek święta Halloween, roku 1948. Rebeka miała dwanaście lat, chodziła do siódmej klasy.

Dopiero co świtało. Nocą przyszedł przymrozek i lekko poproszyło śniegiem. Niebo było zszarzałe, a słońce, które wschodziło za górami Chautauqua, przypominało oko jarzące się blado z cienia.

Rebeka pomagała mamie przy śniadaniu. Gus jeszcze nie wyszedł ze swojego pokoju. Ubrany w roboczy kombinezon papa stał przy zlewie i pompował wodę, kaszłąc i hałaśliwie spluwając w sposób, od którego Rebece mdliło. Spojrzał ostro na Herszela.

– Bo co? Co jest?

– Lepiej sam wyjdź na dwór, papa.

Herszel przemawiał dziwnie posępnym tonem. Rebeka czekała, czy zamruga, zmruży oczy, wykrzywi usta w typowy dla niego komiczny sposób, da jakiś znak, że się wygłupia, a jednak brat był poważny, nawet nie zerknął na Rebece.

Jakub Schwart popatrzył na starszego syna i dostrzegł w jego twarzy coś – furie, urazę, zdumienie, zwierzęce podniecenie – czego nigdy wcześniej nie widział. Zaklął i sięgnął po pogrzebacz stojący obok pieca.

– Za późno, kurde, na pogrzebacz – rzucił z chrapliwym śmiechem Herszel.

Papa wykuśtykał za Herszelem na dwór. Rebeka też poszłaby za nimi, ale papa, jakby pod wpływem odruchu, odwrócił się i zakazał jej.

– Siedź w domu, dziewczyno.

Do tego czasu Gus zdążył już wytoczyć się z sypialni, rozczochrany i rozmamłany; miał dziewiętnaście lat i ze swymi sześcioma stopami i dwoma całami prawie dorównywał wzrostem Herszelowi, ale był od niego lżejszy o trzydzieści funtów, chudy jak szczapa i nerwowy.

Stojąca przy kuchni Anna Schwart nie spojrzała na nikogo; zdjęła z płyty ciężką, żeliwną patelnię i odstawiała ją na bok.

– Psiakrew! A to skurwiele!

Herszel prowadził. Papa szedł tuż za nim, chwiejąc się jak pijak, wytrzeszczając oczy. Noc poprzedzającą Halloween nazywano Diabelską Nocą. Wiele wskazywało na to, że w Dolinie Chautauqua nadzwyczaj sobie ceniono tę starą tradycję, która polegała na tym, że grupki anonimowych chuliganów nawiedzały ukradkiem, po ciemku różne miejsca i „psociły”. Rzekomo były to śmieszne psoty, należało się z nich śmiać.

Cmentarz od niepamiętnych czasów padał ofiarą chuligańskich wybryków Diabelskiej Nocy, zanim jeszcze Jakub Schwart został tam dozorcą. Tak w każdym razie mu mówiono, tak go zapewniano.

– Pewnie myślą, że ja nie wiem, kto to zrobił. A właśnie, że wiem. Domyśliłem się!

Herszel mówił to z obrzydzeniem, trzęsącym się głosem, jednak Jakub Schwart ledwie słuchał syna. Poprzedniej nocy zatrasnął i zabezpieczył łańcuchem żelazną bramę w głównym wejściu, oczywiście wiedział, co to jest Diabelska Noc, bo w minionych latach nieraz dochodziło do aktów wandalizmu na cmentarzu. Próbował nie spać, żeby w razie czego przystąpić do obrony cmentarza, ale (był wyczerpany ze zmęczenia i wcześniej pił) zasnął o północy, a zresztą nie miał żadnej broni, niczego, z czego mógłby strzelać. Mężczyźni, a nawet dwunastoletni chłopcy mieli strzelby, dubeltówki, tymczasem Jakub Schwart do tej pory nie zdołał się uzbroić. Śmiertelnie się bał broni palnej, nie był myśliwym. Coś go od dawna przestrzegało przed tym nieodwoalnym krokiem. *Uzbrój się! Któregoś dnia będzie za późno.* Coś mu mówiło, że ani nie chce zostać zabity, ani nie chce sam zabijać, ale ostatecznie jego wrogowie nie pozostawiali mu wyboru.

Wandalom nie przeszkodziły zamknięte bramy, po prostu pokonali murek okalający cmentarz. Było widać to miejsce, gdzie wyburzyli jego fragment, w odległości jakichś stu jardów od drogi.

Nie było jak się przed nimi obronić. Przed hordami młodych mężczyzn i chłopców. Prawdopodobnie rozpoznałby ich z twarzy. Po nazwiskach. Byli mieszkańcami Milburn. Niektórzy mogli być sąsiadami z Quarry Road. Którzy gardzili Schwartami. Którzy patrzyli z góry na Schwartów. Herszel wyraźnie ich znał albo przynajmniej miał swoje podejrzenia. Jakub Schwart szedł za synem, zataczając się i przecierając oczy. Na jego wargach pełgał upiorny uśmiezek oszołomienia.

Nie odegnasz wrogów, jeśli jesteś nieuzbrojony. Już więcej nie popełni tego błędu.

Pomiędzy grobami wały się rozbite wazony i donice. A także roztrzaskane dynie niczym pozostałości jakiejś szalonej biesiady; wylewające się z nich nasiona i soczysty miąższ przywodziły na myśl mózg ciekący z czaszki. Na tym mózgu już ucztowały wrony.

– Wynocha stąd, sraluchy!

Herszel zaklaskał w dłonie, by przegnać wrony. Za to ojciec jakby ich nie zauważał.

Wrony! A co go obchodziły jakieś wrony! Niewinne, durne bydlęta.

Wandale zdeptali okrutnie kilka młodszych brzoź; połamały się i już nie mogły ozdrowieć. Poprzewracali i potrzaskali kilka najstarszych, najbardziej kruchych nagrobków, pochodzących jeszcze z 1791 roku. Przecięli wszystkie cztery opony pick-upa Forda rocznik 1939, należącego do dozorca cmentarza, przez co wóz osiadł na obręczach niczym pobite, bezzębne stworzenie. Na bokach pick-upa widniały znaki wymalowane smołą, obrzydliwe znaki o mocy szyderczych okrzyków.

Takie same obrzydliwe znaki wymalowano też na szopach dozorca i na frontowych drzwiach jego kamiennej chatki, przez co było je doskonale widać od strony zwirowanej drogi, a zatem mogli je zobaczyć wszyscy, którzy odwiedzali cmentarz.



Gus wybiegł na dwór, a za nim Rebeka, obejmując się ramionami, by nie zmarznąć. Z początku była zbyt zdezorientowana, żeby się czegoś bać. A jednak widok był taki dziwny: ojciec milczał, za to Herszel kłął:

– Kurwa mać! Gówniarze!

Jej ojciec, Jakub Schwart, nic nie mówił, tylko mrugał i gapił się na znaki wymalowane połyskliwą smołą.

– Papa? Co to takiego?

Papa zignorował ją. Rebeka wyciągnęła rękę, żeby dotknąć smoły na bocznej ścianie szopy; była zimna, stwardniała. Nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywają te znaki, jakoś tak obrzydliwie, to słowo chyba zaczynało się na „s”, ale wiedziała, co one oznaczają. Niemców? Nazistów? Państwa Osi, które zostały pokonane podczas wojny?

Ale przecież wojna skończyła się dawno temu, prawda?

Rebeka policzyła: była w czwartej klasie tamtego roku, kiedy w całym Milburn rozbrzmiały syreny pożarowe i wszystkie lekcje zostały odwołane. Teraz była w siódmej klasie. A zatem to się stało trzy lata wcześniej: Niemcy poddali się aliantom w maju 1945 roku. Strasznie dawno, była wtedy jeszcze małą dziewczynką.

Teraz już nie była małą dziewczynką. Serce jej łomotało z gniewu i oburzenia.

Herszel i Gus wdali się w ożywioną dyskusję, ale papa wciąż tylko sterczał w miejscu i przyglądał się, raz po raz mrużąc oczy. To milczenie było zupełnie niepodobne do Jakuba Schwarta, jego dzieci zerkwały na niego z niepokojem. Wyszedł w takim pośpiechu, nie zabrał ani kurtki, ani sukiennej czapki. Wydawał się zdezorientowany, starszy niż zazwyczaj. Jak jeden z tych bezdomnych ludzi, zwanych powszechnie menelami, którzy gromadzili się koło dworca autobusowego w Milburn, a przy dobrej pogodzie snuli się w okolicach mostu na kanale. W ostrym porannym świetle twarz papy wydawała się pobita, zniekształcona. Oczy miał podkrążone ze zmęczenia, nos obrzmiały od popękanych naczynek, podobnych do mikroskopijnych pajęczyn. Jego usta poruszały się bezgłośnie, jakby nie był w stanie przeżuć tego, co mu w nie wepchnięto, jakby nie potrafił ani tego wypluć, ani połknąć. Herszel znów powtórzył, że dobrze wiadomo, kim są ci dranie, którzy to zrobili, a zdenerwowany i oburzony Gus przyznawał mu rację.

Rebeka przetarła oczy, załzawione od zimna. Niebo na wschodzie już jaśniało, między chmurami porobiły się przerwy. Przyglądała się tym obrzydliwym znakom – przypomniawszy sobie, że taki znak nazywa się „swastyka” – oczyma swojego ojca. Jak je usunąć, jak usunąć czarną smołę, która zrobiła się twardsza niż jakakolwiek farba? Jak ją sczyścić, jak zdrapać smołę? I jak mama się zdenerwuje! Och, na pewno jakoś ukryją te znaki przed mamą, jakoś...

Matka Rebeki i tak się dowie. Już wiedziała, to oczywiste. Instynkt jej mówił, że trzeba się bać, zawsze spodziewać najgorszego. Pewnie już się czaiła za oknem, wyzierała bojaźliwie na zewnątrz. Ten widok – nie tylko swastyki, ale też połamane brzozy – rozdzierał serce. I te rozbite donice i dynie, zrujnowane nagrobki, których nie było czym zastąpić.

– Dlaczego oni nas nienawidzą?

Rebeka powiedziała to na głos, ale zbyt cicho, by bracia albo ojciec mogli ją usłyszeć.

Choć ojciec chyba usłyszał. Obrócił się i podszedł do niej swym kuśtykającym krokiem.

– Co ty tu robisz! Psiakrew, przecież powiedziałem! Właż do środka i siedź tam ze swoją cholerną matką!

Jakub Schwart znienacka się wściekł. Mimo chorego kolana poruszał się bardzo szybko. Schwycił Rebekę za ramię i zawlókł ją do domu. Obrzucając ją przy tym wyzwiskami, zadając ból, więc Rebeka zaczęła głośno protestować, również obaj jej bracia protestowali – „Papa, no co ty...” – ale trzymali się na dystans, nie odważyli się podnieść na niego ręki.

– Do domu, powiedziałem! I jeśli wychlapiesz mamie o tym wszystkim, to nogi z dupy powyrywam!

Jego palce pozostawiły na jej skórze sińce, które miała oglądać jeszcze przez wiele dni. Były fioletowopomarańczowe, równie obrzydliwe jak swastyki.

I wściekłość, z jaką wymawiał słowo „mama”. Te dwie krótkie sylaby w ustach Jakuba Schwarta brzmiały jak przekleństwo.

To on nas nienawidzi.

Tylko dlaczego?

Tamten dzień. Halloween, rok 1948. Matka kazała jej zostać w domu, ale ona się uparła, że pójdzie do szkoły, jak gdyby nigdy nic.

Miała dwanaście lat, chodziła do siódmej klasy. Zdawała sobie sprawę, że część uczniów będzie wiedziała o zbezczeszczeniu cmentarza, o swastykach. Nie przyjmowała do wiadomości, że w akcie wandalizmu mogli uczestniczyć koledzy z jej klasy do spółki ze swoimi starszymi braćmi.

Wpadały jej do głowy różne nazwiska: Diggles, LaMont, Meunzer, Kreznick. Hałaśliwi, wredni chłopcy z liceum albo wyrzutki podobne do braci Rebeki.

W mieście wśród dzieci ze szkoły Rebeki Halloween zawsze wywoływało spore zamieszanie. Tego dnia nosiło się maski i kostiumy (kupowane w „Five-and-Dime” Woolwortha, gdzie robili wystawę z wiedźm, diabłów, szkieletów i wyszczerzonych w uśmiechu plastikowych dyń), chodziło się od drzwi do drzwi o zmroku i wołało: „Psikus albo cukierek!” Rebeka uważała, że jest w tym coś emocjonującego. W tym ukrywaniu się pod maską, wkładaniu przebrań. W pierwszej klasie błagała, żeby jej pozwolono wyjść z domu w noc Halloween, ale Jakub Schwart oczywiście się nie zgodził. Nie pozwalał synom, więc tym bardziej córce. Halloween to pogańska tradycja, mówił z wyższością i groźbą w głosie. To prawie żebractwo! A co, mówił papa z chytrym uśmieszkiem, jeśli ktoś tak będzie miał dosyć dzieciarów, które przyłazą pod jego drzwi i go nagabują, że postanowi dodać trutki na szczury do cukierków?

Rebeka zaczęła się śmiać.

– Papa! Czemu ktoś miałby robić coś tak złego?

– Bo świat jest pełen zła – odparł ojciec, przekrzywiając głowę w stronę córki, jakby chciał podkreślić, że łaskawie dzieli się z nią odrobiną swej mądrości, choć ona jest tylko małą, naiwną dziewczynką. – A my żyjemy na tym świecie.

Po drodze do szkoły Rebeka przekonała się, że w centrum Milburn też dokonano wielu psot w Diabelską Noc. Z konarów drzew zwisały wstęgi papieru toaletowego, na schodkach przed domami leżały roztrzaskane dynie, a przy chodnikach porozbijane skrzynki pocztowe. I na dodatek wiele okien zostało zasmarowanych mydłem i woskiem.

(Okna zasmarowane mydłem myło się łatwo, ale wosk trzeba było mozolnie zeskrobywać zyletkami. Dzieci w szkole chwaliły się, że zasmarowały woskiem okna nielubianych sąsiadów albo ludzi, którzy nie dali im słodyczy. Niektóre, powodowane czystą złośliwością, pomazały woskiem okna wystawowe na Main Street, bo takie ogromne szyby stanowiły znakomity cel.) Rebeka robiła się nerwowa na widok pamiątek po Diabelskiej Nocy w bezlitosnym świetle dnia. Pod budynkiem gimnazjum stał tłum uczniów, którzy ze śmiechem pokazywali sobie palcami pomazane okna na parterze, mury obrzucone pomidorami i jajkami, dynie rozbite na schodach. Te dynie wyglądały jak fragmenty ludzkich ciał, porozrywanych w napadzie radosnej wściekłości. Rebeka wysnuła z tego wszystkiego wniosek, że psikusa można spłatać w dowolnym momencie, w dowolną noc, skoro nikt nie jest w stanie temu przeciwdziałać.

– Patrzcie! Patrzcie tutaj!

Ktoś pokazywał palcem kolejne zniszczenia, zygzakowate pęknięcie w szybie we frontowych drzwiach szkoły, załatane byle jak taśmą maskującą przez szkolnego woźnego.

A jednak Rebeka nie wypatrzyła na mieście znaków namalowanych smołą. Żadnych swastyk.

Dlaczego, zastanawiała się. Dlaczego swastyki pojawiły się tylko na cmentarzu, tylko na domu jej ojca?

Nie zamierzała nikogo pytać. Nawet najbliższych koleżanek. I nikt też nie rozmawiał z nią o swastykach.

Poszła na angielski. Ożeż psiakrew! Pani Krause, która zawsze robiła wszystko, żeby uczniowie ją lubili, wpadła na pomysł, żeby przeczytać na głos opowiadanie o Halloween i duchach: skróconą wersję *Legendy o Sennej Dolinie* napisanej przez niejakiego Washingtona Irvinga, pisarza, który umarł w bardzo dawnych czasach. Typowe dla pani Krause, która pokazywała dziąsła w uśmiechu, że kazała im czytać jakąś staromodną, niezrozumiałą dla nikogo prozę. Durne, górnolotne słowa, których nikt nie potrafił wymówić, a co dopiero zrozumieć. (Rebeka się zastanawiała, czy pani Krause sama je rozumie.) Kolejni uczniowie dukali po kilka akapitów gęstej, powolnej *Legendy*, zacinali się i markotnieli, zwłaszcza chłopcy, którym czytanie szło tak kiepsko, że rozdrażniona nauczycielka zleciła to w końcu Rebecce.

– A reszta klasy ma siedzieć cicho i słuchać.

Rebeka poczuła, że pali ją twarz. Nieszczęśliwa wierciła się w swojej ławce.

Miała ochotę powiedzieć pani Krause, że boli ją gardło, że nie może czytać. Och, tylko nie to!

Wszyscy gapili się na nią. Nawet te dziewczynki, które uważała za swoje przyjaciółki, gapiły się na nią z odrazą.

– Rebeko? Zaczynaj czytać.

Co za koszmar! Rebeka, która była jedną z najlepszych uczennic, zawsze tak się płoszyła, gdy któryś z nauczycieli ją wyróżnił. A to opowiadanie było takie rozwlekłe, takie nudne, pełne strasznie długich zdań i skomplikowanych słów typu „widziadło”, „przydomek”, „oczarowany”, „zabobonny”, „zbyteczny”. Kiedy Rebeka wymawiała jakieś słowo źle i pani Krause pieczołowicie ją poprawiała, pozostali uczniowie parskali śmiechem. Kiedy wypowiadała takie głupie nazwiska, jak Ichabod Crane, Brom Bones, Baltus Van Tassel, Hans Van Ripper, też się śmiali. Na wszystkich trzydziestu uczniów być może pięcioro czy sześcioro próbowało coś zrozumieć z tego opowiadania i dlatego

słuchali w milczeniu; pozostali nie mogli usiedzieć na miejscu i pękali ze śmiechu. Chłopiec, który siedział za Rebeką, stale trząsł jej ławką, która była sczepiona z jego ławką. Ktoś jej coś przykleił między łopatkami. *Grabarz! Grabarz-Żyd!*

– Rebeko? Czytaj dalej, proszę.

Zgubiła się, nie wiedziała, gdzie przestała czytać. Pani Krause była zirytowana i rozczarowana.

Rebeka wiedziała, że nie powinna pytać, kto to jest Żyd. Ojciec zakazał im o to pytać.

Nie mogła sobie przypomnieć dlaczego. To miało coś wspólnego z Gusem.

Nie jestem Żydem, pomyślała Rebeka. *Nie jestem.*

Otumaniona wstydem i cierpieniem zaczęła od nowa brnąć przez opowiadanie. Znowu mając przed oczyma zdewastowany cmentarz, rozbite dynie, hałaśliwe wrony, które machały gwałtownie szerokimi skrzydłami, gdy Herszel klaskał w dłonie i wrzeszczał. Znowu widziała tamte obrzydliwe znaki, które tak przeraziły ojca.

Czuła jego palce zaciskające się na jej ramieniu. Wiedziała, że ma tam już sińce, ale wolała ich na razie nie oglądać.

To było miłe ze strony braci, że zaprotestowali, kiedy ojciec ją schwycił. W domu, kiedy ojciec prawił jej złośliwości albo groził jej jakimiś gestami, to raczej mama coś mruzczała albo wydawała ciche, ostrzegawcze okrzyki, nigdy z udziałem konkretnych słów, bo Anna Schwart i jej mąż rzadko z sobą rozmawiali w obecności dzieci; od powziętego zamiaru miał go odwieść odgłos, uniesiona dłoń, gest.

Gest, który miał oznaczać: *Widzę cię, obserwuję.*

Gest, który miał oznaczać: *Ochronię ją, moją córkę.*

Jak ona nienawidziła tego głupiego, brzydkiego, starego Ichaboda Crane'a, który przypominał jej Jakuba Schwarta! Jak dobrze, że przystojny, pełen fantazji Brom Bones rzucił dynią w Ichaboda i raz na zawsze wykurzył go z Sennej Doliny. Kto wie, może Ichabod utopił się w potoku... I dobrze mu tak, pomyślała Rebeka, był taki pompatyczny i dziwaczny.

Zanim skończyła czytać *Legendę o Sennej Dolinie*, była oszołomiona i wyczerpana, jakby godzinami pełzła na czworakach. Nienawidziła pani Krause, postanowiła, że już nigdy w życiu się nie uśmiechnie do pani Krause. Nigdy więcej nie będzie czekała z utęsknieniem, kiedy znów pójdzie do szkoły. Głos miała ochryply i osłabły niczym głos ducha Ichaboda Crane'a, „dochodzący z oddali, wyśpiewujący melancholijny psalm pośród niezmaćconej głuszy Sennej Doliny”.

– Nie jesteśmy nazistami! Macie nas za nazistów? No to się mylicie! Przyjechaliśmy do tego kraju dwanaście lat temu. Wojna się skończyła. Niemcy zostali pokonani. Nie mamy nic wspólnego z nazistami. Jesteśmy takimi samymi Amerykanami jak wy!

W całym Milburn bez końca sobie opowiadano, serdecznie się przy tym zaśmiewając, jak Jakub Schwart szalał rankiem w dniu Halloween. Jak straszliwie utykając, począpał do stacji Esso, skąd zadzwonił do biura szeryfa hrabstwa Chautauqua i do Urzędu Miasta Milburn, żeby donieść o dewastacji cmentarza w Diabelską Noc i wymóc, by „władze” przyjechały przeprowadzić dochodzenie.

Potem Jakub Schwart wrócił na cmentarz, gdzie zignorował błagalne prośby żony, żeby przyszedł do domu; zamiast tego czekał przy głównej bramie, chodząc tam i z

powrotem po drodze, na zimnej mżawce, aż wreszcie około południa pojawił się policyjny radiowóz z dwoma zastępcami szeryfa hrabstwa Chautauqua. Ci mężczyźni albo znali Jakuba Schwarta, albo slyszyli o nim; traktowali go familiarnie, z rozbawieniem.

– Panie Schwarzz, podobno coś pana zdenerwowało?

– Sami zobaczcicie! Przecież nie jesteście ślepi, nie widzicie?

Nie tylko opony w pick-upie Jakuba Schwarta zostały poprzecinane, ale uszkodzono mu także silnik. Był zrozpaczony, musiał natychmiast to naprawić! Pick-up stanowił własność miasta, nie jego, miasto musi natychmiast dać mu coś w zastępstwie! Nie miał pieniędzy, żeby sam sobie kupić coś do jeżdżenia.

Za ten wóz odpowiedzialne jest miasto, wyjaśnili mu zastępcy szeryfa. Biuro szeryfa nie ma nic wspólnego z miastem.

Jakub Schwart powiedział im, że on i jego synowie mogą usunąć większość zniszczeń na cmentarzu, ale jak tu oczyścić smołę! Jak oczyścić smołę!

– Ci zbrodniarze, którzy to zrobili, powinni ją oczyścić. Powinno się ich aresztować i zmusić, żeby ją oczyścili. Znajdziecie ich chyba, co? Aresztujecie? Za zniszczenie mienia, tak? To poważne przestępstwo, prawda?

Zastępcy szeryfa wysłuchali Jakuba Schwarta z neutralnymi minami. Byli uprzejmi, ale jego skargi wyraźnie ich nie interesowały. Demonstracyjnie obejrzeli zniszczenia, w tym również swastyki, ale stwierdzili jedynie, że to po prostu Halloween, że to wygłupy dzieciaków, nic przeciwko niemu.

– Niech pan zrozumie, panie Schwarzz, cmentarze zawsze padają ofiarą Diabelskich Nocy. Wszędzie, jak nasza dolina długa i szeroka. Cholerne dzieciaki. Są coraz gorsze. Cale szczęście, że nie podkładają ognia. To nie było nic przeciwko panu, panie Schwarzz. Nic przeciwko panu i pańskiej rodzinie.

Starszy z zastępców przemawiał beznamiętnym, nosowym tonem, leniwie coś notując ogryzkiem ołówka. Jego partner, który dotąd poszturchiwał odłamane fragmenty nagrobków czubkiem buta, uśmiechnął się drwiąco i stłumił ziewnięcie.

Jakub Schwart przejrzał na swe nabiegłe krwią oczy i zobaczył, że oni się z niego nabijają. Zobaczył to niczym słońce, które przebija się przez chmury, i jego zniszczone dłonie zatrzęsły się z pragnienia, by chwycić za pogrzebacz, szpadel, motykę.

Nie posiadał żadnej broni, podczas gdy zastępcy szeryfa mieli przypasane do bioder pistolety w kaburach. Byli wiejskimi cwaniakami o wulgarnych twarzach. Nazistowskimi bestiami z oddziałów szturmowych. Tacy jak oni salutowali Hitlerowi, maszerowali na jego rozkaz i byli gotowi oddawać za niego życie. Kupi sobie dubeltówkę kaliber dwanaście, żeby mieć czym się przed nimi bronić. Ale na razie jeszcze tej dubeltówki nie miał. Tylko swoje gołe, zniszczone dłonie, bezużyteczne w starciu z tymi uzbrojonymi bestiami.

Później wszyscy w Milburn sobie opowiadali, jak to Jakub Schwart zaczął wtedy bredzić jak opętany. Przez swój silny, idiotyczny akcent byt praktycznie niezrozumiały.

– Wy krewni tych bachorów, co? Wy ich znają, ha?

Bo nagle stało się jasne, dlaczego ci mężczyźni tu przyjechali. Nie po to, żeby mu pomóc, tylko żeby się śmiać z ludzkiego nieszczęścia. Żeby naigrawać się z człowieka na oczach jego rodziny.

– Tak. Wy wszyscy tutaj krewni. Wy w tej piekielnej dziurze kryją się wzajemnie. Nie udzielą pomocy takiej jak ja. Nie aresztują niczyich przestępców. W poprzednich latach też ich nie aresztowali. W tym roku było najźlej, ale wy ich nie aresztowali. Ja

obywatel amerykański, ale wy gardzicie moją rodziną i mnie jak zwierzęta. „Życie niewarte życia”, co? To sobie myślą na widok Jakuba Schwarta? Ale Goebbelsa to podziwiają, co? Ale przecież Goebbels też był kaleka. Goebbels zabił własną rodzinę i siebie, tak czy nie? Więc czemu tak podziwiają nazistów? No to wynosicie się stąd, idą do diabła, a niech wasze nazistowskie dusze gniją w piekle, mnie tu was nie trzeba.

Jakub Schwart tak się zaperzył, że mówił niegramatycznie. Jego synowie, którzy słuchali tej tyrady w ukryciu jednej z szop, krzywili się ze wstydu.

Co za wybuch! Zachowywał się jak jakiś podochocony karzeł; wymachiwał rękami, zapluwał się i nie można było zrozumieć połowy tego, co mówił. Zastępcy szeryfa opowiadali potem ze śmiechem, że biedny sukinsyn Schwarz sam wyglądał jak roztrzaskana dynia, więc chyba powinni się cieszyć, że byli uzbrojeni.

W jednej czwartej Irokez.

Jakimś niewyjaśnionym sposobem zaczął uchodzić za takiego. W Dolinie Chautauqua, wśród tych, którzy znali Herszela Schwarta, a nie znali jego rodziny.

Rzucił szkołę, kiedy skończył szesnaście lat. W szkole średniej zawieszono go za bójki i akurat podczas tego dwutygodniowego zawieszenia skończył szesnaście lat, więc odszedł. Kurde, ale mu ulżyło! Zimował w dziewiątej klasie, był najwyższy wśród uczniów, przez co czuł się ośmieszony i miał mordercze zapędy. Natychmiast dostał pracę w tartaku. Pracowali tam jego kumple, z których żaden nie skończył średniej szkoły, a jednak zarabiali dobrze.

Wciąż mieszkał w domu rodziców. Czasami pomagał staremu na cmentarzu, było mu żal Jakuba Schwarta. Za każdym razem, kiedy się z nim posprzeczał, snuł plany, że się wyprowadzi, a mimo to w październiku 1948 roku skończył dwadzieścia jeden lat i wciąż jeszcze tam mieszkał. Inercja uwiązała go do kamiennej chatki na dobre. Matka go uwiązała. Jej posiłki zawsze pożerał żarłocznie, ona usługiwała mu w milczeniu i bez cienia pretensji. Nigdy by nie powiedział: *Kocham ją, nie mógłbym jej zostawić na pastwę starego.*

Nie powiedziałby: *I siostrę też kocham. Nie mógłbym jej zostawić na pastwę tych dwojga.*

Co do brata, to wiedział, że Gus sam zadba o siebie. Z Gusem wszystko grało. Gus też porzucił szkołę w szesnaste urodziny, bo ojciec koniecznie chciał, żeby mu pomagał na cmentarzu niczym najzwyklejszy robotnik fizyczny, na pełen etat. Ale Herszel był na coś takiego zbyt sprytny.

Sam Herszel nie umiałby powiedzieć, jak do tego doszło, że będąc najstarszym synem niemieckich imigrantów, zaczął być uważany za ćwierćkrwi Irokeza. Z pewnością nigdy o sobie tak nie mówił. Nigdy też się tego nie wypierał. Miał rzadkie, ciemne włosy, wiecznie potargane i bez połysku, zmętniałe, piwne oczy, też bez połysku, krewki temperament i ekscentryczne nawyki językowe, które sugerowały jakieś egzotyczne pochodzenie, być może nie dające się rozpoznać. Gdyby miał bystrzejszy umysł, to pewnie by się uśmiechał na myśl: *Lepszy Irokez niż Szwab.*

W wieku osiemnastu lat jego kanciasta, końska twarz była już pokryta siatką blizn wokół ust, oczu i uszu, pamiątek po walkach na gołe pięści. W wieku dwudziestu lat został raniony przez innego młodego człowieka rozbitą butelką od piwa i na jego czole pojawiło się dwanaście nieudolnie wykonanych szwów. (Małomówny i uparty Herszel nie

powiedział zastępcom szeryfa, kto go zranił. Z czasem zemścił się na tamtym młodym człowieku.) Zęby mu się psuły od najmłodszych lat; brakowało mu kilku z tyłu i z przodu. Kiedy się uśmiechał, jego usta zdawały się mrugać. Nos miał złamany i rozplaszczony. Budził strach u większości dziewcząt z Milburn, a jednak zdarzały się starsze kobiety po rozwodzie albo w separacji, które doceniały to, co było wyjątkowe w Herszelu Schwarcie. Im jego twarz się podobała, podobnie jak dobroduszna, choć wybuchowa i nieprzewidywalna natura. Jego głośny, chełpliwy śmiech, ruchliwe, muskularne ciało, od którego biło ciepłem jak od konia. Jego żylasty penis, który nie przestawał zachwycać nawet wtedy, gdy jego właściciel był spity jak bela albo znajdował się w stanie głębokiego uśpienia. Bywały takie kobiety, które z fascynacją wodziły czubkami palców po jego ciele – po piersi, plecach, bokach, brzuchu, udach, nogach – które było w dotyku jak niewyprawiona, zwierzęca skóra, porośnięte zjeżonymi włosami i upstrzone znamionami i pryszczami.

Były to łatwe kobiety, które zdradzały swe apetyty prostacko i droczyły się ze swym młodym kochankiem, pytając, która jego część należy do Irokeza.

Nie było żadną tajemnicą, że Herszel Schwart ma kartotekę w policji hrabstwa Chautauqua. Nieraz funkcjonariusze brali go do aresztu. Tak się składało, że zawsze w czasie aresztowania znajdował się w towarzystwie innych młodych ludzi i że zawsze wtedy pił. Miejscowi policjanci nie uważali go za niebezpiecznego i nigdy nie trzymali go w areszcie dłużej niż trzy dni. Był mąciwodą, swoje wykroczenia popełniał publicznie i chwalił się nimi, brakowało mu subtelności dyktowanej przebiegłością czy też perfidią. Nie był okrutny ani złośliwy, nie nienawidził kobiet, nie włamywał się do cudzych domów, żeby rabować. W rzeczy samej Herszel był rozrzutny, a już szczególnie wtedy, kiedy pił. Pod tym względem go podziwiano i uważano za kogoś zupełnie niepodobnego do jego starego, Jakuba Schwarta, grabarza, o którym powiadali, że „oszwabiłby cię z ostatniego grosza, gdyby mógł”.

A jednak przez wiele lat opowiadano sobie w Milburn o tym, jak w noc Halloween, w noc po aktach wandalizmu na cmentarzu w Milburn, kilku młodych ludzi zostało zaatakowanych z zaskoczenia przez Herszela Schwarta, który działał w pojedynkę. Pierwszy z nich, Hank Diggles, został wywleczony z pick-upa na mętnie oświetlonym parkingu przy barze na Mott Street; nie mógł potem twierdzić, że zobaczył Herszela Schwarta, ale twierdził, że zidentyfikował go po dotyku i zapachu, zanim tamten stłukł go pięściami do nieprzytomności. Nie było żadnych świadków pobicia Digglesa, podobnie jak nie było świadków jeszcze bardziej krwawego epizodu, którego ofiarą padł Ernie LaMont, w przedsiönku własnego mieszkania na Main Street, jakieś dwadzieścia minut po tym, jak pobity został Diggles. Za to znaleźli się świadkowie ataku na Jeba Meunzera przed domem Meunzerów na Post Road: Herszel pokazał się na frontowej werandzie około północy, długo po tym, jak ostatnie dzieciaki w halloweenowych kostiumach rozeszły się już do domów, załomotał do drzwi i oświadczył, że chce widzieć Jeba, a kiedy Jeb stanął na progu, Herszel natychmiast go wywłócił na dwór i rzucił na ziemię, po czym zaczął okładać pięściami i kopać, nie podając żadnych wyjaśnień, a tylko pytając: „Kto to jest nazista? No, gadaj, gnoju, kto to jest, kurwa, nazista?” Matka Jeba i jego dwunastoletnia siostra widziały to wszystko z werandy i krzyczały na Herszela, żeby przestał. Znały go, oczywiście, chodził razem z Jebem do szkoły i okresowo obaj chłopcy się kumplowali, ale tym razem nie byli kumplami. Pani Meunzer i siostra Jeba opisywały potem, jaki „niepoczytalny” był Herszel, jak je przeraził, bo dźgał czymś Jeba, bodajże

nożem do ryb, i powtarzał jak refren: „Kto to jest nazista? No, gadaj, gnoju, kto to jest, kurwa, nazista?” Mimo że Jeb był tej samej postury co Herszel i też lubił się awanturować, to jednak wyraźnie uległ Herszelowi, nie był w stanie się obronić. On też był przerażony i błagał swego napastnika, żeby go nie zabijał, kiedy Herszel przygwoździł go kolanami do ziemi, dobył noża i nieudolnie wyrzeźbił na jego czole ten oto znak:



Ten znak miał szpecić Jeba Meunzera już do końca życia.

Później opowiadano także, jak Herszel Schwart spokojnie otarł zakrwawiony nóż o spodnie swojej ofiary, wstał, pomachał niedbale w stronę pani Meunzer i jej córki, które kompletnie ogłupiałe gapiły się na to widowisko wytrzeszczonymi oczyma, po czym okręcił się na pięcie i zniknął w mroku. Opowiadano, że na zakręcie Post Road stał na jałowym biegu jakiś samochód albo pick-up, ze zgaszonymi reflektorami, że Herszel wsiadł do tego pojazdu i odjechał, albo może wywiózł go stamtąd jego współnik. I że potem zniknął z Doliny Chautauqua na zawsze.

Mój syn jest dobry chłopak! – zapewniał żarliwie. – Taki sam jak wszystkie wasze chłopaki. Jak wasze chłopaki z Milburn. On by nic nie zrobił drugiemu. Nigdy!

I mówił też:

– Ja nie wiem, gdzie mój syn Herszel pojechał. On zawsze dobry chłopak, pracuje ciężko, oddaje swoje zarobki matce i ojcu. Wróci, coby się wytłumaczyć, ja to wiem.

Tak twierdził Jakub Schwart, kiedy zastępcy szeryfa hrabstwa Chautauqua przyszli przesłuchać go w sprawie Herszela. Ależ ten człowiek był nieugięty w zapewnieniach o swojej niewiedzy! Miął sukienną czapkę w dłoniach, w pozie sugerującej strach, i przemawiał lawiną słów, z silnym akcentem. Ludzie o bardziej subtelnym umyśle wychwyciliby zapewne drwinę w głosie sprytnego grabarza, za to prostoduszni zastępcy szeryfa mówili potem o Jakubie Schwarcie: „Biedny palant, ma chyba nie po kolei w głowie?”

W otoczeniu wrogów, doradzał Rebecce jej ojciec, mądrze jest ukrywać nie tylko swoją słabość, ale także inteligencję.

Wydano nakaz policyjny oskarżający Herszela o trzy „poważne napaści z zamiarem dokonania morderstwa”. Z jego trzech ofiar dwie zostały zabrane do szpitala. Okaleczenie twarzy Jeba Meunzera okazało się poważne. Nikt w okolicy Milburn nie został nigdy tak napadnięty. Rozesłano listy gończe po całym stanie Nowy Jork i do granicy kanadyjskiej, z opisem „niebezpiecznego zbiega” Herszela Schwarta, lat dwadzieścia jeden.

Zastępcy nie przesłuchiwali długo Anny Schwart. Wzburzona kobieta kulila się przed nimi, dygocząc i mrużąc oczy jak jakieś nocne zwierzę, które przeraźliwie się boi dziennego światła. Najprawdopodobniej uznała, bo tak jej się wszystko pomieszało, że to sam Herszel został ranny i zabrany do szpitala. Jej drżący głos był ledwie słyszalny, a zresztą zastępcy szeryfa i tak prawie nic nie rozumieli z powodu jej akcentu.

Nie! Ona nic nie wiedziała...

...o tym, gdzie jest Herszel.

(Czy coś mu się stało? Jej synowi? Co oni mu zrobili? Dokąd go zabrali? Chciała go zobaczyć!)

Zastępcy wymieniali się spojrzeniami wyrażającymi litość, zniecierpliwienie. Nie było sensu przesłuchiwać tej przygłupiej cudzoziemki, która wyraźnie nie tylko nic nie wiedziała o swym synu zbrodniarzu, ale także panicznie się bała swego męża grabarza.

Przesłuchali Augusta, inaczej „Gusa”, młodszego brata Herszela, ale i on twierdził, że nic nie wie.

– Może pomagałeś bratu, co?

Gus jednak potrząsnął głową.

– A niby jak?

I jeszcze została im Rebeka, dwunastoletnia siostra.

Ona też twierdziła, że nie wie nic o tym, co mógł zrobić jej starszy brat i dokąd uciekł. Milcząco kręciła głową, kiedy ją przesłuchiwali.

W wieku dwunastu lat Rebeka wciąż zaplatała włosy w grube warkocze, bo tak chciała jej matka. Te ciemne włosy, przedzielone niezbyt równym przedziałkiem na

środku głowy, wydzielają intensywną zjełczałą woń, bo nie były często myte. Nikt ze Schwartów nie kąpał się często, bo gorącą wodę do balii grzało się na kuchni, a to stanowiło zadanie żmudne i czasochłonne.

Dorośli przedstawiciele władzy Rebeka prezentowała posepną, nadąsaną minę.

– Masz na imię Rebeka, prawda? Czy ktoś w twojej rodzinie ma kontakt z twoim bratem, Rebeko?

Zastępca szeryfa przemawiał uroczystym głosem. Rebeka, nie podnosząc oczu, potrząsnęła głową, że nie.

– I ty sama nie masz kontaktu ze swoim bratem?

Rebeka znów potrząsnęła głową, że nie.

– Jeśli twój brat wróci albo jeśli się dowiesz, gdzie on się ukrywa, albo że ktoś jest z nim w kontakcie, na przykład dostarcza mu pieniądze, masz obowiązek natychmiast nas o tym powiadomić, bo inaczej zostaniesz oskarżona o współudział w przestępstwach, o które został oskarżony. Zrozumiałaś?

Rebeka uparcie wpatrywała się w podłogę. W zniszczone linoleum na podłodze w kuchni.

Nie kłamała, nie wiedziała nic o Herszelu. Podejrzewała, że owszem, ludzie szeryfa mają słuszość, że go ścigają. Niemalże była dumna z tego, co zrobił Herszel: ukarał ich wrogów. Wyrzeźbił swastykę na wrednej gębie Jeba Meunzera!

A jednocześnie się bała. Bo mogli złapać Herszela i dla odmiany jego okaleczyć. Wszyscy to przecież wiedzieli, że uciekinierzy, którzy stawiają opór przy aresztowaniu, bywają ciężko pobici przez swoich prześladowców, czasami na śmierć. A jeśli Herszel zostanie posłany do więzienia stanowego...

W tym momencie interweniował Jakub Schwart.

– Panowie oficerowie, córka nic nie wie! To spokojna dziewczynka, mało rozgarnięta. Sami widzą. Ją nie trzeba straszyć, panowie oficerowie. Ja proszę.

Rebeka poczuła ukłucie odrazy, jej ojciec mówił z takimi błędami. I tak ją oczerniał.

Mało rozgarnięta. To była prawda?

Zastępcy szeryfa obrócili się, żeby wyjść. Byli niezadowoleni z zeznań Schwartów i zapowiedzieli, że jeszcze wrócą. Jakub Schwart, ze swym chytrym, udawanie służalczym uśmieszkiem odprowadził ich do drzwi, po raz kolejny zapewniając, że jego starszy syn to chłopiec, który dużo się modli, który nie podniósłby ręki nawet na chuligana, który sobie na to zasłużył. I że Herszel nie porzuciłby swojej rodziny, ponieważ jest nadzwyczaj lojalnym synem.

– Domniemanie niewinności, czy nie tak? Takie jest wasze prawo?

Ojciec Rebeki odprowadził wzrokiem zastępców szeryfa, kiedy odjechali swym zielono-białym radiowozem, a potem zaczął się śmiać z rzadkim u niego zadowoleniem.

– Gestapo. Bydlaki i durnie, których można wodzić za nos. Jeszcze zobaczymy!

Gus zarechotał. Rebeka przymusiła się do uśmiechu. Mama wymknęła się ukradkiem do pokoju na tyłach, żeby sobie popłakać. Na widok Jakuba Schwarta wkraczającego dumnie do kuchni i wsadzającego do ust prymkę tytoniu człowiek mógł niemal pomyśleć, że zdarzyło się coś wspaniałego, że ci ludzie przywieźli dobre wieści o Herszelu, a nie nakaz jego aresztowania.

W następnych dniach stało się jasne, że Jakub Schwart chełpi się tym, co zrobił czy też rzekomo zrobił Herszel. Przewyciężył swoje zwyczajowe skąpstwo, kupując kilka

gazet, w których zamieszczono artykuły o napaściach. Najbardziej mu się spodobał artykuł z pierwszej strony „Milburn Weekly”, opatrzony wielkim nagłówkiem:

TRZY BRUTALNE NAPAŚCI W NOC HALLOWEEN
DOMNIEMANY SPRAWCA,
21-LETNI MIESZKANIEC OKOLICY,
ZOSTAŁ UZNANY ZA NIEBEZPIECZNEGO PRZESTĘPCĘ
I JEST ŚCIGANY LISTEM GOŃCZYM

W każdym tli się płomyczek, który nigdy nie zgaśnie, Rebeko!

To Jezus Chrystus rozpała w nas te płomyczki i podsycza je swoją miłością.

Jak bardzo Rebeka chciała uwierzyć w słowa swej dawnej nauczycielki, panny Lutter! Ale to było takie trudne. Równie trudne jak próba wspinania się na zasmolowany dach szopy narzędziowej za pomocą samych rąk, przecież była tylko małą dziewczynką naśladowującą swych braci. Bracia, którzy się śmiali, gdy ich młodsza siostra usiłowała wejść tam za nimi, choć miała zbyt słabe ręce, zbyt chude nogi, brakowało jej mięśni. Oni wdrapywali się na ten dach zwinnie jak koty, ona zaś zsuwała się bezradnie na ziemię.

Czasami któryś z nich pochylał się nad nią, podawał jej rękę i wciągał ją na dach. A czasami nie.

W każdym z nas tli się płomyczek. Rebeko, uwierz!

Jakub Schwart drwił z tych ludzi, że mieniają się chrześcijanami. Słowo „chrześcijanin” specjalnie zniekształcał, komicznie posykując.

Mówił, że Jezus Chrystus był obłąkanym żydowskim Mesjaszem, który nie potrafił wskrzesić ani siebie samego, ani nikogo innego z grobu, i tylko Bóg jeden wie, po co ten hałas wokół Jego osoby, prawie dwa tysiące lat po Jego śmierci!

Z tym Bogiem to też można się było uśmieać. Jakub Schwart zawsze uśmiechał się szeroko, kiedy słowo „Bóg” wyskakiwało z jego ust, jakby dla żartu pokazywał język. Mówił na przykład:

– Bóg nas zapęda w kozi róg. Bóg tupie swoimi wielkimi buciorami, żeby nas unicestwić. Jest jednak wyjście. Pamiętajcie, dzieci: zawsze jest jakieś wyjście. Wystarczy udawać, że jest się małym jak robak.

Śmiał się, niemalże wesoło. Błyskając spróchniałymi zębami.

I dlatego ten sekret Rebeka ukrywała przed rodziną: że pragnęła uwierzyć w przyjaciela panny Lutter, Jezusa Chrystusa, który był wrogiem Jakuba Schwarta.

Panna Lutter dawała Rebecce obrazki biblijne, które Rebeka ukrywała w szkolnych podręcznikach i przemycała do domu.

– Nasz sekret, Rebeko!

Te obrazki były nieco większe od kart do gry. Kolorowe ilustracje przedstawiające sceny z Biblii, namalowane z taką precyzją, że zdaniem Rebeki wyglądały jak fotografie. Byli na nich Trzej Królowie (Mateusz 2,1) w powłóczystych szatach. Był Jezus Chrystus widziany z profilu, w jeszcze bardziej powłóczystej, zdumiewająco kolorowej szacie (Mateusz 6,28). Było Ukrzyżowanie (Jan 19,26) i Wniebowstąpienie (Dzieje Apostolskie 1,10), przy czym Jezus Chrystus, z ledwie widoczną, brodatą twarzą, tym razem w śnieżnobiałej szacie, unosił się nad głowami swych rozmodlonych uczniów. (Rebeka się zastanawiała: Skąd brały się szaty Jezusa Chrystusa? Czy w tym dalekim kraju też były

sklepy, jak w Milburn? W żadnym sklepie w Milburn nie dałoby się kupić takiego stroju, ale można było kupić materiał i taki uszyć. Tylko kto szył szaty Jezusowi i jak je prano? I czy ktoś je prasował? Prasowanie było jednym z obowiązków domowych Rebeki, tych przynajmniej ubrań, które nie mięły się łatwo.) Ulubionym obrazkiem Rebeki było Wskrzeszenie Córki Jaira (Marek 5,41), bo córka Jaira miała dwanaście lat i uznano ją za zmarłą, ale Chrystus przyszedł do jej ojca i powiedział: „Czemu podnosicie wrzawę i płaczecie? Dziecko nie umarło, tylko śpi”. A potem ujął dziewczynkę za rękę, obudził ją, ona wstała i znowu była zdrowa.

Panna Lutter nie połąpała się, że Schwartowie nie mają Biblii, i Rebeka nie chciała, żeby się o tym dowiedziała. Było wiele takich rzeczy, których córka grabarza się wstydziła. Ale z kolei nie chciała też zdradzać swoich rodziców. Teraz, w siódmej klasie, już nie była uczennicą panny Lutter i rzadko ją widywała. Niemniej zapamiętała słowa panny Lutter. *Trzeba wierzyć w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, a wtedy On wniknie do twego serca, będzie cię kochał i otaczał wieczną opieką.*

Dlatego tak się starała – starała się uwierzyć! – nie bardzo jej to jednak wychodziło. Ale prawie wierzyła! Szczególnie zaś chciała uwierzyć od czasu zniknięcia Herszela, które spowodowało, że jej rodzina miała zmartwienie i że darzono ją teraz powszechną niechęcią.

Kiedy była sama i nikt jej nie obserwował. Kiedy nikt z niej nie szydził, kiedy nikt nie obrzucał wyzwiskami. Kiedy nie szturchali jej na szkolnym korytarzu ani na schodach. Wracała prędko do domu, idąc na skróty bocznymi uliczkami, przez puste parcele, pola. Stawała się dzikim kotem, sprytnym i czujnym. Miała teraz silne nogi, mogłaby biec, biec i biec, gdyby ktoś ją gonił. Ktoś by pomyślał, mało rozgarnięta dziewczyna. Dziewczyna z ubogiej rodziny, w niedopasowanych rzeczach, z brzydkimi warkoczykami dyndającymi przy głowie. Był taki pagórek blisko nasypu kolejowego, tuż przed Quarry Road, z którego zbiegała, ślizgając się na luźnym żwirze, czując, jak jej serce tłucze się o żebra, bo teraz było jej wolno to pomyśleć: *Jeśli zasłużyłaś na to, żeby się przewrócić i coś sobie zrobić, to tak się zaraz stanie.*

Nauczyła się targować w ten sposób. Składać siebie w ofierze. Żeby dzięki temu nie karano innych członków jej rodziny. Chciała wierzyć, że Bóg będzie postępował sprawiedliwie.

Czasami rzeczywiście się przewracała i kaleczyła kolana. Ale na ogół nie. Nie przewróciła się tamtego dnia, kiedy spostrzegła postać podobną do widma, w powłóczystej, białej szacie i białym nakryciu głowy, nie straciła równowagi, jej ciało stało się gibkie i zmyślne.

Po obu stronach Quarry Road, niebrukowanej wiejskiej drogi na przedmieściach Milburn, nad głębokimi rowami odpływowymi unosiły się mgielne opary. W powietrzu wisiał ostry, zimny odór błota, kamienia.

Było jej wolno mówić, pod warunkiem że nie będzie poruszała ustami i nie wyda żadnego dźwięku.

Czy Herszel zostanie im oddany?

– Z czasem twój brat wróci do ciebie – powiedział Jezus, cichym, dobrotliwym głosem.

Czy policja go aresztuje? Zrobi mu coś złego? Czy on pójdzie do więzienia?

– Nie stanie się nic, co nie ma się stać, Rebeko – powiedział Jezus.

Rebeka! Jezus znał jej imię.

Tak bardzo się boję, wyznała Rebeka Jezusowi. Drżały jej wargi, z trudem się powstrzymywała, żeby nie powiedzieć czegoś na głos.

– Czemu robisz zgiełk i płaczesz, Rebeko? – powiedział Jezus, z lekką przyganą. – Jestem przy tobie.

Ale Rebeka musiała to wiedzieć: Czy coś im się stanie? Czy coś strasznego stanie się z jej matką?

Po raz pierwszy Rebeka wspomniała Jezusowi o swojej matce.

Po raz pierwszy (jej umysł kalkulował gwałtownie, wiedziała, że Jezus też musi tak myśleć) napomknęła o ojcu, ale nie bezpośrednio.

– Nie stanie się nic, co nie ma się stać, dziecko – powiedział Jezus, tonem irytacji w głosie.

To nie było żadne pocieszenie! Oszołomiona Rebeka odwróciła się i zobaczyła, że Jezus się na nią gapi. Zupełnie nie wyglądał jak ten Jezus z obrazków biblijnych. Wcale nie był ubrany w powłóczystą, białą szatę, nie miał nic na głowie. Głowę miał gołą, włosy postrzępione i tłuste, naznaczone siwizną. Szczęki obrosnięte szczecina, twarz porytą głębokimi zmarszczkami. W rzeczy samej Jezus wyglądał jak jeden z tych bezdomnych mężczyzn o kaprawych oczach, których nazywano menelami, mężczyzn, którzy włóczyli się przy dworcu i najgorszych knajpach South Main Street. Ci mężczyźni w łachmanach, przed którymi matka przestrzegała Rebekę.

Ten Jezus przypominał też Jakuba Schwarta. Kiedy uśmiechał się do niej gniewnym, kpiącym uśmiechem: *Jeśli mi wierzysz, to jesteś naprawdę głupia.*

A potem po Quarry Road przetoczył się hałaśliwie samochód i Jezus zniknął.

Nie stanie się nic, co nie ma się stać.

Tak brzmiały słowa bezdomnego Jezusa kpiarza. Nękały Rebekę podczas długiej zimy i mroźnej wiosny roku 1949, który miał być jej ostatnim rokiem w starej, kamiennej chatce na cmentarzu.

Mieszkańcy Milburn powiadali, że dla Schwartów wszystko się skończyło tuż po kryminalnych występkach Herszela i jego ucieczce, ale w rzeczywistości od tamtych zdarzeń minęło osiem miesięcy. To był czas jednoczesnego zastoju i chaosu, niczym uwięzienie w paraliżu przerywanego, rozpadającego się snu. Rebeka wiedziała jedynie tyle, że epizody furii i rozpacz przeplatane napadami lęku i depresji topionej w alkoholu przydarzają się jej ojcu coraz częściej i że za nic nie da się przewidzieć, kiedy do nich dojdzie.

Jakub Schwart coraz częściej znajdował jakieś powody do obciążania winą drugiego syna. Już samo jego imię budziło w nim pogardę: „Gus”.

– Jaki znowu „Gus”. A może nie Gus tylko „gaz”? Kto to słyszał, żeby nazywać się „gaz”? – zaśmiewał się do rozpuku Jakub.

Znęcał się nad chłopakiem nawet wtedy, gdy nie pił.

– Nasi nazistowscy wrogowie zabrali mi jednego z synów, ale czemu tego drugiego, a nie ciebie? Hę?

Mawiał też:

– Wiadomo, że Bóg to kawalarz: zabrał mojego pierworodnego, a ciebie zostawił.

O dziwo, jego angielski nabierał coraz silniejszego akcentu, jakby Jakub Schwart mieszkał w Dolinie Chautauqua od zaledwie kilku tygodni, a nie od dziesięciu lat z okładem.

– Dlaczego on mnie tak nienawidzi? – mruzczał Gus do Rebeki. – To nie przeze mnie Herszelowi odbiło.

W odróżnieniu od Herszela Gus jakoś nie potrafił przeciwstawić się ojcu. A Jakub Schwart był człowiekiem, który kiedy nikt mu się nie stawiał, robił się jeszcze bardziej złośliwy i okrutny. Rebeka przekonała się na własnej skórze, że kiedy w szkole próbowała ignorować prześladowania ze strony innych dzieci, to wtedy te prześladowania tylko wzbierały na sile. Nie można udobruchać sadysty. Nie ma sensu czekać, aż sadysta zmęczy się swoim okrucieństwem i znajdzie sobie inną ofiarę. Rebeka musiała z miejsca odpłacać się pięknym za nadobne, bo tylko wtedy oprawcy zostawiali ją w spokoju.

Przynajmniej na jakiś czas.

Biedny Gus, który nie miał żadnej pracy poza cmentarzem. Żadnego życia poza kamienną chatką. Ojciec za nic nie chciał pozwolić, by znalazł sobie pracę i zarabiał własne pieniądze, tak jak to kiedyś zrobił Herszel. Gus nie miał też siły, by oderwać się od domu, bo czuł się odpowiedzialny za matkę. W wieku dziewiętnastu lat został (niepłatnym) asystentem Jakuba Schwarta.

– Przyleż tutaj! No rusz dupsko! Czekam!

Gus musiał okazywać posłuszeństwo w najdrobniejszych sprawach; zdaniem Rebeki zachowywał się tchórzliwie jak mały żołnierz, który boi się sprzeciwić

oficerowi. Kochała Gusa, kiedy byli młodszy, a teraz odskakiwała od niego z obrzydzeniem, bo jej brat stopniowo stawał się zniewolonym zwierzęciem o spodlonym duchu. Jego cienkie, płowe włosy rzedły w zastraszającym tempie, bo tak często skrobał się po czaszce, na czole zaś pojawiały się głębokie zmarszczki jak u starca. Cierpiał na tajemnicze wysypki, wiecznie się drapał. Rebeka kuliała się, widząc, jak Gus wtyka sobie palec bardzo głęboko do ucha, żeby wściekle tam grzebać, jakby chciał wygrzebać sobie mózg.

Od czasu, gdy Herszel odszedł z domu, prześladowania się nasiliły. Zaczęły się jednak wiele lat wcześniej, jeszcze zanim Jakub Schwart zmusił Gusa, by rzucił szkołę w szesnaste urodziny. „Synu, ty nie jesteś bystry – stwierdził rzeczowym tonem Jakub. – Takim jak ty szkoła nic nie daje. Podczas tamtej strasznej morskiej podróży dopadła cię dyzenteria i gorączka. A kiedy mózg topi ci się jak wosk, to już nie ma ratunku dla inteligencji. W tej szkole otaczają cię nasi wrogowie. Nieokrzesani, prymitywni wieśniacy, którzy śmieją się z ciebie i tym samym śmieją się z twojej rodziny. Z twojej matki! Tego się nie toleruje, synu!”

Kiedy papa wpadał w swój słuszny gniew, nie dawało się dowodzić przed nim swoich racji.

To była prawda, Gus musiał się z tym zgodzić. Miał kiepskie oceny, niewielu kolegów, większość uczniów z jego klasy go unikała. Mimo to nigdy nie przysporzył żadnych kłopotów, nigdy nikomu nie zrobił krzywdy! To ta jego zaogniona skóra nadawała mu wygląd furii. I małe, blisko osadzone oczy, które przyglądały się światu z nieufnością.

Dlatego Gus usłuchał ojca i rzucił szkołę. Teraz już nie miał żadnego życia poza cmentarzem, poza królestwem Jakuba Schwarta. Rebeka martwiła się, że któregoś dnia ojciec się uprze, żeby ona też rzuciła szkołę. Bo z taką zajadłością odrzucał świat wiedzy, książek, słów. Wiele wskazywało, że matka też mogłaby się tego domagać. *Jesteś dziewczynką, jeszcze coś ci się stanie.*

(Rebeka miała przed sobą zagadkę: zostanie ukarana za to, że jest dziewczynką, czy za to, że jest córką grabarza?)

Pewnego dnia, pod koniec marca, kiedy razem sprząтали cmentarz po burzy, Jakub Schwart znieczepił się, bo Gus był rozkojarzony i pracował nieudolnie. Sklął go i zamierzył się na niego szpadlem, udając, że chce go uderzyć. Oczywiście tylko żartował. Ale Gus skulił się, z wyrazem skrajnego lęku na twarzy, czym jeszcze bardziej rozwścieczył starego, który stracił wtedy panowanie nad sobą i walnął Gusa szpadlem w plecy.

– Dureń! Osioł!

Cios nie był specjalnie silny, upierał się potem Jakub Schwart, a jednak Gus, powodowany czystą perfidią, upadł na jeden z nagrobków, kalecząc się w głowę. Z niewielkiej odległości całej sytuacji przyglądali się ludzie, którzy przyszli odwiedzić grób. Jeden z nich zawołał, pytając, co się stało, co tam się dzieje, ale Jakub Schwart go zignorował, przeklinając leżącego syna i każąc mu natychmiast wstać.

– Hańba, że się tak zachowujesz! Jak małe dziecko udajesz, że się skaleczyłeś!

Gus wstał z trudem, ocierając zakrwawioną twarz, a Jakub nadal szalał.

– Popatrz na siebie! Cholerny smark! No idź, idź do mamy, idź possać maminego cycka. No idź!

Gus obrócił się w stronę ojca ze zognionymi oczyma. Na jego twarzy nie było już tego skrajnego strachu. Zalany krwią z rany na czole Gus przyglądał się teraz staremu z nienawiścią. Jego palce zaciśnięte na trzonku metalowej gracy o szerokich zębach drgały spazmatycznie.

– No zrób to! Zrób to! Ty cykorze, idź do cycka! – wściekał się Jakub Schwart, gdy tymczasem jego syn zbliżał się powoli do niego z uniesioną gracą.

W tym samym momencie człowiek, który do nich wołał, szedł już w ich stronę, ostrożnie, przemawiając spokojnie, starając się ich odwieść od dalszej przemocy. Dwie kobiety przy grobie objęły się i popiskiwały z przestachem.

– Tylko spróbuj! Tylko spróbuj uderzyć ojca! Nie uderzysz, ty kaleki gówniarzu!

Gus trzymał gracę w trzęsących się dłoniach i potem nagle ją opuścił. Nadal nic nie mówił. Jakub Schwart wciąż wrzeszczał na niego, a on tymczasem odwrócił się i odszedł, niepewnym krokiem, roniąc krople krwi na śnieg, zdeterminowany, by zachować równowagę, nie upaść, jak człowiek, który wędruje przez pokład rozchobotanego statku.

Wszedł do domu i natknął się od razu na zaczajoną Annę Schwart, całą drżącą z emocji.

– To on? On ci to zrobił?

– Nie, mamó. Upadłem. Sam to sobie zrobiłem.

Anna próbowała niezdarnie objąć syna, który tym razem nie dawał się ani objąć, ani nawet zatrzymać. Prosiła, błagała.

– On cię kocha, August! Już taka jego natura, że niedobry. Że zadaje ból, chociaż kocha. Naziści...

– Chrzanić nazistów. On sam jest nazistą. Chrzanić go.

Anna zmoczyła ręcznik w zimnej wodzie, chcąc go przyłożyć do zakrwawionego czoła Gusa. Ale on nie miał cierpliwości do jej zabiegów, prawie wcale nie czuł bólu, krwawienie tylko go irytowało.

– Psiakrew, puść mnie, mamó. Nic mi nie jest.

Z zaskakującą brutalnością odepchnął Annę na bok. W swoim pokoju opróżnił zawartość szuflad komody na łóżko, wyciągnął kilka ubrań z szafy, rzucił wszystko na stertę. Potem zrobił tobolek z flanelowego koca i zawiązał swój lichej dobytek w środku. Jego rozkojarzona matka nie potrafiła uwierzyć własnym oczom: jej ranny syn, jej jedyny syn, taki rozradowany? Uśmiecha się, śmieje do siebie? On, który tak rzadko się uśmiechał od czasu tamtego poranka ze swastykami.

Na kuchennej posadzce, na korytarzu i w sypialni niczym egzotyczne monety lśniły plamy krwi, znacząc drogę Augusta Schwarta, którą Rebeka miała dopiero odkryć, kiedy wróciła ze szkoły do milczącej, zdewastowanej kamiennej chatki.

Tak jak tamten nawet się nie pożegnał. Odszedł, nawet się ze mną nie żegnając.

Obaj jego synowie odeszli. Ogarnięty furją uznał, że go porzucili.

– Miałem dla nich plany. Zdrajcy!

Długo to jeszcze rozpamiętywał, pijąc do późnej nocy, gapiąc się na swoje zamazane odbicie w oknie, w którym wyglądał jak topielec. Uznał, że synowie zostali mu zabrani.

To był jakiś spisek. Czyjś plan. Bo oni nienawidzili Jakuba Schwarta. Jego wrogowie.

Błąkał się po cmentarzu, pośród tających, ociekających wodą drzew.

– Ja jestem Zmartwychwstaniem i Życiem – odczytał na głos.

Mocno powiedziane, nieprawdaż? Niezwykłe wyznanie władzy i zarazem pocieszenie. To były słowa wygrawerowane na zwietrzałym nagrobku z roku 1928.

Głos Jakuba brzmiał wesoło, a zarazem ochryple. Nikotyna wyżarła wnętrze jego ust. Przypomniało mu się teraz, że któregoś razu, kiedy Herszel jeszcze chodził do szkoły, wiele lat wcześniej, przeczytał mu te słowa na głos, a wtedy Herszel podrapał się po głowie, pytając, co to, kurde, jest to „zmarłychstanie”, na co Jakub mu wyjaśnił: w tym chodzi o to, że Mesjasz przybył zbawić chrześcijan, wyłącznie chrześcijan, i o to, że chrześcijanie spodziewają się wskrzeszenia w swoich ciałach, kiedy Jezus Chrystus powróci na ziemię.

Zdumiony Herszel prychnął wzgardliwie.

– W jakich, kurde, ciałach? W tych truposzach z grobów?

Tak, tak właśnie. W tych truposzach z grobów.

Herszel zanosił się swym głupawym, skrzekliwym śmiechem. Jakby to był jakiś żart. Jakub Schwart, chcąc nie chcąc, uśmiechnął się: jego starszy syn analfabeta potrafił dostrzec tragifarsę ludzkich złudzeń, był równie spostrzegawczy jak wielki niemiecki pesymista Arthur Schopenhauer. Miał oko!

– Jezu, papa, ale by obleśnie wyglądali, co? I jak mieliby stamtąd wyleźć?

Herszel uderzył zaokrąglony brzeg jednego z grobów szpadlem, jakby chciał obudzić to, co leżało tam w środku, pod darnią. I potem się z tego czegoś nabijać.

Psiakrew! Ależ tęsknił za Herszelem. Jego syna nie było już od wielu miesięcy (syna, którego tak naprawdę ledwie mógł ścierpieć), tęsknił za Herszelem, jakby on był czymś, co mu wyjedzono z bebechów.

– Wszystko, co mieliśmy – burczał do Anny. – Przepadło razem z nim.

Anna nie odpowiadała. A jednak wiedziała, co miał na myśli Jakub.

Wszystko, co mieliśmy, kiedy byliśmy młodzi. W starym kraju. Kiedy Herszel się urodził. Przed nazistami. Przepadło.

Powstała taka oto teoria: zastępcy szeryfa hrabstwa Chautauqua upolowali Herszela jak psa i zastrzelili go w jakimś rowie. Gestapo. Pewnie twierdzili, że to było w

samoobronie. Że stawiał opór podczas aresztowania. To mogło się stać w górach. Często słyszało się odgłosy strzałów od strony gór. Odgłosy polowania.

Herszel nie miał broni palnej, o ile Jakub się orientował. Może miał nóż. Ale nic więcej. Został postrzelony, zostawili go, żeby się wykrwawił na śmierć w jakimś rowie. Mieszkańcy Milburn nigdy by nie wybaczyli Herszelowi tego, że pobił i oszpecił ich nazistowskich synów.

– Wymierzę sprawiedliwość. Nie będę bezbronny.

Ależ to była mroźna wiosna! Wiosna z piekła rodem. Zbyt wiele pogrzebów, grabarz miał moc pracy. Ten przeklęty rok 1949. Za młodszym synem też tęsknił. Za małym, płaczącym Augustem, któremu na skórze wiecznie wychodziły pokrzywki.

August, nazwany tak po ulubionym, starym wujku Anny, który zmarł mniej więcej w czasie, kiedy Anna i Jakub się pobrali.

Przez jakiś czas był wściekły na Augusta za to, że zachował się tak beztrosko i głupio, za to, że uciekł, a on nie mógł go znaleźć, żeby przemówić mu do rozumu, ale wtedy to mu się wydawało logiczne. August też został mu zabrany, by uczynić Jakuba Schwarta całkiem bezradnym. Przecież pobili tego chłopaka, krew płynęła strumieniem z paskudnej rany na twarzy...

Gamoniowaty, ale dobry pracownik. Dobry syn. I August przynajmniej umiał czytać. August radził sobie z arytmetyką ze szkoły podstawowej.

– Nie będę bezbronny... Nie będę potulny.

Dziwne i straszne: ten paraliż, który ogarnął zdeklarowanych wrogów niemieckiej Rzeszy. Niczym zwierzęta zahipnotyzowane widokiem zbliżającego się drapieżnika. Hitler nie dał się wymazać. Hitler był bezpośredni, mówił prosto z mostu. Jakub zmusił się, żeby przeczytać *Mein Kampf*. I w końcu wczytał się w *Mein Kampf*. To obłąkańcze przekonanie! Ta pasja! *Moja bitwa, moja kampania. Moja walka. Moja wojna.*

Wzestawieniu z tyradami Hitlera, z upiorną logiką Hitlera, jakże ulotne, jakże słabe były wielkie dzieła filozofów, tylko słowa i nic więcej! Marzenie ludzkości o bogu to były tylko słowa!

Osaczony przez wrogów, tu, w Dolinie Chautauqua, Jakub Schwart nie zamierzał dać się zahipnotyzować. Nie zamierzał dać się zaskoczyć, nie zamierzał być bezbronny. Historia się nie powtórzy.

O to też winił swoich wrogów: że on, Jakub Schwart, wyrafinowany i wykształcony człowiek, były obywatel Niemiec, jest zmuszany do tak barbarzyńskich zachowań.

On, były nauczyciel matematyki w prestiżowej szkole dla chłopców. Były, szanowany pracownik znanej monachijskiej drukarni specjalizującej się w publikacjach naukowych.

Obecnie grabarz. Dozorca grobów tych ludzi, jego wrogów.

Musiał się opiekować ich chrześcijańskim cmentarzem. Musiał strzyc trawę na ich parcelach. Krzyże! Ukrzyżowane Chrystusy! Idiotyczne, kamienne anioły!

Pielęgnował groby, a jakże. Kiedy nikt nie patrzył, Jakub Schwart „podlewał” groby swymi gorącymi, żrącymi szczynami.

On i Herszel, wiele lat wcześniej. Zaśmiewając się przy tym, rżąc jak osły.

Gus nigdy tego nie robił. Z Gusem nie dawało się żartować w taki sposób. Ten chłopak byłby przerażony, zawstydzony, gdyby miał sikać w obecności własnego ojca, rozpinać rozporek i wyjmować penisa. Jak jakaś dziewczyna, zdaniem Jakuba.

Jego hańba, stracił swoich synów.

Z czasem zaczął obwiniać radę miasta. Bo gdyby tego nie zrobił, to wszystko by mu się pomieszało.

– Jeszcze zobaczycie. Już niedługo coś wam otworzy te wasze ślepe oczy.

Wyuczył się ich nazwisk na pamięć. Madrick, Drury, Simcoe, Harwell, McCarren, Boyd... Nie był pewien ich twarzy, ale znał ich nazwiska i mógł się dowiedzieć, gdzie mieszkają, w razie konieczności.

Taki jestem wdzięczny. Dziękuję wam, szanowni panowie!

Wiejskie głupki. Marszczyli nosy, czuli, jak on śmierdzi. Widzieli przed sobą nieogolonego człowieka-trolla, z przetrąconym grzbietem, mnącego w dłoniach czapkę z sukna... Z litości dla niego, z pogardy dla niego, tłumaczyli mu, zupełnie bezwstydni w swojej obłudzie, że budżet, że jest budżet, że są cięcia w budżecie, może w przyszłym roku, Dziej-kob, być może w przyszłym roku, zobaczymy, Dziej-kob. Dziękujemy, że przyszedłeś, Dziej-kob!

Kupi sobie broń z długą lufą. Strzelbę na jelenie albo dubeltówkę. Miał pieniądze. Trzymał prawie dwieście zaoszczędzonych dolarów w First Bank of Chautauqua.

„Ludobójstwo”, tak to się właśnie nazywa. Teraz jesteś młoda, ignorantka, w tej szkole mówili ci same kłamstwa, ale któregoś dnia będziesz musiała się dowiedzieć. W świecie zwierząt nie ma miejsca dla słabych. Dlatego musisz ukrywać swoją słabość, Rebeko!

Mówił z przerażającym żarem. Jakby ośmieliła się wątpić w to, co mówił. A przecież ona mu przytakiwała, tak, papo.

Nie miała zielonego pojęcia, o czym on mówi. Bała się, że w swoim podnieceniu mógłby ją opluć. Bo przeżuwał ogromny kawał tytoniu, żrące soki ściekały mu po brodzie. Im bardziej gorączkowo mówił, tym więcej śliny wylaływało mu z ust. A jeśli jeszcze dostanie tego swojego napadu kaszlu...

– Ty mnie słuchasz, Rebeko? Słyszysz mnie?

Był taki rozgoryczony, bo nie został mu już żaden syn. Został wykastrowany, pozbawiony męskości. Jego hańba.

Tylko ta dziewczyna. Musiał kochać tę nieszczęsną dziewczynę, nie miał nikogo innego.

I tak oto w niektóre wieczory mówił jej, wpadł w taki nawyk i nawet nie mógł sobie przypomnieć, co już jej kiedyś powiedział albo od kiedy właściwie tak ją naucza, że w Europie ich wrogowie chcieli nie tylko zabić jego i jemu podobnych „jak podczas działań wojennych”, ale wręcz zgładzić ich wszystkich. Bo uważano ich za „czynniki zanieczyszczające”, za „toksyny”. I dlatego to nie była zwykła wojna, która stanowi akt polityczny, tylko ludobójstwo, które jest aktem moralnym, można wręcz powiedzieć metafizycznym. Ludobójstwo bowiem, jeśli już zostanie dokonane, jest aktem, którego czas nie jest w stanie odwrócić.

– Oto zagadka warta Zenona: że w historii mogą się dziać rzeczy, których historia, całość czasu, nie jest w stanie odwrócić.

Głęboka myśl. A jednak dziewczyna tylko gapiała się na niego.

Cholera, jak ona go wkurzała! Krnąbrne dziecko o ciemnooliwkowej cerze, takiej samej jak jego cera. Ten cygański wygląd. Piękne ciemne, świetliste oczy. Niemłode oczy. To Anna była winna, niejasno winił Annę za tę dziewczynę. Nie to, że nie kochał tej

dziewczyny, oczywiście. Ale, kto to wie dlaczego, w rodzinie wini się czasem matkę, zwyczajnie za to, że urodziła.

Jeszcze jedno dziecko? Ja tego nie zniosę. Nie.

Na przesiąkniętej krwią koi, w tej kajucie bez okien, brudnej nie do opisania. Jakże łatwo było udusić tego noworodka. I jakie to byłoby miłosierne ją udusić. Dorosła ręka przyciśnięta do małej, pomarszczonej buzi czerwonej jak pomidor. Zanim zaczerpnęła oddechu i zaczęła się drzeć. Zanim zobaczyli ją chłopcy i zrozumieli, że mają siostrę. I później, podczas tych dni, gdy zamroczona Anna karmiła ją niechlujnie piersią, też mogła zostać uduszona. Mogła zostać upuszczona na podłogę. Można ją było niedbale wyciągnąć z kołyski, nie wesprzeć opiekuńczą, dorosłą dłonią kruchego karczku, który nie był w stanie sam udźwignąć nieproporcjonalnie ciężkiej główki. Niemowlę mogło się rozchorować, flegma mogła zatkać maleńkie płuca. A zapalenie płuc? Dyfteryt? Natura dostarczyła zdumiewającego asortymentu dróg wyjścia z życia. A jednak mała Rebeka przeżyła, zamiast umrzeć.

Kazać jakiemuś dziecku żyć w piekle dwudziestego wieku? Jak to znieść!

A teraz miała dwanaście lat. W jej obecności Jakub czuł, że jego wypaczone serce uciskają emocje, których nie potrafił nazwać.

To nie była miłość, może raczej litość. Bo Rebeka bez cienia wątpliwości była córką Jakuba. Przypominała go bardziej niż jego synowie. Odziedziczyła jego ostre kości policzkowe i takiego samego szpaka we włosach, jakiego on kiedyś miał (kiedy miał więcej włosów). Odziedziczyła też jego niespokojne, głodne oczy. Była inteligentna tak jak on i nieufna. Taka zupełnie inna od swojej matki, ślicznej w młodości, z tą słodką buzią, jasną karnacją, jedwabistymi, jasnymi włosami, i śmiała się tak zachwycająco, że człowiek, chcąc nie chcąc, śmiał się razem z nią z najzwyklejszych rzeczy. W zamierzchłej przeszłości, kiedy Anna się śmiała... Ale Rebeka, ich córka, nie była z tych, które się śmieją. Może jako dziecko wyczuła, że mało co, a byłaby nie zaistniała. Miała melancholijnego ducha i była uparta. Jak ojciec. Poważna w sercu. Nikt by nigdy nie nazwał jej śliczną, zwłaszcza z tymi gęstymi, sterczącymi brwiami jak u mężczyzny.

Jakub nie ufał kobietom. Schopenhauer wiedział o tym bardzo dobrze: kobieta to tylko ciało, płodność. Kobieta nakłania (słabego, rozkochanego) mężczyznę, żeby skojarzył się z nią w parę i żeby stał się monogamiczny wbrew temu, do czego nakłania go żądza. Przynajmniej w teorii. Rezultat jest zawsze ten sam: przedłużenie gatunku. Zawsze żądza, kojarzenie się w pary, zawsze następne pokolenie, zawsze gatunek! Ślepa, bezmózga, nienasycona wola. Z ich niewinnej, radosnej miłości w zamierzchłych czasach wziął się ich pierworodny, Herszel: urodzony w 1927 roku. A potem pojawił się August i wreszcie mała Rebeka. Każde z nich było odrębną jednostką, a jednak jednostka w zasadzie się nie liczy, liczy się tylko gatunek. W służbie ślepej woli, sekretnej, kobiecej miękkości, wilgotnych woni; stulone, różowe wnętrza kobiety, które mężczyzna może penetrować nieskończenie wiele razy, a jednak nie jest w stanie ani ich zobaczyć, ani zrozumieć. Z kobiecego ciała rodził się labirynt, gmatwanina dróg. Plaster miodu z tylko jednym wejściem i bez żadnego wyjścia.

Ha! Fakt, że jego córka była do niego taka podobna, a jednocześnie była małą kobietą, wydawał się Jakubowi tym bardziej odstręczający, bo z tego jakby wynikało, że Jakub Schwart nie znał siebie do końca i w związku z tym nie mógł sobie ufać.

– Tak. Jesteś ignorantką. Nie wiesz nic o tym piekielnym świecie – mówił karcącym tonem.

Pociągnął ją za ramię, chciał jej coś pokazać, na dworze.

Mówił jej, że w dwudziestym wieku, w wyniku aktów, których dopuściły się Niemcy i tak zwane państwa Osi, wszelkie starania ludzkich cywilizacji, poczynając od Greków, zostały zepchnięte na ubocze, z demoniczną radością; zarzucone i wymazane, w interesie bestii. Niemcy nie robili z tego żadnej tajemnicy – z „kultu bestii”. Żaden z nich, którzy żyli teraz, nie żałował wojny; żalowali tylko tego, że przegrali wojnę i dali się rzucić na kolana, że im udaremniiono plan zagłady wrogów.

– Wielu ludzi w tym kraju podzielało ich przekonania, Rebeko. Również tutaj, w Milburn. I wielu nazistów zostało otoczonych ochroną i będą nadal chronieni. Nie dowiesz się tego ze swoich podręczników. Oglądałem te twoje idiotyczne podręczniki do historii. Pozornie nie ma już wojny, od 1945 roku. Ale sama popatrz, jak ten kraj nagradza niemieckich wojowników. Tyle milionów dolarów przekazanych Niemcom, matecznikowi bestii! A po co, jeśli nie po to, żeby ich nagrodzić? To ukryta zapłata za wojnę. Wojna się nie skończy, dopóki ostatni z nas nie umrze.

Był podniecony, bryzgał śliną. Na szczęście znajdowali się na otwartym powietrzu i Rebecce nie groziło, że zostanie opluta.

– Widzisz, he? Tutaj.

Podprowadził ją do żwirowanej ścieżki, biegnącej obok ich domu, którą szło się w głąb cmentarza. Utrzymywanie tej ścieżki należało do obowiązków dozorczy, to on musiał rozsypywać na niej żwir, a mimo to nocą jego wrogowie przychodzili z gracami albo motykami, żeby się z niego naigrawać.

Rebeka przyglądała się ścieżce. Co niby miała tam zobaczyć?

– Jesteś ślepa, dziewczyno? Nie widzisz? Jak nasi wrogowie nas prześladują?

W żwirze, bez cienia wątpliwości, ktoś wyrył swastyki, nie takie oczywiste jak tamte wymalowane smołą w noc przed Halloween, tylko bardziej chytre.



– Widzisz?

Ach, co za uparte dziecko! Gapiła się, a jednak nie chciała potwierdzić.

Jakub przeciągnął gniewnie piętą po żwirze, niszcząc te szydercze kreski, które najbardziej rzucały się w oczy.

Wiele miesięcy wcześniej, kiedy po raz pierwszy zbezczeszczono cmentarz, omal się nie wykończył, kiedy usuwał ślady smoły. Zeskrobywał je z frontowych drzwi kamiennej chatki, ogarnięty szalem obrzydzenia, a jednak nie udało mu się zeskrobać ich do końca. Jedyne, co mógł zrobić, to jeszcze raz pomalować przekłete drzwi, ponurą, ciemnozieloną farbą, ale i wtedy cień wielkiej swastyki przebijał od spodu, jeśli człowiek przyjrzał się dokładnie. Razem z Gusem przemalowali ściany szop i próbowali wyszorować do czysta oszpecone nagrobki. Mimo to swastyki zostały, jeśli człowiek wiedział, gdzie ich szukać.

– Ech! Jesteś jedną z nich.

Bezsensowna uwaga, o czym wiedział już w chwili, gdy ją wypowiadał. A jednak był ojcem tego dziecka, mógł mówić wszystko, co mu ślina na język przyniesie, a ono musiało to uszanować.

Głupia, uparta córka, która nie umiała zobaczyć tego, co miała przed oczyma, pod własnymi stopami! Stracił do niej cierpliwość, schwycił ją za ramię i potrząsał, potrząsał, potrząsał tak długo, aż zaczęła skowycić z bólu.

– Jedna z nich! Jedna z nich! A teraz idź się mazać do swojej matki!

Odepchnął ją, na ścieżkę, na ostry żwir, gdzie już została, łapczywie chwytając powietrze i wycierając nos, gdzie gapiała się na niego wytrzeszczonymi oczyma, zogromnionymi z panicznego strachu. Klnąc głośno, pomaszerował po grzę, by po raz kolejny zniszczyć drzwiące z niego swastyki.

Dybuki! Wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

Był rozumnym człowiekiem, to oczywiste, że coś takiego nie wpadło mu do głowy. A jednak.

Dybuk, sprytny i zwinny niczym wąż, mógł zawładnąć słabą na umyśle kobietą. W monachijskim zoo widział niezwykłą, długą na osiem stóp kobrę, niesamowicie zwinną, poruszającą się jakby ciągłym strumieniem, niczym woda; wąż, który „biegł” na swoich licznych żebrach, ukrytych we wnętrzu pokrytej łuskami, połyskliwej, prawie pięknej skóry. Oczy zapadły mu się w głąb czaszki, niemalże poczuł się bliski omdlenia, wyobrażając sobie, jak wąż-dybuk wnika w kobietę.

Między nogi i do środka.

Bo nie mógł zaufać żadnej z nich, ani żonie, ani córce.

Jako człowiek rozumu nie chciał wierzyć w dybuki, a jednak może to właśnie w związku z nimi należało szukać wytłumaczenia. Może dybuki ożyły, powstały ze średniowiecznego błota Europy. I dotarły aż tutaj, do Milburn. Buszowały po cmentarzu i po okolicznych polach. Lewitowały niczym mgła wśród wysokich, wilgotnych traw, które drżały na wietrze. Wśród rdestu węzownika i kocimiętki. A potem nawiane przez wiatr na luźno osadzone okna starej, kamiennej chatki drapały pazurami o szyby, rozpaczliwie szukając wejścia. I szukały też wejścia do ludzkich ciał, w których kryją się niedopasowane, prymitywne dusze.

Anna. Jego żona od dwudziestu trzech lat. Czy mógł zaufać Annie z jej kobiecością?

Podobnie jak ciało, również umysł Anny sflaczał z czasem. Nigdy do końca nie wyzdrowiała po trzeciej ciąży, z udreki trzeciego porodu. W rzeczy samej nigdy do końca nie wyzdrowiała z ich panicznej ucieczki z Niemiec.

To była jego wina; czuł, że ona tak myśli. Że jest jej mężem i mężczyzną, a mimo to nie ochronił ani jej, ani ich dzieci.

A jednak nocami budziła się do życia inna Anna. Kiedy spała i śniła lubieżnie. Ha! Już on o tym wiedział! Słyszał jej pojękiwania, gwałtowny oddech. Czuł dygotanie jej ciała. Ich łóżko cuchnęło potem, jej kobiecymi wydzielinami. Za dnia stawała do niego tyłem, odwracała oczy. Podobnie jak on odwracał oczy od jej nagości. Podejrzewał, że nigdy go nie kochała. Bo miała dziewczęcą duszę, płytką, łatwo ulegającą emocjom. W kręgu ich monachijskich przyjaciół Anna była znana z tego, że śmiała się i flirtowała z wieloma młodymi mężczyznami, rzucało się w oczy, że robiła na nich wrażenie i płaowała

się w ich zainteresowaniu. Teraz Jakub Schwart mógł to przyznać, że był jednym z nich. Być może kochała innego, który dla odmiany nie kochał jej. I wtedy pojawił się Jakub Schwart, zaślepiiony miłością. Błagał, żeby wyszła za niego. W noc poślubną nie pomyślał, by zadać sobie pytanie: Czy moja młoda żona jest dziewicą? Czy jej miłość jest dziewiczą miłością? Akt miłości był czymś porażającym dla Jakuba, wybuchowym, niszczycielskim. Miał tak mało doświadczenia. Nie potrafił oceniać wtedy i miał nie umieć jeszcze przez wiele lat.

To właśnie podczas przeprawy przez ocean po raz pierwszy pojawiła się Anna-Dybuk. Pogrążona w delirium mamrotała, bredziła, okładała go pięściami. W jej oczach nie było żadnej miłości, nawet go nie rozpoznawała. To były oczy demona, rozjarzone, bursztynowe oczy! Z ust Anny wymykały się najbardziej chamskie, niemieckie bezeceństwa i wulgaryzmy, które ani trochę nie pasowały do niewinnej, młodej żony i matki, to były słowa demona, dybuka.

Tamtego dnia znalazł Annę w szopie. Ukrywała się tam, z małą owiniętą w brudny szal. *Chcesz, żebym ją udusił?* To, co robiła, to było na poważnie czy tylko się z niego naigrawała? Nie wiedział.

Nie mógł teraz ufać Annie, że będzie szykowała im posiłki jak należy. Miała wprawdzie w zwyczaju gotować wodę z ich studni, bo prawdopodobnie ta woda była skażona, a jednak wiedział, że jest niefrasośliwa i obojętna. Że przez tę jej obojętność i niefrasośliwość są stopniowo podtruwani. I nie mógł też jej ufać w związku z innymi mężczyznami. Każdy mężczyzna, który ujrzał Annę, widział od razu jej kobiecość, równie rzucającą się w oczy jak nagość. Bo było coś kurewskiego i erotycznego w pomarszczonym, sflaczałym ciele i obwisłej, dziewczęcej twarzy Anny, w jej wilgotnym, bezmózgim spojrzeniu, które wzbudzało męskie pożądanie, nawet jeśli odstręczało.

Na przykład ci zastępcy szeryfa. Od czasu zniknięcia Herszela zachodzili do nich od czasu do czasu, żeby zadawać pytania. Jakub nie zawsze był w domu podczas ich najść, to Anna otwierała im drzwi i rozmawiała z nimi. Jakub powoli podejrzewał, że te pytania to tylko zwykłe preteksty.

Często jacyś mężczyźni włóczyli się po cmentarzu, pośród grobów. Pozornie odwiedzali groby. Żałobnicy. Albo tylko udawali.

Anna Schwart stała się podstępna, butna. Wiedział, że już dawniej nieraz okazywała mu nieposłuszeństwo, bo ośmielała się włączać radio. Nigdy jej nie przyłapał, bo była na to zbyt sprytna, a mimo to wiedział. Obecnie nikt już nie słuchał przekłętego radia, bo przewody się poprzepalały i nie dało się ich wymienić. Przynajmniej w tym była jakaś satysfakcja.

(Jakub sam poluźnił przewody. Żeby zastraszyć Annę. A potem zapomniał, że je poluźnił. Włączył radio i usłyszał ciszę.)

I jeszcze była Rebeka, jego córka.

Jej szczupłe ciało stopniowo się wypełniało, nabierając kształtów kobiety. Widywał ją przelotnie przez półotwarte drzwi, kiedy myła górne partie ciała, z wyrazem skupienia na twarzy. Wstrząsający widok drobnych, zaskakująco białych piersi, sutków jak kulki winogron. Pod pachami kielkowały delikatne, ciemne włosy, a jej nogi... Wiedział, że już nie może jej ufać, bo nie chciała przyznać, że na ścieżce są wyrwane swastyki. Zresztą zrozumiał to wiele lat wcześniej, kiedy znalazł jej fotografię w gazecie z Milburn. Mistrzynie ortografii! *Rebeka Estera Schwart!* Pierwszy raz w życiu słyszał o czymś takim. Trzymała to przed nim w tajemnicy. I przed Anną też.

Wiedział, że ta dziewczyna prędko dorośnie. Gdy tylko zaczęła chodzić do szkoły, zaczęła się powoli upodabniać do tych ludzi. Widywał ją z tą kocmołuchowatą dziewczuchą Grebów. Dorośnie, zostawi go. Obowiązkiem mężczyzny jest oddać własną córkę innemu mężczyźnie, chyba że wbrew zakazowi sam ją sobie weźmie na własność.

– Dlatego muszę być twardy dla jednej i drugiej.

Od właściciela z Milburn Feed Store kupił dubeltówkę, używanego remingtona kaliber dwanaście, za siedemdziesiąt pięć dolarów.

I jeszcze pięć dolarów za prawie pełne pudełko pięćdziesięciu nabojów.

Do polowań, panie Schwart?

Dla ochrony mojej własności.

Sezon na bażanty zaczyna się dopiero jesienią. W drugim tygodniu października.

To dla ochrony mojego domu. Mojej rodziny.

Ma odrzut, kaliber dwanaście.

Dla ochrony mojej żony, mojej córki. My tam jesteśmy sami. Szeryf nas nie ochroni. Jesteśmy sami, na wsi. Jesteśmy obywatelami amerykańskimi.

Dobra broń do ochrony, jeśli się wie, jak jej używać. Proszę pamiętać, że ma odrzut, panie Schwart.

Odrzut?

Uderza w ramię. Jeśli chwyci pan kolbę zbyt luźno, kiedy pociągnie pan za spust. Jeśli nie ma pan doświadczenia. Kopie jak muł.

Jakub Schwart śmiał się serdecznie, obnażając poplamione nikotyną zęby w uśmiechu szczęścia. *Kopie jak muł? Ha! No to jestem mułem.*

– Durnie! Nikogo nie było.

Zrozumiał to podczas wiosny 1949 roku, podczas tej powolnej, mokrej wiosny. Przedmiotem jego najgłębszej pogardy byli nie durni wieśniacy z okolic, tylko tamci wiekowi Żydzi z dawno minionej młodości, w jarmułkach i szalach modlitewnych, którzy mamrotali do swego idiotycznego boga.

Do wymarłego, wulkanicznego boga, Jehowy.

Takie prawdy odkrywał nocami. Kiedy siedział w kuchni albo na progu domu i chlał. Pijał teraz wyłącznie mocny cydr z pobliskiej gorzelni, tani i mocny. Z dubeltówką w zasięgu ręki. Przeciwno włóczęgom, wandalom. Bo umarlaków się nie bał. Dybuk nie jest umarlakiem. Dybuk łaknie życia, jest nienasycony. W tym miejscu, gdzie fala historii wyrzuciła Jakuba Schwarta na brzeg i porzuciła go niczym śmiecia. A jednak najgłębszą pogardę żywił wobec brodatych, odzianych na czarno, podobnych do trolli starców ze swoich dawnych, chłopięcych lat w Monachium. Zaśmiewał się okrutnie na widok panicznego, chorego lęku w ich oczach, kiedy wreszcie do nich dotarło.

– Nikt, rozumiecie? Bóg jest nikim i nigdzie.

Jakub Schwart nie był synem tamtego plemienia.

Możesz u mnie zamieszkać, Rebeka – powiedziała Katy Greb takim tonem, jakby właśnie jej to przyszło do głowy. – Spałabyś ze mną w łóżku, jest dość miejsca.

Katy zawsze była impulsywna; co pomyślała, od razu mówiła.

Rebeka wyjąkała, że nie wie, czy może.

– Jasne, że możesz! Mama nie będzie miała nic przeciwko, naprawdę cię lubi.

Mama naprawdę cię lubi.

Rebeka była taka poruszona, że z początku nie odpowiedziała. Nie patrzyła pod nogi i uderzyła stopą o kamień na poboczu Quarry Road.

Katy Greb była jedyną koleżanką, z którą Rebeka rozmawiała o niektórych prywatnych sprawach.

Katy była jedyną koleżanką, która wiedziała, jak bardzo Rebeka boi się swojego ojca.

– Nie chodzi o to, co mógłby mi zrobić, tylko mamie. Którejś nocy, kiedy się upije.

Katy chrząknęła głucho, jakby to wyznanie, śmiałe jak na Rebece, wcale jej nie zaskoczyło.

– Mój ojciec jest taki sam. Ale teraz go tu nie ma, więc mama za nim tęskni.

Obie się roześmiały. Trudno się nie śmiać z dorosłych, zachowywali się tak idiotycznie.

Oczywiście w drewnianej ruderze Grebów nie było miejsca dla Rebeki. Nie było miejsca dla prawie trzynastoletniej dziewczynki, wysokiej jak na swój wiek, zakompleksionej i wiecznie pochłoniętej jakimiś myślami.

Jakoś tak to wyszło, że w siódmej klasie Katy Greb stała się najserdeczniejszą (i sekretną) przyjaciółką Rebeki. Katy była dziewczyną o grubych kościach, jasnorudych włosach i zębach, które cuchnęły jak stęchła woda w rowie; swoją wielką, rumianą twarzą przywodziła na myśl kwiat słonecznika. Śmiała się piskliwie i zaraźliwie. Podrygujące zaczątki jej piersi, wypychające od spodu sweterki otrzymane po kimś w spadku, przypominały dwie piąstki.

Katy była o rok starsza od Rebeki, ale chodziła razem z nią do siódmej klasy w gimnazjum. Była (sekretną) przyjaciółką Rebeki, bo ani ojciec Rebeki, ani matka Rebeki nie pochwalaliby tego, że się z kimś przyjaźniła. Tym ludziom nie można było ufać.

Rebeka żałowała, że Katy nie jest jej siostrą. Albo że sama nie jest siostrą Katy. Wtedy mieszkałaby u Grebów, sąsiadów Schwartów, których dom znajdował się w odległości połowy mili od cmentarza.

Katy zawsze powtarzała, że zdaniem jej mamy Rebeka ma na nią „dobry wpływ”, bo Rebeka traktuje naukę poważnie i nie „zbija bąków” jak inne dzieciaki.

Rebeka śmiała się, jakby ktoś ją połaskotał. Strasznie jej się podobało, że pani Greb wyraża się o niej tak pochlebnie, nawet jeśli niezgodnie z prawdą. Leora Greb lubiła używać kwiecistych wyrażen jak owo „zbijanie bąków”, które stosowała nader często;

człowiek odruchowo wyobrażał sobie grupkę dzieci, które kijami zbijają bąki unoszące się w powietrzu.

Grebowie byli najbliższymi sąsiadami Schwartów przy Quarry Road. Leora Greb miała pięcioro dzieci, z których dwoje najmłodszych sprawiało wrażenie opóźnionych w rozwoju. Siedmioletni chłopiec wciąż nosił pieluchy, nawet go nie przyuczono do korzystania z nocnika. Sześciolatnia dziewczynka popiskiwała i bełkotała ze słyszalną frustracją, że nie potrafi mówić tak jak inni. Dom Grebów, częściowo pokryty papą, stał blisko wysypiska śmieci. Gorzej niż tam, gdzie mieszkała jej rodzina, uznała Rebeka. Kiedy od strony wysypiska wiał wiatr, w domu Grebów czuło się mdlący smród śmieci i tłących się opon.

Ojciec Katy, Bud Greb, którego Rebeka ani razu nie widziała, przebywał podobno w Plattsburghu, na granicy kanadyjskiej, gdzie został osadzony w męskim więzieniu o zastrzonym rygorze.

Osadzony. W słowie tym pobrzmiwała niezwykła godność, kiedy była mowa o Budzie Gredzie.

Rebeka przeżyła szok, kiedy się dowiedziała, że Leora Greb wcale nie jest młodsza od Anny Schwart! Rebeka obliczyła, że obie kobiety są ledwie po czterdziestce. A mimo to jakie różne: Leora rzucała się w oczy dzięki włosom koloru blond i makijażowi, który nadawał jej młodzieńczy, efektowny wygląd; oczy miała bystre, roześmiane. Mimo że pan Greb był w Plattsburghu (dostał wyrok dziesięciu lat z prawem do zwolnienia warunkowego po siedmiu latach, za napad z bronią w rękę), Leora przeważnie tryskała optymizmem.

Leora pracowała na pół etatu jako pokojówka w hotelu Generał Waszyngton w Milburn, który reklamował się jako „najbardziej luksusowy” hotel w tej części Doliny Chautauqua. Generał Waszyngton mieścił się w wielkim, pudłowym budynku z granitową fasadą, oknami wyposażonymi w białe żaluzje i malowanym szyldem, który miał niby przedstawiać głowę generała Waszyngtona, z loczkowatą czupryną i twarzą o wydatnej żuchwie, czyli tak, jak niby wyglądał w roku 1776. Leora wiecznie zносиła stamtąd celofanowe torebki z orzeszkami ziemnymi, preclami, chipsami, które hotelowi goście otworzyli, ale nie dojedli do końca.

Była specjalistką od mądrych powiedzonek. Chętnie na przykład przytaczała to, które tak lubił Jakub Schwart: „Nie pożądaj, a nie będziesz trwonil”. Często też mawiała, z ironicznym grymasem: „Jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz”.

Jeździła sedanem marki Dodge, rocznik 1945, który pozostawił w jej pieczy Bud Greb, i czasami, kiedy była akurat w dobrym nastroju, dawała się namówić i wiozła Katy i Rebeke do miasta albo na wyprawę brzegiem rzeki Chautauqua do Drottstown i z powrotem.

W związku z Leorą Greb zaskakujące i nie do końca dla Rebeki zrozumiałe było to, że wyraźnie lubiła swoją liczną rodzinę, stłoczoną w niewielkim domku. Leora wręcz chyba lubiła swoje życie!

Katy przyznawała, że czasami tęskniła za ojcem. Ale bez niego było znacznie łatwiej. Nie kłócili się tak często, po domu nie pałatali się jego kumple, w środku nocy nie pojawiali się gliniarze, którzy świecili latarkami do okien, sprawiając, że mogli skichać się ze strachu.

– Czy ty wiesz, że oni wrzeszczą przez megafony? Słyszałaś ich kiedykolwiek?

Rebeka potrząsnęła głową, że nie. I nie zamierzała ich słuchać, jeśli to będzie od niej zależało.

Katy powiedziała Rebecce, tonem zwierzenia, że Leora miewa chłopaków, facetów, których poznaje w hotelu.

– Niby nic o tym nie wiemy, ale, kurcze, wiemy.

Ci mężczyźni dawali Leorze różne rzeczy albo zostawiali dla niej różne rzeczy w swoich pokojach, a Leora dawała je potem swoim córkom. Albo dawali jej normalne pieniądze, co Leora określała, głosem lirycznym i uwodzicielskim jak głos z radia, jako „zawsze mile widziane”.

Owszem, Leora piła czasami i potrafiła być prawdziwą jędzą, poszturchującą swoje dzieci i zrzędzącą na nie. Na ogół jednak była bardzo miła.

Któregoś dnia ni stąd, ni zowąd spytała Rebekę: „W twoim domu nie dzieje się nic złego, prawda, kotku?”

Grali w pięciorko w karty, przy kuchennym stole Grebów, nakrytym zatłuszczoną ceratą. Z początku Katy i Rebeka układały podwójnego pasjansa, który akurat był modny w szkole. Potem do domu wróciła Leora i ściągnęła młodsze dzieci, żeby zagrały w remika. Rebeka nie знаła tej gry, ale prędko się wciągnęła.

Pławiła się pochwałami Leory, która twierdziła, że Rebeka ma „wrodzony dryg” do kart.

Musiała się dostosować, choć nie wiedziała, czego się spodziewać po cudzej rodzinie. Czego się spodziewać po cudzej matce. Z początku to ją szokowało, że Grebowie tłoczą się przy jednym stole, włączając jedni na drugich i śmiejąc się z najgłupszych rzeczy. Leora potrafiła wpadać w nastrój, który wcale nie był różny od nastroju Katy i Rebeki. Z tym wyjątkiem, że paliła papierosy, jeden za drugim, i piła piwo Black Horse prosto z butelki. (A jednak wyrażała się elegancko, jak dama. I wystawiała mały palec, kiedy przykładła butelkę do ust.) Rebecce robiło się słabo na myśl o tym, co Anna Schwart powiedziałyby o takiej kobiecie.

I jeszcze to, że Leora parsknęła śmiechem, kiedy karty jej nie szły, jakby brak szczęścia to było coś zabawnego.

Leora rozdawała jako pierwsza. Potem Katy. Po niej Conroy, jedenastoletni brat Katy, a po Conroyu Molly, która miała tylko dziesięć lat. I wreszcie Rebeka, która z tego podniecenia, że dopuszczono ją do gry, peszyła się z początku, niedołącznie obchodząc się z kartami.

Zdawkowe pytanie Leory zaskoczyło ją. Wymamrotała coś niewyraźnie, co miało oznaczać, że nie.

– No to OK – odparła Leora, dziarsko rozdając karty. – Naprawdę się cieszę, że tak mówisz, Rebeko.

Zrobiło się nieprzyjemnie. Rebeka była bliska płaczu. Ale nie zamierzała płakać.

– Mamo, powiedziałam Rebecce, że mogłaby u nas zamieszkać – odezwała się Katy prośbą tonem. – Gdyby, no wiesz, nie chciała iść do domu. Kiedyś tam.

Rebeka poczuła, że szumi jej w głowie. Pewnie podczas jakiejś rozmowy z Katy coś jej się niechcący wyrwało. Że na przykład czasami boi się ojca. Że tęskni za braćmi i że żałuje, że jej z sobą nie zabrali.

W rzeczy samej w słowach Rebeki było wiele lekkomyślności i przesady. Tak mogła się wypowiedzieć bohaterka komiksu: *Jeśli poszli do piekła, to szkoda, że mnie z sobą nie zabrali.*

– Ten Herszel! – powiedziała Leora, wydmuchując dym przez nos. – Zawsze za nim przepadałam, co to było za ziółko. Znaczący jest, nie był. Bo on żyje, prawda?

Rebeka była zdumiona pytaniem. Przez chwilę nie potrafiła odpowiedzieć.

– Chciałam spytać, czy mieliście od niego jakieś wieści. Wiecie cośkolwiek?

Rebeka wymamrotała, że nie. Że ona nic nie wie.

– To jasne, że jeśli twój ojciec miał kontakt z Herszelem, to mógł ci nic nie powiedzieć. Mógł nie chcieć, żeby się rozeszło. W końcu Herszel ma status zbiega.

Rebeka nigdy wcześniej nie słyszała terminu „status zbiega”; była zafascynowana i jednocześnie się przestraszyła.

Leora nadal gadała o Herszelu, jak to ona, co jej ślina na język przyniosła. Katy twierdziła, że jej matka potrafi niechcący powiedzieć ci mnóstwo rzeczy, wystarczy tylko jej się przysłuchać. Dla Rebeki to była rewelacja, że Leora zdawała się tak dobrze znać Herszela. Nawet Bud Greb znał Herszela, zanim został posłany do więzienia. I jak się okazało, Herszel grywał przy tym stole w remika i pokera!

Była poruszona, dowiedziawszy się, że jej brat dał się poznać obcym ludziom od innej strony, niż dał się poznać rodzinie. Jakie to dziwne, mieszkać z kimś razem i nie wiedzieć o nim tyle co inni. Przez to Rebeka tęskniła za nim teraz jeszcze bardziej, mimo że tak często jej dokuczał.

– Te dranie zasłużyły sobie na to, co zrobił im Herszel – powiedziała Leora z dziewczęcą pasją w głosie. – Wziął prawo we własne ręce, bo czasami tak trzeba, i już.

Katy zgodziła się z tym. Conroy też.

Rebeka przetarła oczy. Chciało jej się płakać pod wpływem słów Leory. Jakby ktoś odrobinę przestawił lustro. Nagle oglądasz coś pod takim kątem, pod jakim nigdy wcześniej tego nie widziałeś. Coś niesamowitego!

W szkole nikt nigdy nie powiedział nic miłego o Herszelu. Tylko to, że „uciekał przed wymiarem sprawiedliwości”, że „poszukiwała go policja” i że na pewno poślą go do więzienia w Attice, a tam już skutecznie się z nim rozprawią murzyńscy więźniowie z Buffalo. Dostanie, na co zasłużył.

Gra ciągnęła się dalej. Plask, plask, plask zatłuszczonych kart. Leora dała Rebecę napić się swojego piwa i Rebeka z początku odmówiła, ale potem powiedziała OK i upiła mały łyżeczek. Pozostali śmiali się, ale wcale nie złośliwie.

A potem Rebeka zaskoczyła nawet samą siebie, gdy powiedziała, jakby chcąc ich wszystkich zaskoczyć:

– Mój papa to cholerny stary pijus, nienawidzę go.

Spodziewała się, że Katy zacznie chichotać, komicznie i przesadnie, jak zawsze, gdy któraś z koleżanek skarżyła się na swoją rodzinę. Z czegoś takiego należało się śmiać! Tymczasem tutaj, w kuchni Grebów, coś było nie tak. Leora wpatrywała się uparcie w wachlarz swoich kart i Rebeka zorientowała się ze wstydem, że powiedziała za dużo.

Leora przełożyła chesterfielda z jednej ręki do drugiej, rozsypując popiół. Pewnie to piwo sprowokowało Reбекę do wypowiedzenia tamtych słów, przez co teraz czuła, że się dławi, i jednocześnie chciało jej się śmiać.

– Twój papa – powiedziała Leora zamyślonym tonem – jest człowiekiem, którego trudno rozgryźć. Ludzie tak mówią. Ja bym nie powiedziała, że rozumiem Josepha Schwarta.

Joseph! Leora nawet nie знаła imienia ojca Rebeki.

Rebeka kuliła się teraz ze wstydu. Agresywnie brzęcząca, pojedyncza sylaba „Schwart” zgrzytała w uszach. Świadomość, że inni mogliby tę sylabę wypowiadać, że mogliby mówić o jej ojcu zarówno bezosobowo, jak i familiarnie, była dla niej szokująca.

A jednak znów jej się wyrwało, jakby przez przekorę:

– Jego nie musicie rozgryzać, tylko mnie. I mamę.

– A co z twoją mamą, Rebeko? – spytała ostrożnie Leora, nie patrząc na Rebeke. – Z nikim się nie spotyka, prawda?

Rebeka zaśmiała się gwałtownym, pozbawionym wesołości śmiechem.

– Widzisz, mamó? – wtrąciła się Katy, oskarżycielskim i zarazem triumfalnym głosem, jakby tamte dwie się kłóciły i to był przełomowy moment. – Mówiłam ci, że Rebeka może zamieszkać u nas. Jeśli będzie musiała.

Leora, jakby zbyt wolno, zaciągnęła się końcówką papierosa.

– No cóż...

Rebeka dotąd się uśmiechała. Cały ten czas się uśmiechała. Parząca, kwaskowata ciecz, którą wypijała, przeobraziła się w gazową bańkę w jej żołądku, czuła ją i bała się, że zaraz będzie wymiotowała. Policzki ją piekły, jakby ktoś ją zbił.

Conroy i Molly cały ten czas bawili się kartami, nie biorąc udziału w rozmowie. Zupełnie nie zwrócili uwagi na fakt, że Rebeka Schwart zdradziła swoich rodziców, ani też na to, że Katy powiedziała do Leory, przy Rebecie jako świadku, że Rebeka mogłaby z nimi zamieszkać, i że Leora się zawahała, że nie chciała się zgodzić. Nic nie zauważyli! Conroy był grubokościstym dzieciakiem, który wiecznie siąkał i miał obrzydliwy zwyczaj wycierania nosa wierzchem dłoni, co kilka minut, i Rebeke naszała złośliwa myśl, *Gdyby on był moim bratem, tobym go udusiła*, a ochota, by o tym powiedzieć Leorze, była taka silna, że aż musiała z całej siły ścisnąć karty.

Kiery, kara, piki... Starła się zrozumieć, co dostała.

Czy król kier może kogoś uratować? Dziesiątka pik? Dama z waletem? Żałowała, że nie ma siedmiu kart w jednym kolorze, wyłożyłaby je na stole zamaszystym ruchem. Ależ ci Grebowie by wybałuszyli gały!

Nie pragnęła niczego więcej, jak tylko bez końca tak grać w karty z rodziną Katy. Śmiać się, mędrkować, popijać piwo, a kiedy Leora zaprosiłaby ją na kolację, Rebeka powiedziałaby ze szczerym żalem: *Dziękuję, ale nie mogę, pewnie w domu już na mnie czekają*, ale zamiast tego nagle cisnęła karty, tak gwałtownie, że część poleciała na podłogę, odepchnęła krzesło od stołu, z poślizgiem i hałasem, nie będzie płakała, mowy nie ma! Chrzanić tych Grebów, jeśli czekali, że się rozpłaczę.

– Was też nienawidzę! Idźcie wszyscy do piekła!

Zanim ktokolwiek zdołał powiedzieć choć słowo, Rebeka trzasnęła siatkowymi drzwiami. Potykając się, wybiegła na drogę. Grebowie pewnie odprowadzili ją zdumionymi, wytrzeszczonymi oczyma.

Dobiegł ją głos Katy, tak cichy, że ledwie go słyszała.

– Rebeka? Hej, wracaj, co się stało? Nigdy.

Nigdy tam nie wróci.

To stało się w kwietniu. Tydzień po odejściu Gusa.

Mój papa to przeklęty, stary pijus, nienawidzę go.

Oczywiście rozpowiadali wszem i wobec. Nawet Katy, która lubiła Rebekę, opowiadała każdemu, kto chciał słuchać.

Później już Rebeka zawsze ignorowała Katy Greb, kiedy widziała ją w szkole. Nie chciała spojrzeć na Katy Greb. Rankami przyjmowała taką strategię, że czekała, aż Katy i inni znikną z widoku, i dopiero wtedy zaczynała iść za nimi tą samą drogą, względnie szła którąś ze swoich tajemnych tras przez pola i sosnowy las albo po wysokim nasypie kolejowym. Ależ była szczęśliwa! Była galopującym źrebakiem, miała takie sprężyste i silne nogi, śmiała się w głos ze szczęścia, mogła biec i biec całą wieczność, choć w końcu niechętnie docierała do szkoły, nakręcona, spocona, chcąc się bić, tak zła jak Herszel, który tylko czekał, aż ktoś spojrzy na niego złym okiem albo powie: *Grabarz!* czy inne bzdury tego typu, Chryste, była tak zdenerwowana, że nie potrafiła się uspokoić i wbić w ławkę! Herszel mówił, że miał zawsze ochotę rozbić tę przeklętą ławkę, wcisnąć pod nią kolana i unieść, naprężając mięśnie, i Rebeka czuła dokładnie to samo.

– Hej, Rebeka...

Idź do diabła. Zostaw mnie w spokoju.

Nienawiść do Katy Greb, Leory Greb, wszystkich Grebów i wielu innych stała się dziwnym, potężnym pocieszeniem, jak ssanie czegoś gorzkiego.

Jej serce stwardniało wobec głupekowatej Katy Greb. Przyjaznej, dobrodusznej, niezbyt rozgarniętej dziewczyny, która była najlepszą koleżanką Rebeki Schwart od trzeciej klasy. Katy gapiła się na Rebekę z urazą, ze zdumieniem, a wreszcie z obrzydzeniem i niechęcią.

– Ty też się pieprz, Schwart. Pieprz się.

Grupka dziewczyn, z Katy w środku. Która uśmiechała się z pogardą, kiedy przemawiała do Rebeki Schwart.

No cóż, Rebeka sama tego chciała, nieprawdaż? Chciała, żeby ją znienawidzili i zostawili w spokoju.

Przez całą tamtą wiosnę ich wzajemna wrogość snuła się za nią niczym smród dymiącej gumy. *Niech ta córka grabarza idzie się pieprzyć.*

Mamo? Mamo...

W końcu tak wyszło, że wcale nie musiała uciekać z domu. To dom ją przepędzał. Na zawsze zapamiętała tę ironię losu: nareszcie została ukarana.

11 maja 1949 roku. Środek tygodnia. Po szkole nie wracała tak długo, jak starczyło jej odwagi. Ze strachu przed powrotem do domu, jakby zawczasu wyczuła, co ją czeka.

Zawołała matkę. Głosem piskliwym, owładniętym dziecięcym przestraczem. Spanikowana przeszła chwiejnie przez frontowe drzwi, na poły uchylone... Zwyczajne, drewniane drzwi, które ojciec przemaalował po aktach wandalizmu w Halloween grubymi, wściekłymi pasami ciemnozielonej farby, żeby ukryć znaki, których nie dało się ukryć.

– Mamo...? To ja.

Za węglem domu, jakby drwiąc z jej przerażenia, wisiało pranie, postrzępione ręczniki i prześcieradło, łopoczące na wietrze i dlatego Rebeka, która wierzyła w myślenie magiczne, wmawiała sobie: *Skoro mama powiesiła dzisiaj pranie...*

...skoro pranie wisi, skoro jest dzień prania...

Nadal brakowało jej tchu. Biegła. Biegła tak od Quarry Road. Minęło wiele godzin od ostatniej lekcji. Dochodziła szósta, ale słońce wciąż mocno świeciło na niebie. Serce jej łomotało w piersi jak jakiś obłąkany dzwon. Tak jak zwierzę czuje zapach strachu, skaleczonego ciała, rozlanej krwi, tak ona instynktownie wiedziała, że coś się stało.

W głębi cmentarza, przy zwirowanej drodze na skraju swego rozmazanego pola widzenia zauważyła samochód, albo może kilka samochodów; pomyślała, że wcześniej był pogrzeb, że coś poszło nie tak i że teraz obwiniają o to Jakuba Schwarta, mimo że on wcale nie zawinił. Nawet wtedy, gdy gnała w stronę frontowych drzwi domu. Nawet kiedy słyszała podniesione głosy. Z dziecięcym uporem nie chciała słyszeć kobiecego krzyku:

– Nie wchodź tutaj! Zatrzymajcie ją!

Pomyślała o swojej matce, Annie. O swojej matce uwięzionej w tym domu.

Jak miała tam nie wejść, skoro wiedziała, że w środku jest jej matka, pochwycona w pułapkę.

Boga pytaj dlaczego: dlaczego wolno robić takie rzeczy. Nie mnie.

Tamtej wiosny, w tamtym czasie samotnego, buntowniczego łążegowania. Niczym bezpieczeństwa pies tak łążegowała. Nie mając ochoty wracać do kamiennej chatki na cmentarzu, którą zapamiętała jako konstrukcję wbudowaną w zbocze wielkiego wzgórza niczym piwnica albo grobowiec, choć nie była ani jednym, ani drugim, tylko po prostu zniszczonym, kamiennym domkiem z kilkoma okienkami, małymi i kwadratowymi, z zewnątrz pokrytymi niemalże nieprzezroczystą warstwą zimowego brudu.

Za nic nie chciała wracać do tego domu, mimo świadomości, że czeka tam na nią jej matka. Za nic nie chciała tam wracać od czasu odejścia Herszela, od czasu odejścia Gusa, który wsiadł po prostu do ciężarówki jadącej na zachód. Obaj jej bracia odeszli bez słowa, bez słowa uczucia, żalu, wyjaśnienia czy nawet pożegnania skierowanego do siostry, która ich kochała. Która teraz myślała z furją: *Nienawidzę ich, obu. Gnojki!*

Ten język gniewu, w którym z czasem zasmakowała. Najpierw po cichu, a potem już na głos. Tętno biło jej z całej siły i czuła pieczenie w gardle, z tej gniewnej radości, że nienawidzi braci, którzy porzucili ją i ich matkę na pastwę szaleńca Jakuba Schwarta.

Wiedziała o tym: jej ojciec to szaleniec. Ale jeszcze nie bredził, nie tracił panowania nad sobą w swoim szaleństwie, dlatego nie mógł im przyjść z pomocą nikt, kto był do tego uprawniony.

A jednak: oni wiedzą, ale mają to gdzieś. Nawet to, że kupił sobie dubeltówkę, mają gdzieś. Bo czemu mieliby myśleć o nas, którzy dla nich jesteśmy tacy śmieszni?

Rebeka postanowiła, że któregoś dnia też ucieknie, i to już niedługo. Nie domagała się, żeby Katy Greb wzięła ją do siebie. Nie domagała się, żeby ktokolwiek brał ją do siebie albo się nad nią litował. Oni wszyscy byli gnojkami, odwracała się od nich z pogardą.

Po wiosennej odwilży było jej coraz trudniej zostawać w szkole przez cały dzień. Coraz częściej ni stąd, ni zowąd stamtąd wychodziła. Ledwie zdając sobie sprawę, co robi, oprócz tego, że nie może znieść dusznych pomieszczeń lekcyjnych, stołówki, w której cuchnęło mlekiem, spalenizną i tłustym jedzeniem, korytarzy, na których tratowali się wzajem uczniowie z jej klasy, niczym bezmózgie, ślepe zwierzęta walczące o dostęp do koryta. Wychodziła tylnym wyjściem, nie dbając o to, kto mógł ją zobaczyć i na nią donieść. Jeśli ścigał ją czyjś dorosły głos, surowy i pełen przygany – *Rebeka! Rebeka Schwart, dokąd idziesz?!* – to nawet nie zadawała sobie trudu, by się obejrzeć, tylko podrywała się do biegu.

Dostawała teraz słabe oceny. Nawet z angielskiego, który kiedyś był jej najlepszym przedmiotem. Nauczyciele zaczęli być wobec niej nieufni, tak jak można być nieufnym wobec osaczonego szczura.

Rebeka Schwart stopniowo upodabniała się do swych braci. Ta dziewczyna, która kiedyś zapowiadała się tak dobrze...

Biegnij, biegnij! Przez zachwaszczoną pustą parcelę obok szkoły, przez ulicę obrzeżoną domami z piaskowca i małymi sklepikami, do bocznej uliczki, a stamtąd na otwarte pole, w stronę nasypu torów kolei Buffalo & Chautauqua, po którym docierała do Canal Street. Most przy Canal Street, w bok od South Main, był tak szeroki, że wolno było na nim parkować. Przecznice dalej, na szczycie wzgórza, stał hotel Generał Waszyngton. Przy moście zbiegało się kilka ulic, w tym South Main. W Milburn wszystkie wzgórza opadały w stronę Kanału Erie, a sam kanał po skalnym podłożu do wnętrza ziemi. Na moście, trzydzieści stóp ponad rozpędzoną wodą, sterczeli przy barierce rozleniwieni mężczyźni, paląc papierosy, czasami popijając z butelek ukrytych w papierowych torebkach. Było to miejsce, które odurzało, miejsce głuche i nieme, niczym cmentarz, gdzie wszystko martwieje.

Rebeka nie umiała by powiedzieć, dlaczego ją tam ciągnęło. Do tych obcych mężczyzn starała się jednak nie zbliżać.

Niektórzy z nich byli weteranami wojennymi. Na przykład mężczyzna o obwisłej twarzy mniej więcej w wieku Jakuba Schwarta, który chodził o kulach. Albo ten, któremu zapewne brakowało jednego oka, bo nosił grube okulary z jednym szkłem zaczernionym. Kilku miało mocno pomarszczone, zniszczone twarze, choć wyraźnie nie stare. Do tego drżące ręce, zeszywniałe karki i nogi. Jeden mężczyzna, z kikutem nogi uciętej w kolanie,

który w pogodne dni siadywał na betonowym występie i wygrzewał się w słońcu niczym gad, był odstręczający, a mimo to budził fascynację. Miał włosy szpakowate i rzadkie jak Jakub Schwart i jeśli Rebeka odważyła się podejść blisko, słyszała ochrypy, wilgotny oddech, który przypominał oddech jej ojca, kiedy był czymś poruszony. Któregoś razu spostrzegła, że mężczyzna-gad ocknął się z drzemki i przyglądał się jej spod rozedrganych powiek, z szelmowskim uśmieszkiem. Odwróciła się natychmiast, ale nie potrafiła odejść. Bała się, że jeśli zacznie biec, to mężczyzna-gad się zeźli, będzie za nią wołał i wszyscy to zobaczą.

Dzieliła ich odległość nie większa niż dwanaście stóp. Rebeka nie potrafiła pojąć, jak to się stało, że podeszła tak blisko.

– Nie masz dziś lekcji, dziewczynko? Co? Masz wakacje? Droczył się z nią, choć w jego głosie słyszało się też niejaką groźbę.

Jakby mógł na nią donieść, że poszła na wagary.

Rebeka się nie odezwała. Gapiała się na wodę płynącą w dole, opierając się o barierkę. Wśród pól kanał był płaski i spokojny, w tym miejscu jego nurt stawał się wartki i groźny, wiecznie skłócony, spieniony pokonywał czterdziestostopową śluzę, robiąc tyle hałasu co nagły wybuch ognia. Prawie zupełnie zagłuszał odgłosy pojazdów przejeżdżających po moście, a już zupełnie metaliczne dźwięki zegara wybijającego godziny na wieży First Bank of Chautauqua. A także ludzkie głosy, chyba że ktoś mówił głośno, prowokująco.

– Mówię do ciebie, dziewczynko. No to masz te wakacje czy nie?

Rebeka nadal nie odpowiadała. Ani się też nie odwróciła. Patrzyła na niego kątem oka, widziała, jak wyleguje się w słońcu, jak sapie. Mężczyzna zarechotał i potarł się dłońmi po kroczu, które wydawało się tłuste jak brzuch piwosza.

– Widzę cię, dziewczynko! A ty widzisz mnie.

Biegnij, biegnij! Tamtej wiosny 1949 roku.

Milburn było zawsze starym, prowincjonalnym miasteczkiem; bez trudu się zauważało te miejsca, gdzie ukorzeniała się w nim powojenna nowoczesność. Ponure fasady z czerwonej cegły na Main Street zostały zastąpione smukłymi, nowoczesnymi konstrukcjami wypełnionymi wielkimi taflami szkła. W paru najnowszych budynkach zamontowano obrotowe drzwi i windy. Dawna siedziba poczty, wielkości wiejskiej chatynki, została zastąpiona przez gmach z beżowej cegły, który użyczył też swojej powierzchni YM-YWCA. Firmy takie jak Grovers Feed Mill, Midtown Lumber, Jos. Miller Dry Goods były wypierane przez Montgomery Ward, Woolworth, Norban, nowe A&P z własnym, asfaltowym parkingiem. (Do sklepu Jos. Miller Dry Goods Rebeka przyszła z matką, żeby wybrać materiał na zasłonki, które Anna Schwart postanowiła uszyć w związku z przygotowaniem do wizyty Morgensternów prawie osiem lat wcześniej. Ojciec Rebeki przywiózł je do miasta swoim pick-upem. W przypadku Anny Schwart była to rzadka i zarazem ostatnia taka wyprawa. I był to jedyny taki raz, kiedy Rebeka została przywieziona do miasta razem z matką, i później wspominała tę wycieczkę i towarzyszące jej podniecenie z lekkim niedowierzaniem nawet wtedy, gdy wpatrując się w lokal po dawnym sklepie, zastąpionym teraz przez inną firmę, ledwie go sobie przypominała.)

W niedawnej przeszłości Adams Bros. Haberdashery ustąpiło miejsca Thom McAn Shoes. Naprzeciwko First Bank of Chautauqua wyrósł nowy bank; nazywał się New Milburn Savings & Loan. W hotelu General Waszyngton zaczął się remont połączony z rozbudową. Kino Capitol uzyskało nowy wystrój ze wspianiałą, podświetlaną markizą. Przy skrzyżowaniu Main i Seneca wyrósł pięciopiętrowy biurowiec, pierwszy tego typu w Milburn.

(Rzekomo do tego właśnie budynku Jakub Schwart przyszedł wiosną 1949 roku. Powiadali, że nie umówiony wszedł do biura prawnego na parterze i uparł się, że „przedstawi swoją sprawę” zdumionemu, młodemu prawnikowi; bełkotał coś niezbornie, na przemian rozjuszony i zrezygnowany, twierdząc, że mimo „uczciwego wywiązywania się z obowiązków” był przez dwanaście lat oszukiwany przez miasto Milburn, które nie chciało mu płacić należytego wynagrodzenia i odrzuciło też jego inne roszczenia.)

Bary na South Main Street też się trochę zmieniły. Podobnie jak sala bilardowa, kręgielnia, trafik Reddings Smoke Shop. W Army-Navy Discount na Erie Street, sklepie o kształcie tunelu pełnego oślepiających świateł, z mnóstwem towarów na półkach i ladach, można było kupić kurtki i spodnie moro, wełniane kalesony, żołnierskie buty i czapeczki marynarskie, skórzane futerały na amunicję reklamowane jako torebki dla licealistek.

W czasie, gdy jeszcze się przyjaźniła z Katy Greb, Rebeka często przychodziła do sklepu Army-Navy razem z nią, bo tam stale były jakieś wyprzedaże. Obie zachodziły też często do Woolwortha, Norban, Montgomery Ward. Rzadko po to, by coś kupować, głównie po to, by oglądać. Bez Katy Rebeka już nie odważała się wchodzić do tych sklepów. Wiedziała, że sprzedawcy będą ją omiatali wzrokiem, z podejrzliwością i niechęcią. Bo miała ten indiański wygląd. (Na północ od Chautauqua Falls był rezerwat Irokezów.) A mimo to ciągnęło ją do wystaw. I to jak bardzo! Tyle tych rzeczy! I to blade, upiorne odbicie dziewczyny, które nakładało się na nie jakby za sprawą magii.

Samotność samotniczego życia. Pocieszała się, że jest niewidzialna, że nikogo nie obchodzi na tyle, by się jej przyglądał.

Tylko raz Rebeka przypadkiem zobaczyła swego ojca w Milburn. W centrum miasta, kiedy szedł boczną uliczką w stronę First Bank of Chautauqua.

Jakub Schwart wyłonił się jakby znikąd, emanując dziwną, ciemną łuną. Człowiek-troll, o przetrąconym grzbiecie, utykający, w brudnym, roboczym ubraniu i sukiennej czapce, która wyglądała, jakby została wykrojona z jakiejś bardzo szorstkiej tkaniny, a nie ze zwykłego sukna; szedł po chodniku, wyraźnie nie zdając sobie sprawy, że inni ustępują mu drogi, że zerkają na niego z ciekawością i strachem.

Rebeka skuliła się, cofnęła do jakiejś alejki. Och, wiedziała! Nie mogła dopuścić, by papa ją zauważył.

Herszel ostrzegał: *Nie pozwól staremu gnojowi, żeby cię gdzieś zobaczył poza domem. Bo jak cię zobaczy, to mu palma odbije jak jakiemuś świrowi. Powie, że za nim łazisz, że go szpiegujesz, bo chcesz powiedzieć mamie, co on robi, i takie tam wariackie pierdoły.*

To był kwiecień 1949 roku. W tym czasie Jakub Schwart zamknął swoje konto oszczędnościowe, po czym kupił dubeltówkę kaliber dwanaście i pudełko naboí.

Tamten dzień, 11 maja. Za nic nie mogła iść do szkoły, dlatego błąkała się po nasypie kolejowym i tak doszła do ścieżki holowniczej biegnącej nad kanałem. Od strony wysypiska śmieci dolatywał kwaśny odór, więc żeby go uniknąć, przeszła na drugą stronę kanału po moście Drumm Road. Tam, pod tym mostem Rebeka miała jedną ze swoich kryjówek.

Nienawidzę nienawidzę nienawidzę ich obojga. Chciałabym, żeby umarli.

Oboje. A potem...

Tylko co by potem zrobiła? Uciekła jak jej bracia? Dokąd?

Takie ją nachodziły myśli, buntownicze i ekscytujące, pod mostem Drumm Road, gdzie przykucnęła pośród głazów i kamieni, starych, zardzewiałych rur, popękanego betonu, metalowych prętów wystających z płytkiej wody przy brzegu. Były to pozostałości po budowie mostu sprzed dwudziestu lat.

Miała teraz trzynaście lat. Jej urodziny przeszły niezauważone w kamiennej chatce na cmentarzu, podobnie jak wiele innych rzeczy.

Podobało jej się, że ma trzynaście lat, choć wolałaby być starsza, jak jej bracia. Niecierpliwiła się, że wciąż jest dzieckiem uwięzionym w tym domu. Jeszcze nie zaczęła krwawić, jeszcze nie miała „okresów”, nie skręcało jej z bólu jak Katy i innych dziewczyn co miesiąc. Wiedziała, że to się musi jej przydarzyć już niedługo, i najbardziej się bała, że będzie musiała powiedzieć mamie. Bo mama będzie musiała się dowiedzieć i będzie strasznie zawstydzona, a nawet poczuje odrazę, że musi o tym wiedzieć.

Od czasu zniknięcia Herszela Rebeka oddaliła się od Anny Schwart. Matka już nie słuchała muzyki z radia, bo papa twierdził, że radio się popsuło. Rebeka nie słuchała go z matką od tak dawna, że wręcz zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek tak było.

Muzyka fortepianowa. Beethoven. Tylko jak się nazywała tamta sonata – „Passionata”?

Musiała już niedługo iść do domu. Zrobiło się późne popołudnie, mama na nią czekała. Zawsze było coś do zrobienia, ale Anna Schwart przede wszystkim chciała, żeby jej córka siedziała w domu. Nie po to, żeby z nią rozmawiać, i z pewnością nie po to, żeby ją dotykać, prawie na nią nie patrzyła. Ale musiała wiedzieć, że Rebeka jest w domu, że nic jej nie grozi.

Na spodniej stronie mostu z deszczulek były takie piękne twarze! Twarze duchów, odbite od pomarszczonej wody. Rebeka wpatrywała się w te twarze, które często należały do jej utraconych kuzynów: Freydy, Elżbiety, Joela. A ostatnimi czasy do Herszela i Gusa. Obserwowała je z rozmarzeniem i zastanawiała się, czy oni ją widzą.

Wiedziała, dlaczego jej bracia zniknęli, ale nie wiedziała, dlaczego jej kuzyni i ich rodzice zostali odesłani do starego świata. Żeby tam umrzeć, twierdził papa. Jak zwierzęta.

Dlaczego? Boga pytaj dlaczego.

Pytaj Roosevelta, tego hipokrytę!

Rebeka przypomniała sobie swoje lalki, Maggie i Minnie. Jedna z nich należała do Freydy. To wspomnienie było takie żywe, Maggie w ramionach Freydy, Rebeka niemal wierzyła, że tak musiało być naprawdę.

Zarówno Maggie, jak i Minnie zniknęły wiele lat wcześniej. Najprawdopodobniej mama je wyrzuciła. Miała zwyczaj wyrzucania różnych rzeczy, kiedy nadchodził czas. Innych tłumaczeń nie podawała, a Rebeka nie miała ochoty pytać.

Minnie, smutna, brzydka, łysa, gumowa lalka należała do Rebeki. Była taka bezwartościowa, już bardziej nie dawało się jej uszkodzić. Co za ulga! Bezwłosa jak

pomarszczony noworodek. Niemowlę-trup. (Na cmentarzu pogrzebano wiele niemowląt. Rebeka oczywiście żadnego z nich nie widziała, ale wiedziała, że grzebano je w niemowlęcych trumienkach, na niemowlęcych miejscach. Często nawet nie miały imion.) Rebeka krzywiła się na myśl, że kiedyś była taka dziecinna, że bawiła się lalkami. Upośledzona siostra Katy, dziecko o puciołowatych policzkach i szklistych, wytrzeszczonych oczach, wiecznie ścisnęła starą, łysą lalkę w żalony i zarazem odrażający sposób. Jej się wydaje, że ta lalka jest prawdziwa, mówiła Katy i wruszała ramionami.

Jeśli nie liczyć widmowych twarzy, spodnia strona mostu Drumm Road była brzydka. Skorodowane wsporniki, wielkie śruby, gigantyczne pajęczyny. Tak właśnie wyglądają różne rzeczy od spodu, od tej strony, od której nie powinno się ich oglądać.

W takie słoneczne dni jak ten cienie pod mostem robiły się ostre, wyraziste.

Ludzie mówili, że Kanał Erie jest głębszy, niż się wydaje. Że czasami, w najgorętsze, letnie dni, wygląda tak, jakby można się było przejść po jego powierzchni, szarej i matowej jak ołów.

Muszę ci ufać, moja grzeczna dziewczynko, jesteś wszystkim, co mam.

Więc jak Rebeka mogła uciec z domu? Nie mogła.

Teraz, kiedy zabrakło Herszela i Gusa, była jedynym dzieckiem, jakie zostało Annie Schwart.

Jesteś dziewczynką, nie wolno ci włóczyć się samej. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

– A ja tego chcę, psiakrew. Chcę, żeby coś mi się stało. Chcę.

Ależ Anna wytrzeszczyłaby teraz na nią oczy, zdumiona i urażona.

Do mostu zbliżała się furgonetka z płaską naczepą, własność jakiegoś farmera zapewne. Rebeka nakryła głowę ramionami, cała sztywniejąc. Rozległ się terkot, most zadrżał i zawibrował, nawet nie dziesięć stóp nad głową Rebeki. Posypały się drobiny żwiru i pyłu.

Kiedy wracała do domu Quarry Road, słyszała odgłosy strzałów.

Myśliwi. W tych zagajnikach, karłowatych, sosnowych zagajnikach rosnących przy Quarry Road, często ktoś polował.

Nigdy się nie dowiedziała. Ale wyobrażała to sobie.

Jak to było, gdy na cmentarz miasta Milburn, późnym popołudniem 11 maja 1949 roku, przyjechali dwaj bracia Simcoe, Elroy i Willis, ze swoją sześćdziesięciosześcioletnią ciotką. Przyjechali na grób rodziców, wyróżniony ciężką, dostojną granitową płytą z wygrawerowanym napisem: PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE, BĄDŹ WOLA TWOJA. Elroy Simcoe, agent ubezpieczeniowy i długoletni radny, mieszkał w Milburn od urodzenia, Willis natomiast przeprowadził się do miasteczka Strykersville, czterdzieści mil na zachód. Bracia Simcoe byli dobrze znani w okolicy. Obaj w średnim wieku, brzuchaci, schludnie ubrani w sportowe marynarki i białe, bawełniane koszule rozpięte pod szyją. Elroy przywiózł brata i ciotkę na cmentarz nowym modelem szarego oldsmobile'a o kształcie wagonu kolejowego. Kiedy przejechali przez główną bramę, od razu spostrzegli, że cmentarz nie jest tak starannie utrzymany jak powinien. Wszędzie kwitły mlecze, spomiędzy nagrobków wyrastały wysokie osty. W trawie został wykoszony

zygzakowaty pas, jakby z pijacką niestarannością albo z pogardą, a najbardziej już kłuły w oczy sterty ziemi usypane obok nowszych grobów niczym nie wywiezione w porę śmieci.

Żwirowaną drogę tarasował zwalony konar drzewa. Willis Simcoe, w bardzo złym humorze, wysiadł z oldsmobile'a, by odwlec go na bok.

Kiedy ruszył dalej, obaj z bratem zauważyli dozorcę cmentarza, który niezbyt energicznie żął sierpem trawę w odległości jakichś pięćdziesięciu stóp od drogi. Elroy nie zwolnił, w tym momencie nie było o czym rozmawiać. Zajęty pracą człowiek, który zgodnie z wiedzą Elroya Simcoe nazywał się „Schwart”, nawet nie podniósł wzroku, kiedy bracia go mijali, nadal odwrócony do nich tyłem.

Oczywiście, że wiedział. Jakub Schwart wiedział. Jakub Schwart doskonale wiedział o wszystkich odwiedzających cmentarz.

Przy grobowcu rodziny Simcoe bracia i ich starsza ciotka przeżyli szok na widok nie przystrzyżonej trawy i mleczy. Donice z hiacyntami i pelargoniami, ustawione z taką miłością w niedzielę wielkanocną, a więc całkiem niedawno, leżały teraz powywracane, porozbijane i zasuszone.

Elroy Simcoe, mężczyzna o krewkim temperamencie, przystawił dłonie do ust i krzyknął na dozorcę:

– Ej, Schwart!

Później zeznał, że zamierzał „zmyć mu głowę”. A jednak dozorca, nadal odwrócony plecami, nie raczył się obejrzeć.

– Panie Schwart! Mówię do pana! – zawołał jeszcze głośniejszym głosem Elroy.

Dozorca nadal jakby go nie słyszał, nawet mimo tego sarkazmu. Niemniej po raz ostatni pociągnął sierpem po trawie, a potem, nie oglądając się, oddalił bez pośpiechu. Dokuśtykał do szopy przylegającej do kamiennej chatki, zniknął w środku i krótko potem wynurzył się z powrotem, kuśtykając teraz zdecydowanie w kierunku braci Simcoe, w głąb cmentarza i tym razem – a to co znowu! – toczył przed sobą po trawie, z towarzyszeniem hałaśliwego *bum-bum-bum*, wózek nakryty płócienną płachtą! I już nie odwracał się do nich tyłem! *Wiedział, co trzeba zrobić. Jego wrogowie przypuścili atak tym razem nie cichaczem, tylko otwarcie.* Jakub Schwart zbliżał się do braci Simcoe, a oni tymczasem stali w miejscu i obserwowali go, jak pcha wózek najwyraźniej w ich kierunku, obserwowali tego osobliwego człowieka-trolla, z minami wyrażającymi rozbawienie i irytację; niewykluczone, że doszło do jakiejś ostrej wymiany zdań. Elroy Simcoe, ten z braci, który przeżył, oraz ich wiekowa ciotka zeznali potem, że to Jakub Schwart odezwał się pierwszy, z twarzą wykrzywioną wściekłością:

– Nazistowscy mordercy! Dosyć tego!

W tym momencie obaj bracia zaczęli do niego krzyczeć, bo już widzieli, że ten człowiek jest szalony, kiedy nagle, bez ostrzeżenia, Schwart zatrzymał wózek w odległości dwunastu stóp od Willisa Simcoe, odciągnął płótno, wyjął dubeltówkę, która wydawała się ogromna w jego drobnych dłoniach, wycelował ją w Willisa i zasadniczo w tym samym momencie pociągnął za spust.

Trafiony umarł z powodu ogromnej rany w piersi. Prawe ramię, uniesione w bezowocnym wysiłku, by osłonić tors, zostało roztrzaskane, spod zmiażdżonego ciała wystawały białe kości.

Patrzcie teraz, ha! Patrzcie! Pogrom się dokonał.

– Mamo? Mamo... – wołała, dziecięcym, błagalnym głosem.

Sama nie wiedząc, jak i kiedy, weszła do kamiennej chatki. Wiedząc, że być może nie powinna, że tam czai się niebezpieczeństwo. Wołała do niej jakaś kobieta, obca kobieta, ostrzegając ją. Rebeka jej nie słuchała i niezbyt wyraźnie widziała rannego mężczyznę, który leżał na ziemi, na cmentarzu.

Wcale go nie widziała! Później twierdziła, że nie widziała.

Zapamiętała natomiast pranie łopoczące na sznurze.

Zrozumiała poniewczasie: mama będzie na nią wściekła. Bo nie pomogła jej przy praniu, choć przecież zawsze to robiła.

I jeszcze przyszło jej na myśl: *To się nie może stać, przecież dzisiaj jest dzień prania.*

W kuchni coś zagrodziło jej drogę, coś odbiegającego od normy: przewrócone krzesło. Rebeka zderzyła się z tym krzesłem jak ktoś niewidomy i aż się skrzywiła z bólu.

– Mamo?

Wołała matkę, ale zbyt cichym głosem. Anna Schwart i tak by jej nie usłyszała, gdyby była w stanie coś słyszeć. Potem zawołała ojca:

– Papa? Papa? – rozumując, nawet w tej chwili panicznego strachu: *Chciałby mojego uznania, chciałby, żeby okazała mu szacunek.*

Znajdowała się w kuchni starej, kamiennej chatki i słyszała odgłosy walki gdzieś na tyłach. W sypialni rodziców?

Dyszała, cała okryta warstwą zimnego potu. Serce jej biło nierówno niczym ranny ptak łopoczący skrzydłami. Zapomniała wszystko, o czym wiedziała. Pranie? Dzień prania? Zapomniała. Już zdążyła zapomnieć okrzyk nieznajomej kobiety: *Nie wchodź tam! Zatrzymajcie ją!* Zapomniała już, że słyszała odgłosy strzałów; nie umiałaby powiedzieć, ile tych strzałów słyszała. I dlatego właśnie nie mogło jej przyjść na myśl: *Przeładował broń. Jest przygotowany.* Bo w takich sprawach to bardzo istotne rozróżnienie: czy dany człowiek działa pod wpływem impulsu czy z premedytacją.

Słyszała ich. Deski podłogi niosły pogłos ich szamotaniny. Podniesiony, gwałtowny głos ojca, krótkie, zduszone okrzyki matki, dźwięki, których Rebeka wtedy nie rozumiała, bo Anna Schwart nigdy wcześniej o nic nie błagała, a jednak wtedy, rozumiała to później, błagała o życie. Cieleśna obojętność matki, konsekwentne opanowanie gdzieś się zapodziały, zniknęły, jakby ich nigdy tam nie było; podział się gdzieś stoicki spokój, który normalnie zdawał się karmić upokorzeniami, urazą, nawet smutkiem. Jakaś obca kobieta błagała o życie, ale Jakub Schwart jej przerwał, mówiąc takim tonem, jakby się tym rozkoszował:

– Anno! Nie! Oni już tu idą, Anno. Najwyższy czas.

Już od chwili, gdy zaczęła biec w stronę domu, od Quarry Road, w jej uszach rozlegał się cichuteńki huk. Odgłos jakby wody pokonującej rwącym nurtem czterdziestostopową śluzę na kanale w Milburn. A teraz jeszcze wdarł się do niego ogłuszający hałas, huk wystrzału, oddanego gdzieś bardzo blisko, przez co spanikowanej Rebecce mogło przyjść do głowy, że sama została trafiona.

Zatrzymała się w korytarzu przed sypialnią. Drzwi były otwarte na oścież. Mogła się odwrócić, poderwać do biegu. Uciec. A jednak nie uległa odruchowi przerażonego zwierzęcia, które koniecznie chce przeżyć, tylko kolejny raz krzyknęła: „Mamo! Mamo!” i wparowała do sypialni, do tego zagraconego, mrocznego pokoju na tyłach, do którego dzieci Schwartów wchodziły bardzo rzadko, do tego pokoju, w którym Anna i Jakub

Schwartowie od ponad dziesięciu lat sypiali na jednym łóżku. Omal nie zderzyła się z ojcem, który ciężko dyszał i jęczał, czy raczej mruczał coś do siebie, niezdarnie ściskając dubeltówkę, obiema rękami, lufą w stronę sufitu. Dookoła unosił się silny smród prochu. W upiornym świetle padającym z brudnego okna twarz Jakuba Schwarta miała barwę ugotowanego pomidora, a jego oczy połyskiwały jak nafta. I uśmiechał się.

– Darować jej? Nie zostawiają wyboru...

Na podłodze obok łóżka leżał jakiś kształt, rozciągnięty, nieruchomy kształt, który mógł być ciałem, ale Rebeka nie widziała głowy, tego miejsca, gdzie przedtem była głowa, albo może ta głowa tam była, czy też jej część, ale skrywała się w mroku za łóżkiem, w mroku, który lśnił, był mokry i rozchodził się niczym plama rozlanej farby. Rebeka nie była w stanie myśleć, a jednak ta myśl wskoczyła jej do głowy lekko i chimerycznie niczym strzałka dmuchawca: *Już prawie po wszystkim, zaraz się skończy. Sama pościagam pranie.*

Jej ojciec, Jakub Schwart, mówił coś do niej. Twarz i przód roboczego ubrania miał ochlapane jakimś ciemnym płynem. Niewykluczone, że starał się odgrodzić ją od tego, co leżało na podłodze, a jednocześnie, uśmiechając się jeszcze szerzej, tak jak ojciec uśmiecha się do krnąbrnego dziecka, by odciągnąć jego uwagę od czegoś, co należy zrobić dla jego dobra, próbował w tej ciasnej przestrzeni tak ustawić lufę dubeltówki, żeby ją wycelować w swoją córkę. Mimo to najwyraźniej nie chciał jej dotknąć, otrzeć się o nią. Od dawna jej nie dotykał. Dlatego teraz się od niej odsuwał. Ale nie mógł odsunąć się daleko, bo drogę zagrażało mu łóżko.

– Urodziłaś się tutaj – powiedział. – Nic ci nie zrobią.

Właśnie wtedy zmienił swój zamysł co do niej. Niezdarnie wycelował lufę we własną głowę, we własną zuchwę wystawioną jak u zółwia. Bo pozostał mu jeszcze drugi nabój, musiał go wystrzelić. Pocił się i dyszał, jakby dotąd biegł pod górę. Zacisnął szczęki, zacisnął poplamione zęby. Ostatnie spojrzenie, jakim obdarzył córkę, wyrażało oburzenie, przyganę, kiedy po omacku szukał spustu.

– Papa, nie...

Strzał był znowu ogłuszający. Szyby za plecami Jakuba Schwarta popękały. W tym momencie ojciec i córka stali się jednością, oboje wymazani.

Każde z nas jest żywym płomyczkiem i to Jezus Chrystus rozpala te płomyczki. Pamiętaj o tym, Rebeko!

Te słowa Rose Lutter dźwięczały echem w jej uszach. Nadal ze wszelkich sił starała się uwierzyć.

Miała trzynaście lat, była nieletnia. Miała być podopieczną hrabstwa Chautauqua, dopóki nie ukończy osiemnastu lat. Niemniej spodziewano się, że w wieku szesnastu lat rzuci szkołę i zatrudni się gdzieś na pełen etat, aby się utrzymać, tak jak to w przeszłości robiły inne ubogie sieroty.

Bo już nie miała rodziców. Nie miała żadnych krewnych, którzy mogliby ją przygarnąć. (Jeden z jej braci miał dwadzieścia jeden lat. Ale z kolei Herszel Schwart był znanym uciekinierem ukrywającym się przed wymiarem sprawiedliwości.) Oprócz kilku nędznych przedmiotów zabranych w pośpiechu ze starego, kamiennego domku na cmentarzu, nie miała żadnego spadku, ani grosza. Jakub Schwart zamknął swoje konto oszczędnościowe w First Bank of Chautauqua i nikt nie wiedział, co zrobił z pieniędzmi, prócz tego, że część wydał na dubeltówkę i naboje. Podczas przesłuchania przed sądem rodzinnym hrabstwa Chautauqua wypowiedziano w imieniu Rebeki takie słowa jak „uboga”, „pozbawiona środków do życia”.

Co tu zrobić z córką grabarza!

Proponowano, by posłać Rebekę do domu dla „ubogich sierot” w Port Oriskany, działającego pod auspicjami Kościoła Zjednoczonych Metodystów. Proponowano, by umieścić ją u miejscowej rodziny o nazwisku Cadwaller, gdzie obecnie wśród flejtuchowatej gromady pięciorga dzieci Cadwallerów mieszkało dwoje takich podopiecznych: Cadwallerowie posiadali dziesięcioakrową farmę trzody chlewnej i wszystkie ich dzieci pracowały. Proponowano, by ją umieścić u bezdzietnego małżeństwa po sześćdziesiątce, które hodowało dobermanów. Proponowano, by ją umieścić u pani Heinrichowej Schmidt, która prowadziła pensjonat na South Main Street w Milburn, gdzie mieszkali przeważnie samotni mężczyźni, w wieku od dwudziestu do siedemdziesięciu siedmiu lat, w tym kilku weteranów drugiej wojny światowej, większość żyjąca z zasiłku.

Otyły mężczyzna-gad! W swym stanie podobnym do snu Rebeka wymyśliła sobie, że on mieszka u pani Schmidt. Że czeka tam na nią, uśmiechając się swym chytrym, lepkiem uśmiechem.

– Witaj, dziewczynko!

A jednak:

– Jezus tak postanowił, Rebeko. Trzeba tak myśleć. Ja jestem Światłem świata. Kto idzie za Mną, nie będzie chodził w ciemnościach”. Zamieszkaj u mnie, Rebeko, zapraszam. Załatwiłam wszystko z władzami hrabstwa. Będziemy się razem modliły i dzięki temu może odnajdziemy znaczenie tej strasznej historii, która odcisnęła takie piętno na twoim młodym życiu.

Bo ostatecznie Rebeka, podopieczna hrabstwa Chautauqua, zamieszkała nie u pani Schmidt, tylko u panny Rose Lutter, swojej byłej nauczycielki. Miała u niej mieszkać przez dwa i pół roku.

Najpierw Rebecce się wydawało, że jej była nauczycielka pojawiła się jakby znikąd. A jednak z czasem zaczęła odnosić wrażenie, że panna Lutter czekała na nią od lat.

Rose Lutter była jedyną osobą w całym Milburn, która zaoferowała nie tylko to, że będzie łożyła na utrzymanie Rebeki Schwart (termin „utrzymanie” był w sprawie Rebeki często przywoływany), ale też, że zapłaci za miejsce na cmentarzu miasta Milburn dla zmarłego w niesławie byłego dozorca tegoż cmentarza, Jakuba Schwarta, oraz jego żony Anny. Gdyby nie hojność Rose Lutter, szczątki Schwartów zostałyby pogrzebane na koszt hrabstwa, w nieoznakowanej i niezadbanej części cmentarza wyznaczonej dla ubogich.

Nazywano je grobami biedaków. Nie miały nagrobków ani tabliczek.

A jednak panna Lutter nawet nie chciała o tym słyszeć. Panna Lutter była chrześcijanką, posłanką miłosierdzia. Mimo że z powodów zdrowotnych wycofała się wcześniej z uczenia w szkole publicznej i żyła teraz ze skromnej emerytury, zasilanej dożywotną rentą rodzinną, załatwiła, że Jakuba i Annę Schwart pogrzebano jak należy i że w ziemi na miejscu ich pochówku osadzono niewielką, aluminiową tabliczkę. Ponieważ Rebeka nie była w stanie dostarczyć żadnych informacji o swoich rodzicach, na przykład dat ich urodzenia, i ponieważ nikt z Milburn nie miał ochoty przedzierać się przez dżunglę starych, pożółkłych, butwiejących dokumentów, które Jakub Schwart zostawił w pudłach w kamiennej chatce, na płycie wygrawerowano tylko tyle:

ANNA I JAKUB SCHWARD

Zm. 11.04.1949

Rebeka wychwyciła błędy. Błąd w pisowni nazwiska, brak dokładności w dacie śmierci. Oczywiście nic nie powiedziała. Bo kogo mogło obchodzić, że jakiś grabarz imigrant zabił swoją chorowitą żonę jednym strzałem z dubeltówki, a potem siebie samego drugim strzałem. I że zrobił to w kwietniu albo może w maju?

Kogo mogło obchodzić, że ktoś o nazwisku Schwart albo Schward żył albo umarł, a jeśli umarł, to kiedy?

I dlatego kiedy w Sądzie Hrabstwa Chautauqua z tłumy obcych wyłoniła się panna Rose Lutter, triumfalnie ujęła Rebekę za ręce i wygłosiła potok kwiecistych fraz typu „szczególny los” i „wyróżniona przez Boga”, Rebeka nie protestowała.

– Uwierzę, Jezu. Jezu, pomóż mi, bym w Ciebie uwierzyła.

Wiedziała, że On ją obserwuje. Widywała Go czasami, kątem oka. Ale kiedy obracała głowę, bardzo wolno, On uciekał. Mętnie wspominała, że kiedyś się z niej naigrawał – nie było tak? Udawała, że nie pamięta.

Z czasem miała się dowiedzieć, że mężczyzna, którego jej ojciec zastrzelił na cmentarzu, nazywał się Simcoe, miał pięćdziesiąt jeden lat i był kiedyś mieszkańcem Milburn, że Jakub Schwart go nie znał, a motywy, dla których zginął z ręki Jakuba Schwarta, pozostały niewyjaśnione. Umarł w ambulansie, w drodze do szpitala w Chautauqua Falls, w wyniku ran postrzałowych klatki piersiowej. Lewe ramię, uniesione w próżnym geście, by się osłonić przed strzałem z bliskiej odległości, zostało rozdarte na strzępy i sterczała z niego roztrzaskana biała kość.

Oburzająca śmierć, taka niesprawiedliwa. Śmierć, która była efektem przestępstwa.

Naturalnie zgony obojga Schwartów były czymś mniej ważnym. Tak podpowiadała logika. Śmierć Anny Schwart, też od postrzału z bliskiej odległości. Rozległe obrażenia głowy. Samobójstwo Jakuba Schwarta, postrzał z bliskiej odległości. Obcy ludzie wypytywali córkę o to, co wiedziała, co mogła im powiedzieć. Mówiła powoli, była zdezorientowana, a jej głos często przeradzał się w zdumione milczenie, dlatego znaleźli się tacy, którzy uznali, że jest pewnie upośledzona umysłowo albo jakaś taka „felerna”, być może jak inni w tej rodzinie, na przykład żona Anna, co najmniej jeden z synów albo może obaj.

I jeszcze był ojciec, szaleniec.

Rebeka nie zapamiętała wyraźnie, w jaki sposób opuściła kamienną chatkę tamtego dnia, dokąd została zabrana i przez kogo. Nie wiedziała, co to było to coś, co skleiło jej włosy, a potem jeszcze w nich zakrzepło. Wykrzywionej pielęgniarce, która to coś wycinała, trzęsły się dłonie.

– Stój spokojnie, dziewczyno!

W obcym łóżku, a jednak spała w nim dwanaście, czasem czternaście godzin, mimo że poranne słońce świeciło prosto w jej twarz-maskę. Spała, z kończynami tak splecionymi, jak splatają się węże zimą w swoich jamach. Usta miała otwarte, rozdziawione. Nagie stopy, lodowate w palcach, podrygiwały i pedaływały, żeby ją uchronić przed upadkiem. We wnętrzu pustej głowy pędziła woda, pędziła i pędziła przez gigantyczną śluzę jednostajnym strumieniem. *Przeżyła! Cholerna szczęściara! Nie wolno ci zapomnieć ile miałaś szczęścia że ci nie odstrzeliłem głowy za to że jesteś jedną z nich może nie! Urodziłaś się tutaj dlatego nie mogłem ci ufać że nie będziesz czegoś knuła za moimi plecami i co nie miałem racji?*

Nie pamiętała, w jaki sposób opuściła kamienną chatkę. Może wypadła na dwór, zrozpaczona i rozwrzeszczana. Może biegła w panice niczym ranne zwierzę ociekające

krwią, z czymś miękkim i płynnym we włosach, na twarzy i na rękach. Może zemdlą i ktoś ją wyniósł. Na noszach? W przekonaniu, że ona też została postrzelona, zraniona? Umierająca dziewczyna, na oko trzynastoletnia.

Zaskakująco przytulna kuchnia panny Lutter. Gdzie na półce, wśród doniczek z przepięknie rozkwitłymi fiołkami afrykańskimi, stała oprawiona w gustowną, owalną ramkę podobna przystojnego, oliwkowego, brodatego Jezusa Chrystusa, który unosił rękę w geście błogosławieństwa, podobny do Cary Granta, Henry'ego Fondy czy Jamesa Stewarta z plakatów filmowych na kinie Capitol, którzy beztrząsco uśmiechnięci unosili ręce w geście pozdrowienia, ku pokrzepieniu serc.

Dwa kawałki mlecznego tosta z rodzynekami posmarowane miodem. Ustawione przed nią.

– Jedz, Rebeko. Musisz jeść.

– Uwierzę, Jezu. Jezu, pomóż mi, bym w Ciebie uwierzyła.

Rzeczy osobiste, tak to się nazywało. Przynieśli je ze starej, kamiennej chatki na cmentarzu.

Ubrania Rebeki, jej letnie i zimowe buty. Wszystko takie nędzne, zobaczyła ze wstydem, kiedy pojawiły się w schludnym domu panny Lutter, kiedy zostały wysypane z kartonów. Nawet jej podręczniki szkolne wyglądały nędznie! I był jeszcze słownik, który wygrała jako mistrzyni ortografii 1946 roku, teraz wypaczony i cuchnący pleśnią, bo w starej, kamiennej chatce była straszna wilgoć. Między ubrania Rebeki zaplątały się ubrania Anny, marszczona biała bluzka z haftem angielskim, za duża na Rebekę, domowe suknie kształtem przypominające pudła, bawełniane pończochy poskręcane jak węże, czarne zamszowe rękawiczki, o których istnieniu Rebeka nie miała pojęcia, sprana, flanelowa koszula nocna, wielka i bezkształtna jak namiot... Widząc przerażoną minę dziewczyny, panna Lutter prędko poskładała rzeczy Anny Schwart i schowała je z powrotem do kartonu.

I jeszcze ta niespodzianka: radio Motorola, dotąd na całe lata zamknięte w saloniku, najcenniejszy przedmiot Jakuba Schwarta. W sfatygowanym kartonowym pudle, w którym wniesiono je do domu panny Lutter, też wyglądało nędznie, tandetnie jak coś wygrzebanego ze śmietnika. Rebeka wpatrywała się w radio, niezdolna nic powiedzieć. Przeciągnęła odrętwiałymi palcami po drewnianej obudowie, spróbowała znaleźć jakąś stację, choć oczywiście radio nie było podłączone do prądu, a zresztą tato powiedział im przecież z zapiekłą satysfakcją, że przewody się przepaliły...

Panna Lutter uprzejmie poleciła mężczyznom, którzy dostarczyli radio, żeby je zabrali.

– Mam własne radio, dziękuję panom.

Większość rzeczy osobistych panna Lutter przekazała do miejscowego sklepu organizacji charytatywnej Good Will. Dlatego dopóty, dopóki jeszcze mieszkała w Milburn i nawet później, kiedy Niles Tignor wywiózł ją stamtąd, instynktownie robiła wszystko, byle nie oglądać wystaw sklepów z używanymi rzeczami, prowadzonych przez Good Will lub Armię Zbawienia, ze strachu, że zobaczy zbezczeszczonego dobytek jej rodziny: stare, brzydkie ubrania, poobijane meble, żalozną Motorolę w porysowanej obudowie z imitacji drewna.

Jesienią roku 1949 starą, kamienną chatkę na cmentarzu wyburzono.

Nikt już tam nie zamieszkał od czasu morderstwa i samobójstwa. Nikt nawet nie próbował jej wysprzątać. Miasto przegłosowało wniosek, by zbudować nowy dom dla nowego dozorczy cmentarza i jego rodziny.

W owym czasie Rebeka mieszkała już od prawie pięciu miesięcy w schludnym domku Rose Lutter, na Rush Street 114, w dzielnicy pełnej podobnych domków z cegieł i drewna. Przy następnej przecznicy znajdował się zbór Pierwszego Kościoła Prezbiteriańskiego, którego panna Lutter była oddaną członkinią. Jej domek miał mały ganek od frontu, na którym w zależności od pory roku stały donice z pelargoniami, chryzantemami albo hortensjami. W środku nie był wiele większy od kamiennej chatki, a jednak jakże się od niej różnił!

Najbardziej zaskakującą różnicą było to, że w domu panny Lutter nie czuło się żadnego smrodu. Smrodu nafty, dymu drzewnego, starego, zjełczałego jedzenia, gnijącego drewna, wilgotnej ziemi spod podłogi. Ani też fetoru ludzkich ciał wciśniętych do zagraconych pomieszczeń.

Czuło się za to zapach pasty do czyszczenia mebli, najwyraźniejszy w piątki. A gdzieś w jego tle słabą, słodkawą woń tego czegoś, co panna Lutter nazywała potpourri.

Potpourri było mieszkanką łąkowych kwiatów, ziół i przypraw, które panna Lutter osobiście zbierała i suszyła. Umieszczała je potem po całym domu w miseczkach, również w łazience, za toaletą z lśniącej, białej porcelany.

Matka panny Lutter, już nieżyjąca, zawsze miała potpourri w swoim domu. I podobnie babcia panny Lutter, która zmarła wiele lat wcześniej.

Rebeka nigdy wcześniej nie słyszała o potpourri i nigdy wcześniej czegoś takiego nie wahała. Czasami przyprawiało ją niemalże o zawroty głowy. Kiedy wchodziła do domu, ta woń przyklejała się do niej. Albo budziła się rankiem i ona już na nią czekała.

Mrugała, niepewna, gdzie jest, co to wszystko oznacza.

Zaskakiwało również to, że ściany domu panny Lutter były takie czyste. Część została pokryta tapetą ze wzorkiem w kwiatki, inne pomalowano na biało. We wszystkich pokojach były okna! Nawet w łazience. I na wszystkich tych oknach, nawet na maleńkiej szybce osadzonej w tylnych drzwiach, wisiały zasłonki.

Rankami, kiedy Rebeka otwierała oczy w pokoju, który oddano jej na własność, w tylnym lewym rogu domku panny Lutter, widziała najpierw zasłonki z blad różowej organdy, naprzeciwko swojego łóżka.

Żałowała, że już się nie przyjaźni z Katy Greb! Cholera, z chęcią by pokazała Katy ten pokój. Te zasłonki, tę tapetę w różyczki i puchaty dywanik, szafę osadzoną w ścianie... Nie po to, żeby się chwalić, ale żeby po prostu pokazać. Bo na Katy pokój zrobiłby wielkie wrażenie. I z pewnością opowiedziałyby Leorze.

Ale ta Rebeka ma szczęście, mamo! Żebyś ty widziała jej pokój...

Jeszcze jedną znaczącą rzeczą było to, że w domu panny Lutter widziało się tak niewiele pajęczyn. I niewiele much, nawet latek. Żadnych oszalałych, kąśliwych much, które latają po kuchni i wychodku, psując ci życie. Rebeka pomagała pannie Lutter w utrzymywaniu domu w czystości i rzadko kiedy odkrywała kłaki kurzu pod meblami albo warstwę brudu na jakiejś powierzchni. A więc to tak mieszkali ludzie, w prawdziwych domach w Milburn! A więc to tak wyglądał świat, do którego Schwartowie nie mieli wstępu.

Rebeka widziała teraz, że życie toczy się na własnych zasadach. Że nie jest przypadkowe, wymyślane w biegu.

Panna Lutter była dawniej pedantyczną nauczycielką szkoły podstawowej, a teraz była pedantyczną gospodynią domową. Miała nie tylko froterkę do podłóg, ale nawet odkurzacz marki General Electric. Ciężkie, pionowe urządzenie z hałaśliwym silnikiem i workiem, który puchł jak balon od kurzu i śmieci, z kółkami, na których sunął po podłodze. Z wszystkich domowych prac Rebeka najbardziej lubiła odkurzanie. Szum silnika wdzierał jej się do głowy i wypychał wszystkie myśli. Sam ciężar odkurzacza, od którego naciągały jej się mięśnie w rękach i brakowało tchu, sprawiał, że odkurzanie przypominało zmagania z kimś, kto jest silny i uparty, ale ostatecznie można nim sterować i uczynić swoim sojusznikiem. Niebawem Rebecę powierzono odkurzanie wszystkich pomieszczeń w domku z beżowej cegły, na Rush Street 114.

Zawsze jest jakieś wyjście. Wystarczy udawać, że jest się małym jak robak.

Rebeka miała mieszkać z Rose Lutter przez dwa i pół roku i przez dwa i pół roku miała oczekiwać Jezusa.

Przestała liczyć, że przyjdą po nią bracia. Że przyjdzie Herszel albo Gus. Herszel wciąż uciekał przed wymiarem sprawiedliwości, a Gus zwyczajnie gdzieś zniknął. Rebecę się wydawało, że na pewno wiedzą, co się jej przydarzyło, bo w swoim oszołomieniu wierzyła, że cały świat o tym wie. Kiedy wychodziła z domu panny Lutter, udając się do szkoły, kiedy razem z panną Lutter pojawiała się na nabożeństwach, wszyscy, których spotykała, wiedzieli, jakby otaczała ją taka sama świetlna aureola jak te, które otaczały bohaterów obrazków biblijnych: Jezusa, który uciszał burzę, Jezusa, który uzdrawiał trędowatego, Jezusa, który dokonywał cudownego rozmnożenia ryb, a także Daniela w jaskini lwów, Salomona poświęcającego świątynię, Mojżesza z wężem, Marię nawiedzoną przez anioła. Byli tacy, których wybierano na przedmiot uwagi i nie mogli mieć nadziei, że się ukryją.

W szkółce niedzielnej, urządzonej w podziemiach kościoła, Rebeka nauczyła się klaskać w dłonie, kiedy śpiewała z innymi, przeważnie młodszymi dziećmi:

*Moje małe światełko!
Chcę, żeby świeciło!
Świeciło na cały świat!*

Bo Ewangelia to inaczej Dobra Nowina, tak powiedziano Rebecę. Opowiada o Chrystusie, o wskrzeszeniu Chrystusa i o Chrystusie, który wnika do twojego serca.

Rebeka widywała czasami panią Deegan, żonę pastora, która obserwowała ją ponad głowami młodszych dzieci. W takich momentach Rebeka uśmiechała się i śpiewała jeszcze głośniej. Wnętrza dłoni piekły ją przyjemnie od klaskania.

– Bardzo dobrze, Rebeko! Jaki ty masz ładny głos, Rebeko. Wiesz, jak się taki głos nazywa? To kontralt.

Rebeka pochylała głowę, zbyt onieśmielona, by podziękować pani Deegan. Jej głos był chropawy jak papier ścierny i bolało ją gardło, kiedy śpiewała, zwłaszcza jeśli śpiewała głośno. A jednak wciąż śpiewała.

Śpiewała dziecięce piosenki, by zrobić przyjemność żonie pastora, która układała sobie włosy w małe loczki na czole i zapewniała wielebnego Deegana, że Rebeka Schwart to bardzo grzeczna dziewczynka. Pannę Lutter też o tym informowała. Tu nie było pomyłki. Mocno pilnowali córki grabarza.

Wiedziała o tym i godziła się na to. Była podopieczną hrabstwa Chautauqua, skazaną na cudze miłosierdzie.

– Rebeko! Włóż rękawiczki, kochanie. I pospiesz się.

Szkółka niedzielna zaczynała się punktualnie o dziewiątej rano i punktualnie o dziewiątej pięćdziesiąt na progu klasy pojawiała się panna Lutter, by zabrać Rebeke na nabożeństwo odbywające się na górze. Jeśli Rebeka zostawiła swoje białe, bawełniane rękawiczki w domu, panna Lutter znajdowała je i przynosiła Rebecę.

To było oczywiste, że wizyty w kościele stanowią główny punkt spokojnego tygodnia panny Lutter. Zawsze wkładała olśniewająco białe rękawiczki i któryś ze swoich zuchwałych kapelusików z woalką; nosiła też „szpilki”, które niespodziewanie przydawały jej wzrostu, do około pięciu stóp i cala. (Rebeka w wieku trzynastu lat już była wyższa i cięższa od panny Lutter.) Przy ładnej pogodzie panna Lutter wkładała kwieciste sukienki, rozkloszowane od pasa i z halką pod spodem, przez co szeleściły przy każdym jej ruchu. Na wychudłych policzkach zakwitały rumieńce zadowolenia albo może były to plamy różu. I do tego wąskie wargi pomalowane na czerwono. Włosy koloru upierzenia wróbli układały się w ciasne loczki jak u dziecka.

– Nie wolno nam się spóźnić, kochanie. Chodź!

Czasami pannę Lutter ogarniał taki entuzjizm, że brała Rebeke za rękę i ciągnęła za sobą tę nieśmiałą i gapowatą dziewczynkę.

Zdaniem Rebeki wyglądało to tak jak rozstąpienie się Morza Czerwonego z obrazków biblijnych. Kiedy panna Lutter sunęła z godnością główną nawą kościoła, do swojej ławki prawie na samym przedzie, prowadząc za sobą Rebeke. „Witam!”, „Witam!”, „Dzień dobry!”, „Witam!” Tyle tych przyjaznych, zaciekawionych twarzy, do których zwracała się panna Lutter dziwnie zdławionym głosem. Tyle tych oczu, które omiatały wzrokiem ją i Rebeke.

Panna Lutter kupiła Rebecę kilka sukienek, z rozkloszowanymi spódniczkami, które prędko zrobiły się za ciasne w pasie i pod pachami. Kupiła też jedwabne wstążki do włosów. W Thom McAn's Shoes kupiła Rebecę parę pięknych bucików z czarnej skóry, do których Rebeka wkładała białe skarpetki. I białe rękawiczki, takie same jak rękawiczki panny Lutter, tyle że o rozmiar większe.

Ostatecznie panna Lutter była zmuszona kupić kilka kolejnych sukienek dla Rebeki, nową parę butów, nowe rękawiczki. Na litość boską, ależ ta dziewczyna rosła!

A co do jej włosów, które były gęste, pełne dzikich loków i lubiły się kołtunić, to panna Lutter nalegała, by Rebeka je szczotkowała, szczotkowała i szczotkowała, metalową szczotką tak długo, aż zaczęły lśnić (a jej nadgarstek omdlewał z przemęczenia). Zupełnie jak końska grzywa, mówiła z westchnieniem panna Lutter. A mimo to dotykała włosów Rebeki z fascynacją i odrazą.

– Czasami mam wrażenie, że jesteś w połowie koniem, Rebeko. Dzikim dereszowatym kucem.

Rebeka śmiała się z niepokojem. Nigdy nie wiedziała, czy panna Lutter wygłasza takie pompatyczne stwierdzenia dla żartu, czy na serio.

Kiedy postawny wielebny Deegan podchodził do ambony, by wygłosić kazanie, panna Lutter prostowała się w ławce, cała zamieniając się w słuch, jakby była jedyną osobą w kościele. W przeszłości pastor był kapelanem Armii Amerykańskiej, służył podczas wojny na Pacyfiku, co często odbijało się na jego kazaniach. Mówił to wznoszącym, to opadającym głosem, głosem wyszkolonym jak u śpiewaka; krzywił się, uśmiechał. Panna Lutter niemal niesłyszalnie mruczała: *O tak, o tak, o tak. Amen.* Jej usta, mokre od śliny jak u dziecka, rozchyłały się, a powieki zaczynały trzepotać. Rebeka ze wszystkich sił starała się usłyszeć to, co słyszała panna Lutter, strasznie chcąc uwierzyć, bo gdyby nie udało jej się uwierzyć, to Jezus nie wniknąłby do jej serca i z jej duszą byłoby tak jak z ziemią obsianą pokrzywami, a nie ziarnem. Jej poletkiem byłyby zaś te kamienie, którymi Żydzi rzucali w Jezusa za Jego bluźnierstwa.

Jakże mocno starała się Rebeka, tydzień po tygodniu! A jednak to przypominało daremną wspinaczkę na dach szopy, kiedy była małą dziewczynką i bracia się z niej naśmiewali.

Dziwne: kiedy była sama, nie miała wcale trudności z wierzeniem w Jezusa Chrystusa. Niemal czuła, że Jezus ją obserwuje, uśmiechając się tym swoim tajemniczym uśmiechem. Bo Jezus też śmiał się z Rebeki, wtedy na Quarry Road. Ale przecież Jezus jej wybaczył. Ale przecież Jezus ocalił jej życie. Tylko z jakiego powodu?

Panna Lutter obiecywała, że któregoś dnia się dowiedzą.

Panna Lutter zabrała ją na grób rodziców, który okazał się taki zwyczajny i na dodatek cały porośnięty chwastami. Panna Lutter nie zauważyła (może dlatego, że była taktowna, a może po prostu miała słaby wzrok) błędów na płycie nagrobnej. *Mówiono mi, że nie byli wyznawcami żadnej religii. Ale my będziemy się za nich modlić.*

A jednak tu, w kościele, wierzyć było trudno. Mimo że Rebeka starała się skupić. Z im większym zapalem wielebny Deegan mówił o Jezusie, tym mniej realny wydawał się Jezus. Wśród tych porządných, uczciwych ludzi. Wśród wypastowanych ławek, gromkich głosów uniesionych w pieśni. Wśród zapachu kobiecego talku, męskiej pomady do włosów i płynu do golenia.

Czas przyłączyć się do pieśni. Uśmiech wielebnego Deegana błysnął zaślinioną bielą.

– Bracia i siostry w Chrystusie, wnieśmy radosną wrzawę ku chwale Jezusa.

Wstali. Panna Lutter śpiewała z takim samym żarem jak inni. Swoim wątlým sopranem. Z głową uniesioną w geście wyrażającym nadzieję, z ustami jak wygłodniały dzióbek. *Potężna jest twierdza, potężna jest twierdza Pana naszego.* Kobieta o śnieżnobiałych, rozwianych włosach, która siedziała przy organach, wygrała pierwsze wzniosłe akordy i halka pod suknią panny Lutter zadrzała automatycznie. Rebeka śpiewała z zamkniętymi oczyma. Uwielbiała to spiętrzanie się muzyki, przemieszane jakby z hukiem wody przepływającej przez gigantyczną śluzę. Serce biło jej dziwacznie, robiła się strasznie rozemocjonowana. Och, nagle pojawiała się nadzieja. Z całej siły zaciskała powieki, licząc, że zobaczy przelotnie dalekiego Jezusa w mgielnej, białej szacie, unoszącego się w powietrzu. Nie chciała myśleć o ukrzyżowaniu, chciała, by Jezus był daleki jak anioł, jak piękny obłok pomykający wysoko po niebie razem z wiatrem; wszakże najpiękniejsze obłoki powstawały nad jeziorem, a potem wiatr rozwiewał je we wszystkie strony i nikt prócz Rebeki Schwart tego nie widział. Chciała to wyjaśnić pannie Lutter, bo kochała pannę Lutter i była taka wdzięczna pannie Lutter za to, że uratowała jej życie, że ją przygarnęła, ją, podopieczną hrabstwa Chatauqua, zdaną na ludzkie

miłosierdzie, dlatego niemalże nie mogła spojrzeć pannie Lutter w twarz, niemalże nie mogła nic powiedzieć, żeby się przy tym nie jąkać. Kochała Jezusa, który był daleki i wstąpił do nieba, do Ojca, ale niczym krnąbrne dziecko coraz bardziej nie mogła tego znieść, że Jezus to trup wiszący na krzyżu, nie różniący się niczym od innych trupów, które ociekają krwią, i że już niedługo zacznie się rozkładać i cuchnąć. Jezusa nie byłoby trzeba wskrzeszać, gdyby nie umarł, i Jezus wcale nie musiałby umierać, gdyby uciekł, zamiast oddawać się w ręce swoich wrogów. Albo jeszcze lepiej, dlaczego nie uśmiercił swoich wrogów? Czy Jezus, Syn Boży, nie był panem życia i śmierci?

Słowa to pierdoły i kłamstwa. Wszystkie kiedykolwiek wypowiedziane, kiedykolwiek użyte słowa to kłamstwa.

Pieśń dobiegła końca. Wierni usiedli. Rebeka otworzyła oczy i Jezus zniknął. Idiotyzm z tym myśleniem, że Jezus miałby tu w ogóle być, na wezwanie wielebnego Deegana z Pierwszego Kościoła Prezbiteriańskiego w Milburn w stanie Nowy Jork.

Rebeka próbowała stłumić ziewnięcie. Potężne, łamiące szczęki ziewnięcie, od którego zawsze ciekły jej łzy po policzkach. Panna Lutter mogła to zauważyć, poczuć się urażona (pannę Lutter łatwo było urazić) i później ją besztać, w okrężny sposób, nosowym głosem.

Rebeka już nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Każda następna niedziela była coraz gorsza.

Próbowała siedzieć nieruchomo. Ale to było takie głupie! Same pierdoły. A jednak powtarzała sobie, że jest niesamowicie wdzięczna. Wdzięczna pannie Lutter. Wdzięczna, że żyje. Cholerna szczęściara. Wiedziała! Mogli uznać, że jest cofnięta w rozwoju, ale była inteligentną dziewczyną, która miała oczy dookoła głowy, i dlatego wiedziała dokładnie, jak Milburn na nią patrzy i co o niej mówi. Wiedziała, że w jednych dzielnicach podziwiają Rose Lutter, a w innych nią gardzą. Emerytowana nauczycielka, która przygarnęła córkę grabarza, sierotę. Swędziało ją pod pachami, swędziały ją kostki pod tymi białymi skarpetkami, których tak nienawidziła. Tarła jedną kostkę o drugą pod ławką. Z całej siły. Gdyby nie to miejsce, w którym się znajdowała, i gdyby nie to, kto mógł na nią patrzeć, szarpałaby za tą kępę sztywnych włosów między nogami, mocno, do krwi.

Nie chciała czekać do szesnastych urodzin z odejściem ze szkoły.

Relegowali ją w listopadzie 1951 roku i już nie wróciła.

Złamała serce Rose Lutter, bo nie było innego wyjścia.

Bo tamtego dnia miała już dosyć. Miała, kurde, dosyć. W liceum dokuczali jej od tak dawna. Wiedzieli o tym nauczyciele, wiedział dyrektor, a jednak nie interweniowali. Na schodach starsza dziewczyna Meunzerów popchnęła Rebekę od tyłu i Rebeka zamiast udać, że nic nie zauważyła, zamiast nadstawić drugi policzek, jak jej doradzała panna Lutter, odejść prędko bez oglądania się za siebie, odwróciła się, rzuciła swoimi książkami w tamtą i zaczęła ją okładać pięściami niczym chłopak, nie wyrzutem ręki znad głowy, tylko z ramienia i od dołu. Napadła na nią kolejna osoba, jakiś chłopak. I jeszcze inni się przyłączyli przeciwko Rebecce. Wyzywali, drapali, boksowali. Po całym korytarzu niczym pożar błyskawicznie rozprzestrzenił się dreszcz podniecenia, kiedy Rebeka została najpierw siłą powalona na podłogę, a potem zaczęto ją kopać.

Nienawidzili jej za to, że była siostrą Herszela Schwarta, bo Herszel Schwart oszpecił twarz Jeba Meunzera. Nienawidzili jej za to, że była córką grabarza Jakuba Schwarta, który najpierw zabił człowieka o nazwisku Simcoe, nazwisku dobrze znanym w Milburn, a potem umknął dzięki temu, że się zabił, zamiast umrzeć na krześle elektrycznym. Od dawna nie znosili Rebeki za to, że wciąż wśród nich była. Że nie chciała się ukorzyć. Że często zachowywała się arogancko, wyniośle. Zarówno wobec koleżanek i kolegów z klasy, jak i wobec nauczycieli, którym robiło się nieswojo w jej obecności i którzy sadzali ją razem z innymi wyrzutkami i wichrzycielami w tylnych ławkach.

Wszyscy uczestnicy tamtej bójki zostali relegowani i dyrektor nakazał im natychmiast opuścić teren szkoły. Niczego nie zmieniał fakt, że to przecież Rebeka padła ofiarą ataku, dyrektor nie godził się, by w jego szkole odbywały się bójki. Istniała możliwość odwołania się od tej decyzji po upływie roku, ale Rebeka nie chciała z niej skorzystać.

Wyleciała, nie zamierzała wracać.

Panna Lutter była zszokowana tymi wieściami, zdruzgotana. Rebeka nigdy nie widziała, by starsza pani była podobnie wytrącona z równowagi.

– Rebeko, niemożliwe, żebyś tak myślała! Jesteś zdenerwowana. Porozmawiam z panem dyrektorem, przecież musisz skończyć szkołę średnią. To ty zostałeś napadnięta, ty się tylko broniłaś. To straszna niesprawiedliwość, którą trzeba wyjaśnić... – Panna Lutter przycisnęła drżącą dłoń do piersi, jakby chciała uspokoić nierówno bijące serce. Rebeka omal nie złamała się w tym momencie.

A jednak nie: miała dość liceum w Milburn. Nie chciała więcej oglądać tych samych twarzy, tych samych wiecznie gapiących się na nią, bezczelnych oczu. Tych ludzi, którzy wyobrażali sobie, że ją znają, podczas gdy oni tylko wiedzieli o jej istnieniu. Którzy wyobrażali sobie, że są od niej lepsi, bo miała taką rodzinę, a nie inną.

Oceny dostawała najwyżej przeciętne albo niskie. Często uciekała z lekcji, bo ją nudziły. Oczywiście najbardziej nie lubiła algebry. Bo co równania miały wspólnego z rzeczami istniejącymi naprawdę? Na lekcjach angielskiego kazali jej się uczyć na pamięć

wierszy Longfellowa, Whittiera, Poego, idiotycznych, śpiewnych rymów, co jakieś tam rymy mają wspólnego z rzeczami istniejącymi naprawdę? Miała dosyć szkoły, postanowiła poszukać sobie pracy w Milburn i sama zarabiać na swoje utrzymanie.

Panna Lutter błagała Rebekę przez wiele dni. Można wręcz było pomyśleć, że zagrożona jest przyszłość samej Rose Lutter. Mówiła Rebecce, że nie powinna pozwolić, by ci ograniczeni barbarzyńcy zniszczyli jej życie. Że musi zacisnąć zęby, skończyć szkołę. Że tylko wtedy, gdy będzie miała dyplom ukończenia szkoły średniej, będzie mogła liczyć na jakąś porządną posadę i przyzwoite życie.

Rebeka śmiała się z tych głupot. Przyzwoite życie, też coś! Nie miała żadnej nadziei na przyzwoite życie.

To, co zrobił Jakub Schwart, otaczało ją niczym jakaś poświata. Ta poświata towarzyszyła jej, gdziekolwiek się udała. Dla niej niewidzialna, ale za to bardzo widoczna dla innych. Biła od niej woń jakby gumy tłącej się na wysypisku śmieci.

Któregoś dnia Rose Lutter wyznała Rebecce, że przestała uczyć tak wcześnie, bo nie mogła znieść głupich, coraz bardziej bezczelnych dzieci. Nabawiła się alergii na kredę, cierpiała na chroniczne zapalenie zatok. Dostawała pogroźki od rodziców wywodzących się z tak zwanej białej nędzy, ale dyrektor szkoły był zbyt tchórzliwy, żeby stanąć w jej obronie. Kiedy dziesięcioletni chłopiec uderzył ją w rękę, bo próbowała przerwać jego walkę z mniejszym chłopcem, lekarz musiał przepisać jej lekarstwa na nerwy i palpitanie serca, a władze okręgu przyznały jej urlop dla podreperowania zdrowia i po trzech miesiącach, kiedy znowu weszła do budynku szkoły, dostała ataku duszności i omal nie zemdląca, a wtedy jej lekarz doradził władzom okręgu, żeby przeniosły ją na wcześniejszą emeryturę z powodu niezdolności do wykonywania zawodu, i ona się zgodziła, bo tak zapewne było najlepiej, a jednak tak bardzo chciała, żeby Rebeka się nie poddawała, w takim młodym wieku, kiedy całe życie było jeszcze przed nią.

– Nie wolno ci powielać przeszłości, Rebeko. Musisz się wznieść ponad przeszłość. W głębi duszy jesteś lepszym człowiekiem niż...

Rebeka poczuła się obrażona, jakby Rose Lutter ją spoliczkowała.

– Lepsza niż kto?

Głos panny Lutter zaczął drżeć. Próbowwała ująć zdrętwiałe, zimne dłonie Rebeki, ale Rebeka jej nie pozwoliła.

Nie dotykaj mnie! Z niezliczonych wypowiedzi Jezusa Chrystusa, których się nauczyła od czasu, gdy wprowadziła się do domu Rose Lutter, „Nie dotykaj mnie!” zrobiło na niej największe wrażenie.

– ...niżby na to wskazywało twoje pochodzenie, kochanie. I jesteś lepsza od tych, którzy w szkole okazują ci wrogość. Na całym świecie barbarzyńcy starają się wygrać z tymi, którzy są cywilizowani. Oni są też wrogami Jezusa Chrystusa. Przecież wiesz o tym, Rebeko.

Rebeka wybiegła nagle z pokoju, bo nie chciała nawrzeszczyć na tę upierdliwą, starą kobietę: *Idź do diabła! Idź do diabła razem ze swoim Jezusem Chrystusem!*

– Ale przecież jest dla mnie taka dobra. Ona mnie kocha...

A jednak Rebeka wiedziała, że niebawem nadejdzie koniec. Dojdzie między nimi do rozłamu, o którym marzyła, jednocześnie śmiertelnie się go obawiając.

Bo już nie mogła wrócić do tej szkoły, jakkolwiek by ją panna Lutter błagała. Jakkolwiek by łajała, jakkolwiek groziła. Nigdy!

Coraz częściej uciekała od schludnego domku z beżowych cegieł na Rush Street, tak jak kiedyś trzymała się z daleka od starej, kamiennej chatki na cmentarzu. Od zapachu potpourri chciało jej się wymiotować. Przestała też chodzić na nabożeństwa. Wracała z poczuciem winy i zarazem pełna buty, czasami o zmroku, a czasami dopiero o północy, kiedy we wszystkich innych domach na Rush Street robiło się ciemno i cicho.

– Czemu pani na mnie czeka, panno Lutter? Wolałabym, żeby pani na mnie nie czekała. Nie cierpię tego, jak te światła się palą.

Nienawidzę cię. Nienawidzę cię za to, że czekasz. Zostaw mnie w spokoju!

Napięcie między nimi robiło się coraz większe. Bo Rebeka nie chciała mówić pannie Lutter, dokąd chodzi. Z kim spędza czas. (Teraz, kiedy wyleciała ze szkoły, nawiązywała nowe znajomości. Katy Greb rzuciła szkołę rok wcześniej, obie znowu były serdecznymi przyjaciółkami.) Po tym, jak napadnięto ją w szkole, tak podstępnie, tak publicznie i brzydkie szramy i sińce utrzymywały się tygodniami nie tylko na plecach, udach i pośladkach, ale nawet na piersiach i brzuchu, zaczęła patrzeć na siebie inaczej i podobało jej się to, co widziała. Jej skóra nabrała dziwnego odcienia oliwkowej bladości. Brwi, gęste i ciemne, zrastały się nad nosem jak u mężczyzny. Kiedy się pociła, do jej skóry przywierał silny zapach smrodliwego zwierzęcia. To właśnie dzięki tej czerpanej jakby z natchnienia nowej sile zamierzyła się pięściami na Glorię Meunzer i innych napastników, pokaleczyła ich do krwi, sprawiła, że ich twarze wykrzywiały się z zaskoczenia i bólu.

Uśmiechała się na myśl, że w głębi serca jest tak samo wyjęta spod prawa jak Herszel. Tymczasem panna Lutter nie ustępowała.

– Jestem twoją prawną opiekunką, Rebeko. Mam obowiązki nadane mi z urzędu. Oczywiście chcę dla ciebie tylko tego, co najlepsze. Modłę się, staram się zrozumieć, gdzie cię zawiodłam...

Rebeka zagryzła wargi, żeby nie wrzasnąć.

– To nieprawda. Pani mnie nie zawiodła, panno Lutter.

Już samo to nazwisko, „panna Lutter”, sprawiało, że uśmiechała się z pogardą. *Rose Lutter, panna Rose Lutter*. Nie mogła tego znieść.

– Czyżby? – spytała panna Lutter z udawaną zadumą w głosie.

Jej cienkie, spłowiałe włosy były ułożone w loczki spłaszczone pod siatką. Jej miękka skóra, mocno pomarszczona wokół krótkowzrocznych oczu i obwisła na podbródku, lśniła od pachnącego aptecznie kremu na noc. Była ubrana w nocną koszulę i szlafrok ze sztucznego ciemnoniebieskiego jedwabiu, ciasno związany w chudej talii. Rebeka nie potrafiła oderwać wzroku od torsu panny Lutter, strasznie płaskiego i kościstego.

– A właśnie, że cię zawiodłam, kochanie. Twoje życie...

– Moje życie należy do mnie! – zaprotestowała Rebeka. – To moje życie! Nie zrobiłam nic złego.

– Musisz wrócić do szkoły, kochanie. Spotkam się z dyrektorem twojej szkoły, to porządny człowiek, znam go. Zwrócę się do niego z pisemnym odwołaniem. Jestem pewna, że na to czeka. Nie pozwolę, żeby potraktowano cię tak niesprawiedliwie.

Rebeka przepchnęłaby się obok panny Lutter na wąskim korytarzu, ale starsza kobieta blokowała jej drogę z zaskakującą stanowczością. Była wyższa od Rose Lutter i cięższa od niej o jakieś piętnaście funtów, a jednak nie potrafiła stawić jej czoła.

– Twój los, kochanie, jest związany z moim losem. „Nie siej ziarna na kamienistym polu”.

– Jezus tego nie powiedział! Pani to zmyśliła.

– Jezus tak właśnie powiedział. Być może nie dokładnie tymi słowami, ale tak powiedział.

– Pani nie może zmyślać Jego słów, panno Lutter! Nie wolno pani!

– W tym kryje się sedno tego, co mówił Jezus. Gdyby On tu był, to możesz być pewna, że mówiłby do ciebie to samo co ja. Że starałby się przemówić ci do rozumu, moje dziecko.

W różnych podejrzanych miejscach Milburn widywało się na murach, chodnikach i na wagonach kolejowych napisy, których dziewczyny nie powinny były wymawiać na głos. Chłopcy powtarzali te słowa bezustannie, wykrzykiwali je radośnie, ale „grzeczne” dziewczęta miały odwracać oczy, z wielkim zawstydzeniem Rebeka zagryzła dolną wargę, żeby nie wykrzyknąć tych słów. SPIERDALAJ, ROSE LUTTER. SPIERDALAJ! Owładnął ją spazm wesołości, podobny do kichnięcia. Panna Lutter gapiała się na nią wytrzeszczonymi oczyma, wyraźnie zraniona.

– A co cię teraz tak śmieszy? Co cię tak śmieszy, Rebeko, w takiej chwili? Też chciałabym się pośmiać.

W tym momencie Rebeka przepchnęła się obok panny Lutter i zatrzasnęła za sobą drzwi do swojego pokoju.

Jesteś cholerną szczęściarą i dobrze o tym wiesz! Tak było, wiedziała. Robił jej wyrzuty. Bo miał rację.

W tym mrocznym pokoju, gdzie czas płynął tak szybko, ciągle jej czegoś brakowało. Ciągle wyteżała wzrok i słuch. Aż bolał ją kręgosłup. I oczy. Przeżywała raz jeszcze tamte dziwne, ulotne sekundy, które wyznaczyły nagły i nieodwołalny koniec jej życia w kamiennej chatce w roli mieszkającej tam córki. Koniec czegoś, czego nie potrafiłaby nazwać dzieciństwem, a co dopiero młodością.

Ogłupiała ją woń potpourri przemieszana z zapachami przesycającymi tamtą drugą sypialnię. Budziła się z wysiłkiem, oddychając gwałtownie, cała spocona, gwałtownie przewracając gałkami ocznymi, próbując zobaczyć wreszcie to, co leżało na podłodze, skryte w cieniu.

Mokry, połyskujący cień za łóżkiem. Bezwładne ciało, a może (w tym półmroku, w zamęcie tej chwili) po prostu walające się ubrania albo pościel.

Mama? Mama...

Nie. Nie była w stanie zobaczyć. Bo on zastawiał jej widok. Nie pozwalał jej zobaczyć. W tych chwilach, kiedy jeszcze nie była w pełni rozbudzona, ale już nie pogrążona we śnie, potrafiła ponownie przywołać wizję swego ojca, Jakuba Schwarta, który uśmiechał się do niej z napięciem, z zażwawionymi, rozgorączkowanymi oczyma, który niezdarnie manewrował dubeltówką, starając się przemieścić lufę w ciasnej przestrzeni, bo chciał wycelować w nią, a jednak za nic nie chciał jej dotknąć. Bo przez swój ojcowski, purytański takt za nic nie chciał dotknąć piersi córki, nawet w taki sposób,

jakby one były martwym przedmiotem zagrażającym mu drogę. Rebeka przyłapywała wcześniej ojca, jak przyglądał się jej piersiom, często w ostatnim roku, nieświadomego, że się im przygląda, i tego, że Rebeka to widzi, obracała się wtedy instynktownie i przestawała o tym myśleć. Nie chciał też dotknąć łufą jej gardła, gdzie gwałtownie pulsowała tętnica. Mimo to próbowała dojrzeć ponad jego ramieniem to miejsce, gdzie bez ruchu leżała jej matka. Gdzie górna połowa ciała, które kiedyś należało do jej matki, zlała się z amorficzną ciemnością. Zobaczy to, musi to zobaczyć! Choćby niewyraźnie. Dopóki nie otwierała oczu i trwała w tym mrocznym stanie między snem a jawą, mogła zajrzeć do tego pokoju i mocą aktu woli mogła zobaczyć to wszystko wstecz.

Znowu zbliżała się do kamiennej chatki od strony zwirowanego podjazdu. Były tam byle jak pomalowane frontowe drzwi. I sznur na podwórku, pranie łopoczące na wietrze, bo to było wietrzne, majowe popołudnie, po niebie płynęły chmury obrzmiałe deszczem. Ręczniki, prześcieradło, jego koszule. Jego gacie. Dopóki to pranie łopotąło na wietrze, dopóki był to zwyczajny dzień prania, w domu nie mogło czyhać nic groźnego, bo przecież pranie to taka niepoważna czynność, taka krzepiąca. Nawet jeśli rozległ się ostrzegawczy, przeraźliwy okrzyk kogoś obcego: *Nie wchodź tam! Zatrzymajcie ją!* Kobięcy głos, rozprasający uwagę. A jednak było już za późno. Bo w historii zdarzają się takie epizody, których żaden inny epizod nie jest w stanie anulować.

Coś jej umknęło! Zawsze jej coś umykało, ani razu nie udało jej się zobaczyć ani usłyszeć jak należy. Musiała zaczynać od nowa.

Biegnie po Quarry Road, ciężko dysząc. Jest już na cmentarzu, na zwirowanej drodze, zaniedbanej podczas ostatnich miesięcy, w trawie na poboczach walają się kamyki, widać chwasty. Wszędzie kwitną mleczki! Bo dozorca cmentarza w Milburn przestał być taki dbały jak dawniej. Na cmentarzu stał jakiś samochód, może kilka samochodów. I coś było nie tak, działo się coś złego. Jakaś kobieta wołała do Rebeki, która nie dawała po sobie poznać, czy słyszy. *Mama?* – wołała głosem tak absurdalnie słabym, jak Anna Schwart miała to słyszeć! A kiedy rozległ się huk, już znajdowała się w środku, gdzie powietrze dygotało, wibrowało. Później uwierzyła, że była świadkiem strzelaniny, uderzenia pocisku z odległości mniej więcej sześciu cali od miękkiego, bezbronnego celu, a jednak nie była świadkiem, a tylko tę strzelaninę słyszała. W rzeczy samej huk wystrzału tak ją ogłuszył, że wcale go nie usłyszała. Jej uszy nie były w stanie go usłyszeć. Mózg nie był w stanie go przyswoić. Mogła uciec w panice jak zwierzę, ale nie uciekła. Bodajże lekkomyślność zrodzona z butnej, nieodmiennej próżności młodych, do których nie dociera, że mogliby umrzeć, zawiodła ją do wnętrza sypialni, gdzie w zasadzie na progu, bo ten pokój był taki mały, stał Jakub Schwart i blokował Rebecę wejście. Błagała go. A on uśmiechał się tym swoim uśmiechem. Drwiącym uśmiechem, obnażającym poźółkłe, przegniłe zęby, które upodabniały jego głowę do prymitywnie wyrzeźbionej latarni z dyni, a jednak (tak to widziała, ona, która była jego jedyną córką i jedynym dzieckiem, jakie mu jeszcze zostało) był to jadowicie czuły uśmiech. Uśmiech, który karmił, a zarazem wybaczał. *Urodziłaś się tutaj. Nic ci nie zrobią.* Jego słowa były równie bezsensowne jak większość tego, co zawsze mówił, a jednak ona, jego córka, rozumiała. Zawsze go rozumiała, mimo że nie umiałyby powiedzieć, co właściwie rozumiała w tej jego zropczanej i wesołkowatej twarzy, kiedy z towarzyszeniem głuchych pomruków udało mu się wycelować łufę w swoją stronę, kiedy rozległ się kolejny huk, znacznie głośniejszy niż tamten pierwszy, znacznie potężniejszy, ogłuszający, i kiedy coś mokrego, mięsistego i kleistego poleciało w jej stronę, na jej

twarz, na jej włosy, gdzie miało się skrzepnąć, i dlatego później ktoś obcy musiał to coś starannie wystrzyć nożyczkami.

Mimo to Rebecę znowu coś umknęło. Psiakrew, wszystko działo się tak prędko, nie zobaczyła, bo nie mogła.

W ukrzyżowaniu Chrystusa kryła się tajemnica.

Z czasem zaczęła nie cierpieć tego ukrzyżowania Chrystusa.

Przysłuchiwała się z kamiennym sercem, bez wzruszenia, jak wielebny Deegan wygłaszał swoje kazanie w Wielki Piątek. Rebeka słyszała je już kiedyś wcześniej i to nie raz. Podobna do buldoga twarz, zawodzący, pompatyczny głos. Zdrada Judasza, obłuda Żydów. Poncjusz Piłat, który umywał ręce i znajdował sobie wymówkę: *Czym jest prawda?* A potem miała ochotę uciec z domu, ale nie mogła, bo panna Lutter chciała koniecznie czytać na głos z Ewangelii świętego Jana, jakby Rebeka nie była w stanie sama sobie tego czytać. Panna Lutter potrząsała głową, wzdychała. A Rebecę naszała okrutna myśl: *Robisz to dla siebie, litujesz się nad sobą, nie nad Nim.* I usłyszała własny głos, kiedy spytała z dziecięcą logiką:

– Dlaczego Jezus pozwolił, żeby oni Go ukrzyżowali, panno Lutter? Przecież nie musiał, prawda? Przecież był Synem Bożym.

Rose Lutter czujnie uniosła wzrok znad Biblii i spojrzała krzywo na Rebecę przez okulary w srebrnych oprawkach, jakby po raz kolejny, ku jej obrzydzeniu, Rebeka wymruczała pod nosem jakieś bluźnierstwo.

– Dlaczego? Ja tylko pytam, panno Lutter.

Nienawidziła tego, że starsza pani ostatnimi czasy patrzyła na nią takim urażonym wzrokiem, nie czując tak naprawdę urazy, tylko gniew. Gniew szkolnej nauczycielki, której autorytet został podważony.

– Jeśli Jezus naprawdę był Bogiem – upierała się Rebeka – to w takim razie mógł robić, co chciał. A skoro nie robił, co chciał, to jak mógł być Bogiem?

Tak dyktowała bezczelna, nastoletnia logika. Niepodważalna logika, zdaniem Rebeki.

Rose Lutter wydała rżący, zbolący okrzyk. Wstała z godnością, zamknęła swoją drogocenną, oprawioną w cienką skórę Biblię i wyszła z pokoju, mrużąc tak głośno, że Rebeka to usłyszała:

– Wybacz jej, Ojczy. Ona nie wie, co mówi.

A właśnie, że wiem. Wiem dokładnie, co mówię.

Tamtej nocy Rebeka spała źle, często się budziła. Wąchała cholerne potpourri, które stało na jej komodzie. Wreszcie na bosaka, potajemnie, wyniosła je z pokoju i schowała w szafie na korytarzu, na najniższej półce, gdzie Rose Lutter odkryła je ze smutkiem zaraz po zniknięciu Rebeki.

Była wolna! Tak jednak w końcu wyszło, że miała utrzymywać się sama i mieszkać w centrum Milburn. Nie w podejrzanym pensjonacie pani Schmidt, ale tuż za rogiem, na Feny Street, w zniszczonej kamienicy z brązowego piaskowca, z labiryntem samodzielnych pokoików i małych mieszkań w środku. Tutaj mieszkały Katy Greb i jej starsza kuzynka, LaVerne. I to one namówiły Rebeke, żeby się do nich wprowadziła. Miała dopłacać do czynszu zaledwie kilka dolarów tygodniowo – „Tyle, na ile będzie cię stać, Rebeka”. Przez pierwsze kilka tygodni Rebeka spała na stercie koców na podłodze, tak zmordowana, że ledwie ją to obchodziło, jak śpi! Pracowała jako kelnerka, pracowała jako sprzedawczyni, a w końcu została pokojówką w hotelu General Waszyngton.

To Leora Greb, która powtórnie stała się przyjaciółką Rebeki, pomogła jej zdobyć pracę w hotelu.

– Powiedz, że masz osiemnaście lat – poradziła jej Leora. – Nikt tego nie sprawdzi.

Płacili jej gotówką, odliczaną prosto na dłoń. Hotel nie zgłaszał jej zarobków do urzędu skarbowego i dzięki temu nie płaciła podatków. Hotel nie opłacał też za nią składki na ubezpieczenie społeczne.

– Na czarno, co? Będzie łatwiej.

Amos Hube, który zarządzał personelem od sprzątanania i kuchni, mrugnął do Rebeki, jakby to był jakiś ich wspólny, intymny żart. Zanim Rebeka zdążyła się cofnąć, Hube uszczypnął ją w policzek, wskazującym i środkowym palcem prawej dłoni.

– No co pan? To boli!

Hube wykrzywił się żartobliwie. Niczym dorosły człowiek, który udaje, że współczuje dziecku, że skaleczyło się w jakiś głupi, niegroźny sposób.

– Oj! Przepraszam.

Hube miał brzydką, płaską twarz z jakby rozkwaszonymi ustami. Mógł mieć równie dobrze trzydzieści pięć, jak pięćdziesiąt pięć lat. Na ścianie za jego biurkiem wisiała oprawiona w ramki fotografia młodego mężczyzny ubranego w mundur armii amerykańskiej; ciemnowłosa, szczupły, a jednak te rysy bez wątplenia należały do Hrubego. Jego biuro było urządzone w kanciapie na tyłach hotelu. Leora wytłumaczyła, że nie ma co się przejmować Hrubem, bo zachowuje się tak wobec wszystkich kobiet zatrudnionych w hotelu, przy czym niektórym nawet się podoba, że je tak podrywa.

– W zasadzie to porządny człowiek. Zrobił mi kilka przysług. Będzie okazywał ci szacunek, jeśli będziesz się tego domagała i jeśli będziesz ciężko pracowała. Zrozum – tłumaczyła Leora, jakby to była dobra wiadomość – nie mogą zwolnić nas wszystkich.

Rebeka śmiała się. Właściwie to była dobra wiadomość. Poprzednie posady skazywały ją na niepożądaną bliskość mężczyzn, którzy dawali jej zatrudnienie. Zawsze zwracali na nią uwagę, obserwowali, szacowali. I wiedzieli, kim ona jest, że jest córką Jakuba Schwarta. W hotelu pracowało wielu ludzi. Pokojówki były na ogół niewidzialne. I Leora obiecała, że nie powie ani Hrubemu, ani nikomu, kim ona jest, czyją jest córką.

– Tak czy siak, cała tamta historia to już stare dzieje w Milburn. Tak jak z wojną, ludzie z czasem zapominają. W każdym razie większość ludzi.

Miała rację? Rebeka wmawiała sobie, że tak.

Hotel General Waszyngton, zbudowany na wzniesionym terenie przy Main Street, zawsze przykuwał jej uwagę, ale nigdy nie była w środku, dopóki Leora jej tam nie przyprowadziła w sprawie pracy. Tętniący życiem główny hall z połyskującymi płytkami na posadzce, skórzanymi meblami i mosiężnymi uchwyty, paprociami w donicach, ornamentowymi kandelabrami i lustrami był zapewne najprzystrojnieszym wnętrzem, jakie Rebeka kiedykolwiek widziała, i z pewnością wywarł na niej ogromne wrażenie. Spytała Leorę, ile tam się płaci za pokój na jedną noc, a kiedy Leora jej powiedziała, Rebeka rzuciła zszokowana:

– Tyle pieniędzy za samo spanie? I później nie zostaje ci nic, co mogłabyś pokazywać?

Leora zareagowała śmiechem. Poprowadziła Rebeke przez hall, w stronę drzwi na tyłach oznakowanych napisem TYLKO DLA PERSONELU.

– Rebeka, ludzie, którzy zatrzymują się w takim hotelu, mają pieniądze – wyjaśniła – a ludzie, którzy mają pieniądze, dają napiwki. I czasami spotykasz tu mężczyzn z klasą.

Została zatrudniona „na czarno” i w swojej naiwności myślała, że to coś dobrego. Żadnych podatków!

Podobało jej się, że w hotelu General Waszyngton jest zatrudnionych tylu ludzi. Większość nosiła uniformy, po których się wiedziało, jaką pracę wykonują i jaką mają rangę. Najbardziej rzucały się w oczy męskie uniformy: głównego portiera, jego pomocników, gońców. (Wśród gońców byli i młodzi chłopcy, i całkiem dojrzałe mężczyźni.) Pracownicy zarządu nosili garnitury i krawaty. Kelnerzy byli tylko w lepszej z dwóch restauracji i ci też ubierali się elegancko. Kobiety zatrudniano w charakterze telefonistek, sekretarek, kelnerek w gorszej restauracji i w hałaśliwym barze, pracownic kuchni i pokojówek. Pokojówki tworzyły wręcz niewielką armię. Najstarsza wśród nich była krępa siwowłosa kobieta po sześćdziesiątce, która z dumą twierdziła, że pracuje w hotelu od dnia jego otwarcia w 1922 roku. Rebeka była najmłodsza.

Pokojówki nosiły uniformy z białego sztucznego jedwabiu, ze spódniczkami, które sięgały połowy łydki, i do tego bluzki z krótkimi bufkami. Uniform wydany Rebecie był zbyt obszerny w biuście, a za to zbyt ciasny w ramionach i pod pachami i Rebeka nie cierpiała tego uczucia, że tkanina ślizga się po jej skórze, a jeszcze bardziej nienawidziła wymogu, że jako pracownica hotelu musi cały czas nosić pończochy.

Cholera, nie mogła, nie chciała. Podczas parnego lata w Dolinie Chautauqua, kiedy wlokła odkurzacz, kiedy myła podłogi. Jeszcze czego!

– Właśnie z tego powodu musisz mieć Amosa Hrubego po swojej stronie, kotus – powiedziała Leora. – Polubi cię, to wszystko będzie wyglądało inaczej. A jak cię nie polubi, to się będzie czepiał zasad. To prawdziwy sukinsyn.

Tylko powierzchwnie. Poradzę sobie.

Popychanie wózka po korytarzu – to jej się podobało. Wózka wyładowanego pościelą, ręcznikami, środkami czystości, małymi, pachnącymi kostkami mydła. We frymuśnym kostiumie z białego jedwabiu była niewidzialna dla większości gości hotelowych i nigdy nie patrzyła im w oczy, nawet jeśli niektórzy (nieodmiennie mężczyźni) ją zagadywali.

– Dzień dobry!

– Ładny dzień, prawda?

– Jeśli panienka chce teraz posprzątać mój pokój, mogę poczekać. Nigdy jednak nie sprzątała pokoju, jeśli gość był w środku i patrzył. Nigdy nie zamknęła się w pokoju z żadnym gościem.

W tej pracy uwielbiała przede wszystkim samotność. Podczas ścielenia łóżek, wynoszenia brudnych ręczników z łazienek, odkurzania dywanów potrafiła się pogрузić w płytkim, hipnotycznym śnie. Pusty pokój hotelowy i nikogo, kto by ją obserwował. Najbardziej zaś lubiła ten moment, kiedy otwierała drzwi i wchodziła do środka. Bo jako pokojówka miała klucz do wszystkich pokoi. Ona, Rebeka Schwart, która była nikiem. Mimo to mogła chodzić po pokojach Generała Waszyngtona, niezauważalna dla nikogo.

Jedna z wielu. „Pokojówki!”

To było słowo, którego wcześniej nie znała. Widziała jego usta wykrzywające się z pogardą, kiedy je wymawiał.

Pokojówka! Sprząta po świniaach.

Moja córka.

Nawet jednak na Jakubie Schwarcie pokoje w hotelu Generał Waszyngton zrobiłyby wrażenie. Okna sięgające prawie do sufitów, na wysokość dziesięciu stóp! Brokatowe draperie i białe firanki. Owszem, w niektórych mniejszych pokojach dywany koloru wina bywały wytarte, a jednak rzucało się w oczy, że to dywany wysokiej jakości, z wełny. Lśniące lustra błyskały odbiciem jej szczupłej, odzianej na biało sylwetki, jej oliwkowobladej, rozmazanej twarzy. Rebeka bardzo rzadko przeglądała się w tych lustrach, bo w hotelu liczyła się przede wszystkim anonimowość.

W schludnym małym domku panny Lutter wszystko było takie osobiste. Za wszystkim kryło się całe mnóstwo znaczeń. W hotelu nic nie było osobiste i nic niczego nie znaczyło, istniało tylko to, co się widziało. Tyle że na samej górze, w apartamentach na siódmym piętrze (których Rebeka nigdy nie widziała) pokoje były umeblowane identycznie. Identyczne narzuty na łóżkach i abażury na lampach, identyczne papeterie i notesy ze złożonym logo hotelu na identycznych biurkach. Nawet na ścianach wisiały te same reprodukcje dziewiętnastowiecznych obrazów przedstawiających sceny znad Kanału Erie.

Może na identycznych łóżkach miało się identyczne sny?

Nikt by się do tego nie przyznał. Bo nikt by nie chciał się przyznać, że jego sny są takie same jak cudze.

Te wszystkie pozytywne skutki anonimowości! Goście meldowali się w hotelu i goście wymeldowywali się z hotelu. Pokoje były zajmowane, a potem nagle zwalniane. Rebeka bardzo często nawet nie widywała tych obcych ludzi, choćby tylko przelotnie. Kiedy mijała ich na korytarzu, spuszczała wzrok. Wiedziała, że nie wolno jej otwierać niczyich drzwi, jeśli nie zapuka do nich wcześniej i nie przedstawi się, nawet kiedy była pewna, że w środku nikogo nie ma. Wśród gości przeważali mężczyźni, biznesmeni podróżujący samochodami albo pociągami; w weekendy za to było sporo kobiet i par. Ci obcy ludzie mieli w zwyczaju zostawiać napiwki dla pokojówek, na komodzie, ale Rebeka szybko się nauczyła niczego nie spodziewać. Czasem znajdowała aż dwa dolary, czasem zaledwie kilka centów. A czasami nic. Leora twierdziła, że to mężczyźni najczęściej dają napiwki, tyle że jeśli towarzyszy im żona, to czasami chowa napiwek do kieszeni bez wiedzy mężczyzny.

(Skąd Leora o tym wie? – zastanawiała się Rebeka.)

Starsi panowie na ogół byli hojniejsi niż ci młodszy. A już wystarczyło zamienić kilka słów z gościem albo choćby uśmiechnąć się do niego, to niemal na pewno zostawiał napiwek.

Katy i LaVerne przekomarzały się z Leorą na temat niektórych jej „hotelowych przyjaciół”, którym zdarzało się często przejeżdżać przez Milburn.

– To przynajmniej dzentelmeni – odpowiadała z gniewnym śmiechem Leora. – Nie jacyś dranie jak niektórzy.

Było tajemnicą poliszynela, że barman z hotelowego baru przyjaźnił się z Leorą i że to on przez całe lata przedstawiał ją niektórym z tych „hotelowych przyjaciół”.

Rebekę też spytał, czy tego chce. Ale Rebeka powiedziała mu, że nie.

Nawet za pięćdziesiąt dolarów napiwku, mała?

Nie! Nie!

(W rzeczy samej Rebeka nawet się nie zastanowiła, czy pięćdziesiąt dolarów napiwku jest możliwe, czy to tylko dowcip Mulingara. Jej za osiem godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu płacono dokładnie czterdzieści osiem dolarów, tyle właśnie odliczał jej prosto do ręki Amos Hrubie z towarzyszeniem wstrętnego uśmiešku.)

Rebeka czuła obrzydzenie na myśl, że mógłby jej dotyczyć jakiś obcy człowiek. O czymś takim jak seks za pieniądze za nic nie chciała myśleć, od czasu gdy się dowiedziała (choć musiała udawać, że o niczym nie wie), że i Katy, i LaVerne czasami biorą pieniądze od mężczyzn, z którymi się umawiają na randki, podobnie jak Leora. „Tak się po prostu samo dzieje, tu nikt niczego nie planuje”, mawiała Katy i wzruszała ramionami.

Rzeczywiście, wydawało się, że są to nieplanowane spotkania; jeśli się było dziewczyną, młodą, wyraźnie samotną i przez nikogo niechronioną. Mężczyzna wracał do swojego pokoju hotelowego, twierdząc, że zapomniał czegoś, kiedy Rebeka właśnie zabierała się do sprzątnięcia. Podnosił wzrok, uśmiechając się do niej z korytarza, jakby dopiero teraz ją zauważył, i zaczynał coś do niej mówić z wkurzającą poufałością, a wtedy Rebeka uśmiechała się uprzejmie i dalej pchała wózek przez korytarz, kręcąc głową, jakby nic nie rozumiała, i mężczyzna już za nią nie szedł, chyba że był bardzo pijany albo agresywny.

– Proszę bardzo, kotku. Jak sobie chcesz.

Albo niczym dziwne echo Amosa Hrubego:

– Oj! Przepraszam.

Nie było jak przewidzieć, jaki Rebeka dostanie napiwek po takim starciu. Czy kilka centów walających się w brudnej pościeli, czy raczej schludnie złożony, pięciodolarowy banknot na toalecie. Mogła zastać zdewastowany pokój. Brudną łazienkę, niespłukaną toaletę.

Mimo to rozumiała, że nie ma w tym nic osobistego. To wszystko nie miało znaczenia.

Nawet wtedy, gdy nie dochodziło do żadnych takich spotkań, gdy nie zauważyła gościa hotelowego ani on jej, Rebeka czasami budziła się z transu na widok wnętrza pozostawionego w obrzydliwym stanie. Człowiek wchodził i już wiedział, po zapachu. Rozlana whisky, piwo. Resztki jedzenia. Woń seksu, smród z ustępu. Nie budziły wątpliwości.

Czasami pościel była porzucana po podłodze, jakby w efekcie pijackich zabaw. Zaplamione prześcieradła, koce przypalone papierosami, poszewki poduszek przesiąknięte pomadą do włosów. Plamy na dywanie, draperie wyrwane z karniszy i leżące na podłodze.

Wanny z obwódką z brudu, włosy łonowe w odpływie. (Wszystkie odpływy musiały być czyste. Nie tylko czyste, musiały wręcz lśnić czystością, zgodnie z zaleceniami Amosa Hrubego. Wszyscy wiedzieli, że Hruby potrafił kontrolować pokoje.) Najgorsze były zapaskudzone ustępy, mocz albo nawet ekskrementy na posadzce.

A jednak dawało się tu znaleźć jakąś perwersyjną satysfakcję. *Dam radę, jestem dostatecznie silna.* Ostatecznie wszystkie pokojówki zdobywały podobne doświadczenia. Bycie gospodynią domową i matką wcale nie było takie inne.

Podczas sprzątanego pokoju hotelowego, podczas mycia, szorowania, czyszczenia, odkurzania, ścielenia łóżek, przywracania porządku we wnętrzu, które przedtem było takie okropne, Rebeka czuła, że ogarnia ją uniesienie. A kiedy już ostra woń środków czyszczących wypierała wszystkie inne zapachy w łazience, kiedy lustro i umywalka z białej porcelany zaczynały lśnić, czuła, że odzyskała ducha.

Jakie to łatwe! Powierzchnie.

Żyła tak i o niczym nie myślała. Dryfowała od jednego dnia do drugiego. Błąd jej matki polegał na tym, że wyszła za męża, że urodziła dzieci. Z tego błędu wzięło się wszystko inne.

Robiła, co mogła, żeby strasznie się zmęczyć, bo dzięki temu nocą pogrążała się we śnie i o niczym nie śniła. Albo nawet śniła, ale bez wspomnień. *Jesteś cholerną szczęściarą i dobrze o tym wiesz! Urodziłaś się tutaj!* W niektóre dni chodziła jak somnambulik, ledwie zdając sobie sprawę, co ją otacza na wysokich korytarzach Generała Waszyngtona, w którym noga Jakuba Schwarta nigdy nie powstała.

– Jestem pokojówką, tato. Pokojówką.

W ten sposób zemściła się na nim, prawda? Czy raczej na matce?

Było jej głupio za to, co zrobiła, że rozstała się z Rose Lutter bez uprzedzenia. Pewnej nocy, kiedy w domu pogasły już światła, wymknęła się, ukradkiem, jak jakiś tchórz. To było kilka dni po Wielkanocy. Już nigdy więcej nie wysłuchała żadnego kazania wielebnego Deegana. Już nigdy więcej nie zobaczyła urażonego i karcącego spojrzenia panny Lutter, które ta rzucała w jej stronę z ukosa, niczym wędkarski haczyk. Umówiła się w tajemnicy z Katy i LaVerne, które zaprosiły ją, żeby z nimi zamieszkała, i tak oto, kiedy panna Lutter spała, Rebeka schludnie posłała łóżko po raz ostatni i zostawiła krótki list na swojej poduszce.

Ależ trudno było napisać ten cholerny list! Próbowwała i próbowała, aż wreszcie wyszło jej coś takiego:

Droga panno Lutter!

Dziękuję za wszystko, co od Pani dostałam.

~~Żałuję, że~~

Napisała to, rygorystycznie stosując zasady kaligrafii ujęte w podręczniku Mabel Parker, które panna Lutter narzuciła swoim uczniom w podstawówce. Rebeka próbowała wymyślić, co jeszcze mogłaby powiedzieć, i czuła, że pot leje jej się wszystkimi porami, kurcze, tak jej było wstyd za siebie i tak tego nie mogła ścierpieć, że marnuje czas na Rose Lutter, gdy tymczasem jej przyjaciółki czekały na nią z utęsknieniem w mieszkaniu na

Feny Street; bardzo chciała wreszcie do nich dotrzeć, bo było już po północy. Zabrała z sobą tylko kilka rzeczy osobistych: słownik wygrany w konkursie i trochę ubrań, które kupiła jej panna Lutter, te, które jeszcze na nią pasowały, a nie wyglądały zbyt dziecinnie i głupio na jej wysokim, szczupłym ciele.

W końcu podarła to, co napisała, i spróbowała jeszcze raz.

Panno Lutter!

Dziękuję za wszystko, co od Pani dostałam.

Jezus będzie traktował Panią lepiej niż ja. Przepraszam!

Rebeka Estera Schwarz

Już wtedy, kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy, dziewczyno. Wiedziałem.

Tak brzmiały słowa Nilesa Tignora. Wypalił je prosto z mostu, jak to było w jego stylu, który sprawiał, że się wślepiałaś w niego z uczuciem, że tracisz grunt pod nogami, jakby dźgnął cię, nie mocno, ale dość mocno, swoim wielkim palcem wskazującym w obojczyk.

Był sierpień 1953 roku. Parne popołudnie, a że większość pomieszczeń hotelu Generał Waszyngton nie była klimatyzowana, człowiek czuł, że zaraz się tam udusi. Rebeka pchała swój wózek ze stertą brudnej pościeli i ręczników po piątym piętrze, kiedy ku swojej irytacji zauważyła, że drzwi na samym końcu otwierają się z bolesną powolnością. Wiedziała, że to drzwi od numeru 557: mieszkaniec tego pokoju, zameldowany pod nazwiskiem H. Baumgarten, przysparzał jej kłopotów. Baumgarten zapłacił za kilka nocy z góry, co nie było rzeczą typową dla gości, ale z kolei Baumgarten nie był typowy. Wydawało się, że ma niewiele do roboty poza wysiadaniem w pokoju albo pić w hotelowym barze. Zawsze zaczynał się na korytarzu, w nadziei, że porozmawia z Rebeką, która starała się być wobec niego grzeczna, ale nienawidziła takich mężczyzn, nienawidziła takich zabaw! Wiedziała, że gdyby się poskarżyła kierownikowi hotelu na Baumgartena, ten uznałby, że to ona jest winna. Wiedziała to na podstawie poprzednich doświadczeń.

– Ty draniu. Nie masz prawa.

Rebeka miała siedemnaście lat i trzy miesiące. Już nie była taka młoda. Już nie była najmłodszą pracownicą hotelu Generał Waszyngton.

Już tak nie lubiła tej pracy. Tej bezmyślnej harówki, mechanicznej i monotonnej, a mimo to samotność wciąż była dla niej niczym narkotyk; mogła brnąć przez kolejne dni pogrążona we śnie na jawie, niczym zwierzę, które nie musi odrywać wzroku od ziemi. Chyba że budziła ją niepożądana uwaga ze strony drugiego zwierzęcia, na przykład mieszkańca pokoju numer 557.

Zauważyła, że drzwi się zatrzymały, kiedy powstała w nich szpara szerokości jakichś dwóch cali. Baumgarten prawdopodobnie obserwował ją ze środka. I chciał, żeby Rebeka o tym wiedziała, żeby się zdenerwowała świadomością, że on ją obserwuje, nie będąc sam widziany, przez co nie mogła wiedzieć, czy on jest w pełni ubrany czy też w bieliźnie, albo co gorsza nagi. Baumgarten rozkoszował się zażenowaniem pokojówki, jej niechęcią wobec niego.

Było wczesne popołudnie i Rebeka pracowała od wielu godzin. Nie włożyła tego dnia pończoch. Ani jej się śniło je wkładać, mimo że tego wymagał od niej kierownik hotelu. W taki upał! Nie chciała, więc tego nie zrobiła. Amos Hruby jak dotąd jej nie ochrzanił, nawet jeśli to zauważył.

„Ta Schwarz”, mówił o niej Hruby. Nie w twarz, ale w zasięgu jej słuchu. Nie lubił jej, ale z czasem zaczął ją szanować, tak jak to przewidziała Leora.

Była dobrą pracownicą. W ramionach dorobiła się drobnych mięśni, twardych i zwartych. Potrafiła dźwigać ciężary. Rzadko się skarżyła. W swojej trzeźwości i skupieniu na pracy wydawała się starsza ponad swój wiek. Przy upalnej pogodzie splatała gęste włosy w warkocz, który upinała dookoła głowy, żeby nie opadał jej na twarz i szyję, dziwnie podatne na podrażnienia w tym upale. Teraz jej uniform z białego, sztucznego jedwabiu cały się kleił i nad górną wargą lśniła powłoczka z potu. Była bardzo zmęczona, czuła ostre rwanie między łopatkami i jeszcze gorszy ból, który właśnie się rodził tuż nad oczyma.

Mężczyzna z pokoju numer 557 przedstawił się Rebecce jako częsty gość hotelu pozostający w „przyjaznych stosunkach” z jego kierownictwem i członkami personelu, w tym z kilkoma pokojówkami, którym zostawia hojne napiwki – „Oczywiście, jeśli zostały zasłużone”.

Rebeka zauważyła słodko-mdłą woń whisky w jego oddechu. A także drżenie rąk, którymi nerwowo gestykulował, kiedy mówił to wszystko. Innym razem próbował się na nią zaciąć, kiedy Rebeka sprzątała w pokoju obok, koniecznie chcąc ją poinformować, że ma jakieś ważne interesy w Dolinie Chautauqua – „Trochę związane z rodziną, trochę z samymi finansami, ale to wszystko nie ma żadnej wartości”.

Kiedy wymawiał słowo „wartość”, utkwiał w Rebecce spojrzenie swych oczu z poślizgniętymi białkami. Jakby to miało coś dla niej znaczyć, sugerować jakąś więź między nimi.

Baumgarten był wtedy na bosaka, co zdaniem Rebeki wyglądało bardzo źle, bardzo obraźliwie w tym otoczeniu. Miał na sobie hawajską koszulę z kolorowym nadrukiem, rozpiętą do połowy, więc wystawała spod niej pierś porośnięta szpakowatymi włosami. Jego miękka, sflaczała szczęka była niechlujnie wygolona, z mnóstwem maleńkich zacięć. Mężczyzna po czterdziestce, nie stroniący od alkoholu, chwiejący się na nogach, który utkwiał w niej bezwstydnie pożądliwe spojrzenie.

– Nazywam się Bumstead, moja miła. Znasz mnie z komiksów. Nie jestem prawdziwym człowiekiem, dlatego się uśmiecham. Uwierzysz, laluniu, że kiedyś byłem w twoim wieku?

Zachichotał i potarł swój zaczerwieniony, perkaty nos.

Wtedy właśnie Rebeka zauważyła, że rozporek w zmiętych spodniach Baumgartena jest zasunięty tylko do połowy. Pod spodem prawdopodobnie nie miał nic, bo prześwitywało stamtąd jakby ugotowane ciało i włosy łonowe. Wyminęła go z obrzydzeniem, wprowadzając wózek do pokoju, i prędko zatrzaskała za sobą drzwi, żeby Baumgarten nie zdążył tam za nią wejść. A jednak ośmielił się stukać do drzwi przez kilka minut, przemawiając do niej jękliwym, błagalnym głosem, słowami, których nie słyszała dostatecznie wyraźnie, bo zaczęła pracę od łazienki.

Pokoju Baumgartena jeszcze ani razu nie sprzątała. Na klamce zawsze wisiała tabliczka z napisem NIE PRZESZKADZAĆ. Rebeka straszliwie bała się tego chlewu, który tam na nią czekał. Ale dopóki na drzwiach wisiała tabliczka, nie mogła wejść do środka, nawet jeśli wiedziała, że Baumgarten wyszedł, a nie zamierzała tam wchodzić, kiedy Baumgarten kręcił się w pobliżu, nawet jeśli ją zapraszał do siebie. Liczyła, że wymelduje się tego ranka, ale dał do zrozumienia, że być może przedłuży pobyt.

A teraz, następnego dnia, Baumgarten znowu się bawił w swoje gierki. Nie było jak przed nim uciec!

Kiedy Rebeka zbliżyła się do pokoju numer 557, zauważyła, że drzwi są nadal uchylone. Ale Baumgarten odsunął się od nich. (Chyba że ukrywał się za nimi, zamierzając wyskoczyć na nią.) Tłustawa, zgarbiona sylwetka, której za nic nie chciałyby zobaczyć nagiej. A jednak nie miała wyboru, musiała zajrzeć do środka.

– Proszę pana? Czy jest tam...?

W pokoju był chlew, jak się spodziewała. Psiakrew, wszędzie leżały porzucane ubrania i ręczniki, jeden męski but na dywanie tuż obok drzwi. Szczelnie zasunięte draperie i zapalona lampka, z przekrzywionym abażurem. W powietrzu unosił się zapach whisky i pomady do włosów. Sam mieszkaniec pokoju leżał na łóżku, na plecach. Oddychał z trudem, z zamkniętymi oczami i rękoma leżącymi bezwładnie przy bokach; miał na sobie spodnie, z nie do końca zamkniętym rozporkiem, bez paska, oraz cienki, bawełniany podkoszulek. I znowu na bosaka. Jego głowa była wykręcona pod nienaturalnym kątem, a usta szeroko otwarte, zaślinione. Na nocnym stoliku stała pusta szklanka i do połowy opróżniona butelka whisky. Rebeka wytrzeszczyła oczy, widząc na gardle i torsie Baumgartena coś, co wyglądało jak krew.

– Proszę pana! Czy coś...

Tuż obok stóp łóżka leżało kilka przedmiotów ułożonych jak na wystawie sklepowej: męski portfel, złoty męski zegarek z rozciągliwą bransoletą, damski pierścionek z dużym, jasnioletowym oczkiem, skórzana portmonetka i podobna skórzana kosmetyczka. Z portfela wystawało kilka banknotów, w taki sposób, że było widać nominały: dwudziestki, jedna pięćdziesiątka.

Dla mnie, pomyślała spokojnie Rebeka.

Mimo to nie mogła dotknąć tych przedmiotów. Nie zamierzała.

Stanąła blisko łóżka, niepewna, co robić. Wiedziała, że gdyby Baumgarten pokaleczył się brzytwą albo nożem jakoś poważniej, to byłoby więcej krwi. Ale z kolei może pociął się w łazience i potem wrócił chwiejnie do sypialni. Może były jakieś rany, których nie dostrzegła. Może tak się spił, że zapadł w śpiączkę i teraz umierał, należało zawiadomić recepcję...

Rebeka zrobiła krok w stronę telefonu, zamierzając podnieść słuchawkę. Ale z kolei żeby to zrobić, musiałaby stanąć bardzo blisko tego człowieka. A być może on tylko udawał. Zaraz otworzy te swoje żółtawe oczy, mrugnie do niej...

– Proszę pana, niech się pan obudzi! Słyszysz pan?

Jej głos uniósł się krzykliwie. Widziała żyły na zniszczonej twarzy mężczyzny, podobne do przezroczystych przewodów elektrycznych. Tłusty, perkaty nos, wilgotne, rozdziawione usta jak u ryby. Cienkie, siwe włosy posklejane w potargane pasma na czubku guzowatej głowy. Tylko zęby miał idealne, zapewne protezy. Jego powieki zatrzepotały, jęknął i hałaśliwie, spazmatycznie zaczerpnął powietrza.

W tym momencie Rebeka poczuła dla niego litość.

Jeśli on umiera, będę ostatnią osobą, która widziała go żywego.

Jeśli on umiera, nie będzie przy nim nikogo oprócz mnie.

Już miała podnieść słuchawkę telefonu i wykręcić numer recepcji, kiedy leżący mężczyzna przebiegle uniósł jedną powiekę i wyszczerzył się w uśmiechu. Białe jak porcelana zęby zaślniły. Zanim Rebeka zdążyła uskoczyć, Baumgarten złapał ją za nadgarstek zaskakująco silnymi palcami.

– O! Moje złotko! Co za miła niespodzianka.

Rebeka wrzasnęła i pchnęła go, usiłując się wyrwać. Ale Baumgarten ścisnął ją mocno.

– Puszczaj! Ażeby cię...

Zacząła drapać dłonie Baumgartena. Sklął ją, siadając teraz prosto i przerzucając nogi na podłogę; zaraz potem próbował użyć nóg jak zapaśnik, chcąc opasać nimi Rebeke w biodrach. Podczas tej szarpaniny pociągnął ją na łóżko, jednocześnie charcząc i śmiejąc się. Później wspominała ostrą woń whisky w jego oddechu i jeszcze smród czegoś cuchnącego, gnijącego. Zapamiętała, że była bliska omdlenia.

– Ej! Co się tu dzieje, do diabła?

Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna ze sztywnymi włosami barwy niklu. Poruszał się z zaskakującą prędkością, niczym niedźwiedź, który sadzi susy na zadnich łapach.

– Wynocha! – zaczął protestować Baumgarten. – To prywatny pokój, prywatna sprawa.

Mężczyzna puścił to mimo uszu; schwycił Baumgartena za sflaczałe ramię i zaczął nim silnie potrząsać.

– Puść dziewczynę, gówniarzu. Bo ci dupę skopię.

Rebeka wysunęła się z uścisku Baumgartena. Obaj mężczyźni zaczęli się szamotać; nieznajomy zaatakował pięściami Baumgartena, który próbował się osłonić, ale niezbyt skutecznie, bo wystarczył jeden cios zadany pięścią i jego nos został złamany, a potem jeszcze pękła mu proteza. To, czym wcześniej opryskał się Baumgarten, to nie mogła być krew, bo ta fontanna, która teraz z niego siknęła, ochlapując jego wykrzywioną twarz i tors, była o wiele czerwiejsza.

Rebeka cofnęła się. Po raz ostatni widziała Baumgartena/Bumsteda, jak błagał o życie, a potem mężczyzna o włosach barwy niklu schwycił jego głowę i walnął nią – jeden raz, potem drugi i trzeci – o mahoniowe wezglowie trzeszczącego łóżka.

Rebeka uciekła. Zostawiła swój wózek na korytarzu piątego piętra, zamierzając zabrać go stamtąd kiedy indziej.

Ten człowiek, ten nieznajomy: kto to był?

Przez wiele dni po „bestialskim pobiciu” w pokoju numer 557 Rebeka rozpytywała dyskretnie o wysokiego, muskularnego mężczyznę z włosami barwy niklu: kim on był, jak się nazywał? Nie łączyła go z pobiciem H. Baumgartena z pokoju numer 557, w którego sprawie policja prowadziła śledztwo. W życiu by nie doniosła na niego, który interweniował w jej imieniu.

Puść dziewczynę. Puść dziewczynę...

Jakie to dziwne, myśleć o sobie jako o dziewczynie! Dziewczynie, która w cudzych oczach potrzebowała interwencji, ochrony.

W rzeczy samej Rebeka widywała przelotnie mężczyznę o włosach barwy niklu w Generale Waszyngtonie. Musiał być częstym gościem albo hotelu, albo baru. Widywała go w towarzystwie barmana Mulingara: był po trzydziestce, miał ponad sześć stóp wzrostu, wyróżniał się stalowymi włosami i tubalnym śmiechem.

Mężczyzna podziwiany przez innych. Który wiedział, że inni go podziwiają.

Gdyby zabił Baumgartena...

Rebeka zachowałaby to w tajemnicy. Nie powiedziała by kierownictwu hotelu ani policji. Nie zgłosiłaby się jako świadek „bestialskiego” pobicia.

Baumgarten okłamał policję, twierdząc, że dwóch intruzów wdarło się do jego pokoju hotelowego, pobiło go i obrabowało. Dwóch! Twierdził, że leżał na łóżku, że spał. Nie widział ich twarzy, ale wiedział, że to byli biali mężczyźni i że byli „mu nieznanymi”. Baumgarten miał złamany nos, dolną szczękę i kilka żeber. Podbite oboje oczu. Zalany krwią z ran na głowie leżał bezradnie przez dobrą godzinę, zanim się ocknął i wykrzesał z siebie dość sił, by sięgnąć do telefonu.

Baumgarten twierdził, że „złodzieje” zabrali mu portfel, zegarek i inne osobiste przedmioty warte w przybliżeniu sześćset dolarów.

Baumgarten nie powiedział nic o Rebecce. Ani słowa o pokojówce, którą zwabił do swojego pokoju. Rebeka przez tydzień bała się, że policja przyjdzie ją przesłuchać. A jednak nikt nie przyszedł. Uśmiechała się, myśląc: *Wstydzi się, chce zapomnieć.*

Poczuła się dotknięta na wieść o kłamstwach Baumgartena. Człowiek, który go pobił, z pewnością nie mógł go obrabować! Baumgarten musiał widocznie ukryć swoje rzeczy, żeby móc potem wysuwać fałszywe oskarżenia. Mógł nawet pozwać kierownictwo hotelu. Wystąpić o odszkodowanie z ubezpieczenia.

Baumgarten był mocno okaleczony, niezdolny chodzić, dlatego wyniesiono go na noszach do ambulansu stojącego przed hotelem i ten ambulans wywiózł go do szpitala w Chautauqua Falls. Nie wrócił potem do hotelu, Rebeka już go nigdy więcej nie zobaczyła.

– Niles Tignor.

Leora Greb miała rację, Tignora nie dało się pomylić z nikim innym.

Był przedstawicielem albo agentem jakiegoś browaru. Podróżował po stanie, negocjując z właścicielami hoteli, restauracji i barów w imieniu browaru Black Horse z Port Oriskany. Jego zarobki zależały od wysokości zamówień. Powiadali, że jest najbardziej agresywny i skuteczny wśród agentów, którym się najlepiej powodzi. Przejeżdżał przez Milburn od czasu do czasu i zawsze zatrzymywał się w Generale Waszyngtonie. Zostawiał hojne napiwki.

Powiadali, że Tignor to człowiek, który ma swoje „tajemnice”.

Powiadali, że Tignor to człowiek, którego nie da się poznać – ale to, co się o nim już wiedziało, robiło wrażenie.

Powiadali, że Tignor lubi kobiety, ale jest dla nich „groźny”. Nieprawda: wobec kobiet był zawsze „rycerski”. Znał i wielbił wiele kobiet na terenie całego stanu, od wschodniego brzegu jeziora Erie po północno-zachodni brzeg jeziora Champlain na granicy kanadyjskiej. (Czy Tignor miał kobiety również w Kanadzie? To oczywiste!) I jeszcze powiadali o Tignorze, że wobec kobiet jest „opiekuńczy”. Że wiele lat wcześniej był żonaty, ale jego młoda żona zginęła w „tragicznym wypadku”...

Powiadali, że Tignor nikomu nie ufa.

Powiadali, że Tignor zabił kiedyś człowieka. Być może w samoobronie. Gołymi rękami, pięściami. To była bójka w barze, w górach Adirondack. A może wcale nie tam, tylko w Port Oriskany, zimą trzydziestego ósmego roku, podczas sławetnych wojen browarów.

„Jeśli jesteś mężczyzną, to lepiej nie wchodzić w drogę Tignorowi. Jeśli jesteś kobietą...”

Rebeka uśmiechnęła się, myśląc sobie: *Ale mnie nic by nie zrobił. Nas łączy specjalne uczucie.*

Powiadali, że Tignor nie pochodzi z tych okolic. Urodził się w Crown Point, na północ od Ticonderogi nad jeziorem Champlain, jego przodkiem był generał Adams Tignor, który bił się na śmierć i życie z brytyjskim generałem Johnem Burgoyne'em, w 1777 roku, kiedy Fort Ticonderoga został spalony do gołej ziemi przez wycofującą się armię brytyjską.

Ależ skąd: Tignor był rdzennym mieszkańcem tych okolic. Urodził się w Port Oriskany, był jednym z kilku nieślubnych synów Esdrasa Tignora, urzędnika Partii Demokratycznej w latach dwudziestych, który był zamieszany w przemyt whisky z Ontario w Kanadzie w okresie prohibicji i został zastrzelony w 1927 roku na ulicy Port Oriskany przez rywali...

Powiadali, że lepiej nie zbliżać się do Tignora, że lepiej zaczekać, aż on zbliży się do ciebie.

Ktoś chce się z tobą spotkać, Rebeko. Jeśli to ty jesteś „czarnowłosą pokojówką o cygańskim wyglądzie”, która pracuje na piątym piętrze.

Rebeka wtedy właśnie usłyszała po raz pierwszy, że Niles Tignor się nią interesuje. Od Amosa Hrubego, z tym jego złośliwym, insynuującym uśmiechem.

Nieco później tego samego dnia zaczął ją Mulingar, zwalisty, wąsaty barman.

– Rebeka! Mam kumpla, który chciałby cię poznać, kiedy następnym razem będzie w mieście.

Wszystko zaaranżowała Colleen Donner, hotelowa telefonistka, nowa przyjaciółka Rebeki. Tignor miał być w mieście ostatniego tygodnia października. Zarezerwował pokój tylko na dwie noce.

Z początku Rebeka nie umiała nic powiedzieć. A potem odparła, że zgoda, spotka się z nim.

Mdliło ją ze strachu. Postanowiła jednak przez to przejść. Bo kochała Nilesa Tignora, z daleka. Dotychczas w całym jej życiu nie było żadnego mężczyzny, którego by kochała, a teraz kochała Nilesa Tignora.

– Tylko ja. Tylko ja go znam.

Tak się pocieszała. W swojej samotności żarliwie pragnęła wierzyć. Bo Jezus Chrystus od dawna już jej się nie pokazywał, już nie przechwytywała kątem oka Jego widmowej, uwodzicielskiej sylwetki.

Przestała w ogóle myśleć o Jezusie Chrystusie od czasu rozstania z panną Lutter.

Puść dziewczynę, gówniarzu.

Bo ci dupę skopię.

Ten głośny, gniewny głos słyszała niemal bezustannie. Był zawsze obecny w jej myślach. Kiedy sprzątała, kiedy pchała swój wózek, uśmiechając się do siebie, unikając spojrzeń obcych ludzi. Panienko? Panienko? Przepraszam, panienko? Rebeka była jednak grzeczna i robiła uniki. Wszystkich mężczyzn trzymała na dystans, a właściwie to wszystkich gości hotelowych trzymała na dystans, łącznie z kobietami, którym nie mogła ufać, bo one miały nad nią władzę. W końcu każdy gość hotelowy miał prawo oskarżyć o chamstwo, kiepskie usługi, kradzież...

Puść dziewczynę.

Była rozmarzona i była poruszona. Była niesamowicie podniecona i ogarnięta niemalże erotycznym znużeniem. Nigdy nie była zaangażowana uczuciowo z żadnym chłopcem ani mężczyzną, aż do teraz. W liceum podobała się niektórym chłopcom, ale zawsze tylko seksualnie, bez żadnych konsekwencji. Bo była córką grabarza, z przedmieścia Milburn. Była dziewczyną z Quarry Road, jak Katy Greb.

Kiedy myślała o Nilesie Tignorze, czuła, że przeszywają ją jakieś dziwne doznania, okrutne i zmysłowe zarazem. Oczywiście kiedy wszedł do pokoju Baumgartena, nie wiedziała, jak się nazywa, jednak miała wrażenie, że go zna. Wmawiała sobie, że wymienili się wtedy spojrzeniami. *Znam cię, dziewczyno. Przyszedłem tu do ciebie.*

Tamtego piątku, w październiku 1953 roku, Rebeka przepracowała osiem godzin w hotelu. Nie była zmęczona! Ani trochę. Wróciła na Ferry Street, wykapała się, umyła głowę, a potem szczotkowała bez końca swoje długie, falujące włosy, które sięgały do połowy pleców. Katy użyczyła jej szminki w kolorze piwonii.

– Chryste, ale ładnie wyglądasz. Jak Ruth Roman.

Rebeka śmiała się, o aktorce filmowej Ruth Roman miała tylko mgliste pojęcie.

– Ruth... Rebeka – powiedziała. – Może jesteśmy siostrami.

Miała na sobie żółtozielony sweterek, opięty na biuście, i szarą, flanelową spódniczkę sięgającą do połowy łydki, „dopasowaną”, jak powiedziała sprzedawczyni w Norban's. LaVerne dała jej jedwabną apaszkę do zawiązania na szyi, bo takie apaszki były wtedy modne.

Pończochy! Rebeka miała jedną parę bez oczka. I do tego czarne skórkowe pantofle na wysokim obcasie; kupiła je za siedem dolarów i dziewięćdziesiąt osiem centów specjalnie na tę okazję.

Spotkała się z Colleen przy tylnym wyjściu. Były pracownicami hotelu, dlatego nie odważyły się wejść przez główny hall.

– Rebeka! – skarciła ją Colleen. – Nie rób takiej miny, jakbyś szła na jakiś pogrzeb, do cholery. Spróbuj się uśmiechnąć. Nie stanie ci się nic, czego nie chcesz.

Był wczesny wieczór i do lokalu zaczynali schodzić się goście. Rebeka natychmiast zauważyła Nilesa Tignora: wysoki, barczysty mężczyzna o niezwykłych włosach nikłowej barwy, które zdawały się umykać od czaszki. Zadziwił ją, bo stał przy barze z innymi, zwyczajnymi mężczyznami.

Wytrzeszczyła oczy, nagle przestraszona. Z tym spotkaniem to był błąd. To wcale nie był ten mężczyzna, którego zapamiętała. To był mężczyzna, którego gromki śmiech dobiegał ją przez całe wnętrze, na tle wrzawy innych głosów.

Rozmawiał z mężczyznami przy barze, ani trochę nie zainteresowany faktem, że Colleen i Rebeka idą powoli w jego stronę. Coś było nie tak z symetrią jego twarzy, jakby ukryte pod skórą kości się połamały i jedna ich połowa ułożyła się wyżej niż ta druga. Skóra z kolei wyglądała na rozgrzaną, nabrała barwy czerwonej gliny. Poza tym wszystko miał większe, niż to Rebeka zapamiętała: twarz, głowę, ramiona, tors, który przypominał beczkę z poziomych, a nie pionowych klepek, żebra wypakowane mięśniami. Był ubrany w sportową marynarkę, z tkaniny w ciemniejszy prążek na szaroburym tle, opiętą ciasno w ramionach. Do tego ciemne spodnie i biała koszula rozpięta pod szyją.

Rebeka pociągnęła Colleen za rękę, delikatnie. Ale Colleen, która starała się przyciągnąć uwagę stojącego za barem Mulingara, odepchnęła ją.

To był błąd z tym spotkaniem, a jednak już nic nie można było zrobić. Rebeka czuła, że na jej ustach, jaskrawych i roześmianych jak usta klauna, zebrały się grudki szminki.

Rzucano się w oczy, że Tignor to człowiek, który skupia na sobie uwagę innych ludzi. Coś opowiadał, właśnie kończył jakąś historię, inni słuchali uważnie, już zaczynając się śmiać. Pod sam koniec rozbrzmiał śmiech, być może spowodowany jakąś zaskakującą puentą. Tignora otaczał krąg sześciu, może siedmiu mężczyzn, wśród których był także barman. Mulingar obejrzał się i zauważył Colleen z Rebeką, jedyne dziewczyny w lokalu, więc już ściągały na siebie zainteresowanie obecnych tam mężczyzn. Mulingar mrugnął do Colleen i dał jej znak, żeby podeszła bliżej. Nachylił się, by szepnąć coś do ucha Tignorowi, uśmiechając się złośliwie i zarazem lubieżnie.

Tignor przerwał rozmowę z pozostałymi mężczyznami i odwrócił się w ich stronę. Na twarzy miał szeroki uśmiech, kiedy podchodził do nich z wyciągniętą ręką.

– Dziewczyny! Witam!

Patrzył na nie zmrudzonymi oczyma. Na Rebece. W taki sam sposób, w jaki myśliwy patrzy zmrudzonymi oczyma wzdłuż lufy. Rebeka uśmiechała się i czuła, że krew czy wręcz krwotok uderza jej do twarzy. Ledwie cokolwiek widziała zamazanym wzrokiem.

Colleen i Niles Tignor wdali się w ożywioną rozmowę. Przez szum w uszach Rebeka usłyszała swoje imię i poczuła, że mężczyzna ujmuje jej dłoń, w silny, bardzo ciepły uścisk i zaraz puszcza.

– Cześć, Rebeka.

Zaprowadził je obie do boksu w innej części baru, gdzie było spokojniej. Blisko dużego kominka z polnych kamieni, na którym płonęły brzoszowe bierwiona.

Jak tam było miło! Najstarsza, „zabytkowa” część hotelu Generał Waszyngton, której Rebeka nigdy wcześniej nie widziała.

Colleen miała dwadzieścia jeden lat i dlatego wolno jej było pić: Tignor zaproponował jej piwo. Rebeka była nieletnia, dlatego mogła się napić tylko czegoś bezalkoholowego. Tignor złożył dla nich zamówienia i z początku rozmawiał z nimi uprzejmie, dość sztywno. W ogóle zachowywał się inaczej niż w towarzystwie mężczyzn.

Najwyraźniej interesował się Rebece, choć z początku rozmawiał z Colleen, a nawet prawie z nią flirtował. Jakie wielkie zęby miał ten człowiek, zupełnie jak koń! Trochę krzywe i w kolorze przegniłych kolb kukurydzy. I do tego ta dziwna, jakby połamana twarz. Oczy miał jasne, barwy metalicznej szarości, jaśniejsze od skóry; ich błysk utkwiony w Rebecę sprawił, że czuła się nieswojo, a jednak była urzeczona. Serce jej biło tak samo jak w liceum tamtego ranka, gdy Gloria Meunzer popchnęła ją od tyłu i Rebeka zrozumiała, że tym razem nie będzie uciekała, że się odwróci, stanie twarzą w twarz ze swoimi wrogami, że będzie walczyć.

Tignor uśmiechnął się, pytając Rebece o pracę w hotelu.

– Pokojówka pewnie napatrzy się na różne rzeczy, co? Założę się, że mogłabyś niejedno opowiedzieć.

Rebeka roześmiała się, mimo że kompletnie straciła rezon, gdy Tignor tak się na niej skupił.

– Nie, ja niczego nie opowiadam o gościach – odparła.

Tignor zaśmiał się z aprobatą.

– To się nazywa grzeczna dziewczyna.

Wiedział, że nie doniosła na niego policji. Mieli wspólny sekret, którego Colleen nie mogła się domyślić.

Rebeka popijała ze szklanki Colleen, ukradkiem, bo była przecież nieletnia i kierownictwo hotelu nie mogło zobaczyć, że pije w barze. Tignor kazał im przynieść do stolika jeszcze dwa piwa, oczywiście black horse.

Rebeka stwierdziła, że co tam, nie zostanie trzeźwa tego wieczoru. Miała już po dziurki w nosie bycia tą, która jest wiecznie poważna, która nosi ciężar na sercu, nie chciała więcej słuchać dogadywania przyjaciółek z tego właśnie powodu. Że, psiakrew, wygląda jak chodzący pogrzeb. Że żaden facet nie zechce się umawiać z dziewczyną, która nosi ciężar na sercu. Rebeka słyszała własny śmiech, czuła, że jest zaczerwieniona na twarzy, ale wiedziała z kolei, że wygląda cholernie dobrze i dlatego podoba się Nilesowi Tignorowi. Będzie piła tyle samo co Colleen i ani się nie upije, ani nie będzie

rzygała. A kiedy Tignor poczęstował je chesterfieldami z eleganckiej srebrnej papierošnicy, z wygrawerowanymi inicjałami „NT”, jej dłoń sięgnęła po papierosa równie chętnie jak Colleen i to ją też rozśmieszyło.

To właśnie wtedy Tignor zmarszczył brwi i w typowy dla siebie sposób wypalił otwarcie:

– Rebeka Schwart... Słyszałem o twoich przejściach. I współczuję ci tego, co straciłaś.

To był bolesny moment. Rebeka nie była z początku pewna, czy się nie przesłyszała.

Zagryzła wargę, żeby się nie śmiać. Ale nie mogła się powstrzymać.

Dlaczego uważasz, że coś straciłam? Niczego nie straciłam. Mam to gdzieś. Chciałam, żeby umarli, nienawidziłam ich obojga.

Ten śmiech Rebeki to był czysto nerwowy odruch. Tignor i Colleen gapili się na nią oboje, a ona miała ochotę ukryć twarz w dłoniach. Miała ochotę wyjść z boksu, uciec z tego baru.

– Ja... w ogóle o tym nie myślę – udało jej się powiedzieć do Tignora.

Tignor przyłożył dłoń do ucha, nie usłyszał.

Rebeka powtórzyła swoje słowa, jękając się. Twarz znowu jej pulsowała od napływu krwi. Tignor przytaknął.

– Masz rację, dziewczyno. Tak jest dobrze.

Były takie sprawy, o których Niles Tignor też nie chciał myśleć. Uścisnął jej rękę. A ona poczuła, że zaraz zemdleje pod wpływem tego dotyku.

Jej dłoń raczej nie była drobną, kobiecą dłonią, mimo to w uścisku Tignora właśnie taka się stała; jego palce, które ścisnęły ją z bezwiedną siłą, sprawiły, że się skrzywiła.

Nazwał ją dziewczyną.

Znali się od dawna.

– O właśnie tak, Rebeko. Nie zaciągaj się od razu, zaczekaj, aż się trochę przyzwyczaisz.

Colleen uczyła Rebeke, jak się pali papierosy. A Tignor przyglądał się temu z rozbawieniem. To był film w technicolorze, w tle sączyła się muzyka. Film z udziałem nie Ruth Roman, tylko Debbie Reynolds i June Allyson. Rebeka zachowywała się jak te piękne, wyzywające aktorki filmowe. Była grzeczną dziewczyną, która uczy się palić papierosy, kaszłała, z oczu lały jej się łzy. Była dziewczyną, która uczy się pić. Była dziewczyną, która robi przyjemność mężczyźnie, nie pierwszemu lepszemu mężczyźnie, tylko takiemu jak Niles Tignor, i mimo że wyglądała jak dziwka w swoim opiętym sweterku, opiętej spódniczce, z ustami pomalowanymi jarzeniową czerwienią, z włosami falującymi i opadającymi na plecy, to jednak chciała, żeby ją uważano za grzeczną i naiwną dziewczynę.

Dziewczynę, którą mężczyzna pragnie ochraniać i kochać.

Dlaczego to się stało, Rebeka nie wiedziała: Colleen pochyliła się i pocałowała ją w usta!

To musiał być jakiś żart. Tignor zaczął się śmiać.

Och, ależ ten tytoń miał obrzydliwy smak. Mieszał się w jej głowie ze smakiem mleka...

Cholera, nie zamierzała rzygać. Nie tutaj! Nie ona.

Na całe szczęście zmienili temat. Rebeka pozwoliła, by jej papieros zgasł. Zmyła, smak łykiem ciepławej coli. Colleen, sprytna dziewczyna, która umawiała się z wieloma mężczyznami, również z takimi, którzy byli w wieku Tignora, wiedziała, jakie pytania należy zadawać: dokąd podróżował, gdzie mu się podobało najbardziej, czy to prawda, co mówią ludzie, że ma dziewczyny na terenie całego stanu, dokąd się wybiera po Milburn, czy ma gdzieś prawdziwy dom?

Tignor odpowiadał na większość tych pytań z udawaną powagą. Podobało mu się wszędzie, gdzie był, ale najbardziej lubił jezioro Champlain i góry Adirondack. Lubiał wszystkich ludzi, których poznał! Z całą pewnością podobało mu się w hotelu General Waszyngton: hotel był cholernie dobrym klientem browaru Black Horse.

Domu żadnego nie miał – chyba. Raczej nie był kimś, kto chciałby mieć dom, tak jak inni ludzie. Wyobrażał sobie, że dom to kula u nogi. Chyba że mógłby go zabierać ze sobą, gdziekolwiek się uda, tak jak samochód.

Rebeka była wstrząśnięta słowami Tignora. Nie знаła nikogo, kto by mówił takie rzeczy. Niby banalne, a jednak precyzyjnie przemyślane, i to jej imponowało. On był taki jak Herszel. Pozornie prymitywne stwierdzenia, a jednak kryło się w nich coś subtelного i zaskakującego. Bo faktycznie, czy „dom” to nie pułapka? Cela, więzienie, mroczna, duszna jaskinia? Człowiek wpełzał do takiej jaskini, żeby umrzeć. Po co taki mężczyzna jak Niles Tignor miałby potrzebować zwyczajnego domu?

– Ja też nie mam domu – przyznała się skwapliwie Rebeka. – Mam tylko miejsce, gdzie trzymam rzeczy. Mieszkam na Ferry Street z moimi przyjaciółkami, ale to nie jest mój dom. Mogłabym spać gdzie bądź, nad kanałem albo w samochodzie.

Tignor zaśmiał się i upił łyk piwa, nie odrywając od niej wzroku. Rebeka też piła teraz piwo, ze szklanki, którą ktoś przed nią postawił.

Było po dziewiątej: Tignor zamówił dla nich jedzenie.

Bułka z pieczoną wołowiną, specjalność zakładu. Do tego frytki i ogórki konserwowe. Kufle pełne pianistego black horse'a. Rebecie nie przyszłoby wcześniej do głowy, że mogłaby coś zjeść w obecności Nilesa Tignora, a jednak była zaskakująco głodna. Tignor pożarł nie jedną, ale dwie ogromne kanapki z wołowiną, popijając je piwem. Jego wielkie zęby błyskały, był absolutnie szczęśliwy.

– Remik, dziewczyny. Znaście tę grę?

Rebeka uniosła ciężkie powieki. Tignor zniemacka tasował teraz karty.

Zupełnie znikąd lśniaca, nowiutka talia kart! Tignor tasował z niezwykłą wprawą, w taki sposób, że karty błyskały w powietrzu niczym wodospad, co wyglądało fascynująco. Rebeka w życiu nie widziała czegoś takiego. I te jego wielkie, z pozoru niezdarne ręce!

– Przełoż, mała.

Z trzaskiem ułożył karty na stole, Rebeka przełożyła, Tignor porwał karty z powrotem i nadal tasował, szczerząc się do swej widowni. Rozdawał te karty niczym lśniące ostrza, najpierw Colleen, potem Rebeka, w końcu on sam, znów Colleen, Rebeka, on... Kiedy zostało postanowione, że będą grali w karty? Rebeka odtwarzała w głowie remika, w którego grywała w domu Grebów, zastanawiając się, czy Leora nauczyła ich poprawnie.

Tignor oznajmił, że ta gra to będzie cygański remik, wariant tego podstawowego.

Cygański remik? Ani Colleen, ani Rebeka w życiu o takim nie słyszały.

Tignor zdjął marynarkę i przerzucił ją przez przegrodę boksu. Miał na sobie białą, bawełnianą koszulę dobrej jakości, ale ta koszula zrobiła się już wilgotna i zmięta. Jego

twarz też była wilgotna, ze skroni spływały mu strumyczki potu. Dziwne włosy koloru niklu przypominały teraz czepek z drutu. Jego oczy były blade, zdawały się jarzyć błądźcą na tle zaczerwienionej twarzy. Oczy morskiego drapieźnika, pomyślała Rebeka. Jak na człowieka jego pokroju Tignor miał zaskakująco czyste paznokcie, równo przycięte, choć grube i jakby odbarwione. Nosił zegarek na czarnym, skórzanym pasku, inny niż zegarek Baumgartena. A na prawej dłoni sygnet, z wygrawerowanym dziwnym stworem, jakby lwa z ludzką twarzą.

– Podnieś karty, Rebeka. Zobaczmy, co tam masz.

Podniosła swoje karty, ochoczo, ale nieporadnie. Próbowała sobie przypomnieć, o co chodzi w tej grze. Liczyło się sekwensy kart z tego samego koloru albo w grupach tej samej wysokości. Na stole leżały dwie kupki kart, jedna z tymi, które zostały odrzucone, z drugiej się dobierało. Celem gry było podliczenie punktów i pozbycie się wszystkich kart.

Colleen była rozczarowana swoimi kartami. Śmiała się, ale jednocześnie zagryzała dolną wargę, wyraźnie się złoścąc.

Rebeka wpatrywała się w błyszczące karty w swoim ręku. Królowa pik? Dziesiątka pik? Walet, as...?

Palce drżały jej lekko, a dym z tłących się, brzozowych kłód rozpraszał uwagę. W głowie wykwitła jej wizja brzóz, brzóz o pięknych, białych pniach z czarnymi smugami, przygiętych do ziemi, powalonych na ziemię... Nie musiała ani niczego dobierać, ani odrzucać. Zagrała z ręki. Była zbyt naiwnym graczem, by kwestionować los z takimi kartami.

Tignor zaśmiał się i pogratulował jej. Zapisywał wyniki ogryzkiem ołówka na serwetce.

Gra się rozkręciła. Tignor znów rozdał; dziewczyny się uparły, że tylko on będzie rozdawał, bo uwielbiały patrzeć, jak tasuje karty.

– Ja cię kręcę, Rebeka dostaje najlepsze! – narzekała Colleen.

Wyglądała uroczo: nadąsana dziewczyna z wydatnymi, ciemnoróżowymi ustami, dużymi piersiami, sterczącymi dumnie pod ciasnym, czarnym sweterkiem, i lśniącoymi kołami w uszach. Rebeka wyczuła, że Colleen rozpaczliwie pragnie wpaść Tignorowi w oko, że bardzo chce stać się przedmiotem jego zainteresowania, które jednak stale dryfowało w stronę Rebeki.

– Potrzebujecie dodatkowych kart, dziewczyny? To cygański remik. Zadowolę was, wystarczy tylko poprosić.

Roześmiały się, choć nie rozumiały, o czym on mówi.

Rebeka zauważyła już wcześniej, że Tignor jakby się separuje od wrzawy i wesołego rozpasania panującego w barze. Nie dawał po sobie poznać, czy wie o tym, że inni goście zerkają od czasu do czasu w jego kierunku, mężczyźni, którzy być może wyobrażali sobie, że są jego kumplami albo bliskimi znajomymi, i liczyli, że Tignor ich zaprosi do swojego boksu. Bo on nie był taki jak inni: był taki niesamowicie skupiony na sobie. Nie do końca obecny, kiedy śmiał się z Colleen i Rebeki, dwóch naiwnych dziewczyn, które brały od niego karty jak dzieci.

– Ach, zobacz tylko, co ja mam...

– O, popatrz...!

Rebeka chichotała, miała takie piękne, błyszczące karty, król, królowa, walet trefl... Nie chciało jej się liczyć, ile są warte, ufała, że zrobi to za nią Tignor.

Tignor zgarbił się nad swoimi kartami i wciągnął powietrze z niezadowoleniem, albo może tylko udawał, że jest niezadowolony.

– Twoja rasa, Rebeka – powiedział zniechęcony. – Jesteście wędrowcami.

– Rasa? Jaka rasa?

– Rasa, z której się wywodzisz.

To padło tak nagle, że do Rebeki początkowo nie dotarło, o czym właściwie rozmawiają.

Jej powieki, ciężkie, podrażnione od dymu, uniosły się teraz z wrogością.

– Pochodzę z tej samej rasy co ty. Z tej samej cholerniej rasy co wszyscy.

Nagle wściekła się na Nilesa Tignora, wręcz czuła, że go zajadle nie cierpi. Oszukał ją, bo chciał zdobyć jej zaufanie. Cały ten wieczór pochyłał się w jej stronę, wspierając na łokciach, przyglądał się jej z rozbawieniem. Miała ochotę rozorać mu paznokciami tę gębę o wielkich kościach, taką zadowoloną z siebie.

Tignor jednak tylko zmarszczył brwi i zadał swoje kolejne pytanie najwyraźniej szczerze.

– Ale co to za rasa, Rebeko?

– Ludzka rasa.

Wypowiedziała te słowa z takim ogniem, że i Tignor, i Colleen zareagowali wybuchem śmiechu. I sama Rebeka też się roześmiała, widząc, że to tylko żarty – na pewno? Ucieszyła się, że potrafi rozśmieszyć Nilesa Tignora, bo z tego wynikało, że potrafi czarować mężczyzn, jeśliby chciała. Przyciągała ich wzrok, sprawiała, że jej pragnęli. Na podstawie tego, co widzieli po wierzchu. Cały ten czas od chwili, kiedy Tignor się z nią przywitał, czuła intensywnie jego obecność, czuła bijący od niego seksualny żar. Bo bez wątplenia Tignor pragnął z nią seksu: chciał od niej seksu. A jednak za żadne skarby świata nie zamierzała iść z nim na górę, do jego pokoju ani do jego samochodu, na nocną przejażdżkę nad rzekę... Czuła dreszcz zachwyty, że tak bardzo chce mu się przeciwstawić. Czuła się niemal bliska zemdlenia, pławiła się swoim oporem.

Tignor znów rozdawał. Kolejne błyskające w powietrzu karty. Palce Tignora, sygnet ze sfinksem na prawej dłoni, kręty strumyczek potu spływający z czoła, wielkie końskie zęby ukazujące się w uśmiechu.

– Nie trzeba cię zadowalać, co? No to pokaż nam swoje karty, dziewczyno.

Rebeka rozłożyła karty na lepkim blacie: król, królowa, walet, dziesiątka, siedem, as... same kara.

Nieoczekiwanie zaczęła płakać. Łzy lały się po jej ciepłych policzkach, piekąc jak kwas.

Było im pisane, że zostaną kochankami, z czasem. Tignor po prostu musiał ją mieć. Był gotów nawet się z nią ożenić, jeśli nie znajdzie innego sposobu.

Wyjechał z Milburn i wrócił. Zimą 1953 roku stale gdzieś jeździł, to na miesiąc, to na dwa. A jednak w styczniu wrócił niespodziewanie już po dwóch tygodniach. Rebeka nie umiała się dopatrzeć żadnej reguły w jego poczynaniach. Nigdy jej nie mówił, kiedy wróci, a ona, powodowana dumą, nie pytała. I uparcie mówiła temu mężczyźnie „do widzenia”, spokojnym, rozwścieczającym tonem, „do widzenia” i nic więcej. Jakby za każdym razem godziła się na to, że być może widzi go po raz ostatni.

Całowała go w policzek. A on wtedy opasywał dłońmi jej głowę i boleśnie całował ją w usta.

– Nie kochasz mnie, dziewczyno? – droczył się z nią.

Albo też pytał:

– Nie jesteś ciekawa, jak to jest, gdy się mnie kocha?

Albo:

– Nie chcesz naciskać, żebym się z tobą ożenił, dziewczyno? O to chodzi?

Trzymała Tignora na niewielki dystans, nie chciała się z nim przespać. Bolało, a jednak postanowiła, że tego nie zrobi.

Bo wiedziała, że Tignor by ją wykorzystał, a potem by się jej pozbył, jak zużytej chusteczki do nosa. Nie pokochałby jej w zamian – prawda?

Było w tym ryzyko. Porównywalne z zagranieniem jakąś kartą, równie nieodwracalne.

– Uważaj, żebyś się nie zakochała w tym człowieku, Rebeko. Dla takiej dziewczyny jak ty byłby to bardzo nieprzyjemny błąd.

Tak mówiła Leora Greb. Ale inne jej zazdrościły. Drażniło je, że Niles Tignor ugania się za Rebeką Schwart, która była taka młoda, prawie połowę młodsza od niego. Za tą Rebeką Schwart, co to nie miała ani wdzięku, ani urody, a za to była uparta jak osioł.

– „Dziewczyna taka jak ja”, czyli jaka, Leora? – spytała Rebeka.

– Młoda dziewczyna – odparła Leora. – Taka, która ani trochę się nie zna na mężczyznach. Dziewczyna... – Leora urwała, marszcząc brwi. Już miała dodać: bez ojca, bez matki, ale się w porę pohamowała.

– Czemu miałabym się zakochać w Tignorze albo w ogóle w kimkolwiek! – odparowała z żarem Rebeka. – Ja nie ufam facetom.

Wiedziała, że kiedy Tignor wyjeżdża z Milburn, to o niej zapomina; przestawała dla niego istnieć, ot tak. Mimo to nie potrafiła o nim zapomnieć.

Kiedy przyjeżdżał do Milburn, do hotelu General Waszyngton, zawsze chciał się umawiać. Jakoś, w którymś momencie. Przez większą część dnia odbywał „spotkania w interesach”, które często przeciągały się do pory kolacji, i dlatego Rebekę musiał wciskać w późny wieczór. Ma czas? Chce się z nim spotkać? Podała mu numer telefonu, do mieszkania na Ferry Street. Dzwonił do niej, nigdy nie wiedziała skąd. I zawsze przeżywała szok, kiedy słyszała jego głos, bo brzmiał w jej uchu tak intymnie.

Kiedy dzwonił, starała się rozmawiać lekkim, kpiącym tonem. Często w pobliżu były Kate i LaVerne, przysłuchiwały się. Pytała Tignora, gdzie on jest, a on na to odpowiadał: „Przecnicę dalej, przy automacie na Ferry Street. Fakt jest taki, że widzę twoje okna. A ty myślałaś, że gdzie ja jestem, dziewczyno?”

Drażnił się z nią, nazywając ją dziewczyną. A czasami Cyganczką.

Rebeka mówiła wtedy, że nie jest żadną Cyganką! Tłumaczyła, że urodziła się w Stanach Zjednoczonych, tak samo jak on.

Nie prześpię się z nim. Ale wyjdę za niego.

Sama nie do końca wierzyła w te bzdury. Tak jak przed laty nie uwierzyła, że Jezus Chrystus to jej zbawca: że Jezus Chrystus w ogóle wie o istnieniu Rebeki Schwart.

Nie chciała się zakochać w Nilesie Tignorze ani w żadnym mężczyźnie. Miłość to przynęta, która może cię otruci! Miłość związana z seksem, zmysłami. Nie umiała sobie przypomnieć, by jej rodzice kiedykolwiek dotykali się z czułością, a jednak podejrzewała, że kiedyś tam byli w sobie zakochani. Byli młodzi, zakochali się i pobrali. Dawno temu, w starym kraju, by użyć słów Anny Schwart. Pamiętała wciąż zdumiewającą opowieść Herszela: *Papa coś śpiewał, mama mu śpiewała w odpowiedzi z drugiego pokoju i potem oboje się śmiali*. Herszel zdradził jej też, że tato go raz pocałował! Miłość jest pułapką, wciąga cię do jaskini. A jak już jesteś w tej jaskini, to nie masz drogi ucieczki.

Seksualna miłość, za którą się kryje pożądanie. Pożądanie tak straszne, że aż od niego boli między nogami. Rebeka wiedziała, co to takiego (czy raczej zgadywała), i wiedziała, że to coś jest silniejsze u mężczyzn, że lepiej z tym nie żartować. Wciąż pamiętała, jak jej brat Herszel stawał nad nią, głucho stękając i sklamrzając, chcąc się o nią ocierać od tyłu; pamiętała oczy tego chłopaka, wilgotne, przepełnione zwierzęcą żądzą, pamiętała udrękę na jego twarzy, którą można wręcz było pomylić (kiedy się zobaczyło jego twarz, te wzniesione do góry, rozjarzone oczy) z duchowym pragnieniem. Wielki, niezgrabny w ruchach Herszel, którego mama musiała odciągać od młodszej siostry i bić po głowie.

Mimo to Rebeka myślała bezustannie o Tignorze. Kiedy wyjeżdżał z Milburn. Wspominała z bolesnym zażenowaniem tamten pierwszy wieczór, swoją desperacką ucieczkę z baru. Nie miała pojęcia, dlaczego wtedy wybuchła łzami. Lśniące karty, same kara... Colleen próbowała ją odszukać, ale Rebeka ukryła się przed nią na klatce schodowej, na tyłach hotelu.

Za dużo wypięła, pewnie tym należało to tłumaczyć. Nieprzyzwyczajona do alkoholu. Nieprzyzwyczajona do takiej bliskości mężczyzny, do wiedzy, że on cię pożąda. I takie lśniące karty...

Rebeka podejrzewała ze wstydem, że Niles Tignor już nigdy więcej nie będzie chciał się z nią spotkać. A jednak chciał.

Tignor wdzierał się w te godziny, podczas których sprzątała w hotelu, pogrążona w dziwnym transie. Wdzierał się zwłaszcza wtedy, kiedy pchała wózek przez korytarz piątego piętra. Kiedy otwierała drzwi do pokoju numer 557, kiedy wchodziła do środka. Jakby we śnie na jawie widziała Tignora, wysokiego mężczyznę o włosach barwy niklu, z twarzą zaczerwienioną z gniewu, jak zbliżał się do łóżka; słyszała jego rozwścieczony głos *Puść dziewczynę* w momencie, gdy chwycił Baumgartena i zaczynał go bić.

To dla niej Tignor naraził się na ryzyko, że go zaaresztują. Nie znał jej wtedy: usłyszał tylko jej wołanie o pomoc.

Jechali brzegiem rzeki Chautauqua. Na zachód od Milburn, w stronę Beardstown. Tam, gdzie drobny, świeżo spadły śnieg jeszcze nie oprószył lodu, zamarznęta rzeka iskrzyła się, zabarwiona od słońca na błękitno. Był luty roku 1954. Rebeka nie widziała Tignora od kilku tygodni. Przyjechał do Milburn nowym modelem studebakera, niebieskim jak jajo drozda; w życiu nie widziała wozu, który by miał tak wielkie szyby z przodu i tyłu.

– Podoba ci się? Chciałabyś się przejechać?

Chciała. Jasne, że chciała.

Podczas jazdy Tignor wcisnął między kolana butelkę black horse'a i zdjął z niej kapsel. Od czasu do czasu upijał łyka, po czym podawał butelkę Rebecce, która piła oszczędnie, mimo że wyzbyła się już niechęci do tego silnego, kwaskowatego smaku. Piła tylko w towarzystwie Tignora i z tego powodu kojarzyła picie, zapach ale lub piwa, ciepły szmer u podstawy czaszki ze złkniętym szczęściem, które czuła w obecności tego mężczyzny.

Tignor trącał ją łokciem.

– No dalej, kotek: pij. Nie każ mi pić samemu.

Jeszcze nie byli kochankami. Między nimi wyczuwało się napięcie, poirytowanie, Tignor miał pretensje. Rebeka zrozumiała, że kochankami zostaną już niedługo.

Tamtego popołudnia, w niedzielę, zatrzymywali się raz po raz w barach i hotelach nad rzeką, aczkolwiek głównym celem wyprawy był lokal zwany Beardstown Inn. We wszystkich tych miejscach browar Black Horse miał swoje interesy, dlatego Nilesa Tignora znano tam i bardzo lubiano. To była przyjemność patrzeć, jak twarze obcych ludzi rozjaśniają się na widok Tignora, jak oni wszyscy zadzierają głowy, kiedy się pojawiał. I jeszcze ta atmosfera powszechnego zbratania towarzysząca picciu, nawet w środku dnia. Rebeka jako kobieta nie miała nigdy jej poznać i wcale nie chciała jej poznawać, mimo to czuła się wyjątkowo obok Tignora, w swoim nowym wełnianym płaszczyku w zieloną kratę, który podarował jej na Gwiazdkę, by już nie musiała nosić starej, burej kurtki, jego zdaniem podobnej do końskiej derki.

To twoja nowa dziewczyna, Tignor? Coś młoda, prawda?

Może dla ciebie, koleś. Nie dla mnie.

Rebecce, która bezustannie śledziła kątem oka rosnącą sylwetkę Tignora, podobną do niedźwiedzia stojącego na zadnich nogach, nieraz zdarzało się słyszeć podobne wymiany zdań między nim a innymi mężczyznami, obcymi dla niej.

Ja cię przeproszam, Tignor! Ale gorąca sztuka!

Rebeka nie dawała po sobie poznać, że to słyszy. Szła do damskiej toalety, żeby mężczyźni mogli z sobą porozmawiać, tak chamsko i tak dowcipnie, jak im się podobało, bo bez niej.

Mężczyznom się podoba, gdy ludzie ich widzą w towarzystwie ładnych dziewczyn. Im młodszych, tym lepszych. Można ich winić? Ależ skąd! W tej kwestii przez Leorę Greb przemawiała zawiść, bo Leora miała ponad czterdzieści lat i żaden mężczyzna już nie patrzył na nią tak, jak Tignor patrzył na Rebece.

Młodsze kobiety też zazdrościły Rebecy. Niektóre z nich umawiały się w przeszłości z Tignorem, który woził je jednym ze swoich samochodów i bez wątplenia hojnie obdarowywał prezentami. Ale ich czas przeminął, teraz nastał czas Rebeki.

– Kto wie, kotek, może mam dziś dla ciebie niespodziankę.

– Że jak, Tignor? Nie drażnij się ze mną!

A jednak drażnił się. Tignor strasznie lubił się drażnić.

Rebeka uwielbiała przejażdżki niebieskim jak jaja drozda studebakerem, zupełnie nie przypominającym pojazdów, których należało się spodziewać na pagórkowatym terenie między Milburn i oddalonym od niego o trzydzieści mil Beardstown. Od czasu do czasu mijały ich auta farmerów, pick-upy i gruchoty prowadzone przez młodych mężczyzn, ale zazwyczaj na drodze było pusto. Rebeka wmawiała sobie, że są jedynymi ludźmi na całym świecie: że nie jadą do żadnego celu i że nie zostawili za sobą hotelu General Waszyngton, gdzie Niles Tignor był szanowanym gościem, a Rebeka Schwart pokojówką, której płacono prosto na rękę, na czarno.

Rzeka Chautauqua była skuta lodem. Rebeka nigdy wcześniej nie widziała tego jej odcinka, toteż cały ten krajobraz był dla niej czymś nowym, a ponadto pięknym i tajemniczym, bo przyprószonym śniegiem. W oddali majaczyły góry Chautauqua, blade i rozmyte w zimowej mgle, bliżej widzieli farmy, pola, połacie ugoru. Uwagę Rebeki przykuły pola po kukurydzy, gdzie pośród łąnów stratowanych kikutów tu i ówdzie jawiły się upiorne sylwetki jeleni z białymi ogonami. Przeważnie były to łanie, a także niemal już dorosłe, ośmiomiesięczne jelenki z matowym i gęstym, zimowym futrem, ale widywała też czasem samce: o rozrośniętych klatkach piersiowych, masywne, ze zdobnymi porożami.

– Popatrz, Tignor! – szepnęła raz, kiedy zauważyła takiego samca.

Tignor zwolnił i spojrzał zmrużonymi oczyma w stronę pola. Żadne stworzenie nie dorównywało urodą w pełni wyrosniętemu jeleniowi o wielkim porożu. Tignor zagwizdał przez zęby w podziwie dla istoty mu pokrewnej.

– Jezus, dziewczyno! Jak ja żałuję, że nie mam tu swojej strzelby.

– Ale przecież nie zastrzełiłbyś go, prawda, Tignor? Byłby wtedy tylko martwy.

Tignor zaśmiał się. Trudno było się domyślić dlaczego.

On już zabijał. Albo ludzi, albo zwierzęta, pomyślała spokojnie Rebeka.

Ale mnie nie zabije!, pomyślała w swoim zadufaniu.

Chętnie przytulała się do niego podczas jazdy. Chętnie opierała głowę na jego ramieniu. On zaś gładził ją po kolanie, po udzie ukrytym pod warstwami zimowych ubrań. Gładził ją po ręce i po przedramieniu w rękawie płaszcza, po drżącej skórze. Jego dłoń zdawała się poruszać według jego uznania, albo może w zgodzie z pożądaniem Rebeki, która powoli czuła się podniecona i jednocześnie zalękniona, bo dla niej podniecenie seksualne nie różniło się niczym od lęku. Chciała odepchnąć od siebie tego mężczyznę, a jednocześnie nie chciała, żeby przestawał.

Jej ciało było rozpalone, wręcz płonęło. W piersiach i w brzuchu. Ten ogień przesączał ją na wskroś i docierał do samej duszy, niczym płynny blask słońca.

On zabijał. Boję się go.

Nie powinnam być tutaj. Posunęłam się za daleko. To jest złe.

On się ze mną ożeni. Któregoś dnia!

Tignor mówił jej, że za nią szaleje. Mówił jej, że chce z nią być. *Być.* Rebeka wiedziała, co to oznacza.

Seks. Pożądanie. Tylko dzięki temu, że istniał seks, była możliwa miłość. Rebeka wiedziała, że musi się wystrzegać tego człowieka, bo strasznie się bała, że zajdzie w ciążę tak jak inne dziewczyny, które znała w Milburn; powylały z liceum i zostały matkami, mimo że były od niej młodsze. Tignor ostrzegał ją, że nie jest z tych, którzy się żenią.

Ale gdyby mnie kochał... Wtedy tak!

Wiedziała, że o Tignorze mówią różne brzydkie rzeczy. Nawet Mulingar, który przedstawiał się jako przyjaciel Tignora, rozpowszechniał różne plotki. Był żonaty, więcej niż raz. Bez wątplenia był żonaty teraz. Miał rodzinę nad jeziorem Champlain, która wiedziała niewiele o jego życiu gdzie indziej. Miał rodzinę w Buffalo. Resztki rodzin rozsiane po całym stanie: jego były żony płakały po nim, jego dzieci nie miały ojca.

Ale to nie ja. Mnie by nie zostawił. Ze mną byłoby inaczej.

– Co to za niespodzianka, Tignor?

– To już by nie była żadna niespodzianka, prawda, kotku? Gdybym ci powiedział za wcześnie.

– To jest coś, co ma mnie uszczęśliwić czy wręcz... – Rebeka zawiesiła głos. Co też ją napadło, że wygadywała takie rzeczy. Że niespodzianka mogłaby ją unieszczęśliwić.

Tignor odburknął, że tak. Że tak mu się wydaje.

Była ubrana w angorowy sweterek brzoskwiniowego koloru, który znalazła w jednym z pokoi hotelowych, w koszu na śmieci, a do tego w czarną, wełnianą spódniczkę opiętą na biodrach i błyszczące botki do połowy łydki. Rozepchany dekolt sweterka ukryła pod zdobnie zamotanym szalikiem. Ależ była szczęśliwa!

W Beardstown Inn na Tignora czekał pokój.

Prywatny pokój, pokój z podwójnym łóżkiem i łazienką.

Pokój na piętrze zabytkowej starej oberży, w której zatrzymywał się agent browaru Black Horse za każdym razem, gdy przyjeżdżał tam w interesach. Rebeka zastanawiała się niespokojnie, co to oznacza: zatrzyma się tam z Tignorem, będzie z nim spała w tym łóżku?

Tignor nie dał po sobie niczego poznać. Był szorstki, rzeczowy. Zostawił ją w pokoju i zszedł na dół, na dobrą godzinę, podczas której pił i „rozmawiał o interesach” z kierownikiem hotelu. Rebeka ostrożnie skorzystała z łazienki, ale nie wytarła rąk w świeżo wyprany biały ręcznik, niemalże taki sam jak ręczniki w Generale Waszyngtonie, tylko osuszyła je papierem toaletowym. A potem siedziała na twardym krześle obok nieszczelnego okna; nie zamierzała wylegiwać się na łóżku, na brokatowej narzucie koloru gliny, od której wiało zimowym chłodem.

Moja niespodzianka, no więc moja niespodzianka...

Tignor, przestań mnie zadreć!

Oberża była mniejsza niż hotel Generał Waszyngton, ale miała mniej więcej tyle samo lat. Podobnie jak hotel pierwotnie służyła za miejsce postoju dla dyliżansów, w bardzo dawnych czasach. W najstarszych częściach obu hoteli mieściły się bary. Powszechnie wiadomo, że w ramach tych przybytków funkcjonowały kiedyś burdele, czy jak kto chce, domy publiczne.

Rebeka dygotała samotnie w pokoju i chcąc nie chcąc, rozmyślała o dawnych czasach, o dziewczynach i kobietach, które miały zostać kurwami, o tym, jakie musiały być przestraszone i zrozpaczone w dziczy Doliny Chautauqua. Pewnie bezdomne, bez grosza przy duszy. Bez rodziny. Bez mężów, którzy mogliby je chronić. Niektóre mogły być upośledzone umysłowo. Z czasem prawdopodobnie zachodziły w ciążę, nabawiały się różnych chorób. A jednak było coś komicznego w tych słowach – kurwa, dom publiczny. Nie dało się wymawiać takich wulgarnych słów bez ironicznego grymasu.

Rebeka potrafiła ocenić swym krytycznym okiem, że pokój jest nieskazitelnie wysprzątnięty. Łóżko, nieznacznie wyższe od tych w hotelu General Waszyngton, z bardziej zwyczajnym wezglowiem i staromodnymi wspornikami, zostało zasłane idealnie, a brzydkie, aksamitne draperie były ułożone jak należy. W powietrzu unosił się słaby zapach środka czyszczącego, z zastarzałą wonią lat, murów w tle. Dywan był miejscami wytarty, a tło tapety w kwiatki wydawało się nie tyle białe, ile raczej odbarwione. Zacieki na suficie tworzyły wzory przywodzące na myśl długonogie pająki. Z wysokiego i wąskiego okna otoczonego ciężkimi draperiami roztaczał się widok na pokryte śniegiem boczne podwórko poprzecinane niezliczonymi ścieżkami wydeptanymi przez psy i teraz, o zachodzie słońca, te ścieżki już ciemniały, niczym jakieś tajemnicze kody.

Wrócił Tignor, w wyraźnie znakomitym nastroju. Jego blade oczy pojaśniały na widok Rebeki, a kiedy zobaczył, że nie zdjęła płaszcza, że nawet nie rozpięła guzików, zaczął się śmiać.

– Czekasz na autobus czy co, dziewczyno? Na pewno zjemy tu kolację. Wyluzuj.

Kiedy Rebeka wstała i zaczęła niezdarnie manipulować przy obszytych tkaniną guzikach, Tignor szarpnął za połę płaszcza i jeden z guzików odleciał, potoczył się po dywanie w sposób, który w innych okolicznościach rozśmieszyłby Rebekę.

Tignor zdjął z niej płaszcz i cisnął go niedbale na krzesło, na które wcześniej rzucił własny płaszcz. Uśmiechnął się do niej wielkimi, błyszczącymi zębami, pogładził ją po ramionach i włosach. A potem jeszcze pocałował w usta, tak jakby je połykał, tak jak wąż mógłby połknąć swoją małą, sparalizowaną ofiarę. Jego język smakował whisky i dymem papierosowym, a jednak był dziwnie chłodny. Rebeka odepchnęła się od niego i zaczęła dygotać bez opamiętania.

– Tignor, ja nie mogę. Ja nie mogę tu zostać. Spodziewasz się, że ja tu dzisiaj zostanę? To jest ta niespodzianka? Nie mogę, nie zabrałam żadnych rzeczy, zrozum. Nie mam nic na zmianę. Muszę iść jutro do pracy, Tignor. O siódmej rano muszę być w hotelu. Wyleją mnie, jeśli...

Tignor pozwolił jej tak paplać nerwowo. Uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Żadni gówniarze cię nie wyleją, moja miła. Uwierz mi na słowo.

Co to miało znaczyć? Rebeka czuła, że jest bliska omdlenia.

– Nie mogę zostać tu na noc. Ja...

– Nie powiedziałem, że zostajemy tu na noc. Ja tylko powiedziałem, że mam pokój. To jest właśnie ten pokój.

Przemawiał do niej jak ojciec, który karci małe, uparte dziecko. Rebeka czuła to, nie mogła znieść, że ktoś ją karci.

Tignor poszedł skorzystać z łazienki, nie zamykając za sobą drzwi. Rebeka przycisnęła dłoń do uszu, nie chcąc słuchać energicznego plusku jego uryny, który trwał i trwał. Miała nadzieję, że nie opryskał deski klozetowej albo kafelków na ścianie. Tylko nie to!

Umyłaby kafelki, gdyby to zrobił. Nie zostawiłaby takich śladów dla pokojówki.

W momencie, gdy Tignor wrócił do pokoju, zapinając rozporek i pogwizdując, rozległo się ostrożne pukanie do drzwi: przyniesiono im flaszkę bourbona, dwie szklanki, miseczkę z mieszanką orzechów. Tignor nalał ceremonialnie bourbona do kieliszków, nalegając:

– Człowiek nie powinien pić sam, Rebeko. Zuch dziewczyna!

Trącili się szklankami i napili. Rebeka miała wrażenie, że bourbon spływający jej do gardła to płynny ogień.

– Już wtedy, kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy, dziewczyno. Wiedziałem.

Nigdy wcześniej nie wspominał ich pierwszego spotkania. Nawet teraz nie było jasne, co miał na myśli, i Rebeka wiedziała, że nie powinna zadawać pytań, Tignor nie lubił, jak mu przerywano.

– Zrozum, jesteś piękna. Od razu to zobaczyłem. Zobaczyłem to, mimo tego uniformu pokojówki i brzydkich, płaskich butów. Musisz tylko uśmiechać się częściej, dziecinko. Po twojej minie widać, że stale o czymś tam sobie myślisz i że to cię wcale nie uszczęśliwia.

Pochylił się i lekko pocałował ją w usta. Uśmiechał się do niej i oddychał prędko, a jego oczy nabrały tego samego metalicznego odcienia co włosy.

Rebeka starała się uśmiechnąć. I w końcu się uśmiechnęła.

– O, tak lepiej, kotek. Znacznie lepiej.

Rebeka siedziała na staromodnym krześle z twardą wyściółką, które Tignor przysunął do łóżka, a on sam siedział na skraju łóżka, przyjemnie rozgrzany, pachnący aromatyczną mieszanką męskiego potu, męskiego pożądania, bourbona i dymu papierosowego, górując wzrostem nad Rebeką. Jej przyszło wtedy na myśl, że ciągnie ją do Nilesa Tignora, bo był taki ogromny, bo przy nim wcale nie taka mała dziewczyna jak ona czuła się drogocenna niczym lalka.

Tignor wyciągnął z kieszeni garść luźnych banknotów dolarowych. Cisnął je na łóżko obok siebie, przyglądając się uważnie Rebecce. Przypominało to sztuczkę karcianą.

– To dla ciebie, Cyganeczko.

Zaszokowana Rebeka przyglądała się trzepoczącym w powietrzu banknotom. Nie potrafiła uwierzyć własnym oczom.

– ...dla mnie? Ale dlaczego...

Wśród banknotów zauważyła kilka dziesięciodolarowych. Jeden dwudziestodolarowy. Były też pięcio- i jednodolarowe. I jeszcze jedna dwudziestka. W sumie banknotów było ze dwadzieścia.

Tignor roześmiał się na widok miny Rebeki.

– Uprzedzałem, że w Beardstown czeka na ciebie niespodzianka, prawda?

– Ale... dlaczego?

Rebeka znowu próbowała się uśmiechnąć. Wspominała potem, jakie to wydawało jej się ważne, żeby się uśmiechnąć w tym momencie, równie doniosłym jak tamten moment, gdy jej ojciec Jakub Schwart próbował wycelować w nią dubeltówkę.

– Bo chyba ktoś o tobie myśli – odparł Tignor wylewnym tonem. – Ktoś, kto być może ma poczucie winy w związku z tobą.

– Tignor, nic nie rozumiem.

– Kotku, byłem w Quebecu w zeszłym tygodniu. W Montrealu, w interesach. Widziałem się tam z twoim bratem.

– Z moim bratem? Z którym?

Tignor milczał, jakby wcześniej nie wiedział, że Rebeka ma dwóch braci.

– Z Herszelem.

– Z Herszelem!

Rebeka miała wrażenie, jakby ktoś ją ogłuszył. Od bardzo dawna nie słyszała, by ktoś wypowiadał imię jej brata na głos, i na poły świadomie zaczęła uważać, że Herszel pewnie umarł.

– Herszel przysyła ci te pieniądze. Bo on już nigdy nie wróci do Stanów. Aresztowaliby go na granicy. To nie jest jakaś zawrotna kwota, ale chciał, żebyś je wzięła, Rebeko. Więc mu obiecałem, że ci je przekażę.

Rebecce nie przyszło do głowy, że mogłaby w to powątpiewać. Tignor mówił tak przekonująco, zresztą zawsze łatwiej wierzyć, niż wątpić.

– Ale... co z Herszelem? Co u niego?

– Na moje oko wszystko gra. Ale jak powiedziałem, już nie wróci do Stanów. Któregoś dnia może spotkasz się z nim w Kanadzie. Może moglibyśmy pojechać tam razem.

Rebeka z niepokojem spytała, czym się Herszel zajmuje. Jak sobie radzi? Czy pracuje? A Tignor wtedy przyjaźnie wzruszył ramionami, choć jego blade oczy unikały jej wzroku.

– Pewnie pracuje, skoro przysyła ci pieniądze.

Rebeka nie rezygnowała.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoni, skoro o mnie myśli? Powiedziałeś mi, że pracuję w hotelu, prawda? I masz mój numer telefonu, dałeś mu go? Mógłby wtedy zadzwonić.

– Jasne.

Rebeka gapiała się na banknoty walające się na łóżku. Nie chciała ich dotykać, bo co by to oznaczało? Co w ogóle znaczyło to wszystko? Nie była w stanie wziąć tych pieniędzy do ręki, a co dopiero policzyć.

– Herszel wyjechał i zostawił mnie. Długo go nienawidziłam.

Jej słowa brzmiały tak ostro. Tignor skrzywił się z konsternacją.

– Nie jestem pewien, czy jeszcze go zobaczę. Mówił, że może się przeprowadzi – odparł.

– Przeprowadzi? Dokąd?

– Gdzieś na zachód. Do tych prowincji, które nazywają preriowymi. W Kanadzie oferują wiele miejsc pracy.

Rebeka próbowała to wszystko przemyśleć. Bourbon prędko uderzył jej do głowy, za to myśli napływały do mózgu powoli niczym obłoki zabarwione na bursztynowo. A jednak zdenerwowała się, coś tu było nie tak. I czuła, że nie powinna przebywać w tej oberży razem z Nilesem Tignorem.

Nie umiała dociec, dlaczego Tignor zaskoczył ją w taki sposób. Czemu rozrzucił te banknoty na hotelowym łóżku? Czuła ból w piersi, jakby jakiś nerw szczypał jej serce.

– Ale to jeszcze nie jest właściwa niespodzianka, Rebeko – odezwał się Tignor z nowym napływem energii. – Najpierw Herszel, a teraz ja.

Wstał, podszedł do swojego płaszcza i zaczął grzebać w kieszeniach; wrócił z malutkim zawiniątkiem z lśniącego papieru, nie było to pudełko, tylko po prostu papier niezdarnie oklejony taśmą, skrywający jakiś mały przedmiot.

Pierścionek. Daje mi pierścionek, pomyślała natychmiast Rebeka.

Absurdalna myśl. A jednak jej wzrok wpił się łapczywie w małą, lśniąca paczuszkę, którą Tignor wręczył jej gestem równie zamaszystym, z jakim tasował i rozdawał karty.

– Och, Tignor. Co to...

Trzęsły jej się ręce, ledwie umiała rozwinąć ten papier. W środku był pierścionek: oczko z mlecznego kamienia o owalnym kształcie, wielkości mniej więcej nasienia dyni, oprawione w jakby trochę wytarte srebro.

Był piękny, cokolwiek by mówić. Nikt nigdy nie dał Rebecce pierścionka.

– Och, Tignor.

Czuła, że jest jej słabo. Chciała tego wcześniej, a teraz się przestraszyła. Trzymała niezdarnie, piękny, choć skromny pierścionecek, bojąc się, że go upuści.

– No dalej, dziewczyno. Przymierz. Sprawdź, czy pasuje.

Widząc, że Rebeka jest oślepiąta przez łzy, Tignor odebrał jej niezdarnie pierścionek i bez skutku spróbował wepchnąć go na serdeczny palec jej prawej dłoni. Prawie pasował. Pasowałby, gdyby Tignor wepchnął go mocniej.

– Jest taki śliczny – powiedziała Rebeka omdlałym głosem. – Tignor, dziękuję ci...

Te emocje niemalże ją przygniotły. A jednak jakaś część umysłu zachowała niezależność i drwiła z tego wszystkiego. *To jest ten pierścionek. Wyniósł go z tamtego pokoju. Ukradł go człowiekowi, którego omal nie zabił. Czeka, aż go rozpoznasz, aż go oskarżysz.*

Rebeka wzięła pierścionek z rąk Tignora i wsunęła go na mały palec, na który z kolei okazał się za luźny.

Pocałowała Tignora. Usłyszała własny wesoły śmiech.

– Tignor, czy to znaczy, że jesteśmy zaręczeni?

Tignor parsknął drwiąco.

– Jak cholera, dziewczyno. To znaczy, że dałem ci piękny pierścionek, i tyle. – Był bardzo zadowolony z siebie.

Za wysokim, wąskim oknem okolonym ciężkimi aksamitnymi draperiami zimowe słońce niemal zniknęło za linią drzew. Śnieg jarzył się ponurą, cienistą bielą, niezliczone ślady psów, które przedtem nękały jej oko, zniknęły. Rebeka znowu się roześmiała, to ten nasycony smakiem, ognisty bourbon doprowadzał ją do śmiechu. Te wszystkie niespodzianki uderzyły jej do głowy. Brakowało jej tchu, jakby dotąd cały czas biegła.

Wtulała się w ramiona Tignora i całowała go beztrudnie. Jak ktoś, kto rzuca się z wielkiej wysokości, spada, nurkuje do wody, ufając ślepo, że woda go przyjmie, a nie zmiążdży.

– Tignor! Kocham cię. Nie zostawiaj mnie, Tignor...

Mówiła to z żarem, na poły łkając. Ścisnęła go kurczowo, ścisnęła jego tłuste i zarazem umięśnione ramiona. Tignor odwzajemnił pocałunek, ustami, które stały się nieoczekiwanie miękkie. Od chwili, gdy Rebeka sama przytuliła się do niego, był tak zdumiony jej pasją, że niemal się wzdrygnął, cofnął. Dotąd to zawsze Rebeka sztywniała, odsuwała się. A teraz całowała go z całej siły, jakby ogarnęła ją szala, z zamkniętymi oczyma, które widziały roziskrzony lód na rzece, zabarwiony od słońca na niebiesko, które widziały odporność lodu, której pragnęła dla siebie. Triumfalnie zacieśniła ramiona na jego szyi. Nawet jeśli bała się go teraz, jeśli bała się jego męskości, to nie dała tego po sobie poznać. Jeśli ukradł ten pierścionek, to ukradł go dla niej, odtąd miał należeć właśnie do niej. Otworzyła usta na jego usta. Teraz przejmie go w posiadanie, ofiaruje mu siebie. Nie mogła tego znieść, że jej dusza jest tak obnażona. Patrzyły na nią oczy

mężczyzny, które widziały tyle innych kobiet nago. Nie mogła tego znieść, tego obnażenia, a jednak miała go przejąć w posiadanie. Swoim ciałem, które było już ciałem kobiety, ciężkimi piersiami, brzuchem, kępą sztywnych i czarnych włosów łonowych, które niczym wodorosty rosły w stronę pępka, napełniając ją gniewnym wstydem.

Niczym ogień, który ogarnia suche gałęzie, gdy na nie rzucić zapaloną zapalną, tak Rebeka całowała Nilesa Tignora.

Pospiesznie zdarł z niej ubranie. Nie zwrócił uwagi na to, że dekolt angorowego sweterka jest rozciągnięty i brudny, na ubranie Rebeki zwracał tyle samo uwagi, ile na otaczającą ich tapetę w kwiatki. Tam, gdzie nie potrafił odpiąć guzika albo haftki, szarpał. I swoje ubranie też po części rozerwał, z pośpiechu szarpiąc na oślep. Ściągnął ciężką narzutę z łóżka, cisnął ją na podłogę, po raz kolejny rozrzucając dolary, tym razem na dywan. Część banknotów gdzieś się zagubiła, ukryła w fałdach narzuty – później miała je tam odkryć pokojówka. Chciał się kochać z Rebeką zaraz, natychmiast, ale był doświadczonym kochankiem niedoświadczonych dziewczyn i miał dość przytomności umysłu, by przynieść z łazienki nie jeden, ale trzy ręczniki, te same ręczniki, które Rebeka wstydziła się pobrudzić; poskładał te ręczniki zręcznie i ułożył je na łóżku, pod udami Rebeki.

Rebeka zastanawiała się, po co to, po co takie środki zapobiegawcze. A potem zrozumiała.

A potem znowu wyjechał. Ruszył w drogę i znowu go nie było. Minął jeden dzień i jedna noc od ich powrotu z Beardstown i wyjechał, rzucając tylko: „Do widzenia!” I nie miała żadnych wieści, ani od niego, ani o nim. Aż pewnego dnia, pod koniec lutego, zmusiła się, żeby pogadać z Mulingarem. Mulingar leniwie przecierał bar szmatą, kiedy Rebeka Schwart w białym uniformie pokojówki, z włosami zaplecionymi w warkocz owinięty wokół głowy, spytała cicho, kiedy jego zdaniem Tignor wróci do Milburn, na co Mulingar zareagował impertynenckim uśmiechem.

– A kto pyta, mała? – spytał. – Ty?

Nawet wtedy, kiedy prędko odchodziła, nie oglądając się na męczyznę pochylonego nad barem, obserwującego jej oddalające się ciało, jej biodra i umięśnione nogi, zamiast pomyśleć: *Wiedziałam. Zasłużyłam sobie na to upokorzenie, równie nieugięcie jak przedtem pomyślała: On się ze mną ożeni, on mnie kocha! Oto dowód,* gładząc palcem gładki, jasnioletowy kamyk osadzony w lekko wytartej obrączce, która jej zdaniem na pewno była z prawdziwego srebra.

Już wtedy, kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy, dziewczyno.

Wyjechał, ale Rebeka wiedziała, że on wróci. Bo obiecał.

W pracy zdejmowała i chowała pierścionek. Owijała go w bibułkę i nosiła go blisko serca, w kieszonce swego uniformu z białego, sztucznego jedwabiu. Kiedy zdejmowała uniform pod koniec zmiany, wkładała pierścionek na mały palec lewej dłoni.

Teraz pasował idealnie. Katy pokazała jej, jak go zmniejszyć za pomocą wąskiego paska przezroczystej taśmy.

W skromnym kręgu znajomych Rebeki wszyscy wiedzieli, że to Niles Tignor dał jej ten pierścionek. *Jesteś zaręczona? Spędziłaś z nim noc, prawda?* Rebeka nie chciała rozmawiać o Tignorze. Nie była z tych, które ot tak rozmawiają o swoim prywatnym życiu. Nie była z tych, które się śmieją i żartują z mężczyzn jak inne kobiety. Jej uczucie do Tignora było zbyt głębokie.

Nienawidziła tego, tej niefrasobliwości, z jaką kobiety mówiły o mężczyznach, kiedy w pobliżu żadnego nie było. Tych wulgarnych, drwiących uwag, które niby miały być śmieszne: jakby kobiety zupełnie się nie bały męskiej siły, władzy mężczyzn takich jak Tignor. Lekkomysłności mężczyzn potrafiących rozsiewać swoje nasienie z bez troską mlecza albo klonu, których nasiona wirują jak oszalałe na porywach wiosennych wiatrów. Kobięca złośliwość była czysto defensywna, podyktowana desperacją.

Dlatego właśnie Rebeka nie zamierzała rozmawiać o Tignorze, mimo że jej przyjaciółki uparcie ją wypytywały. Czy jest zaręczona? A kiedy on wróci do Milburn?

– Nie jest taki, jak myślicie – protestowała. – On jest...

Wiedziała, że śmieją się za jej plecami i że jej współczują.

W starej, kamiennej chatce na cmentarzu padało wiele słów, ale to były słowa o śmierci. Teraz Rebeka nie ufała słowom. Z pewnością nie istniały żadne adekwatne słowa, którymi mogłaby opisać to, co zaszło między nią i Tignorem w Beardstown.

Jesteśmy teraz kochankami. Kochaliśmy się. Kochamy się...

Brzydkie słowa, które chłopcy gryzmolili na murach i chodnikach w Milburn. Nieodmienne KURWA pisane woskiem, wysokimi literami na oknach wystawowych, na oknach w szkole w poranek święta Halloween.

Tak rzeczywiście jest, stwierdziła Rebeka. Słowa kłamią.

Czuła pewność, że Tignor do niej wróci, bo obiecał. Był pierścionek. Kochali się, Tignor kochał ją swoim ciałem, w tym nie mogło być fałszu.

Zdarzenia erotyczne nie dzieją się w izolacji, nie jest tak, że doświadcza się ich tylko raz i potem zapomina. To, co erotyczne, istnieje wręcz wyłącznie w pamięci: jest wspomniane, wyobrażane, na nowo przeżywane w terażniejszości. To Rebeka teraz rozumiała, bo nawiedzało ją wspomnienie tamtych kilku godzin w Beardstown, zdających się mieć swoje miejsce w terażniejszości, do której tylko ona miała dostęp. Niezależnie od tego, co akurat robiła, czy pracowała w hotelu General Waszyngton, czy też rozmawiała z innymi ludźmi, pozornie przytomna, zaangażowana w rozmowę, to jednak cały czas była z Tignorem, w Beardstown Inn. W ich łóżku, w tamtym pokoju.

Z czasem w jej pamięci zaczęło jej się jawić ich łóżko. Nie tamto łóżko, tylko właśnie ich łóżko.

– Tignor! Daj mi odrobinę bourbona.

To Tignor robił z radością. Bo Tignor też potrzebował się napić.

Raz po raz przykładął szklanekę do spierzchniętych warg Rebeki, która leżała w skotłowanej, brudnej pościeli. Włosy kleiły jej się do spoczonej twarzy i szyi, jej piersi i brzuch były śliskie od potu, jej potu i Tignora. Przez niego strasznie teraz krwawiła, złożone ręczniki ledwie wystarczyły, by wchłonąć taką ilość krwi.

Tignor kochał się z nią, ledwie zwracając uwagę na jej zduszone okrzyki. Poruszał się na niej, ogromny i niszczycielski jak lawina. Ten jego ciężar! To cielsko i to gorąco. Rebeka nigdy w życiu nie doświadczyła czegoś takiego. Gwałtownie otworzyła oczy, tak ją to zszokowało. Ten mężczyzna właczał w nią siebie, jakby to stanowiło cały sens jego życia, a jednocześnie robił to tak gorączkowo, jakby nie potrafił nad tym panować, nad tym płomieniem wypływającym z niego z mocą katastrofy. Rebekę znał od niedawna, nie mógł zauważyć, że próbowała go pieścić, całować, wymawiać jego imię.

Później starała się ukryć krwawienie. Ale Tignor zauważył je i zagwizdał przez zęby.

– Ja cię kręcę...

Nic jej się jednak nie stało. Nawet jeśli pojawił się ból, pulsujący ból, nie tylko między nogami, gdzie była poobcierana, okaleczona, jakby wepchnął jej tam swoją pięść, ale także w okolicach kręgosłupa i w zaczerwienionej, otartej skórze na piersiach i szyi, która nosiła ślady jego zębów, to jednak nie płakała, cholera jasna, nie zamierzała płakać. Zrozumiała, że Tignor czuje jakąś tam skruchę. Teraz, kiedy już go tak nie piliło od tego ognia, kiedy już wpompował w nią swoje życie, po męsku wstydził się i bał, że ona zaraz wybuchnie bezradnym płaczem, a wtedy musiałby ją pocieszać, co kłóciłoby się z jego naturą. Poczucie winy rozwścieczyłoby Nilesa Tignora niczym konia, którego oblaży gzy.

Przyznał ponadto, że się nie „zabezpieczył”. Mimo że przecież chciał to zrobić.

Rebeka wiedziała instynktownie, że nie może dopuścić, by Tignor poczuł się winny albo skruszony. Bo wtedy by ją znieubił. Nie chciałby już więcej się z nią kochać. Nie kochałby jej i nie ożeniłby się z nią.

Och, jak cudowny smak miał strumień bourbona spływający do gardła! Pili z jednej szklanki; trzymał ją Tignor, a Rebeka zaciskała palce wokół jego grubych palców. Zachwycało ją, że jego dłoń jest o tyle większa od jej dłoni. Dłoń o wydatnych stawach, z wierzchu porośnięta włoskami barwy niklu, bujnymi jak futro.

Była naga i ten mężczyzna był nagi. W tym pokoju, w ich łóżku w Beardstown Inn, gdzie wspólnie spędzali noc.

Znienacka stali się sobie bliscy. Szok nagości przeminął, przeobraził się w coś bardzo dziwnego: w intymność, w spoconą bliskość ich ciał. Jeśli się teraz całowali, to pocałunek należał już do tej nowej fazy. Byli kochankami i nic nie mogło zmienić tego faktu.

Rebeka uśmiechała się, chciwie łaknąc tej wiedzy. To, co Tignor zrobił z nią, z jej ciałem, było tak nieodwracalne jak strzał z dubeltówki.

– Kochasz mnie, Tignor, prawda? Powiedz, że tak.

– „Że tak”.

Zaśmiała się i trzepnęła go dłonią. Dla żartu, w tej nowej, oszłamiającej intymności, w której ramach ona, Rebeka Schwart, miała teraz prawo lekko ganić swego kochanka.

– Tignor! Powiedz, że mnie kochasz.

– Jasne, kotek.

Leżeli otumanieni, wyczerpani, w lepkiej, cuchnącej pościeli. Niczym pływacy, którzy zużyli wszystkie swoje siły i teraz leżą na piasku, ciężko dysząc. To, co zrobili, zdawało się mniej liczyć niż to, że to zrobili i uszli z życiem.

Tignor osuwał się prędko w stronę snu. Przez jego ciało przebiegały spazmy i dreszcze tego rozbuchanego życia, które kryło się w jego wnętrzu. Rebeka nie mogła się nim nadziwić, faktem, że on istnieje. Kołysała go w ramionach, choć było jej niewygodnie, ciężar jego lewego ramienia miażdżył jej prawe ramię. *Co oznacza to, co razem zrobiliśmy?* Czuła gniewne, bolesne pulsowanie między nogami, a mimo to ból był daleki, dało się go wytrzymać. W jej żyłach krążył ognisty bourbon, sama też lada chwila miała zasnąć.

Obudziła się później, w środku nocy. Lampka na nocnym stoliku wciąż się paliła.

Gardło ją piekło od bourbona, strasznie chciało jej się pić. A spomiędzy nóg wciąż ciekła krew. Niemalże wpadła w panikę. Niemalże nie mogła sobie przypomnieć imienia tego mężczyzny.

Zerknęła na niego z odległości kilku cali. Był tak blisko, a jednak widziała go z trudem. Skórę miał ogorzałą, chropawą, wciąż bardzo ciepłą. Pocił się podczas snu, bo śnił nerwowo, niespokojnie. Mruczał przez sen, jęczał, kwilił ze zdziwieniem jak dziecko. Jego metaliczne włosy, które unosiły się nad czołem, podobne do mokrych kolców... Brwi miały ten sam metaliczny połysk, podobnie jak zarost, który wybijał spod skóry na szczęce. Obrócił się na plecy, rozwalił na łóżku, przerzucił lewą rękę na Rebece. Leżała w tym schronieniu, przygwożdżona odrętwiąjącym ciężarem.

Jak ciężko oddychał ten mężczyzna przez sen! Czasem pochrapywał, w jego gardle co i raz rodziło się wilgotne, rytmiczne kłaskanie podobne do okrzyków nocnego owada.

Rebeka wyslizgnęła się z łóżka, które było niezwykle wysokie. Skrzywiła się, ból w kroczu przypominał cięcie nożem. Nadal krwawiła, więc musiała zabrać z sobą ręcznik, by nie zaplamić dywanu.

– Co za wstyd. O Chryste.

A jednak wiedziała, że to coś zupełnie naturalnego, prawda?

Katy i inne dziewczyny będą strasznie ciekawe, co zaszło w Beardstown. Wiedziały, że Rebeka nigdy „nie była z mężczyzną”. Albo tylko im się wydawało, że to wiedzą. Teraz zachłannie będą chciały wiedzieć i będą ją przesłuchiwały. Ona im nic nie powie, a one będą ją obgadywały za plecami, będą dociekały.

Niles Tignor! Tak się nazywał ten mężczyzna.

Na zeszytniałych nogach poszła do łazienki, zamknęła się w środku. Co za ulga, nareszcie sama!

Rozdygotanymi dłońmi umyła się między nogami za pomocą zwilżonego papieru toaletowego. Nie chciała splukiwać toalety, dopóki się nie upewni, że krwawienie ustało, bo bała się, że obudzi Tignora. Było już dwadzieścia po trzeciej. W hotelu panowała cisza. Rury kanalizacyjne były stare i hałaśliwe. Ze zdumieniem zobaczyła, że wypływa z niej świeża krew, na szczęście wolniej niż przedtem.

– Nic ci nie będzie. Nie wykrwawisz się na śmierć.

W lustrze nad umywalką zobaczyła ze zdumieniem swoją zarumienioną twarz, dziko potargane włosy. Na wargach, jakby poranionych i spuchniętych, nie zostało ani odrobiny szminki. Jej oczy przepełnione maleńkimi, czerwonymi żyłkami wyglądały jak popękane. Nos świecił się jak posmarowany tłuszczem. Ależ ona była brzydka, jak jakikolwiek mężczyzna mógł ją kochać?

A jednak się uśmiechała. Była dziewczyną Nilesa Tignora, ta krew stanowiła dowód.

Krwawienie miało ustać nad ranem. To nie była krew menstruacyjna, która by ciekła przez kilka dni. Nie tak ciemna jak tamta krew, bez skrzepów. I inaczej też pachniała. Postanowiła, że będzie się myła, myła i myła, tak długo, aż wreszcie będzie czysta i ten mężczyzna więcej o tym nie pomyśli.

Rozerwał jej błonę dziewiczą, czyli inaczej hymen, Rebeka знаła te terminy ze swojego słownika. Wiele lat wcześniej uśmiechała się, bo to słowo było takie podobne do słowa hymn.

Znienacka przypomniało jej się, jak siedziała na nabożeństwach obok Rose Lutter, która była dla niej taka dobra, jak siedziała, ale wcale nie słuchała kazań. Jej myśli dryfowały wtedy w stronę mężczyzn, męskości, seksu. A jednak były to myśli pełne obaw i odrazy, bo jeszcze wtedy nie знаła Nilesa Tignora.

Chciał się kochać rankiem, mimo że był przymulony i skacowany. Z ust cuchnęło mu jak z rowu ściekowego, a mimo to koniecznie chciał się kochać. Był podniecony, szalał z miłości do niej. Nie potrafił oderwać od niej rąk, tak twierdził. Wariował na jej punkcie, bo była taka piękna. *Moja Cyganeczka. Moja Żydówka. O Jezu...*

Kiedy później wracali samochodem Tignora do Milburn, Rebeka, która trzymała głowę na jego ramieniu, powiedziała:

– Musisz wiedzieć, że ja nie jestem Cyganką, Tignor. I Żydówką też nie.

Tignor, którego oczy w ostrym, porannym powietrzu były zamglone i którego szczęki lśniły szczecina, bo golił się w pośpiechu, jakby tego nie usłyszał. Niczym rybak, który zarzuca wędkę prosto do rwącego potoku, myślał już o Milburn i o tym, co go tam czekało. I jeszcze dalej.

– Jasne, dziecinko. Ja też nie.

Pierścionek: to nie był ten pierścionek, który Baumgarten/Bumstead ułożył u stóp swego łóżka, by skusić Reбекę. Nabrała co do tego pewności, teraz, kiedy miała czas, by go sobie dokładnie obejrzeć. Oczko w tamtym pierścionku było ciemniejsze, kwadratowe albo prostokątne, poza tym przezroczyste jak szkło. (Najprawdopodobniej zwykłe szkiełko.) Mały, owalny kamyk w tym pierścionku był fioletowy i mleczny.

Nie zaszła w ciążę. Nosila jednak w sobie brzemię swoich uczuć do tego mężczyzny, uczuć, które towarzyszyły jej wszędzie i zawsze.

Minęła połowa marca, a jednak wciąż panowała zima, noce były bardzo zimne. Tylko dni się wydłużały, zdarzały się coraz dłuższe okresy, kiedy świeciło słońce, dzięki czemu lody zaczęły topnieć. Rebeka uparcie wierzyła, że Tignor wróci, że jak zawsze zamelduje się w hotelu General Waszyngton i zadzwoni do niej. Wiedziała, ufała mu. A

jednak kiedy wczesnym wieczorem zadzwonił telefon i LaVerne Tracy go odebrała, Rebecę serce zabiło ze strachu, gdy stanęła na progu, by słuchać. LaVerne była tłustawą blondynką, która miała dwadzieścia trzy lata i przy mężczyznach zawsze robiła się kokieteryjna i uszczypliwa; zawsze można się było zorientować, że LaVerne rozmawia przez telefon z mężczyzną, bo na twarzy miała taki złośliwy uśmiech.

Rebeka? Nie wiem, czy jest w domu. Sprawdź.

Rebeka spytała, kto dzwoni.

LaVerne nakryła słuchawkę dłonią, z obojętną miną.

– On.

Rebeka roześmiała się i wzięła od niej słuchawkę.

Tignor chciał się z nią zobaczyć tego wieczoru. Po dziesiątej, jeśli będzie wolna. Przeżyła szok, słysząc jego głos w swoim uchu, tak blisko. Ten głos brzmiał nerwowo, wcale nie taki rubaszny i pewien siebie, jak go Rebeka zapamiętała. Jego śmiech wydawał się wymuszony, nieprzekonujący.

Rebeka odparła, że tak, że zobaczy się z nim. Ale tylko na krótko, musi iść do pracy następnego ranka.

Tignor odparł sztywno, że on też pracuje następnego ranka, że jest w Milburn w interesach.

W lutym Rebeka nie miała wymówki, którą mogłaby podać Amosowi Hrubemu, dlatego przysłała do pracy spóźniona, kiedy Tignor przywiózł ją w południe z Beardstown. Stała niema i ponura, kiedy Hrubę prawił jej kazanie, twierdząc, że inna pokojówka musiała zająć się jej pokojami. Tignor chciał porozmawiać z Hrubem w jej imieniu, ale mu nie pozwoliła. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, było to, by personel hotelu gadał o niej i Tignorze, oprócz tego, co już gadali.

Było dwadzieścia po dziesiątej, kiedy studebaker Tignora zajechał pod kamienicę na Feny Street. Tignor nie wszedł na górę, by zapukać do drzwi mieszkania; wszedł tylko do przedsionka i zawołał Rebece, z nutą zniecierpliwienia w głosie.

– Poślij tego łajdaka do wszystkich diabłów – rzuciła LaVerne. – Kurde, jemu się chyba wydaje, że z niego jakiś cud-miód, skoro się tak na ciebie wydziera.

Rebeka wiedziała, że LaVerne poznała Nilesa Tignora wcześniej niż ona, ale ich wzajemne relacje były dla niej niejasne.

Roześmiała się i powiedziała współmieszkance, że jej to nie przeszkadza.

– A mnie przeszkadza – odparowała LaVerne. – Ten facet to łajdak.

Rebeka wyszła z mieszkania. Wiedziała, że LaVerne poskarży się Katy, a Katy skwituje to wzruszeniem ramion i śmiechem.

Ot, męski świat, i co tu zrobić, psiakość...

Rebeka poszłaby do Nilesa Tignora nawet wtedy, gdyby tylko pstryknął na nią palcami. Poszłaby, ale na własnych warunkach. Bo musiała znowu go zobaczyć i być z nim, odnowić intymny charakter ich związku.

Miała na sobie płaszczyk w zieloną kratę, z którego była taka dumna, bo go dostała od Tignora. Rzadko kiedy wkładała ten płaszcz, bo był zbyt elegancki jak na Milburn i jak na hotelową pokojówkę. Pomalowała usta jarzeniową szminką w kolorze piwonii. Na palcu miała srebrny pierścionek z owalnym, mleczno-fioletowym kamykiem; do tego czasu zdążyła się już dowiedzieć, że to opal.

– Tignor! Cześć...

Kiedy Tignor zobaczył ją na schodach, jego uśmiech zbladł, a w jego twarzy coś jakby zaczęło pękać. Zaczął mówić, wyraźnie zamierzał być wesołkowaty w swoim zwykłym, zawadiackim stylu, ale zawiódł go głos. Podeszedł prędko do Rebeki i ujął ją za rękę, silnie, niezdarnie.

– Rebeka. O Jezu...

Rebeka spod spuszczonej rzes oszacowała mężczyznę, który był jej kochankiem i który miał zostać jej mężem: rumianego, zmysłowego mężczyznę, który ją uwiódł i chciał ją złamać, wykorzystać i odrzucić, jakby liczyła się tyle co zużyta chusteczka: zobaczyła go, w tym momencie obnażonego, nagiego. Z tą dobroduszną, towarzyską fasadą, pod którą krył się ponury nihilizm, chaos. Z tą duszą jak głęboka, kamienna studnia o stromych, zdradzieckich ścianach, w której wybrano prawie całą wodę.

Rebeka przyswoiła tę wiedzę i aż zadygotała.

A jednak nadstawiła twarz, dała się pocałować. Bo istnieją takie rytuały, które po prostu trzeba uprawiać. To nie był z jej strony żaden podstęp, że przysunęła swoją młodą, ochoczą twarz do jego twarzy, te wilgotne, czerwone usta, które go tak podniecały. Bo chciała go przekonać o swoim całkowitym zaufaniu, by dzięki temu jej nie skrzywdził.

Tignor zawahał się i pocałował ją. Rebeka zrozumiała w ostatniej chwili, że wcale nie chciał jej pocałować. Światło w przedsionku, nędznym i zaśmieconym, biło po oczach. Mieszkańcy parteru mieli małe dziecko i Tignor potknął się o trzykołowy rowerek, kiedy się witał z Rebeką. Zamierzał pocałować ją lekko, typowo powitalnym pocałunkiem, a jednak nawet z tym sobie nie poradził. Jąkał się, choć wcześniej nikt nigdy w całym Milburn nie słyszał jękającego się Nilesa Tignora.

– Ja... chyba... tęskniłem za tobą. O Jezu, Rebeka...

Zawiesił głos i sterczał tam jak słup soli.

Na zewnątrz, przy krawężniku Ferry Street stał na jałowym biegu, ziejąc kłębami spalin studebaker, niebieski jak jajo drozda.

W samochodzie Tignor próbował niezdarnie przekręcić kluczyk w stacyjce, ale ten kluczyk już był przekręcony, silnik pracował. Zaklął i zaczął się śmiać. Wnętrze samochodu przestało pachnieć elegancką, nową tapicerką, odezwała się w nim woń bourbona, dymu papierosowego. Wśród gazet walających się na tylnym siedzeniu Rebeka zauważyła walizkę, parę męskich butów, błysk butelki. Zastanawiała się, czy ta butelka jest pusta albo może jest jeszcze w niej bourbon, a jeśli tak, to czy Tignor się spodziewa, że ona będzie z niej piła.

– Możemy jechać do hotelu, kotek – powiedział Tignor. – Tam się zatrzymałem.

Nie patrzył na Rebekę. Jechał powoli po Ferry Street, jakby nie całkiem był pewien, gdzie jest. Rebeka odparła cicho, że nie.

– Nie do hotelu.

– Czemu nie? Mam pokój – odparł. A kiedy mu nie odpowiedziała, dodał: – To moja prywatna sprawa, kogo sobie sprowadzam. Nikt nie będzie przeszkadzał. Oni mnie tu znają i szanują moją prywatność. Mam apartament na siódmym piętrze, który ci się spodoba.

Rebeka znowu powiedziała cicho, że nie. Nie do hotelu.

– Tam są okna z widokiem na kanał, na dachy. Zamówię kolację do pokoju. Coś do picia.

Nie! Nie! Nie chciała. Niemalże się uśmiechała, zagryzając dolną wargę.

Tignor jechał teraz szybciej, skręcił w Main. Na samym szczycie stromego wzgórza, pośród skupisk pociemniałych budynków, lśnił światłami hotel Generał Waszyngton.

– Nie do hotelu, Tignor – powiedziała Rebeka. – Wiesz dlaczego.

– No to dupa zimna. Pojedziemy gdzieś indziej.

– Tylko nie do żadnego hotelu, Tignor.

W migotliwej łunie ulicy Rebeka widziała, że Tignor na nią patrzy. Mogła go spoliczkować. Mogła się z niego śmiać, naigrawać z niego. Widziała, że jest zaskoczony, że go obraża i że to dociera do niego powoli niczym fizyczny ból. I że czuje odrazę do niej, upartej, odpornej kobiety. Zacisnął szczęki, ale też przymusił się do uśmiechu.

– Ty jesteś szefem. Jasne.

Pojechał do Sandusky's, tawerny nad rzeką. Musieli pokonać dwie mile i podczas jazdy nie odezwał się ani słowem do Rebeki. Ona też nic do niego nie mówiła.

Nie tknie mnie, pomyślała spokojnie. Nie będzie chciał zrobić mi krzywdy.

Gdy tylko weszli do zadymionego wnętrza, jacyś mężczyźni zaczęli wołać do Tignora:

– Hej, Tignor! Witaj, stary!

– Tignor! Co u ciebie?

Rebeka wyczuła, jakim zadowoleniem to napełnia Tignora, że go tak rozpoznają i lubią. Puszył się i odpowiadał wszystkim na pozdrowienia. Oczywiście znał Sandusky'ego, właściciela tawerny, znał też barmanów. Podawał im ręce, klepał się z nimi po plecach. Odrzucił jednak ich zaproszenie, by usiąść przy barze, gdzie bardzo chcieli go ugościć. Nie przedstawił Rebeki, która trzymała się z tyłu, w niewielkiej odległości. Widziała, że tamci ją szacują i że podoba im się, co widzą.

Dziewczyna Tignora.

Nowa, młoda.

Niektórzy z tych mężczyzn musieli ją znać albo o niej słyszeć. Ta dziewczyna od Schwartów. Córka grabarza. Tyle że już starsza, już nie dziecko. W absorbującym towarzystwie Nilesa Tignora nie rozpoznali jej jednak.

– Chodź tu, mała. Tu jest spokojnie.

Tignor zaprowadził ją do boks, z dala od baru. Nad ich głowami wisiał sznur wesołych zielonych i czerwonych lampek, pozostałość po Bożym Narodzeniu. Tignor zamówił dla siebie black horse'a, dwie szklanki. I colę dla Rebeki. Mogła się napić piwa ze szklanki Tignora, gdyby zechciała. Miał nadzieję, że zechce.

– Głodna? Sam mógłbym zjeść konia z kopytami.

Zamówił dwa półmiski pełne kanapek z pieczenią wołową, smażoną cebulką, frytkami i keczupem. Chciał też chipsów. I solonych orzeszków. Ogórków z octu, całego talerza. Rozmawiał z nią teraz na swój zwykły sposób, swobodny, buńczuczny. W tym miejscu, gdzie inni mogli ich obserwować, nie chciał być postrzegany jako człowiek, który czuje się nieswojo przy swojej dziewczynie. Opowiadał o ostatnich podróżach po stanie, po Dolinie Hudson, na południe do hrabstwa Catskill, ale bardzo ogólnikowo. Rebeka wiedziała, że nie mówi jej o sobie niczego ważnego. W Beardstown, kiedy mieli sposobność, też nic nie mówił. Opychał się jedzeniem, pić i ciałem Rebeki, nie chciał niczego więcej.

– Ostatnie dwie noce spędziłem w Rochester. W Statlerze, to taki wielki hotel. Słuchałem kwartetu jazzowego w nocnym klubie. Lubisz jazz? Nie znasz jazzu? No to może cię tam kiedyś zabiorę. Do Rochester.

Rebeka uśmiechnęła się.

– Mam nadzieję.

W migotliwym świetle Rebeka była piękną dziewczyną, być może. Od czasu, gdy Tignor się z nią kochał, jeszcze wypiękniała. A jego potężnie do niej ciągnęło, bo wciąż pamiętał. Niemalże nie mógł tego ścierpieć, tej władzy, jaką ta dziewczyna nad nim miała, tego, że przez nią robił się kompletnie rozkojarzony. Bo wołał nie rozmyślać o przeszłości. Nie chciał, żeby przeszłość, choćby nawet ta sprzed kilku tygodni, wywierała na niego wpływ w teraźniejszości. Jego zdaniem mężczyzna, który ulega takiemu wpływowi, jest słaby, niemęski. Chciał żyć wyłącznie teraźniejszością. A jednak nie umiał tego zrozumieć, dlaczego Rebeka trzymała się teraz na dystans. Uśmiechała się, ale czujnie. Jej oliwkowa cera nabrała gorączkowej łuny, jej oczy były nadzwyczaj czyste, ocienione czarnymi, gęstymi rzęsami, które opadały pod osobliwym, jakby podstępny kątem.

– No więc jak? Nie kochasz mnie jak ostatnio, co?

Tignor był na poły melancholijny, na poły żartobliwy, ale w jego oczach czaił się lęk. Nie to, że chciał kochać jakąś kobietę, ale strasznie chciał być kochany.

– Kocham cię, Tignor – odparła Rebeka. – Naprawdę cię kocham.

Powiedziała to dziwnie wybuchowym, niepokojącym tonem. W tawernie panował taki hałas, że Tignor mógł udawać, że nie usłyszał. Jego blade, płaskie oczy zmętniały, na twarz wypełził tępy rumieniec. Jeśli nawet usłyszał słowa Rebeki, to nie miał pojęcia, co z nimi zrobić. Pojawiły się talerze z pieczenią. Tignor zjadł swoją porcję i sporą część porcji Rebeki. Dopił do końca obie szklanki piwa i zamówił trzecią. Wyszedł chwiejnie z boks, by iść do toalety.

– Idę się wyszczać, kotek. Zaraz wracam.

Cham! Wkurzający cham. Wyszedł z boks, ale wcale nie wrócił od razu.

Rebeka bezmyślnie pogryzała tłuste frytki, widząc, że Tignor przystaje przy innych boksach i przy barze. Kilku mężczyzn przy barze wyraźnie go znało. Pojawiła się jakaś kobieta w turkusowym sweterku, z natapirowanymi blond włosami, która uparcie oplatała ręką szyję Tignora, przemawiając do niego z przejęciem. I jeszcze był właściciel tawerny, Sandusky, z którym Tignor odbył dłuższą rozmowę, przerywaną salwami śmiechu. *Chce się ukryć wśród nich*, pomyślała Rebeka. *Jakby był jednym z nich*.

Czuła w sobie triumf posiadaczki, bo ona poznała tego mężczyznę intymnie. Nikt z tamtych ludzi nie poznał Tignora tak, jak ona go poznała.

Mimo to celowo trzymał się od niej z daleka. Wiedziała, wiedziała, co on robi; nie dzwonił do niej przez wiele tygodni, zapomniał o niej. Wiedziała i godziła się na to. Przyszłaby do niego jak pies, gdyby tylko pstryknął palcami, ale tylko tyle: nie zmusiłby jej do niczego więcej. Kiedy Tignor wrócił do Rebeki, niosąc świeże piwo, jego twarz była spocona i zaczerwieniona; szedł ze skupieniem człowieka, który przemierza rozchybotany pokład. Wpił wzrok w jej oczy, znowu z tą osobliwą mieszanką lęku i odrazy.

– Przepraszam cię, mała. Wciągnęło mnie tam. – Nie powiedział tego przeproszającym tonem, ale pochylił się, by pocałować ją w policzek. Dotknął jej włosów, pogłaskał. Jego dłoń zatrzymała się na jej ramieniu. – Już wiem co. Kupię ci jakieś kolczyki, Rebeka. Złote kółka. Ten cygański wygląd jest taki seksowny.

Rebeka dotknęła swoich uszu. Katy przebiła jej uszy szpilką „wysterylizowaną” nad płomieniem świecy, dzięki czemu mogła nosić kolczyki, ale małe dziurki nie wygoiły się jak należy.

– Nie potrzebuję kolczyków, Tignor – powiedziała niespodziewanie. – Ale dziękuję ci.

– Dziewczyna, która nie potrzebuje kolczyków. Jezu... – Tignor usiadł ciężko naprzeciwko niej. Gestem pijackiego zadowolenia przejechał zamasyżuje dłonią po swoich włosach i potarł poczerwieniałe powieki. – Ktoś mi powiedział, Rebeka, że jesteś... jak to było? – dodał dobrodusznie, jakby dopiero teraz mu się przypomniało – ...że jesteś podopieczną stanu.

Rebeka skrzywiła się, bo to jej się nie spodobało. Cholera, ludzie gadali o niej Nilesowi Tignorowi!

– Jestem podopieczną hrabstwa Chautauqua. Bo moi rodzice nie żyją, a ja jeszcze nie skończyłam osiemnastu lat.

Nigdy wcześniej nie wypowiedziała takich słów.

Moi rodzice nie żyją.

Bo tak dokładnie to wcale nie myślała o Jakubie i Annie Schwart jako o zmarłych. Czekali na nią w starej, kamiennej chatce na cmentarzu.

Tignor pił i czekał, aż Rebeka powie coś więcej, więc powiedziała z entuzjazmem uczennicy:

– Sąd wyznaczył na moją opiekunkę taką jedną kobietę, była nauczycielką. Mieszkałam z nią przez jakiś czas. Ale teraz już nie chodzę do szkoły, nie potrzebuję opiekunki. Sama się utrzymuję. A kiedy skończę osiemnaście lat, przestanę być podopieczną.

– Kiedy to będzie?

– W maju.

Tignor uśmiechnął się, ale wyraźnie był zakłopotany, niespokojny. Siedemnaście: taka młoda!

Miał co najmniej dwa razy tyle lat co ona.

– Ta opiekunka, kto to jest?

– Kobieta. Chrześcijanka. Była... – Rebeka zawahała się, nie chcąc podawać nazwiska Rose Lutter. – Była dla mnie bardzo miła.

Poczuła wyrzuty sumienia. Zachowała się źle wobec panny Lutter i teraz się wstydziła. Nie tylko dlatego, że opuściła pannę Lutter bez pożegnania, ale również dlatego, że panna Lutter trzy razy próbowała się z nią skontaktować w hotelu i Rebeka darła zostawione przez nią wiadomości.

– Czemu sąd ją wyznaczył? – dopytywał się natarczywie Tignor.

– Bo była moją nauczycielką w podstawówce. Bo nie znalazł się nikt inny.

Rebeka mówiła to zniecierpliwionym tonem, wołała, by Tignor zmienił temat!

– Cholera, ja bym mógł być twoim opiekunem, dziewczyno. Nie potrzebujesz jakichś obcych ludzi.

Rebeka uśmiechnęła się niepewnie. Zrobiło jej się gorąco, była zażenowana, że Tignor ją tak przesłuchuje. Nie bardzo rozumiała, do czego on zmierza. Pewnie tylko się z nią droczył.

– Nie lubisz o tym rozmawiać, co? – spytał.

Potrząsnęła głową. Nie, nie! Psiakrew, niech on jej lepiej da spokój.

Normalnie lubiła, jak Tignor się z nią droczył, owszem. Na ten swój bezosobowy sposób, sprawiając, że się śmiała i czuła seksownie. Ale tym razem było tak, jakby wpychał w nią pięść tam od dołu, ot tak, dla zabawy, sprawiając, że wiła się i popiskiwała.

Rebeka ukryła twarz, ta myśl była taka ohydna.

Skąd się wzięła ta ohydna myśl!

– Mała, co jest? Ty płaczesz?

Oderwał dłonie Rebeki od jej twarzy. Nie płakała, ale nie chciała spojrzeć mu w oczy.

– Wolałbym, żebyś mnie dzisiaj bardziej lubiła. Chyba coś się między nami popsulo. – Tignor mówił to tonem udawanego smutku. Hamowała go, kielznała tym, że tak długo stawiała mu opór. Nie był przyzwyczajony, by jakaś kobieta opierała mu się tak długo.

– Lubię cię, Tignor. Przecież wiesz – zapewniła go Rebeka.

– Ale nie chcesz jechać ze mną do hotelu.

– Bo nie jestem twoją kurwą, Tignor. Nie jestem kurwą.

Tignor skrzywił się, jakby go spoliczkowała. Takie słowa z ust kobiety strasznie go zszokowały. Zaczął się jąkać:

– Czemu ty... czemu tak myślisz? Nikt nigdy tak... nie mówił! Jezu, Rebeka! A co to... co ty wygadujesz? Nie jestem facetem, który chodzi na... kurwy. Nie chodzę, psiakrew!

Uraziła jego męską dumę. Równie dobrze mogła się pochylić nad stołem i uderzyć go z całej siły w twarz, na oczach wszystkich w tawernie Sandusky'ego.

Rebeka odpowiedziała mu rozgorączkowanym tonem, impulsywnie. Jak już raz zaczęła, to nie mogła przestać. Nie piła piwa tego wieczoru, ale czuła w sobie beztroskie uniesienie, jakby była pijana.

– Dałeś mi pieniądze, Tignor. Dałeś mi osiemdziesiąt cztery dolary. Pozbierałam te banknoty z podłogi, tyle, ile udało mi się znaleźć. Nie pomagałeś mi, przyglądałeś się tylko. Twierdziłeś, że to pieniądze od mojego brata Herszela z Montrealu, ale ja ci nie wierzę.

Aż do tego momentu Rebeka nie miała pojęcia, w co wierzy. Nie chciała okazać się podejrzliwa wobec Tignora, nie chciała tak o tym wszystkim myśleć. Osiemdziesiąt cztery dolary! I te pieniądze też „na czarno”. Teraz wydawało się prawdopodobne, że Tignor ją oszukał. Zrobiła z siebie pierwszą naiwną. Tignor zapłacił Rebecę Schwart za to, żeby została jego kurwą, i zrobił to równie zrecznie, jak tasował i rozdawał karty, by dzięki temu można było dowodzić, że Rebeka Schwart wcale nie została żadną kurwą.

– Co ty, do cholery, wygadujesz? – protestował Tignor. – Ja to zmyśliłem? Ten... no jak mu tam... Herszel naprawdę dał mi pieniądze dla ciebie. Twój własny brat, który cię kocha, na litość boską, powinnaś być wdzięczna.

Rebeka przycisnęła dłonie do uszu. Teraz to wydawało się jej oczywiste, oczywiste jak również to, że pewnie wszyscy wiedzieli.

– Ale zaraz, wzięłaś te pieniądze, prawda? Nie widziałem, żebyś zostawiła je na podłodze, dziecinko.

Tę „dziecinę” Tignor wymówił głosem ociekającym sarkazmem.

– Owszem, wzięłam je. Wzięłam te pieniądze.

Wtedy nie chciała ich kwestionować. I wydała je w ciągu kilku dni. Nakupiła mnóstwo jedzenia dla swoich współmieszkanek i siebie. Kupiła też kilka ładnych rzeczy do saloniku. Nigdy wcześniej nie była w stanie dać czegoś od siebie do mieszkania tak jak Katy i LaVerne, więc ciągle ją męczyło poczucie winy.

Teraz do niej dotarło, że musiały się domyślić, skąd były te pieniądze. Tłumaczyła, że od Herszela, ale z pewnością uznały, że dostała je od Tignora. Katy jej powiedziała, że branie pieniędzy za seks to coś, co się czasami po prostu samo zdarza.

Oczy Tignora błyszczały złośliwie.

– I wzięłaś pierścionek, Rebeka. Nosisz go, prawda?

– Oddam ci go! Nie chcę go!

Próbowała zdjąć pierścionek z palca, ale Tignor był od niej szybszy. Nakrył dłonią jej dłoń, przyciskając ją z całej siły do blatu stołu. Był wściekły, ściągała na nich uwagę, obnażyła go, upokorzyła publicznie. Rebeka pisnęła z bólu, bojąc się, że Tignor zmiążdży kości jej dłoni, znacznie drobniejszej niż jego dłoni. Czuła, że chętnie by ją zamordował, to mówiła teraz jego zaczerwieniona, wzburzona twarz.

– Wychodzimy. Bierz płaszcz. Zrób to, kurwa, bo inaczej ja to zrobię.

Tignor nie wypuścił Rebeki; schwycił jej płaszcz i swoją kurtkę drugą ręką. Wywłócił ją z boksu. Potknęła się, prawie upadła. Ludzie ich obserwowali, ale nikt nie interweniował. W pubie Sandusky'ego nikt nie rzucał wyzwania Nilesowi Tignorowi.

A jednak w studebakerze, na parkingu tawerny, walka rozgorzała na dobre. Gdy tylko Tignor puścił jej rękę, Rebekę ogarnął płomień szaleństwa i zerwała pierścionek. Nie chciała go nosić ani chwili dłużej! I wtedy Tignor uderzył ją w twarz wierzchem dłoni i zagroził, że zrobi jej coś jeszcze gorszego.

– Nienawidzę cię. Nie kocham cię. Nigdy cię nie kochałam. Jesteś jak zwierzę, jesteś obrzydliwy.

Rebeka mówiła do niego cicho, niemal spokojnie. Kulila się przy drzwiach, jej oczy jarzyły się w ciemnościach odbitym światłem neonów jak oczy dzikiego kota. Kopała go niezdarnie. Przycisnęła kolana do piersi i kopała. Tak go tym zaskoczyła, że chwilowo nie potrafił się obronić. Ale potem sklął ją i zaczął bić pięścią, nie celując jednak precyzyjnie, bo przeszkadzała mu kierownica. Rebeka zamierzyła się rozcapierzonymi dłońmi na jego twarz i byłaby mu rozorała policzki, ale nie dała rady go dosięgnąć. Tignor nie mógł się nadziwić, że jest taka lekkomyślna, walczyła z mężczyzną, który mógł rozkwasić jej twarz pojedynczym uderzeniem. Niemalże śmiał się z niej.

– Jezuu, dziewczyno!

Trafiła go ciosem na oślep, rozbijając wargę. Tignor wytarł usta i odkrył krew. Teraz już zaśmiewał się do rozpuku, ta dziewczyna była taka bezczelna, tak strasznie chciała mu przywalić, że w ogóle do niej nie docierało, co on mógłby jej zrobić.

Nie wybaczyła mu tego, że do niej nie dzwonił. Przez tyle tygodni. O to chodziło, połapał się Tignor.

Jakimś sposobem udało mu się zapuścić silnik. Trzymał Rebekę na odległość wyciągniętej ręki. Krew spływała mu po brodzie strumykami podobnymi do kłków, grożąc zniszczeniem jego zamszowej kurtki. Zawrócił studebakera i prawie udało mu się dojechać do drogi, zanim Rebeka znowu zaatakowała. Tym razem schwycił ją za gęste, długie włosy, zacisnął na nich pięść i uderzył jej głową o okno z taką siłą, że przelotnie straciła przytomność. Aż się przestraszył, że rozbił szybę. W tym momencie na parkingu pojawili się ludzie, sprawdzali, co się dzieje. Mimo to nawet teraz żaden nie interweniował. Sam Sandusky, który był znajomym Tignora, wyszedł pospiesznie na zewnątrz, z gołą głową mimo mrozu, ale za nic nie zamierzał się wtrącać. To była sprawa

między Tignorem i dziewczyną. Należało przyjąć założenie, że to, co robił tu Tignor, było celowe i usprawiedliwione.

Rebeka osłabła wreszcie i zaczęła cicho łkać. Ten ostatni cios ją uspokoił, dzięki czemu Tignor był w stanie wrócić do Milburn i na Ferry Street. Pomógłby jej wysiąść, ale kiedy zahamował przy krawężniku, Rebeka otworzyła drzwi i skulona uciekła na chodnik, a potem, potykając się na schodkach z piaskowca, wbiegła do domu. Tignor, dysząc ciężko, uruchomił silnik i odjechał. Krew ciekła mu nie tylko z ust, ale także z pojedynczego, pionowego rozcięcia w prawym policzku, gdzie dosięgły go paznokcie Rebeki.

– Suka. Walnięta suka.

Miał w sobie tyle adrenaliny, że prawie nie czuł bólu. Domyślał się, że dziewczyna też wygląda na mocno sponiewieraną; miał nadzieję, że nie połamał jej żadnych kości. Prawdopodobnie podbił jej oko, być może nawet oboje oczu. Żeby tylko nikt nie wezwał policji. Na parkingu za hotelem zapalił światła w studebakerze i zgodnie ze swoimi przewidywaniami zobaczył na przednim siedzeniu ciśnięty tam z pogardą mały pierścionek z opalem.

Płaszcz dziewczyny leżał podeptany na podłodze.

– No to koniec wszystkiego. I dobrze!

Następnego ranka twarz Rebeki była tak posiniaczona i spuchnięta, a ona sama poruszała się tak sztywno, że Katy uparła się, by zadzwonić do Amosa Hrubego, powiedzieć mu, że Rebeka jest chora i nie może tego dnia pracować.

– Powinnyśmy zadzwonić na policję! – stwierdziła z żarem LaVerne. – Co za gnojek.

– Zaprowadzić cię do lekarza, Rebeka? – spytała Katy, bez przekonania. – Wyglądasz strasznie.

Rebeka siedziała przy kuchennym stole, przyciskając do twarzy kawałki lodu owinięte w szmatkę. Jej lewe oko było zamknięte, powiększone i odbarwione jak wole. Spuchnięte usta zrobiły się dwa razy większe niż normalnie. Na stole leżało ręczne lusterko.

Rebeka podziękowała przyjaciółkom i powiedziała, że nic jej nie jest, że wszystko się zagoi.

– A jeśli on wróci, żeby ci jeszcze bardziej dowalić? – spytała LaVerne. – Faceci tak robią, nie zabijają od razu.

Rebeka odparła, że nie, Tignor już nie wróci. LaVerne podniosła telefon z kuchennego blatu i postawiła go obok Rebeki.

– Na wypadek, gdybyś musiała dzwonić na policję.

Katy i LaVerne wyszły do pracy. Rebeka siedziała sama w mieszkaniu, gdy później zjawił się Tignor. Słyszała, jak przy krawężniku zatrzymuje się samochód, słyszała, jak zatraskują się drzwi, nadzwyczaj głośno. Za bardzo kręciło jej się w głowie, by była w stanie podejść do okna i wyjrzeć.

Mieszkanie dziewczyn na pierwszym piętrze składało się tylko z trzech pomieszczeń, a jedyne zewnętrzne drzwi otwierały się na podest schodów. Rebeka słyszała zbliżające się ciężkie kroki Tignora, a potem jego pukanie.

– Rebeka?

Rebeka siedziała bardzo nieruchomo, nasłuchując. Po wyjściu Katy i LaVerne zamknęła drzwi na zamek, ale zamek był zdezelowany, Tignor mógł otworzyć drzwi kopniakiem, gdyby zechciał.

– Rebeka? Jesteś tam? Otwieraj, tu Tignor.

Jakby ten sukinsyn musiał się przedstawiać! Byłaby się roześmiała, gdyby nie obolałe usta.

Sądząc po głosie, był trzeźwy, zbolały i smutny. W życiu nie słyszała, by ktoś wymawiał jej imię tak tęsknie. Zobaczyła, że klamka w drzwiach obraca się nerwowo.

– Idź do diabła! Nie chcę cię.

– Rebeka? Wpuść mnie. Nic ci nie zrobię, obiecuję. Mam ci coś do powiedzenia.

– Nie. Odejdź.

A jednak nie chciał odejść. Rebeka wiedziała, że nie odejdzie.

A jednak nie potrafiła się zmusić, by wezwać policję. Wiedziała, że powinna, ale nie mogła. Bo gdyby policja próbowała aresztować Tignora, to on by się z nimi bił, a oni by

go mocno poturbowali. Jak we śnie już widziała swojego kochanka postrzelonego w pierś, na kłęczkach, zalanego krwią z rany na piersi, krew ściekającą na linoleum...

Otrząsnęła się, pozbywając wizji. To się nie stało, to był tylko sen. Sen Jakuba Schwarta o tym, jak gestapo upolowało go w kamiennej chatce na cmentarzu.

Nie miała wyboru, musiała otworzyć drzwi, żeby ochronić Tignora.

– Hej, dziewczyno: jesteś moją dziewczyną, co?

Wszedł natychmiast do środka, wyraźnie uradowany. Rebeka uśmiechnęła się na widok jego twarzy, bo i ona nosiła ślady walki: górna warga była spuchnięta, naznaczona brzydkim, świeżym strupem. Na prawym policzku miał nierówną, pionową szramę, pamiątkę po jej paznokciu.

Gapił się na nią, na dowody tego, co jej zrobił własnymi rękoma.

Na jego twarzy wykwił powolny, zbolały uśmiech, niemal nieśmiały, że po Rebecce aż tak wyraźnie widać, co jej zrobił.

– Pakuj rzeczy, jedziemy na wycieczkę.

Wzięta z zaskoczenia Rebeka parsknęła śmiechem.

– Na wycieczkę? Gdzie?

– Zobaczysz.

Wyciągnął rękę w jej stronę, ale się uchyliła. Miała ochotę znowu go uderzyć, odtrącić jego rękę.

– Jesteś stuknięty, nigdzie z tobą nie jadę. Mam pracę, wiesz, że muszę pracować, dziś po południu...

– Już nie musisz. Nie wracasz do hotelu.

– Co? Dlaczego? – Rebeka słyszała własny śmiech, ale była przerażona.

– Po prostu zabieraj rzeczy. Wyjeżdżamy z Milburn.

– Na jakiej podstawie uważasz, że pojedę z tobą gdziekolwiek? Z takim cholernym sukinsynem, mężczyzną, który bije dziewczyny, który mnie w ogóle nie szanuje...

– To już się więcej nie powtórzy, Rebeka – przerwał jej spokojnym głosem Tignor.

W uszach jej szumiało, a w głowie zrobiło jej się pusto jak na prześwieconym filmie. Tignor gładził ją po włosach, szorstkich i zmierzwionych.

– No już, kotek. Musimy się pospieszyć, czeka nas mała przejażdżka, do Niagara Falls.

Rebeka zostawiła pospiesznie napisany liścik do Katy Greb i LaVerne Tracy, na kuchennym stole, obok kanciastego, czarnego telefonu. Miały go tam znaleźć wieczorem.

Kochana Katy! Kochana LaVerne!

Żegnajcie, wyjechałam, żeby wyjść za mąż.

Rebeka

Pani Nilesowa Tignor

Za każdym razem, gdy podpisywała się swoim nowym nazwiskiem, miała wrażenie, że zmienił jej się charakter pisma.

– Mam wrogów, kotek, ale oni nie odważą się jawnie mnie zaatakować. Z żoną to jednak co innego. Ją mogliby.

Tignor wygłosił to oświadczenie z krzywą miną, wieczorem 19 marca 1954 roku, kiedy pili szampana w apartamencie dla nowożeńców luksusowego hotelu w Niagara Falls, z którego okien roztaczał się widok na kłęby ruchomej mgły i jedną z kaskad sławnego wodospadu Niagara o nazwie Horseshoe. Apartament znajdował się na ósmym piętrze, Tignor zarezerwował go na trzy noce. Rebeka cała drżała, ale zmusiła się do śmiechu, wiedząc, że Tignor potrzebuje jej śmiechu, że za dnia ma za wiele rzeczy na głowie. Usiadła mu na kolanach i całowała go. Cała drżała, musiał ją przytulić. Miała na sobie nowiutką, jedwabną podomkę z koronką, zupełnie niepodobną do wszystkich rzeczy, jakie w życiu widziała, a co dopiero nosiła. Tignor mruknął coś z satysfakcją, a potem zaczął ją gładzić po biodrach i udach, zdecydowanymi, pieszczotliwymi ruchami swych silnych dłoni. Lubił, jak nie miała nic pod podomką, kiedy jej piersi zwisały luźno przy jego ustach, ciężkie, jakby wypełniało je mleko. Lubił szturchać, dźgać, drażnić. Lubił wpychać język w jej usta, do ucha, do jej ciasnego, malutkiego pępka, pod gorącą, wilgotną pachę, której nigdy nie goliła.

Rebeka nie spytała, co Tignor chciał wyrazić tymi tajemniczymi słowami, bo przypuszczała, że sam jej to wyjaśni, jeśli zechce; jak nie, to nie. Była żoną Nilesa Tignora od niecałych dwunastu godzin, ale to już rozumiała.

Podczas jazdy między kolanami zaciskał butelkę z bourbonem. Droga z Milburn na północny wschód, do Niagara Falls, wynosiła mniej więcej dziewięćdziesiąt mil. Ten krajobraz, pokryty śniegiem niczym warstwą skał, przeleciał przed oczyma Rebeki jak jedna wielka, rozmazana plama. Kiedy Tignor podsunął jej butelkę, żeby się napiła, tak jak się nakłania dziecko, przez trącenie jego ust butelką, nie spodobało mu się, że się zawahała, dlatego więc upiła najmniejszego łyka, na jakiego się odważyła. *Temu mężczyźnie się nie odmawia*. Ta myśl podniosła ją na duchu, niczym wyjaśnienie jakiejś zagadki.

– Tignor! Ona jest chyba pełnoletnia, co, stary?

– Jasne.

– Świadectwo urodzenia?

– Spaliło się.

– Ma chociaż szesnaście lat?

– Kończy w maju osiemnaście, tak twierdzi.

– I chyba nie oberwała, co? Oboje tak wyglądacie, jakbyście mieli wypadek samochodowy czy coś tam.

Zamiast „oberwała”, Rebeka usłyszała „opętana”. Nie miała pojęcia, o czym mówi ten przysadzisty, łysy mężczyzna o krzaczastych brwiach. Tignor ją zapewnił, że to sędzia pokoju, który udzieli im ślubu, jego zaufany znajomy.

Tignor odpowiedział mu z godnością: nikt tu nie oberwał. Ani dziewczyna, ani on.

– No dobra! Zobaczę, co się da zrobić, stary.

To było takie dziwne, że biuro sędziego pokoju znajdowało się w prywatnym domu, niewielkim ceglanym bungalowu przy lepszej ulicy w Niagara Falls, blisko wodospadu. I że żona tego człowieka – „pani Mack” – miała być jedynym świadkiem ślubu.

Tignor podtrzymywał ją; musiał jej pomóc wejść do domu sędziego, bo bourbon na pusty żołądek sprawił, że nogi miękły pod nią niczym topiona lukrecja. Lewym okiem, tym podbitym, widziała jak przez mgłę. Spuchnięte usta pulsowały nie zwyczajnym bólem, tylko dzikim pragnieniem pocałunków.

Powiedziano jej, że to „cywilny” ślub. Był bardzo krótki, trwał niecałe pięć minut. Przemknął jak ta smuga dźwięku, która powstaje, kiedy się szuka czegoś do słuchania na skali radia i jedne stacje się odzywają, a inne cichną.

– Czy ty, Rebeko...

(Tu Rebeka dostała kaszlu, a potem czkawki. Co za wstyd!)

– ...swojego strawnie, znaczy się, prawnie poślubionego małżonka... (Tu spanikowana Rebeka zaczęła nagle chichotać.)

– Powiedz „tak”, moje dziecko. Tak?

– T-tak. Tak.

– I czy ty, Nilesie Tignor...

– Jasne, że tak.

W tym momencie udawanie poważnym głosem sędziego zaintonował:

– Z mocy prawa nadanego mi przez stan Nowy Jork i hrabstwo Niagara, dziewiętnastego dnia marca 1954 roku ogłaszam was niniejszym...

Gdzieś na zewnątrz, w oddali, zawyła syrena. Pojazd jakichś służb ratunkowych. Rebeka uśmiechnęła się, niebezpieczeństwo było daleko.

– Pan młody może pocałować pannę młodą. Ostrożnie!

Tignor tylko objął Reбекę ramionami, jakby chciał ją osłonić swoim ciałem. Poczula jego serce wielkości pięści, które biło tuż przy jej ciepłej, posiniaczonej twarzy. Też chciała go objąć, ale ją unieruchomił. Jego ramiona były ciężkie od mięśni, sportowa marynarka drapała jej skórę. Myśli napływały do głowy niczym balony powolnie dryfujące przez powietrze: *Wyszłam za mąż, jestem żoną.*

Był ktoś taki, komu chętnie by to powiedziała: tego kogoś nie widziała od bardzo dawna.

„Pani Mack” przyniosła dokumenty do popisania i dwufuntowe pudełko czekoladek Fanny Farmer. Przysadzista jak jej mąż, z brwiami wyrysowanymi cienkim ołówkiem, wyraźnie roztrzepana, podsunęła Tignorowi i Rebecce formularze do podpisania, a potem dała im świadectwo ślubu, które mieli zabrać z sobą. Tignor ze zniecierpliwieniem podpisał się bazgrołami; trzeba było przyjrzeć im się z bliska, żeby się doczytać, że napisał *N. Tignor*. Rebeka miała trudności z utrzymaniem pióra, nie dotarło do niej, że palce w obu jej dłoniach są lekko spuchnięte, poza tym cały czas traciła i odzyskiwała koncentrację, dlatego Tignor musiał prowadzić ją za rękę: *Rebeka Schard*.

„Pani Mack” podziękowała im. Wyrwała pudełko z czekoladkami z rąk swojego męża (zostało wcześniej otwarte, pan Mack częstował się i żuł energicznie) i wręczyła je Tignorowi niczym jakąś nagrodę.

– Są zawarte w cenie. Zabierzecie je z sobą w podróż poślubną.

– Matka ciągle mnie ostrzegała, że stanie mi się coś złego. Ale nic się nigdy nie stało. A teraz wzięłam ślub.

Rebeka uśmiechała się tak błogo swymi pokiereszowanymi ustami, że Tignor zaczął się śmiać i cmoknął ją siarczyście na oczach tych wszystkich ludzi w hallu hotelu Niagara Falls, którzy być może im się przyglądali.

– Ja też, Rebeko.

W hotelu Generał Waszyngton Rebeka nie widziała ani jednego takiego wnętrza, które by przypominało ich apartament dla nowożeńców w hotelu Niagara Falls. Dwa spore pokoje: sypialnia, w której stało łóżko z baldachimem, oraz salon z aksamitną sofą, krzesłami, telewizorem marki Motorola, srebrnym wiaderkiem na lód i tacą zastawioną kryształowymi kieliszkami. Tignor dla żartu przeniósł swoją młodą żonę przez próg, padł razem z nią na łóżko, już zrywając z niej ubranie, miętosząc jej wyrwijące się ciało niczym zapaśnik, a Rebeka musiała zamknąć powieki, żeby nie widzieć sufitu, który zawirował nad baldachimem, och, och, och! Ścisnęła ramiona Tignora z desperacją człowieka, który chwytając się kurczowo parapetu, gdy tymczasem Tignor po omacku starał się rozpiąć rozporek, po omacku starał się wepchnąć w nią, bardziej jednak ostrożnie niż to zrobił w Beardstown, mrużąc stłumionym głosem imię Rebeki, być może, a wtedy zacisnęła powieki jeszcze mocniej, bo jej myśli rozpierzchnęły się niczym spanikowane ptaki uciekające przed gniewem myśliwych i nagle powietrze przeszyły eksplozje wystrzałów, ptaki pomknęły ku niebu, ratując życie, a ona znowu zobaczyła twarz swojego ojca i zrozumiała, że to skóra-maski, maska ze skóry, a nie twarz, zobaczyła jego szalone oczy, które były jej własnymi oczyma, zobaczyła jego rozdygotane dłonie i po raz pierwszy ją naszło: *Muszę ją wziąć od niego, on tego ode mnie chce, po to mnie do siebie przywołał, żebym, zabrała od niego jego śmierć.* A jednak tego nie zrobiła. Była sparaliżowana, nie mogła się ruszać. Przyglądała się, jak manewrował swoją wielką dubeltówką w ciasnej przestrzeni, by ją wycelować w siebie i pociągnąć za spust.

Tignor jęknął głucho, jakby uderzył go wielki młot.

– Och, kotek...

Mogła go całować, taki miała przywilej jako żona.

Pogrążony w głębokim śnie mężczyzna był równie niepomny, że Rebeka całuje jego spoconą twarz aż po linię włosów, jak był niepomny samotnej, zabłąkanej muchy, która uwięzła pod jedwabnym baldachimem.

Odkrycia dokonała nocą, choć wcale nie tego szukała: w sekretnej przegrodzie walizki Tignora, w łazience, która służyła także za ubieralnię.

Za dnia, kiedy wychodzili z hotelu, Tignor zamykał walizkę na klucz. Ale nie nocą.

Była trzecia nad ranem, Tignor spał. Miał tak spać głęboko co najmniej do dziesiątej rano.

Stała boso, naga i drżąca w łazience, która lśniła perłowymi kafelkami, mosiężnymi bateriami, lustrami w złotych ramach, zupełnie inna od wszystkich łazienek, które widziała w hotelu Generał Waszyngton. Tignor zerwał z niej wcześniej nową koronkową koszulę nocną i cisnął ją pod łóżko. Chciał mieć Reбекę nagą obok siebie, lubił się budzić obok kobiecej nagości.

– Nie pogniewałby się. Czemu miałby się gniewać. Jesteśmy teraz mężem i żoną...

Tignor z pewnością by się pogniewał. Demonstrował swój krewki temperament, gdy ktoś choćby tylko wypytywał go o coś tonem, który mu się nie podobał. Żadna dziewczyna nie szperała w osobistym życiu Tignora. Żadna dziewczyna nie drażniła się z tym człowiekiem, wsuwając dłoń do jego kieszeni (w poszukiwaniu jego papierosnicy albo zapalniczki), na przykład.

Leora Greb ostrzegała Reбекę: nigdy nie grzeb w walizce gościa hotelowego, potrafią zastawiać pułapki i wtedy będziesz miała za swoje.

Rebeka szukała świadectwa ślubu, być może. Tignor złożył je byle jak i ukrył wśród swoich rzeczy.

Nie szukała pieniędzy! (Zasadniczo uznała, że Tignor będzie jej dawał tyle pieniędzy, ile będzie chciała, tak długo, jak będzie ją kochał.) Nie szukała dokumentów związanych z browarem ani też innych papierów. (Tignor trzymał je w teczce zamkniętej w bagażniku samochodu.) A jednak w jednej z kilku zamykanych na zamek błyskawiczny przegród w walizce znalazła pistolet.

Był to prawdopodobnie rewolwer, z matową, niebieskoczarą lufą długości około pięciu cali i drewnianą rękojeścią. Nie wyglądał na nowy zakup. Rebeka nie miała pojęcia, jaki to kaliber, czy jest zabezpieczony, czy jest załadowany. (Oczywiste, że był załadowany. Co Tignor miałby robić z niezaladowaną bronią?)

Wszystko zgadzało się z tym, co zrozumiała, gdy siedziała w samochodzie mknącym do Niagara Falls na ślub: *Temu mężczyźnie się nie odmawia.*

Nie wyjęła rewolweru z przegrody, nawet jej to nie przyszło do głowy. Zapięła z powrotem zamek, po cichu, i po cichu zamknęła walizkę. To była męska walizka, niepraktycznie ciężka, zrobiona z dobrej skóry ale mocno porysowana. Lśnił na niej mosiężny monogram: NT.

Czekała, kiedy zajdzie w ciążę. Teraz była żoną mężczyzny, potem miała zostać matką dziecka.

Wiecznie w drodze! Tignor twierdził z wyższością, że to jedyny sposób na życie.

W tamtych latach nigdzie nie mieszkali. Przez cały rok 1954 i wiosną 1955 (kiedy Rebeka po raz pierwszy zaszła w ciążę) nie mieszkali nigdzie, tylko w samochodzie Tignora i w kolejnych hotelach, pokojach i nieco rzadziej w mieszkaniach wynajmowanych na tydzień. Najczęściej jednak te pobyty w jednym miejscu trwały zaledwie dzień. Można wręcz było powiedzieć, że nigdzie nie mieszkali, tylko zatrzymywali się w różnych miejscach na różne odcinki czasu. Zatrzymywali się w Buffalo, Port Oriskany i Rochester. Zatrzymywali się w Syracuse, Albany, Schenectady, Rome. Zatrzymywali się w Binghamton, Lockport i Chautauqua Falls, a także w takich miejscach, jak Hammond, Elmira, Chateaugay, Lake Shaheen. Zatrzymywali się w Potsdam i w Salamanca. Zatrzymywali się w Lake George, Lake Canandaigua, Schroon Lake. Zatrzymywali się w Lodi, Owego, Schoharie, Port au Roche na północnym brzegu jeziora Champlain. Rebeka przyjęła, że w niektórych z tych miejsc Tignor prowadził negocjacje dotyczące kupna jakiejś nieruchomości albo już kupił nieruchomość. We wszystkich tych miejscach Tignor miał znajomych, których nazywał „kontaktami”.

Tignor oczywiście wracał regularnie do Milburn. Nadal zatrzymywał się w hotelu Generał Waszyngton, niemniej zostawiał wtedy Rebeke w innym mieście, bo ona nie chciała nawet słyszeć o powrocie do Milburn.

Nie wróci do hotelu, powiedziała Tignorowi. Tylko nie to!

Właściwie to szło o samo Milburn. Gdzie była córka grabarza, gdzie mogła odwiedzić zachwaszczone groby swoich rodziców, w zapuszczonym zakątku cmentarza gminy Milburn. Gdyby jej się chciało.

Nigdy nie wróciła na Ferry Street po resztę swoich rzeczy. Wyjechała w takim pośpiechu, tamtego pierwszego, zdumiewającego poranka swojego nowego życia.

Niemniej wiele miesięcy później napisała do Katy i LaVerne. Była skruszona, stęskniona. Bała się, że przyjaciółki zniechęciły ją z zazdrości. *Tęsknię za Wami! Jestem bardzo szczęśliwa jako mężatka, Tignor i ja cały czas podróżujemy w interesach, zatrzymujemy się w najlepszych hotelach, ale tęsknię za Wami i za Leorą. Mam nadzieję, że będę miała dziecko...* Skąd to się brało, skąd te potoki dziewczęńskich wyznań? To tak się wypowiada pani Nilesowa Tignor? Rebeka czuła dreszcz najczystszej odrazy wobec tego, co przez nią przemawiało, pisała tak prędko, jak tylko umiała wodzić piórem po kartce z papeterii Schroon Lake Inn, w niesamowitej martwocie hotelowego pokoju. *Wysyłam Wam trochę pieniędzy, proszę, kupcie coś ładnego do mieszkania, może nowe zasłony? Lampę? Och, tęsknię za naszymi niasiadówkami do późna, za naszym śmiechem i tęsknię za wizytami Leory. Zadzwońabym do Was, ale boję się, że Tignorowi to by się nie spodobało. Mężowie są zazdrośni o swoje żony! Chyba nie powinnam się dziwić. Zwłaszcza że Tignor jest oczywiście zazdrosny o mężczyzn. Twierdzi, że wie, jacy są*

mężczyźni „w głębi serca”, i nie ufa własnej żonie w ich obecności. Rebeka zatrzymała się tutaj, przez chwilę niezdolna pisać dalej. I nie potrafiła się zmusić do przeczytania tego, co dotąd napisała. Nie była w stanie sobie wyobrazić, co powiedziałaby Tignor, gdyby przeczytał to, co napisała. *Czy mogę Was prosić o przysługę? Gdybyście tak zechcieli przysłać mi rzeczy, które zostawiłam za sobą, zwłaszcza mój słownik? Wiem, że dla Was to wielki kłopot, z pakowaniem i wysyłaniem czegoś tak ciężkiego, myślę, że chyba mogłabym kupić nowy słownik, bo Tignor jest dla mnie bardzo hojny i daje mi wiele pieniędzy na wydatki. Ale ten słownik to dla mnie coś wyjątkowego.* Rebeka zatrzymała się, przełykając łzy. Zniszczony, stary słownik, z jej nazwiskiem w środku, które napisano z błędem. A jednak to był jej słownik, tato nie wrzucił go do pieca, tylko zlitował się, jakby w tamtym momencie, którego wspomnienie naszło ją teraz z halucynogenną mocą, tato mimo wszystko ją kochał. *Zaadresujcie przesyłkę na panią Nilesową Signor c/o P.O. Box91, Hammondsville, NJ (tam właśnie Tignor odbiera pocztę, bo to jest główny cel jego podróży po stanie Nowy Jork). Dziękuję Wam! Uściskajcie i ucałujcie Leorę w moim imieniu, dobrze? Katy, jak ja tęsknię za starymi czasami, kiedy grywałyśmy po szkole w remika. Wasza przyjaciółka Rebeka.* Nagle poczuła, jaka jest zmęczona. Jaki ją nęka niepokój. Bo to nie był jej głos, to nie były jej słowa; jako Rebeka nie знаła żadnych słów, a wszystkie te słowa, które wylewały się z niej jako pani Nilesowej Tignor, z jakiegoś powodu wydawały się podszyte fałszem. Pospiesznie jeszcze raz przeczytała list i zastanowiła się, czy go nie podrzeć, ale przecież napisała go, bo chciała odzyskać słownik. Ależ była zmęczona, głowa jej pękała z niepokoju: Tignor miał zaraz wrócić, nie mogła dopuścić, by przyłapał ją na pisaniu tego listu.

Pospiesznie dopisała postscriptum, które wywołało uśmiech na jej twarzy:

Powiedzcie Leorze, żeby powtórzyła Amosowi Hrubemu: ŻE ANI TROCHĘ NIE TĘSKNIĘ ZA JEGO PASKUDNĄ GĘBĄ.

Wierzyła, że z każdym miesiącem jest coraz bliższa zajścia w ciążę. Bo Tignor coraz rzadziej „się zabezpieczał”. Zwłaszcza gdy pił, a wtedy po prostu nie starczało mu czasu. Nawet kiedy się kochali, Rebeka ćwiczyła w głowie słowa: *Tignor? Chcę ci coś powiedzieć.* Albo: *Tignor! Zgadnij, co cię czeka, kochany. I mnie też.* Ćwiczyła, odganiając od siebie, tak jak się odgania irytującą muchę, wspomnienia o tych wszystkich plotkach na temat Nilesa Tignora, które docierały do niej jeszcze w Milburn, że ten człowiek ma dzieci w najrozmaitszym wieku, rozsiane po całym stanie, że bił swoje żony, że nawet teraz miał co najmniej jedną żonę i małe dzieci, które właśnie porzucił.

Bywały takie miesiące, kiedy przysięgłaby, że zaszła. Że zaszła i już.

Miała wrażenie, że jej piersi zrobiły się ciężkie, a sutki takie wrażliwe, że krzywiła się z bólu, kiedy Tignor je ssał. A brzuch był twardy, okrągły i napięty jak bęben. Tignor szalał na jej punkcie, twierdził, że to wszystko jest dla niego jak narkotyk, że nie potrafi się tym nasycić, tym on i ona razem. A fakt, że się nie „zabezpieczał”, był dla Rebeki sygnałem, że pragnął dziecka równie mocno jak ona.

Nie chciała otwarcie go pytać, czy pragnie mieć dzieci, ani też on jej o to nie pytał, bo w tych kwestiach istniała między nimi dziwna powściągliwość. Tignor wyrażał się wulgarnie i potocznie, używał takich słów, jak kurwa, pieprzyć, srał, gówno, ale byłby mocno zażenowany, gdyby miał wypowiedzieć taką frazę jak „odbyć stosunek seksualny”.

I nie rozmawiałyby z Rebeką o „kochaniu się”, podobnie jak nie posługiwałyby się żadnym obcym językiem.

Nie było w tym nic złego, że Rebeka zrobiła się uczuciowa, takiego zachowania każdy się spodziewał po kobiecie.

– Kochasz mnie, Tignor, prawda? Troszeczkę? – pytała, przymilając się jak mały kociak, a wtedy Tignor mruczał:

– No pewnie. – I śmiał się, bliski irytacji: – A po co bym się z tobą żenił, mała, gdybym cię nie kochał?

Nagroda był ciężar mężczyzny na jej ciele.

Jaki wielki był Tignor i jaki ciężki! Jakby spadło na ciebie całe niebo. Dyszał ciężko, mozolił się, a jego skóra, chropawa i jakby niedopasowana, mieniła się niesłychaną odmianą piękna.

Rebeka wierzyła, że jej miłość do Nilesa Tignora będzie trwała do końca życia, że zawsze będzie mu wdzięczna. Wiedziała, że wcale nie musiał się z nią żenić. Mógł ją odrzucić jak zużytą chusteczkę, być może na to właśnie zasługiwała.

Gdzieś pośród jego rzeczy znajdowało się świadectwo ślubu. Rebeka je widziała, podpisała je nawet własną ręką.

Bez przygważdżającego ją ciężaru Tignora byłaby się połamała i rozsypała niczym uschłe liście na wietrze. Równie nieważna jak uschłe liście na wietrze.

Nauczyła się kochać go seksualnie. Brała od niego przelotną, seksualną przyjemność. To nie było to potężne doświadczenie, które zdawał się odczuwać Tignor, które tak go niszczyło. Rebeka nie chciała odczuwać niczego tak ekstremalnego. Nie chciała się rozpadać w jego ramionach, nie chciała krzyczeć jak ranne zwierzę. Pragnęła tylko ciężaru mężczyzny i niczego więcej. I niespodziewanej czułości Tignora, kiedy odpływał w sen w jej ramionach.

Miała nadzieję, że pierwsze dziecko będzie chłopcem. Nazwaliby go Niles Junior.

A jeśli dziewczynka... Rebeka nie miała pojęcia.

Wiecznie w drodze! Bo w piwowarstwie istniała „zbójcka konkurencja”. Jako agent Tignor dostawał podstawową pensję, ale prawdziwe pieniądze miał z zamówień.

Rebeka nie miała pojęcia, jakie są roczne dochody Tignora. Nie pytała go, tak jak nie pytałaby swojego ojca o jego dochody. A zresztą gdyby spytała, Tignor na pewno by jej nie powiedział. Roześmiałyby jej się w twarz.

Może nawet by ją spoliczkował, gdyby źle oceniła jego nastrój w danym momencie.

Spoliczkowałyby ją za to, że się wyrwała przed szereg. Za pyskowanie.

Tignor nigdy nie uderzył jej silnie i nigdy pięścią. Wyrażał się z pogardą o mężczyznach, którzy biją kobiety w taki sposób.

Któregoś razu Rebeka naiwnie spytała, kiedy pozna jego rodzinę, a wtedy on zapalił cygaro, zaśmiał się serdecznie i odparł:

– Tacy jak Tignor nie mają rodziny, kotek.

Umilkł wtedy, a kilka minut później obrócił się z nienacka w jej stronę i uderzył ją w twarz wierzchem dłoni, chciał koniecznie wiedzieć, z kim rozmawiała.

Wyjąkała, że z nikim!

– Jak ktoś będzie na mnie coś gadał albo zadawał pytania na mój temat, kotek, to ty z tym przyjdź do mnie. Ja już się tym zajmę.

Rebeka nie kłamała, kiedy chwaliła się przed Katy i LaVerne: Tignor był hojnym mężem. Podczas pierwszego roku ich małżeństwa. Tak długo, jak wariował na jej punkcie. Kupował jej prezenty, biżuterię, perfumy, seksowne ubrania i bieliznę, rzeczy z jedwabiu, bo te podniecały go już wtedy, gdy patrzył, jak Rebeka wyciąga je z bibułki i przykłada do ciała.

– Och, Tignor! Jakie to piękne. Dziękuję ci.

– Przymierz, mała. Ciekawe, czy pasuje.

I jak też ten Tignor lubił się drażnić: Rebecę zawsze przydawał się drink albo dwa, żeby dostosować się do jego nastroju.

Tak samo jak w Beardstown również w Binghamton, Lake George i Schoharie obrzucił pieniędzmi ich łóżko w pokoju hotelowym. Wyciągał banknoty z portfela, wyrzucał w górę dziesiątki, dwudziestki, a nawet pięćdziesiątki. Trzepotały chwilę w powietrzu, po czym opadały niby poranione motyle.

– Dla ciebie, Cyganeczko. Jesteś teraz moją żoną, nie dziwką.

Wiedziała, że jej nie wybaczył, mimo że się z nią ożenił. Tego, że go znieważyla, twierdząc, że on, Niles Tignor, to człowiek, który musi płacić kobietom za seks. Któregoś dnia miała pożałować za tę zniewagę.

Wiecznie go dokądś gnało! To była niemalże reakcja fizyczna, jak wysypka, od której strasznie swędzi.

Kilka dni w jednym miejscu. Czasami tylko jedna noc. Najgorzej było pod koniec roku, podczas tak zwanego okresu świątecznego. Od połowy grudnia aż do pierwszych dni po Nowym Roku interesy Tignora zasadniczo stały w miejscu. Dużo się piło i Tignor załatwił pobyt w hotelu Statler w Buffalo, bo miał znajomych w okolicach Buffalo i Niagara Falls, z którymi mógł pić i grać w karty, a mimo to z „nudów dostawał na łeb”. Rebeka wiedziała, że lepiej go nie irytować; starała się nie mówić tego, czego nie trzeba, albo nie wchodzić mu w drogę.

Piła razem z nim po nocach, kiedy nie mógł zasnąć. Czasami dotykała go delikatnie. Tak ostrożnie jak ktoś, kto dotyka rannego psa, wiedząc, że ten pies może się na niego rzucić z warkotem. Gładziła go po ciepłym czole, po sztywnych włosach, delikatnie się z nim drocząc, tak jak Tignor to lubił, sprawiając, że on sam dla siebie stawał się zagadką.

– Tignor, jesteś człowiekiem, który cały czas podróżuje, bo nie umie usiedzieć na miejscu, czy stałeś się człowiekiem, który nie może usiedzieć na miejscu, bo cały czas podróżujesz?

Tignor zmarszczył brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Jezu, nie wiem. Może jedno i drugie. – Po chwili milczenia dodał: – Ale ty też jesteś z rasy wędrowców, co nie, Rebeka?

Czasami, kiedy ledwie co zameldowali się w jakimś hotelu, Tignor dzwonił do kogoś albo odbierał czyjś telefon, a potem oznajmiał Rebecę, że coś mu „wypadło” – że jakieś „interesy nałożyły się na interesy” – i musi natychmiast wyjechać. W takich sytuacjach robił się podniecony, ożywiony. To wrażenie nagłości sygnalizowało Rebecę,

że powinna stać z tyłu, nie spodziewać się przez jakiś czas, że on wróci. I że nie wolno jej zadawać pytań.

Sformułowanie „interesy nałożyły się na interesy” oznaczało sprawy niezwiązane z browarem Black Horse, wywnioskowała Rebeka. Nieraz w czasie, gdy Tignor zniknął, do hotelu dzwonił ktoś z siedziby browaru w Port Oriskany i Rebeka musiała zmyślać, że Tignor jest u miejscowych znajomych, że ci znajomi zabrali go na całonocną wyprawę myśliwską... Tignor w końcu wracał i tylko wzruszał ramionami, kiedy Rebeka przekazywała mu wiadomość.

– No i co? Pieprzyć ich.

Rebeka była samotna podczas takich dni. Nigdy jednak nie wątpiła, że Tignor do niej wróci. Na czas takich niespodziewanych wypraw zostawiał większość swoich rzeczy, łącznie z porysowaną, skórzaną walizką.

Nie zostawiał jednak rewolweru. Brał go z sobą.

„Pani Nilesowa Tignor”. Uwielbiała się tak podpisywać w hotelowych księgach meldunkowych, tuż pod „Niles Tignor”. Zawsze czekała, aż recepcjonista albo kierownik zada pytanie, czy Rebeka jest naprawdę żoną Tignora, ale nikt tego nigdy nie zrobił.

Pani Nilesowa Tignor. Z czasem uwierzyła, że jest sprytna. A jednak jak każda młoda żona popełniała błędy.

Potwierdziło się to, co powiedziała Katy i LaVerne: Tignor był zazdrośnikiem. Wywnioskowała z tego, że ją kochał, że kochał ją jak nikt nigdy przedtem, że kryje się w tym zagrożenie, takie jak przystawienie zapalanej zapałki do czegoś łatwo palnego. Bo Tignor był mężczyzną nieprzyzwyczajonym do tego, by inni mężczyźni interesowali się jego kobietą, mimo że mu się podobało, gdy mężczyźni się jej przyglądali w restauracjach, barach i tawernach, do których ją zabierał, by mu dotrzymała towarzystwa. Ale z kolei nie lubił, jak Rebeka patrzyła na innych mężczyzn, nawet na jego kumpli. Zwłaszcza nie lubił, gdy Rebeka rozmawiała i śmiała się z tymi mężczyznami dłużej niż chwilę.

– Facetom tylko jedno w głowie, kiedy patrzą na ciebie. A ty jesteś moją żoną i to jedno należy do mnie.

Chciał, żeby Rebeka zareagowała na to uśmiechem i jednocześnie potraktowała to jako poważne ostrzeżenie. A jednak jeszcze bardziej niepokojąca dla Tignora była perspektywa, że Rebeka mogłaby się zaprzyjaźnić z kimś za jego plecami. Z gośćmi hotelowymi albo z członkami personelu, choćby nawet z czarnoskórymi gośćmi, którym jaśniały twarze na widok „pani Tigger”, bo ta zawsze im dawała hojne napiwki.

– Jak ktoś będzie się do ciebie przystawiał, dziewczyno, to zaraz przyjdź z tym do mnie. Ja się tym zajmę.

A co byś zrobił? Rebecę przypomniały się pięści Tignora okładające bezradnego Baumgartena, masakrujące jego twarz, jakby to był melon. Pomyślała o rewolwerze z drewnianą rękojeścią.

– Pani chyba nie jest stąd.

Mężczyzna w granatowej kurtce i granatowej czapeczce nasuniętej nisko na czoło. Przysiadł się do Rebeki przy barze, w taniej restauracji w Hammond, a może w Potsdam. W jednej z tych małych miasteczek na północy stanu, tamtej zimy 1955 roku. Rebeka uśmiechnęła się do niego z ukosa, wcale tak naprawdę nie chcąc się uśmiechać.

– Zgadza się. Nie mieszkam tutaj – odparła.

Dotąd trzymał łokieć na barze, obok jej ręki, a teraz wsparł się na rozpostartej dłoni, by przysunąć twarz niebezpiecznie blisko do jej twarzy i już miał zadać kolejne pytanie, kiedy Rebeka odwróciła się raptownie od niego, zostawiła dolara na barze za swoją kawę i wyszła prędko z lokalu.

Był styczeń. Niebo wyglądało jak szkolna tablica, na której ktoś niedbale rozmazał kreski wyrysowane kredą. Śnieg prószył na rzekę, której nazwy Rebeka w swoim zdenerwowaniu nie mogła sobie przypomnieć, podobnie jak nie mogła sobie przypomnieć nazwy miasta, w którym się zatrzymali na te kilka dni.

Aż do tamtego ranka wierzyła, że jest w ciąży. Miesiączka w końcu się jednak pojawiła, nie pozostawiając żadnych złudzeń; Rebeka miała skurcze, krwawiła i lekko gorączkowała, więc wiedziała: *Nie tym razem. Nie muszę nic mówić Tignorowi.* W hotelowym pokoju nie mogła znaleźć sobie miejsca, Tignor miał wrócić dopiero wieczorem. Próbowwała czytać jedną ze swoich książek w tanim wydaniu. Miała też słownik. Sprawdziła zapomniane słowa z konkursu ortograficznego: *odczynnik, prorocstwo, ewentualność, nowo powstały.* Ile to czasu minęło! Była wtedy małą dziewczynką, nie miała pojęcia o niczym. A jednak znalazła pocieszenie w tym, że słowa, dla niej teraz bezużyteczne, wciąż się znajdowały w słowniku i miały żyć dłużej niż ona. Siedziała w blasku zimowego słońca, w świetle wpadającym przez okna hotelu, samotna, niespokojna. Pokojówka jeszcze nie przyszła posprzątać, więc sama naciągnęła ciężką narzutę na skłębioną pościel, która pachniała potem, spermą, ochoczym ciałem Tignora.

Musiała stamtąd wyjść! Włożyła płaszcz, buty. Spacerowała na lekko padającym śniegu po centrum miasta, blisko hotelu, aż w końcu zaczęła dygotać z zimna, więc wstąpiła do jakiejś podrzędnej restauracji na kawę i zostałyby tam przy barze, pławiąc się ciepłem, gdyby mężczyzna w granatowej kurtce do niej nie zagadał. *Facetom tylko jedno w głowie.* A potem na ulicy przypadkiem obejrzała się przez ramię i zauważyła, że ten mężczyzna idzie za nią. Zastanawiała się, czy nie idzie za nią specjalnie. I nabrała wrażenia, że już go kiedyś widziała, czy też kogoś podobnego, w hotelowym hallu, kiedy szła od wind w stronę głównego wyjścia. Szedł za nią od samego hotelu? W głowie utrwalił jej się bardzo niewyraźny wizerunek. Na oko był chyba po trzydziestce. Też przyspieszył kroku, kiedy zaczęła iść szybciej, zniemacka skręciła za jakimś rogiem, przeszła przez ulicę w sporym oddaleniu, przez co byłaby go nie zobaczyła, gdyby nie wiedziała, że powinna poszukać go wzrokiem. *Tylko jedno. Tylko jedno. Facetom tylko jedno w głowie.* Była zdenerwowana, ale nie przestraszyła się na poważnie. Szła coraz szybciej, zaczęła biec. Przechodnie przyglądali jej się przelotnie, z zaciekawieniem. Ale też jak przyjemnie było biec po śniegu, oddychać głęboko ostrym, zimnym powietrzem! Tak jak w dzieciństwie biegała po Milburn, tak teraz biegła przez Potsdam, a może przez Hammond.

Wpadła na chybił trafił do sklepu z damską odzieżą. Zaskoczyła sprzedawczynię, bo zaraz stamtąd wyszła drugim wyjściem. Skulona wróciła do hotelu, udało jej się zgubić mężczyznę w granatowej kurtce. Przestała o nim myśleć. Tyle że kiedy tamtego wieczoru weszła do hotelowego baru, by spotkać się tam z Tignorem, zobaczyła przy barze mężczyznę, który za nią szedł, razem z Tignorem. Obaj rozmawiali, śmiali się. Nie miał teraz na sobie granatowej kurtki, ale Rebeka miała pewność, że to on.

To sprawdzian! Tignor mnie sprawdza.

Nigdy się nie dowiedziała. Kiedy się przyłączyła do Tignora, siedział już sam przy barze. Tamten mężczyzna wymknął się ukradkiem. Tignor był ciepły, wylewny, pewnie miał za sobą udany dzień.

– Jak tam moja dziewczyna? Tęskniła za swoim starym mężulkiem?

Tym razem to był fakt. Nie jakieś spekulacje.

Obudziła się któregoś ranka i jej piersi były jakby ciężkie, nienormalnie czułe. Miała wrażenie, że jej brzuch jest rozdęty i że w całym ciele czuje mrowienie, jakby przechodził przez nie prąd o niskim natężeniu. Odważyła się obudzić Tignora i szeptem wyznała, czego się lęka. Bo nagle się przestraszyła. Czuła się tak, jakby została zepchnięta na skraj czegoś, na przykład na gzyms, jakby ryzykowała za wiele.

Tignor zaskoczył ją swoją reakcją. Spodziewała się, że burknie coś z dezaprobatą, a jednak tego nie zrobił. Obudził się w pełni, zaczął się zastanawiać. Czuła, że w jego mózgu roi się od myśli. I potem nic nie powiedział, tylko ją po prostu pocałował, mocnym, zaślinionym, agresywnym pocałunkiem. Ugniatał jej piersi, ssał sutki, które były takie wrażliwe. Krzywiła się.

– Jakie to uczucie? – szeptał. – Chcesz więcej?

Rebeka z całej siły tuliła tego mężczyznę, jakby od tego zależało jej życie.

Kochana Katy! Kochana LaVerne! Leżała na łóżku, pisała list na hotelowej papeterii, obok na nocnym stoliku stała jedna z prawie pustych szklanek po bourbonie Tignora z poprzedniej nocy. *Mam dla Was niesamowite wieści, JESTEM W CIĄŻY, Tignor zabrał mnie do lekarza w Port Oriskany. Ten lekarz powiedział, że dziecko urodzi się w grudniu, JESTEM TAKA PODEKSCYTOWANA.*

Rebeka przeczytała to, co napisała do przyjaciółek, które były tak daleko i coraz bardziej bladły w jej wspomnieniach, po czym dodała: *Tignor też pragnie tego dziecka, mówi, że jeśli dzięki niemu będę szczęśliwa, to on też go chce.* Jeszcze raz przeczytała list i z niesmakiem go podarła.

Było tak, jak mówił Jakub Schwart. Słowa to kłamstwa.

Była w ciąży i czuła się niesamowicie błogo. Nawet tak zwane poranne mdłości stały się znajome, dodawały jej pewności siebie. Tamten lekarz był bardzo miły. Powiedział jej, czego się powinna spodziewać, krok po kroku. Jego pielęgniarka dała jej broszurę. Chyba ani przez chwilę nie wątpili, że ona jest żoną Nilesa Tignora, w rzeczy samej oboje znali Tignora i ucieszyli się na jego widok. Rebeka tuliła się w łóżku do Tignora, mówiąc:

– Będziemy potrzebowali jakiegoś stałego miejsca, Tignor. Dla dziecka. Prawda, Tignor?

– Jasne, kotku – odparł Tignor swoim zaspanym i zarazem czułym głosem.

– No bo takie zatrzymywanie się w hotelach tak jak teraz... – dodała Rebeka. – Byłoby ciężko, z takim maluszkiem.

To była oznaka ciąży, że Rebeka powiedziała tego „maluszka”. Zaczynała już mówić i myśleć językiem dziecka. *Maluszek!* Wepchnęła pięść do ust, żeby się nie śmiać. *Maluszek*, czyli coś tak małego jak myszka.

W tych sennyh, miłosnych rozmowach z Tignorem nie używała słowa „dom”. Wiedziała, że Tignor by się skrzywił, słysząc słowo „dom”.

A jednak Tignor okazał się nieprzewidywalny. Zaskoczył Rebekę, oświadczył, że od dawna myślał o wynajęciu dla niej umeblowanego mieszkania. Dowiedział się o takim miejscu w Chautauqua Falls, nad kanałem, w wiejskiej okolicy, gdzie panuje spokój.

– Zamieszkaś tam razem z dzieckiem. Tatuś będzie przyjeżdżał, kiedy tylko będzie mógł.

Rebeka nie miała powodu podejrzewać, że to koniec wszystkiego, bo Tignor mówił to wszystko takim czułym tonem.

Leżała na hotelowym łóżku, pisząc list na hotelowej papeterii; obok, na nocnym stoliku stała szklanka bourbona. Bosko, przy świetle lampy! Nie była już taka samotna podczas wyjazdu Tignora, bo w jej wnętrzu kuliło się dziecko. Nad tym listem postanowiła mocno popracować, napisać go najpierw na brudno, a potem przepisać.

19 kwietnia 1955 r. Kochana panno Lutter!

Przesyłam Pani ten drobny wielkanocny podarunek; wypatrzyłam go w sklepie tu, w Schenectady, i pomyślałam o Pani. Mam nadzieję, że będzie go Pani mogła nosić do wiosennego płaszczka albo sukienki. Moim zdaniem macica perłowa jest taka śliczna.

Chyba nie poinformowałam Pani, że jestem mężatką i wyprowadziłam się z Milburn. Razem z mężem mamy rezydencję w Chautauqua Falls. Mój mąż nazywa się Niles Tignor, jest biznesmenem zatrudnionym przez browar Black Horse, pewnie Pani o nim słyszała. Często podróżuje w interesach. Jest przystojnym, „starszym” mężczyzną.

W grudniu urodzi nam się nasze pierwsze dziecko!

Za trzy tygodnie skończę 18 lat. Jestem już teraz całkiem dorosła! Byłam wielką ignorantką, kiedy zamieszkałam u Pani i nie potrafiłam docenić pani dobroci łaskowości.

W wieku 18 lat już nie będę podopieczną hrabstwa, gdybym nie wyszła za mąż. Dlatego jest to całkowicie zgodne z prawem, że

Panno Lutter mam coś Pani do powiedzenia ale nie umiem znaleźć słów

Tak się wstydzę, że

Bardzo przepraszam za

Mam nadzieję, że Pani pamięta o mnie w swoich modlitwach. Żałuję

– Pierdoły.

Rebeka potrzebowała całej godziny do wysmażenia tych nieporadnych zdań. I kiedy je przeczytała, naszło ją obrzydzenie. Dowodziły, że jest głupia. I dziecinna. Musiała sprawdzać najprostsze słowa w słowniku, mimo to i tak źle napisała słowo „rezydencja”. Podarła list na strzępy.

Później posłała pannie Lutter broszkę z macicą perłową, załączając tylko wielkanocną kartkę. Na której napisała: „Z ucałowaniem od Rebeki”.

Broszka miała kształt kwiatu kamelii i kosztowała dwadzieścia dolarów. Rebeka uznała, że jest bardzo piękna.

– Dwadzieścia dolarów! Gdyby tak mama wiedziała.

Nie podała adresu zwrotnego na małej paczuszce, żeby panna Lutter nie mogła odpisać z podziękowaniami. I żeby sama nie mogła się nigdy dowiedzieć, czy jej była nauczycielka napisała, aby jej podziękować.

– Pani Tignor. Miło panią poznać.

To byli krzepcy, jowialni mężczyźni, podobni do Tignora, z którymi raczej nie należało zadzierać. Pili w tawernach i hotelowych barach z Tignorem, wyglądali i zachowywali się tak jak inni jego kompani od kieliszka, a jednak byli funkcjonariuszami policji, tyle że nie takimi, którzy noszą mundur, jak to wyjaśnił Tignor. (Rebeka nie miała pojęcia, że są tacy policjanci, którzy nie noszą mundurów. Jak się okazało, tacy mieli wyższe rangi, jak detektyw czy porucznik.)

Ci ludzie znakomicie wtapiali się w tłum innych mężczyzn. Sporo jedli i tego pili. W zamyśleniu dłubali w zębach wykałaczkami, które stały na barach w małych szklankach do whisky, obok marynowanych nówek wieprzowych i smażonych krążków cebuli. Woleli cygara zamiast papierosów. Lubili piwo black horse, serwowane we wszystkich lokalach, w których pijał Tignor. Rebekę traktowali z szacunkiem i zawsze tytułowali ją „panią Tignor”, czasami puszczając przy tym oko do Tignora, ponad jej głowę.

Poznali inne jego kobiety. Ale nigdy żadnej żony.

Uśmiechała się do tej myśli. Była taka młoda i wiedziała, że mówią o niej: „Cholernie ładna”, trącąc się przy tym. Zazdrościli Nilesowi Tignorowi, który był ich kumplem.

Może nosili broń pod obszernymi marynarkami, ale Rebeka nigdy tej broni nie widziała. Być może Tignor czasami nosił przy sobie broń, ale Rebeka też nigdy jej nie widziała.

Była żoną Nilesa Tignora i spodziewała się dziecka Nilesa Tignora. To były dni, tygodnie, miesiące nieustającego szczęścia. A jednak była młodą żoną i popełniła błąd.

Wiedziała, że Tignor nie lubi, jak ona zachowuje się zbyt przyjaźnie wobec mężczyzn. Dał jej to jasno do zrozumienia. Ostrzegał ją. I to nie raz. Teraz była w ciąży, jej skóra mieniła się śniadą bladością, jakby rozświetlał ją od środka płomień świecy. Często na jej policzkach wykwitwał rumieniec, często brakowało jej tchu, oczy zachodziły wilgocią. Piersi i biodra stały się bardziej pulchne, kobiece. Tignor droczył się z nią, że je więcej niż on. Dziecko w jej łonie zdawało się rosnać z godziny na godzinę.

Rebeka oczywiście wiedziała (z ilustrowanej broszury *Twoje ciało, twoje dziecko i ty*), że płód w rzeczywistości bardziej przypomina żabę niż ludzką istotę, a jednak pod koniec dwunastego tygodnia, w maju, ubrdała sobie, że mały Niles już ma twarz i duszę.

– Są mężczyźni, którzy szaleją za ciężarnymi kobietami. Taka kobieta rozdyma się jak jakiś wieloryb, a jednak są tacy, którzy... – Głos Tignora, rozbawiony i wzgardliwy, przycichł. Było widać, że Tignor nie ma ciągot do takich perwersji.

Na tej właśnie podstawie Rebeka wysnuła wniosek, że musi odganiać od siebie mężczyzn. Nawet tych starszych wiekiem. Reagowała wyniośle i obojętnie na najbardziej niewinne pozdrowienia – „Dzień dobry!”, „Piękny poranek, nieprawdaż?” – rzucane w jej kierunku przez mężczyzn na hotelowych korytarzach, w windach i restauracjach. Ale z kolei ciągnęło ją do kobiet i Tignor się irytował, kiedy „paplała” z kelnerkami, sprzedawczyniami albo pokojówkami kilka minut dłużej niż należało. Lubił, jak jego egzotycznie piękna żona jest podziwiana, pełna życia i demonstruje swoją „osobowość”, natomiast nie znosił tego wszystkiego w nadmiarze za swoimi plecami. Wiedział, że w tych hotelach, w których znają go jako częstego gościa, dużo się o nim mówi, wiedział o tym i godził się na to, ale nie życzył sobie, by Rebeka opowiadała o nim rzeczy, które mogły zostać rozdmuchane, gdyby ktoś je potem powtarzał, wystawiając go na pośmiewisko. A teraz, kiedy jego żona zaszła w ciążę i ta ciąża miała się niebawem uwydatnić, był szczególnie przewrażliwiony.

Był maj 1955 roku, kiedy Tignor wrócił nieoczekiwanie do ich pokoju w hotelu Henry Hudson w Troy i odkrył, że Rebeka nie tylko „papla” z pokojówką, która sprzątała w ich pokoju, ale także pomaga tej kobiecie w ścieleniu łóżka. Tignor zastygł na korytarzu, tuż obok drzwi i przyglądał się im obu.

Bo tam była jego żona, która zręcznie utykała prześcieradło, gdy tymczasem ta druga kobieta naprężała je z drugiej strony. Rebeka mówiła właśnie, z dziecięcym zapałem:

– ...to dziecko, wiecznie takie głodne! Z pewnością ma to po tatusiu. Jego tatuś pragnie go równie mocno jak ja. Jak ja się zdziwiłam! Myślałam, że serce mi wybuchnie, byłam... no tak zdziwiona. Trudno się spodziewać po mężczyźnie, że będzie miał takie uczucia, prawda? Obchodziłam urodziny w zeszłym tygodniu, mam już dziewiętnaście lat, czyli tyle, ile trzeba, żeby urodzić dziecko, jak mówi mój lekarz. Chyba trochę się boję.

Ale jestem bardzo zdrowa. Mąż ciągle podróżuje, zatrzymujemy się w najlepszych hotelach, takich jak ten. Nie wiem, czy słyszałaś, że zajmuje ważne stanowisko w browarze Black Horse. Nazywa się Niles Tignor, chyba wiesz, który to?

Rebeka się obejrzała, by sprawdzić, dlaczego pokojówka gapi się tak uparcie w jakiś punkt za jej ramieniem, i wtedy zobaczyła Tignora, stojącego w drzwiach.

– Wynocha. Muszę pogadać z żoną – powiedział cicho Tignor do pokojówki.

Nie próbowała mu się wymknąć. Wciąż doskonale pamiętała ojca, który musiał ją koniecznie dyscyplinować. Nie raz, tylko wiele razy. A Tignor do tej pory ją oszczędzał. Tato miał taki zwyczaj, że nie bił jej, tylko chwycił za ramię i potrząsał, potrząsał, aż zaczynały dzwonić jej zęby. *Jesteś jedną z nich. Jedną z nich!* Rebeka nie pamiętała już, czy kiedykolwiek się dowiedziała, o co chodziło papie, kiedy to mówił, i czym go tak prowokowała, ale wiedziała, że sobie zasłużyła na karę. To się zawsze wie.

Krwawienie zaczęło się pół godziny później. Skurcze w brzuchu i nagły, gorący potok krwi. Tignor jej tam nie uderzył, to nie on był winny. Nie był człowiekiem, który okłada kobietę pięściami, który bije po brzuchu ciężarną. A jednak był ten krwotok, a potem coś, co się nazywa poronienie. Tignor nalał im obojgu bourbona.

– To następne już utrzymasz.

Tak było. Dotrzymał słowa. Przez moment nie wątpiła, że dotrzyma.

– Będiesz tu bezpieczna. Tu jest spokój, inaczej niż w mieście. Inaczej niż w drodze, która nie jest dobra dla kobiety starającej się urodzić dziecko. Sama zobacz, masz sklep spożywczy. Pięć minut piechotą. Jak mnie nie będzie, zawsze będziesz mogła przejść się do miasta, drogą nad kanałem. Lubisz spacerować, prawda? Nie znałem dziewczyny, która by tak lubiła spacerować! Albo ktoś cię podrzuci, tu będziesz miała mnóstwo sąsiadów. Żona Meltzera będzie cię z sobą zabierała. Zapłacę za zainstalowanie telefonu i na pewno będę dzwonił, kiedy wyjadę. Będę sprawdzał, czy masz wszystko, czego ci trzeba. Tym razem musisz bardziej o siebie dbać. Może nie pij już. To moja wina, chyba cię zachęcałem. Taka już moja słabość. I będę przyjeżdżał jak najczęściej. Szczerze mówiąc, już mnie męczy to życie w drodze. Będę szukał jakiejś nieruchomości w mieście, może kupię bar. O właśnie! – Pocałował ją, szczerząc swe wielkie, końskie zęby w uśmiechu. – Wiesz, że za tobą szaleję, dziewczyno, prawda?

Wiedziała. Była już w czwartym miesiącu ciąży i tym razem miała urodzić to dziecko.

– Skąd ta nazwa: Poor Farm Road?

Przestraszyła się, zadawała takie głupie pytania.

A jednak Tignor ją zaskoczył, bo znał odpowiedź: dawno temu, być może sto lat wcześniej, tam rzeczywiście była „uboga farma”, „farma dla biedaków” – jakąś milę dalej przy drodze, gdzie teraz stała szkoła. Tignor miał jakieś niejasne wrażenie, że cała historia łączyła się jakoś z kopaniem kanału.

Edna Meltzer twierdziła, że tak, że przy drodze była kiedyś uboga farma.

– Pamiętam ją jeszcze nieźle z czasów, kiedy byłam mała. Mieszkali tam prawie sami staruszkowie. Przez choroby i wiek nie dawali rady obrobić swoich pól, więc musieli je tanio sprzedać. Wtedy nie było takich zasiłków jak teraz, nie było podatku dochodowego, pomocy społecznej, niczego podobnego.

Pani Meltzer parsknęła z pogardą, jakby chciała dać do zrozumienia, że jest zniesmaczona tym, jakie życie jest okrutne, albo tym, jacy rozpieszczeni są ludzie w tych czasach. Była korpulentną kobietą o ciastowatej twarzy, świdrujących małych oczkach i macierzyńskim sposobie bycia, który zdawał się wysysać tlen z powietrza.

Meltzerowie, którzy mieszkali około ćwierci mili dalej, byli najbliższymi sąsiadami Rebeki z Poor Farm Road. Pan Meltzer był właścicielem warsztatu samochodowego, nad którym wisiał wielki owalny znak ESSO. Meltzera i Nilesa Tignora łączyło coś, czego Rebeka nie potrafiła rozszyfrować. Znali się, ale raczej za sobą nie przepadali.

– Tylko nie chodź paplać do tej staruchy, dobrze? – ostrzegał ją Tignor. – To stary babsztyl, jej dzieci już wyrosły, będzie chciała wywlekać z ciebie różne rzeczy, które nie są jej sprawą. Ale ty chyba masz dość rozumu.

Pogładził Rebekę po głowie, po włosach. Od czasu poronienia był dla niej delikatny i wyrozumiały. Niemniej Rebeka wiedziała, że nie wolno jej rozmawiać beztrudno z

każdym, kto się nawinie. Niezależnie od tego, czy Tignor był gdzieś blisko, czy też wyjechał.

To był zniszczony, stary farmerski domek, na samym końcu bitej drogi – nikt by się nie spodziewał, że w takim miejscu mógłby mieszkać Niles Tignor! Rebeka spodziewała się domu albo mieszkania wynajętego w którymś z ulubionych miast Tignora, a już co najmniej jakiegoś lokum w Chautauqua Falls, a nie na wsi zabitej deskami.

– Ładnie tu, prawda? Naprawdę zacisznie – powtarzał ciągle.

Z okien na piętrze nie widziało się żadnych innych domów. Ani też głównej drogi, wąskiej i wysypanej żwirem. Gdyby nie wolno unosząca się mgiełka dymu na wschodzie, człowiek nawet by się nie domyślił, gdzie jest Chautauqua Falls. Po pierwotnych dziewięćdziesięciu akrach farmy zostało już tylko kilka zachwaszczonych poletek i pastwisk, zavalona stodoła pomalowana spłowiałą czerwoną farbą, jakieś budynki gospodarcze, a także kamienna studnia głębokości trzydziestu stóp, z której woda była tak lodowata i metaliczna w smaku, że aż bolało w ustach, kiedy się ją piło.

– Tu jest pięknie, Tignor. To będzie nasze ukochane miejsce.

Z podjazdu dom robił wrażenie, bo otaczała go kępa potarganych jodeł, ale z bliska było widać, że jest zaniedbany, że przydałby mu się remont. A jednak wydawało się, że Tignor zawsze miał dobry humor, kiedy był w domu, choć nie nazywał go domem.

Zjadał posiłki, które szykowała dla niego Rebeka, cała w nerwach, na podstawie przepisów z książek kucharskich. Tignora łatwo było zadowolić: mięso, mięso, jeszcze raz mięso! I wiecznie ziemniaki: tłuczone, pieczone w piekarniku, gotowane. Kiedy był w nastroju do rozrzutności, zabierał ją do Chautauqua Falls na kupowanie zapasów.

– To nasz miesiąc miodowy, mała. Trochę spóźniony.

Stary dom był po części umeblowany, ale bardzo w nim brakowało nowej kuchenki gazowej, lodówki w miejsce starej, śmierdzącej zamrażarki, nowego materaca, zasłon i dywanów. I rzeczy dla dziecka: łóżeczka, wózka, wanienki.

– To takie gumowe coś, do czego wlewasz podgrzaną wodę; ma też gumowy wąż i odpływ w dnie. A od dołu są kółka.

Rebeka zaśmiała się i kuksnęła Tignora pod żebra.

– Byłeś już kiedyś tatusiem, co? Ile razy? – Powiedziała to figlarnym tonem, ani trochę nie oskarżając, dlatego Tignor nie bardzo mógł się obrazić.

– Kochanie, wszystko dzieje się zawsze po raz pierwszy – odparł z wyrzutem Tignor. – Wszystko, co się liczy.

Rebeka była tak wstrząśnięta tym spostrzeżeniem, że aż zachciało jej się płakać. To była doskonała odpowiedź, pokierowana miłością. *A więc jednak mnie nie rzuci. Zostanie.*

Przez jakiś czas Tignor zachowywał się tak, jakby stary farmerski dom był dla niego domem, być może mówił prawdę, twierdząc, że zmęczył się podróżowaniem. Może się zmęczył zbójcejką konkurencją. Niemniej nawet wtedy, gdy oficjalnie był w domu, często robił jednodniowe wypadki. Wyjeżdżał rankiem, wracał po zmierzchu. Rebeka zaczęła się zastanawiać, czy jej mąż jest rzeczywiście przedstawicielem browaru Black Horse. Był człowiekiem pełnym tajemnic, jak jeden z tych pożarów, które tlą się pod ziemią przez tygodnie, miesiące lata. Wmawiała sobie, że któregoś dnia Tignor zrobi jej niespodziankę, bo kupi dom dla nich obojga, ich własny dom w mieście. Tignor był jak ta ogromna,

posiniaczona twarz księżycy na nocnym niebie; człowiek widział go tylko od tej oświetlonej strony, lśniącej jak moneta, ale wiedział, że jest jeszcze ta druga – mroczna i tajemnicza. Istniały jednocześnie dwie strony dziobatego księżycy, ale człowiek wmawiał sobie jak dziecko, że jest tylko ta jasna.

On zamierza mnie zostawić.

Nie: On mnie kocha. Przyrzekł.

Od poronienia i gorączki, którą Rebeka miała potem przez wiele dni, uczucie między nią i Tignorem zmieniało się subtelnie. Tignor już nie był taki wesołkowaty, już się nie śmiał tak głośno. Rzadko ją popychał lub szarpał. Rzadko kiedy jej dotykał, chyba że w łóżku. Widziała, jak się jej przygląda zmrużonymi oczyma. Jakby była dla niego jakąś zagadką, a on nie lubił zagadek. Był skruszony, a jednocześnie wciąż zły. Bo zaliczał się do tych mężczyzn, którzy nie zapominają o swoim gniewie.

Wszak to Rebeka spowodowała poronienie swoim bezmyślnym zachowaniem. Rozmawiała o Tignorze z pokojówką! Pomagała pokojówce w sprzątanii pokoju! A przecież była panią Nilesową Tignor, powinna mieć jakąś godność.

W swojej samotności na Poor Farm Road zaczęła myśleć, że pewnie jest w tym jakaś logika, w tym jej zachowaniu. W tym, że jako mała dziewczynka trzymała się z dala od starej, kamiennej chatki na cmentarzu i w ten sposób uratowała się przed tym, co mogło się z nią stać tamtego ostatniego dnia. Nie mogła wiedzieć, co robi, a jednak coś w niej, ze sprytem uwięzionego w pułapkę zwierzęcia, które odgryza sobie łapę, żeby się uratować, wiedziało.

Bo miał się urodzić Niles Junior. Tamto pierwsze (Dziewczynka? W jej snach to była dziewczynka) zostało złożone w ofierze, żeby mógł się urodzić ich syn.

Doktor Rice wyjaśnił, że poronienie to sposób, w jaki „natura naprawia swój błąd”. Na przykład zniekształcony płód.

Czasami to szczęście w nieszczęściu.

– Oczywiście ciężarna kobieta może doświadczać smutku niemal tak, jakby straciła normalne dziecko – tłumaczył doktor Rice. – Smutek może pozostać aż do nowej ciąży.

Smutek! Rebeka miała ochotę się śmiać z tego przemądrzałego doktora położnika z gniewną odrazą.

Doktor Rice z Chautauqua Falls. Badał Rebeke jak kawał mięsa, wymuskany, a jednak wulgarny, delikatny, a jednak zadawał ból tymi cholernymi dłońmi w gumowych rękawicach i zimnymi, metalowymi przyrządami jak szpikulce do lodu, przez co musiała zagryzać wargi, żeby nie krzyczeć i nie kopać go w brzuch. A jednak później w gabinecie, kiedy Rebeka już się ubrała i próbowała wziąć w garść, obraził ją do żywego, mówiąc te brednie.

– Panie doktorze, mi wcale nie jest smutno! Naprawdę nie. Nie jestem kobietą, która oplakuje przeszłość. Niech pan zrozumie, ja patrzę w przyszłość tak jak mój mąż. Nas obchodzi tylko to, czy to dziecko jest zdrowe i czy się urodzi, panie doktorze.

Doktor Rice zamrugał. Czyżby nie docenił pani Nilesowej Tignor, błędnie przyjmując, że to jakaś zwykła, płaczliwa dziewczynka?

– To bardzo mądre podejście, pani Tignor – powiedział prędko. – Chciałbym, aby wszystkie moje pacjentki były takie mądre.

Dom! Zanim urodził się Niles Junior, pod koniec listopada 1956 roku, Rebeka nauczyła się go kochać.

– Tu jest pięknie, Tignor. To będzie nasze ukochane miejsce.

Wypowiedziała te słowa więcej niż jeden raz. Niczym słowa piosenki o miłości, która mogła sprawić, że Tignor się uśmiechnie i może nawet ją przytuli.

Miejscowi nazywali go domem starego Wertenbachera. Stał jakieś dwie mile na północ od Chautauqua Falls, na pofałdowanym terenie pełnym małych farm, pastwisk, otwartych pól i bagien. To było podnóże gór Chautauqua, od ich zachodniego skraju. Tak się składało (Rebeka nie wierzyła w zbiegi okoliczności, wierzyła w czysty przypadek), że Chautauqua Falls, położone osiemdziesiąt mil na zachód od Milburn, też było miejscowością pobudowaną dawno na brzegach kanału, tyle że w odróżnieniu od Milburn pozostało raczej małe, miało szesnaście tysięcy ośmiuset mieszkańców. Miało swój przemysł, kilka fabryk, szwalnię i wytwórnię puszek nad rzeką Chautauqua. Po kanale pływały łodzie. Najwięcej zatrudniał Union Carbide, który powiększył swoje tereny w latach 1955 i 1956 – latach boomu gospodarczego. Któregoś dnia Rebeka miała podjąć pracę przy taśmie montażowej w Niagara Tubing, ale na razie Tignor przywiózł ją na wieś, na przedmieściach Chautauqua Falls, do osady zwanej Four Corners. W miejscu, gdzie Poor Farm Road krzyżowała się ze Stuyvesant Road, znajdował się mały budynek poczty, skład węgla, magazyn zboża, sklep spożywczy Ike's z wielką reklamą firmy mleczarskiej Sealtest w oknie wystawowym, warsztat naprawczy Meltzera. Na terenie dawnej ubogiej farmy urządzono dwuizbową szkołę podstawową. I była jeszcze remiza ochotniczej straży pożarnej oraz drewniany kościół metodystów, a za nim cmentarz. Kiedy Rebeka przechodziła czasami obok tego kościoła, słyszała śpiewy dobiegające z wnętrza i czuła ból straty.

Edna Meltzer chodziła do tego kościoła i kilka razy proponowała Rebecę, że ją z sobą zabierze.

– W tym kościele jest sama radość, Rebeko! Wchodzisz do środka i od razu się uśmiechasz.

Rebeka wymamrotała niewyraźnie, że z chęcią, że może. Któregoś dnia.

– Kiedy twoje dziecko ma się urodzić? Pewnie będziesz chciała je ochrzcić.

Rebeka wymamrotała niewyraźnie, że to będzie zależało od tego, czego chce ojciec dziecka.

– Tignor? To on w coś wierzy? Akurat!

Pani Meltzer zdumiała Reбекę, śmiejąc się tak poufale. Jakby bardzo dobrze znała Tignora. Rebeka skrzywiła się, bo teraz już poczuła się nieswojo.

– A twój, Rebeka? Jaką religię wyznawali?

Pani Meltzer zadała Rebecę to pytanie w uprzejmy, zdawkowy sposób, jakby to właśnie wpadło jej do głowy. Mówiła o nich w czasie przeszłym jakby odruchowo.

Czemu „wyznawali”, a nie „wyznają”? – zastanowiła się Rebeka.

Przez dłuższą chwilę nie wiedziała, jak odpowiedzieć na to pytanie. Tymczasem ta kobieta domagała się odpowiedzi, ta sama kobieta, przed którą ostrzegał ją Tignor.

Tę rozmowę prowadziły w sklepie spożywczym Ike's. Rebeka właśnie wychodziła, pani Meltzer właśnie wchodziła. Była połowa września, nastąpiła sucha i bardzo ciepła aura. Tignor wyjechał do Lake Shaheen, z zamiarem znalezienia jakiejś „posiadłości na nabrzeżu”. Rebeka była w siódmym miesiącu ciąży i wołała już więcej nie sprawdzać, ile funtów przybrała na wadze oprócz początkowych dwudziestu. Miała wrażenie, że cała

składa się z brzucha, brzucha, który buzował życiem. Jej mózg przestał jakby funkcjonować, niczym popsute radio. Głowę miała pustą jak zamrażarka wyrzucona na śmietnik.

Wyszła ze sklepu, nie powiedziawszy Ednie Meltzer ani jednego słowa. Dzwonek nad drzwiami zasygnalizował dźwięcznie jej wyjście. Nie wiedziała, że pani Meltzer odprowadziła ją wzrokiem, i nie obchodziło jej, co sąsiadka będzie gadała za jej plecami żonie Ike'a, Elsie. *Co za dziwaczka z tej dziewczyny! Aż żal ściska, jak się na nią patrzy.*

Jesienne dni stawały się coraz krótsze, powietrze coraz ostrzejsze i Rebecę się wydawało, że farma jest piękniejsza niż przedtem. Wszędzie widziała zaniedbanie i piękno, gdziekolwiek by poszła, cokolwiek by spenetrowała. Kanał: ciągnęło ją nad kanał, na ścieżkę holowniczą. Lubiła się przyglądać płynącym powoli barkom. Ludziom, którzy do niej machali. Kiedy tak stała na szeroko rozstawionych nogach, przenosząc cały swój ciężar na pięty, brzuchata i uśmiechnięta, zaśmiewając się, że pewnie wygląda idiotycznie, tak mało ponętnie. Anna Schwart już by jej teraz nie ostrzegała, że „coś się z nią stanie”, bo przecież żaden mężczyzna nie zechciałby kobiety w tak widocznej ciąży.

I jeszcze niebo tamtej jesieni. Marmurowe chmury, burzowe chmury, wysokie, blade cirrusy, które rozsnuwały się na twoich oczach. Rebeka stała i gapiła się na nie przez długie, marzycielskie minuty, z dłońmi zaplecionymi na brzuchu.

To następne już utrzymasz.

...w ich łóżku, w starym domu Wertenbachera na Poor Farm Road. Tignor przyciskał twarz do jej twardego, gorącego brzucha. Miętosił jej biodra, pośladki. Miętosił jej piersi. Był zazdrosny o dziecko, które miało ssać te piersi. Kiedy wracał do domu, nie chciał mówić, gdzie był, mówił, że nie po to się z nią ożenił, żeby mogła go spowiadać. Mimo że pytała go tylko o to, jak długo siedział za kierownicą i czy jest głodny. Czują jego niechęć do siebie, do tego wielkiego brzucha, który im przeszkadzał w uprawianiu miłości. A jednak jej dotykał. Nie umiał utrzymać rąk z daleka. Ugniatał jej miednicę, zjeżone włosy łonowe promieniujące w stronę pępka. Przyciskał ucho do jej brzucha tak mocno, że aż zadawał ból, twierdził, że słyszy bicie serca dziecka. Pił, ale nie wyglądał na pijanego. Powiedział ze smutkiem:

– Pozbyli się mnie, kiedy byłem mały. Nieraz mnie nachodziło, że kiedyś ich odszukam. I zmuszę, żeby zapłacili.

W Troy, w pokoju hotelowym, gdzie krwawiła w gruby zwój ręczników, papieru toaletowego i chusteczek, to Rebeka pocieszała Tignora. *To nie twoja wina. To nie twoja wina.* Zajrzała mu do duszy i zobaczyła, co się tam kryje, połamane i potrzaskane niczym lśniące okruchy szkła. Wierzyła, że jest dostatecznie silna, by go uratować, choć okazała się nie dość silna, by uratować Jakuba Schwarta.

Jakaś kobieta krzyczała na Rebekę takim tonem, jakby uważała ją za opóźnioną w rozwoju.

– Urodzi się, kiedy będzie całe gotowe, kochaneczko. A jak już się znajdzie na świecie, to nie będziesz pamiętać, jak do tego doszło.

Rebeka leżała z rozrzuconymi rękoma i nogami na podskakującej, tylnej kanapie chevroleta Meltzerów, skowycząc z bólu. Z bólu, który ją atakował z nagłością błyskawic. Owszem, były skurcze, miała liczyć odstępy między nimi, a jednak ten szok bólu! Przestała już być taka pewna siebie. Już nie była taka z siebie zadowolona. Przedtem nawet nie zamierzała pokazywać dziecka Ednie Meltzer, bo bała się tej kobiety i nie lubiła jej, a jednak tak wyszło, że to samochód Meltzerów wiozł ją do szpitala w Chautauqua Falls. Musiała zadzwonić do Meltzerów, kiedy zaczęły się bóle. Tignor jej obiecał, że tym razem nie wyjedzie. Obiecał jej, że nie będzie sama. Nie znała numeru, pod którym mogłaby złapać Tignora, i dlatego zadzwoniła do Meltzerów. Z jakiegoś powodu wylądowała na tylnym siedzeniu ich samochodu, do góry nogami. Widziała krajobraz pędzący za oknami samochodu, pasek białego nieba, od dołu do góry. Z tej jazdy zapamiętała niewiele, prócz tego, że siedzący za kierownicą Howie Meltzer w przetłuszczonej czapeczce Esso żuł wykałaczkę, a Edna Meltzer chrząkała głucho, kiedy wychylała się zza fotela pasażerskiego, by ucisnąć jedną z młócących powietrze rąk Rebeki, wytłumaczyć jej z uroczystym uśmiechem, że nie ma powodów do paniki.

– Powiedziałam ci, kochanie: przyjdzie na świat, kiedy będzie całe gotowe. Po prostu weź się w garść, ja cię tu trzymam.

Edna Meltzer ją trzymała, a Rebeka ścisnęła i ścisnęła jej dłoń.

...odurzające delirium, w którym fale przeszywającego na wskroś bólu mieszały się z jakimś dziwnym odgłosem, przywodzącym na myśl piskliwy, oszalały śpiew. Wzywała ojca dziecka, ale tego mężczyzny nie było nigdzie w pobliżu. Wołała i wołała, aż zdarła sobie gardło, ale jego nie było. A przecież obiecał, że z nią będzie! Obiecał, że nie będzie sama, kiedy dziecko zacznie się rodzić. Tymczasem jego nie było, kiedy poczuła pierwsze skurcze i zszokowana osunęła się na klęczki, mimo że przygotowała się zawczasu niczym pilna uczennica, czytając, zakreślając i ucząc się na pamięć fragmentów *Twoje ciało, twoje dziecko i ty*. Ścisnęła swój ogromny brzuch obiema dłońmi. Wołała o pomoc, ale żadna pomoc nie nadeszła. I nie znała żadnego numeru, nie miała jak dotrzeć do Nilesa Tignora. Żadnego pomysłu, gdzie on może być. W rozpaczy zrobiła coś, czego nigdy jej nawet nie zabronił, bo nie musiał: zadzwoniła na informację w Port Oriskany, a potem do browaru Black Horse i wtedy wzgardliwy kobiecy głos poinformował ją, że w danym momencie browar nie zatrudnia nikogo o nazwisku Niles Tignor.

Ale przecież on tam pracował! Rebeka zaprotestowała, że pracował jako przedstawiciel browaru od lat!

Wzgardliwy kobiecy głos powtórzył wtedy, że w danym momencie browar nie zatrudnia nikogo o nazwisku Niles Tignor.

Przebrnęła ćwierć mili do domu Meltzerów.

Błagała ich o pomoc, była sama i nie miał kto jej pomóc.

Koszulę nocną i przybory toaletowe miała już spakowane. A także książkę w tanim wydaniu do poczytania w szpitalu, bo w swojej naiwności uznała, że będzie miała wolny czas na lekturę... Zmarnowała bezcenne minuty na jałowe poszukiwania świadectwa ślubu na wypadek, gdyby musiała dowodzić kierownictwu szpitala Chautauqua Falls, że jest legalną mężatką, że ten poród jest legalny.

...odurzające delirium miało być później opisane jako jedenastogodzinny poród, który ona, centrum tego wszystkiego, zapamiętała niewyraźnie, tak jak pamięta się film obejrzany w dzieciństwie i na dodatek nie najlepiej zrozumiany. Gdy tymczasem dziecko miało być opisane jako „chłopiec, waga osiem funtów i trzy uncje. Niles Tignor Junior”, ale wtedy jeszcze nie miał imienia, jeszcze nie zaczerpnął oddechu, by zapłakać. Był czymś z piekła rodem, czymś, co pchało ze śmiercionośną siłą swoją głowę, niczym kulę do kręgli, która z jakiegoś cudacznego powodu utknęła w jej wnętrzu. I ta kula do kręgli była z litego żaru, w którego środku, chciało się wierzyć, mieszkała malusieńka dusza niemal tak przezroczysta jak rzeczny ślimak. *Coś ci się stanie, dziewczyno. Coś, czego byś nie chciała.* Teraz, kiedy już było za późno, wiedziała, przed czym ostrzegala ją matka.

...odurzające delirium, z którego jednak wyszła, ku swemu zdumieniu słysząc coś, co brzmiało jak kocie wycie, jakże nie pasujące do tego jasnego wnętrza. Ktoś do niej mówił: *Pani Tignor?* Zamrugła, żeby oczyścić zamazane pole widzenia. Zobaczyła ręce, które umieściły nagiego, młócacego kończynami noworodka, najpierw na jej teraz płaskim, sflaczałym brzuchu, potem wyżej, między jej piersiami. *Pani dziecko, pani Tignor. Chłopczyk, pani Tignor.* Te głosy dobiegały do niej z daleka. Ledwie je słyszała. Bo jakże głośno krzyczało to dziecko, jakże ogłuszający był ten koci wrzask! Śmiała się, widząc, jakie jest zezłoszczone i jakie małe, wściekłe i groźne jak jego ojciec, śmiała się, widząc te zamknięte oczka i majtające, maleńkie piąstki. Wydętą buzię małpki, miękką główkę o kształcie orzecha kokosowego porośniętą zmierzwionymi, czarnymi włosami. Śmiała się, bo zobaczyła maleńkiego penisa, nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Och, w życiu nie widziała czegoś takiego jak to dziecko, o którym mówili, że należy do niej! Chciała zażartować *Jego tatuś pewnie był małpą!*, ale wiedziała, że taki żart, w takim momencie i miejscu byłby źle zinterpretowany. Z jej piersi już ciekło mleko, jedna z pielęgniarek pomagała maleńkim ustom znaleźć drogę.

– Wydać na świat dziecko. Tak chyba mówią tylko mężczyźni! Jakby poród był czymś, co się robi na zamówienie. Mój Boże.

Z tego oszołomienia i zachwytu, że już wróciła do domu ze szpitala i że ma przy sobie swoje dziecko, czuła się podchmielona jak po wypiciu piwa zmieszanego z bourbonem. Uwielbiała karmić tę malutką, gorącą małpkę, która robiła się głodna co kilka godzin, i kiedy tak ssała chciwie najpierw z jednej obrzmiałej piersi, potem z drugiej, ona, nowa mamusia, chciała tylko gadać, gadać i gadać. Och, miała tyle do powiedzenia! To wszystko było takie... zwariowane i dziwne!

Edna przyniosła jej egzemplarz „Chautauqua Falls Weekly”, złożony na ostatnich stronach, gdzie były wydrukowane nekrologi oraz ogłoszenia o ślubach i narodzinach. Zamieszczono tam fotografie niedawno zmarłych osób i nowożeńców, ale żadna nie przedstawiała świeżo upieczonej matki z informacją, czyją ta matka jest żoną. Rebeka przeczytała na głos: „29 listopada, w Szpitalu Ogólnym w Chautauqua Falls pani Tignor z Poor Farm Road w Four Corners urodziła chłopca, Nilesa Tignora Juniora, waga osiem funtów i trzy uncje”. Śmiała się, swym wesołym, chrapliwym śmiechem, od którego zgrzytało w uszach, śmiała się tak, że aż ciekły jej łzy z oczu. Bez przerwy paplała o porodzie; Edna rozповідаła wszystkim później, że zachowywała się, jakby była pijana albo jeszcze gorzej.

Edna musiała jednak przyznać na jej obronę, że ta dziewczyna była całkiem nieźle przygotowana. Miała spory zapas pieluszek, trochę dziecięcych ubranek. Kołyskę i wanienkę. Przeczytała jakieś broszury, które dał jej lekarz. W kuchni było jedzenie, głównie w puszkach. I oczywiście Edna miała w swoim domu używane dziecięce rzeczy, które mogła jej dać. Elsie Drott też takie miała. I w razie czego również inne sąsiadki. Kobiety, które mieszkaly w promieniu aż czterech mil, słyszały o Rebecce Tignor, choć niektóre nie wiedziały, jak ona się nazywa. *Młoda matka, jeszcze dziewczyna. Na to wygląda, że bez rodziny. I nie ma przy niej ojca dziecka. Wszystko wskazuje, że ją zostawił, że jeździ gdzieś po kraju. Ten stary dom Wertenbachera praktycznie się wali.*

Jeśli ta dziewczyna martwiła się o przyszłość, to na razie tego po sobie nie pokazywała. Czym irytowała Ednę Meltzer.

– Chyba zostawił ci jakieś pieniądze?

– O tak. Oczywiście.

Edna zmarszczyła brwi, jakby należało ją mocniej przekonywać.

Och, Rebeka miała już dosyć pani Meltzer! Dziecko przestało ssać pierś i teraz drzemało z otwartymi ustami w jej ramionach; rzadka sposobność, by mamusia też mogła uciąć sobie drzemkę.

Słodki rozkoszny sen niczym kamienna studnia, do której można wpaść i lecieć, lecieć w głąb.

Pewnego grudniowego wieczoru, dwanaście dni po tym, jak urodził się jej syn, na progu ich sypialni stanął Tignor. I wytrzeszczył oczy. Rebeka usłyszała cichy, zdyszany szept: „Jezus!” Twarz Tignora była ukryta w cieniu, więc nie widziała, jaki maluje się na niej wyraz. Stał nieruchomo, ostrożny i nieufny. Przez pełną napięcia chwilę Rebeka spodziewała się na poły, że on odwróci się i wyjdzie.

– Tignor. Chodź tu. – Rebeka podsunęła dziecko w stronę Tignora, cała uśmiechnięta.

Tignor musiał zrozumieć, że ma przed sobą doskonałe dziecko, które dopiero co obudziło się z drzemki, a teraz mrugało, wpatrując się w nieznanego człowieka na progu. Zaczęło po swojemu komicznie posapywać, z bańkami śliny na ustach. Wierzgało, majtało maleńkimi piąstkami. Tignor podszedł powoli do łóżka, by odebrać dziecko z rąk Rebeki. Dziecko z niemowlęcym zdumieniem zagapiło się na twarz Tignora, która pewnie wydawała się gigantyczna i świetlista jak księżyc. Tignor ostrożnie wziął dziecko na ręce, a Rebeka zauważyła, że prawidłowo podtrzymał małą główkę na delikatnej szyi. Przed

wejściem do domu wyrzucił papierosa, ale nadal pachniał dymem i dziecko zaczęło marudzić. Zaplamionym nikotyną kciukiem pogładził je po czole.

– Jest moje, prawda?

Hej, nocne marki. Tu stacja Buffalo Wonderful WBEN, które od północy nadaje dla was najlepsze kawałki jazzowe. Słuchacie Zacka Zachariasa, waszego całonocnego gospodarza, który specjalnie dla was puści kolejny stary, ale jary kawałek Theloniusa Monka... Leżała w mroku, nie śpiąc, z dłońmi szepionymi za głową. Rozmyślając o tym, że jej życie jest jak sznur paciorków o tysiącu kształtów, które stłoczyły się w pamięci i przez to wywoływały taki zamęt w myślach, bo w życiu każdy z nich pojawiał się z osobna i definiował się z powolnością wędrówki słońca na niebie. Człowiek wiedział, że słońce się przemieszcza, a jednak nigdy nie widział jego ruchu.

Niley spał w pokoju sąsiadującym z sypialnią Rebeki. A przynajmniej miała nadzieję, że on śpi. Podczas snu słuchał radia, rozpaczliwie nie chcąc być sam nawet wtedy i rozpaczliwie chcąc usłyszeć głos swego ojca pośród głosów obcych ludzi. A ona rozmyślała o tym, jak to wydała na świat Nileya, nie wiedząc, kim on będzie, jak otworzyła swoje ciało na ból tak rozdzierający, że świadomie nie umiałyby go sobie przypomnieć, i dlatego było dokładnie tak, jak przewidziała Edna Meltzer: *A jak już się znajdzie na świecie, to nie będziesz pamiętała, jak do tego doszło.*

Uśmiechnęła się, tak, tak właśnie było. To był jedyny prawdziwy fakt w jej życiu.

Otworzyła też swoje ciało na Nilesa Tignora. Nie mając zielonego pojęcia, kim jest Niles Tignor. Gdyby nie Niley, to pewnie należałoby nazwać to błędem. A jednak Niley nie był żadnym błędem.

Nigdy nie odważyłaby się stawiać Tignorowi po tym wszystkim, czego się do tej pory o nim dowiedziała. A jednak nie mogła od niego odejść, on by nigdy na to nie pozwolił. Nie mogła od niego odejść, jej serce przeszywał skurcz od samego czekania, że zwyczajnie znowu go zobaczy.

Hej, dziewczyno: kochasz mnie?

Chryste, wiesz, że szaleję za tobą.

Przy końcu ich podjazdu, już przy samej Poor Farm Road, stała blaszana skrzynka na listy, umocowana do drewnianego postumentu z wciąż widocznymi, acz wyblakłymi, czarnymi literami: WERTENBACHER. Do Nilesa Tignora i jego żony nie przychodziły żadne listy oprócz ulotek reklamowych. A jednak któregoś dnia, w marcu, tuż po tym, jak Rebeka podjęła pracę w Niagara Tubing (czy był tu jakiś związek? Na pewno!), poszła opróżnić skrzynkę pocztową i odkryła pośród śmieciowej poczty schludnie złożoną pierwszą stronę „Port Oriskany Journal”. Zafascynowana przeczytała artykuł opatrzone nagłówkiem: DWAJ MĘŻCZYŹNI ZAMORDOWANI, JEDEN RANNY W STRZELANINIE W LAKESIDE. Dwaj mężczyźni zmarli w wyniku ran postrzałowych, trzeci został ranny na parkingu przy pewnym popularnym barze na nabrzeżu Port Oriskany. Policja nikogo na razie nie aresztowała, ale zatrzymała mieszkańca Buffalo, niejakiego Nilesa Tignora, lat czterdzieści dwa, w charakterze świadka istotnego. Zdaniem policji napaść wiązała się z wyłudzeniami i wymuszeniami w okolicach Niagary.

Rebeka czytała i czytała ten artykuł, bez końca. Serce biło jej jak młotem, bała się, że może zemdleć. Niley, który przyszedł razem z nią, by opróżnić skrzynkę, marudził i ocierał się o jej nogi.

Zatrzymany! Czterdzieści dwa lata! Mieszkaniec Buffalo!

„Świadek istotny”: co to znaczy?

Tignor wyjechał tydzień wcześniej, rzekomo w okolice Catskill. A w każdym razie Rebeka wierzyła, że Tignor znajduje się w tej właśnie części stanu: raz do niej zadzwonił. Do zajścia doszło pod koniec lutego, trzy tygodnie wcześniej. A zatem cokolwiek się zdarzyło, Tignor został wypuszczony.

Nic jej o tym wszystkim oczywiście nie powiedział. Ani też Rebeka nie wychwyciła niczego niezwykłego w jego zachowaniu i nastroju. Ostatnimi czasy wydawało się wręcz, że Tignor jest w nadzwyczaj dobrym nastroju.

Przyjechał do domu nowym samochodem: srebrnozielonym pontiakiem sedanem z połyskującymi, chromowanymi elementami. Zabrał swoją małą rodzinę, jak ich nazywał, na niedzielną wyprawę nad jezioro Shaheen...

Rebeka zasięgnęła języka i dowiedziała się, kto to jest „świadek istotny”: taki człowiek, w związku z którym policja ma podstawy, by uznać, że może być pomocny w śledztwie. W bibliotece w Chautauqua Falls przejrzała archiwalne numery gazety z Port Oriskany, ale nie znalazła żadnych dodatkowych informacji o strzelaninie. Zadzwoniła na policję w Port Oriskany i powiedziano jej, że śledztwo wciąż się toczy i że nie udzielają żadnych informacji.

– A kim pani jest? I czemu chce to pani wiedzieć?

– Jestem nikim – odparła. – Dziękuję.

Odwiesiła słuchawkę i postanowiła więcej o tym nie myśleć. Bo co dobrego miałoby przyjść z myślenia o tym wszystkim...

(Tignor, czterdzieści dwa lata: myślała, że jest o wiele młodszy. I mieszkaniec Buffalo: jak to możliwe! Był przecież mieszkańcem Chautauqua Falls.)

(Liczyło się to, że był ojcem Nileya i że był jej mężem. Niezależnie od tego, kim był Niles Tignor, oni dwoje kochali go. Rebeka nie miała prawa węszyć w tym jego życiu, które wiódł z dala od niej, które przecież zaczął wieść jeszcze przed nią.)

Nie minęły nawet trzy lata od dnia, w którym Tignor przybył do tego domu i do tej sypialni, kiedy po raz pierwszy wziął na ręce swojego syna. Rebeka miała wrażenie, że upłynęły całe wieki, choć być może to był dopiero początek.

Jest mój, prawda?

A niby czyj? Rebeka musiała z tego żartować, sprawić, by oboje się roześmiali.

Tignor się nie roześmiał. Rebeka domyśliła się poniewczasie, że nie należy żartować z takich rzeczy w przypadku mężczyzn. Tignor skrzywił się i zrobił taką samą minę jak wtedy, gdy Rebeka wypowiadała słowo „kurwa”. Trzymał wierzgające niemowlę na rozpostartej dłoni, przyglądając się jego zaczerwienionej, skurczonej twarzyczce. Minęła długa chwila, zanim się uśmiechnął i w końcu roześmiał.

Temperament to ma po mnie, co? Mały szczyl.

Tignor przeprosił Reбекę za to, że wyjechał, przecież nie chciał, by była sama w takim momencie. Kilka razy próbował się do niej dodzwonić, ale linia była wiecznie zajęta. Jasne, że się o nią martwił, była taka sama w tym domu. Ale wiedział, że nic się złego nie stanie, bo przecież szczęście ich nie opuszcza.

Szczęście! Rebeka się uśmiechnęła.

Tignor przywiózł różne rzeczy do domu: mosiężną lampę stojącą z kompaktową żarówką, popielniczkę z jadeitu na podstawie w kształcie słonia. Były to efektowne przedmioty, które pasowały raczej do jakiegoś hallu hotelowego. Dla Rebeki nowy,

koronkowy szlafroczek w kolorze słomkowym na miejsce starego, który już się strzępił, czarną, satynową sukienkę ze staniczkami wyszywanymi cekinami („to na sylwestrową noc”), pantofle z koziej skóry na wysokich obcasach (rozmiar szósty, choć Rebeka nosiła siedem i pół). Rebeka potrząsnęła głową: to był cały Tignor, który zaraz po wyjeździe zapomniał, że ona jest w ciąży. Zapomniał, że niebawem urodzi się dziecko.

Z początku był oczarowany synem. Wiecznie go podnosił niczym jakieś trofeum. Uwielbiał nosić dziecko na barana; Niley kopał go wtedy i piszczał z zachwytu. W takich momentach na szerokiej twarzy Tignora pojawiała się ciepła, czerwona łuna i Rebeka czuła lekkie ukłucie zazdrości, mimo że sobie myślała: *Za to mogę wybaczyć mu wszystko*. Śmiali się, że pierwszym zrozumiałym słowem, jakie wypowiedział, czy raczej wykrzyczał z niemowlęcym zdumieniem Niley, było nie „ma-ma”, tylko „ta-ta”. Poza tym Tignor nie chciał moczyć sobie rąk przy kąpaniu Nileya, ale za to uwielbiał wycierać go energicznie do sucha. I pasjami uwielbiał się przyglądać, jak Rebeka karmi dziecko piersią; klękał wtedy obok jej krzesła, przybliżając twarz do chciwie ssących niemowlęcych ust, aż wreszcie nie mógł już tego znieść, musiał całować i ssać drugą pierś Rebeki, tak podniecony, że musiał się z nią kochać... Rebeka była nadal obolała po porodzie, ale wiedziała, że nie wolno jej odmawiać temu mężczyźnie.

Zdarzało się jednak, że w takich momentach Tignor często życzył sobie jedynie tego, by go doprowadzała do orgazmu ręką, prędką i wprawną. Wykrzywił wtedy i wtulał w nią twarz, obnażając zęby. Później się wstydził, nie lubił swej żony za to, że była świadkiem takich prymitywnych, zwierzęcych potrzeb. Odchodził, odjeżdżał swoim samochodem, a Rebeka zostawała sama, zastanawiając się, kiedy on wróci.

Nowość, jaką uosabiało to dziecko, zaczęła blednąć dla Tignora po kilku miesiącach. I nawet zachwyty Nileya tatą tu nie pomagał. Bo Niley był marudnym dzieckiem, nie chciał jeść, rzadko spał dłużej niż trzy godziny pod rząd. Był żwawy, czujny, ciekawski, ale też łatwo się przestraszał i krył po kątach. Odziedziczył po ojcu jego krewki temperament, ale brakowało mu pewności siebie Tignora. Często wydzierał się przeraźliwie głośno, ogłuszająco. Aż trudno było dać wiarę, że płuca małego dziecka są zdolne do takiego hałasu. Z braku snu Rebeka często zataczała się po domu, bo była taka zamroczona i nękały ją jakieś zwidy. Tignor wracał do domu i zaraz groził, że znowu wyjedzie.

– Nakarm go, uśpij go. Jesteś jego matką, na litość boską.

To „jesteś jego matką” padało wyjątkowo często. Rebeka za nic nie chciała myśleć, że to oskarżenie.

– Mamusiu? Mogę z tobą spać, mamusiu? – Niley chciał wpełznąć razem z nią do łóżka.

– Ależ kochanie! – protestowała Rebeka. – Jesteś już dużym chłopczykiem i masz swoje łóżeczko, prawda?

Niley chciał spać z mamusią, mówił, że jest samotny. W tamtym pokoju były rzeczy, które go przerażały. Chciał spać z mamusią.

– No niech ci będzie, ale kiedy wróci tatuś, nie będziesz mógł tu spać – besztła go Rebeka. – Tatuś nie będzie cię rozpieszczał tak jak ja.

Wciągnęła dziecko pod kołdrę. Przytulili się do siebie, a potem zasnęli, wsłuchani w audycję WBEN Wonderful dobiegającą z pokoju obok.

Nastał pierwszy tydzień października roku 1959. Dwanaście dni po zdarzeniu z udziałem mężczyzny w panamie. Tamto HAZEL JONES HAZEL JONES HAZEL JONES już nie brzmiało tak uwodzicielsko na tle jazgotu maszyn i smrodu spalonej gumy przy taśmie montażowej w Niagara Tubing; Rebeka powoli zaczynała zapominać.

Była trzeźwo myślącą młodą kobietą. Była matką małego dziecka, dla niego właśnie uczyła się zapominać.

I wtedy wrócił Tignor.

Przyszła do Meltzerów, żeby odebrać Nileya, i pani Meltzer jej powiedziała, że Tignor już u niej był, że zabrał chłopca do domu.

– Tutaj? – wyjąkała Rebeka. – Tignor... tutaj? Wrócił?

Edna odparła, że tak, że Tignor wrócił. To Rebeka nie wiedziała, że jej mąż wraca tego dnia?

Rebeka nie posiadała się ze wstydu, bo została zdemaskowana. Bo musiała się przyznawać, że nic nie wiedziała. Nie mogła tego ścierpieć, że Edna Meltzer zobaczyła jej zmieszanie i będzie się nad nią użalała w całej okolicy.

Wyszła z domu Meltzerów i całą drogę do siebie biegła. Serce jej kołatało w piersi; spodziewała się Tignora w poprzednią niedzielę, ale on ani nie przyjechał, ani nie zadzwonił. Wmawiała sobie, że on przyjedzie pod Niagara Tubing, żeby ją zabrać i zawieźć do domu... Niles Tignor w lśniącym samochodzie, czekający na nią przy krawężniku. W nowym modelu srebrnozielonego pontiaca, na którego inni patrzeli z takim podziwem. Coś tu było nie tak, ale Rebeka nie umiała się połapać co. *Zabrał Nileya. Już nigdy nie zobaczę Nileya.*

Na końcu zachwaszczonego podjazdu stał jednak pontiac. W domu, w kuchni zobaczyła wysoką, barczystą sylwetkę Tignora razem z Nileyem; zarzucał Nileya pytaniami swym entuzjastycznym głosem prezentera radiowego – „I co? Co wtedy? Co byś zrobił? Ty i mamusia? Tak?” – co oznaczało, że mówił, ale nie słuchał, że był czymś podekscytowany. W kuchni pachniało dymem cygara i świeżo otworzonym piwem. Rebeka weszła do środka i ze zdumieniem spostrzegła, że z Tignorem coś się stało... Połowę głowy miał ogoloną do gołej skóry, a reszta jego pięknych, gęstych włosów metalicznej barwy została ostrzyżona na krótko. Wydawał się jakiś blady, nieswój. Przeniósł na nią wzrok, obnażył zęby w grymasie uśmiechu.

– A więc wróciłaś, dziewczyno, tak? Z fabryki?

Tignor często wygłaszał takie bezsensowne uwagi, które miały moc ciosu bokserkiego, które miały wytrącić z równowagi, ogłupić. Trudno było na nie odpowiedzieć tak, by to nie zabrzmiało jak przyznanie się do winy albo próba obrony. Rebeka mruknęła, że tak, że wróciła. Że wraca co wieczór o tej porze. Podeszła do Tignora, który nie wykonał żadnego ruchu w jej stronę, i objęła go ramionami. Od wielu dni miała buntownicze myśli związane z tym człowiekiem, a jednak teraz oładnęły ją emocje, chciała tylko ukryć w nim swoją twarz, zagrzebać się w jego ramionach. Niley

skakał dookoła nich, szczebiocząc o tatusiu. Tatuś kupił mu prezenty, czy mamusia chce je obejrzyć?

Tignor nie pocałował Rebeki, ale pozwolił jej pocałować siebie. Miał zarośniętą szczękę, a jego oddech nie pachniał świeżo. Wydawał się lekko dezorientowany, jakby przyszedł do niewłaściwego domu. I bodajże patrzył ponad jej głową, co raz zezując w stronę drzwi, jakby na poły się spodziewał, że wejdzie ktoś jeszcze. Gładził ją po plecach i ramionach, niemal brutalnie, z roztargnieniem.

– Moja dziecinka. Moja dziewczyna. Tęskniłaś za swoim starym mężulkiem? No powiedz. – Brutalnie zdarł z jej głowy chustkę, roztrząsnął jej włosy, potargane, niezbyt czyste. – Fuj. Śmierdzisz spaloną gumą. – Ale roześmiał się, pocałował mimo wszystko.

Rebeka wahała się, czy może dotknąć głowy Tignora, pogłodzić go po włosach, które tak się zmieniły.

– Patrzysz na mnie, co? Cholera, miałem mały wypadek w Albany. Musieli mi założyć kilka szwów.

Pokazał jej z tyłu głowy brzydką, niewygojoną bliznę długości jakichś pięciu cali. Wzruszył ramionami, kiedy Rebeka spytała, co to był za wypadek.

– To się więcej nie powtórzy.

– Ale co się stało, Tignor?

– Powiedziałem: to się więcej nie powtórzy.

Tignor porzucił swoją teczkę, walizkę i marynarkę na krzesłach w kuchni. Rebeka pomogła mu to wszystko zanieść do sypialni na tyłach. Ten pokój, zdaniem Rebeki wyjątkowy pokój w ich domu, trzymała w ciągłej gotowości na nieprzewidywalny powrót męża: łóżko było zaścienione i nakryte pikowaną narzutą, wszystkie jej ubrania wisiały schludnie w szafie, wszystkie powierzchnie były świeżo odkurzone, a na toaletce stał nawet wazon ze sztucznymi kwiatami. Tignor gapił się na to wnętrze takim wzrokiem, jakby widział je pierwszy raz w życiu.

Mruknął coś, co zabrzmiało jak: *Mmmm!*

Wypchnął Nileyę z sypialni, sprawiając, że dziecko zaczęło kwilić za zamkniętymi drzwiami. Nagle zrobił się pobudzony, podniecony. Na poły zaniósł na łóżko Rebeke, która go całowała, gdy zrywał ubranie z niej i z siebie, a potem w ciągu kilku minut uwolnił do jej skwapliwego wnętrza nagromadzone w sobie napięcie. Rebeka obłapiała jego plecy poprzecinane grubymi mięśniami. Zagryzła dolną wargę, żeby nie płakać. Przemawiała cichym, ledwie słyszalnym, błagalnym głosem:

– ...tak bardzo cię kocham, Tignor. Proszę, nie zostawiaj nas więcej. Kochamy cię, nie rób nam krzywdy...

Tignor stęknął z bezbrzeżnym zadowoleniem. Jego twarz, z tą osobliwą, połamaną symetrią, jarzyła się teraz ciepłą, rumianą łuną. Przewrócił się na plecy, otarł czoło muskularnym ramieniem. Nagle owładnęło nim wielkie zmęczenie, Rebeka czuła ociążałość we wszystkich jego kończynach. Niley skrobał w zamknięte na klucz drzwi i wołał: – „Tatusiu? Mamusiu?” – błagalnie jak zagłodzony kot.

– Ucisz tego dzieciaka, co? – mruknął z irytacją Tignor. – Muszę się przespać.

Tamta pierwsza noc. Powrót Tignora, na którego tak długo czekała.

Nie chciała się zastanawiać, co to wszystko oznacza. Jak długo z nią będzie tym razem.

Wyszła na palcach z sypialni, pozbierawszy swoje ubranie. Postanowiła, że zanim zrobi kolację, weźmie kąpiel. Wykąpie się, umyje oklapnięte, przetłuszczone włosy, żeby mu zrobić przyjemność. Szła chwiejnie, jakby odniosła jakąś tajemniczą ranę. Tignor kochał się z nią mocno, brutalnie, wyczerpująco. Po raz pierwszy od prawie sześciu tygodni. Czuła się niemal tak, jakby to był pierwszy raz od narodzin Nileya.

Tamta ogromna rana po porodzie. Rebeka bała się, że ta rana nigdy się nie zrośnie, nie wygoi do końca. Czy Hazel Jones miała kiedykolwiek męża? A dziecko?

Niley musiał uzyskać zapewnienie, że tatuś naprawdę jest w domu i że przez jakiś czas zostanie w domu; tatuś teraz spał i nie chciał, żeby mu przeszkadzano. A jednak błagał, żeby mu pozwolić zajrzeć przez szparę w drzwiach.

– Czy to on? – szeptał. – To jest tatuś? Ten pan?

Później, po kolacji, Tignor pił i był skruszony. Twierdził, że tęsknił za nimi. Za swoją małą rodziną z Chautauqua Falls.

– Tylko za tą jedną „małą rodziną”? – spytała bez troski Rebeka. – A gdzie są tamte inne?

Tignor roześmiał się. Przyglądał się Nileyowi, który zmagał się z błyszczącym, czerwonym samochodziem, zbyt dużym i nieporęcznym jak dla trzylatka.

– Jezus, wiem, w moim życiu powinno się coś zmienić. Najwyższy czas.

Powiedział jej, że kupił posiadłość w Shaheen. Że negocjuje umowę kupna na restaurację i bar w Chautauqua Falls. I myśli o jeszcze innych nieruchomościach... Żałośnie gładził się po głowie, tam gdzie został ranny.

– Z tym wypadkiem to było tak, że jakiś sukinsyn próbował mnie zabić. Jego kula mnie drasnęła.

– Kto? Kto cię próbował zabić?

– Ale mu się nie udało. I jak powiedziałem, to się nie powtórzy.

Rebeka siedziała w milczeniu, rozmyślając o rewolwerze, który znalazła w walizce Tignora. Podejrzewała, że nadal tam jest. Podejrzewała, że Tignor miał powody go użyć.

Hazel Jones mogła mieć syna podobnego do Nileya. Hazel Jones nie wyszłaby za kogoś takiego jak Niles Tignor.

– Wiem o tym, co się stało w Port Oriskany. I wiem, że cię tam zatrzymali w charakterze świadka istotnego.

Te słowa wypowiedziała zniecka, pod wpływem impulsu.

– A skąd o tym wiesz, mała? – zainteresował się Tignor. – Ktoś ci o tym powiedział?

– Czytałam o tym w gazecie z Port Oriskany. Pisali o zasadzce. O strzelaninie. I twoje nazwisko...

– A jakim cudem zobaczyłaś tę gazetę? Ktoś stąd ci ją podsunął?

Tignor nadal rozmawiał z nią czułym, lekko zaciekawionym tonem.

– Znalazłam tę gazetę w skrzynce na listy. Tylko pierwszą stronę.

– To było dawno temu, Rebeka. Zimą.

– I teraz już po wszystkim? Cokolwiek to było, już się skończyło?

– Tak. Już po wszystkim.

W trakcie rozbierania się do łóżka Tignor obserwował Rebeke, która szcotokowała włosy. Jej dłoń trzymająca szczotkę poruszała się z wprawą, zdecydowanie. Te świeżo

umyte włosy były teraz bardzo ciemne, lśniące; pachniały wonnym szamponem, a nie fabryką, zdawały się iskrzyć. Rebeka zobaczyła w lustrze, że Tignor zbliża się do niej. Zaczęła drżeć z oczekiwania, ale jej dłoń nie zwolniła ruchów. Był nagi, ogromny; tors i brzuch miał porośnięte szorstkimi, błyszczącymi włosami. Między jego grubymi nogami, z gęstej kępy włosów łonowych unosił się na poły wzwiedziony penis. Tignor dotknął jej włosów, pogładził ją po karku, który był taki wrażliwy na dotyk. Przywarł do niej, z cichym westchnieniem. Rebeka słyszała, że przyspieszył mu oddech.

Bała się, w myślach miała pustkę.

Nie wiedziała, jak się zachować. Co takiego mogła zrobić w przeszłości.

– Byłaś z jakimś mężczyzną, prawda? – spytał ją cicho Tignor, jakby to była jakaś ich wspólna tajemnica.

Rebeka wytrzeszczyła na niego oczy w lustrze.

– Z mężczyzną? Z jakim mężczyzną?

– A skąd ja mam, do diabła, wiedzieć, z jakim mężczyzną?

Zaśmiał się. Pociągnął Reбекę na nogi, a potem w stronę łóżka, schludnie już pościelonego; pasek prześcieradła wyłożony na koc miał szerokość dokładnie trzech cali. Kołysali się razem niczym niezdarni tancerze. Tignor pił od wielu godzin i był już podchmielony. Zahaczył stopą o chodnik obok łóżka, zaklął i znowu parsknął śmiechem, coś go bardzo rozśmieszyło.

– Może z tym, który ci dał gazetę. Albo z jego kumplem. Albo z wszystkimi jego kumplami. Ty mi powiedz, kto to był, mała.

Rebeka wpadła w panikę i próbowała odepchnąć się od Tignora, ale on był zbyt szybki, schwycił ją za włosy, zacisnął na nich pięść i potrząsnął nią, wcale nie mocno, tylko delikatnie, z przyganą, tak jak się karci krnąbrne dziecko.

– Ty mi to powiedz, Cyganeczko. Mamy na to całą noc.

Następnego dnia spóźniła się do pracy o całą godzinę i dwadzieścia minut. Jego samochód stał na podjeździe, ale nie miała kluczyków i nie odważyła się go poprosić, bo spał tak głęboko. Poruszała się sztywno. Włosy miała ukryte pod chustką. Przy taśmie montażowej zauważono, że jej twarz jest spuchnięta, ponura. Kiedy zdjęła okulary przeciwsłoneczne w plastikowych oprawkach, z gatunku tych tanich i radosnych, które sprzedają w drugstore'ach, i zastąpiła je okularami ochronnymi, zauważono, że lewe oko ma podbite. Rita trąciła ją łokciem i szepnęła jej do ucha:

– Wrócił? To dlatego, tak?

Nie miała nic do powiedzenia.

Już wiedziała: odejdzie od niego.

Wiedziała, zanim to do końca zrozumiała. Zanim ta wiedza do niej dotarła, na zimno, nie do odwołania i nie do obalenia. Zanim te straszne słowa rozbrzmiały w jej mózgu, bezlitosne jak maszyny w Niagara Tubing: *No bo jaki masz wybór, on zabije was oboje*. Zanim zaczęła rozpaczliwie kalkulować: dokąd mogłaby pójść, co mogłaby z sobą zabrać, jak mogłaby zabrać dziecko. Zanim przeliczyła skromną kwotę pieniędzy (Tylko czterdzieści trzy dolary! A przedtem wyobrażała sobie, że jest ich więcej), którą udało jej się zaoszczędzić z wypłat i które ukrywała w szafie. Zanim zaczął coraz częściej stosować przemoc wobec niej i dziecka, jak zawsze udając, że to tylko takie droczenie się dla żartu. Zanim zaczął jej zarzucać, że dziecko kuli się na jego widok. Zanim koszmar jej sytuacji zaczął ją nachodzić po nocach, kiedy leżała, nie śpiąc, w swoim łóżku, w domu na Poor Farm Road, obok mężczyzny pogrążonego w głębokim, pijackim śnie. Gdzie ni stąd, ni zowąd nachodziła ją tamta woń mokrej trawy, mokrej ziemi, przebijająca przez deski podłogi. Tamten słodko-zgniły smród. Kiedy była niemowlęciem opatulonym w brudny szal, które zostało pospiesznie zaniesione do szopy i przyciśnięte do ciężkiej piersi matki, która ukrywała się, ciężko dysząc i kuląc się w ciemnościach, przez prawie całe popołudnie. Do chwili, gdy jakaś postać otworzyła drzwi, oburzona i wściekła. *Chcesz, żebym ją udusił?*

Już wiedziała. Wiedziała jeszcze przed tamtym październikowym porankiem, bo tamtego poranka, tak wczesnego, że słońce dopiero co wychynęło zza zwałowiska chmur nad linią drzew, a Niley jeszcze spał w pokoju obok, odważyła się wyjść za nim z domu, dojść do drogi i potem przejść na drugą stronę tej drogi, nad kanał, a tam przyczaiła się i obserwowała z odległości jakichś trzydziestu stóp, jak szedł powoli ścieżką holowniczą, po czym przystanął, zapalił papierosa i stał tak chwilę zamyślony: samotna, męska sylwetka, o którą nie od rzeczy jest pytać *Kto to?*, bo z jakiegoś tajemniczego powodu rzuca się w oczy. Obserwowała go zza krzaków i zobaczyła, że Tignor ogląda się spokojnie, raz przez ramię, a potem w obie strony płaskiej, ciemnej, roziskrzanej wody (na kanale nie pływały żadne barki, na ścieżce holowniczej nie było żadnego śladu ludzkiej działalności), po czym wyjmując z kieszeni marynarki przedmiot o niesymetrycznym kształcie i od razu wiedziała, mimo że przedmiot był owinięty w szmatę, że to rewolwer. Tignor zważył go w dłoni, a potem wahał się przez chwilę, z wyraźnym żalem. A potem obojętnie, tak jak zwykł czynić wiele rzeczy, cisnął zawiniątko do kanału, gdzie natychmiast utonęło.

Strzelał z tej broni, zabił kogoś, pomyślała Rebeka. *Ale mnie nie zabije.*

Zaraz po ślubie Tignor nauczył Rebekę prowadzić. Często obiecywał, że kupi jej samochód – „Ładne, małe coupe” dla mojej dziewczyny. Może z podnoszonym dachem”. Zdawał się wtedy szczery, a mimo to jakoś nigdy nie wywiązał się z obietnicy.

Pontiac stał teraz często na podjeździe, a jednak nie odważyła się poprosić Tignora, by pozwolił jej usiąść za kierownicą. By mogła pojechać choćby tylko do sklepu w

Chautauqua Falls albo do pracy. W niektóre poranki, kiedy wstawał wcześniej albo wracał akurat do domu po całonocnej nieobecności, podwoził ją do Niagara Tubing; w niektóre popołudnia, jeśli był gdzieś w pobliżu, podjeżdżał po nią na koniec zmiany. Niemniej nie mogła na nim polegać. Na ogół wciąż pokonywała półtorej mili ścieżką holowniczą piechotą, jak to zawsze robiła.

Nie było jasne, co zrobić z Nileyem. Tignor nie chciał, by Edna Meltzer opiekowała się jego synem – stary babsztyl, który wtykał nos w jego sprawy! – mimo to raczej trudno było oczekiwać, że Tignor będzie zostawał w domu i sam opiekował się trzylatkiem. Jeśli Rebeka zostawiała Nileyę z Tignorem, to po powrocie nierzadko się przekonywała, że pontiaca nie ma, a dziecko błąka się wkoło domu w wymiętym, brudnym ubranku, jeśli nie półnagie. Bywało, że znajdowała Nileyę boso i w piżamie, jak ciągnął swój błyszczący, czerwony samochodzik po porytym koleinami podjeździe albo jak bawił się obok głębokiej na trzydzieści stóp studni, nakrytej wiekiem z przegnitych desek, albo jak buszował po zapadającej się stodole, pośród pokładów ptasich odchodów nagromadzonych tam przez dziesiątki lat. Któregoś razu udało mu się dotrzeć do sklepu spożywczego Ike'a.

– Kiedy ja nie mam nic przeciwko! – powiedziała Edna Meltzer. – Niley jest dla mnie jak rodzony wnuk. A Tignor będzie mógł przychodzić po niego i zabierać go sobie, kiedy tylko zechce.

Tignor z początku interesował się dziecięcymi rysunkami i bazgrołami Nileyę. Jego próbami pisania pod kierownictwem Rebeki. Tignorowi brakowało cierpliwości, by czytać Nileyowi, sam akt głośnego czytania go nudził, ale leżał rozwalony na sofie, paląc papierosy i popijając piwo, i słuchał, jak Rebeka czyta Nileyowi, który upierał się, żeby mamusia wodziła palcem pod słowami, które właśnie czytała, by dzięki temu mógł je po niej powtarzać.

– Co za dzieciak! Chyba bystry jak na swój wiek – stwierdził Tignor.

Rebeka uśmiechnęła się, zastanawiając, czy Tignor wie, ile lat ma jego syn. Albo jakie są przeciętne trzylatki. Powiedziała, że owszem, też uważa, że Niley jest bardzo bystry jak na swój wiek. I że jest też uzdolniony muzycznie.

– Uzdolniony muzycznie? Od kiedy?

Rebeka odparła, że zawsze gdy z radia płynie muzyka, przestaje robić to, co akurat robi, i słucha. Muzyka wyraźnie na niego działa. Próbuje przy niej śpiewać, tańczyć.

– Moje dziecko nie będzie tancerzem – odparł Tignor. – Nie będzie jakimś stepującym czarnuchem.

Tignor powiedział to z komiczną przesadą, jak ktoś, kto chce być zabawny, ale Rebeka zauważyła, że przez jego twarz przebiega dziwny skurcz.

– Nie tancerzem, ale może pianistą.

– Pianistą? Że co? Takim facetem, co bębni w pianino?

Tignor skrzywił się szyderczo, zaczynał nie lubić wielkich słów i pretensji swojej żony. Choć czasami one go wzruszały, tak jak wzruszały go niezdarne rysunki syna i te próby chodzenia tak szybko jak tatuś.

Tignor znalazł kartkę papieru, na której Niley próbował pisać kredką słowo tęzec. I drugą ze słowami samolot, fioletowy, skunks. Śmiał się, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Jezu! W taki sposób mogłabyś wyuczyć dzieciaka wszystkich słów z cholernego słownika.

– Niley kocha słowa. Kocha ortografię, mimo że jeszcze nie zna alfabetu.

– Dlaczego jeszcze nie zna alfabetu?
– Trochę już zna. Ale to trochę dla niego za dużo, to przecież dwadzieścia sześć liter.

Tignor zmarszczył czoło, popadając w zamyślenie. Rebeka miała nadzieję, że nie każe Nileyowi recytować alfabetu, bo to by się skończyło wybuchem płaczu. Aczkolwiek podejrzewała, że Tignor też nie zna całego alfabetu. Nie wszystkie dwadzieścia sześć liter!

– To więcej, niżby się człowiek spodziewał po takim małym dzieciaku.

Tignor przyglądał się właśnie rysunkowi przedstawiającemu postać, która niby miała być tatusiem (Tignor nie wiedział, że ta niezdarnie narysowana, tłustawa, karykaturalna postać to miał być tatuś), z żółtym bananem wystającym z głowy, wielkości połowy całej postaci.

Później, kiedy z nudów buszował po starym domu, na górze, gdzie Rebeka trzymała swoje prywatne rzeczy, znalazł jej listy słówek i nabazgrołone wykresy. Nie posiadała się ze wstydu.

Przeważnie były to listy słówek opracowane na podstawie słownika, a także znalezionych w śmieciach podręczników do biologii, matematyki, historii. Rozbawiony Tignor czytał na głos:

– Nagonasienne, okrytonasienne. Co to jest, do diabła? – Spojrzał na nią, udając zgrozę. – Chlorofil, chloroplast, fotosynteza. – Miał takie trudności z wymawianiem tych słów, że aż poczerwieniała mu twarz. – Mózgoczaszka... kręgosłup... miednica... kość udowa...

Odczytywał te słowa z wyraźnym obrzydzeniem.

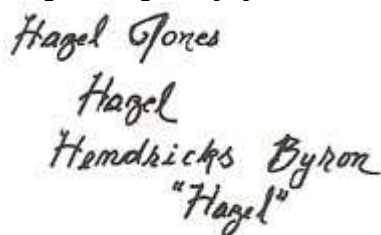
Rebeka zabrała mu kartki, starając się zapanować nad mimiką.

– Roi ci się, że jeszcze chodzisz do szkoły, co? – śmiał się Tignor. – A tak w ogóle to ile ty masz lat?

Rebeka nic nie powiedziała. Miała zamęt w głowie, bała się, że on też zabierze jej słownik i wrzuci go do pieca.

Jej słownik! Z wszystkich swoich osobistych przedmiotów ten ceniła najbardziej.

Tignor pochylił się z głuchym pomrukiem, by podnieść coś z podłogi. To była kartka papieru, na której Rebeka napisała pochyłym charakterem pisma:



Hazel Jones
Hazel
Hemdicks Byron
"Hazel"

– A to kto? Twój znajomi?

Teraz już dopadł ją paniczny lęk. Przez ten straszny wzrok, jakim teraz patrzył na nią Tignor.

– Nie. To nikt taki, Tignor. To tylko... imiona.

Tignor parsknął z pogardą, zmiażdżył kartkę w kulkę i cisnął nią w Rebece, trafiając w pierś. To był niewinny cios, pozbawiony ciężaru, mimo to zabrakło jej oddechu, jakby ją uderzył.

Mimo to wcale nie był w złym nastroju. Rebeka słyszała, że śmiał się do siebie i pogwizdywał na schodach.

– Mamusiu, co się stało?

Niley zobaczył, że przyciska obie pięści do czoła. Że przymyka powieki, ukrywając zaczerwienione oczy.

– Mamusia się wstydzi.

– Stydzi...?

Niley podszedł pogłaskać rozgorączkowane czoło mamusi. Marszczył brwi z tym staro-młodym wyrazem twarzy. Cholera, dlaczego nie schowała tych kartek przed Tignorem! Albo wręcz czemu ich nie wyrzuciła?

Teraz, kiedy Tignor był z nimi, musiała robić wszystko, by stary, zrujnowany dom sprawiał wrażenie czystego, ogarniętego i w ogóle „łśnił”. Tak jak pokoje w dobrym hotelu, na ile była w stanie.

Żadnego bałaganu. Żadnych porzucanych ubrań. (Rzeczy i ubrania Tignora Rebeka odkładała bez słowa.)

Cała ironia polegała na tym, że przestała myśleć o Hazel Jones. O mężczyźnie w panamie. O tym błagalnym wyrazie jego twarzy. Wszystko to wydawało się teraz odległe, dalekie i nieprawdopodobne jak historyjka z książeczki z obrazkami Nileya.

Czemu miałabyś kogoś obchodzić, dziewczyno!

Pogardliwy męski głos. Nie była pewna, do kogo należał.

Niley był chory. Najpierw przeziębienie, a teraz grypa.

Rebeka próbowała zmierzyć mu temperaturę: sto jeden stopni Fahrenheita.

Ręka jej drżała, kiedy podnosiła termometr do światła.

– Tignor? Niley musi jechać do lekarza.

– A gdzie jest lekarz?

Pytanie pozbawione wszelkiego sensu. Tignor wydawał się zagubiony, wstrząśnięty.

Mimo to zaniósł Nileya, owiniętego w kocyk, do swojego samochodu. Zawiózł Nileya i Rebekę do Chautauqua Falls i potem czekał w samochodzie na parkingu przed gabinetem lekarza, paląc papierosy. Dał Rebecce banknot pięćdziesięciodolarowy dla lekarza, ale nie zaproponował, że wejdzie z nią do środka. Rebeka pomyślała wtedy: *On się boi. Boi się choroby, wszelkiej słabości.*

Była na niego zła w tym momencie. Wcisnął jej do ręki pięćdziesiąt dolarów, matce chorego dziecka. Nie odda mu reszty, schowa ją w szafie.

Tignor często wyjeżdżał z domu. Nigdy jednak na dłużej jak na dwa albo trzy dni pod rząd. Do Rebeki powoli docierało, że stracił pracę w browarze. Nie mogła go spytać, bo byłby na nią wściekły. Nie mogła go błagać: *Co się z tobą stało? Dlaczego ze mną nie rozmawiasz?*

Kiedy godzinę później wyszła z Nileyem od lekarza, zobaczyła, że Tignor wysiadł z samochodu i stoi oparty o przedni zderzak, z papierosem w ręku. Na chwilę przed tym, jak podniósł wzrok, pomyślała: *Co to za człowiek? Ja go nie znam.*

– Niley ma tylko lekką grypę, Tignor – powiedziała prędko. – Lekarz powiedział, że nie ma powodów do obaw. Mówi...

– Dał ci receptę?

– Kazał podać aspirynę dla dzieci. Mam trochę w domu, już mu podawałam.

Tignor zmarszczył brwi.

– Nic silniejszego?

– To tylko grypa, Tignor. Ta aspiryna jest podobno dostatecznie silna.

– Oby, kotku. A jak nie, to ten konował oberwie w łeb.

Tignor mówił to agresywnym, apodyktycznym tonem. Rebeka pochyliła się, by pocieszająco pocałować Nileyę w rozgrzane czoło.

Wrócili do Four Corners. Rebeka trzymała Nileyę na kolanach, na miejscu pasażera obok Tignora, który milczał, pogrążony w myślach, jakby w jakiś sposób został obrażony.

– Mam nadzieję, że odetchnąłeś, Tignor, tak jak ja. Ten lekarz był bardzo miły.

Rebeka oparła się o Tignora, bardzo lekko. Kontakt z ciepłą, jakby zaognioną skórą zrobił jej przyjemność. Drobne ukłucie przyjemności, którego nie czuła od jakiegoś czasu.

– Lekarz mówi, że Niley jest w sumie bardzo zdrowy. Że rozwija się prawidłowo. Że ma prawidłowe odruchy. Ośluchał stetoskopem jego serce i płuca.

Urwała, wiedząc, że Tignor słucha i że to jest dobra wiadomość.

Tignor jechał jeszcze kilka minut w milczeniu, ale wyraźnie miękł, topniał. Zerknął na Rebeke, swoją dziewczynę. Swoją Cyganeczkę. Wreszcie ścisnął udo Rebeki, tak mocno, że aż ją zabolalo. Wyciągnął rękę, by zmierzyć wilgotne włosy Nileyę.

– Hej, wy dwoje: kocham was.

Kocham was. Tignor po raz pierwszy powiedział im coś takiego.

I dlatego sobie pomyślała: *Nigdy od niego nie odejdę.*

– On nas kocha. Kocha swojego syna. Nigdy nas nie skrzywdzi. Jest tylko taki... Po prostu czasami...

Czekał? Czy Tignor na coś czekał?

Tylko na co?

Już się nie golił codziennie. Jego ubrania już nie były takie modne jak kiedyś. Już nie strzygł się regularnie u hotelowego fryzjera. Już nie oddawał ubrań do hotelowych pralni. Swego czasu wydawał sporo pieniędzy, żeby dobrze wyglądać, choć nigdy nie był specjalnie wymuskany ani pedantyczny. A teraz nosił tę samą koszulę przez kilka dni z rzędu. Spał w bieliźnie. Kopał brudne skarpetki w kąt sypialni, gdzie potem znajdowała je żona.

Oczywiście to na Rebeke spadł teraz obowiązek prania i prasowania rzeczy Tignora. A jak coś wymagało czyszczenia chemicznego, to po prostu tego nie czyścił.

Cholerna stara pralka! Niemal równie beznadziejna jak pralka jej matki. Często się psuła i wtedy woda z mydlinami wypływała na linoleum w pralni. A potem Rebeka musiała prasować albo próbowała prasować białe, bawełniane koszule Tignora.

Żelazko było ciężkie, więc bolał ją nadgarstek. Było równie źle jak w Niagara Tubing, tyle że zapach tak nie przyprawiał o mdłości. Mama nauczyła ją prasować, ale tylko zwyczajne płachty jak ręczniki czy prześcieradła. Nieliczne koszule taty prasowała sama, krzywiąc się nad deską, jakby całe jej życie, jej kobiece tęsknoty, były uwięzione w rozpostartej przed nią męskiej koszuli.

– Jezu. Ślepa kaleka zrobiłaby to lepiej.

Tak mówił Tignor, gdy oglądał jedną ze swych koszul. Żelazko porobiło zagięcia przy kołnierzyku. Mama powiedziała jej: *Kołnierzyk jest najtrudniejszy, potem ramiona. Przód, tył i rękawy są łatwe.*

– Och, przepraszam, Tignor.

– Nie włożę tego gówna! Będziesz musiała jeszcze raz to uprać i wyprasować.

Rebeka wzięła od niego koszulę. To była biała koszula garniturowa, z długimi rękawami. Jeszcze ciepła od prasowania. Zamiast znowu prać, postanowiła ją tylko zmoczyć, powiesić do wyschnięcia i następnego ranka znowu spróbować ją wyprasować.

Stała niema i ponura. Mimo że Tignor już sobie poszedł. Cholera jasna, pracowała osiem godzin dziennie, przez pięć dni w tygodniu w zasranym Niagara Tubing, robiła wszystko w domu, opiekowała się Nileyem. Dlaczego to nie wystarczało?

– Ta robota w fabryce. Ile ci płacą?

Pytanie Tignora padło zupełnie znienacka. Ale Rebeka domyślała się, że Tignor od dawna chciał o to spytać.

Zawahała się. A potem mu powiedziała.

(Gdyby skłamała, i tak by się dowiedział. I wtedy by się połapał, że ona próbuje oszczędzać pieniądze ze swojej wypłaty.)

– Tak mało? Za czterdzieści godzin pracy tygodniowo? Chryste.

Był urażony do żywego, jakby jego osobiście tym znieważono.

– Tignor, to zwykła hala montażowa. Nie miałam żadnego doświadczenia. Nikt nie chce zatrudniać kobiet.

Zbliżał się koniec października. Niebo przybrało barwę błękitu, twardego i stalowego jak ostrze noża. W południe powietrze było nadal zimne, nieprzyjemne. Rebeka nie dopuszczała do siebie myśli: *Jak my przetrzymamy razem zimę w tym starym domu!*

Dawniej tęskniła za Tignorem, kiedy wyjeżdżał. Teraz, kiedy Tignor był z nimi, tęskniła za swoją dawną samotnością.

I bała się go: jego fizycznej obecności, jego huśtawki nastrojów, jego oczu ślepego człowieka, który nagle odzyskał wzrok i wcale mu się nie podoba, co widzi.

Nowy nawyk Tignora polegał na tym, że przejeżdżał dłońmi po swoich nierównych włosach w geście zniecierpliwienia. Włosy odrastały mu powoli, już nie były takie gęste. To były teraz włosy zwyczajnego człowieka: rzadkie, cienkie, spłowiałe. Pod spodem dawało się wymacać czaszkę.

Tignor wstydził się za Rebeke, za nią i za siebie też jako jej męża; przez długą, drżącą chwilę nie był w stanie nic powiedzieć. A potem w końcu wycedził:

– Mówiłem ci, Rebeka. Mówiłem ci tamtego dnia, kiedy jechaliśmy do Niagara Falls, że nie będziesz musiała więcej pracować. Mówiłem czy nie?

Niemalże błagał. Rebeka czuła, że serce jej się kraje z miłości do niego, wiedziała, że musi go pocieszyć. Powiedziała jednak:

– Mówiłeś, że nie muszę już pracować w hotelu. Tylko to powiedziałaś.

– Cholera, ja mówiłem o każdej pracy. To miałem na myśli i ty, kurde, o tym wiesz.

Robił się zły. Wiedziała – wiedziała! – że nie powinna go prowokować. Mimo to odparła:

– Wzięłam tę pracę w Niagara Tubing, bo potrzebowałam pieniędzy dla Nileya i dla siebie. Małe dziecko musi mieć jakieś ubranka, Tignor. I co jeść. A ty wyjechałeś, Tignor, nie miałam od ciebie...

– Bredzisz. Wysyłałem ci pieniądze. Wysyłałem ci je pocztą.

Nie. Nie robiłeś tego.

Coś ci się pokręciło. Kłamiesz.

Rebeka znalazła sygnały ostrzegawcze, wiedziała, że nie wolno jej powiedzieć już nic więcej.

Rozwścieczony Tignor wyszedł. Słyszała jego kroki. Wibracje kroków pulsujące w jej głowie. Tak samo ciężko kroczył Jakub Schwart owładnięty słusznym gniewem, łupiąc ciężko podszwami buciorów, które po strzelaninie trzeba było odcinać od jego stóp, bo wrosły w nie niczym kopyta.

Jakub Schwart: pan swojego domu. Głowa rodziny. Mężczyzna. Który sygnalizuje swoje niezadowolenie ciężkimi krokami.

– On jest z fabryki, tak? Ten facet?

Rebeka wytrzeszczyła oczy, nic nie rozumiejąc. Tignor stał przed nią, to jednak nie wyszedł?

– Jest brygadzystą? Jakaś gruba ryba? Któryś z szefów?

Rebeka próbowała się uśmiechnąć. Wierzyła, że Tignor tylko się z nią przekomarza, że nie mówi tego na poważnie. A jednak potrafił być niebezpieczny.

– Ale gdzie tam szef albo któryś z tych dupków, którzy jeżdżą cadillacami – mówił teraz. – To nie ty. Bo popatrz na siebie. Kiedyś tak ładnie wyglądałaś. Chodziłaś uśmiechnięta jak przystało na młodą dziewczynę. Gdzie się podział ten uśmiech? Ten, kto cię teraz posuwa, to pewnie jakiś nędzacz. Czuję od ciebie jego smród: spalona guma i pot jak od Murzyna.

Rebeka zaczęła się cofać.

– Tignor, proszę. Nie mów takich brzydkich rzeczy, Niley może usłyszeć.

– A niech sobie słucha! Niech wie, że jego rajcowna mamusia to kurwa!

– Tignor, ty chyba tak nie myślisz?

– Że jak? Czego to ja nie myślę?

– No tego, co mówisz.

– A dokładnie, co ja mówię? Ty mi powiedz.

– Kocham cię, Tignor – powiedziała Rebeka, starając się nie jąkać. – Nie znam żadnego mężczyzny prócz ciebie. Nigdy nie było żadnego mężczyzny prócz ciebie. Przecież wiesz! W życiu nie...

Obok sofy przykucnął Niley, słuchał tego wszystkiego. Zamiast leżeć już w łóżku.

Poprzedniej nocy Tignor grał w pokera z kumplami w Chautauqua Falls. Rebeka nie wiedziała, gdzie dokładnie. Dał do zrozumienia, że to była „cholernie opłacalna” noc i że w związku z tym zebrało mu się na łaskawość.

Naprawdę tak było! Do cholery, nie pozwoli, żeby coś mu popsuło nastrój.

Opadł ciężko na sofę, pociągając Nileya na kolana. Albo nie zauważał, albo był ubawiony tym, że chłopczyk się krzywi w reakcji na brutalny uścisk jego silnych dłoni.

Nie ogolił się tego dnia; jego szczeka iskrzyła się szarą szczecina. Przypominał wielką, drapieżną rybę z książeczki z obrazkami: Niley gapił się na niego jak oniemiały. Oczy tatusia były nabiegłe krwią, zawinięte wysoko rękawy koszuli ukazywały bicepsy. Lśniąc od potu skóra wyglądała jak łatanina z dziesiątków różnych kawałków, zszytych z sobą tak, że tworzyły niemal idealną całość.

– Niley, mój chłopak! Powiedz tatusiowi, czy do mamusi przychodzi jakiś pan?

Niley wciąż się gapił, nic jednak nie słysząc. Tignor potrząsnął nim.

– Jakiś pan? Może nocą? Kiedy powinienes spać, ale nie śpisz? No powiedz tatusiowi.

Niley ledwie dostrzegalnie pokręcił głową.

– A co to ma być? Nie?

– Nie, tatusiu.

– Przysięgasz? Na słowo honoru?

Niley przytaknęła, uśmiechając się niepewnie do Tignora.

– Ani razu? Nigdy do tego domu nie przyszedł żaden pan? Co?

Niley wyraźnie nic nie rozumiał i już się bał. Rebeka z całej duszy pragnęła go wyrwać z rąk Tignora.

– Nigdy żaden pan? – dopytywał się natarczywie Tignor. – Nigdy? Ani jeden? Nigdy? Nie było tak, że się obudziłeś i kogoś usłyszałeś? Głos jakiegoś pana?

Niley próbował siedzieć bardzo spokojnie. Nie chciał spojrzeć na Rebeke, bo gdyby to zrobił, to zalałby się łzami. Patrzył na Tignora, z przymrużonymi powiekami, dygotał.

Rebeka wiedziała, że dziecko się zastanawia: Głosy z radia? O nie pyta tatuś?

Niley wyszeptał coś, co zabrzmiało jak „tak”. Było ledwie zrozumiałe, błagalne.

– Jakiś pan? – spytał ostro Tignor. – Co? Tutaj?

Rebeka dotknęła ręki Tignora, która ścisnęła cienkie ramię chłopca.

– Tignor, on się ciebie boi. Myśli, że pytasz o radio.

– Radio? Jakie radio?

– No to radio. O głosy z radia.

– Cholera, on to cały ja, mała. Co na sercu, to na widelcu.

– Tignor, ty sobie żartujesz. Ty...

– Niley przyznał, że tu był jakiś facet. Słyszał głos gacha mamusi.

Rebeka próbowała się śmiać, to mógł być tylko żart.

Miała poczucie, że wszystko się rozpada. Że stąpa po cienkim, gumowym lodzie, który zaczyna się pod nią topić, pękać.

– To radio, Tignor! Powiedziała ci. Niley musi mieć włączone radio dniem i nocą, z jakiegoś powodu sobie wmówił, że każdy męski głos to jesteś ty.

– Gówno prawda.

Widziała, że znakomicie go to wszystko bawi. Jego twarz nabrała koloru. To wszystko było równie dobre jak popijawa. Tak dobre jak wygrywanie w pokera ze znajomymi. Ani przez chwilę nie wierzył w to wszystko. A mimo to jakoś nie potrafił przestać.

Rebeka mogła wyjść z pokoju. Machnąć ręką z obrzydzeniem. Wyjść i rzucić się do ucieczki. Tylko dokąd miałyby uciekać?

Wykluczone, nie mogła zostawić Nileya. Tignor wstał nagle, zrzucając Nileya na podłogę. Schwycił ją za łokieć.

– Przyznaj się, Żydówko.

– Dlaczego ty mnie tak nienawidzisz, Tignor? Przecież ja cię kocham...

Twarc Tignora nabiegła krwią. Jego wredne, zażawione oczy unikały jej wzroku, wyraźnie się wstydzili. Spostrzegła to w tym momencie. Mimo to był wściekły na nią, że mu coś zarzuca w obecności dziecka.

– Jesteś Żydówką czy nie? Cyganka i Żydówka! Psiakrew, a ostrzegali mnie przecież.

– Jak to „ostrzegali”? Kto cię ostrzegął?

– Wszyscy. Wszyscy, którzy znali ciebie i twojego stukniętego starego.

– Nie byliśmy Żydami! Nie jestem...

– Nie jesteś? Jesteś, jesteś. Schwart to Żyd.

– A jeśli nawet to co? Co jest nie tak z Żydami?

Tignor zrobił pogardliwą minę i wzruszył ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że sam jest ponad takimi uprzedzeniami.

– Ja tego nie mówię, dziecinko, tylko inni ludzie. „Żydowskie brudasy”, wiecznie ktoś tak mówi. A niby czemu tak mówią? Zresztą piszą o tym w gazetach. W książkach.

– Ludzie nic nie wiedzą. Mówią same głupoty.

– Żydzi, asfalty. Asfalt to ktoś o krok od małpy, ale za to Żyd jest zbyt szczwany, gdy idzie o jego dobro. Oszwabi cię jak ta lala, sięgnie ci do kieszeni, wbije nóż w plecy i jeszcze cię pozwie do sądu! Niemcy musieli mieć jakiś piekielnie dobry powód, że się chcieli was pozbyć. Niemcy to cholernie cwana rasa.

Tignor zarechotał wulgarnie. On tak wcale nie myśli, wmawiała sobie Rebeka. A jednak nie umiał się pohamować, tak samo jak wtedy, kiedy się z nią kochał, kiedy wbrew swojej woli rzucał się i jęczał bezradnie w jej ramionach.

– No to dlaczego się ze mną ożeniłeś? – spytała błagalnie Rebeka. – Skoro mnie nie kochasz?

Na twarzy Tignora pojawił się przebiegły, lisi wyraz. *On wcale się ze mną nie ożenił*, dotarło do niej. *Nie jesteśmy małżeństwem*.

– Jasne, że cię kocham. To po co, do licha, bym tu siedział, w tym gnoju, z tym nerwowym dzieciakiem, pół-Żydkiem, gdybym cię nie kochał? Nie chrzań.

Niley zaczął płakać, a Tignor wymaszerował z pokoju, demonstrując niesmak. Rebeka miała nadzieję, że usłyszy trzask drzwi, oznaczający, że wyszedł z domu, a wtedy ona i Niley mogliby się tulić do siebie, słuchać odgłosów zapuszczania silnika, samochodu wycofującego się z podjazdu...

Ale Tignor jakoś nie miał zamiaru wychodzić. Poszedł tylko do lodówki po kolejną butelkę.

To wrażenie, że wszystko się rozpada. Jak już lód zaczyna pękać, to potem wszystko dzieje się lawinowo.

Postanowiła prędko położyć dziecko do łóżka. Rozpaczliwie chciała położyć je do łóżka i zamknąć drzwi jego pokoju. Chciała wierzyć, że jak już drzwi jego pokoju będą zamknięte, Tignor o nim zapomni.

Była oszołomiona, zdezorientowana. To wszystko działo się tak szybko.

To nie jest mój mąż, nigdy nie był moim mężem. Nigdy nie miałam męża.

To objawienie było niczym oślepiające światło bijące prosto w twarz. Aż ją zemdliło z upokorzenia. A przecież zawsze wiedziała.

Tamten nędzny domek z cegieł w Niagara Falls. Pobrali się w pośpiechu, ślubu udzielał im znajomy Nilesa Tignora, rzekomo sędzia pokoju. Wiedziała.

Ułożyła Nileyę w łóżeczku, dziecko szarpało się i wczepiało w nią.

– Nie płacz! Postaraj się nie płakać. Jeśli już musisz płakać, to schowaj buzię w poduszkę. Tatuś się martwi, kiedy słyszy, jak płaczesz, tatuś tak bardzo cię kocha. I zostań w łóżeczku. Nie wstawaj z łóżeczka. Choćbyś nie wiadomo co słyszał, Niley. Zostań w łóżeczku, nie wstawaj. Obiecasz mi to?

Niley był zbyt pobudzony, by jej cokolwiek obiecać. Rebeka zgasła nocną lampkę i wyszła z pokoju.

Od czasu powrotu Tignora lampka w kształcie króliczka już nie świeciła się całą noc. Radio już nie stało na parapecie, tylko wróciło do kuchni, gdzie podczas obecności Tignora było włączane tylko raz dziennie, na wieczorne wiadomości.

Rebeka miała zamiar ubiec Tignora, wyjść przed dom i w ten sposób nie dopuścić, by wszedł do sypialni. Ale Tignor był już w sypialni, rozchełstany, groźny, z butelką spienionego piwa w ręku.

– Chowasz go przede mną, co? Robisz wszystko, żeby się bał swojego ojca.

Próbowała wytłumaczyć, że to jest pora, o której powinien już leżeć w łóżku. Że już od dawna powinien być w łóżku.

– Nastawiasz go przeciwko mnie, prawda? Cały czas.

Rebeka potrząsnęła głową, nie!

– Nastawiasz go przeciwko mnie. Dlatego on się mnie tak boi. Jest nerwowy jak skopany pies. A przecież nigdy nie podniosłem na niego ręki.

Rebeka stała nieruchomo, wpatrując się w jakiś niewidzialny punkt w podłodze. Ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając. Żadnego oporu, żadnego nieposłuszeństwa.

– Jakbym ja nie kochał jego i ciebie. A przecież ja się tak staram. I za to dostaję takie podziękowanie. – Tignor mówił to zasmuconym głosem, szukając czegoś w kieszeni. Był niezdarny, gwałtowny. Wyjął portfel, a z niego garść banknotów. – Cyganeczko! Zawsze chciałaś pieniędzy, co? Jakbym dawał ci za mało. Jakbyś przez te pięć cholernych lat nie ograbiła mnie do suchej nitki.

Zaczął ciskać w nią banknotami, w sposób, którego Rebeka nie znosiła. Była teraz pewna, że ją okłamał w sprawie Herszela, nigdy w życiu nie widział Herszela na oczy, cały tamten epizod był oparty na oszustwie, uwłaczał jej. Nienawidziła tych banknotów ciskanych w jej stronę, mimo to starała się uśmiechać. Nawet teraz próbowała się uśmiechać. Wiedziała, że musi koniecznie dawać Tignorowi do zrozumienia, że jest zabawny, że ona wcale się go nie boi. Gdyby wyczuł, jak się go boi, zeżliłby się jeszcze bardziej.

– No bierz je! Zbieraj! Tego ode mnie chcesz, prawda?

Banknoty sfruwały na podłogę u stóp Rebeki. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, tak jak Niley uśmiechał się ze strachu przed drażniącym się z nim tatusiem. Wiedziała, że musi jakoś się spisać. Musi poniżyć się jeszcze ten jeden raz, żeby ochronić dziecko. Już jej nie interesował własny los, była taka zmęczona. Nie zamierzała być jedną z tych matek (czasami opowiadano o takich w Milburn), którym nie udało się uchronić dziecka przed złem. Podobne historie wydają się takie proste, takie oczywiste *Na litość boską, dlaczego nie zabrała dzieci, dlaczego nie pobiegła po pomoc, dlaczego zwlekała, aż w końcu było za późno*, a jednak teraz, kiedy to działo się z nią, rozumiała tę dziwną inercję, życzenie, by burza przeszła, by męska furia wypaliła się i ustała. Bo Tignor był strasznie pijany, ledwie mógł ustać na nogach. Nabiegłe krwią oczy spojrzwały jej w oczy, z urazą, wstydem. A jednak ta furia wzięła go w swój uścisk i na razie jeszcze nie chciała uwolnić.

– Żydówka. Kurwa – mówił głosem udającym miłosne wyznanie.

Miał banknoty i ciskał nimi w Rebece, w jej twarz. A ona już nic nie widziała oczyma pełnymi łez.

– No co jest? Za dumna? Teraz zarabiasz własne pieniądze, prawda? Na plecach? Rozkładając nogi? Tak jest?

Tignor postawił butelkę na podłodze. Przewrócił ją przy okazji, ale nawet tego nie zauważył. Schwycił Rebece i rechocząc głośno, próbował jej wepchnąć za dekolt zwój

banknotów. A potem zaczął zdzierać z niej spodnie, uszyte z czarnego sztruksu, przetarte na kolanach i siedzeniu. To było jej robocze ubranie, nie miała czasu się przebrać. Wpychał banknoty w te spodnie, w majtki i między nogi, podczas gdy ona usiłowała się wyrwać. Zadawał jej ból, jego wielkie palce wdzierały się w jej krocze. I cały czas się śmiał, a Rebeka wmawiała sobie: *Wcale nie jest zły, skoro się śmieje. Nic mi nie robi, skoro się śmieje.*

Rozpaczliwie liczyła, że Tignor nie usłyszy błagalnych okrzyków Niley: *Mamusiu!*

Tignor przestał zadawać jej ból i pomyślała, że może już po wszystkim, ale wtedy w jej skroni wykwitła nagła eksplozja światła. Znienacka znalazła się na podłodze, kompletnie ogłuszona. Coś ją uderzyło w głowę. Nie miała pojęcia, czy to była męska pięść. Nie miała nawet pojęcia, czy mężczyzną, który ją uderzył, był Tignor.

Stał nad nią, szturchał ją nogą. Czubkiem buta między nogami, sprawiając, że wiła się z bólu.

– No co jest, dziecinko? To ci się podoba, prawda?

Rebeka była zbyt powolna i zamroczone, by reagować tak, jak chciał Tignor, więc stracił cierpliwość i usiadł na niej okrakiem. Obrzucał ją przekleństwami, był teraz naprawdę wściekły. Był wściekły, a ona nie wiedziała dlaczego. Bo przecież z nim nie walczyła, nie starała się go sprowokować. Mimo to oplótł dłońmi jej szyję, chcąc ją nastraszyć. Dać jej nauczkę. Zawstydziła go przed własnym synem! Walił jej głową o podłogę. Rebeka zaczęła się dławić, tracić przytomność. Mimo zdenerwowania czuła zimne powietrze przesączające się między szczelinami w deskach, od piwnicy. Dziecko w pokoju obok wrzeszczało już, wiedziała, że ten człowiek będzie ją za to winił. *Zabije cię teraz, nie powstrzyma się.* Niczym ktoś, kto wyprawił się na cienki lód w absolutnym przekonaniu, że może zawrócić w dowolnym momencie, że jest bezpieczny dopóty, dopóki może zawrócić, mimo śmiertelnego przerażenia przekonywała się w duchu, że przecież on zaraz przestanie, to oczywiste, że zaraz przestanie, nigdy nie zapędził się aż tak daleko, w przeszłości nigdy nie skrzywdził jej aż tak poważnie. Istniało między nimi porozumienie – nieprawdą? – że nigdy jej nie pobije naprawdę poważnie. Groził jej, ale nic jej nie robił. A jednak dusił ją teraz i wpychał jej banknoty do ust, próbował wpychać jej banknoty do gardła. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robił, to było coś zupełnie nowego. Dusila się, nie mogła oddychać. Miotła się, próbując ratować, czując, że w jej żyłach zamiast krwi płynie paniczny strach.

– Żydówka! Suka! Kurwa! – wyklinał ją ten mężczyzna. Był wściekły, biło od niego straszliwym żarem sprawiedliwego gniewu.

W sumie całe bicie trwało czterdzieści minut. Potem była przekonana, że nawet na moment nie straciła przytomności. A jednak Tignor musiał nią potrząsnąć.

– Hej. Nic ci się nie stało, ty cipo. Obudź się.

Pociągnął ją na nogi, starał się zmusić, żeby stała prosto. Sam stał chwiejnie, niczym człowiek na rozkołysanym pokładzie.

– No dalej! Przestań udawać.

Nogi nie chciały jej utrzymać. W głowie zaświtała jej nadzieja, prędką jak błyskawica, że jeśli osunie się na kolana, to Tignor się nad nią wreszcie zlituje i pozwoli jej odpęznąć jak skopanemu psu. I z jakiegoś powodu w tym momencie wydawało jej się, że to już się stało. Zaraz ukryje się pod schodami, ukryje się w piwnicy. Wpełźnie do zbiornika (w zbiorniku było pusto, odpływy i rury ściekowe w starym domu były

zarośnięte rdzą i woda deszczowa się tam nie gromadziła), przyciągnie kolana do piersi, nigdy nie będzie świadczyła przeciwko niemu, nawet gdyby ją zabił. Nigdy!

Ale nie odpełzła. Nadal była w tym pokoju. W pokoju pełnym światła, nie w piwnicy. Widziała to oczyma zasnutymi pajęczynowatą tkaniną: schludnie zasłane łóżko, z narzutą na wierzchu, bo jeszcze nie wyzbyła się swojej dokładności pokojówki, ciemnozłote, owalne dywaniki kupione w Chautauqua Falls za dwa dolary i dziewięćdziesiąt osiem centów na wyprzedazy pogwiazdkowej, słomiane kwiaty na toaletce, które zachwyciłyby pannę Lutter.

– Obudź się! Otwórz oczy! – warczał Tignor. – Skopię ci tyłek, jeśli...

Potrząsał nią, uderzał nią o ścianę. W oknach zabrzęcały szyby. Coś upadło i poturlało się po podłodze, tryskając strumieniem piany. Rebeka byłaby się osunęła jak szmaciana lalka, gdyby ten człowiek jej nie podtrzymał i nie uderzył w twarz.

– Mów do mnie, do cholery! Zawstydzisz mężczyznę na oczach własnego syna.

Zawłókł Rebeke do łóżka. Jej ubranie było całkiem postrzępione i dziwnie mokre; bluzka została przedarta przez całą długość. Mógł znowu się wściec na widok jej piersi, musiała ukryć piersi. Widok jej nagiego, kobiecego ciała mógł go doprowadzić do szału. Cisnął ją na łóżko, a teraz majstrował niezdarnie przy swoich spodniach. Obwinał ją, głupią cipę. Jego spodnie już nie były wyprasowane, potraciły kanty. Zapomniał, kim jest w tym domu na Poor Farm Road. Zapomniał o swojej męskości, godności. Nosił byle jak wyprasowane koszule, z zagnieceniami przy kołnierzyku. Ślepa kaleka zrobiłaby to lepiej!

Niley ciągnął tatę za nogi, krzyczał, że ma przestać.

– Mały gnojek.

Rebeka zrozumiała teraz, że popełniła straszliwy błąd. Najgorszy błąd, jaki może popełnić matka. Naraziła dziecko na niebezpieczeństwo, z głupoty i bezmyślności.

Jaskrawy wykwit krwi na ustach i nosie dziecka.

Błagała mężczyznę, który ją dusił: niech nie bije Nileya, niech bije ją.

Nie jego, ją.

– Ty bachorze! Ty cholerny mazgaju!

Podniósł rozwrzeszczane dziecko za ramię i cisnął nim o ścianę.

Niley przestał płakać. Leżał spokojnie na podłodze, tam, gdzie upadł. A Rebeka leżała teraz cicho na łóżku.

Tkanina na jej twarzy zacieśniła się. Oślepla, jej mózg był bliski zaniku. Nie mogła oddychać przez nos, coś tam było złamane, zablokowane. Niczym ryba, która łapczywie chwyta powietrze, zasysała powietrze ustami, wkładając w ten wysiłek wszystkie swoje siły. A jednak go słyszała, jej zmysł słuchu się wyostrzył.

Ciężkie, męskie dyszenie obok niej. Wilgotne charczenie w gardle. Tignor stracił zainteresowanie teraz, gdy przestała z nim walczyć. Zwalił się na łóżko obok niej, zapadał już w sen pośród skłębionej, zakrwawionej pościeli.

To przypominało osuwanie się pod powierzchnię wody: to traciła przytomność, to przytomniała. Wydawało się, że minęło bardzo dużo czasu, zanim odzyskała dość sił, by w pełni otrzeźwieć i wstać na nogi. Poruszała się wolno, niezdarnie, spodziewała się, że Tignor się ocknie i schwyci ją za ramię. Niemalże słyszała pomruk jego słów: *Dokąd leziesz, ty cipo!* Ale Tignor się nie obudził, była bezpieczna. Podeszła do leżącego na podłodze dziecka. Twarz jej krwawiła, lewe oko było szczelnie zamknięte. Ledwie widziała syna, a jednak wiedziała, że nic mu się nie stało. Wiedziała, że nic mu nie będzie,

że on też jest bezpieczny, nie mogło mu się stać nic poważnego. Nie mogło. Jego ojciec go kochał, jego ojciec nie chciałby mu zrobić nic złego.

Szeptała do Nileya. Jest bezpieczny, mamusia go trzyma. Tylko niech już więcej nie płacze.

Niley oddychał płytkimi, nierównymi haustami. Jego głowa poleciała do przodu, pod ostrym kątem. *Ma złamany kark*, pomyślała Rebeka, choć wiedziała, że to niemożliwe, kark wcale nie był złamany. Brakowało jej sił, a jednak podniosła Nileya z podłogi. Zatoczyła się pod jego ciężarem, a jednak wyniosła go z sypialni. Oddychał, nie odniósł poważnych obrażeń. Była tego pewna.

W swoim oszołomieniu Rebeka nie przypuszczała, że jest zdolna wyjść z sypialni, ale udało jej się zanieść Nileya do kuchni, nie upuściła go po drodze. W lepszym świetle zobaczyła, że drobna twarzyczka dziecka krwawi i jest spuchnięta; linię włosów przecinała brzydka szrama, ociekająca krwią; jego skóra nie była zaróżowiona jak zawsze, tylko woskowo-trupia, z niebieskawym nalotem. Jego powieki nie były zamknięte do końca, wзираły spod nich białe półksiężycy. To tu krył się mechanizm widzenia, a jednak te półksiężycy nic nie widziały. Niczym szkliste oczy lalki, kiedy odchylić im kciukiem powieki.

– Niley. Mamusia cię trzyma.

Żył, oddychał, żył, zaczynał się poruszać, kwilił w ramionach Rebeki.

– Już wszystko dobrze, kochanie. Możesz otworzyć oczy?

Te chude rączki, nóżki: na pierwszy rzut oka nie wydawały się połamane.

Kość udowa, obojczyk, miednica: bez złamań.

Czaszka... Bez złamania.

Och, jakże chciała tak myśleć! Obmacywała palcami, gładząc go czubkami palców, te ledwie reagujące ręce i nogi, głowę wystawioną do przodu ku jej piersi. Jak sprawdzić, czy ma pękniętą czaszkę? Nie potrafiła.

Obmyła twarz Nileyowi i sobie. Dziecko było zamroczone, ale przytomne. Wciąż brakowało mu sił, by głośno płakać, za co Rebeka była wdzięczna. Umyła ręce, ramiona, zakrwawione piersi. Co jakiś czas nasłuchując, czy Tignor się nie obudził i lada chwila nie zacznie ich atakować.

A jednak na razie furia się wyładowała.

Od wielu tygodni wiedziała, że go zostawi, a jednak nic nie zrobiła. Teraz jednak ogarnęła ją desperacja i musiała działać. Nie była w stanie wymyślić, dokąd mogłaby się udać, by to nie była pomyłka, sieć, w którą wpadłaby razem z Nileyem, dzięki czemu Tignor byłby ich odzyskał.

Nie do Meltzerów. Nie na policję w Chautauqua Falls.

Tylko nie na policję! Podobnie jak jej ojciec nie ufała policji, wręcz nie cierpiała policji. Wiedziała, że ci ludzie, ludzie jakże podobni do Nilesa Tignora, będą sympatyzowali z Tignorem, mężem i ojcem. Nie ochronią przed nim jej i Nileya.

Niley leżał teraz na podłodze w kuchni, ułożyła mu ręcznik pod głową. Już wszystko z nim było dobrze, oddychał prawie normalnie. Twarz przestała być taka biała, na policzkach pojawił się lekki rumieniec.

Zaniesie go do samochodu bez przebierania, szkoda na to czasu. Nawet nie będzie wciskała na niego kurtki, po prostu owinie go w koc.

Wydało jej się, że już to robiła, że już owinęła Nileya w koc. Zniosła go do samochodu i ułożyła delikatnie na tylnym siedzeniu. I tam miał spać.

Wróciła do sypialni, gdzie Tignor leżał na łóżku tak, jak go zostawiła, chrapiąc. Wcześniej nawet by nie podejrzewała, że będzie tak odważna, lekkomyślna albo zdesperowana, by wrócić do tego pokoju, tak zdewastowanego, który wciąż pachniał jej strachem, a jednak nie miała wyboru. Droga ucieczki wiodła przez Tignora, nie miała innego wyjścia, musiała sięgnąć do kieszeni jego spodni, żeby wyciągnąć kluczyki do samochodu.

Nie poruszył się, nie dotarło do niego, że ona tam jest. Jego usta przypominały usta niemowlęcia, otwierały się, zasysając powietrze i wypuszczając bańki śliny. Jego oczy upodobniły się do oczu Nileya; spod na pół przymkniętych powiek wyzierały półksiężycowe barwy niezdrowej bieli.

Ależ on chrapał! Rebecce ten chamski odgłos kojarzył się zawsze ze zwierzęcym zdrowiem i słuchała go z uśmiechem, gdy leżała obok Tignora w ich niezliczonych łóżkach. Kładła się obok tego człowieka od ponad pięciu lat. Słuchała jego chrapania, słuchała jego cichszego oddechu. Czujnie wychwytywała każdy niuans nastroju jego ciała, które fascynowało ją tak, jakby było tą inną fasetą duszy Tignora, którą ona mogła znać, a on nie.

Teraz, kiedy furia tego człowieka się wyładowała, Rebeka czuła, że w jej wnętrzu rodzi się furia innego rodzaju.

Miała kluczyki od samochodu. Należały do niej.

Tignor leżał w zmiętej pościeli, z wyrazem głębokiego zdumienia na twarzy, jakby spadł z wielkiej wysokości i wyładował bez szwanku na własnym łóżku. Miał tak spać dziesięć, dwanaście godzin. Rebeka wiedziała, że rankiem obudzi się zawstydzony, zniesmaczony, bo bez niej obok, bez jej budzenia, nie wywlecze się w porę z łóżka, by oddać mocz. W pijackim zamroczeniu nie mógł temu zapobiec.

Do tego czasu Rebeka i Niley zdążą zniknąć.

Uśmiechała się na samą myśl! W pokoju zapanowało teraz coś w rodzaju spokoju.

Spakowała się zręcznie. Nie marnowała czasu, nie zmieniała brudnego ubrania. Poskładała kilka rzeczy swoich i Nileya, a potem schowała je do walizki, którą Tignor kupił jej kilka lat wcześniej. Pozbierała wszystkie banknoty, które była w stanie znaleźć w pokoju. Była metodyczna, zdeterminowana. Tyle pieniędzy! Tignor wygrał dużo w karty, chciał, żeby o tym wiedziała. Nie dotknęła jednak portfela, który leżał na podłodze, tam, gdzie Tignor go upuścił.

Z górnej półki w szafie wyjęła pieniądze, które ukrywała tam od marca. Teraz to było pięćdziesiąt jeden dolarów. I jeszcze stary, zniszczony sweter, w który owinęła siedmiodzienny pasek blachy.

Teraz już wiedziała, dlaczego ukryła ten prowizoryczny nóż. Dlaczego ukryła go w tym pokoju.

Zbadała krawędź kciukiem. Była ostra jak szpikulec do lodu. Gdyby uderzyła nim Tignora, prędko i dokładnie, z całej siły, w grubą żyłę pulsującą w szyi, to niewykluczone, że zabiłaby go. Nie umarłby natychmiast, ale wykrwawiłby się na śmierć. To była tętnica szyjna, wiedziała o tym z podręcznika do biologii. Głęboko w piersi Tignora biło serce, które musiałyby przebić pojedynczym, potężnym ciosem, nie sądziła jednak, by była do tego zdolna. Gdyby blacha trafiła na kość, toby się wygięła. Gdyby chybiła o ułamek cala, to ten człowiek być może by przeżył, a potem w paroksyzmie potwornego bólu odebrałby jej broń i zwrócił przeciwko niej albo wręcz zabiłby ją gołymi rękami. Jej szyja jeszcze do tej pory nosiła ślady duszenia. Z tą tętnicą, taką wystawioną na cios, byłoby znacznie

poręczniej. Mimo to Rebeka i tak mogła chybić. Była pobudzona, cała się trzęsła, mogła chybić.

A zresztą nie chciała zabijać tego człowieka, wahała się, nie miała pewności. Czy rzeczywiście chce zabić człowieka. W ogóle jakiegokolwiek żywe stworzenie. Czy chce ukarać Tignora, zadać mu straszny ból. Żeby wiedział, że zrobił krzywdę jej i ich dziecku, dlatego musi zostać ukarany.

Dziecko czekało na nią. Nie miała wyboru, musiała się spieszyć.

Położyła pasek blachy na łóżku, obok śpiącego mężczyzny.

– Zorientuje się, chyba. Że mu darowałam. I będzie wiedział dlaczego.

Trzy dni później, 29 października 1959 roku, znaleziono pontiaca zarejestrowanego na nazwisko Niles Tignor, z prawie pustym bakiem, z kluczykami na podłodze pod przednim siedzeniem, na parkingu w pobliżu dworca autobusowego Greyhound w Rome w stanie Nowy Jork. Było to mniej więcej dwieście mil na północny wschód od Chautauqua Falls. W samochodzie nie znaleziono żadnego listu, tylko kilka zmiętych, zakrwawionych chusteczek na podłodze pod tylnym siedzeniem. W jednej z tych chusteczek znaleziono pierścionek z małym syntetycznym kamykiem przypominającym opal w lekko wytartej, srebrnej oprawie, a w skrytce latarkę z popękany szkłem, parę brudnych, męskich rękawiczek oraz mocno zmiętą mapę drogową stanu Nowy Jork, w których właściciel samochodu rozpoznał później swoje rzeczy.

II

W ŚWIECIE

Już jako małe dziecko był dostatecznie inteligentny, by to wiedzieć: *Jest tak, jakbyśmy oboje umarli. I teraz już nikt nam nic nie robi.*

To było granie. A w każdym razie wierzył, że to jest granie. Tak jak śpiewanie, nucenie. Po cichu. W tajemnicy. Sposób, dzięki któremu czuli się szczęśliwi, bo mieli siebie i nie potrzebowali nikogo innego.

Mówiła to obcym ludziom spokojnym, dumnym głosem: *Ma na imię Zacharias. To imię z Biblii. Ma wrodzony talent do muzyki. Jego ojciec nie żyje, nie rozmawiamy o tym.*

Uznał, że to musi mieć coś wspólnego z tym „zawsze w drodze”. Tak mu tłumaczyła, że ich życie to teraz „zawsze w drodze”. Stąd wiecznie się zmieniające nazwy miast, gór, rzek, hrabstw. Nigdy dłużej jak kilka dni w jednym miejscu. Jednego dnia w Beardstown, następnego w Tintern Falls. Jednego dnia w Barneveld, następnego w Granite Springs. Rzeka Chautauqua stawała się rzeką Mohawk, a rzeka Mohawk stawała się Susquehanną. Przyglądał się znakom na poboczu autostrady. Chętnie wymawiał te nazwy na głos, bo uwielbiał ich obce brzmienie we własnych ustach, i chętnie też uczył się ich pisowni, ale z kolei nazwy zmieniały się tak często, że nie mógł ich wszystkich spaźiętać, a ona jakby nie chciała, żeby on je zapamiętywał, tak jak nie chciała, by wciąż jeszcze pamiętał swoje dawne imię teraz, kiedy miał na imię „Zack” albo nawet „Zack-Zack”, którego tuliła i któremu uwielbiała mówić uroczyscie:

– Teraz nazywasz się Zack. Mój syn, Zacharias. Dałby Bóg, żeby twój ojciec... – i tu jej wzrok robił się dziwnie mętny, ogłupiały – ...wrócił do piekła, gdzie już na niego czekają.

Śmiała się i unosiła jego dłonie zamknięte w jej dłoniach podczas zabawy w kosi-kosi-łapki, której go nauczyła, kiedy był jeszcze malutki, kiedy razem klepali się wnętrzami dłoni, czym doprowadzała go do śmiechu, a potem zaśmiewali się jedno przez drugie, aż w końcu brakowało im tchu z tej radości.

Bo nie umiał sobie przypomnieć, kiedy zaczęły się wspomnienia. Kiedy po raz pierwszy otworzył oczy. Kiedy po raz pierwszy zaczerpnął oddechu. Kiedy po raz pierwszy usłyszał muzykę, która go zaskoczyła, sprawiła, że tętno zabiło mu żywiej. Kiedy po raz pierwszy zaśpiewała i zanuciła razem z nim. Kiedy po raz pierwszy z nim zatańczyła. Choć przypominał sobie teraz, że w jednej z tych kawiarni stało pianino, szafa grająca i pianino; ta szafa to był stary Wurlitzer, szeroki, przysadzisty, z kolorowymi szkiełkami pociemniałymi od patyny brudu, za którymi pulsowały oślepiające światełka w takt prostych, popularnych piosenek, i kiedy późnym wieczorem ta szafa umilkła, mamusia (Ależ był śpiący! Jaką miał ciężką głowę!) podprowadziła go do starego pianina Knabego z poźółkłymi klawiszami, które stało w głębi pomieszczenia, we wnęce obok baru ozdobionego gwiazdkową cynfolią i sznurami czerwonych światełek, w oparach piwa, dymu papierosowego i męskich ciał, i powiedziała podnieconym głosem, tak głośno, by inni to usłyszeli: „No spróbuj, Zack! Sprawdź, czy potrafisz grać na pianinie”, a potem ścisłała go w swych silnych, ciepłych ramionach, żeby nie spadł z jej kolan, bo w takich momentach był niezdarnym dzieckiem, przestraszonym, nieśmiałym, niemym szcurkiem, a poza tym mocno zniszczony stółek był dla niego za niski, więc ledwie sięgał klawiatury,

na oczach tych panów, bo w kawiarniach, barach, knajpach, do których przyprowadzała go mamusia, zawsze byli panowie, i teraz ci panowie zachęcali go serdecznie: „No dalej, mały! Słuchamy!”, a on czuł jej oddech, gorący, pachnący piwem, na swoim karku, czuł, że cała aż drży z podniecenia, kiedy schwyciła jego drobne, spolegliwe dłonie i ułożyła je na klawiaturze, nie zwracając uwagi na to, że czarne klawisze są brudne i wypaczone, że ich ostre krawędzie kaleczą mu palce, nie zwracając uwagi na to, że te czarne klawisze potrafią się zaklinować, że w ogóle całe pianino jest brudne, wypaczone i rozstrojone, ale za to wiedziała, że trzeba ułożyć dłonie syna na środku klawiatury, wiedziała, że trzeba umieścić prawy kciuk na środkowym C, a potem już wszystkie jego palce szukały klawiszy instynktownie, bo z nich czerpały ukojenie. „Ma wrodzony talent, Bóg go wybrał, by stał się kimś wybitnym. Nie zawsze jest taki życzliwy”. Jak zwykle w takich momentach mówiła dziwne rzeczy, z naciskiem, z przekonaniem, z oczyma, w których nie było wahania, z ustami, które układały się w uśmiech pełen głębokiej nadziei, dlatego mimo że jej słowa go raniły, mimo że wyczuwał fałsz ukryty za jej słowami, mimo że domyślał się, jaka stoi za nimi logika (*Zlitujcie się nad nami! Pomóżcie nam!*), to jednak bał się, nie przez wzgląd na siebie, tylko przez wzgląd na nią, że jednak nie ma żadnego talentu, że jest urodzonym beztalenciem i że żaden bóg nie chciał, by był kimś wybitnym, dla jej dobra bał się, że ci panowie, którzy wydawali się nią zauroczeni jeszcze kilka minut wcześniej, nagle mogliby zacząć się z niej śmiać, ale kiedy uderzył w klawisze, natychmiast przestał słyszeć dowcipy i śmiech tych nieznanomych mężczyzn, przestawał słyszeć cichy, drwiący, wściekły głos ojca w ich głosach, przestawał odczuwać napięcie w ciele matki i bijące od niej gorąco, tylko wciskał klawisze, te, które się nie kleiły, gwałtownym ciągiem, i wygrywał gamę C-dur z dziecięcym entuzjazmem, mimo że nie miał pojęcia, że to gama C-dur, niemal harmonijnie, obiema dłońmi, choć ta lewa spóźniała się względem prawej o ułamek sekundy, i wygrywał też akordy, atakując oporne klawisze, uderzając też w czarne klawisze, dodając krzyżyki, bemole, zupełnie nie mając pojęcia, co robi, bo w końcu to była zabawa, bo gra na pianinie była zabawą, zabawą dla Zacka, dlatego to, co robił, wydawało się słuszne, naturalne, wylewało się z niezgłębionego wnętrza pianina (wyobrażał sobie, że jest tam płatanina drutów i jakaś rozjarzona tuba, jak w radiu), te cudowne dźwięki, które mieszały się z sobą niespodziewanie, jakby stare pianino Knabego wsunięte do wnęki w przydrożnej kawiarni w Apalachin w stanie Nowy Jork milczało tam bardzo długo, nieużywane przez nikogo, z wyjątkiem może jakichś pijaków, i teraz zostało zniecka obudzone, zupełnie bez ostrzeżenia.

Ciekawe, co właściwie jego matka miała na myśli, kiedy twierdziła, że został wybrany przez Boga. Wszak nie jego dłonie, niezdarne dłonie grającego na ślepo chłopca, tylko pewnie te dźwięki płynące z pianina, które nie przypominały żadnych innych dźwięków, jakie kiedykolwiek słyszał z tak bliska. Od pierwszych lat życia słuchał muzyki z radia, w tym często muzyki fortepianowej, ale to było nic w porównaniu z dziwnymi, żywymi dźwiękami, które ożywały nagle pod jego palcami. Zasychało mu w ustach z zachwytem, z przejęciem. Uśmiechał się, to mu dawało tyle radości. Kiedy odkrywał, że poszczególne nuty zlewają się z innymi, bo jego palce poruszały się jakby zgodnie z własną wolą. Był dzieckiem, które czuło się swobodnie przy obcych, a tymczasem w przydrożnych lokalach, do których przyprowadzała go matka, byli sami obcy, wśród których większość stanowili mężczyźni, przy czym większość tych mężczyzn patrzyła na niego obojętnym, szklistym wzrokiem, bo tak zawsze mężczyzna patrzy na nie swoje

dziecko. Ale teraz absorbował ich uwagę. Bo w tym labiryncie brudnych, wypaczonych, lepkich i martwych klawiszy znajdował dość żywych klawiszy, by móc zagrać wzór z powiązanych z sobą nut, nie potrafiąc go nazwać, a jednak tamci natychmiast rozpoznali *Footprints in the Snow* Billa Monroego, które wiele razy słyszał z szafy grającej w tym marzycielskim stanie między snem a jawą, z głową wtuloną w złożony płaszcz matki w boksie któregoś z kawiarni. Nie miał pojęcia, że sekwencja nut utworzy piosenkę skomponowaną i wykonywaną przez nieznanym mu ludzi i że ci, którzy to usłyszą, zainteresują się, podejną bliżej i będą się dziwić:

– Jezu, jak on to robi? Taki mały dzieciak... I nie bierze żadnych lekcji?

On sam nie słuchał tego, co mówili. W skupieniu, z całej siły zaciskał powieki, a palce jego prawej dłoni wybierały dominujący wzór, jakby już był mu znajomy, palce słabszej, lewej dłoni dostarczały akordów, wypełniając szczeliny w dźwięku. Gra. Granie. Ileż radości! Nuty ze starego pianina przebiegały przez niego – przez palce, dłonie, ramiona, tors – niczym prąd elektryczny.

– Ciekawe, czy umie zagrać *Cumberland Breakdown*.

Mamusia mówiła im, że nie umie. Potrafił zagrać tylko te melodie, które słyszał z szafy grającej.

– *Rocky Road Blues*? To było w szafie.

Przekonywał się, że potrafi zagrać jakąś kombinację nut i potem ją powtórzyć niczym echo, ale w innej tonacji: o pół tonu wyżej albo niżej. Potrafił zmienić układ tej kombinacji w ten sposób, że wygrywał nuty szybciej albo wolniej, albo specjalnie niektóre z nich akcentując, sprawiając jednocześnie, że wzór pozostawał rozpoznawalny.

Oczywiście nie potrafił chwycić pełnej oktawy, miał zbyt małe dłonie. Oczywiście nie dosięgał do pedałów. Nie miał zresztą pojęcia, do czego służą pedały. Jego matka też tego nie wiedziała. Dźwięki płynące z pianina były posiekane, połamane. To nie była ta gładka muzyka, którą słyszy się z radia.

Mężczyźni, których przyciągała gra dziecka, zaczęli tracić zainteresowanie i powoli odeszli. Niebawem znów rozbrzmiał głośny gwar ich głosów, zuchowatego śmiechu. Ale jeden mężczyzna został. Podszedł bliżej, postawił stopę na prawym pedale i nadusił go. Posiekane dźwięki natychmiast zlały się w jedność.

– Musisz używać pedału. Trzeba go deptać.

To był obcy mężczyzna, który jednak różnił się od nich wszystkich. Uśmiechał się, pił, ale wiedział coś, czego inni nie wiedzieli. I jego to obchodziło, wyraźnie był autentycznie zainteresowany dzieckiem grającym niezdarne na instrumencie, którego nigdy wcześniej nie dotykało, zdumiony tym, że to dziecko gra tak naturalnie i instynktownie. Poza tym dziecku towarzyszyła młoda matka, która tuliła je w ramionach, uśmiechnięta i bardzo dumna, z błyskiem szaleństwa na twarzy.

Później zaczął ich wypytywać, kim są, skąd pochodzą. Ale młoda kobieta uchylała się od odpowiedzi, choć nie przestała się uśmiechać.

– Och, z północy. Nie zna pan tych okolic.

– A może jednak znam, miła pani – upierał się mężczyzna. – No więc skąd?

Młoda matka zaśmiała się, nie odrywając od mężczyzny swych ciemnych, z pozoru niewzruszonych oczu, ocienionych zmęczeniem, a jednak pięknych, i odpowiedziała mu spokojnie, jakby ćwiczyła te słowa wiele razy:

– Jesteśmy znikąd, proszę pana. Za to zmierzamy dokądś.

Przydrożna knajpa w Apalachin w stanie Nowy Jork. Na południe od rzeki Susquehanna i kilka mil na północ od granicy z Pensylwanią. Był koniec zimy 1960 roku, uciekali przed Nilesem Tignorem od prawie pięciu miesięcy.

Pierwszy raz zasiadł do pianina. Pierwszy raz matka przyprowadziła go do pianina. Być może była pijana, zauważyła pianino wepchnięte do wnęki w tym lokalu i ten pomysł wpadł jej do głowy tak jak wiele innych: „Natchnienie od Boga”.

Co wcale nie znaczyło, by wierzyła w jakiegoś boga. A gdzie tam.

A jednak zdarzały się te przeciwnie wiatry. Nagłe podmuchy przesywającego na wskroś wiatru, który dobrze znała z dzieciństwa, bo taki właśnie nacierał bezustannie na starą, kamienną chatkę znad jeziora Ontario. Okrutny, dławiący wiatr, który zdierał pranie ze sznura, a czasami przewracał nawet słupki. Ale zdarzały się też łagodniejsze wiatry, wiatry delikatne jak oddech. Te uczyła się rozpoznawać. Na te skwapliwie czekała. Chciała wieść życie zgodnie z nimi.

Po tamtym wieczorze były jeszcze inne lokale, bary i restauracje, hotele. Były inne pianina. Jeśli okoliczności sprzyjały, nakłaniała Zachariasa, swe utalentowane dziecko, by zagrał. Jeśli okoliczności nie sprzyjały, czasami nakłaniała Zachariasa, swe utalentowane dziecko, by i tak zagrał. Bo ludzie musieli go usłyszeć! Ludzie musieli usłyszeć jego talent!

Zack grał i za każdym razem nagradzano go oklaskami.

I zawsze był jakiś mężczyzna, który zostawał dłużej. Mężczyzna, który się dziwił, podziwiał. Mężczyzna, który był gotów wydawać pieniądze, choćby tylko kilka dolarów, na niezwykłą młodą matkę i jej chuderlawego synka o bladej, natchnionej twarzy i wynędzniałych oczach.

Powiedz, jak ci na imię, mała. Moje już znasz.

Znasz imię mojego syna. To ci na razie wystarczy.

Nie. Twoje imię też muszę znać.

Nazywam się Hazel Jones.

Hazel Jones. Ładnie.

Czyżby? Tak mnie nazwano po kimś. Moi rodzice zrobili z tego tajemnicę, którą zabrali do grobu. Ale wierzę, że któregoś dnia się dowiem.

Skoro nas do tej pory nie zabito, to już chyba nigdy nas to nie spotka. Śmiała się, cóż za rozkoszne powiedzonko.

Nie oglądała się za siebie podczas ucieczki z dzieckiem. Taka była jej strategia na wiele tygodni, miesięcy, a wreszcie lat. „Zawsze w drodze”, tak to nazywała. Każdy dzień przynosił nową niespodziankę i nagrodę: bo byli „zawsze w drodze”. Z domu na Poor Farm Road zabrała pieniądze, którymi ciskano w jej ciało w pogardzie dla tego ciała i na znak odrzucenia jej miłości jako naiwnej młodej żony, miłości zdefraudowanej w ramach małżeństwa. Miała te pieniądze, te zmięte banknoty o różnych nominałach, miała prawo mówić sobie, że je zarobiła. Z czasem zaczęła je pomnażać pracą: jako kelnerka, sprzątaczką, pokojówką. Jako bileterka w kinie. Jako sprzedawczyni. Hazel Jones klękała z gracją, wsuwała buty na męskie stopy w samych skarpetkach i z olśniewającym uśmiechem młodej Amerykanki pytała:

– I jak się pan w nich czuje?

Mężczyźni często chcieli stawiać jej posiłki, drinki. Jej i jej małemu synkowi. Często chcieli dawać jej pieniądze. Czasami odmawiała, czasami przyjmowała, ale nie dostarczała usług seksualnych za pieniądze: jej purytańska dusza brzydziła się takimi praktykami.

– Już wolałabym nas zabić. Zacka i siebie. Ale do tego nigdy nie dojdzie.

Nie czuła skruchy, że porzuciła ojca dziecka. Nie żałowała, nie miała poczucia winy. Ale za to czuła strach. W ten mglisty, niewyraźny sposób, w jaki kontemplujemy fakt własnej śmierci, nie jako czegoś nadciągającego, tylko jako czegoś, co nad nami wisi. *Dopóki będziemy w drodze, on nas nie znajdzie.*

Nie przyszło jej do głowy, że człowiek, który pobił ją i dziecko, popełniał już inne przestępstwa. Nie przyszłoby jej do głowy, żeby uciekać na policję w Chautauqua Falls, tak jak Anna Schwart nie uciekłaby na policję w Milburn przed Jakubem Schwartem.

Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Tak brzmiało chłopskie porzekadło. Tak brzmiała brutalna mądrość ziemi. Nie należało jej kwestionować.

Jej rany z czasem się zabiłiły, sińce wyblakły. Czasami tylko lekko dzwoniło jej w prawym uchu, kiedy była zmęczona. To jednak nie rozpraszało uwagi bardziej niż trele piskląt na wiosnę albo buczenie owadów latem. Na czole miała czerwone blizny, które odruchowo gładziła palcem, prawie z lękiem, z osobliwym wdzięcznym zachwytem. Ale mogła je ukryć pod kosmykami włosów. Bardziej martwiła się o dziecko niż o siebie, bała się, że ojciec będzie szalał, koniecznie chcąc je odzyskać.

Hej, wy dwoje: kocham was.

Leora Greb kręciła głową i mówiła, że nie należy wchodzić między mężczyznę a jego dzieci, jeśli ci zależy na życiu.

Plan Rebeki był następujący: porzuci samochód Tignora w jakimś publicznym miejscu, by dzięki temu władze natychmiast go odnalazły i wytropiły jego właściciela.

Tignor by go wtedy odzyskał i miał mniej powodów, by ją ścigać. Wiedziała, że ten człowiek będzie wściekły, że ukradła mu samochód.

Roześmiała się na myśl o wściekłości tego człowieka.

– Zabije mnie teraz, prawda? Ale niech mnie najpierw dopadnie.

Uśmiechnęła się. Dotknęła blizn tuż przy linii włosów, teraz już prawie bezbolesnych. Nie zamierzała rozmawiać z dzieckiem o Tignorze ani też dłużej tolerować tego popiskiwania i popłakiwania za tatusiem.

– Teraz masz tylko mamusię. Odtąd mamusia będzie dla ciebie wszystkim.

– Ale tatuś...

– Nie. Nie ma żadnego tatusia. Dostyc. Jest tylko mamusia.

Śmiała się, całowała zalęknione dziecko. Zacałowywała jego łęki. Widząc, że ona się śmieje, on też się śmiał, po dziecięcemu ją naśladując. Chcąc zrobić przyjemność mamusi i być całowany przez mamusię, prędko się uczył.

Już nigdy więcej nie wypowiedziała na głos imienia mężczyzny, który udawał jej męża! Który wmówił jej, że wzięli ślub w Niagara Falls. Dała się omamić przez własną głupotę, nie zamierzała więcej o tym myśleć. Ten mężczyzna był teraz martwy, jego imię zostało wymazane z pamięci.

Imię dziecka, które było imieniem ojca. Zdrobnieniem imienia ojca. Dziwne imię, które sprawiało, że inni uśmiechali się z zaciekawieniem. Już nigdy więcej nie nazwała go tym imieniem. Musiała nadać mu nowe imię, by dzięki temu zerwanie z ojcem dopełniło się ostatecznie.

Opuściwszy Chautauqua Falls, jechała skradzionym pontakiem po bocznych drogach, na północny wschód wzdłuż podnóży gór Chautauqua, potem przez pofałdowane tereny rolnicze na terenie pojezierza Finger i wreszcie wjechała do doliny rzeki Mohawk, rzeki wartkiej, ponurej i stalowej pod ruchomymi kolumnami mgły. Nie odważyła się zatrzymać tam, gdzie ona i dziecko mogli zostać rozpoznani, dlatego jechała dalej, obolała i wyczerpana. W płytkim, skalistym strumieniu przy jednej z dróg umyła dziecko i siebie, próbując oczyścić ich rany. Raz po raz całowała dziecko, ciesząc się, że nie odniosło poważniejszych obrażeń, na ile umiała to ocenić. Jego drobne, giętkie kości, wydawały się nietknięte, niemal niemowlęca czaszka, delikatna jak skorupka jajka dla jego zalęknionej matki, okazała się naprawdę twarda, wytrzymała ciosy, rozwścieczony mężczyzna jej nie rozbił.

Cieszyła się też, że dziecko nie miało jak zobaczyć swoich spuchniętych, podbitych na czarno oczu, rozciągniętej, poranionej górnej wargi, nozdrzy z obwódką z krwi. I że okazało się takie ufne, tak gładko wzorowało się na niej emocjonalnie:

– Uciekliśmy! Uciekliśmy! Nikt nas nie znajdzie, uciekliśmy!

Aż dziw brał, jaka szczęśliwa stawała się Rebeka, odkąd Poor Farm Road zaczęła prędko odchodzić w przeszłość.

Aż dziw brał, jaka czuła się radosna, mimo spuchniętej twarzy i bólu.

Nachylała się, by całować i tulić dziecko. Dmuchać mu do ucha i szeptać różne bzdury, od których pokładało się ze śmiechu.

Ukrywali się wśród pól kukurydzy, gdzie ich nie widziano z drogi, i załatwiali się tam jak zwierzęta. A potem biegali i chowali się przed sobą, zaśmiewając do rozpuku.

– Mamusiu?! Mamusiu, gdzie jesteś?!

Rebeka zachodziła go od tyłu, a potem oplatała ramionami, zataczając się ze szczęścia, żądry posiadania. Uratowała swego syna i uratowała siebie. Jeszcze miało wyjść na to, że jej życie, sponiewierane wprawdzie i okaleczone, jakby wpadło do paszczy jakiejś wielkiej, zębatej bestii, jest jednak błogosławione.

Wtedy właśnie wpadło jej do głowy prawdziwe imię dziecka: „Zacharias”. Imię z Biblii.

Była niesamowicie szczęśliwa. Natchniona. Porzuciła skradziony samochód w Rome, starzejącym się mieście za jeziorem Oneida, o połowę mniejszym od Chautauqua Falls. To było miasto, które dla niej nic nie znaczyło prócz tego, że człowiek, który udawał jej męża, miał tam jakieś interesy i dlatego często opowiadał o Rome. Postanowiła zostawić tam samochód, żeby go omamić, zadać mu zagadkę.

Zaparkowała samochód z prawie pustym bakiem przy dworcu autobusów Greyhound. *Będzie myślał, że jedziemy na wschód. Nigdy nas nie znajdzie.*

Zmieniła kierunek ich ucieczki. Na dworcu autobusowym kupiła dwa normalne bilety do Port Oriskany, położonego dwieście pięćdziesiąt mil na zachód.

Normalne bilety na wypadek, gdyby kasjera wypytywano o uciekającą matkę z dzieckiem.

Ani ona, ani dziecko nigdy wcześniej nie podróżowali autobusem. Ten greyhound był taki ogromny! Fascynujące doświadczenie, prawdziwa przygoda! W środku nie było co robić oprócz gapienia się przez okno na krajobraz, gwałtownie przemykający tuż obok autostrady, powoli znikający na horyzoncie. Była straszliwie zmęczona i bolały ją kości, a jednak mimo woli się uśmiechała. Dziecko leżało obok niej, przytulone i ciepłe, spało. Gładziła je po jedwabistych włosach, przyciskała swe chłodne palce do spuchniętej buzi.

Czy przyjmiesz chociaż moją wizytówkę, złociutka?

Na wypadek gdybyś kiedyś chciała nawiązać ze mną kontakt.

Przyjąć ode mnie swój spadek. Hazel Jones.

– Nazywa się doktor Hendricks. Byron Hendricks, doktor medycyny. Mężczyzna w uniformie, o bardzo ciemnej skórze, z wąskim wąsikiem i ciężkimi powiekami, przyglądał jej się ze zdumieniem.

– Czwarte piętro, proszę pani. Ale moim zdaniem jego tam nie ma.

Rebeca taka możliwość nie przyszła do głowy. Od tamtego wieczoru na ścieżce holowniczej myślała, że skoro mężczyzna w panamie tak bardzo jej szuka, to w takim razie na nią czeka.

Rebeka zagapiła się na spis na ścianie. Wigner Professional Building. Znalazła HENDRICKS B.K., LOKAL nr 414.

Dziecko buszowało po bogato zdobionym, wysokim hallu budynku, wścibskie i ruchliwe. Obdarzone nowym imieniem, w tym nowym mieście Port Oriskany, położonym nad ogromnym, jednolicie niebieskim jeziorem, wydawało się subtelnie zmienione, już nie nieśmiałe, tylko ciekawe wszystkiego; gapiło się bezczelnie na elegancko ubranych, obcych ludzi, którzy przepychali się przez obrotowe drzwi, wchodząc tam z rojnej i

gwarnej Owego Avenue. Dotąd był malutkim wieśniakiem, jedyni dorośli, których przedtem widywał, ubierali się i zachowywali zupełnie inaczej niż ci tutaj.

Kiedy nie gapił się na ludzi mijających go w pośpiechu, pochylał się nad posadzką z polerowanego marmuru, zupełnie niepodobną do wszystkich podłóg, po których dotąd chodził.

Ciemne lustro! A w nim, pod jego stopami, poruszało się nerwowo upiorne odbicie chłopca, którego twarzy nie widział.

– Zack, chodź tutaj do mamusi. Pojedziemy windą.

Śmiał się, imię Zack było dla niego czymś równie zaskakującym jak uszczyplenie, kiedy nie wiesz, czy miało cię rozśmieszyć czy raczej zadać ci ból.

Matka mu powiedziała, że „Zacharias” oznacza błogosławionego. Szedł właśnie na swoją pierwszą przejażdżkę windą. I mimo że wciąż utykał po tym, co zrobił mu tamten pijany człowiek, a jego drobna, blada buzia przypominała worek treningowy, wiedział, że wkracza do świata nieprzewidywalnych niespodzianek, przygód.

Mężczyzna w uniformie wszedł za nimi do windy i zajął swoje stanowisko przy tablicy z guzikami.

– Mogę panią zaprowadzić do gabinetu doktora Hendricksa – powiedział. – Ale jak mówię, nie sądzę, by on tam był. Nie widziałem go od jakiegoś czasu.

Rebeka jakby tego nie słyszała. W windzie schwyciła kościstą dłoń chłopca. Gorącą, suchą dłoń. Miała nadzieję, że nie dostał gorączki, brakowało jej teraz czasu na takie głupoty. Była w Port Oriskany, zaraz miała zobaczyć Byrona Hendricksa! Wyraził zdumienie, że Hazel Jones jest mężatką, ciekawe, co pomyśli, kiedy się przekona, że Hazel Jones ma dziecko? Rebeka czuła się niepewnie, miała mętlik w głowie. Może to był błąd.

Poruszała wargami. Być może mówiła do siebie.

– Doktor Hendricks musi tu być. Dał mi swoją wizytówkę zaledwie kilka dni temu. Powinien się mnie spodziewać.

– Czy pani chce, żebym na panią zaczekał? Na wypadek, gdyby pani zaraz zjeżdżała na dół?

Mężczyzna w uniformie górował nad nią wzrostem. Odruchowo zadała sobie pytanie, czy on się przypadkiem z nią nie droczy, po to, żeby się zdenerwowała, rozplakała, a wtedy on mógłby ją pocieszyć. A jednak wydawał się szczerzy. Do operowania windą wkładał białe rękawiczki. Czuła zapach jego pomady do włosów. W życiu nie stała tak blisko żadnego Murzyna i nigdy wcześniej nie potrzebowała pomocy ze strony Murzyna. W hotelu Generał Waszyngton zatrudnione tam „czarnuchy” trzymały się na ogół siebie.

– Nie. To nie będzie konieczne. Dziękuję panu.

Mężczyzna w uniformie wysiadł z windy na czwartym piętrze i zamasyście otworzył drzwi. Rebeka prędko wyszła na korytarz, pociągając za sobą dziecko.

On myśli, że idę do doktora Hendricksa, żeby zbadał mojego syna. To sobie myśli.

– To tam, w tamtą stronę. Czy pani chce, żebym zaczekał?

– Nie! Powiedziałam panu, że nie.

Rozzłoszczona Rebeka ruszyła dalej, nie oglądając się za siebie. Drzwi windy zatrzasnęły się za nią ze szczękiem.

Zack marudził, że nie chce widzieć żadnego starego doktora.

Lokal numer 414 znajdował się na samym końcu korytarza pachnącego lekarstwami. Na drzwiach z mleczną szybą była umocowana ręcznie wypisana kartka: BYRON K. HENDRICKS, dr med. PROSZĘ WCHODZIĆ. A jednak w środku było raczej ciemno, drzwi okazały się zamknięte na zamek. W tym krańcu korytarza panowała atmosfera smutku i opuszczenia.

Zrozpaczona Rebeka zastukała w mleczną szybę.

Nie miała pomysłu, co dalej robić. W swoich gorączkowych, acz mało jasnych wyobrażeniach wyruszyła na poszukiwania doktora Byrona Hendricksa, i czekała na tę chwilę, kiedy ten mężczyzna ją zobaczy, kiedy na jego twarzy pojawi się uśmiech zachwyty, że oto ma przed sobą Hazel Jones. Zupełnie się nie spodziewała, że jego tu nie będzie, skoro przecież obiecał, że będzie.

Zack marudził, że nie podoba mu się zapach tego miejsca.

Cóż, Rebeka miała pieniądze. Miała kilkaset dolarów w banknotach o różnych nominałach. Przez jakiś czas nie musiała szukać pracy, wystarczyło kontrolować wydatki. Postanowiła poszukać jakiegoś taniego hotelu w Port Oriskany, gdzie razem z Zackiem mogliby spędzić noc. Bardzo potrzebowali odpoczynku. Wzięliby kąpiel, spaliby w łóżkach z czystą, wykrochmaloną pościelą. Zamknęliby się na zamek w hotelu pełnym obcych ludzi, byłiby całkowicie bezpieczni. Przez trzy noce z rzędu, dygocząc z zimna, spali w pontiacu, zaparkowanym przy wiejskich drogach. Podróż autobusem z Rome trwała pięć godzin.

– Jutro rano. Zadzwońię do niego. Umówię się na spotkanie.

Zack zauważył, że matka robi się nerwowa. Zaczął się ocierać o jej nogi, mrużąc „mamusiu” marudnym, dziecięcym głosem.

Stwierdziła, że postąpiła bezsensownie, przychodząc prosto do gabinetu doktora Hendricksa z dworca autobusowego. Należało najpierw zadzwonić, sprawdzić, czy doktor tu jest. Mogła poszukać jego numeru w książce telefonicznej. Tak postępowali ludzie, normalni ludzie. Musi się uczyć od normalnych ludzi.

Jeszcze raz nacisnęła na klamkę w zamkniętych drzwiach. Dlaczego Hendricksa tu nie ma?!

Zobaczy ją i od razu rozpozna. Wierzyła w to. Cokolwiek stanie się potem, będzie się działo bez udziału jej woli. Wołał za nią przecież, błagał ją. Nikt jej nigdy o nic nie błagał w taki sposób. Nikt nigdy nie zaglądał w taki sposób do jej serca.

Mężczyzna w panamie. Szedł za nią z miasta, rozpoznał ją. Zmienił jej życie. Była oszukana, młodą kobietą, żyła z człowiekiem, który kłamał, że jest jej mężem. Z mężczyzną brutalnym, kryminalistą. Nie miałyby odwagi go zostawić, gdyby nie poznała Hendricksa na ścieżce holowniczej nad kanałem.

Całkiem możliwe, że nie wzbudziłaby zazdrości w człowieku, który udawał jej męża, gdyby Hendricks nie podszedł do niej nad kanałem.

– Sam pan widzi, że zmienił pan moje życie! Teraz jestem w Port Oriskany, a to jest mój syn Zacharias...

Nie będzie go okłamywała. Nie będzie twierdziła, że nazywa się Hazel Jones.

Aczkolwiek nie mogła też absolutnie się tego wypierać. W końcu istniała możliwość, że została adoptowana. Czy Herszel nie to właśnie sugerował, że ją znaleźli, niemowlę nowo narodzone na statku w nowojorskim porcie...

– Moi rodzice pomarli, doktorze Hendricks. Nigdy nie będę mogła ich zapytać. Ale jakoś nigdy nie czułam, że jestem ich córką.

Była taka zmęczona i przymulona; wydawało jej się teraz, że to całkiem możliwe, nie tylko w teorii.

Dziecko przyglądało jej się ze zmarszczonym czołem. Dlaczego mamusia mówi do siebie? I czemu się uśmiecha, zagryzając poranione wargi?

– Mamusiu? Możemy już stąd iść? Tu brzydko pachnie.

Odwróciła się, cała odrętwiała. Nie patrząc, schwyciła dziecko za rękę. Gorączkowo się zastanawiała, a jednak nic jej nie przychodziło do głowy. W białych powierzchniach mlecznych szyb osadzonych w drzwiach, które teraz mijali, jej twarz była niewyraźna, odznaczały się tylko gęste, potargane włosy. Wyglądała jak topielica.

Jedne z drzwi się otworzyły. Mdlący, lekarski zapach wezbrał na sile. Ktoś wychodził z lokalu numer 420, zajmowanego przez Hirama Tannera, dr stom. Rebeka pod wpływem impulsu weszła do poczekalni. Czy dr stom. oznaczał dentystę? Recepcjonistka spojrzała na nią krzywo.

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Szukam doktora Hendricksa z lokalu czterysta czternaście. Jego gabinet jest chyba zamknięty.

Podkreślone kredką brwi recepcjonistki uniosły się z przesadnym zdumieniem.

– To pani nie słyszała? Doktor Hendricks zmarł zeszłego lata.

– Umarł? Ale...

– Myślałam, że wszyscy jego pacjenci zostali powiadomieni. Pani była jego pacjentką?

– Nie. To znaczy... tak, byłam.

– Jego gabinet jeszcze się nie zwolnił, tam są jakieś problemy. Zostawiono go w dość kiepskim stanie i trzeba tam posprzątać.

Recepcjonistka, porządnie ubrana kobieta w średnim wieku, przeniosła wzrok z Rebeki na dziecko ocierające się o jej nogi. Przyglądała się teraz ich pobitym twarzom.

– Może pani iść do innych lekarzy w tym budynku. Na drugim piętrze jest...

– Nie! Muszę zobaczyć doktora Hendricksa. To znaczy syna, nie ojca.

– Od lata nie widziałam, by ktoś był w tym gabinecie – oświadczyła recepcjonistka. – Ludzie mówią, że ktoś tam przychodzi po godzinach. Że coś tam przestawia, że stróż musi potem wynosić różne śmieci w kartonach. Kiedyś widywałam tu tego syna, ale nie ostatnio. Podobno doktor Hendricks zmarł na wylew. Miał mnóstwo pacjentów, ale oni też się starzeją. Nie słyszałam, by jego syn też był lekarzem.

– Ależ jest lekarzem! – zaprotestowała Rebeka. – Byron Hendricks, doktor medycyny. Widziałam jego wizytówkę. Miałam się umówić...

– Taki mężczyzna po czterdziestce, prawda? Jakby nerwowo? Który ma w oczach coś dziwnego i w ogóle cały jest dziwny? Zawsze się ubiera jakoś tak inaczej, nosi kapelusze? Jak jest zimno to filcowy, jak ciepło to panamę. Nie słyszałam, żeby on był lekarzem, ale mogę się mylić. Mógł studiować medycynę, ale potem nie praktykować, czy coś w tym stylu.

Rebeka gapiła się na kobietę, a tymczasem Zack czepiał się niecierpliwie jej nóg. Widząc, że Rebeka jest w szoku, kobieta przyłożyła dłoń do brzucha.

– Niech panienka zrozumie, że nie jest mi przyjemnie przekazywać takie wieści. Doktor Tanner zawsze pozdrawiał staruszkę i kilka chwil rozmawiali, ale doktor Tanner też nie znał najlepiej ani jednego, ani drugiego.

– A to można być lekarzem i nie praktykować? – spytała oszołomiona Rebeka. – Przecież... – Zobaczyła w oczach kobiety po trochu współczucia i satysfakcji. Uznała, że musi się do tego przyzwyczaić.

Podziękowała, wywlokła Zacka z gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Na korytarzu Zack wyrwał się z jej uścisku i pognał przed siebie kaczkowatym chodem, głupawo wymachując rękami i wydając jakieś dziwaczne dźwięki, jakby pogwizdywał i jednocześnie się dławził tym stęchłym powietrzem. Robił się niegrzeczny, uparty. Dawniej nigdy się tak nie zachowywał w publicznych miejscach.

– Zack! – na poły wyłkała Rebeka. – Wracaj tu natychmiast!

Właśnie zamierzał nacisnąć guzik windy. Rebeka zdziwiła się, że w tym wieku już wie takie rzeczy. Trzepnęła go w rękę. Nie chciała wzywać operatora windy, Murzyna w uniformie z równo przystrzyżonym, wąskim wąsikiem i pogodnymi, acz zamyślonymi oczyma, wiedząc, że on też będzie patrzył na nią z litością.

– Pójdziemy schodami, kochanie. Na schodach jest bezpieczniej.

Szli ciemną klatką schodową, trzy kondygnacje w dół, do ciężkich drzwi z napisem WYJŚCIE, którymi się wychodziło na jakąś uliczkę na tyłach.

Brzęczenie w uszach stawało się coraz głośniejsze, rozpraszało uwagę. Miała niemal wrażenie, że gdzieś w pobliżu fruują roje nocnych owadów.

Hendricks chciał, żebyś mu uwierzyła, zaufała, pomyślała. Wtedy nad kanałem. Nie przyszło mu do głowy, że kiedyś spróbuję go tutaj odszukać.

– Tylko my dwoje. Na jedną noc. Mój syn i ja.

Mieli spędzić noc w hotelu zbudowanym z burego piaskowca, kilka przecnic od Owego Avenue. Rebeka sprawdziła kilka pokoi, zanim się zdecydowała: obejrzała prześcieradła i poduszki, uniosła róg materaca, sprawdzając, czy pod spodem nie ma pluskiew albo wszy. Recepcjonista był nią rozbawiony, przyglądał się jej długim, potarganym włosom i posiniaczonej twarzy.

– Jeśli szanowna pani chciała spać w Statlerze, to źle pani trafiła.

Podwójne łóżko zajmowało większość przestrzeni między ścianami wyłożonymi zaplamioną tapetą i melancholijnym oknem, z którego rozciągał się widok na szyb wentylacyjny. To był pokój bez łazienki, toaleta znajdowała się na korytarzu.

Rebeka roześmiała się, wycierając oczy.

– Pięć pięćdziesiąt za noc. Dobrze trafiłam.

Kiedy znaleźli się sami w pokoju, Zack zaczął wszystko dźgać, naśladując matkę. Udawał, że jest psem węszącym po kątach. Pochylił się, by zajrzeć pod łóżko.

– Mamusiu, a jeśli tatuś...

Rebeka podniosła ostrzegawczo palec.

– Nie.

– Ale mamusiu! Jeśli ta...

– Mówiłam ci, że teraz jest tylko mamusia. Odtąd tylko mamusia.

Nie karciała swego dziecka. Nie zamierzała nigdy go straszyć. Zamiast tego przytuliła je, połaskotała.

Z czasem zapomni. Tak twardo postanowiła.

Przed pójściem spać zabrała go na kolację do baru na Owego Avenue, w którym jedzenie kupowało się w automatach. Dziecko było zafascynowane oślepiającymi światłami, zgiełkiem i sposobem, w jaki kupowało się jedzenie. Po kolacji doszło między nimi do sprzeczki, bo uparła się, że go przeprowadzi przez szeroki, wietrzny plac i pokaże Statlera, najlepszy hotel w mieście. Koniecznie chciała, żeby zobaczył wielki, zdobny hall pełen elegancko ubranych ludzi. Marmurową posadzkę, kanapy obite skórą, paprotki i małe drzewka w donicach. Atrium sięgające pierwszego piętra. Odźwiernych, gońców w uniformach.

Statler cały się iskrzył od świateł. Co najmniej dwadzieścia pięć pięter. Po drugiej stronie tej wielkiej budowli było nabrzeże z parkiem i jezioro Erie ciągnące się po horyzont. Rebeka miała niejasne wspomnienie widoku z wysokich okien. Przywiózł ją tutaj wiele lat wcześniej ten człowiek, który udawał jej męża. Była taka omamiona, wierzyła wtedy, że jest szczęśliwa! Sama też odgrywała swoją rolę w tej maskaradzie.

– Byłam jego kurwą, choć o tym nie wiedziałam.

Zack zerknął na nią ze zdziwieniem. Zdawała się mówić i śmiać do siebie. Był w wieku, w którym już się to wie, że dorośli nie robią takich rzeczy publicznie.

Próbowała sobie przypomnieć, czy to było tu, w Port Oriskany, czy też w innym mieście, gdzie od hotelu szedł za nią mężczyzna w granatowej kurtce i granatowej czapeczce. Okazało się, że to (Podejrzewała tylko, nigdy nie nabrała pewności) ktoś nasłany, by poddać sprawdzianowi jej lojalność, wierność. Zastanawiała się po raz pierwszy, co by się z nią stało, gdyby się uśmiechnęła do tego człowieka, gdyby pozwoliła się poderwać.

Nie była pewna, czy to się działo w Port Oriskany. Przypomniała sobie jednak, że człowiek, który udawał jej męża, zabrał ją do ginekologa w tym mieście, który z kolei ją zbadał, zbadał jej mocz i powiedział jej dobrą nowinę, że za osiem miesięcy będzie miała dziecko.

Człowiek, który udawał jej męża, powiedział to swym ordynarnym, rozbawionym głosem: *Jesteś w ciąży, dziewczyno*. Nie powiedział: *Będiesz miała dziecko*.

Wiele lat później wspomniała te słowa w towarzystwie swego dziecka. Wskazała różnicę między oboma tymi zdaniem.

– Mamusiu, jesteś smutna? Mamusiu, ty płaczesz?

Wcale nie płakała. Przysięgłaby, że się śmieje.

Następny ranek był bardzo zimny, rześki. Nocą stwierdziła, że nie będzie się starała dodzwonić do Byrona Hendricksa, dra med. Zrobi wszystko sama, nie potrzebuje go. Nie będzie też traciła czasu na przeglądanie książki telefonicznej w poszukiwaniu Hazel Jones.

Była w doskonałym nastroju. Spała jak zabita i dziecko też. Ponad dziewięć godzin! Zack obudził się tylko raz, trzeba go było zaprowadzić do toalety na korytarzu.

Drżała z zimna. Była ogłupiona snem. Prowadziła go za rękę, pomogła mu rozchylić piżamę, a na koniec poprowadziła jego dłoń do spłuczki. Pocałowała go czule w kark, gdzie miał brzydki siniec wielkości gruszki.

– Taki duży chłopiec! Taki grzeczny chłopiec.

W hotelach takich jak ten, podrzędnych, bez windy, nad nieczynną restauracją, a także w takich jak Statler, często się zdarzało, że goście, którzy się tam meldowali z bagażem albo bez, ryglowali drzwi, zaciągali rolety i w jakiś sposób – niezdarnie, pod

wpływem chwili, z premedytacją, z desperacją – odbierali sobie życie, zazwyczaj wchodząc w ubranie lub nago do wanny i podcinając sobie żyły. W hotelu General Waszyngton o takich incydentach rozmawiano szeptem, aczkolwiek Rebeka nigdy nie była świadkiem żadnej takiej krwawej sceny ani też nie proszono jej, by po czymś takim posprzątała.

Samobójstwo w hotelowym pokoju nie należało do rzadkości, za to bardzo rzadko dochodziło do morderstw. Rebeka nigdy nie słyszała, by ktoś zabił w hotelu dziecko.

Dlaczego oni to robią, po co meldują się w hotelu, spytała kiedyś Rebeka, bodajże Hrubego w czasie, gdy pozostawali we względnie dobrych stosunkach, i Hrube wyjaśnił jej to ze wzruszeniem ramion: „Jak to po co? Żeby nam tu wszystkim narobić gnoju!”

Rebeka się roześmiała, bardzo sprytna odpowiedź.

Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego teraz o nim pomyślała: Hrube? Od lat nie myślała o tym bydlaku o płaskiej gębie.

Wróciwszy do pokoju, zaryglowała drzwi, zaciągnęła postrzępioną roletę, wsunęła zaspane dziecko do łóżka i sama ułożyła się obok niego.

Jak zabici! Nic słodsze.

Rankiem przy małej umywalce w małej toalecie udało jej się umyć dziecko, łącznie z włosami. Opierał się, ale nie mocno. Dzięki Bogu, że tam było mydło! Umyła jego jasne, cienkie włosy i wyczesła z nich ostatnie grudy skrzepłej krwi.

Jej włosy były zbyt gęste, zbyt długie, poplątane i zmierzwione, by dało się je umyć w umywalce. Nagle je znienawidziła. Ciężki, tłusty smród przenikał ją aż do duszy. Upodobniła się do swojego brata Herszela, można było pomyśleć, że jest Indianką z plemienia Irokezów.

Zostawiła dziecko przy barze z automatami, zakazując mu oddalać się stamtąd choćby na krok. Żarłocznie pochłaniało już drugą miseczkę gorącej owsianki z mnóstwem mleka i brązowego cukru, którego nigdy wcześniej nie próbowało. Rebeka w tym czasie poszła do salonu piękności za rogiem, by dać sobie umyć i ściąć włosy. Zauważyła ten salon poprzedniego wieczoru, przestudiowała cennik wywieszony na oknie.

Jak ona miała dosyć tych włosów Rebeki Schwart! Były mąż kochał jej długie, ciężkie, seksowne włosy, uwielbiał oplatać je wokół palców, zagrzebywać w nich twarz, kiedy się z nią kochał, kiedy jęczał i pompował w nią swoje życie, w to miejsce między jej nogami, które zachłannie całował i dźgał, miejsce ukryte pod błamem ze zmierzwionych, szorstkich włosów, którego sama nie bardzo była w stanie dotykać. Ale ten czas już przeminął. Czas ogłupienia miłością przeminął. Znenawidziła swoje gęste, bezkształtne włosy, które wiecznie kołtuniły się pod spodem, przez co nie była w stanie rozczesać ich grzebieniem, które robiły się tłuste, jeśli nie myła ich codziennie, a oczywiście teraz już nie myła ich codziennie. I na dodatek było w nich pełno grudek zakrzepłej krwi. Postanowiła, że każe je ściąć na taką długość, by tylko zakrywały uszy.

W salonie przejrzała czasopismo z fryzurami, aż wreszcie znalazła to, czego szukała: optymistyczna fryzurka na Hazel Jones, z grzywką przystrzyżoną tuż nad brwiami.

Siedział w barze, tam, gdzie go zostawiła. Bardzo spokojnie, jakby jego myśli zawały się jedna na drugą. Twarz miał czymś pochłoniętą, zaabsorbowaną. Dziwacznie się

obejmował, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. *Gra na pianinie, jego palce wygrywają dla niego muzykę*, pomyślała.

Ufał jej całkowicie. Nie wątpił, że ona po niego wróci. Kiedy podeszła, zadarł głowę, zamrugął.

– Mamusiu, jaka ty jesteś śliczna. Mamusiu, jak ty ładnie wyglądasz.

Tak było. Była śliczna, wyglądała ładnie. A kiedy sińce i opuchlizny się wygoiły, wyglądała jeszcze lepiej niż tylko ładnie.

Nowa, puszysta fryzura przykuwała wzrok. A także coś w jej ruchach, w zachowaniu. Kupiła dwa normalne bilety na autobus Greyhounda, wybierając cel podróży pod wpływem impulsu (Jamestown, gdzieś na południe od Port Oriskany), ponieważ autobus odjeżdżał za dwadzieścia minut, a ona bała się zostawać w tym ruchliwym, publicznym miejscu, gdzie ktoś mógł zauważyć ją i dziecko. (Zack nosił na głowie płócienną czapkę. Siedział tam, gdzie go posadziła, na samym końcu tłocznej poczekalni, tyłem do sali i do niej. Można ich było zobaczyć razem dopiero na zewnątrz, przy krawężniku, gdy wsiadali do autobusu, i tylko krótko. A w autobusie siedzieli obok siebie jakby przypadkiem, na samym końcu.) Rebeka uśmiechała się do kasjera, wybudzając go z oglupienia późnego ranka.

– Piękny dzień. Tyle słońca.

Kasjer, dość młody, z zaokrąglonymi ramionami i ponurymi oczyma, pojaśniał na widok tej pięknej amerykańskiej dziewczyny, z lśniącą, ciemną grzywką opadającą na czoło i niesfornymi pasemkami kręcącymi się przy uszach, na widok dziewczyny, od której biło takim optymizmem. Uśmiechnął się do niej, mrugając i wytrzeszczając oczy.

– O tak. Piękny dzień!

To, co jeszcze pozostało jej z życia. Może miało być łatwe.

Ludzie wsiadali już do autobusu do Jamestown. Dała znak dziecku, że ma iść za nią. Przyniosła mu dwa komiksy, które ktoś porzucił w poczekalni. Całowali się i tulili na swoim miejscu.

– Nie znaleźli nas, aniołku! Jesteśmy bezpieczni.

To była taka zabawa, ale tylko mamusia znała jej zasady i logikę, jaka się kryła za zasadami. Kiedy autobus mozolnie przedzierał się przez pagórkowaty krajobraz na południe od Port Oriskany, dziecko było pochłonięte komiksami.

Zwierzęta z kreskówek! Chodziły na dwóch łapach, rozmawiały, a nawet myślały (w dymkach unoszących się nad ich głowami) zupełnie jak ludzie. Dziecku wcale nie wydawały się tak dziwaczne ani nawet nielogiczne jak postępowanie dorosłych istot, którego był świadkiem.

Kiedy się ocknął jakiś czas później, był sam na ich miejscu. Mamusia przesiadła się i grała teraz w remika z parą siedzącą na długiej kanapie na samym końcu autobusu.

Nazywali się Fisk. Ed i Bonnie. Ed był rumianym, łysym grubasem z bokobrodami, skorym do serdecznego śmiechu, Bonnie miała wielki biust, wyzywający makijaż i połyskliwe paznokcie. Ed trzymał na kolanach swoją kartonową walizkę, by mieć na czym rozdawać karty sobie i siedzącymi po jego bokach kobietom.

To było zupełnie niepodobne do mamusi, że się tak zachowywała. Podczas jazdy autobusem z Rome trzymała się na uboczu i nie patrzyła nikomu w oczy.

– Cygański remik. To wariant tego podstawowego, tylko ma więcej możliwości, czyli na przykład „dzikie karty”, które zastępują wszystkie inne. A za zarobione punkty można dobierać karty. Mogę wam pokazać, jeśli chcecie.

Fiskowie chcieli, żeby im pokazać. Bonnie twierdziła, że słyszała o cygańskim remiku, ale nigdy w to nie grała.

Zack przyglądał się grze przez jakiś czas. Cieszył się, że jego matka się uśmiecha, że śmieje się inaczej niż kiedyś. Podobała mu się jej nowa, piękna fryzura. Od czasu do czasu zerkła na niego, przewieszzonego przez oparcie, i puszczała oko. A on co raz zapadał w sen, kołysany trzaskiem kart, okrzyków i śmiechów graczy. Czerpał pociechę z faktu: *Nie znaleźli nas, jesteśmy bezpieczni*. Tylko to chciał wiedzieć w danej chwili.

Później, kiedy indziej, miały się pojawić inne fakty. Mógł zaczekać.

Już na przykład taki przyjazd do Port Oriskany, jakże emocjonujący, oddalał się w przeszłość. Hotel ze skrzypiącym podwójnym łóżkiem. Bar z automatami! Zaskoczenie, że mamusia do niego wróciła, że ma teraz włosy krótkie i błyszczące, że nowa grzywka na czole ukrywa sińce i zmarszczki zmartwienia. Powoli zaczynał rozumieć, że z wyjazdu można czerpać zadowolenie. Że przyjeżdża się do jakiegoś miasta, by móc później z niego wyjechać. Że w przyjeździe jest dreszcz podniecenia, ale jeszcze silniejszy dreszcz towarzyszy wyjazdowi.

Karty rozdawała teraz mamusia. Śmiała się i żartowała ze swoimi nowymi znajomymi, których po tym, jak już wysiądą z autobusu przy farmie na obrzeżach Jamestown, miała więcej nie zobaczyć. Myśl, że świat jest pełen takich ludzi jak Fiskowie, serdecznych, skorych do śmiechu, gotowych do zabawy, była wprost odurzająca.

– Widzisz, świat to taka gra w karty – powiedziała. – Możesz przegrać, ale możesz też wygrać.

Patrzył teraz na Hazel Jones, która tasowała i rozdawała karty, śmiejąc się zupełnie inaczej.

W Horseheads w stanie Nowy Jork, na przełomie zimy i wiosny 1962 roku poznali się blisko z Williem Jamesem Juddem, notariuszem ze stanową licencją i prokurentem archiwów Sądu Hrabstwa Chemung. W owym czasie pracowała jako kelnerka w Blue Moon Café na Depot Street w Horseheads. Młoda, samotna wdowa z małym synkiem. Lubiana w Blue Moon, gdzie gośćmi byli prawie wyłącznie mężczyźni, którzy prędko nauczyli się szanować młodą wdowę. *No bo widzisz, Hazel jest jak siostra. Własnej siostry przecież nie podrywasz?*

Willie James Judd, od lat zatrudniany przez hrabstwo, miał niebawem przejść na emeryturę. Większość posiłków jadał w Blue Moon i to tam właśnie poznał nową kelnerkę Hazel Jones, znaną także jego młodszej siostrze Ethel Sweet, żonie właściciela podniszczonego pensjonatu „Horseheads Inn”, w którym młoda wdowa wynajmowała pokój dla siebie i synka. Ethel Sweet często dziwowała się publicznie, że Hazel Jones jest taka mało wymagająca. Nie tak jak inni goście. Cicha, trzyma się na uboczu. Nigdy nikt jej nie odwiedza. Nie zużywa za dużo ręczników, pościeli, gorącej wody, mydła. Przed wyjściem zawsze gasi światło w swoim pokoju. Nie pozwala dziecku biegać po schodach, bawić się hałaśliwie na podwórku za pensjonatem. Nie pozwala też dziecku schodzić ukradkiem na dół i oglądać telewizji w salonie z innymi gośćmi.

Ethel twierdziła z aprobatą, że człowiek wręcz nie wie, że to dziecko tam jest.

A Hazel nie miała łatwego życia: Ethel Sweet stopniowo poznawała różne fakty, na przykład takie, że wdowa straciła oboje rodziców w dzieciństwie, bo ojciec zginął w pożarze, kiedy miała cztery lata, a matka zmarła na raka piersi, kiedy miała dziewięć lat. Potem przygarnęli ją krewni z Port Oriskany, którzy byli dla niej skąpi i nigdy nie znaleźli dla niej miejsca w swych sercach; zmusili ją do porzucenia szkoły w wieku szesnastu lat i musiała pracować jako pokojówka, dopóki nie skończyła osiemnastu lat, kiedy to uciekła z mężczyzną dwa razy od niej starszym, wyszła za niego i zrozumiała swój błąd, kiedy się dowiedziała, że on już był wcześniej dwa razy żonaty, że miał czworo dzieci, na które nie płacił, a poza tym on pił, bił ją i dziecko, grożąc, że zabije ich oboje, dlatego nie mogąc tego dłużej znieść, uciekła któreś nocy trzy lata wcześniej, zabierając z sobą przestraszonego synka, i dotąd nie przestała uciekać ze strachu, że ten człowiek ją znajdzie.

Nie, nie mieli rozwodu. On jej nigdy nie da rozwodu. Wolałby najpierw zobaczyć ją martwą. I ich syna też.

Ethel Sweet rozповідаła, że Hazel cała dygotała w trakcie tej opowieści. Dla niej to było takie realne!

Ale teraz bardzo chciała zostać w Horseheads. W Horseheads nawiązała przyjaźnię, była szczęśliwa. Była zadowolona. Jesienią chciała zapisać Zachariasa do podstawówki. We wrześniu będzie już prawie sześciolatkiem.

Pytała Ethel, czy może zauważyła, że Zacharias nie jest taki jak inni chłopcy. Że nie bawi się z innymi dziećmi, jest nieśmiały i boi się, że ktoś mu coś zrobi, ojciec bił go tak często, potem wręcz wystarczało, że tylko podniósł pięść, i dziecko strasznie się go bało, dlatego teraz musi chronić go przed brutalnością mężczyzn i chłopców, przed chłopięcymi

zabawami i głośnym krzykiem, poza tym Zacharias ma talent do muzyki, któregoś dnia zostanie pianistą koncertowym i dlatego ona dba o to, żeby nie pokaleczył sobie dłoni.

Ethel Sweet była taka wzruszona! Ta Hazel, o której wszyscy w Horseheads wiedzieli, że trzyma się na uboczu i unika zaczepek i pytań w Blue Moon w ten sposób, że na wszystko reaguje uśmiechem, ale nie odzywa się ani słowem, nagle otworzyła swe serce przed Ethel, której dorosłe córki wyprowadziły się już z domu i własna matka nic ich nie obchodziła.

Niemniej Ethel widziała, że ta młoda kobieta jest nerwowa i skłonna do zmartwień. Kiedy ją spytała, co jest nie tak, Hazel odparła, że nie ma właściwych papierów, żeby móc zapisać Zachariasa do szkoły.

A o jakie papiery chodzi, spytała Ethel. O metrykę urodzenia?

Hazel odparła, że tak. O metrykę syna i o jej własną.

A oto, co się stało: metryka Hazel spłonęła w pożarze, kiedy Hazel miała cztery lata. Nie istniał żaden dokument świadczący, że się urodziła! Ten pożar był w jakimś mieście na północy stanu, Hazel nawet nie miała pewności gdzie, bo matka wywiozła ją najpierw w jakieś jedno miejsce, a potem jeszcze inne w Dolinie Chautauqua. I potem matka zmarła, gdy Hazel miała dziewięć lat. A krewni, u których mieszkała, nie kochali jej. Powiedzieli, że urodziła się na statku płynącym z Europy, w nowojorskim porcie, że jej rodzice byli imigrantami z Polski albo może z Węgier, ale nie powiedzieli jej, co to był za statek, nie bardzo wiedziała, kiedy on dobił do brzegu, nie pokazali jej żadnych dokumentów. To było tak, jakby chcieli mnie wymazać zaraz po tym, jak się urodziłam, skomentowała to Hazel. Ale nie narzekała, tylko stwierdzała fakt.

A z kolei metryka urodzenia Zachariasa znajdowała się w posiadaniu jego ojca, no chyba że została zagubiona albo z premedytacją zniszczona.

Usłyszawszy to, Ethel zapewniła ją żarliwie, że jej zdaniem to jakieś wariactwo; skoro osoba, która przed tobą stoi, żyje, to znaczy, że na pewno się urodziła. Po co ci jakieś cholerne dokumenty, które miałyby dowodzić tego faktu, to za diabła nie ma sensu.

To przez tych przeklętych prawników, mówiła z jeszcze większym żarem. Że tworzą takie prawo. Willie, który pracuje w sądzie od trzydziestu ośmiu lat, opowie ci takie rzeczy, że będziesz się śmiała do rozpuku albo porzygasz się z obrzydzenia. To samo się tyczy sędziów. I na koniec jeszcze dodała: tu idzie o mężczyzn, Hazel. Klapią ozorami i każą sobie płacić tyle, że byś nie uwierzyła – niektórzy to nawet biorą siedemdziesiąt pięć dolarów za godzinę! Gdyby to zależało od kobiet, tobyś nie potrzebowała żadnych dokumentów, żeby kupić albo sprzedać kurnik.

Hazel podziękowała jej za zrozumienie. Powiedziała, że od dawna się tak nikomu nie zwierzała. Nie miała dowodu na to, że Zacharias i ona kiedykolwiek się urodzili, i to wiecznie zalegało cierniem na jej sercu. Teraz już nie jest tak jak w dawnych czasach, teraz trzeba mieć dokumenty, żeby robić swoje. Nie ma jak tego uniknąć. W Blue Moon pracowała na czarno i oczywiście napiwki też dostawała na czarno, ale nie mogła dalej tak żyć, bo przecież któregoś dnia przestanie pracować i zostanie staruszką bez żadnej emerytury, bez grosza przy duszy.

– Och, kochanie, ty musisz wyjść za mąż – palnęła Ethel bez zastanowienia. – To właśnie musisz zrobić, wyjść za mąż.

Hazel zagryzła wtedy dolną wargę, z taką miną, jakby zebrało jej się na płacz, a z kolei Ethel miała ochotę ugryźć się w język, zobaczywszy, co zrobiła swoim gadaniem.

– Nie mogę – powiedziała Hazel. – Już jestem mężatką, nigdy więcej nie będę mogła wyjść za mąż.

Ethel z miejsca zatelefonowała do swojego brata Williego. Wiedziała, że Willie ma szczerą naturę. W Horseheads uchodził za drażliwego; starego drania, który lubi rządzić ludźmi, ale to się odnosiło tylko do takich, którzy z nim zadarli. Był porządnym człowiekiem. Ulitował się nad taką Hazel Jones. I nad chłopczykiem, który sprawiał wrażenie głuchoniemego. Willie Judd, jako pracownik archiwów hrabstwa, zajmował się wszelkimi typami dokumentów. Miał dostęp do wszelkich możliwych dokumentów. Do metryk urodzenia, do świadectw ślubów i zgonów. Do poźółkłych testamentów spisanych spłowiałym atramentem dwieście lat wcześniej, do aktów własności jeszcze z osiemnastego wieku, do nadań ziemi Sześciu Narodom Irokezów. Do aktów prawnych, jakich tylko chcesz. Willie był także notariuszem, który miał własną pieczęć wydaną mu przez stan Nowy Jork.

I tak oto wiosną 1962 roku Willie Judd ulitował się nad Hazel Jones. Nie był człowiekiem, który czuje się swobodnie przy innych ludziach, i rzadko czuł litość czy współczucie. To musiała być tajemnica. Zaprosił młodą kobietę do swego gabinetu urządzonego w suterenie budynku sądu o piątej po południu, w środku tygodnia, by wyjaśniła mu swoją sytuację, co też uczyniła, starannie spisując dla Williego niektóre fakty. Spisywała, co raz przestając, by obetrzeć oczy. Jej nazwisko z urodzenia brzmiało Hazel Jones, ale jako mężatka dorobiła się innego nazwiska, którego nie miała ochoty zdradzać; Zacharias oczywiście nie nazywał się Jones, tylko nosił nazwisko jej męża, ale strasznie się bała, że ten znajdzie chłopca, jeśli nazwisko zostanie ujawnione. Dlatego, wyjaśniła Hazel, są zmuszeni do życia w ciągłym ruchu, bez stałego miejsca zamieszkania, by nikt ich nie rozpoznał. Teraz jednak liczyli, że osiedlą się na stałe w Horseheads.

Willie zlekceważył te szczegóły, jakby to był rój komarów, które wystarczy odegnąć ruchem ręki. Zarządzał archiwami od trzydziestu ośmiu lat, a oprócz tego był notariuszem. Miał niemalże taką władzę, jaką ma każdy cholerny sędzia w Stanach Zjednoczonych. Mógł sporządzić każdy papier, jaki tylko zechciał, i ktokolwiek by na niego spojrział, zobaczyłby legalny dokument.

No to do dzieła! Kilka łyków dobrej whisky i Willie Judd uzyskał natchnienie od Boga.

Wyobraźnia Williego pracowała na pełnych obrotach, kiedy sporządzał fałszywe metryki urodzenia Hazel Jones i jej syna. Miał do dyspozycji formularz z nagłówkiem sądu hrabstwa Chemung, dzięki któremu mógł sporządzać duplikaty zagubionych albo zniszczonych dokumentów. Zresztą metryk urodzenia wymagano zaledwie od kilku ostatnich dziesięcioleci, dawniej było zupełnie inaczej. Na przykład z taką adopcją. Brało się dzieciaka, dzieciaka w dowolnym wieku, i był twój, bez żadnych urzędowych papierów adopcyjnych, które miało się w głębokim poważaniu. Teraz jednak była to kwestia ewidencji ludności, ta kobieta musiała mieć dokumenty, żeby dowieść, kim jest: *Hazel Esther Jones, urodzona 11 maja 1936 roku w porcie Nowy Jork, rodzice nieznani.*

W przypadku Zachariasia musiał wpisać imię ojca. Nie widział sposobu, jak to obejść. Jakież pomysły? Spytał Hazel, a ona odpowiedziała mu z uśmiechem, w ogóle się nie zastanawiając:

– Och, może Willie? Znaczący się William.

A więc William Jones, tak?

Chryste, ale był zadowolony. To mu pochlebiło jak mało co.

Zacharias August Jones urodzony 29 listopada 1956 roku, w Port Oriskany w stanie Nowy Jork, z matki Hazel Jones i ojca Williama Jonesa.

Hazel podziękowała mu, zalewając się łzami. Od dawna nikt nie był dla niej taki dobry.

(Nikt nie mógł się dowiedzieć. Nawet Ethel. Ta kobieta była taka gadatliwa, wszystko by wypaplała. Byłaby dumna, że jej brat interweniował w sprawie Hazel Jones, wypaplałaby i naraziłaby ich na kłopoty. I tak oto Hazel miała dokumenty, którym nikt by nic nie zarzucił, bo zresztą czemu miałyby im coś zarzucać?

Z każdym kolejnym rokiem swego życia Willie Judd powoli się przekonywał, że za zdarzeniami nie kryje się żadna logika. Równie dobrze mogły się dziać w jakiś inny sposób.

Wystarczyło wypełnić formularz na maszynie do pisania. Potem jeszcze jeden. Następnie podpisać je swoim nazwiskiem. Przyłożyć pieczęć notariusza stanu Nowy Jork. I tyle.)

Następnego wieczoru Willie Judd przyszedł na kolację do Blue Moon Café wcześniej niż zwykle i został też dłużej niż zwykle. Zamówił placek z kurczakiem, specjalność zakładu. Siedział w jednym z boksów obsługiwanych przez Hazel Jones, jak zawsze opierając się na łokciach, wgapiony z uśmiechem w kelnerkę o herbacianych oczach. Na dworze lało jak z cebra, dlatego Willie ubrał się w czarny płaszcz przeciwdeszczowy, w którym wyglądał ponoć jak lew morski, zdaniem dowcipnisiów. Ten ogromny, lśniący płaszcz wisiał teraz na kołku i ociekał wodą. Willie postanowił, że oświadczy się Hazel Jones. Był starym kawalerem, jedynym w rodzinie zresztą, ale nie bardzo wiedział, dlaczego tak jest. Może z powodu nieśmiałości, którą ukrywał pod maską Williiego. Skądinąd był cholernie z siebie dumny, że awansował na tak wysokiego urzędnika. Jako jedyny w rodzinie skończył studia. A może to było jego przekleństwo! Że Willie, ten wyjątkowy syn, nie znalazł sobie odpowiedniej dziewczyny, tak jak zrobili to inni o skromniejszych wymaganiach. Czas wciąga jak wir, Chryste, skończył już sześćdziesiąt cztery lata. W następne urodziny miał przejść na emeryturę. Emerytura wypłacana przez hrabstwo to dobra rzecz, a jednak jej perspektywa budziła melancholijne uczucia. Wręcz trzeźwiła. W oczach Hazel dostrzegał ciepło. Obietnicę. *Ona się zgodzi, żeby został ojcem jej syna.* Była zawsze taka miła i uśmiechała się do wszystkich jak Doris Day, ale miała w sobie coś takiego, co mówiło: „Nie dotykaj mnie”, każdy to widział. Mężczyzna musiał ją szanować. Przynosiła Williemu kufle ze spienionym piwem. Przynosiła Williemu najmniej upstrzone przez muchy karty dań, z listą specjalności polecanych przez szefa kuchni na pierwszej stronie, jakby Williemu, który przychodził do Blue Moon przez pół życia, trzeba było przypominać, co ma zamawiać. I bułeczki, które mu przynosiła, były świeżo wyjęte z pieca, a oprócz tego dostawał do nich dodatkową porcję masła.

Jakoś tak samo wyszło. Być może wypił za dużo. Zupełnie nie jak ten Willie, który w przeszłości nie wylewał za kołnierz, ale z czasem się ustatkował, do pewnego stopnia. Nie potrafił spalić tyle alkoholu co kiedyś. Wraz z upływem lat człowiekowi słabnie wątroba. Kiedy już dobiega do pięćdziesiątki. Hazel przyniosła mu ciasto z kremem

czekoladowym i kawę, a on w nagrodę opowiedział jej o dawnych czasach w Horseheads, kiedy on i Ethel byli mali. Hazel przytakiwała i uśmiechała się uprzejmie, mimo że musiała obsługiwać innych gości i sprzątać ze stolików. Aż tu nagle Willie usłyszał znajomy starchy głos, który spytał ją tubalnie: „A czy ty wiesz, skąd nazwa Horseheads, czyli Końskie Łby, Hazel?”, na co młoda kobieta uśmiechnęła się, mówiąc, że nie, raczej nie, a wtedy Willie dotknął jej łokcia, żeby mu nie uciekła, i wyjaśnił:

– Tu były prawdziwe końskie łby! W dawnych czasach. Gdzieś w latach osiemdziesiątych osiemnastego wieku. Zanim przybyli tu pierwsi osadnicy. Wśród których zresztą byli Juddowie, nie wiem, czy wiesz. Moi protoplaści. Moi i Ethel. Jacyś pra-pra-pra, trzeba by policzyć. Dawno temu. No więc był taki jeden generał Sullivan, który się bił z Irokezami. Przygnało go tutaj aż z Pensylwanii. Mieli z sobą trzysta koni, dla żołnierzy i do przewożenia różnych rzeczy. Walczyli z przeklętymi Indianami, ale potem musieli się wycofać. A konie padały. Było ich trzysta. Powiadali, że żołnierze musieli je dobijać. Ale ich nie grzebali. To chyba zrozumiałe, prawda? Nie dasz rady pogrzebać trzystu koni, jeśli sama ledwie zipiesz, prawda? A poza tym mieli na karku Irokezów, którzy potrafią wydrzeć ci wątrobę i pożreć ją bez mrugnięcia okiem. Tak właśnie postępowali z Indianami z innych plemion, próbując ich wszystkich wyeliminować. Ci Irokezi byli najstraszniejsi, zupełnie jak ci Komanczowie z zachodu. Mówili, że to biały człowiek sprowadził zło na ten kontynent, bzdura! Biały człowiek zastał zło na tym kontynencie, na tej ziemi, kiedy tu przybył. Moi przodkowie przyjechali skądś tam na północy Anglii. Trafili do Nowego Jorku, tam, gdzie ty się urodziłaś, Hazel, popatrz, jaki zbieg okoliczności. W porcie nowojorskim. Mało kto się urodził w porcie. Ja tam wierzę w zbiegi okoliczności. Osadnicy dotarli potem aż tutaj. Niech mnie cholera, jeśli wiem dlaczego. Wtedy w Nowym Jorku pewnie była dzicz, raczej mało podobna do Piątej Alei, co? W każdym razie osadnicy dotarli aż tutaj jakiś rok później i pierwsze, co zobaczyli, to wszędzie te końskie szkielety. Na brzegu rzeki i na polach. Trzysta końskich czaszek i szkieletów. Nie umieli zgadnąć, co to takiego, w tamtych czasach niewiele się wiedziało o historii. Pewnie co najwyżej z plotek. Przecież nie mogli włączyć radia ani telewizora. Trzysta końskich czaszek, zbielałych od słońca i dlatego nazwali to miejsce Horseheads.

Willie już w tym momencie się zasapał. A wcześniej wyciągnął rękę, żeby schwycić kelnerkę za łokieć. W Blue Moon wszyscy ucichli i nawet szafa grająca umilkła zniemacka, mimo że jeszcze minutę wcześniej dobiegał z niej śpiew Rosemary Clooney. Później opowiadano, że usłyszałybyś, jak upada szpilka. Ethel Sweet przejęła się nie na żarty następnego dnia, gdy usłyszała o tym, jak jej starszy brat Willie się upił i publicznie okazywał swoje uczucia względem Hazel, której wyrządził przysługę i dlatego miał powody uważać, że ona mu się odwdzięczy, a jednak bał się pomyśleć, że kobieta tak młoda i ładna zechciałaby wyjść za człowieka w jego wieku i o takiej tuszy.

Willie zaczął się jękać. I czerwienić, bo wiedział, że robi z siebie widowisko. Ale nie wiedział, jak się z tego wycofać, dlatego pochrząkując nerwowo, dodał:

– Tak, tak, Hazel. Tak właśnie powstały Horseheads. Człowiek się zastanawia, czemu oni tu zostali... Po co, do diabła, ktoś miałby tu zostawać? Grzebiesz w trawie i znajdujesz nie jeden, nie dwa, nie kilkanaście końskich łbów, tylko aż trzysta. A jednak postanawiasz zostać, osiedlić się, ogrodzić, zbudować dom, zaorać ziemię, spłodzić dzieci i reszta to już historia. Pytanie za dwadzieścia cztery dolary, prawda, Hazel?

Hazel była wstrząśnięta zarem w głosie Williiego. Śmiał się głośno i był czerwony na twarzy, jak nigdy. Mruczając coś pod nosem, czego nie słyszał nikt prócz Williiego, kelnerka wysunęła się z jego uścisku i przemknęła przez wahadłowe drzwi do kuchni.

Willie widział odrazę na jej twarzy. Całym tym gadaniem o szkieletach, czaszkach zniszczył piękno, które być może kryło się w tamtej chwili.

Następnego ranka Hazel Jones i dziecko zniknęli na zawsze z Horseheads.

Złapali wczesny autobus, o siódmej dwadzieścia, przy trasie 17; wsiedli z walizkami, kartonowymi pudłami i siatkami na zakupy. Greyhound jechał na południe z Syracuse i Ithaki do Elmiry, Binghamton i dalej. Hazel pozostawiła ich pokój w nieskazitelnym porządku, opowiadała potem Ethel Sweet. Pościel z obu łóżek, łącznie z pokrowcami materacy, została zdjęta i schludnie złożona do prania. Łazienka, którą Hazel z dzieckiem dzielili z dwoma innymi pensjonariuszami, była równie czysta, wanna wyszorowana po porannym użyciu, ręczniki uszykowane do prania. Jedyna szafa w pokoju była pusta, nie brakowało ani jednego drucianego wieszaka. Wszystkie szuflady w komodzie były opróżnione. Nie została w nich nawet agrafka czy guzik. Zawartość kosza na śmieci została opróżniona do jednego z pojemników na tyłach pensjonatu. Na komodzie leżała koperta zaadresowana do „Pani Ethel Sweet”. W środku znajdowało się kilka banknotów, stanowiących pełną zapłatę za pokój do końca kwietnia (mimo że był dopiero 17 kwietnia), a oprócz tego krótki liścik, który złamał serce Ethel Sweet, bo traciła nie tylko jedną z najbardziej rzetelnych mieszkańek, ale wręcz córkę, bo tak zaczęła myśleć o Hazel Jones. Pokazywała kilku osobom ten liścik napisany równym pismem; w Horseheads czytano go wiele razy i jeszcze długo potem roztrząsano jego treść.

Droga Ethel!

Zacharias i ja musieliśmy niespodzianie wyjechać, bardzo nam przykro, że opuszczamy miejsce, gdzie mieszka tylu ~~ciepłych~~ przyzwoitych ludzi. Mam nadzieję, że ta kwota wystarczy za cały kwiecień.

Może jeszcze kiedyś się zobaczymy, dziękuję Tobie i Williemu z całego serca.

Twoja przyjaciółka „Hazel”

Było to stare miasto położone nad Rzeką Świętego Wawrzyńca, na północno-wschodnim skraju jeziora Ontario. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że jest tej samej wielkości co tamto miasto z jego najwcześniejszych wspomnień, nad kanałem dla barek. Po drugiej stronie rzeki, najszerszej, jaką w życiu widział, leżał obcy kraj: Kanada. Od wschodu wznosiły się góry Adirondack. Kanada, Adirondack, to były dla niego nowe słowa, egzotyczne i melodyjne.

Gdyby ktoś ją obserwował, pewnie by uznał, że ta kobieta z dzieckiem podróżuje na południe. Tymczasem ona przesiadła się na inny autobus w Binghamton, pod wpływem impulsu pojechała na północ do Syracuse i dalej do Watertown, by wreszcie dotrzeć do północnej granicy stanu.

– Żeby ich zgubić. Na wszelki wypadek.

Ta przemysłność, która stała się dla niej czymś instynktownym. Bez żadnego bezpośredniego związku z logiką czy nawet prawdopodobieństwem. Dziecko wiedziało, że na tym właśnie polega „zawsze w drodze”. Ono też się przyzwyczyło do „zawsze w drodze”.

– No dalej, dalej! Pospiesz się, do cholery.

Ścisłała go za rękę. Ciągnęła go za sobą. Gdy pobiegł przed nią po popękany, pełnym dziur chodniku, bo był taki znudzony długą jazdą autobusem, skarciła go, bo wiecznie się zamartwiała, że mógłby się przewrócić, zrobić sobie krzywdę. A on z kolei odbierał tę jej huśtawkę nastrojów jako niesprawiedliwość.

Szła prędko, zdając się kosić powietrze swymi długimi nogami. W takich momentach sprawiała wrażenie, jakby dokładnie wiedziała, dokąd zmierza i w jakim celu. Mieli dwie godziny do następnego autobusu. Pochowała ich pękate bagaże do kilku szafek w przechowalni na dworcu, kluczyki owinęła w chusteczkę i schowała do kieszeni. Pospiesznie zapięła mu kurtkę, a sobie obwiązała głowę chustką. Budynek opuścili tylnym wyjściem, wychodząc na jakąś boczną uliczkę.

Brakowało mu tchu. Psiakość, nie mógł za nią nadążyć!

Zapomniał, jak się nazywa to miejsce. Może mu nie powiedziała. Zgubił mapę w autobusie. Wiele razy składaną, bardzo zmiętą mapę stanu Nowy Jork.

Dzięki tej mapie byli „zawsze w drodze”. Pozostawanie w jednym miejscu, tak jak tam (już powoli zapominał nazwę Horseheads, za kilka dni miał ją zupełnie zapomnieć), było czymś odbiegającym od normy.

– Widzisz, to był znak. Być może będą następne.

Nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Skąd ten błysk podniecenia w oczach, skąd ten układ szczęki. Przechodnie przyglądali jej się z ciekawością, maszerowała tak prędko, bez śladu wahania.

Przeważnie mężczyźni jej się przyglądali. Tu, blisko rzeki byli prawie sami mężczyźni.

Znowu przyszło mu na myśl, że w życiu nie widział takiej szerokiej rzeki. Powiedziała mu, że na tej rzece jest tysiąc wysp. Oślonił dłonią oczy, wpatrując się w plamy słońca na wzburzonej wodzie podobne do maleńkich eksplozji ognia.

Drzemał w autobusie z głową objającą się o brudne okno, przyglądając się spod przymkniętych powiek długim połączeniem monotonnego krajobrazu. W końcu zobaczył pola uprawne, ludzkie siedziby. Grupę przyczep mieszkalnych, jakieś domki pomazane smołą, podwórko z samochodami, przecznice kolejową i magazyn zbożowy, siedzibę Jefferson Co. Farm Bureau, flagi powiewające nad stacją benzynową Sunoco, kolejną przecznice. I wcale nie było tak zielono jak setki mil wstecz, na południu.

Wstecz w czasie? Słońce jarzyło się tutaj jak zimą.

Wiejski krajobraz skończył się zniecka, droga wiodła teraz między niskimi, ceglanyymi budynkami, które spadzistymi dachami i wynędzniałym wyglądem przywodziły na myśl starych ludzi. Musieli wjechać na stromy podjazd do starego, żelaznego wiaduktu kolejowego z ogromnym garbem. Prędko powiedział sobie: *Jesteśmy bezpieczni, nie spadniemy.* Wiedział, że tak jest, bo matka nie okazywała lęku, najmniejszego zainteresowania, wręcz wydawała się nieświadoma istnienia starego mostu z koszmaru sennego, po którym masywny greyhound przejeżdżał z prędkością mniejszą niż dziesięć mil na godzinę.

– Zobacz! Tam.

Pochyliła się nad nim, nakazując mu wyjrzeć przez okno. Zawsze, kiedy wjeżdżali do jakiejś wsi albo miasta, niezależnie od tego, czy zamierzali wysiąść, czy jechać dalej, matka robiła się czujna, podniecona. W ciasnocie autobusu biło od niej słodkawą wilgocia, równie dla niego krzepiącą jak woń własnego ciała osiadła na ubraniu i bieliźnie, w których był zmuszony spać. I w tamtych czasach czuł także bardziej wyrazisty zapach jej włosów, które ufarbowała, bo chciała, żeby włosy Hazel Jones były ciemnobrązowe z rdzawymi pasemkami, a nie czarne.

Pokazywała mu teraz coś za oknem. Pod nimi rozciągał się ogromny plac cały zastawiony wagonami towarowymi kolei BALTIMORE & OHIO, BUFFALO, CHAUTAUQUA & NEW YORK CENTRAL, ERIE & ORISKANY, SANTA FE. To były słowa, które nauczył się rozpoznawać dużo wcześniej, bo widywał je tak często, choć nie umiałby powiedzieć, co oznaczają. One też wydawały mu się egzotyczne i śpiewne, widział w nich domenę logiki dorosłych.

– Przez chwilę myślałam, że już tu byliśmy, ale przecież wiem, że nie – mówiła matka.

Wyraźnie nie miała na myśli tych wagonów towarowych. Pokazywała mu billboard umocowany na ogromnym zbiorniku na ropę. LODY SEALTEST. Mała dziewczynka z lokami na głowie przykładła do uśmiechniętych ust łyżkę pełną czekoladowych lodów. Przypomnił mu się napis SKLEP SPOŻYWCZY Ike'a, który przez ułamek chwili załśnił niczym ryba wybijająca się na powierzchnię wody, zanim znowu odszedł w zapomnienie.

Twierdziła, że ludzie byli dla nich dobrzy. Że ludzie zawsze byli dla niej dobrzy, kiedy ich potrzebowała. Była wdzięczna. Niczego nie zapomni. Żałowała, że nie wierzy w Boga, modliłaby się do Boga, żeby podziękować tym ludziom.

– Nie w niebie, ale tu, na ziemi. Tu, gdzie ich potrzebujemy.

Nie miał pojęcia, o czym ona mówi, ale podobało mu się, że jest szczęśliwa.

Kiedy wjeżdżali do jakiejś wsi albo miasta, była zawsze nerwowa, a jednak mała dziewczynka z lokami na głowie na billboardzie reklamującym lody „Sealtest”, sprawiła, że się uśmiechała.

– Jesteśmy teraz prawdziwymi ludźmi, Zack. Możemy każdemu dowieść, kim jesteśmy.

Mówiła teraz o metrykach urodzenia. Podczas długiej podróży z Binghamton pokazała mu te dokumenty kilka razy, jakby nie umiała uwierzyć, że one istnieją.

Hazel Esther Jones, urodzona w 1936 roku. Zacharias August Jones, urodzony w 1956 roku. Zachariasowi podobało się, że obie daty kończą się szóstką. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że na drugie imię ma August, dziwił się, że jego drugim imieniem jest nazwa miesiąca. Nie wiedział, że jego ojciec nazywał się William Jones.

Powoli przejechał kciukiem po pieczęci stanu Nowy Jork, lekko wypukłej, wielkości srebrnego dolara i pełnej zakrętasów podobnych do linii papilarnych.

– To właśnie my? – W jego głosie brzmiało takie zwątpienie, że mamusia zaczęła się z niego śmiać.

Zaczęła się skarżyć, że on się robi taki cholernie niezależny umysłowo, a przecież jeszcze nie ma sześciu lat! Jeszcze nie chodzi do szkoły! Jest jej małym koziołkiem. Zaczęły mu wyrastać różki, które będzie musiała odpiłować, bo tak się właśnie robi z różkami, które wyrastają na czołach niegrzecznych chłopców.

Gdzie one są, spytał. A wtedy mamusia dźgnęła go w czoło dwoma zagiętymi palcami.

A jednak złagodniała, widząc jego minę. Złagodniała i pocałowała go, bo Hazel Jones nigdy nie karciała swego dziecka ani go nie straszyla bez łaskotliwego, mokrego pocałunku, który miał ich pogodzić.

– Tak. Tacy właśnie jesteśmy.

Zanim wysiedli z autobusu, starannie schowała metryki do zamykanej przegrody w walizce, między kawałki sztywnego kartonu, by uchronić je przed zniszczeniem.

Na przystani skrzypiała na wietrze zniszczona tablica.

MALIN HEAD BAY

Podejrzewał, że to nazwa tego miasteczka. Powtórzył niemo te słowa, zauważając ich rytmiczne brzmienie.

– Co oznaczają te słówka, mamusiu? Czy „bay” to zatoka?

Była rozkojarzona, nie słuchała. Postanowił, że później sam sprawdzi w słowniku.

Szła teraz wolniej. Wypuściła jego rękę. Zdawała się wachać powietrze, była czujna i zalękniona. Po wielkiej, wzburzonej rzece pływały łodzie rybackie, barki, znacznie większe niż te, które widywał na kanale. Na powierzchni wody tańczyły plamki słońca, które po chwili się rozpadały, jakby je ktoś detonował. Wiał wiatr, więc było chłodno, ale wystarczyło stanąć w słońcu i zaraz robiło się cieplej.

Przed jednym z barów stała grupka mężczyzn, bez wątpienia rybaków z przystani; wszyscy pili. Mijali zaniedbane hotele z pokojami na jeden dzień, na tydzień i na miesiąc; na skruszałych schodkach wylegiwali się w słońcu chorowici z wyglądu mężczyźni.

Zauważył, że matka się waha, przyglądając się jakiemuś kalece chodzącemu o kulach, który niezdarnymi ruchami próbował zapalić papierosa. Potem z kolei zagapiła się na kilku mężczyzn, z których jeden był bez koszuli, kąpiących się w blasku słońca i pijących prosto z brązowych butelek. Szli dalej. Znowu sięgnęła do jego ręki, ale tym razem wyrwał się jej, cały czas jednak dotrzymywał jej kroku. Wolałby wrócić na dworzec, ale wiedział, że tego nie zrobią, dopóki ona tego nie zechce. Bo to ona narzucała im swoją wolę: wielką jak sieć opasująca całe niebo.

Ma lin Head Bay. Jego palce wygrywały nuty, akordy.

Wszystko to, z czego potrafił stworzyć muzykę, było dla niego pocieszeniem. I nie istniało nic, z czego nie potrafiłby stworzyć muzyki, jakkolwiek by było brzydkie.

Matka zatrzymała się nagle. Omal się z nią nie zderzył. Zauważył, że zapatrzyła się na groteskowego, otyłego mężczyznę, który siedział w słońcu, zaledwie kilka stóp dalej, na dużej skrzyni przewróconej do góry dnem. Skórę miał białą jak mąka, dziwnie poskręcaną i żebrowaną jak skóra gada. Spod koszuli, przy której brakowało kilku guzików, wyzierało łuskowate, pomarszczone ciało, wyraźnie rozgrzane od słońca. Jego oczy osadzone głęboko w tłustej twarzy wydawały się jakby nieprzytomne i kiedy Hazel Jones przeszła przed nim w odległości nie większej niż dziesięć stóp, nie dał po sobie poznać, że ją widzi, tylko przyłożył butelkę do ust i upił łyk.

– Jest niewidomy. Nie widzi nas.

Dziecko zrozumiało, że w ten sposób chciała mu powiedzieć: *On nam nic nie robi.*

Wtedy właśnie Zack zrozumiał, że zostaną w Malin Head Bay przynajmniej przez jakiś czas.

Pani chyba nie jest stąd. – Owa „pani” została wypowiedziana z nieznacznym naciskiem.

Sprawiała takie wrażenie, jakby niedosłyszała. Była wyniosła, a jednocześnie dziecinna. Polakierowane na czerwono paznokcie odebrały od niego bilet, czemu towarzyszył olśniewający uśmiech i zaledwie minimalny błysk zainteresowania w oczach.

– Dziękuję panu!

Jakby wygrał jakąś nagrodę. Jakby za popołudniową zniżkę do dwóch dolarów i pięćdziesięciu centów pozwolono mu wejść do jakiegoś mauzoleum, a nie do pachnącego pleśnią wnętrza kina, w którym wyświetlano *West Side Story*.

Zręcznie przedarła zielony kartonik i wręczyła mu odcinek, już patrząc ponad jego ramieniem, z nieodmiennym, olśniewającym uśmiechem, na tego, kto pchał się za nim.

– Dziękuję panu!

Nowa bileterka Bay Palace Theater. Spodnie dzwony gołębiego koloru, opięte bolerko z czerwonymi lamówkami. I złote epolety wieńczące wypchane ramiona. Lśniaca, puszysta grzywka ocieniająca brwi. Ciemnobrązowe włosy, ciemno-rudo-brązowe. Oraz latarka na długim trzonku, którą trzymała z zapalonym nastolatki, gdy wprowadzała widzów w podeszłym wieku albo matki z małymi dziećmi do mrocznego wnętrza kina, gdzie na postrzępionym dywanie można było niechcący kopnąć porzucone pudełko z popcornem albo niedojedzony baton jeszcze w opakowaniu.

– Tędy, proszę!

Mogła mieć dziewiętnaście i mogła mieć dwadzieścia dziewięć lat. Nie potrafił oceniać wieku, tak jak nie potrafił oceniać charakteru: chciał widzieć w ludziach to, co w nich najlepsze, tak jak chciał, by ludzie widzieli w nim tylko to, co najlepsze, samą chrupiącą skórkę zewnętrznego uroku i amerykańskiej przyzwoitości.

Nie pamiętał, czy przedtem przyglądał się bileterom lub bileterkom w tym miejscowym kinie. Rzadko ktoś robił na nim aż takie wrażenie. Zresztą nie bywał często w kinie. Amerykańska kultura popularna nudziła go piekielnie; z całej muzyki dwudziestego wieku cenił tylko jazz. Miał w sobie wrażliwość jazzmana, czyli kogoś z marginesu. Wrażliwość ukrytą pod skórą białego, który tylko przypadkiem urodził się biały.

Tu, w Malin Head Bay, na północnym skraju stanu Nowy Jork, poza sezonem wszystko było miejscowe. Zaledwie garstka letników przeciągała swój pobyt do Świętej Pracy. Bileterka musiała być miejscowa, ale była tu od niedawna. Sam Gallagher był nowym miejscowym: on właśnie zaliczał się do tych letników, którzy ociągali się z wyjazdem.

Jego rodzina miała domek letniskowy na wyspie Grindstone, jednej z większych w łańcuchu Tysiąca Wysp, położonej kilka mil na zachód od zatoki Malin Head na Rzece Świętego Wawrzyńca. Gallagher prawie od urodzenia przyjeżdżał każdego lata na wyspę; od rozwodu w 1959 roku spędzał coraz więcej czasu w miasteczku Malin Head Bay, samotnie. Kupił mały domek nad rzeką. Grał jazz na fortepianie w Malin Head Inn w dwa

albo trzy wieczory tygodniowo. Nadal miał dom w okolicach Albany, w podmiejskiej dzielnicy Ardmoor Park, gdzie mieszkała reszta Gallagherów; pozostał współwłaścicielem domu, w którym mieszkała jego była żona, z nowym mężem i rodziną. Nie myślał o sobie jako o wygnańcu ani jako człowieku skłóconym z Gallagherami, bo dzięki temu jego sytuacja wydawała się bardziej romantyczna, bardziej zindywidualizowana i doniosła, niż była w rzeczywistości.

Co się stało z Chetem Gallagherem?

Wyprowadził się z Albany. Zamieszkał nad Rzeką Świętego Wawrzyńca.

Rozwiódł się? Skłócił z rodziną?

Coś w tym stylu.

Przypomniał sobie, że widywał nową bileterkę na ulicach miasteczka. Wcale się za nią nie rozglądał, ale owszem, widywał ją. Niewykluczone, że w sklepie Lucky 13, latem. Albo w Malin Head Inn. Może na Main Street albo na Beach Street. W supermarkecie IGA popychała rozchybotany drucziany wózek wczesnym wieczorem, kiedy było tam niewielu kupujących, bo większość mieszkańców Malin Head Bay jadła kolację o szóstej, jeśli nie wcześniej. Coś mu teraz świtało, że ta dziewczyna miała przy sobie małe dziecko.

Miał nadzieję, że nie.

A mieli dzieci? Chet i jego żona?

Ona ma dzieci. Ale nie z nim.

Bileterka uśmiechała się do niego, jakby od tego uśmiechu zależało jej życie, ale taktownie zignorowała jego głupią uwagę. Przyszło mu na myśl, że mógł ją przestraszyć. Że przez niego zrobiło jej się nieswojo, a przecież chciał tylko być miły, jak każdy zwyczajny facet w Malin Head Bay, więc może powinien wrócić i przeprosić, ale dobrze wiedział, że tego nie zrobi. *Zostaw ją w spokoju*, powiedział sobie, kiedy po omacku szukał swojego miejsca wśród pociemniałych rzędów dla palaczy na tyłach sali kinowej.

Po raz drugi zobaczył ją kilka tygodni później, znowu w kinie. Zapomniał o niej w międzyczasie i teraz na jej widok poczuł ukłucie podniecenia, rozpoznania. Człowiek potrafi popełnić błąd w takiej sytuacji, bo mu się wydaje, że kobieta też go rozpozna.

Tego wieczoru siedziała w okienku i sprzedawała bilety. W jasno oświetlonym hallu, znowu w tym wymuskany kostiumie naśladowującym mundur. A on tak samo jak poprzednim razem zachwyił się sposobem bycia tej młodej kobiety, jej szczerym uśmiechem. Ten uśmiech zupełnie przeobrażał jej twarz, niczym nagła implozja światła.

Włosy miała uczesane inaczej, ściągnięte w koński ogon, który dyndał między jej łopatkami, sięgając połowy pleców. Było widać, że lubi jego dotyk, że czerpie dzieciinną, zmysłową przyjemność z potrząsania, z poruszania głową.

Gallagher natychmiast wpadł w ten specyficzny stan. Zmiękły mu nogi, przełykał z trudem ślinę, jakby pił wcześniej whisky i się odwodnił. *Nic ci się nie roi. Nie nie nie.*

A jednak, o dziwo, zdążył zapomnieć tę młodą kobietę. Od tamtego wieczoru wiele tygodni wcześniej, kiedy przyszedł na *West Side Story*. Teraz był już październik, nowy sezon. Gallagher rozstał się wprawdzie na gruncie emocjonalnym ze swoim ojcem Thaddeusem i przez większość swego dorosłego życia nie trzymał blisko z rodziną, to jednak był luźno związany z różnymi firmami należącymi do koncernu Gallagher Media Group, głównie ze stacjami radiowo-telewizyjnymi w Malin Head Bay, Alexandra Bay i Watertown, a także z redakcją gazety „Watertown Standard”, która zatrudniała go w

charakterze konsultanta i sporadycznie zamawiała u niego felietony. Był jedynym liberalnym demokratą zrzeszonym z Gallagher Media, renegatem, którego tolerowano. I miał jeszcze te swoje występy jazzowe, którymi zarabiał bardzo mało, jeśli nie liczyć zadowolenia, i które powoli stawały się głównym elementem jego popapranego życia.

Kiedy nie pił zbyt ostro, uczęszczał na spotkania AA w Watertown, czterdzieści mil na południe od Malin Head Bay. Tam Chet Gallagher był kimś w rodzaju duchowego przywódcy.

Właśnie dlatego, stwierdził, kiedy stał w krótkiej kolejce, by kupić bilet na *Cudotwórczynię*, mężczyzna pragnie poznać atrakcyjną, młodą kobietę, która go nie zna. Kobieta jest nadzieją, uśmiech kobiety jest nadzieją. Nie da się żyć bez nadziei, tak jak nie da się żyć bez tlenu.

– Halo! Dwa pięćdziesiąt, proszę pana.

Gallagher wsunął sztywny, nowy banknot pięciodolarowy do obrotowego talerza. Przysiągł sobie, że tym razem nie będzie robił z siebie durnia, a jednak usłyszał własny głos, pytający niewinnie:

– Czy pani poleca ten film? Podobno jest... – urwał, nie wiedząc, co powiedzieć, nie chcąc obrazić tego olśniewającego uśmiechu – ...przyciężkawy.

Od razu pożałował tego „przyciężkawy”. Tak naprawdę to chciał powiedzieć „trudny”.

Uśmiechnięta młoda kobieta wzięła pieniądze Gallaghery, zręcznie wybiła cyfry w swojej kasie, błyskając polakierowanymi na czerwono paznokciami, i zamaszystym ruchem wydała mu resztę i bilet. Wyglądała jeszcze ładniej niż wtedy, we wrześniu, jej czujne oczy miały barwę ciepłego brązu. Kolor starannie pomalowanych ust pasował do koloru paznokci, i Gallagher zauważył również – bo nie potrafił powstrzymać swego wzroku przed tym błyskawicznym śledztwem – że na palcach nie miała żadnych pierścionków ani też obrączki.

– Och nie, proszę pana! Wcale nie jest ciężki, tylko pełen nadziei. Niby strasznie smutny, a jednak sprawia... – Ten jej zmysłowy głos, mówiący akcentem z południowej części stanu, niemalże żarliwy, jakby Gallagher rzucił wyzwanie najgłębszym pokładom jej duszy – ...że budzi się w panu radość z życia.

Gallagher roześmiał się. Te ciemnobrązowe oczy pełne przejęcia, jak miał im się oprzeć. Jego serce, ten zeschły rodzynek, drgnęło z emocji.

– Dziękuję! Na pewno postaram się „obudzić w sobie radość”.

Gallagher odszedł z biletem, nie oglądając się za siebie. Młoda kobieta już się uśmiechała do następnego klienta, dokładnie tak samo, jak uśmiechała się do niego.

Piękna, ale niezbyt mądra. Przezroczysta (krucha?) jak szkło.

Jej dusza. Można do niej zajrzeć. Płytko, słabo.

W części dla palących, na tyłach sali. Po dziesięciu minutach seansu był rozkojarzony, nie mógł usiedzieć na miejscu. Strasznie mu się nie podobała muzyka: natrętna, toporna. Melodramatyczna fabuła *Cudotwórczyni* poniosła porażkę, bo wcale go nie wciągnęła, ale skądinąd w życiu zdążył się nauczyć, że właśnie porażka jest nieodłącznym elementem kondycji ludzkiej, a nie zwycięstwo wbrew wszystkiemu; na każdą triumfującą Helen Keller przypadały dziesiątki milionów przegranych, głuchoniemych i pozbawionych czucia niczym warzywa ciśnięte na śmieci, by mogły tam

spokojnie gnić. Przy takim nastawieniu lśniące obrazy filmowe, czyli zwykle światła projektorów rzucające się z brudu ekrany kinowe, nie są w stanie przemówić swą magią.

A jednak każdy pragnie poznać taką cudotwórczynię, by ta go zbawiła.

Gallagher poczuł, że uciska go pęcherz. Wypił tego dnia kilka piw. Wstał, poszedł do toalety. Gdzie było tandetnie, brudno i śmierdząco. Znał właściciela i kierownika kina. Zostało wybudowane przed wojną, w minionej epoce. Stąd te dekoracje w stylu art déco i mało przekonujące egipskie motywy typowe dla lat dwudziestych. Młodość, dorastanie jego ojca. Kiedy świat jeszcze potrafił olśniewać przepychem.

Chciał znów popatrzeć na kobietę z końskim ogonem. Ale nie zrobił tego. Był za stary: czterdzieści jeden lat. Pewnie miała połowę lat mniej. I była taka naiwna, ufna.

To spojrzenie tych pięknych oczu. Jakby nikt nigdy jej nie odtrącił, nie zrobił jej nic złego.

Musiała być bardzo młoda. Skoro była taka naiwna.

Nie chciał się gapić na jej lewą pierś, gdzie czerwoną nitką wyhaftowano jej imię. Nie był człowiekiem, który gapi się na piersi dziewczyny. Mógł jednak zadzwonić do kierownika, którego znał z baru, i zapytać.

Ta nowa dziewczyna? Co sprzedawała bilety wczorajszego wieczoru?

Za młoda na ciebie, Gallagher.

Chciał zaprotestować, czuł się młody. Czuł się młody duchem. Nawet jego twarz wciąż była chłopięca, mimo zmarszczek na czole i rzednących włosów. Kiedy się uśmiechał, błyskał spiczastymi, diabelskimi zębami.

W niektórych dzielnicach Malin Head Bay znano go i szanowano jako jednego z Gallagherów: syn bogacza. Dlatego specjalnie nosił stare ubrania, nie dbał o swój wygląd. Jego włosy spadały poniżej kołnierzyka i często nie golił się przez wiele dni. Jadał w podrzędnych barach. Zostawiał niestosownie wysokie napiwki. Wydawał się roztargniony jak ktoś, kto pił, nawet wtedy, gdy zamiast pić, tylko myślał i porządkował umysł. Znalazł drogę do swojego miejsca, nie wychodząc do hallu, by popatrzeć na bileterkę. Czuł się głupio z powodu tego, w jaki sposób sprowokował ją do reakcji: nie był szczery, za to ona odpowiedziała mu szczerze, od serca.

Kiedy *Cudotwórczyni* zakończyła się kaskadą triumfalnej muzyki filmowej, za dwie jedenasta, i niewielka grupa widzów wyszła z kina, Gallagher zobaczył, że w kasie jest ciemno, że młoda bileterka z końskim ogonem zniknęła.

Staraj się ukrywać, co wiesz. Tak, jak byś ukrywał swoje słabości. Bo to jest słabość wiedzieć za dużo pośród innych, którzy wiedzą za mało.

Nazywał się Zacharias Jones, miał sześć lat i został zapisany do pierwszej klasy w szkole podstawowej na Bay Street. Mieszkał tylko z matką, bo jego ojciec już nie żył.

– Mów im tylko to. Jeśli będą się dopytywali, każ im pytać matkę.

Był przebiegłym dzieckiem o trójkątnej, jakby lisiej twarzy, lśniących ciemno, ruchliwych oczach i ustach, które poruszały się niemo, kiedy inne dzieci coś mówiły, jakby miał dość ich głupot i chciał je ponaglić. I miał też niepokojący dla jego nauczycielki nawyk bębnienia palcami – wszystkimi palcami – po ławce albo blacie stołu, jakby chciał przyspieszyć czas.

– Jak będą pytali, skąd jesteś, mów, że z południa stanu. Tylko tyle muszą wiedzieć.

Nie musiał pytać, kim są ci „oni”, bo otaczali ich sami „oni”. Instynktownie wiedział, że mamusia ma rację.

Mieszkali w dwóch umeblowanych pokojach nad apteką sieci Hutt; wchodzili tam zewnętrzną klatką schodową na tyłach dostojnego jak kościół budynku z dachem pokrytym ciemnymi gontami. Przez deski podłogi przesączał się ostry zapach lekarstw, ale mamusia twierdziła, że to dobry, zdrowy zapach – „Żadnych zarazków”. W mieszkaniu były trzy okna i z wszystkich rozciągał się widok na boczną uliczkę, wytyczoną przez ciąg garaży, pojemników na śmieci i hałdy gruzu. Szyby były wiecznie pokryte smugami, bo mamusia mogła je myć tylko od wewnątrz. Półtorej mili dalej płynęła Rzeka Świętego Wawrzyńca, o zmierzchu jarząca się mętnoniebieską łuną, która zdawała się lśnić ponad dachami domów. Nad apteką mieszkali także inni ludzie, ale nikt z nich nie miał dzieci.

– Pani dzieciaczek będzie tu samotny, nie będzie miał się z kim bawić – zauważyła kobieta z mieszkania obok, nieszczercze wykrzywiając usta, ale Hazel Jones zaprotestowała swoim melodyjnym, filmowym głosem:

– Ależ skąd, pani Ogden! Niech się pani nim nie przejmuje. Zack nie jest nigdy samotny, ma swoją muzykę.

Dziwne sformułowanie: „jego muzyka”. Bo sam nigdy nie czuł, by jakaś muzyka należała do niego.

W piątkowe popołudnia chodził na lekcje pianina, na czwartą trzydzieści. Zostawał w szkole (za zgodą nauczycielki, w prowizorycznej bibliotece, gdzie do listopada przeczytał połowę książek stojących na półkach, w tym również te dla piąto- i szóstoklasistów), aż wreszcie nadchodziła pora i wtedy szedł spieszenie do pobliskiego gimnazjum na Bay Street, gdzie na tyłach sceny w auli pan Sarrantini udzielał mu lekcji pianina w ramach półgodzinnych sesji mocno się różniących stopniem koncentracji i zaangażowania. Pan Sarrantini nadzorował wychowanie muzyczne we wszystkich miejscowych szkołach

publicznych, ponadto grał na organach w rzymskokatolickim kościele pod wezwaniem Świętego Zbawiciela. Był zasapanym, brzuchatym mężczyzną o jakby ugotowanej twarzy i rozbieganych oczach, w wieku, którego sześciolatek nie umiałby określić bardziej precyzyjnie jak tylko słowem „stary”. Przysłuchując się grze swoich uczniów, pan Sarrantini mimo woli przymykał oczy. Z bliska pachniał czymś bardzo słodkim jak czerwone wino i czymś bardzo gryzącym i kwaśnym jak tytoń. Późnym popołudniem, kiedy Zacharias przychodził na swoją lekcję, pan Sarrantini był rzekomo bardzo zmęczony i w związku z tym łatwo popadał w rozdrażnienie. Czasami, kiedy Zack ćwiczył gamy, pan Sarrantini mu przerywał.

– Dosyć! Szkoda tracić czas i energię.

Kiedy indziej pan Sarrantini okazywał mu jawne niezadowolenie, twierdząc, że jego najmłodszy uczeń ma ułomne „podejście do pianina”. Powiedział Hazel Jones, że jej syn jest utalentowany, do pewnego stopnia; potrafił grać „ze słuchu” i któregoś dnia będzie potrafił „odczytać” dowolny utwór muzyczny. Niemniej kroki do grania na pianinie dobrze są mozolne i specyficzne, tu jest niezbędna dyscyplina, Zacharias musi uczyć się gam i utworów w należytej kolejności, którą zaleca się początkującym, zanim będą mogli przejść do bardziej skomplikowanych kompozycji. Kiedy Zack grał coś poza wyznaczonymi mu zadaniami z *Mojego pierwszego roku przy pianinie*, pan Sarrantini krzywił się i kazał mu przestać. Któregoś razu nawet trzepnął go po palcach. Jeszcze innym razem przymknął do połowy wieka, jakby chciał zmiażdżyć mu palce. Zack w ostatniej chwili zabrał dłonie.

– Wszyscy nauczyciele pianina gardzą tak zwanymi „geniuszami”, którzy wyrwywają się przed szereg.

Albo z towarzyszeniem rżęącego śmiechu drwił:

– Oto nasz mały Wolfgang!

Zack wiedział, że Hazel Jones obraziła pana Sarrantiniego, mówiąc mu, że przeznaczeniem jej syna jest zostanie pianistą. Wzdragał się, gdy słyszał takie kwieciste oświadczenia wygłaszane pod adresem człowieka, który koordynował zajęcia z wychowania muzycznego w całym mieście.

– „Jego przeznaczeniem”, pani Jones? A kto tak powiedział?

Inny rodzic, jako adresat takiej ironii pana Sarrantiniego, nie powiedziałaby nic więcej, tymczasem Hazel Jones odparła swym szczerym, melodyjnym głosem:

– Nikt z nas nie może wiedzieć, co mamy w swoich wnętrzach, panie Sarrantini, dopóki tego z siebie nie wyciągniemy.

Zack widział swym przenikliwym, dziecięcym okiem, że Hazel Jones zrobiła wrażenie na panu Sarrantinim, który w jej obecności zachowywał się bardziej uprzejmie niż przy swoim uczniu.

Gamy, gamy! Zack próbował być cierpliwy, kiedy go przymuszano do nudnych palcówek. Ale tym gamom nie było końca. Uczyłeś się gam durowych, potem przychodziły mollowe. Bo niby twoje palce nie wiedziałyby, co robić, bez twojej interwencji? I dlaczego czas był taki ważny? Za sprawą tak sztywnej formuły Zack słyszał każdą nutę, jeszcze zanim jego palec wdusił właściwy klawisz. Jeszcze gorsze były utwory do ćwiczeń (*Ding Dong Bell, Jack and Jill Go Up the Hill, Three Blind Mice*), które prowokowały jego palce do wymykania się spod kontroli, jakby w ten sposób chciały okazać pogardę i drwinę. Wspominał te wszystkie utwory na pianino w stylu boogie-woogie, które sprawiały, że się uśmiechałeś, śmiałeś, że miałeś ochotę wstać z miejsca i

pląsać, bo były takie zabawne, bo parodiowały inne gatunki muzyki. Zafascynowały go wiele lat wcześniej, kiedy słuchał ich z radia w starym domu na Poor Farm Road, o którym nie wolno mu było myśleć, bo mamusia byłaby nieszczęśliwa, gdyby o tym wiedziała.

Gdyby mamusia wiedziała. Ale mamusia nie mogła znać wszystkich jego myśli.

Tu, w Malin Head Bay, w ich mieszkaniu nad apteką Hutta, było plastikowe, przenośne radio, które mamusia trzymała na stole w kuchni. Niezmordowanie kręciła pokręteł, szukając „muzyki klasycznej”, ale na ogół znajdowała same głośne rozmowy i wiadomości, melodyjne reklamy, popularne piosenki, wykonywane z ikrą przez kobiety, a płacząco i statycznie przez mężczyzn.

Mamusia twierdziła, że Zack będzie któregoś dnia grał utwory Beethovena i Mozarta. Będzie prawdziwym pianistą, występującym na scenie. Ludzie będą go słuchali, oklaskiwali. Nawet jeśli nie zostanie sławny, to będzie przynajmniej szanowany. Muzyka to coś pięknego, ważnego. W Watertown w każdą Wielkanoc organizowano koncerty młodych muzyków. Może nie w najbliższą Wielkanoc – podejrzewała, że to byłoby za prędko – ale być może już w następną po niej Zack wystąpi po raz pierwszy, pod warunkiem że będzie wypełniał polecenia pana Sanrantiniego, że będzie uczył się tego, co mu się każe, i będzie grzecznym chłopcem.

Będzie! Postara się.

Bo nic się bardziej nie liczyło jak uszczęśliwienie mamusi.

Przychodził dwadzieścia minut wcześniej na swoją lekcję u pana Sarrantiniego, by się przysłuchiwać uczennicy dziewiątej klasy, której uduchowione granie nauczyciel czasem pochwalał. Ta uczennica posłusznie, pracowicie wykonywała gamy, niemalże doskonale trzymając się bezlitosnego tempa metronomu. Była przysadzistą dziewczyną o sztywnych warkoczach i wilgotnych, mięsistych wargach. Posługiwała się podręcznikiem *Mój trzeci rok przy pianinie*, grała *Donkey Serenade*, *Bugle Boy March* i *Anvil Chorus* w taki sposób, jakby korzystała przy tym nie z dziesięciu, ale więcej palców, a czasami nawet z łokci.

W domu Zack nie miał pianina, na którym mógłby ćwiczyć. Hazel Jones nie chciała, by ktokolwiek dowiedział się o tym wstydliwym fakcie.

– Sami sobie zrobimy klawiaturę. Dlaczego nie?

Zrobili klawiaturę do ćwiczeń, z białego i czarnego kartonu. Śmiali się, zrobili z tego zabawę. Między klawiszami narysowali kreski czarnym atramentem, naśladujące szpary. Dłonie Zacka były wciąż za małe, by schwycić pełną oktawę, ale przygotowali tę klawiaturę, by Zack mógł ćwiczyć gamy.

– Ćwiczysz nie tylko dla pana Sarrantiniego, ale dla całego swojego życia.

I tak oto podczas robienia kolacji Hazel zerknęła na Zacka, obserwując jego dłonie poruszające się po papierowej klawiaturze. Był demonem, który grał gamy!

– Jaka szkoda, syneczku, że te klawisze nie wydają żadnego dźwięku.

– Ależ wydają, mamusiu – powiedział Zack, nie przerywając grania. – Ja je słyszę.

Teraz, kiedy już nie byli zawsze w drodze, zawisło nad nimi niebezpieczeństwo. Właśnie w Malin Head Bay, położonym na północnym skraju stanu, tuż pod kanadyjską granicą, setki mil od ich dawnego domu w Dolinie Chautauqua. Teraz, kiedy Zacharias został zapisany do szkoły podstawowej, a Hazel Jones pracowała przez sześć dni w tygodniu w kinie Bay Palace Theater, gdzie każdy mógł wejść i kupić sobie bilet.

To On był tym niebezpieczeństwem. On, którego imienia nie było wolno wymawiać, stawał się dziwnie potężny wraz z upływem czasu.

Było tak jak z jasnym, bezchmurnym niebem. Człowiek zadzierał głowę, tutaj, blisko jeziora, i widział chmury na tym niebie, burzowe chmury nawiane znad jeziora Ontario w ciągu kilku minut.

Zabawy jego matki! Brały się nie wiedzieć skąd.

Miał ogromne trudności ze zrozumieniem charakteru danej zabawy, nawet jeśli sam brał w niej udział. Bo przecież zawsze istniały zasady. Zabawy opierają się na zasadach. Tak samo jak muzyka. Nie miał pojęcia, skąd się te zasady biorą.

Zabawa w (znikające) kamyki.

Piętnaście kamyków różnej wielkości i kształtów, które Hazel układała na parapecie największego z okien z widokiem na boczną uliczkę za apteką. Kamyki znikaly, jeden po drugim. Wczesną wiosną zostały już tylko trzy.

Zasada tej zabawy polegała na tym, że Zack mógł zauważyć nieobecność kamyka, ale nie mógł zapytać, kto go zabrał i dlaczego. Oczywiście zabierała je matka. (Ale dlaczego?)

W późniejszych latach Zack miał zrozumieć, że były to infantylne zabawy wymyślane z konieczności, nie z wyboru.

Te kamyki zbierali na skalistej plaży blisko mostu wiodącego na wyspę St. Mary; było to jedno z ich ulubionych miejsc do spacerów, przy brzegu Rzeki Świętego Wawrzyńca. Swoje zdobycze, te kamyki właśnie, opatrywali mianem klejnotów, kamieni szczęścia. Czasami zresztą trafiali na wyjątkowo piękne: idealnie gładkie, przetykane kolorowymi żyłkami przywodzącymi na myśl marmur. Zack do znudzenia potrafił je oglądać, dotykać. Ale zdarzały się też kamyki wcale nie piękne, tylko porowate i brzydkie, przypominały zaciśniętą pięść. Mimo to biło od nich wyjątkową mocą. Tych Zack nigdy nie dotykał, za to czerpał dziwną otuchę z oglądania ich co rano na parapecie okna.

Kamyki znikaly kolejno w ciągu kilku miesięcy, bez żadnego widocznego porządku. Wydawało się, że nie ma żadnego znaczenia, czy kamyk jest piękny czy brzydki, większy czy mniejszy. Zabawą rządził przypadek, który wprawiał Zacka w nieustający niepokój.

Najwyraźniej to matka zabierała kamyki. Mimo to nie chciała się przyznać, a Zack nie potrafił jej oskarżyć. Mocą niepisanej zasady tej gry kamyki znikaly nocą, jakby z udziałem magii.

Jeszcze inną niepisana zasadą było to, że Zack nie mógł zabierać kamyków. Raz wziął sobie jeden z tych pięknych i ukrył go pod materacem, ale mamusia chyba go tam znalazła, bo zniknął.

– Jeśli on nas nie znajdzie do czasu, gdy już wszystkie kamyki poznikają, to będzie znak, że już nas nigdy nie znajdzie.

On. Ten tatuś, którego imienia nie wolno było wymawiać.

Teraz, kiedy była bileterką w kinie, zaczęła naśladować w mowie niektóre aktorki hollywoodzkie. Jako Hazel Jones mogła robić aluzje do rzeczy, do których matka Zacka nigdy nie robiłaby aluzji. Była mamusią, która nazywała się inaczej w czasach, gdy mieszkali w wielkim, starym domu na Poor Farm Road, blisko kanału, nad którym kiedyś się bawił, i był też tatuś, którego imienia nie wolno było wspominać, bo mamusia by się denerwowała. Żył w ciągłym strachu, że zdenerwuje mamusię.

Teraz jest tylko mamusia. Teraz mamusia zastąpi ci wszystko.

Tak więc wszystko, co mówiła Hazel Jones tonem beztroskiego niewiniątka, było niby „nieprawdziwe”, a jednak mogło być nośnikiem „prawdziwej” mowy. Jakby coś mówić ustami maski ukrytej pod maską.

Była jeszcze inna zabawa, zabawa, która budziła w nim przerażenie. Bo nigdy nie mógł być pewny, że to jest rzeczywiście tylko zabawa.

Czasami na ulicy. Czasami w sklepie. W dowolnym publicznym miejscu. Wyczuwał nagły lęk matki po tym, że zastygała w środku mówienia czegoś albo ścisła go za rękę tak mocno, że to bolało, gapiąc się na kogoś, kogo Zack nawet nie zauważył. Albo nie mógł zauważyć. Matka potrafiła zdecydować, że nie, nie ma żadnego niebezpieczeństwa, albo nagle wpadała w panikę i popychała go w stronę jakichś drzwi, wciągała do pierwszego lepszego sklepu, a tam z kolei gnała z nim do tylnego wyjścia, nie zwracając uwagi na to, że inni się na nich gapią, na matkę o zbielełej twarzy i jej dziecko, na poły biegnących, jakby w strachu o własne życie.

To zawsze działo się tak szybko, że Zack nie potrafił stawić oporu. Zresztą nie chciałby stawiać oporu. W desperacji mamusi było zawsze tyle siły.

Któregoś razu wepchnęła go za czyjś zaparkowany samochód. Niezdarnie usiłowała go osłonić własnym ciałem.

– Niley! Kocham cię.

Jego dawne imię, imię z pierwszych lat dzieciństwa. Spanikowana mamusia wypowiedziała je bezwiednie. Później go olśniło: mamusia się spodziewała, że zostanie zabita, i wypowiedziała te słowa na pożegnanie.

A może myślała, że to on zostanie zabity.

Zaledwie kilka razy Zack na własne oczy zobaczył mężczyznę, którego widziała matka. Był wysoki, barczysty. Stał profilem albo tyłem do nich. Rysy twarzy rozmazane, włosy przystrzyżone tuż przy skórze, lśniąco szarością. Jednego razu wychodził akurat z Malin Head Inn i na chwilę zatrzymał się pod markizą, żeby zapalić papierosa. Miał na sobie sportową marynarkę i krawat. Innym razem stał pod IGA, kiedy mamusia i Zack wychodzili właśnie z wózkiem pełnym zakupów; mamusia zderzyła się z innym klientem sklepu, bo ze strachu cofnęła się odruchowo.

(Ten wózek zawierający ich skromne nabytki musieli porzucić z pośpiechu przy tylnym wyjściu. Na całe szczęście Hazel Jones była już wtedy znana kierownikowi sklepu, który kazał odłożyć jej sprawunki i dzięki temu mogła je odebrać następnego ranka.)

Zack był cały roztrzęsiony po tych spotkaniach. Wiedział, że to mógł być On. I że Zack z mamusią zostaną ukarani za to, co zrobili, bo On im nigdy nie wybaczy.

Po powrocie do mieszkania mamusia zaciągała wszystkie rolety. A o zmierzchu zapalała tylko jedną lampę. Zack starał się zaciągnąć ich najcięższe krzesło pod zamknięte na zamek drzwi. Żadne nie miało ochoty na kolację tego wieczoru, a później, podczas wykonywania ćwiczeń na czarodziejskiej klawiaturze, Zack nie umiał się skupić, bo poza wyraźnymi, czystymi nutami i akordami płynącymi z wymyślanego pianina słyszał podniesiony, męski głos, pełen niedowierzania, wściekłości, głos, który nie dawał się udobruchać skrajnym przerażeniem dziecka.

– To nie był on, Zack. Nie wydaje mi się. Nie tym razem.

Kulił się nad czarodziejską klawiaturą i bębnił zapamiętałe w papierowe klawisze. Dźwięki pianina zagłuszały inne dźwięki, dopóki nie osłabły mu palce.

Kamyki na parapecie, rankiem.

Jeśli to był pogodny dzień, blask słońca przesączał się przez szybę i kamyki robiły się gorące w dotyku. Zack zorientował się, że zabawa w kamyki to nie tylko zabawa. Była tak prawdziwa, jak tatuś był prawdziwy, choć niewidzialny.

Mamusia nie nawiązywała w rozmowie do tego, co się zdarzyło poprzedniego dnia albo co się prawie zdarzyło. Na tym polegała jedna z zasad tej zabawy. Tuliła go, obdarzała mokrym pocałunkiem i mówiła swym dziarskim głosem Hazel Jones, chcąc wywołać jego uśmiech:

– Przetrwaliśmy noc! Wiedziałaś, że nam się uda.

W końcu powstał nowy, osobliwy wariant zabawy w Nie go. To była zabawa wyłącznie Zacka, zgodna z zasadami Zacka.

Przypadkiem to Zack, nie mamusia, zauważał tego mężczyznę. Mężczyznę, który dość mocno przypominał tego człowieka, o którym nie mogli rozmawiać, a mimo to jakoś tak się działo, że mamusia go nie zauważała. Zack czekał z rosnącym napięciem, aż mamusia go zauważy i zareaguje, a jeśli mamusia go nie zauważała albo go zauważała, ale jakoś nie zwracała uwagi, Zack czuł się tak, jakby coś pękało mu w głowie, tracił nagle panowanie nad sobą, wchodził na matkę, potracał ją.

– Zack? Co się stało?

Zack wydawał się nagle rozwścieczony. Popychał ją, okładał pięściami.

– Ale... Co jest? Kochanie...

Do tego momentu zagrożenie potrafiło się oddalić. Nieznajomy mężczyzna skręcał za róg, znikał. Niewykluczone, że w ogóle nie było żadnego mężczyzny, że Zack tylko go sobie wyobraził. A jednak w swej dziecięcej furii Zack unosił wargi, obnażając zęby. Taki miał nawyk mimiczny po swoim ojcu, przerażający w przypadku dziecka.

– Nie zauważyłaś go! W ogóle go nie widziałaś! Ale ja go widziałem! Mógł podejść do ciebie i strzelić ci w twarz, bum, bum, bum, mógł mnie zastrzelić, a ty byś w tym nie przeszkodziła. Nienawidzę cię.

Zdumiona Hazel Jones gapiła się na swego szalejącego syna. Nie była w stanie nic powiedzieć.

Zszokowana. Ugodzona w samo serce. Jej syn jakimś sposobem się dowiedział, że jego ojciec miał broń.

Jakimś sposobem syn zapamiętał miny ojca. Ten wyraz obrzydzenia. Wyraz słusznej wściekłości, na którego widok człowiek bał się zbliżyć, choćby tylko po to, by dotknąć w geście bezradnej miłości.

Fallin' in love with love.

Sain' all my love. For you.

Był początek zimy 1962 roku, kiedy zaczął widywać młodą kobietę w zadymionym barze w Malin Head Inn. Gdzie reklamowano go jako „Cheta Gallaghera, pianistę jazzowego”, na powiększonej, lśniącej fotografii wywieszanej w hallu hotelowym.

Z początku nie wierzył własnym oczom, że to może być ona. Ta bileterka.

Ta, której imię Gallagher poznał od zaprzyjaźnionego kierownika kina. (Ale nie wykorzystał tej informacji, przysiągł, że tego nie zrobi.)

Przychodziła do Piano Bar wcześniej, około ósmej. Siadała samotnie przy jednym z małych stolików z owalnymi, cynkowanymi blatami, pod samą ścianą. Wychodziła, zanim w lokalu robiło się tłoczno, krótko po dziesiątej. Zawsze przychodziła sama. Podejrzanie sama. Nie pozwalała sobie stawiać. Nie chciała towarzystwa mężczyzn. Uśmiechała się, by złagodzić swoją odmowę. Było widać, że woli słuchać pianisty, zamiast wdawać się w rozmowy z nieznajomymi.

Za każdym razem zamawiała dwa drinki. Nie paliła papierosów. Siedziała i uważnie przyglądała się Gallagherowi. Oklaskiwała go z większym entuzjazmem niż większość pozostałych gości, jakby dopiero uczyła się klaskać w publicznym miejscu.

– Hazel Jones.

Wymówił jej nazwisko dla własnej przyjemności. I uśmiechnął się, bo miało takie niewinne, naiwne brzmienie. Czysto amerykańskie.

Wieczór, podczas którego Gallagher zobaczył ją po raz pierwszy, zaliczał się do tych refleksyjnych. Brnął akurat ostrożnie przez *Round About Midnight* Theloniousa Monka, utwór minimalistyczny, medytacyjny, którego wykonywanie przypominało przedzieranie się przez cudzy sen, kiedy to nadzwyczaj łatwo jest zgubić drogę. Gallagher uwielbiał Monka. Sam wręcz miał w sobie coś, co było Monkiem. Po trosze rogata dusza, po trosze dziwak. Ekscentryk. Dla niego ten super-chłodny, czarny jazz to była piękna muzyka. I z całej duszy pragnął, by inni słyszeli w nim to samo co on. Żeby podobał im się tak jak jemu.

Na tym polegał problem. Jak to zrobić, żeby stać się równie chłodnym, niczym się nie przejmować. Ale Gallagher się przejmował.

To ona. To ona?

Samotna kobieta w Piano Bar. Każdy by pomyślał, że zaraz przyłączy się do niej jakiś mężczyzna, a jednak tak się nie stało. Olśniewająca, młoda kobieta, w koktajlowej sukni z taniego czerwonego materiału przetykanego srebrną nitką. Miała puszyste włosy, które falowały szczególnie wdzięcznie przy szyi. Uśmiechała się skromnie, udając, że nie dostrzega beczelnych, męskich spojrzeń, a kiedy podszedł do niej kelner, podniosła na niego wzrok, jakby chciała spytać: *Czy dobrze zrobiłam, że tu przyszłam? Mam nadzieję, że jestem tu mile widziana.*

Gailagher wygrał kilka nut wyjątkowo nieudolnie i w końcu wywikłał się z meandrów utworu Monka, w nagrodę otrzymując skąpe oklaski, a jego zwinne palce

zaatakowały teraz coś, w czym było znacznie więcej życia, rytmu, seksu: *I Can't Give You Anything But Love, Baby*. Nie grał tego od bardzo dawna.

Nawet do niego nie dotarło, że wcześniej o niej myślał. O Hazel Jones. Właściwie to nie cierpiał rozmyślać o kobietach, żadnych. Wręcz uważał, że jest ponad to, ponad to wrażenie, że coś go uciska w piersi i lędźwiach, że coś tam płonie. Od czasu *Cudotwórczyni* był w *Bay Palace Theater* tylko raz i tamtego wieczoru nie udzielił sobie pozwolenia na rozglądanie się za piękną bileterką, na wciąganie jej do rozmowy. Nie, nie! Później był z siebie dumny, że jej unikał.

Przymus bycia szczęśliwym tylko komplikuje życie. Gallagher miał już dość komplikacji.

Tamtego wieczoru Gallagher poszedł na przerwę, nawet nie zerknąwszy na młodą kobietę. Po prostu prędko się oddalił. Kiedy wrócił, przy jej stoliku siedział już ktoś inny.

Niedobrze. Ale też i dobrze.

Spytał kelnera, co piła młoda kobieta, i dowiedział się, że colę z lodem. Zostawiła trzydzieści pięć centów napiwku, w dziesiątkach i piątkach.

Ta osobliwa faza w życiu Cheta Gallaghery: obudził się któregoś ranka i odkrył, że stał się układnym, małomiasteczkowym dziwakiem, który w środy, czwartki i piątki wieczorami grał jazz w Malin Head Inn. (W soboty występował tam zespół specjalizujący się w muzyce tanecznej w stylu country and western.) Mieszkał w niewielkim, drewnianym domku blisko rzeki, czasami jeździł do rodzinnego domku letniskowego na wyspie Grindstone, pomieszkać kilka dni w odosobnieniu. Dla Tysiąca Wysp nastał okres zastoju, turystów przyjeżdżało niewiele, a z kolei miejscowi, którzy mieszkali na wyspach okrągły rok, nie byli zbyt towarzyscy. Swego czasu, wcale nie tak odległego, Gallagher potrafił sprowadzić na wyspę jakąś przyjaciółkę. We wcześniejszej fazie bywała to jego żona. Ale już nie teraz.

Za dużo zachodu z goleniem się co rano. Za dużo zachodu z byciem ciepłym, żartobliwym, „pełnym życia”. Zwłaszcza ten obowiązek udawania „pełnego życia” przeraźliwie męczył. Gallagher wiedział o tym doskonale.

Rodzina Gallaghery mieszkała po drugiej stronie stanu, w Albany i w okolicach. We własnym świątku bogactwa i władzy, „przeznaczenia” w ramach rodziny. Nie rozmawiał z nikim z nich od miesiący, a z ojcem od ostatniego czwartego lipca na Grindstone.

I tak oto został artystą estradowym zatrudnionym tymczasowo w Malin Head Inn, którego właściciel był dawnym znajomym jego ojca, Thaddeusa, a obecnie przyjaźnił się z Gallagherem. Był to największy hotel w tym rejonie, ale poza sezonem goście zajmowali zaledwie jedną piątą pokoi, nawet w weekendy. Gallagher grał na fortepianie w stylu Hoagy Carmichaela, garbiąc się swobodnie nad klawiaturą, z nieodłącznym papierosem zwisającym z ust; jego długie, zwinne palce biegały po klawiaturze, jakby uprawiały z nią miłość. Nie śpiewał jak Carmichael, ale często nucił, śmiał się z własnych żartów, jak to w jazzie, zawsze pełnym prywatnych żartów. Gallagher był namiętym interpretatorem muzyki Duke'a Ellingtona, Fatsa Wallera, Monka i kiedy w Piano Bar proszono go o *Begin the Beguine*, *Happy Birthday to You*, *Battle Hymn of the Republic*, *Cry*, uśmiechał się swym ulotnym, uprzejmym uśmiechem i nadal grał muzykę, którą lubił, czasem tylko wplatając w nią utwory dla mniej wymagających. Był wszechstronny, lubił żartować. Był poczciwy. Z niczego nie drwił i nie zwykł się wyzłośliwiać. Był mężczyzną w średnim

wieku, na ogół lubianym przez mężczyzn i bardzo atrakcyjnym dla niektórych kobiet. I rzadko kiedy się upijał.

W niektóre wieczory Gallagher pił tylko tonik z lodem i plasterkami cytryny. Stawiał wysoką zroszoną szklankę na pianinie, obok popielniczki.

Miał grupkę miejscowych admiratorów, w tym nawet takich, którzy przyjeżdżali aż z Watertown. Nie było ich wielu, ot garstka. Przyjeżdżali posłuchać „Cheta Gallaghery, pianisty jazzowego”, przeważnie mężczyźni tacy jak on, nieżonaci, rozwiedzeni, w separacji. Mężczyźni, którzy łysieli i flaczeli w pasie, ale za to mieli czyste oczy i łaknęli śmiechu. Współczucia. Mężczyźni, którzy doskonale rozumieli *Stormy Weather*, *Mood Indigo*, *St. James Infirmary*, *Night Train*. Zdarzały się również kobiety, które lubiły jazz, ale ich też było niewiele. (Bo jak tu tańczyć do *Brilliant Corners*? Nie da się.) Goście hotelowi stanowili zbieraninę z najrozmaitszych środowisk, zwłaszcza podczas sezonu turystycznego: czasami zdarzali się prawdziwi entuzjaści jazzu, najczęściej jednak nie. Goście przychodzili do Piano Bar, żeby pić, palić papierosy. Jakiś czas słuchali, ale potem zaczynało ich nosić, więc szli do drugiego baru na terenie hotelu, gdzie stała szafa grająca. Albo zostawali. Pili i zostawali. Czasami rozmawiali głośno, śmiali się. Nie okazywali chamstwa intencjonalnie, byli tylko nadzwyczaj obojętni. A Gallagher nie był aż taki przewrażliwiony, by brać to do siebie, uważał po prostu, że obrażają muzykę. *Uprzywilejowane, białe gnojki*, tak o nich myślał, kiedy wdziewał na siebie czarną, wywrotową skórę jazzu.

To była jedna z tych rzeczy, których jego ojciec nie mógł w nim ścierpieć. Ich odwieczny konflikt: poglądy Gallaghery, jego ciągoty względem „czerwonych”, „komuchów”. Jego miękkie serce dla Murzynów, to, że głosował na Kennedy'ego, a nie na Nixona, na Stevensona, a nie na Eisenhowera, na Trumana, a nie na Deweya w roku 1948.

Najgorszy policzek: Truman, a nie Dewey. Thaddeus Gallagher był starym kumplem Deweya, dał mnóstwo pieniędzy na jego kampanię.

Całe szczęście dla Gallaghery, że już tyle nie pił. Kiedy jego myśli gnały w niektórych kierunkach, czuł, że podnosi mu się temperatura. Prawie całe życie otaczały go uprzywilejowane, białe gnojki. *Chrzanić, co cię to obchodzi. Nic cię to nie obchodzi. Nie jesteś głównym filarem muzyki. Sam jesteś uprzywilejowanym, białym gnojkiem, Gallagher, spójrz prawdzie w oczy. Twoje granie to nic poważnego. Występy w Malin Head to nie jest prawdziwa praca, tylko coś, czym zabijasz czas. Tak jak twoje życie nie jest już prawdziwym życiem, tylko czymś, czym zabijasz czas.*

Grał *BlueMoon*. Powoli, melancholijnie. Najrzewniej jak potrafił. Była połowa grudnia, śnieżny wieczór. Senne płatki spadające z czarnego nieba nad Rzeką Świętego Wawrzyńca. Gallagher nie oczekiwał, że Hazel Jones pokaże się w barze, nie pozwalał sobie na to, tak jak nie pozwalał sobie oczekiwać, że pokaże się tam ktokolwiek. Przyszła kilka razy i zawsze wychodziła wcześniej. Zawsze sama. Chcąc nie chcąc, zastanawiał się, czy może pracuje w co drugi piątek w kinie albo czy może rzuciła pracę. Zasięgnął języka i dowiedział się, że na posadzie bileterki zarabia się żałośnie mało. Może mógłby jej pomóc w znalezieniu lepszej pracy.

Znajomy, który zarządzał Bay Palace, zdradził mu, że Hazel pochodzi skądś na południu stanu. Nie znała nikogo w tych okolicach. Była dość tajemnicza, ale za to pracowała jak należy, mógł na niej polegać. Zawsze przyjazna, albo przynajmniej

sprawiała takie wrażenie. Radziła sobie ze sprzedażą biletów. Miała „osobowość”. I jeszcze ten uśmiech! Znakomity w przypadku kłopotliwych widzów (płci męskiej). Z jednej strony zatrudniasz ładną dziewczynę, żeby prezentowała się jak najlepiej w uniformie bileterki, z drugiej zaś nie chcesz kłopotów. W odróżnieniu od innych bileterek Hazel Jones wcale się nie denerwowała, gdy ktoś zachowywał się wobec niej agresywnie. Mówiła do takiego spokojnie, uśmiechała się i wymykała ukradkiem, żeby zawołać kierownika. Nigdy nie podnosiła głosu. Nie ujawniała uczuć, pod tym względem zachowując się bardziej jak mężczyzna niż jak kobieta. *Jakby była starsza, niż wygląda. Wyraźnie wiele przeszła i teraz dużo rzeczy to dla niej bułka z masłem.*

Gallagher omiótł wzrokiem zadymione wnętrze, spostrzegł młodą kobietę, która szła właśnie w stronę pustego stolika pod ścianą. To ona!

Uśmiechnął się w duchu, ale nie nawiązał z nią kontaktu wzrokowego. Poczł się tak dobrze! Improvizował, z upodobaniem obserwując błysk swoich smukłych palców. Przeszedł gładko od *Blue Moon* do *Honeysuckle Rose*, grając Ellingtona z lat świetności dla kogoś, kto – jak się domyślał – wiedział mało o jazzie, a jeszcze mniej o Ellingtonie. Bardzo chciał, żeby usłyszała, żeby wiedziała. Taką miał ochotę. *Przyszła do mnie*, pomyślał. *Do mnie!* Ostatni, efekciarski pasaż do samego końca klawiatury i wtedy właśnie Chet Gallagher zakochał się w kobiecie, o której wiedział, że nazywa się Hazel Jones.

Podczas przerwy podszedł prosto do jej stolika. Stał nad zaskoczoną młodą kobietą, która oklaskiwała go z dziecięcym entuzjazmem.

Podziękował jej, powiedział, że ją zauważył. Przedstawił się, jakby nie mogła znać jego nazwiska. I pochylił się, by usłyszeć nazwisko, którym mu się przedstawiła.

– Hazel? Nie dosłyszałem.

– Hazel Jones.

Gallagher roześmiał się z zadowoleniem złodzieja, któremu udało się dopasować klucz do zamka.

– Czy będzie pani miała coś przeciwko, jeśli się przysiadę na kilka minut, Hazel Jones?

Wyraźnie jej schlebiło, że się przysiadł. Inni goście długo czekali na chwilę rozmowy z pianistą, tymczasem on przeszedł obok nich, jakby ich nie zauważył. A jednak zauważył również, że się zawahała. Patrzyła na niego, uśmiechała się, a jednak jej oczy zrobiły się dziwnie płaskie. Może się go przestraszyła, wyrósł nad nią tak nagle. Miał sześć stóp i trzy cale wzrostu, był chudy jak chart, luźno zbudowany, a wypukła kopuła jego łysiejącej czaszki lśniła potem po wyczerpującym występie; oczy miał ciemne i patrzyło z nich dobrze, ale jakoś nazbyt świdrująco. Hazel Jones nie miała wyboru, tylko musiała przesunąć swoje krzesło, by zrobić mu miejsce. Stolik był mały, ich kolana zderzyły się pod spodem.

Z bliska Gallagher zauważył, że twarz młodej kobiety jest starannie umalowana, że jej usta są bardzo czerwone: to była twarz jak z tych plakatów wiszących w Bay Palace. I miała na sobie koktajlową suknię, z ciemnoczerwonego, połyskliwego materiału, który ciasno opasywał jej piersi i ramiona. Burki przy ramionach, opięte nadgarstki. W zadymionym półmroku baru biło od niej seksualnością i jednocześnie lękiem. Uprzejmie odmówiła Gallagherowi, gdy zaproponował, że postawi jej coś mocniejszego niż tylko colę.

– Dziękuję panu, panie Gallagher, ale ja niedługo wychodzę.

Roześmiał się urażony.

– Proszę, mów do mnie Chet, Hazel. Pan Gallagher to mój sześćdziesięciosiedmioletni ojciec, który mieszka w Albany.

Ich rozmowa nie toczyła się gładko. Była nieskładna, przypominała wsiadanie z kimś obcym do jednego kajaka, bez wiosł. Działała ożywczo, ale też kryły się w niej pułapki. Mimo to Gallagher usłyszał własny śmiech. Hazel Jones też się śmiała, więc pewnie był zabawny.

Ależ to pochlebia mężczyźnie, kiedy kobieta śmieje się z jego dowcipów!

Ależ był dziecinny w głębi duszy, że pragnął ufać kobiecie. Bo jest atrakcyjna i młoda. Bo jest sama.

Gallagher musiał przyznać, że Hazel Jones podziałała na jego zmysły. Najpierw w Bay Palace, w tym swoim idiotycznym uniformie, teraz w Piano Bar w połyskliwej, czerwonej sukni. Jej brwi nie były tak gęste, jak je zapamiętał, pewnie je wyrównała za pomocą pincety. Włosy miała przystrzyżone w puszyste, falujące warstwy, przez co sprawiały wrażenie obszernej czapki. Brunetka, z rdzawymi pasemkami. O bardzo bladej skórze. Pochylenie się w stronę Hazel Jones było niczym pochylenie się nad otwartym ogniem. To, co teraz czuł Gallagher, było zabarwione strachem, że sam jest już niemłody, że od dawna nie jest już młody, a uczucia, które odezwały się w nim teraz, znał z lat młodości i kojarzył je z urazą, rozczarowaniem.

A jednak miał przed sobą Hazel Jones, która uśmiechała się do niego, która też była niespokojna, wręcz nerwowa. W odróżnieniu od licznych znanych Gallagherowi kobiet zdawała się mówić do niego bez żadnych aluzji i podtekstów. Uznał, że czegoś jej brakuje: maskopodobnej powłoki, nieprawdopodobnie cienkiej bariery utkanej z uporu, która wdzierала się między niego a całe rzesze kobiet, jego była żoną, niektóre kochanki, siostry, z którymi był skłócony. Hazel z dziewczęcym tupetem mówiła mu teraz, że podziwia jego grę na fortepianie, ale sama „nie bardzo rozumie jazz, nie rozumie, o co w nim chodzi”. Zaskoczyła go, bo wyznała, że swego czasu lubiła słuchać jazzu z nocnego programu nadawanego przez Radio Buffalo.

Gallagher natychmiast zidentyfikował program: *Zack Zacharias*, na WBEN.

Hazel wyraźnie się zdziwiła, że Gallagher zna ten program. Z trudem oparł się pokusie pochwalenia się jej, że nocne programy jazzowe nadawane w całym stanie to był jego pomysł. WBEN, jeden z bardziej popularnych miejskich kanałów, stanowiło własność Gallagher Media.

– Pan go zna? Zacka Zachariasa? Zawsze się zastanawiałam, czy on jest... och, rozumie pan, Murzynem.

Hazel wymówiła słowo Murzyn bardzo ostrożnie. Jakby bycie Murzynem oznaczało coś w rodzaju inwalidztwa.

Gallagher roześmiał się.

– On się nie nazywa Zack Zacharias i taki z niego Murzyn jak ze mnie. Ale wie, co to jest dobry jazz, jego program leci już dziewiąty rok.

Hazel uśmiechnęła się, jakby go nie bardzo zrozumiała. Złakł się, bo mogła pomyśleć, że on się z niej śmieje.

– Jesteś z Buffalo, prawda?

– Nie.

– Ale z zachodniej części stanu, tak? Słyszę akcent.

Znowu się uśmiechnęła, znowu niepewnie. Akcent? No jasne, sama nigdy nie słyszała tych płaskich, nosowych głosek.

Gallagher nie chciał jej onieśmielać. Była taka krucha, ufna.

– Dlaczego przyjechałaś tu na północ? Aż do Malin Head Bay? Pewnie trafiłaś tu latem?

– Owszem.

– Znasz tu kogoś? Masz jakichś krewnych?

Hazel puściła to bezczelne pytanie mimo uszu, zaskakując Gallaghera uwagą, którą z ust innej kobiety odebrałby jako uwodzicielską:

– Dawno pan nie był w kinie, panie Gallagher. A w każdym razie nie widziałam tam pana.

Gallagher znów poczuł się mile polectany: Hazel go zapamiętała. I chciała, żeby wiedział, że go zapamiętała.

Trącił ją w ramię i powtórzył, że prosi, by nazywała go Chet.

Pochylał się nad nią, czując ciepłe, radosne pulsowanie krwi w swoich żyłach. Jaka ona była piękna! Jakże rozpaczliwie był wdzięczny, że wróciła! Mężczyzna, który gra na fortepianie, często ma nadzieję, że swoją grą przywabi kobietę taką jak ona. Powiedział jej, że tak naprawdę to nie bardzo przepada za kinem. Pod tym względem nie jest zbyt amerykański, normalny. Jego rodzina jest związana z mediami – nie z filmem, ale z prasą, radiem, telewizją. Film to handlowanie obrazkami, marzeniami. Celem istnienia przemysłu filmowego była zawsze sprzedaż biletów. Ten, kto ma tego świadomość, nie da się uwieść tak łatwo. Gallagherowi w hollywoodzkich filmach najbardziej nie podobała się muzyka. „Ścieżki dźwiękowe”. Na ogół wręcz działały mu na nerwy. Obrażało go sentymentalne wykorzystywanie muzyki dla rozbudzenia emocji, dla „zbudowania” sceny. Zapożyczenie z niemego kina, kiedy to każdemu seansowi towarzyszył muzyk grający na żywo. Wszystko było przesadzone, wyuzdane. Czasami zatykał sobie uszy, by nie słyszeć tej muzyki. Czasami zamykał oczy, żeby nie widzieć obrazów.

Hazel roześmiała się. Gallagher sam teraz przesadzał, chcąc być zabawny. Uwielbiał widzieć ją roześmianą. Domyślał się, że w innych okolicznościach Hazel nie śmiała się często. Na jej twarzy pojawił się ciepły rumieniec. Miała taki jeden nawyk, że nieświadomie odgarniała włosy, unosząc i opuszczając równo przyciętą grzywkę na czoło. Był to dziecinny gest, który ściągał uwagę na jej pogodną twarz, lśniące włosy, palce bez pierścionków i paznokcie pomalowane na czerwono. I stale też poruszała ramionami w opiętej sukni, pochylając się do przodu i odginając do tyłu. Zdawała się nie panować nad swym ciałem, jakby wyrosła zbyt prędko. Lśniąca, czerwona suknia była takim samym kostiumem jak kostium bileterki; Gallagher nie musiał sprawdzać, bo po prostu to wiedział, że Hazel nosi pantofle na bardzo wysokich obcasach.

Pragnął chronić tę młodą kobietę przed krzywdą, na którą z pewnością miała ją narazić ta dziecięcość. Pragnął, żeby mu zaufała. Pragnął, żeby go podziwiała. Pragnął pogłodzić ją po policzku, po smukłej szyi. Po tym ruchliwym, na poły obnażonym ramieniu. Pragnął obłapić dłonią jej pierś. Przepęłniło go pożądanie, bo wyobraził sobie Hazel nagą pod ubraniem. Pragnął znowu przeżyć ten szok, kiedy po raz pierwszy widzi się kobietę nagą, szok, że ci zaufała.

Gallagher gadał jak najęty. To wszystko działo się tak prędko, wręcz go taranowało. A przecież przez cały wieczór nie wypił nic mocniejszego od piwa. Po prostu trochę się upił Hazel Jones.

Stary, znajomy dreszcz strachu. I perwersyjna pocięcha w tym dreszczu. Gallagher nigdy nie kochał się z kobietą bez wstępnego uczucia strachu, a jednak podczas lat małżeństwa odrętwiał na ekstremalne emocje. Tak się dzieje wtedy, gdy seks staje się towarzyski, nawykowy, kiedy przestaje być seksem i staje się czymś innym.

Z nią się nie ożenisz.

Bardzo chciał poczuć się dobrze.

Usłyszał samego siebie, jak pyta Hazel, czy lubi kino. Pewnie stale ogląda filmy.

Jej odpowiedź zupełnie go nie obchodziła. To jej głos go pociągał, nie słowa. Mimo to zdumiała go, bo wyznała, że ogląda tylko fragmenty filmów w Bay Palace, nigdy niczego w całości. A przed podjęciem pracy w charakterze bileterki nie widziała zbyt wielu filmów – „Moi rodzice nie akceptowali kina”. Tak więc teraz ogląda tylko urywane fragmenty, niektóre wiele razy. Widuje zakończenia różnych scen na wiele godzin przed obejrzeniem ich początków. Widuje początki filmów tuż po zobaczeniu dramatycznych zakończeń. Fabuły się zapętłają. Nikt nie dociera donikąd. Wie z góry, co powiedzą aktorzy, nawet jeśli kamera otwiera się na „nową” scenę. Wie, kiedy widownia będzie się śmiała, mimo że każda widownia jest nowa, a jej śmiech jest spontaniczny. Wie, co zasygnalizują akcenty muzyczne, nawet bez patrzenia na ekran. I wszystko to razem wytwarza w sumie dziwne wrażenie, że nie bardzo wiadomo, czego człowiek powinien się spodziewać w życiu. Bo w życiu nie ma żadnej muzyki, nie ma żadnych akcentów. Większość spraw dzieje się w ciszy. Żyjesz dalej i odtwarzasz wszystko w pamięci. Niczego nie przeżywasz po raz drugi, tylko po prostu zapamiętujesz, i to niedokładnie. Poza tym życie nie jest takie proste jak fabuła filmu, jest za wiele do zapamiętania.

– I wszystko to, co się zapomniało, przepada, jakby nigdy nie istniało. Zamiast płakać, równie dobrze możesz się śmiać. – I tu Hazel zaczęła się śmiać, cichym, zalęknionym, dziewczęcym śmiechem, który urwał się tak samo nagle, jak się rozległ.

Gallagher był zdumiony wybuchem młodej kobiety. Nie miał pojęcia, o czym ona mówi. I ten jej osobliwy nacisk na słowo „śmiać się”, jakby angielski był dla niej obcym, wyuczonym językiem. Nie chciał myśleć, że z góry nie docenił jej inteligencji, a jednak prawda, nie potrafił przyznać młodej kobiecie z wyglądem Hazel Jones prawa do subtelności analizy, rozumowania; wszak z doświadczenia wiedział, że kobiety mówią emocjami. Zaśmiał się jeszcze raz, dając do zrozumienia, że go rozbawiła. Ujął jej dłoń w geście, który mógł zostać zinterpretowany jako rycerski, żartobliwy. Jej palce, chłodne od oziębionego szkła, okazały się niespodziewanie silne, wcale nie takie, jakby ukryte w nich kości były słabe albo delikatne; jej skóra nieznacznie poróżowiała. Żeby jej dotknąć, Gallagher wykorzystał pretekst, jakim był uścisk dłoni na pożegnanie; musiał zasiać do fortepianu, jego przerwa dobiegła końca.

Zbliżało się już wpół do dziesiątej. Coraz więcej gości wchodziło do Piano Bar i prawie wszystkie stoliki były zajęte. Gallagher ucieszył się, bo zanosilo się na to, że będzie miał sporą widownię i dzięki temu znowu zrobi wrażenie na Hazel.

– Jakież życzenia, Hazel? Spełnię każde twoje życzenie.

Hazel zdawała się zastanawiać. Między jej brwiami pojawiła się drobna zmarszczka.

Gallagher widział przed sobą młodą kobietę, która wszystkie pytania traktuje serio.

– Niech pan zagra utwór, który pana najbardziej uszczęśliwia, panie Gallagher.

– Chet, kochanie! Mam na imię Chet.

– Zagraj coś, co cię najbardziej uszczęśliwia, Chet. To chciałabym usłyszeć.

Był Nowy Rok. Za sprawą pewnych zawołanych, tajemniczych uwag matki Zack zrozumiał, że czeka go niebawem niespodzianka.

– Lepsza niż Gwiazdka. Znacznie lepsza!

W szkole wiele się działo w związku z Gwiazdką. I również dużo się mówiło o nowym roku, 1963. Wszyscy pierwszoklasiści musieli się nauczyć pisać słowo STYCZEŃ. Zacharias Jones z kamienną twarzą bębnił palcami po ławce, pogrążony w transie niewidzialnych nut, akordów. A kiedy nauczycielka go karciała, krzyżował ręce na piersi i potajemnie, kompulsywnie wbijał w nie palce. Gamy, schematy, ruchy przeciwstawne, arpeggia w postaci zasadniczej, inwersje. Nie znał nazw tych ćwiczeń, po prostu je grał. Tak wyraźnie słyszał nuty w swojej głowie, że zawsze słyszał też złe uderzenie w klawisz. Kiedy popełniał błąd, musiał wrócić do samego początku ćwiczenia i zacząć od nowa. Pan Sarrantini stale odciskał się swą niewidzialną obecnością w sali pierwszaków; jego tłustawa, rumiana twarz wyłaniała się spod ciastowatego oblicza panny Humphrey. Zarówno panna Humphrey, jak i pan Sarrantini skąpili pochwał Zackowi, zwłaszcza pan Sarrantini, który najwyraźniej nie lubił swego najmłodszego ucznia. Niezależnie od tego, jak płynnie Zack wykonywał swoją cotygodniową lekcję, zawsze znalazło się coś dalekiego od doskonałości. Ta nowa gama, f-moll z czterema bemolami. Dopiero po całym dniu intensywnych ćwiczeń Zack potrafił ją zagrać tak płynnie, jak grał gamę C-dur bez krzyżyków czy bemoli. Mimo to wiedział z góry, że pan Sarrantini będzie cmokał z pogardą.

Uśmiechając się drwiąco: *Nasz mały Wolfgang.*

Panna Humphrey była miłsza niż pan Sarrantini. Na ogół. Niemniej czasami robiła się rozdrażniona i pstrykała palcami przed nosem Zacka, żeby go obudzić, czym doprowadzała inne dzieci do śmiechu. Nie podobało jej się, że kiedy cała klasa miała robić sylwetki Świętego Mikołaja z kartonu i przyklejać do nich jedwabne, białe włosy, Zack kiepsko sobie radził – specjalnie, zdaniem panny Humphrey – z nożyczkami, papierem i klejem. Powiedziała zaleźnionej matce dziecka, że Zack czyta na poziomie szóstej klasy i że jego znajomość matematyki jest jeszcze wyższa, a jednak stwierdziła także: „Pani syn ma problemy z zachowaniem, z postawą. Z relacjami interpersonalnymi. Albo nie potrafi usiedzieć na miejscu, albo wpada w trans i zdaje się mnie nie słuchać”.

Miał sześć lat. I już ta wiedza osadziła się w nim tak głęboko jak drzazga w ciele, że jeśli ludzie cię nie lubią, to nieważne, jaki jesteś mądry, jaki jesteś utalentowany. *Jakby mnie nie słuchał*, tak będzie brzmiało oskarżenie.

Pani Jones przeprosiła za syna. Obiecała, że Zack będzie się bardziej starał w nowym roku.

Nowy rok przyniósł mroźną zimę. Minus dwadzieścia stopni Fahrenheita, które podnosiły się do minus pięciu, jeśli słońcu udało się przedrzeć przez warstwę ponurych chmur. W takich dniach Hazel podchodziła do rzeczywistości pragmatycznie, nie narzekała. Śmiała się z kwaśnego tonu prezentera pogody. Bawiło ją, że w najmroczniejsze, zimowe poranki

lokalna stacja radiowa nadaje najżywszą, najbardziej radosną muzykę: *Sunny Side of the Street, Blue Skies, How Much is That Doggie In the Window?*

Ciężkie kubki z parującą czekoladą, które mamusia robiła dla Zacka i siebie. Mawiała: Jeśli masz w brzuszku gorący płyn, będzie ci ciepło i dzięki temu zajdziesz tam, dokąd zmierzasz”. Nazywała to „zasadą termosu”.

W te dni, kiedy były zadyмки śnieżne, od nikogo nie oczekiwano, że dokądkolwiek będzie chodził. Co za szczęście! Zack nie musiał iść do szkoły, tylko zostawał w domu i rozkoszował się śnieżną ciszą, a Hazel nie musiała iść do Bay Palace Theater. Nie musiała się malować jak gwiazda z plakatu ani też szcztokować włosów dopóty, dopóki nie zaczynały lśnić jak ogień. Śpiewała ukradkiem, prawie bezgłośnie *Savin' all my love for sou!*, zerkając z ukosa na syna, pochłoniętego całą duszą ćwiczeniem gry na pianinie na kuchennym stole. Po wielkich śnieżycach często nastawały poranki oślepiającego słońca i wtedy mamusia ubierała Zacka w wełnianą, swędzącą bieliznę, koszulę i dwa swetry, na to z kolei wbijała sztywną kurtkę z owczej skóry kupioną u Searsa, po czym naciągała mu czapkę na oczy i opatulała go zbyt szczelnie szalikiem; Zack oddychał na dworze przez usta, a nie przez nos i potem ten szalik wilgotniał i brzydko pachniał. Do tego dwie pary zimowych skarpet do wysokich butów na gumowych podszewkach, też świeżo kupionych u Searsa. A także dwie pary rękawiczek nasuniętych siłą na jego dłonie, przy czym ta zewnętrzna była uszyta ze sztucznej skóry podbitej sztucznym futrem.

– Twoje bezcenne palce, Zack! Paluszki u stóp mogą zamarznąć i odpaść, kotku, ale nie palce u rąk. Te palce któregoś dnia będą warte fortunę.

Śmiała się, nazywając Zacka swoim bałwankiem, i składała mu na nosie mokrego całusa.

Masz nowego przyjaciela, Zack! Chodź go poznać.

Nigdy nie widział matki takiej zadyszanej, podnieconej. Prowadziła go do Malin Head Inn, płonącego światłami hotelu nad rzeką, który dotąd oglądał jedynie od zewnątrz, jak się zdawało w zamierzchłej przeszłości, kiedy w ciepłe dni przychodzili na plażę, żeby nazbierać specjalnych kamyków.

Poruszali się dziwnie niezdarnie, dlatego wpakowali się jednocześnie do tego samego przedziału obrotowych drzwi, a kiedy ich stamtąd wypluło do głównego hallu hotelu, poczuli na twarzach uderzenie ciepłego powietrza. Ile ludzi! Zack stał i mrugał. Mamusia chwyciła silnie jego dłoń w rękawiczce i poprowadziła go przez tłoczne wnętrza. Wszędzie coś się działo, wszędzie był ruch. Aż za dużo do oglądania. Przy recepcji meldowała się właśnie grupa hałaśliwych narciarzy; byli ubrani w kurtki w krzykliwych barwach i mieli z sobą kosztowny sprzęt narciarski. Niektórzy młodzi mężczyźni w tym tłumie wyraźnie śledzili wzrokiem Hazel Jones, kiedy szła przez hall. Jej policzki zarumieniły się z zimna i wydawała się rozkojarzona, jakby właśnie biegła. W miejscu, gdzie stały fotele, zatrzymała się, by rozpiąć kurtkę Zackowi i zdjąć swój bezkształtny płaszcz z kapturem, uszyty z szarego, kosmatego materiału. Pod tym płaszczem Hazel miała na sobie jedną ze swoich dwóch, jak je nazywała, „wyjściowych” sukien. Ta, ulubiona Zacka, była z ciemnoczerwonego dżerseju, ozdobiona maleńkimi perełkami naszytymi na brzuchu i satynową szarfą. Hazel kupiła obie suknie za dziewięć dolarów na wyprzedaży w centrum miasta. Tylko bardzo uważne oko mogło dostrzec to miejsce, gdzie każda z nich była uszkodzona.

– On już czeka, kotku. Tędy!

Hazel znów chwyciła Zacka za rękę, teraz już gołą, i pociągnęła go. Zack zorientował się z zadowoleniem, że oprócz niego w hallu nie ma żadnych dzieci. Czuł się wyjątkowy, bo przecież o tej porze powinien już leżeć w łóżku. Rzadko kiedy zasypiał przed dziesiątą, czasami nawet jeszcze później, jeśli słuchał muzyki z radia. Teraz słyszał muzykę i to go podekscytowało.

– To czyjeś wesele. Ale nie widzę panny młodej.

Hazel przystanęła przed wejściem do ogromnej sali balowej, pełnej dekoracji w kolorze kości słoniowej i złota, gdzie na podwyższeniu pod przeciwległą ścianą kwintet wygrywał muzykę taneczną. Była to muzyka, która miała wywołać uśmiech na twarzy, ochotę na taniec, taniec w rytmie swingu. A jednak, o dziwo, większość ubranych odświętnie mężczyzn i kobiet w tej sali wcale nie tańczyła; zamiast tego stali w ciasnych grupkach, z drinkami w rękach, rozmawiali i śmiali się głośno.

Zack zastanawiał się, czy to właśnie – to wesele – jest niespodzianką.

Wiedział, że to nie tatuś będzie niespodzianką. Teraz, kiedy wszystkie kamyki poznikały.

Ale sam tatuś też zniknął. Musiał o tym pamiętać.

Zack trącił mamusię w nogę. Z tym wyglądem, który upodabniał ją do kobiecych postaci z plakatów w Bay Palace Theater, zbyt młodzieńcza jak na matkę, w purpurowej,

dżersejowej sukni, przerażała go, jakby wcale nie była matką, ani jego, ani w ogóle niczyją.

– Dlaczego ludzie się żenią, mamusiu? To jedyny sposób?

– Jedyny sposób na co?

Zack nie miał pojęcia. Miał nadzieję, że mamusia dokończy myśl za niego, tak jak to często robiła.

Szli potem prędko korytarzem z jasno oświetlonymi wystawami sklepowymi. Bizuteria, torebki. Ręcznie dziergane swetry z szetlandzkiej wełny. Na końcu korytarza znajdowała się sala, w której było mroczno jak w jakiejś jaskini: Piano Bar. Zack usłyszał, że ktoś tam gra na pianinie. To tu była jego niespodzianka! Hazel pociągnęła go do środka, całego rozdygotanego i podnieconego. Po drugiej stronie zobaczył jakiegoś pana, który siedział nie przy zwyczajnym pianinie, jak to, które znał z auli w gimnazjum, tylko przy pięknym, połyskliwym fortepianie. I ten pan grał muzykę, którą Zack znał z radia, z dawnych czasów na Poor Farm Road, muzykę, która nazywała się jazz.

Przy niewielkich stolikach siedzieli ludzie. Jeszcze inni siedzieli przy barze. Kilku rozmawiało i śmiało się, ale większość przysłuchiwała się pianiście i jego prędkiemu, żywemu, zdumiewającemu graniu. Zack zachwycił się urokiem Piano Bar i serce zabiło mu ze szczęścia.

Okazało się, że jeden z małych stolików z owalnymi, cynkowanymi blatami jest zarezerwowany dla Hazel Jones, tuż obok fortepianu! Hazel usadziła Zacka w takim miejscu, z którego mógł obserwować ręce pianisty. Nigdy w życiu nie widział takich długich, szczupłych palców. Nigdy w życiu nie słyszał takiej muzyki z tak bliska. Nie posiadał się ze zdumienia, z szoku. Domyślał się, że mężczyzna przy fortepianie jest w stanie dosięgnąć dwunastu klawiszy – piętnastu! – swymi zwinnymi palcami. Przyglądał się, słuchał cały urzeczony. Miało to być jedno z najwspanialszych wspomnień z jego życia, kiedy słuchał, jak Chet Gallagher gra jazz tamtej styczniowej nocy 1963 roku, w Malin Head Inn.

If It Isn't Love, A-Tisket, A-Tasket, I Ain't Got Nobody, w stylu Fatsa Wallera: Zack miał dopiero z czasem poznać tytuły utworów, które Gallagher grał tamtego wieczoru.

Podczas przerwy Gallagher przysiadł się do stolika Hazel Jones. Zack zorientował się, że oni się znają: Gallagher okazał się tym „przyjacielem”. W tym momencie zrozumiał logikę ukrytą w nowej kurtce z owczej skóry i butach od Searsa, zrozumiał, dlaczego zainstalowano telefon w ich małym mieszkaniu, skąd ta tajemniczość i zadowolenie Hazel. Wcale się jednak nie dziwił, bo już o wiele dawniej pojął, że nie ma co się zastanawiać nad logiką dorosłych. Dlatego wcale się nie dziwił, że Chet Gallagher zna Hazel Jones, ale zdumiało go to, że Chet Gallagher, człowiek, który dopiero co grał na fortepianie, chce jego poznać, że chce podać mu rękę, uśmiechnąć się i puściwszy do niego oko, powiedzieć:

– Cześć, Zack! Twoja mama mówiła mi, że ty też grasz...

Zack był zbyt przejęty, żeby coś powiedzieć, więc Hazel trąciła go i powiedziała półgłosem do Gallaghera:

– Zack jest nieśmiały przy dorosłych mężczyznach.

I wtedy Gallagher roześmiał się w sposób, po którym było widać, że bardzo lubi Hazel Jones.

– A na jakiej podstawie uważasz, że jestem dorosłym mężczyzną?

Gallagher miał za dużą, jajowatą głowę; wyglądała jak coś wyrzeźbionego z drewna. Nad czołem miał placek łysiny okolony ciemnymi, kędzierzawymi włosami, a jego nos był długi i wąski, z dziwnie ciemnymi nozdrzami. Na moment nie przestawał się uśmiechać i stale pochylał głowę, sygnalizując zaniepokojenie. Przy fortepianie jego kręgosłup przywołał na myśl giętki pień wierzby. Miał na sobie najdziwniejsze ubranie, jakie Zack kiedykolwiek widział na mężczyźnie: koszulę z czarnego jedwabiu bez kołnierzyka, która opinała umięśniony, wąski tors niczym rękawiczka, oraz szelki uszyte z jaskrawoniebieskiego materiału, które z jakiegoś powodu kojarzyły się z wyjściowym strojem, takim jak suknia Hazel Jones. Zack nigdy nie widział takiej twarzy i podejrzewał wręcz, że to jest brzydka twarz, a mimo to im dłużej jej się przyglądał, tym atrakcyjniejsza mu się wydawała. I nigdy też u nikogo nie widział takich pocziwych oczu.

Gallagher wstał z miejsca, bo musiał już wracać do fortepianu. Kiedy przyszedł do ich stolika, przyniósł z sobą drinka, przezroczysty płyn w wysokiej szklance. Kiedy odwracał się, szykując do odejścia, jego dłoń jakby przez przypadek otarła się o ramię Hazel. Niedługo potem Zack zasnął, wsłuchany w boogie-woogie wygrywane przez palce Gallaghera, które biegały tam i z powrotem po klawiaturze, sprawiając, że jego palce też podrygiwały zgodnie z tym dzikim, psotnym rytmem.

I knew then that a man could love.

A man can love.

With his music, with his fingers a man can love.

A man can be good, a man does not have to hurt you.

Ocknął się jakiś czas później. Piano Bar został już zamknięty, barman był zajęty sprzątnięciem. Chet Gallagher zamówił kanapki z pieczoną wołowiną dla nich trojga: cztery kanapki dla trojga ludzi, wśród których było sześciolatek, zaspane dziecko. Oczywiście Chet Gallagher umierał z głodu, dlatego sam zjadł dwie i pół kanapki. Był też mocno spragniony i miał ochotę uczcić koniec występu. Hazel śmiała się, protestując, że już późno, że jest już po drugiej, czy on nie jest zmęczony, na co Gallagher energicznie potrząsnął głową.

– Diabła tam, nie!

Zack podszedł ochoczo do fortepianu. Musiał stać, bo stółek był za niski. Z początku tylko dotykał klawiszy, ostrożnie je naciskał, wsłuchując się w ostre, czyste tony, w nuty płynące z tajemniczego wnętrza instrumentu, które zawsze go roznamiętniały, zdumiewały, że takie dźwięki mogą istnieć i że można je przywołać z ciszy mocą własnego wysiłku.

Bo to naprawdę było zdumiewające: że dźwięk można przywołać z milczenia, z pustki. Że on sam mógł być instrumentem służącym do przywołania tego dźwięku.

– No dalej, dzieciaku. Fortepian jest twój. Graj – głos Gallaghera brzmiał żartobliwie i poufale, jakby się znali od dawna.

Zack zagrał gamę f-moll, najpierw prawą dłonią, potem lewą i w końcu obiema. Jego palce pasowały do klawiszy, jakby już kiedyś grał na tym pięknym instrumencie! Ton był zupełnie inny od tego, który wydawało pianino u pana Sarrantiniego, znacznie czystszy, nuty brzmiały o wiele wyraźniej. Jego palce zaczęły naśladować ruchy i synkopy palców Gallaghera, jazzowe rytmy, boogie-woogie. Słyszał własną grę: starał się

odtworzyć jedną z tych wpadających w ucho melodii, które zagrał wcześniej Gallagher, tę, która brzmiała jak dziecięca piosenka – *A-Tisket, a-Tasket*. On też zrobił z tego niezdarne boogie-woogie. Gallagher podszedł ze śmiechem do fortepianu i pochylił się nad nim. Zack poczuł zapach jego oddechu, słodkawego, papierosowego.

– Dzieciaku, rany boskie! Grasz ze słuchu, prawda? Bomba!

Ogromne dłonie Gallaghera ułożyły się obok dłoni Zacka na klawiaturze; jego ramiona opasały dziecko, nie dotykając go. Palce, które były takie długie i smukłe, mknęły od najwyższego rejestru w stronę niskiego, coraz niżej i niżej, aż wreszcie kolejne dźwięki brzmiały już zbyt głucho, by jeszcze dało się je słyszeć. Gallagher parsknął śmiechem, to było takie śmieszne, że dziecięce palce Zacka starały się naśladować jego palce, ślizgając się i wahając, uderzając w niewłaściwe klawisze, a jednak się nie poddając, przywodząc na myśl niezdarne szczeniaki, który biegnie za długonogim psem. Twarz Zacka była ciepła, robił się coraz bardziej rozochocony. Gallagher uderzał energicznie w klawisze, więc Zack walił w nie co siłą, aż w końcu poczuł, że pieką go palce. Jego podniecenie sięgało zenitu, był cały rozgorączkowany.

– Dzieciaku, ale z ciebie petarda. Gdzieś ty się taki ulągł?

Oparł podbródek na głowie chłopca. Bardzo lekko, tak jak to czasami robiła Hazel, kiedy Zack ćwiczył na kuchennym stole, a ona była w nastroju do zabawy.

– Delikatnie, mały. Nie musisz tak bębnić. Muzykę wydobywasz z instrumentu, nie wybijaszesz jej siłą. Wystarczy tylko dotykać. A potem szybko, widzisz? Lewa dłoń przeważnie wygrywa akordy. Raz-dwa-trzy-cztery. Raz-dwa-trzy-cztery. Trzymaj tempo. Trzymaj tempo. Jeśli utrzymasz tempo, to uda ci się zagrać, co tylko chcesz. *St. James Infirmary*.

Wielkie dłonie uderzały teraz w klawisze z powagą pieśni żałobnej. I nagle, ku zdumieniu Zacka, Gallagher zaczął śpiewać, opadającym, płaczkowym, nosowym głosem, sprawiając, że człowiek nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać:

*Let 'er go, let 'er go, God bless her –
Wherever she may be –
She can look this wide world over –
She'll never find a sweet man like me.*

Gallagher wrócił do stolika, do Hazel, która śmiała się i klaskała z dziecięcym entuzjazmem.

Zack pozostał przy fortepianie, zdecydowany grać jak Gallagher. Lewą dłonią akordy, prawą linię melodyczną. Te melodie były dość proste, pod warunkiem że się je znało. Raz po raz te same nuty. Zaczęło nim owładać dziwne oszołomienie, był bliski wejścia w posiadanie tajemnicy fortepianu dzięki tym nutom, które Gallagher wygrywał z taką wprawą; powoli do niego docierało, że któregoś dnia będzie umiał odtworzyć dowolną muzykę, jaką usłyszy, bo ta muzyka (jakimś tajemniczym sposobem) będzie istniała w jego palcach, tak jak zdawała się istnieć w palcach starszego mężczyzny.

Słuchał i nie słuchał swojej matki, która zwierzała się Chetowi Gallagherowi, że nie jest zadowolona z pana Sarrantiniego, który uczy Zacka grać, bo to starszy człowiek, który chyba niezbyt lubi uczyć dzieci i jest bardzo krytyczny wobec jej syna, często rani jego uczucia.

– A Zack tak strasznie się stara. To będzie cel jego życia, właśnie muzyka. Nie miał wszakże pianina w domu. Przez to niespecjalnie mógł ćwiczyć.

– Niech przychodzi do mnie – odparł prędko Gallagher. – Mam pianino, mógłby z niego korzystać. Ile będzie chciał.

– Zrobiłbyś to dla Zacka? – spytała z wahaniem Hazel.

– Czemu nie? – powiedział Gallagher. – Chłopak jest utalentowany.

Umilkli. Zack grał, powtarzając niczym echo *St. James Infirmary*. A jednak palce zawodziły go już, brakowało im pewności. Jakąś cząstką umysłu zarejestrował zalękniony głos matki:

– Ale... może go przecież opuścić, prawda? Ten talent. Talent jest jak płomień, mam rację? To nie jest nic realnego.

Zack to słyszał i nie słyszał. Nie potrafił uwierzyć, że jego matka mówi o nim takie rzeczy, że zdradza go przed kimś obcym. Nie chwaliła się nim przez całe lata? Nie nakłaniała go, żeby grał na pianinie w obecności obcych ludzi, w nadziei, że będą go oklaskiwać? To ona się upierała przy tych lekcjach z panem Sarrantinim. Nieraz mówiła Zackowi, że jego palce któregoś dnia będą warte fortunę. Więc skąd teraz takie wątpliwości? I dlaczego dzieli się z samym Chetem Gallagherem! Zezłoszczony walił w wysokie klawisze i towarzyszące im akordy. Zgubił tempo. Chrzanić tempo. Jego palce były teraz niemalże na oślep. Słyszał swoją matkę i jej nowego przyjaciela, którzy gadali w najlepsze ściszonymi głosami, jakby nie chcieli, by ich słyszał, ale on też nie chciał słuchać tego, co mówiła Hazel.

– Ja... ja chyba nie mogłabym, panie Gallagher. To znaczy Chet. To nie uchodzi.

– Nie uchodzi? – odparował Gallagher. – W czyich oczach, do diabła? – A kiedy Hazel mu nie odpowiedziała, dodał z większą sympatią: – Jesteś mężatką, Hazel? O to chodzi?

Teraz już Zack robił wszystko, żeby nie słuchać. Głos matki był ledwie słyszalny, zakłopotany.

– Nie.

– Rozwódką?

Palce Zacka szukały po omacku klawiszy, mozolnie klecąc melodię. Szukając melodii. Dziwne, że jak już się raz zgubiło melodię, to ona przepadała bez śladu, mimo że kiedy się ją miało, nic nie wydawało się równie łatwe i naturalne. Ciężyły mu powieki, był taki strasznie zmęczony! Słyszał, jak jego matka w tej wykwintnej sukni z purpurowego dżerseju wyznaje Gallagherowi, że nie jest ani mężatką, ani rozwódką, że nigdy nie wyszła za mąż.

Zack wiedział, że to jest coś, czego należy się wstydzić. Że jest się kobietą z dzieckiem, bez męża. Nie miał pojęcia, dlaczego tak jest. Już same te słowa „samotna matka”, wymówione osobliwie insynuującym tonem, prowokowały szyderczy śmiech. W szkole starsze dzieci mu dokuczały, pytając, czy on ma ojca, gdzie jest jego ojciec, a on im wtedy odpowiadał, że jego ojciec umarł, tak jak poinstruowała go mamusia, i uciekał przed nimi, od ich okrutnych, drwiących twarzy, odwracał się i desperacko uciekał. Mamusia go pouczała, że nie powinien uciekać, bo wtedy będą go ścigać jak sfora psów, mimo to nie umiał inaczej, bał się, że będą za nim krzyczeli z radością i podnieceniem, obrzucając go kawałkami lodu. Dlaczego oni go tak nienawidzili, dlaczego krzyczeli na niego „Jones”, jakby to nazwisko było czymś brzydkim?

Mamusia mówiła, że mu zazdrozczą. Mówiła, że on jest kimś wybitnym, że ona go kocha, a ich nikt nie kocha tak jak ona jego, dlatego więc mu zazdrozczą i również dlatego, że Zacharias jest naprawdę kimś wybitnym i któregoś dnia cały świat się o tym przekona.

– Hazel, na litość boską, to nie ma znaczenia – powiedział Gallagher.

– To ma znaczenie. W oczach ludzi.

– Nie w moich.

Zack nie patrzył na nich. Mimo to zauważył, że ten mężczyzna położył swoją wielką dłoń na dłoni Hazel, ułożonej na cynkowanym blacie stolika. A potem pochylił się jeszcze niezdarnie, by dotknąć wargami czoła Hazel Jones. Zack uderzał w klawisze lewą dłonią, coraz niżej i niżej. I potem w te najwyższe, wydając dźwięki przypominające nerwowe ćwierkanie ptaka. Wydawało mu się, że zna tyle tych cholernych melodii, a teraz je wszystkie pogubił. I stracił tempo. Jego palce łomotały w klawiaturę, wykrzywione na kształt szponów, uderzały w dziesięć klawiszy naraz, tak jak mogłoby to robić zwyczajne dziecko o burzliwym usposobieniu, bębniły w klawiaturę, z której nie płynęła już żadna melodia, w górę i w dół klawiatury, naśladując łoskot gromu.

– Zack! Przestań, kochanie.

Hazel podeszła do niego, schwyciła go za rękę.

Światła w barze gasły, barman wyszedł, na nich też była już pora. Chet Gallagher wstał, okazując się wyższy, niż Zack to sobie wyobrażał, przeciągnął się energicznie jak wielki kocur, ziewnął.

– Chodźcie. Odwiozę was do domu, Jonesowie.

Pomogli mu się wtarabanić na tylne siedzenie samochodu. Taki wielki samochód, szeroki jak łódź! Tylne siedzenie było wyściełane niczym sofa. Oczy same mu się zamykały, strasznie chciało mu się spać. Zgodnie ze świecącym na zielono zegarem w desce rozdzielczej była druga czterdzieści osiem. Mamusia siedziała z przodu, obok pana Gallaghiera. Ostatnią rzeczą, jaką Zack usłyszał, były jego słowa:

– Hazel Jones, to była najszcześniejsza noc w moim beznadziejnym życiu. Jak dotąd.

Pod koniec zimy 1963 roku przeprowadzali się z Malin Head Bay do Watertown. Znowu „zawsze w drodze”, tylko inaczej. Już nie biedni i zrozpaczeni, już nie autobusem Greyhonda, tylko wygodnym cadillakiem, rocznik 1959, szerokim i sunącym po drodze płynnie jak łądz.

– Mamy teraz nowe życie. Porządne życie. Nikt nas tutaj nie znajdzie!

Wszystko zostało załatwione podczas jednego, nerwowego weekendu: Hazel miała się zatrudnić jako sprzedawczyni w sklepie Pianina i Artykuły Muzyczne braci Zimmerman w Watertown. A Zack miał pobierać lekcje pianina u starszego z braci Zimmerman, który udzielał lekcji tylko poważnym uczniom.

Z Malin Head Bay przenieśli się czterdzieści mil na południe, do znacznie większego miasta Watertown, gdzie nikogo nie znali. Z zagraconego, cuchnącego mieszkania nad apteką przenieśli się do dwupokojowego mieszkania ze ścianami świeżo pomalowanymi na biało, na pierwszym piętrze kamienicy na Washington Street, w odległości pięciu minut od sklepu.

Hazel Jones sama płaciła czynsz. Nie pan Gallagher. Jej pensja u braci Zimmerman była niemal trzy razy wyższa niż pensja bileterki w Bay Palace Theater.

– Sprzedając muzykę, sprzedajesz piękno. Odtąd będę sprzedawała piękno.

Zack miał w końcu pobierać poważne lekcje pianina. Miał dostać własne pianino. Był teraz dzieckiem-nie-dzieckiem.

Z podstawówki na Bay Street przeniesiono go do nowej szkoły. I zapisano go do drugiej klasy. Istniała też możliwość, że przeniosą go do jeszcze wyższej klasy, jeśli nadal będzie osiągał takie znakomite wyniki.

Któregoś dnia pan Gallagher zawiózł Zacka i jego matkę do szkoły w Watertown, gdzie Zack spędził kilka godzin na testach: z czytania, z pisania, arytmetyki, rozpoznawania figur geometrycznych. Testy nie okazały się trudne, Zack prędko je skończył. Później poszedł na rozmowę z dyrektorem szkoły i tu również poszło mu chyba świetnie.

To wszystko też musiał załatwić Chet Gallagher. W każdym razie mamusia dała do zrozumienia, że tak było. Zapewniła Zacka, że będzie bardzo szczęśliwy w nowej szkole, szczęśliwszy niż w starej.

– Pani Jones, czy ma pani metrykę urodzenia syna?

– Owszem, mam.

Tego dokumentu wymagano w Watertown od wszystkich dzieci, które chciały się zapisać do jednej z tamtejszych szkół. Metryka urodzenia Zacka stwierdzała, że Zacharias August Jones urodził się 29 listopada 1956 roku w Port Oriskany w stanie Nowy Jork. Jego rodzice nazywali się Hazel Jones i William Jones (już nieżyjący).

Ta metryka wygląda na nową, bo to odpis, wyjaśniła Hazel dyrektorowi. Oryginał przepadł wiele lat wcześniej w pożarze domu.

Do widzenia, Malin Head Bay! Gdyby starsze dzieci tak go nie zadreęcały, a pan Sarrantini bardziej zachęcał, Zack lubiłby tamto życie w starym mieście nad rzeką.

Spacery po kamienistej plaży z mamusią, tylko oni dwoje. Śnieżne dni spędzane w domu, tylko oni dwoje. I tamta noc w Malin Head Inn, która zmieniła ich życie.

Chet Gallagher był przyjacielem mamusi i Zacka też. Ledwie mamusia i Zack wprowadzili się do nowego mieszkania w Watertown, pojawiła się możliwość, że znowu będą się przeprowadzali: do domu, który pan Gallagher miał kupić albo już kupił.

Zbyt podekscytowany, by zasnąć, Zack leżał nieruchomo na łóżku, przysłuchując się dorosłym, którzy rozmawiali w drugim pokoju w nowym mieszkaniu.

Słyszał ich przez ścianę. Jego palce podrygiwały, wygrywając nuty na niewidzialnej klawiaturze.

Bo mowa to coś w rodzaju muzyki. Same słowa mogą brzmieć niewyraźnie, najważniejszy jest ich ton, ich rytm.

... ale nie chciałabyś, Hazel?

Tak, ale...

Co?

To nie uchodzi. Gdyby...

Gówno prawda. To nie jest żaden powód.

Ludzie by gadali.

A kogo to obchodzi, czy będą gadali? Jacy ludzie? Kto w ogóle cię tutaj zna?

Znają mnie u Zimmermana. I znają ciebie.

I co z tego?

I jest jeszcze Zack.

No to go zapytajmy.

Nie! Błagam, nie budź go, tylko by się zdenerwował. Wiesz, jak on cię podziwia.

No cóż, a ja jego. To fantastyczny dzieciak.

Tyle już przeszedł, a ma dopiero sześć lat...

Chcesz ślubu, Hazel? O to chodzi?

Ja... ja nie wiem. Chyba nie...

No to wyjdź za mnie. A co ci wisi?

W zasadzie się nie kłócili. Hazel Jones, zawsze łagodna i szczerą, nie była kimś, kto się kłóci. Kiedy się słuchało Hazel Jones, jej rzewnego, błagalnego głosu, to jakby się słuchało piosenki z radia. To Gallagher, mężczyzna, był tym, który niespodziewanie tracił panowanie nad sobą. Zwłaszcza gdy pił. A często przychodził do Hazel Jones już pijany. Nieraz tak było, że Zack odpływał właśnie w sen, kiedy budził go zniecierpliwiony głos Gallaghera, łomot jego pięści, szuranie krzesła gwałtownie odsuwanego od stołu, potem głośnie przekleństwo i Gallagher szedł w stronę drzwi, ścigany przez głos Hazel Jones, który błagał: *Chet, proszę. Chet!* A jednak Gallagher oddalał się niczym kaskada nut na klawiaturze, nie pozwalając się zatrzymać, oddalał się ciężkimi krokami, które brzmiały na schodach, z tą swoją urażoną, męską dumą, i nie wracał przez wiele dni, zaszywał się w Malin Head Bay i nawet nie dzwonił, by powiadomić Hazel Jones, że ma prawo wyjść z jej życia tak, jak w nie wszedł, bo przecież ma prawo dowolnie wchodzić w życie każdej kobiety i potem z niego wychodzić, jak mu się podoba.

– Bo ja nie jestem kurwą. Nie jestem.

Gallagher zapewniał, że małe pianino, które kupił Zackowi, było z drugiej ręki, że skorzystał z okazji. Że kupił je z rabatem u Zimmermanów. To prezent dla chłopca, podkreślał Gallagher, Hazel nie musi czuć się dłużna.

– To nie jest Steinway, tylko zwykły Baldwin. Naprawdę, Hazel. Wcale nie kosztowało dużo.

Klawisze nie były z kości słoniowej, tylko z bardzo białego plastiku. Obudowa nie z drewna, tylko z okleiny, ale za to bardzo gładkiej, o barwie teku. Było tej samej wielkości co sfatygowane pianino w gimnazjum na Bay Street, ale wydawało znacznie czystszy ton. Zack był oszołomiony podarunkiem. Z początku wydawało się, że wręcz się przed nim wzdraga, nie był w stanie do niego zasiać. Hazel dostrzegła w twarzy dziecka paniczne przerażenie dorosłej kobiety. Zack zaczął płakać, zachowując się zupełnie inaczej niż każde normalne dziecko w takich okolicznościach.

Czuje brzemień tego prezentu, pomyślała z niepokojem Hazel. Boi się, że nie jest go wart.

Pianino zostało dostarczone na nazwisko Zachariasza Jonesa. Na kartce umocowanej w widocznym miejscu do pianina widniały bazygroły Gallaghery:

Graj, jak ci podpowie serce, Zack!
(To ja dziękuję)
Twój przyjaciel, C G

– Najbardziej spodoba ci się to, Hazel, że ma dwa wejścia: będziemy mogli tam wchodzić i wychodzić, nie widując się tygodniami.

Tak opowiadał Gallagher o domu, który właśnie kupował w Watertown.

Dziecko ją podsłuchiwało, czego nie znosiła. Prywatne życie mamusi to nie był jego interes. Trącało ją łokciem, tak mocno, że aż bolało.

– Ale dlaczego, mamusiu? To ty nie lubisz pana Gallaghery?

Hazel odpowiedziała na to wymijająco:

– Ależ lubię pana Gallaghery.

A jednak dziecko drażyło dalej, błagalno-napastliwym tonem, jak przystało na małego uparciucha:

– Jest naprawdę miły, prawda? Mamusiu?

– Mężczyzna może wydawać się miły, Zack. Dopóki z nim nie zamieszkaś.

Tu między matką a dzieckiem przemknął cień „tamtego człowieka”. W ich rozmowach „tamten człowiek” nie miał imienia i Hazel, chcąc nie chcąc, zastanawiała się, czy Zack pamięta jeszcze imię swojego ojca.

To było imię, którego nie wymawiało się na głos. A jednak nawiedzało ją w chwilach słabości.

Niles Tignor.

Zastanawiała się, czy Zack pamięta własne pierwsze imię. Tyle razy wymawiane głosem mamusi, z miłością.

Niley.

Jakby jakimś sposobem Niley był jej pierworodnym. A ten starszy, bardziej trudny i uparty Zacharias, był drugim dzieckiem, którego nie potrafiła kochać równie mocno.

Wiedziała, że Zacharias wyrasta z niej powoli. Jego przywiązanie przenosiło się z mamusi na dorosłego mężczyznę w ich życiu, na Gallaghera. Podejrzewała, że tego nie da się uniknąć. A jednak musiała chronić syna, tak samo jak musiała chronić siebie.

– Chyba nie jesteśmy gotowi, żeby zamieszkać z mężczyzną – mówiła, gładząc go po ciepłym czole. – Chyba nie możemy zaufać mężczyźnie. Jeszcze nie.

Hazel nie lubiła tak się zwierzać swojemu dziecku, bała się, że będzie tego żałowała.

– Ale kiedy, mamusiu?

– Może kiedyś. Nie mogę obiecać.

– W przyszłym miesiącu? Za tydzień?

– Na pewno nie za tydzień. Powiedziałam...

– Pan Gallagher mi mówił...

– Nieważne, co ci powiedział pan Gallagher, on nie ma prawa rozmawiać z tobą za moimi plecami.

– To nie było za twoimi plecami! On mi to powiedział!

Zack nagle się zezłościł. To było jak pstryknięcie palcami, tak szybko to dziecko potrafiło wpadać w złość. Koniecznie chciało wiedzieć, dlaczego nie mogą mieszkać z panem Gallagherem, skoro on ich chciał! Nikt inny ich nie chciał! Nikt inny nie chciał się z nimi ożenić! Przecież pan Gallagher kupował ten dom dla nich! Hazel była zdumiona na widok wściekłości na rozgorączkowanej twarzy syna, na twarzy tak wykrzywionej, że przypominała pięść, i groźby przemocy w jego piąstkach, którymi gwałtownie gestykulował. *On chce mieć ojca. Myśli, że odgradzam go od ojca.*

Próbowała przemawiać spokojnie. Hazel Jones nie miała zwyczaju reagować emocjonalnie na cudze emocje.

– Kochanie, to nie jest twoja sprawa. To, co jest między panem Gallagherem a mną, to nie jest twoja sprawa. Jesteś tylko dzieckiem.

Teraz Zack był już autentycznie wściekły. Krzyczał z oburzeniem, że wcale nie jest dzieckiem, że, cholera, nie jest jakimś głupim dzieckiem i już.

Wyrwał się z jej objęć i uciekł od niej, cały się trzęsąc. Nie uderzył jej pięściami, tylko odepchnął się od niej, jakby jej nienawidził, wtargnął jak burza do swojego pokoju i zatrzasnął jej drzwi przed nosem, podczas gdy ona tylko patrzyła za nim, oszołomiona i wstrząśnięta.

Atak złości przeminął w końcu. Zack wyszedł ze swojego pokoju i natychmiast zasiadł do pianina. Tego dnia ćwiczył już dwie godziny. Teraz zamierzał kilkakrotnie odegrać to, co pan Zimmerman zadał mu do domu, a potem przyznać sobie nagrodę (Hazel przypuszczała, że taka właśnie stoi za tym logika, taki układ) w postaci grania dowolnych utworów, bardziej rozbudowanych kompozycji z *Nowoczesnego kursu nauki gry na pianinie* Johna Thomsona albo jazzu, jakiegoś boogie-woogie, czegoś w stylu Cheta Gallaghera.

– Zagraj *Saw'n' All My Love For You* – wdzięczyła się do niego Hazel.

Może. Może zagra.

Hazel uspokoiła się, słysząc syna przy pianinie. Szykowała kolację dla nich dwojga. Nawet wtedy, gdy Zack grał głośno, niedbale, albo gdy kompulsywnie powtarzał sekwencje niektórych nut, jakby chciał ukarać siebie i ją, myślała: *Jesteśmy w najlepszym miejscu na świecie, to Hazel Jones nas tutaj sprowadziła.*

Sprzedając muzykę, sprzedajesz piękno.

Hazel Jones nigdy w życiu nie była taka dumna ze swojej pracy. Nigdy się tak często nie uśmiechała, nie egzaltowała. Jej młoda twarz promieniała wewnętrznym światłem niczym lustro, w którym odbija się okrucieństwo słońca. Często gwałtownie mrugała, jakby walczyła ze łzami wdzięczności, niedowierzania.

Sklep braci Zimmerman był starą firmą, mieszczącą się w eleganckiej, acz podniszczonej kamienicy na South Main Street, w częściowo mieszkalnej, częściowo handlowej dzielnicy pełnej imponujących, starych gmachów i małych sklepików. Każdy, kto podszedł do tego sklepu, zwracał przede wszystkim uwagę na urokliwe wykuszowe okno wystawowe, w którym zawsze stał wielki Steinway. O zmierzchu i w mroczne, zimowe dni okno było podświetlone i wtedy fortepian cały lśnił.

Hazel zatrzymała się, by popatrzeć. Ten fortepian był taki piękny, że aż zrobiło jej się słabo. Znowu naszała ją myśl: *Żaden z nich cię tutaj nie znajdzie.*

Miała na myśli Milburn. Tamto życie. Była córką grabarza, która miała umrzeć w wieku trzynastu lat, a tymczasem zbliżały się już jej dwudzieste siódme urodziny i wciąż żyła.

Jej życie! Co za żart! Gallagher, ten dobry, przyzwoity i miły człowiek, uważał, że ją kocha, a przecież nic o niej nie wiedział.

Poczuła wyrzuty sumienia, że go oszukuje. Ale o ileż silniejsze było to dziwne zadowolenie, od którego kręciło jej się w głowie.

Zwłaszcza wczesnym rankiem, kiedy szła do sklepu muzycznego, wsłuchana w stukot swoich wysokich obcasów na chodniku, w to energiczne staccato pantofli Hazel Jones, ni stąd, ni zowąd przypominał jej się kamienny domek na cmentarzu. Jej bracia, Herszel, August. Ile mieliby lat, gdyby jeszcze żyli? Herszel miałby dobrze po trzydziestce, August niewiele mniej. Zastanawiała się, czyby ich rozpoznała. Czy oni rozpoznaliby ją w Hazel Jones.

Wierzyła, że byliby z niej dumni. Obaj bracia lubili ją. Życzyliby jej dobrze – prawda? Herszel kręciłby głową z niedowierzaniem. Ale wiedziała, że byłby szczęśliwy z powodu Hazel Jones.

I byli jeszcze dorośli Schwartowie.

Jakub Schwart byłby zachwycony sklepem Zimmermanów. Już samym wyglądem budynku, wystawą. Poza tym to był duży sklep, w którym w tle stale grała muzyka klasyczna, a posadzka w sali z pianinami i fortepianami była wyłożona parkietem. Mimo że Jakub Schwart gardził Niemcami. Tak samo jak gardził tymi, którym się wiodło. Jakub Schwart zawsze drwił, umniejszał wszelkie osiągnięcia swojej córki.

Jesteś ignorantką. Nie wiesz nic o tym piekielnym świecie.

A jednak Hazel Jones wiedziała dużo. Za to w Watertown nikt nic nie wiedział o wiedzy Hazel Jones.

Anna Schwart byłaby z niej dumna! Jej córka pracowała w sklepie, w którym sprzedawali pianina i fortepiany! Aczkolwiek Hazel Jones, podobnie jak innym

sprzedawczyniom, nie powierzano sprzedaży pianin: to była domena Edgara Zimmermana.

Hazel sprzedawała podręczniki do nauki muzyki, nuty, płyty z muzyką klasyczną. Takie instrumenty jak gitary czy ukulele. Ponadto sklep braci Zimmerman był głównym punktem sprzedaży biletów na lokalne koncerty, recitale oraz inne wydarzenia muzyczne i ten towar Hazel też sprzedawała z dumą. Czasami dawano jej dwa darmowe bilety na którąś z imprez; szła na nią razem z Zackiem.

– Nowe życie, Zack. Zaczęliśmy nowe życie.

By uczcić to nowe życie, Hazel często wkładała białe rękawiczki, gdy szła do pracy. Ponadto, idąc za przykładem olśniewającej, brylującej towarzysko żony prezydenta Kennedy'ego, czasami wkładała czarny, płaski kapelusz z woalem jak mgiełka. Rękawiczki i kapelusz zdejmowała zaraz po wejściu do sklepu. Oczywiście nosiła też buty na szpilkach oraz nylonowe pończochy bez oczek i zawsze wszystko miała idealnie wyprasowane, przez co wyglądała jak modelka z reklamy. Sięgające za uszy włosy farbowała teraz na intensywny kasztanowy kolor, były tak czyste i mocno wyszczotkowane, że aż trzaskały jak naładowane elektrycznością.

Tuż przy linii włosów miała ukryte pod grzywką drobne, białe blizny. Nikt ich nigdy nie widział, oprócz syna. A syn najprawdopodobniej już o nich zapomniał.

Oprócz niej bracia Zimmerman zatrudniali jeszcze dwie kobiety: piersiastą Madge oraz Evelyn, obie w średnim wieku. Madge była sekretarką Edgara Zimmermana, który zarządzał sklepem, a także trochę pomagała w księgowości. Evelyn z kolei zajmowała się sprzedażą podręczników i nut, przez co znali ją wszyscy nauczyciele muzyki w hrabstwie. Obie nosiły bezkształtne, czarne sukienki, a do nich rozpinane sweterki udrapowane na ramionach. Były dość niskie, niewiele ponad pięć stop. Inaczej niż wysoka i przystojna Hazel Jones, której ubrania zawsze korzystnie uwydatniały figurę. Nie miała tych ubrań w nadmiarze, ale potrafiła sprytnie różnicować swoje „stroje”: długa, plisowana, czarna spódnica z dopasowanym bolerkiem haftowanym w różyczki, długa spódnica z szarej flaneli z kontrafałdą z tyłu i ściągana czarnym, elastycznym paskiem, kobiece, przezroczyste bluzki, szydełkowe sweterki z maleńkimi kamykami albo perełkami, opięte sukienki z błyszczących materiałów. Za szklaną ladą Hazel przypominała czasem ozdobę choinkową, całą skrzącą się niewinnością. Jej chlebodawca, Edgar Zimmerman, przeżył szok, gdy wreszcie zauważył, że kiedy jakiś klient wchodzi do sklepu, to zerka przelotnie na Evelyn, potem na Madge, jeśli ta akurat jest w pobliżu, i wreszcie na Hazel, po czym bez wahania idzie w jej stronę, a ona z kolei wychodzi mu naprzeciw z zadziorną miną i wyczekującym uśmiechem.

– Witam pana! W czym mogę pomóc?

Zdarzało się, że Hazel za ladą demonstrowała niepokój. Jakby słyszała, że ktoś woła ją z daleka po imieniu, albo za oknem wystawowym zauważyła przechodnia, który wzbudził w niej lęk.

– Hazel? Coś się stało? – pytał Edgar Zimmerman, jeśli uważał, że w tym momencie nie jest wścibski, ale Hazel Jones natychmiast budziła się z transu i zapewniała z uśmiechem:

– Ależ skąd! Absolutnie nic, panie Zimmerman. Ktoś mnie chyba wspomina, bo mam czerwone uszy.

Ta uwaga była taka głupia, taka bezsensowna, że Edgar Zimmerman, chcąc nie chcąc, wybuchał śmiechem.

Strasznie śmieszne! Hazel Jones miała ten rzadki dar, że przy niej podstarzały, melancholijny z natury dżentelmen śmiał się jak dorastający chłopak.

Tylko Edgar Zimmerman sprzedawał pianina. (Jego bardziej wybitny brat Hans nie brał udziału w sprzedawaniu, bo gardził „finansami”. Pojawiał się w sklepie tylko po to, by nauczać wybranych uczniów.) A jednak Hazel Jones często przebywała w sali z pianinami i fortepianami, gotowa odkurzać, pucować i polerować te piękne, połyskliwe instrumenty. Z czasem wręcz pokochała charakterystyczny zapach specjalnego gatunku pasty cytrynowej, którą upodobali sobie Zimmermanowie, drogi niemiecki produkt również sprzedawany w sklepie. Z czasem pokochała zapach prawdziwej kości słoniowej. Bracia Zimmerman kupili nawet staroświecki klawesyn, niewielki, ale za to przepiękny instrument z drzewa wiśniowego, pozłacany i intarsjowany macicą perłową; Hazel podziwiała go szczególnie. Niewykluczone, że Edgarowi Zimmermanowi, niskiemu, eleganckiemu wdowcowi o siwych, gęstych włosach rosnących rzadkimi kępkami i spiczastej bródce, którą gładził nawykowo, schlebiał ten entuzjazm najmłodszej pracownicy, bo nieraz wdawał się z nią w ożywione rozmowy; często szukał właśnie Hazel Jones, a nie Madge czy Evelyn, by asystowała mu podczas sprzedaży.

– Pani uśmiech, Hazel Jones! On przekona każdego klienta.

To był ich wspólny żart, dość śmiały jak na Edgara Zimmermana. Wypowiadał go, gładząc z nieświadomym zapalem swoją spiczastą bródkę.

Edgar Zimmerman sam też był pianistą, nie takim utalentowanym jak jego brat Hans, ale bardzo wprawnym; demonstrował pianina klientom, grając ulubione utwory Schuberta, Chopina, burzliwe otwarcie *Preludium cis-moll* Rachmaninowa i romantyczne, rzewne adagio *Sonaty Księżycowej* Beethovena. Edgar twierdził, że w zamierzchłych czasach słyszał Rachmaninowa osobiście grającego owo *Preludium* w Carnegie Hall na Manhattanie. Niezapomniany wieczór!

– Ale raczej nie słyszał pan Beethovena? – spytała, uśmiechając się szelmowsko. – To znaczy w Niemczech? Domyślam się, że żył znacznie dawniej?

Edgar roześmiał się.

– No jakże, Hazel! Beethoven umarł w roku 1827.

– A kiedy pana rodzina przyjechała do tego kraju, panie Zimmerman? Pewnie dawno temu?

– Istotnie, dawno temu.

– Przed wojną?

– Przed obiema wojnami.

– Pewnie miał pan krewnych w Niemczech. Przecież Zimmermanowie pochodzą właśnie z Niemiec, prawda?

– Tak. Ze Stuttgartu. To piękne miasto. A raczej było piękne.

– Było?

– Stuttgart został zniszczony podczas wojny.

– Której wojny?

Edgar Zimmerman zobaczył, że Hazel uśmiecha się do niego, choć już nie z taką pewnością. Była teraz nieśmiałą uczennicą, owijającą pasmo włosów wokół palca i błyskającą przy tym pomalowanymi na czerwono paznokciami.

– Któregoś dnia, Hazel – powiedział – może pani zwiedzi Niemcy. Zostało tam jeszcze trochę zabytków.

– Och, bardzo bym chciała, panie Zimmerman! Może pojedę tam na swój miesiąc miodowy.

Oboje się roześmiali. Edgar Zimmerman czuł, że kręci mu się w głowie, jakby zaczęła się pod nim chybotać podłoga.

– Hazel, wiele z tego, co mówiono o Niemczech, o Niemcach, to była jedna wielka przesada. Amerykanie uwielbiają przesadę, bo czerpią z niej zyski. Weź takie Hollywood, to zrozumiesz. Wszystko, byle tylko sprzedawać bilety! My, Niemcy, zostaliśmy wszyscy ocenieni jedną miarką.

– A kto was tak ocenił, panie Zimmerman?

Edgar przysunął się do Hazel, nerwowo gładząc bródkę. Byli sami w przestronnej sali pianin.

– *Juden*. A któż by inny?

Edgar zaśmiał się gorzko. I nagle dotarło do niego, że nie panuje nad tym, co mówi; ta naiwna, piękna dziewczyna wpatrywała się w niego zognionymi oczyma.

– *Juden?*

– To znaczy Żydzi...

Hazel miała strasznie dziwną, zakłopotaną minę i Edgar pożałował teraz, że poruszył ten cholerny temat, który zawsze z jakichś niewytłumaczonych powodów wywoływał nadmiar emocji.

– Tak wszyscy twierdzą – odparł zniżonym głosem. – Że oni... że Żydzi... chcieli podburzyć świat przeciwko nam. Swoją propagandą o obozach śmierci.

Hazel nadal zdawała się nic nie rozumieć.

– Jakim „nam”, panie Zimmerman? Ma pan na myśli nazistów?

– Nie nazistów, Hazel! Skądże. Mówię o Niemcach.

Był teraz bardzo podekscytowany, jego serce biło niczym jakiś obłąkany metronom. Ale na szczęście na progu pojawiła się Madge, chcąc przywołać Edgara do telefonu.

Już nigdy potem nie poruszali między sobą tego tematu.

– Hazel Jones, dzięki tobie wszyscy czujemy się młodo. Tylko Bogu dziękować za takich ludzi jak ty.

To był pomysł Hazel, by przynosić kwiaty i ustawiać je w wazonach, na najpiękniejszych pianinach i fortepianach w sali wystawowej. To był pomysł Hazel, by zorganizować loterię biletową na coroczny recital uczniów Hansa Zimmermana, organizowany zawsze w maju, i żeby oferować gratisowe bilety tym klientom, którzy co miesiąc wydawali w sklepie jakąś kwotę. Czemu nie reklamy w telewizji, a nie tylko w radio? I dlaczego nie sponsorować konkursu młodych pianistów, to byłaby taka znakomita reklama dla braci Zimmerman...

Hazel brakowało tchu, kiedy wygłaszała swoje pomysły. Starsi pracownicy sklepu uśmiechali się ze zdumieniem.

To właśnie wtedy Madge Dorsey wygłosiła uwagę, że dzięki Hazel Jones oni wszyscy czują się młodo. I że dziękować Bogu za takich ludzi jak ona.

– „Takich ludzi jak ja?” To znaczy jakich?

Hazel zdawała się droczyć, człowiek nigdy nie wiedział, do czego ona zmierza. Jej dziewczęcy śmiech był zaraźliwy.

Madge postanowiła wtedy, że przestanie nienawidzić Hazel. Przez te kilka tygodni od czasu, gdy nowa sprzedawczyni – której nie tylko brakowało doświadczenia w sprzedawaniu, ale która kompletnie się nie znała na muzyce – została zatrudniona przez Edgara Zimmermana, Madge czuła w sobie nienawiść, rozkwitającą gdzieś w okolicach łona niczym prędko rozrastający się rak. A jednak nienawiść do Hazel Jones była porównywalna z nienawiścią do długo oczekiwanej odwilży na północy stanu Nowy Jork! Nienawiść do Hazel Jones była jak nienawiść do ciepłego, oślepiającego potoku promieni słonecznych! Madge musiała też przyznać, że jest w tym coś jałowego: Edgar Zimmerman zatrudnił tę dziewczynę i Edgar Zimmerman najwyraźniej się nią zachwycił.

Evelyn Steadman, sprzedawczyni w sklepie braci Zimmerman od dwudziestu dwóch lat, potrzebowała więcej czasu, by dać się uwieść osobowości Hazel Jones. W wieku pięćdziesięciu czterech lat Evelyn wciąż była panną, którą przepełniała malejąca, acz wciąż pielęgnowana nadzieja, że sześćdziesięcioletni Edgar Zimmerman, wdowiec od dwunastu lat, zniemacka zainteresuje się nią uczuciowo.

A jednak Hazel Jones wygrała. *Zmuszę was, żebyście mnie pokochali! Bo dzięki temu nigdy nie przyjdzie wam do głowy, żeby mnie skrzywdzić.*

– Jak sobie radzi Hazel, Edgar? Masz jakieś powody do narzekań?

Kilka tygodni po tym, jak Hazel zaczęła pracować u braci Zimmerman, Chet Gallagher zaczął tam wpadać późnymi popołudniami, o zimowym zmierzchu, tuż przed zamknięciem sklepu. Pojawiał się jakby znikąd. Zimmermanowie go znali i znali go chyba także Madge i Evelyn, bo rozpromieniały się na jego widok. Hazel dla odmiany zawsze przeżywała szok. Nie miała pojęcia, że Gallagher jest w mieście i że planuje zaskoczyć ją zaproszeniem na kolację; często nie dzwonił do niej przez kilka dni, w następstwie jakiegoś wybuchu złości.

W takich sytuacjach Gallagher wchodził do sklepu uśmiechnięty, wylewny i bardzo opanowany. Nosił drogi, wymięty płaszcz z wielbłądziej wełny, jego wysokie czoło błyszczało od potu, a włosy opadały niechlujnie na kołnierzyk. Często nie golił się przez kilka dni i jego szczęka lśniła, jakby była obsypana metalowymi opiłkami. Hazel czuła urok, jaki roztaczał wokół siebie jej przyjaciel, widziała zamęt, jaki wywoływał każdym swoim gestem. W gustownie urządzonej Pianina i Artykuły Muzyczne stojący na wypastowanym parkiecie Gallagher wydawał się jakby większy niż normalnie, niczym postać, która zstąpiła tam z ekranu kinowego. Bardzo gorąco witał Edgara Zimmermana, z zapalem potrząsając drobną dłonią tamtego. Zdawał się nawet cieszyć z zainteresowania Madge Dorsey i Evelyn Steadman, które uwijały się wokół niego, tytułując go „panem Gallagherem” i błagając, żeby zechciał coś zagrać.

– Tylko kilka minut, panie Gallagher. Prosimy!

To była scena tętniąca życiem. Jeśli tego dnia przez sklep przewinęło się niewielu klientów, pojawienie się Cheta Gallaghiera jakby dodawało mu żywszych akcentów na samo zakończenie. Wszystko wskazywało na to, że ten pianista jazzowy to miejscowa sława, bardzo przez wszystkich lubiana.

Zerkał na Hazel z ironiczną miną: *Widzisz? Chet Gallagher to gruba ryba w niektórych kręgach.*

Hazel usuwała się na bok, nie czując się zbyt komfortowo. Kiedy Gallagher pojawiał się w taki sposób, jej obowiązkiem było okazanie zadowolenia i zaskoczenia

jednocześnie. Jej twarz musiała się rozpromienić. Musiała podbiegać do niego w swoich pantoflach na szpilkach, pozwalać mu uściskać sobie dłoń. Nie mogła stać z tyłu. Nie mogła go zranić. To był człowiek, który zapłacił za jej przeprowadzkę do Watertown, który pożyczał jej pieniądze na rozmaite cele, w tym na kaucję za mieszkanie. (To były pożyczki bez procentu. I mogła bardzo długo zwlekać z ich spłaceniem.) Gallagher upierał się, że nie powinna się czuć zobowiązana, bo przecież wszyscy troje się przyjaźnią, ale Hazel uważała, że to kłopotliwa sytuacja. Gallagher stawał się coraz bardziej nieprzewidywalny: przyjeżdżał z Malin Head Bay do Watertown pod wpływem impulsu, żeby tylko ją zobaczyć, i odjeżdżał do Malin Head Bay jeszcze tego samego wieczoru, z kolei innymi razy potrafił się nie zjawić w Watertown, mimo że się z nią umówił, bez słowa wyjaśnienia. Domagał się wyjaśnień od Hazel, ale sam nie raczył się przed nią tłumaczyć.

W sklepie muzycznym Hazel widziała, jak Gallagher wpatruje się w nią z wyrazem zakłopotanej czułości i seksualnej arogancji, i wtedy przepełniał ją lęk, odraza. *On sobie wmawia, że jestem jego utrzymanką. Że jest właścicielem Hazel Jones!*

To była maskarada. A jednak nie umiała z nią skończyć.

– Chodź dla nas zagrać, Chester! Musisz.

– Muszę? Ale gdzie tam.

Gallagher był w dzieciństwie uczniem Hansa Zimmermana. A teraz, otoczony wiankiem dorosłych ludzi wpatrzonych w niego jak w tęczę, sprawiał wrażenie małego buntownika, który w końcu dał się ubłagać i zasiadł do Steinwaya. Chwilę prostował i napręzał swoje długie palce, po czym pochylił się nagle i zaczął grać z niesłychaną subtelnością, pięknem. Hazel spodziewała się jazzu, a jednak z zaskoczeniem usłyszała muzykę zupełnie innego rodzaju.

Podziwiające go kobiety zidentyfikowały *Liebesraum* Liszta.

Gallagher grał z pamięci. Jego wykonanie było nierówne, pełne nagłych przyspieszeń i fragmentów ostentacyjnej wprawy, potem znowu pojawiały się w nim eleganckie, marzycielskie niedopowiedzenia. I potem znowu się popisował, przez co nie tylko słuchało się dźwięków płynących z fortepianu, ale także patrzyło się na dłonie i ramiona tego mężczyzny, na jego rozkołysane barki i głowę. Hazel była urzeczona, oczarowana. Gdyby ona i Zack zamieszkali z Chetem Gallagherem, to wtedy grałby tak dla nich...

Musisz kochać tego mężczyznę. Nie masz wyboru.

Czuła tu subtelny przymus. Gdyby tak Anna Schwart mogła teraz stanąć obok niej!

Ale Gallagher wygrywał czasami złe nuty. Jedne udawało mu się zamaskować, inne nie. W trakcie wirtuozerskiego pasażu w wysokim rejestrze przerwał nagle z okrzykiem „Cholera jasna!” Wstydział się, że popełnił tyle błędów. Mimo że jego słuchacze wychwalali go i namawiali, by grał dalej, Gallagher niczym uparty uczeń obrócił się tyłem do klawiatury i po omacku sięgnął po papierosa. Twarz miał zaczerwienioną, nawet jego odstające, spiczaste uszy były zaczerwienione. Hazel widziała, że jest wściekły na siebie i zniecierpliwiony Edgarem Zimmermanem, który tłumaczył kwieciste trzem kobietom:

– Musicie wiedzieć, że Chester gra *Liebesraum* w stylu samego Liszta. Przyjrzyjcie się jego dłoniom, które falują razem z nutami, przyjrzyjcie się sile jego rąk spływającej od pleców i ramion. To właśnie dzięki temu rewolucyjnemu, męskiemu stylowi Liszt zyskał

sławę, to właśnie dzięki niemu wiadomo, że pianista może dorównać swą sztuką kompozycji.

Z kolei do Gallaghera Zimmerman powiedział z ojcowską przyganą:

– Nie należało porzucać muzyki poważnej, Chester. Twój ojciec byłby z ciebie taki dumny.

– No co ty powiesz.

Gallagher wyrzucił to zimnym tonem. Zapalał nieuważnie papierosa, Hazel przestraszyła się, że iskry spadną na fortepian.

Potem jednak Gallagher zaczął się przekomarzać z Edgarem Zimmermanem, tak naprawdę przekomarzając się z samą Hazel, bo pytał, jak „leci mojej dziewczynie”. Hazel wymówiła się z zakłopotanym śmiechem. Wiedziała, że to znajomości Gallaghera z Hansem Zimmermanem zawdzięcza posadę w tym miejscu, że musi być wdzięczna Gallagherowi tak samo jak Zimmermanom i że taką wdzięczność wyrazi najlepiej, jeśli nie będzie stała beczynnym jak reszta towarzystwa. W chwili pojawienia się Gallaghera akurat zamykała kasę i teraz wróciła do tego zadania. Przez kilka kolejnych minut z ręcznie układała i zawijała monety w rulony, które potem odnosiło się do banku.

Co za żmudny, wyczerpujący rytuał! Madge i Evelyn go nie cierpiały, ale Hazel wykonywała go bezbłędnie i bez słowa skargi.

– Moja słodka Hazel. Koniec pracy.

Gallagher włożył już swój zmięty płaszcz i teraz zbliżał się do Hazel z jej płaszczem, rozpostartym niczym sieć.

Przepraszam, że cię tak nachodzę, Hazel. Pewnie nie spodziewałaś się mnie dzisiaj.

Nie.

Ale czy to ważne? Niczego przecież przede mną nie ukrywasz, prawda?

Nic nie wskazywało na to, że on mógłby ich znaleźć w tym nowym życiu.

Bo znowu się zaczęło „zawsze w drodze”, tyle że w nowy sposób. Uśmiechała się na myśl: Ale by się zdziwił, gdyby wiedział!

Pianina i Artykuły Muzyczne braci Zimmerman. Wśród kamienic na South Main Street w Watertown. Wykuszowe okno wystawowe, widoczne z lewej i prawej strony ulicy, i podświetlony fortepian Steinwaya. A na tym fortepianie, wypucowanym do połysku, wazon z wysokimi, białymi liliami.

I jeszcze kamienica na Washington Street 1722, gdzie pod numerem 26 mieszkała H. Jones z synem. Gdzie w przedsionku, obok aluminiowej skrzynki z numerem 26, wisiała biała karteczka, na której wypisano równymi literami H. JONES, w ramach ustępstwa na rzecz poczty amerykańskiej.

(Hazel wyklócała się na ten temat z listonoszem: „Nie dostaję żadnych przesyłek oprócz rachunków za gaz, prąd i telefon! Czy rachunki nie mogą być adresowane na mieszkańca numeru 26? To jest jakiś nakaz urzędowy?” Istotnie, taki był nakaz.)

Wciąż jeszcze pamiętała: hotel Watertown Plaza.

Gdzie podpisała się w książce meldunkowej jako „pani Nilesowa Tignor”. Gdzie znano ją jako „panią Nilesową Tignor”. Bardzo słabo pamiętała pokoje, w których mieszkała z Nilesem Tignorem, a już zupełnie nie potrafiła sobie przypomnieć jego twarzy, jego zachowania ani jego słów skierowanych do niej, bo nachodziła ją dziwna

mgła, podobna do tego cichego dzwonienia, które pojawiało się w (prawym) uchu pod wpływem zmęczenia. Hazel starała się unikać tego majestatycznego, starego hotelu, za to Gallagher lubił tamtejszy Steak House, gdzie wszyscy go znali i serdecznie ściskali mu rękę; zawsze, kiedy odwiedzał Watertown, uparcie ciągnął tam Hazel i Zacka i potem z upodobaniem zamawiał sobie steki, panierowane krążki cebuli i bardzo wytrawne martini. Hazel zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, mimo że pouczała się w duchu: *Nie wygłupiaj się, Tignor nie jest już agentem browaru. Wszystko skończone. Zapomniał o tobie. I nigdy nie znał żadnej Hazel Jones.* Na te wieczory w Steak House Hazel ubierała się dość wyzywająco; Gallagher miał nawyk zaskakiwania jej atrakcyjnymi „strojami” na te okazje. Z jednej strony był zazdrosny o spojrzenia, które ukradkiem kierowali w jej stronę mężczyźni, z drugiej perwersyjnie chlubił się Hazel u swego boku. Kiedy Hazel szła przez hall Watertown Plaza, między Chetem Gallagherem a Zackiem, czuła na sobie niezdrowe glissando męskich oczu, a jednak miała pewność, że nie ma tam nikogo, kto by ją znał, kto by znał Nilesa Tignora i mógł mu na nią donieść.

Była przekonana.

Kobieta otwiera ciało przed mężczyzną, a on z kolei bierze je w posiadanie jak własne.

Kiedy mężczyzna pokocha cię już w taki sposób, to potem z czasem zaczyna cię nienawidzić. Z czasem.

Żaden mężczyzna ci nie wybaczy, że cię pokochał. Bo dla niego to jest słabość.

Powtórz, dziecko.

Etiuda Czernego, dwadzieścia siedem taktów z przebiegami szesnastkowymi w tempie *allegretto* i tonacji bemolowej. Zack grał je przedtem tylko raz, z lekkim pośpiechem, lękliwie atakując klawisze, podczas gdy jego nauczyciel wystukiwał tempo ołówkiem, dokładny jak ten staroświecki metronom stojący na pianinie. Zack przynajmniej nie gubił nut ani nie wygrywał niewłaściwych. A teraz na żądanie Hansa Zimmermana zagrał etiudę jeszcze raz.

– I jeszcze raz, dziecko.

Zack znowu zagrał etiudę, przyrykując oczy, podczas gdy jego palce fruwały gwałtownie w stronę wysokiego rejestru, repetycyjnymi, płynnymi ruchami. Czekały go jeszcze całe miesiące, lata takich etiud: Czernego, Bertiniego, Hellera, Kabalewskiego. Poznawał technikę i potem cyzelował nabyte umiejętności. Kiedy już skończył grać, przez chwilę nie odejmował lekko drżących palców od klawiatury.

– Zapamiętałeś już? – Pan Zimmerman zamknął podręcznik z ćwiczeniami. – Jeszcze raz, dziecko.

Zack, tak jak przedtem na poły przyrykując oczy, odegrał etiudę, te same dwadzieścia siedem taktów z przebiegami szesnastkowymi w tempie *allegretto* i tonacji bemolowej. Tempo cztery czwarte na moment nie uległo zmianie. Żadne kompozycje ujęte w *Etiudach fortepianowych Królewskiego Konserwatorium Muzycznego* nigdy nie były zróżnicowane pod względem tempa. Kiedy skończył grać, Hans Zimmerman mruknął z aprobatą. Zdjął przybrudzone okulary, uśmiechając się do swego najmłodszego ucznia.

– Bardzo dobrze, dziecko. Zagrałeś to cztery razy, więc to nie może być przypadek, że wygrywałeś same właściwe nuty.

W Watertown w stanie Nowy Jork, dokąd sprowadził ich Gallagher. Gdzie dni powszednie były ważne, podczas gdy w Malin Head Bay nie były. Gdzie sobota była tak istotna, że piątek, dzień poprzedzający sobotę, niebawem stał się dla Zacka dniem niemal nieznośnego podniecenia i lęku: w szkole był rozkojarzony, w domu gorączkowo ćwiczył godzinami, nie chciał tracić czasu na zjedzenie kolacji i kładł się do łóżka dopiero po północy. Bo w sobotę o dziesiątej miał swoją cotygodniową lekcję z Hansem Zimmermanem.

Sobota była ulubionym dniem Zacka. Cały tydzień składał się na sobotni poranek: matka przyprowadzała go o ósmej czterdzieści pięć do sklepu braci Zimmerman, gdzie zostawali aż do wpół do czwartej, kiedy sklep zamykano.

Ile on ma lat, Hazel?

Sześć i pół.

Tylko sześć i pół! Jego oczy,..

Lekcjom Zacka ze starszym z braci Zimmerman, które czasami przedłużały się o dziesięć, piętnaście minut, podczas gdy następny uczeń czekał cierpliwie w kącie pokoju nauki, na tyłach kamienicy, zawsze towarzyszyła atmosfera podniecenia. Ale podniecające

było również to, że potem mógł zostawać i przyglądać się bardziej zaawansowanym uczniom pana Zimmermana, bo to też był sposób na przyswajanie techniki.

– Pod warunkiem że obiecasz, że będziesz siedział bardzo cicho w kącie, dziecko. Cicho jak *Maus*.

Mysz nie jest cicha, tylko nerwowa, pomyślał Zack.

Zack przyglądał się lekcjom starszych uczniów z wielkim zainteresowaniem. Bo docierało do niego, że sam kiedyś będzie uczęszczał na lekcje dla zaawansowanych. Nie wątpił, że tak będzie, pan Gallagher uruchomił sekwencję zdarzeń, a jego zaufanie do pana Gallaghery było absolutne.

On pozwala Zackowi przyglądać się innym uczniom. Czy to nie cudowne?

Jeśli to nie jest za wiele dla tego dzieciaka.

Za wiele? Jak to za wiele?

Dzieci odwracają się od muzyki, jeśli za bardzo się je przymusza.

O dziwo, nie czuł zawiści wobec innych uczniów, zazdrościł im tylko większych dłoni, większej siły. Ale przecież również on miał się takich dorobić któregoś dnia.

Co za ulga, Hans Zimmerman nigdy nie wygłaszał osobistych ani obraźliwych uwag na temat swoich uczniów, tak jak to robił Sarrantini! Zależało mu jedynie na tym, by dobrze grali, i zdawał się nie dostrzegać różnic między starszymi i młodszymi uczniami. Był dobrotliwym nauczycielem, który chwalił, kiedy sobie zasłużyli, ale nigdy nie przesadzał z pochwałami, bo tak czy owak zawsze znalazło się coś, co można było dopracować.

– Schnabel przyjął za swój punkt honoru, że będzie wykonywał tylko te utwory, których nie da się zagrać z absolutnym mistrzostwem. Czyli tylko takie, które są lepsze od wykonania. Bo to, co da się wykonać, nie jest transcendentalne. To, co można zagrać łatwo i dobrze, to *Schund*.

Pogardliwy wyraz twarzy Hansa Zimmermana pozwalał jego uczniom się domyślić, co musiało oznaczać to niemieckie słowo.

Sam Zimmerman pobierał lekcje u wielkiego Artura Schnabla, poinformował ich Gallagher. W Wiedniu, na początku lat trzydziestych. Teraz był emerytowanym wykładowcą Akademii Muzycznej Portmana w Syracuse, gdzie uczył przez kilka dziesięcioleci. Koncertować przestał dużo wcześniej. Gallagher zaskoczył Hazel i Zacka, bo przyniósł kilka płyt nagranych przez Zimmermana pod koniec lat czterdziestych, wydanych przez małżonkę, ale prestiżową wytwórnictwo w Nowym Jorku.

Na płytach ujęto utwory Beethovena, Brahmsa, Schumanna i Schuberta. Hazel chętnie porozmawiałaby o nich z Hansem Zimmermanem, ale Gallagher ją ostrzegł:

– Moim zdaniem Zimmerman nie chce, żeby mu o tym przypominać.

– Ale czemu nie?

– Niektórzy ludzie mają właśnie takie podejście do swojej przeszłości.

Hans Zimmerman trzymał się pomieszczeń na tyłach kamienicy, podczas gdy Edgar Zimmerman prowadził sklep. Powszechnie uważano, że są współnikami, a jednak Hans nie miał nic wspólnego ze sprzedażą, z pracownikami, z finansami; to Edgar zarządzał interesem. Wszyscy ponadto wiedzieli, że Hans jest zaledwie cztery albo pięć lat starszy od brata; mimo to wyglądał na przedstawiciela całkiem innego pokolenia: miał dworskie maniery, a kiedy coś mówił, to zawsze z rozmysłem, wyrażając niezależność poglądów.

Nosił wiecznie brudne okulary, które często wypadały mu z kieszeni kamizelki, miał sumiaste, stalowosiwe wąsy, a także nawyk hałaśliwego oddychania przez zęby, kiedy się skupiał na grze swojego ucznia. Był wysoki, chudy, ubierał się w niepasujące na niego płaszcze, swetry, pogniecione spodnie, a jednak wyglądał dystyngowanie. Poza tym uwielbiał bardzo stare kapcie. Kiedyś musiał być niewątpliwie przystojny, to rzucało się w oczy, ale teraz miał zniszczoną twarz. W swych wypowiedziach był wstrzemięźliwy, mówił ogródkami zarówno wtedy, gdy krytykował, jak i wtedy gdy chwalił. Zack ze swojego kąta bywał świadkiem takich lekcji, podczas których pan Zimmerman mruczał jedynie: „Dobrze. Graj dalej” albo „Powtórz to, proszę”. Ale kilka razy słyszał te oto straszne słowa: „Powtórz całą lekcję na następny tydzień. Dziękuję”.

Często się zdarzało, że pan Zimmerman kazał Zackowi powtarzać poszczególne utwory, ale nigdy całej lekcji. Nazywał go „dzieckiem”, jakby nie potrafił zapamiętać jego imienia. Zresztą czemu miałyby zapamiętywać jego imię? Albo twarz? Jego zainteresowanie uczniami koncentrowało się na ich dłoniach... może nie tyle na dłoniach, ile raczej palcach, a może nawet nie na palcach, tylko na ich palcówkach. Młodego pianistę można było ocenić na podstawie jego palcówek, a nie na podstawie imienia albo twarzy, w których nie dawało się wychwycić niczego znaczącego.

Hans Zimmerman poznawał korpus zasad gry na *Hammerklavier* dobre pięćdziesiąt lat wcześniej, tak długo, aż wszystkie nuty, pauzy, wariacje tonalne wbiły się na zawsze w jego pamięć, ale nigdy nie zawracał sobie głowy zapamiętywaniem imion ludzi, których często widywał.

Tymczasem los zesłał mu to utalentowane dziecko, rzadkość w obecnym życiu Hansa Zimmermana: chłopiec wziął się jakby znikąd z tymi spragnionymi oczyma, jakby ze starej Europy, ani trochę amerykańskimi, zdaniem Zimmermana. Nie zadawał osobistych pytań matce chłopca, nie chciał nic wiedzieć o jego pochodzeniu, nie chciał nic do niego czuć. Takie rzeczy dawno temu w nim wygasły. Mimo to w chwilach słabości nauczyciel muzyki łapał się na tym, że patrzy na chłopca grającego swoje ćwiczenia, na przykład jeden z podstępnych utworów Czernego. *Presto* w metrum sześć ósmych, z trzema krzyżykami. Lewa i prawa ręka naśladujące się wzajem niczym lustrzane odbicia, jedna biegnąca w górę, druga w dół klawiszy. W ostatnich taktach lewą dłoń od prawej dzieliła niemal cała długość klawiatury, mały chłopiec rozciągał ręce, jakby udawał, że go ukrzyżowano.

Hans Zimmerman zaskoczył samego siebie, bo roześmiał się w głos.

– Brawo, dziecko. Skoro grasz Czernego jak Mozart, to w takim razie jak zagrasz Mozarta?

Coś, co mnie uszczęśliwia. Tylko co mnie uszczęśliwia? O Jezu, co?

Nie miał za diabła pomysłu, co zagrać. Nikt nigdy wcześniej nie prosił pianisty jazzowego o coś takiego. Niedołężnie obmacywał klawiaturę. Jego dorosłe życie pod tyloma względami stało się mechaniczne, jego wola stanęła w miejscu, zubożyła. Dusza ziała pustką niczym wnętrze głębokiej studni, bał się do niej zaglądać.

Ale palce go nie zawiodły. Chet Gallagher znów przy klawiaturze. Stary standard: *Savin' All My Love For You*.

I właśnie tak było: całą swoją miłość zachował właśnie dla niej.

Ballada miłosna, bluesowy numer.

Jazda samochodem przez ośnieżony krajobraz.

Gallagher sunął drogą jak przez sen, za kierownicą swojego samochodu. Przez całe życie słyszał muzykę w głowie. Czasami cudzą, czasami własną.

*Drogą na wyspę Grindstone
pośród fal Rzeki Świętego Wawrzyńca
tam, gdzie niebo odbija się jak w lustrze
Usychający z miłości Gallagher
szuka ratunku na wyspie Grindstone
pośród fal Rzeki Świętego Wawrzyńca
tam, gdzie niebo odbija się jak lustrze.*

– Ktoś chce zawrócić? Bo ja ani trochę.

Jechali na wyspę Grindstone, planowali spędzić wielkanocny weekend w chacie Gallagherów. Cała ich trójka: rodzinka Gallaghery. Bo on ich kochał, kochał z rozpaczą, że ta kobieta go nie kocha. Kochał to dziecko, a ono czasami zdawało się kochać jego. A jednak we wstecznym lusterku, już od chwili, gdy wyruszyli z Watertown, twarz dziecka była odwrócona; Gallagher nie był w stanie złapać jego wzroku, żeby móc się do niego uśmiechnąć, mrugnąć porozumiewawczo, jeszcze raz wyzywająco zagadać:

– Ktoś chce zawrócić? Bo ja ani trochę.

Co mogli powiedzieć na to Jonesowie? Uwięzieni w samochodzie Gallaghery, przemieszczającym się z prędkością mniejszą niż czterdzieści mil na godzinę, po oblodzonej drodze nr 180.

Hazel wymruczała wreszcie coś, co zabrzmiało jak „nie”, tym swoim wkurzającym tonem, który był zarówno entuzjastyczny, jak i dziwnie niejasny, podszyty zwątpieniem.

W taki właśnie sposób Hazel pozwalała Gallagherowi okazywać jej miłość. I jednocześnie wytyczała granice, w jakich mógł jej okazywać miłość.

Siedzący na tylnym siedzeniu mały Zack zniknął zupełnie ze wstecznego lusterka. Zabrał z sobą *Etiudy fortepianowe Królewskiego Konserwatorium Muzycznego* i teraz wczytywał się w nie w wielkim skupieniu, marszcząc brwi, nie zwracając uwagi na ośnieżoną drogę i auta porzucone na poboczu.

Gallagher zapewnił go, że w chacie jest pianino. Że będzie mógł tam ćwiczyć. Gallagher bębnił wiele razy na tym pianinie, zabawiając swoich krewnych i grając dla siebie. Lata spędzone na wyspie Grindstone zapamiętał jako najszcześniejsze w życiu. Pragnął przekazać temu dziecku i matce tego dziecka, że szczęście jest możliwe, że być może czeka w jakimś miejscu.

Pod wpływem impulsu kupił dom w Watertown. Ale Hazel nie była jeszcze gotowa, żeby się tam wprowadzić.

Wielkanocny weekend na wyspie. Doskonały pomysł, gdyby nie to, że w czwartkowy poranek zaczął lać zimny deszcz, który po kilku godzinach przeobraził się w deszcz ze śniegiem, a nieco później w wilgotną śnieżycę szalejącą nad jeziorem Ontario. Do piątkowego poranka zdążyły powstać zasy, od dziewięciu do dwunastu cali głębokości, które na dodatek bezustannie się przemieszczały.

A jednak w tym rejonie wszyscy byli przyzwyczajeni do kaprysów pogody. Śnieg w kwietniu albo nawet w maju. Prędkie zadymki i prędko odwilż. Poprzedniej nocy na drogi wyjechały pługi śnieżne; nie oczyściły tych, które prowadziły do gór Adirondack, ale droga nr 180 na północ od Malin Head Bay, wiodąca do mostu na wyspę Grindstone, była w zasadzie przejezdna: samochody poruszały się wolno, ale poruszały. Do piątkowego popołudnia wiatr ucichł, a niebo zrobiło się czyste i kruche jak szkło.

Psiakrew! Gallagher nie zamierzał zmieniać planów.

Śnieg na pewno stopnieje do niedzieli. Na pewno. Tak uparcie twierdził Gallagher. Zadzwoił rano do dozorczy, który go zapewnił, że podjazd zostanie odśnieżony, zanim Gallagher i jego goście tam przyjadą. Chata będzie otwarta, gotowa do zamieszkania. Prąd będzie włączony. (McAlster powiedział, że prąd jest na całej wyspie.) W chacie była kuchnia, pełna jedzenia w puszkach i butelkach. Lodówka i piekarnik. Wszystko działało. McAlster obiecał też wywietrzyć pokoje. Był człowiekiem, na którym można było polegać. Gallagher nie chciał zmieniać planów i McAlster go poparł, odrobina śniegu jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła. Wyspa jest piękna, kiedy pokrywa ją śnieg. Szkoda, że takie piękne miejsce straszy pustką przez większą część roku.

Szkoda, że należy do takich ludzi jak ty.

McAlsterowi, teraz już sześćdziesięcioletniemu, powierzano opiekę nad letnimi rezydencjami od dziesięcioleci. Od czasów, gdy Gallagher był małym dzieckiem. Gallagher nigdy nie słyszał, by McAlster wypowiadał się z nutą najmniejszej przygany o swoich chlebodawcach, za to sam niejednokrotnie czuł wstyd, wyrzuty sumienia. Jego rodzina miała w posiadaniu dziewięćdziesiąt akrów wyspy Grindstone, z których używała zaledwie pięć czy sześć; reszta była porośnięta lasem, sosnami i brzoźami. Byli też właścicielami całej mili niesłychanie pięknego brzegu rzeki. Ojciec Gallaghiera, Thaddeus, nabył tę posiadłość i wybudował tam oryginalną chatę myśliwską na początku wieku, dużo wcześniej, zanim rejon Tysiąca Wysp, dziki zakątek na północnym skraju stanu Nowy Jork, został przekształcony w teren turystyczny. Nieliczni stali mieszkańcy wyspy Grindstone mieszkali przeważnie w okolicy portu, w domach z okładziną z asfaltu, w barakach obitych papą, w przyczepach. Prowadzili sklepy wędkarskie, stacje benzynowe i przydrożne restauracje. Byli traperami, przewodnikami, rybakami albo dozorcami takimi jak McAlster, którzy najmowali się u nieobecnych rezydentów jak Gallagherowie.

„Masz tam tyle ziemi i tak rzadko tam jeździsz, nie jest ci głupio?” – spytał Gallagher swojego ojca Thaddeusa, gdy jeszcze był młody i lubił prowokować ideologiczne dyskusje, na co Thaddeus odpowiedział mu z żarem, bez chwili wahania: „Ci ludzie są od nas zależni! Dajemy im zatrudnienie. Płacimy podatki gruntowe, z których opłacane są ich drogi, szkoły, urzędy publiczne. W porcie Grindstone jest teraz szpital, a kiedyś go nie było! A dzięki komu? Połowa mieszkańców Tysiąca Wysp poza sezonem jest na zasiłku. A jak ci się wydaje, kto na nich łoży?”

Gallagher miał kłopoty z oddychaniem w obecności starego, bo dławił się z gniewu. To wręcz przypominało atak astmy.

– Mój ojciec...

Siedząca obok Gallaghera Hazel obrzuciła go przenikliwym spojrzeniem z ukosa. Nieświadomie zasysał oddech. Bębnił palcami po kierownicy.

– Tak?

– ...twierdzi, że chce cię poznać, Hazel. Ale nie dojdzie do tego.

Powiedział jej dotąd bardzo niewiele o swoim ojcu. Bardzo niewiele o swojej rodzinie. Podejrzał, że musiała coś słyszeć od innych ludzi.

W rzeczywistości Thaddeus zadzwonił do Gallaghera tydzień wcześniej, żeby spytać: „Ta twoja nowa kobieta, to kelnerka, striptizerka czy jakaś inna *call girl*, która ma upośledzonego bękartą na utrzymaniu? Popraw mnie, jeśli się mylę”.

Gallagher odwiesił słuchawkę, nic nie mówiąc.

Przed tym telefonem Gallagher nie miał żadnych wieści od ojca od Bożego Narodzenia 1962 roku, kiedy to zadzwoniła do niego osobista sekretarka Thaddeusa, z wiadomością, że jego ojciec chce z nim rozmawiać, na co Gallagher odparł uprzejmie: „Rozmawiam na innej linii. Bardzo mi przykro”.

– Cóż, jeśli nie chcesz, żebym poznała twojego ojca, to go nie poznam.

– Ani ty, ani Zack. Żadne z was.

Hazel uśmiechnęła się niepewnie. Gallagher wiedział, że przez niego czuje się skrępowana, nie umiała odczytywać jego nastrojów, nie wiedziała, kiedy sobie żartował, ironizował, kiedy był szczery. Tak jak nie umiała interpretować tonu tych bardziej morderczych i meandrowych utworów jazzowych, które wykonywał.

– Masz w sobie, w duszy, zbyt wiele dobra, by poznawać tego człowieka, Hazel.

– Coś takiego...

– Hazel, to prawda! Jesteś zbyt dobra, zbyt piękna i czysta, by poznawać Thaddeusa Gallaghera. Jego wzrok tylko by cię zanieczyścił. Już samo to, że oddychałabyś powietrzem, którym on oddycha.

Gallagher nie rozumiał, dlaczego nagle zrobił się taki zły. Być może miało to coś wspólnego z McAlsterem.

Hazel Jones, William McAlster. Przedstawiciele klasy służących. Thaddeus Gallagher natychmiast by zidentyfikował Hazel Jones.

Wlekli się za ciężarówką rozsypującą sól na autostradzie, ale już się zbliżali do Malin Head Bay. Dochodziła szósta, niebo wciąż jeszcze było jasne. Szadź oblepiająca drzewa odbijała blask słońca ognistymi refleksami. Samochody sunęły jak żółwie po Main Street, gdzie tylko jeden szeroki pas był przejezdny.

Gallagher nie miał ochoty się zastanawiać, jak będzie na wyspie.

McAlster mu obiecał. McAlster nigdy nie łamał danego słowa.

McAlster nigdy by nie rozczarował syna Thaddeusa Gallaghera. Zmiękł i powiedział, że zawsze mogą się zatrzymać w Malin Head Inn, jeśli z wyspą nie wypali.

– Przecież się nie denerwujesz, Hazel? Prawda?

Hazel zaczęła się śmiać.

– Denerwuję? Nie przy tobie.

Dotknęła jego ramienia, żeby go zapewnić. Pasma jej włosów opadło na policzek Gallaghera. Poczuli, że coś go dusi w piersi.

Powiedziała mu kiedyś, że skrzywdził ją jakiś mężczyzna. Podejrzał, że ten mężczyzna był ojcem Zacka, który zostawił Hazel, nie ożenił się z nią. To wszystko musiało się dziać jakieś siedem lat wcześniej. Pocałowała go wtedy i odsunęła się od niego, mówiąc, że nie chce, by ktoś jej znowu coś zrobił.

– Ja ci to wynagrodzę, Hazel. Cokolwiek to było.

Gallagher po omacku ujął dłoń Hazel i przyłożył ją do swoich warg. Chciwie całował jej palce. Wcale nie erotycznie, jeśli się znało desperackie metody Erosa. Gallagher nie pocałował Hazel tamtego dnia. Przez pięć minut nie byli sami. Robiło mu się słabo z pożądania i z wściekłości przemieszanej z pożądaniem. Postanowił, że się ożeni z Hazel Jones, że następnym razem, kiedy przekroczą most Świętej Marii wiodący na wyspę Grindstone, ona będzie jego żoną.

McAlster miał rację, ośnieżona wyspa była piękna.

– Nasza posiadłość zaczyna się tutaj. Od tego kamiennego muru.

Hazel gapiała się przez przednią szybę. Dziecko na tylnym siedzeniu wreszcie się zainteresowało, zaczęło rozglądać.

– To wszystko należy do Gallagherów. Wiele mil w górę. I nad rzeką.

River Road została pobieżnie oczyszczona przez pługi. Gallagher jechał bardzo wolno. Samochód był wyposażony w łańcuchy, a on nawykł do jazdy po oblodzonych, zwirowanych nawierzchniach. Drzewa na wyspie też były pokryte szadzią, ich korony wyginały się pod ostrymi kątami podobne do sylwetek pijaków. Kilka brzoź przewróciło się pod ciężarem lodu. Zimozielone drzewa okazały się bardziej wytrzymałe, nie nosiły śladów tak rozległych uszkodzeń. Na drodze leżały połamane konary; Gallagher ostrożnie je objeżdżał.

– Sądząc po słońcu, nigdy by się nie powiedziało, że to zima. A jednak tyle tego śniegu. Jezu!

Rzeka była wzburzona, spieniona przez wiatr. Szeroka i bardzo piękna. Przed tym nagłym atakiem zimy zdążyła odtajać; teraz przy brzegu rzeki pośród ogromnych głazów było pełno ostrych lodowych szpikulców, wystających pionowo niczym stalagmity. Gallagher zorientował się, że towarzysząca mu kobieta i jej dziecko oglądają takie widoki po raz pierwszy.

– Tam jest chata, na szczycie tamtego wzgórza. Wśród tych iglaków. A jeszcze wyżej stoją domki gościnne. Wygląda na to, że McAlster odśnieżył dla nas wszystko. Mamy dziś szczęście.

Zbudowana z bali i polnych kamieni zlepionych zaprawą chata była typowa dla rejonu gór Adirondack, tyle że tak duża, iż mogłaby posłużyć za niewielki hotel. Miała spadzisty dach kryty gontem, z którego wystawały dwa masywne, kamienne kominy. Na samym szczycie wzgórza znajdował się kort tenisowy, teraz zasypany śniegiem. Z boku garaż na trzy samochody, z krokwiemi, urządzone w dawnej stajni. Po niebie przeleciał jastrząb, przechylił się leniwie i zawrócił na szeroko rozpostartych skrzydłach. Niebo wyglądało jak szklana tafla, która lada chwila może się roztrzaskać. Gallagher widział, że do Hazel Jones wreszcie to dotarło: *On jest bogaty. Ma bogatą rodzinę.*

Nie z tego powodu Gallagher ich tu przywiózł. W każdym razie wcale tak nie uważał.

Prymitywna zabawa pary dzikusów! On ją poganiał, a ona niczym spanikowane zwierzę biegła posłusznie pośród łąnów kukurydzy. Wysokie łęty, połamane i zeschłe w upale wczesnej jesieni, wyglądały jak pijane, ich zbrązowiałe znamiona chłostały ją boleśnie po twarzy. Herszel klaskał w dłonie, śmiał się swoim zgrzytliwym rechotem, *No dawaj dawaj szczyłu dawaj niedojdo*, długonogi i giętki, swobodnie oddychając przez usta, ona zaś czuła w brzuchu ogień, ale też się śmiała i biegła niezdarnie, potykając się na swych krótkich nogach, upadając na kolano, i to nie raz, ale zaraz podnosiła się z trudem, zanim zadrapanie wypełniło się zapiaszczoną krwią, bo gdyby wreszcie dobrnęła do ostatniego rzędu kukurydzy, do samego skraju pola, do drogi i do położonego za tą drogą cmentarza...

Rebeka nie potrafiła sobie przypomnieć, jak się skończyła zabawa na polu kukurydzy.

Mamusiu? Zrobimy to?

Był poranek. Poranek w Wielką Sobotę. Słoneczny, pełen podmuchów porywistego wiatru. Hazel Jones szcztokowała włosy prędkimi, męczącymi ruchami, ignorując marudne dziecko.

W lustrze toaletki lewitowała czyjaś twarz, zmizerniała i niewyraźna, jakby pod wodą. Nie jej twarz, tylko młoda twarz Hazel Jones, z tym wyzywającym uśmiechem.

To ty! Jakim prawem tu jesteś!

Przeżyła pierwszą noc na wyspie Grindstone i wierzyła, że przeżyje drugą noc na wyspie Grindstone, a wtedy wszystko się wreszcie okaże.

– Mamusi! Mamusi!

Dziecko spało niespokojnie. Słyszała je z sąsiedniego pokoju, jak popłakiwało przez sen. Ostatnimi czasy zaczęło też zgrzytać zębami. Ten wiatr! Ten cholerny wiatr, który nie pozwalał mu zasnąć, wprawiał w zdenerwowanie. Nie pojedynczy wiatr, tylko wiele wiatrów wiejących od Rzeki Świętego Wawrzyńca i jeziora Ontario, ku zachodowi, łatwe do pomylenia z ludzkimi głosami, stłumionymi okrzykami, śmiechem.

Ty! Ty! Śmiech, który zdawał się oskarżać.

Hazel obudziła się wcześniej, w obcym łóżku, nie wiedząc z początku, gdzie jest, jaki to etap jej życia, wsłuchując się w dudnienie własnego serca i w te głosy, które stawały się coraz bezczelniejsze, które drwiły: *Ty! Ty Żydówko, nie masz prawa tu być.*

Nie słyszała tych głosów od lat. Od lat nie nachodziły jej te myśli. Wstała z łóżka wstrząśnięta, przestraszona.

Ale przecież to Gallagher ją tutaj przywiózł. Gallagher, jej przyjaciel.

Za oknami widziała inną wyspę, dryfującą po połyskliwej rzece. A za nią zwartą linię kanadyjskiego brzegu rzeki, z miasteczkiem Gananoque.

Chata rodziny Gallaghera była jeszcze większa, niż się wydawała z podjazdu. Została wbudowana w zbocze wzgórza, trzy kondygnacje z niedawno dodanym skrzydłem, przyłączonym do głównej części domu tarasem z kamieni polnych, teraz przysypanym śniegiem.

Hazel Jones na widok chaty zaczęła się śmiać. Prywatna rezydencja o takich rozmiarach!

Przez krótką chwilę patrzyła na posiadłość Gallaghera tak, jak mógłby na nią patrzeć Jakub Schwart, którego drwiący śmiech pobrzmiwał w śmiechu Hazel Jones.

Zawstydzony Gallagher odparł, że owszem, to duży dom, ale jest naprawdę bardzo prywatny. I większa część chaty została zamknięta na zimę, będą korzystali z zaledwie kilku pokoi.

Hazel zrozumiała, że Gallagher wstydzi się bogactwa swej rodziny i jednocześnie jest z niego dumny. Nie potrafił nic na to poradzić. Nie znał samego siebie jak należy. Jego nienawiść do własnego ojca była uświęconą nienawiścią, Hazel wiedziała, że tu nie wolno się wtrącać. I jednocześnie nie wierzyła do końca w tę nienawiść.

Gallagher przyprowadził ją do tego pokoju, bardziej apartamentu niż pokoju, z przyległym pokojem dziecięcym dla Zacka. Wyjaśnił, że jego pokój jest w pobliżu, w tym

samym korytarzu. Z pozoru wydawał się opanowany, wylewny. Po raz pierwszy cała ich trójka wyjechała dokądś razem, był ich gospodarzem i był odpowiedzialny za ich samopoczucie. Ułożył lekką walizkę Hazel na jej łóżku – starym, mosiężnym, na czterech wspornikach, nakrytym błękitno-liliową pikowaną narzutą – a potem długo stał, wpatrując się w tę walizkę, z przyspieszonym oddechem w wyniku wspinaczki po schodach, z twarzą zaczerwienioną i niepewną, i Hazel widziała, że się zastanawia, co dokładnie powiedzieć, by zrobić na niej odpowiednie wrażenie.

– Hazel, mam nadzieję, że będzie ci tu wygodnie. – Było to stwierdzenie, które zawierało jakieś drugie dno. W tym momencie Gallagher nie mógł się zmusić, żeby spojrzeć na Hazel.

Hazel wiedziała, że gdyby nie bliskość Zacka, który penetrował swój pokój (to był pokój urządzony specjalnie dla małych chłopców, z piętrowym łóżkiem; Zack zamierzał spać na tym górnym), Gallagher by jej dotknął. Pocałował. Ująłby jej twarz w swe wielkie dłonie i pocałował. I ona wtedy odwzajemniłaby pocałunek, nie sztywniejąc w jego objęciach, tak jak to czasami robiła mimo woli, choć stałaby nieruchomo.

Błagając: *Nie kochaj mnie! Proszę.*

A Gallagher zelżałby ze swoim urażonym, pełnym nadziei uśmiechem: *W porządku, Hazel, mogę zaczekać.*

Zack trącił Hazel w udo.

– Mamusiu! Czy my się ożenimy z panem Gallagherem?

Została brutalnie wybudzona z transu. Szczotkowała włosy szybkimi, posuwistymi ruchami przed uchylnym lustrem toaletki.

W nocy Zack zaczął wołać mamę – już nie mamusię. Czasami to słowo skracało się do pojedynczej sylaby, w której słyszało się urazę: *Ma.*

Dziecko instynktownie wiedziało, że mowa to muzyka dla uszu. I że mowa może być muzyką, która rani uszy.

Wstał z łóżka dobre czterdzieści minut wcześniej i teraz nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Może czuł się skrępowany, spłoszony w nowym miejscu. Napierał na udo Hazel, tak mocno, że mógłby ją posiniaczyć, gdyby mu pozwoliła. Klepnęła go żartobliwie szczotką, ale nie ustępował.

– No to jak będzie, mammo? Ożenimy się z panem Gallagherem?

– Zack, nie tak głośno.

– Ale ja spytałem...

– Nie.

Hazel schwyciła go za ramiona, nie żeby nim potrząsnąć, tylko żeby go unieruchomić. Drobne ciało chłopca zatrzęsło się z oburzenia. Oczy miał ciemne, wilgotne i błyszczące; patrzył na nią butnie, czym wzniecał w niej gniew, tyle że Hazel nigdy się nie gniewała. Nie była matką, która podnosi rękę na swoje dziecko czy choćby głos. Gdyby Gallagher podsłuchał tę rozmowę! Byłaby przerażona, nie mogłaby tego znieść.

Jej twarz jeszcze nie przeobraziła się w twarz Hazel Jones, przez tę wciąż ciemniejszą karnację, zdrową, tłusto-oliwkową cerę, którą ukrywała pod jaśniejszym pudrem, najpierw w płynie, potem sypkim. Ten make-up pieczołowicie nanosiła aż do szyi, stopniowo go rozcierając, zawsze subtelnie i metodycznie. Starannie też ukrywała cienkie, blade blizny przy linii włosów, których Gallagher nigdy nie widział. Za to włosy, włosy ciepłej kasztanowej barwy z ciemnoczerwonymi pasemkami, które wydawały się znakomicie naturalne dla Hazel Jones, szczotkowała energicznie, dlatego teraz aż się

jeżyły, bo były takie naelektryzowane. Ubrała się w starannie wyprasowane spodnie z szarej wełny i różowy sweterek z przypinanym koronkowym kołnierzykiem. Na tę weekendową wizytę na wyspie Grindstone Hazel przywiozła dwie pary spodni, beżowy sweter w warkocze, sweter z koronkowym kołnierzykiem i dwie bawełniane bluzki. Była młodą kobietą, która ubierała się stosownie i zachowywała stosownie. Gallagher śmiał się z tych jej obyczajów, że jest taka poprawna. Mimo to Hazel rozumiała, że Gallagher podziwiał ją za te nawyki i że nie chciałby, żeby była inna. (Gallagher nadal widywał się z innymi kobietami. Czytaj: sypiał z innymi kobietami. Kiedy mógł, kiedy nadarzała się sposobność. Hazel wiedziała o tym i nie była zazdrosna. Nigdy nie zadawałaby pytań o prywatne, seksualne życie Gallaghery nie związane z nią, bo przecież w sklepie Pianina i Artykuły Muzyczne braci Zimmerman Hazel Jones, zatrudniona tam jako sprzedawczyni, dała się poznać jako osobowość równie wyrazista jak postać z komiksu: Olive Oyl, Jiggs and Maggie, Dick Tracy czy Brenda Starr – dziewczyna reporter. Hazel Jones stała za lśniącym, szklanym kontuarem u Zimmermanów, znakomicie opanowana i wyczekująco uśmiechnięta, stanowiąc żywy dowód na najgłębszą prawdę o amerykańskiej duszy: że ta dusza jest równie płytka jak komiks jest płytki. Edgar Zimmerman, podobnie jak Gallagher, wielbił Hazel Jones. Nie potrafił się powstrzymać, by jej nie dotykać swymi rozbieganymi dłońmi drobnego mężczyzny, suchymi i rozgorączkowanymi z pożądania. *Łajdak. Nazista.* Uśmiech Hazel Jones zamierał tylko wtedy, gdy Edgar jakby zbyt mocno dotykał jej ramienia podczas ich wspólnych rozmów; normalnie jego smukłe dłonie spoczywały nobliwie na błyszczącym, szklanym kontuarze. Stali klienci z czasem zapamiętywali Hazel i odtąd czekali cierpliwie z boku, ignorując innych sprzedawców, dopóki Hazel nie była wolna, by ich obsłużyć.

– Mamo, to jak? Ożenimy się z panem Gallagherem czy nie?

– Zack, powiedziałam ci...

– Nie nie nie nie nie. Mamo, nie!

Hazel nie mogła tego ścierpieć, kiedy Zack udawał, że jest dzieckiem. Kiedy się robił infantylny. Wiedziała, że w głębi serca jest równie dorosły jak ona sama.

– Zack, jakie „my”? Nie ma żadnego „my”. Żeni się tylko mężczyzna z kobietą, nikt inny. Nie bądź głupi.

– Nie jestem głupi. Ty jesteś głupia.

Zack zaczynał już dziczeć, nie dawało się nad nim zapanować. W domu nigdy by się nie odważył zadawać takich pytań. Miał zakaz wyrażania się familiarnie o panu Gallagherze, który wkroczył do ich życia, żeby je zmienić. I podobnie miał zakaz wyrażania się familiarnie o „Hazel Jones”.

Podobnie jak w Malin Head Bay, czyli jak się teraz zdawało w zamierzchłej przeszłości, kiedy to zakazano mu pytać o kamyki, które znikwały jeden po drugim z parapetu.

Pobył na oślepiającej białą śniegu wyspie, pośród wzburzonych wód Rzeki Świętego Wawrzyńca, najwyraźniej uwolnił w Zacku buntowniczego ducha. Wcześniej tego ranka wyszedł z pokoju i biegał po schodach, ślizgał się po dywanach na korytarzu, a kiedy Hazel go przywołała z powrotem, przyszedł niechętnie jak niesforny pies. Teraz zaś, wciąż nie potrafiąc się uspokoić, buszował po jej pokoju: zaglądał do szafy z drzewa cedrowego, skakał po łóżku ze wspornikami, które Hazel porządnie zaścieliła zaraz, po wstaniu. (Nie było żadnych nieposłanych, skotłowanych łóżek w żadnym miejscu, w którym mieszkała Hazel Jones! Nieposłane łóżko było czymś, co budziło w Hazel moralne

oburzenie.) Na komodzie stał rzeźbiony staroświecki zegar z otwieraną, szklaną tarczą: Zack majstrował przy czarnych, metalowych wskazówkach i Hazel bała się, że mógłby je połamać.

– Jesteś głodny, kotku. Zrobię ci śniadanie.

Schwyciła jego dłonie. Przez chwilę wszystko wskazywało, że będzie się z nią szamotał, ale w końcu uległ.

Nieznajome otoczenie sprawiło, że Zack był nerwowy, psotny. Bardzo czekał na ten weekendowy wyjazd na wyspę, a jednocześnie wzdragał się przed zmianami w codziennej rutynie swojego życia. Hans Zimmerman powiedział Hazel, że życie młodego pianisty tak utalentowanego jak jej syn powinno się obracać wokół pianina. Zack zawsze się budził o tej samej porze, wcześniej. Zawsze ćwiczył pół godziny na pianinie przed wyjściem do szkoły. Po szkole ćwiczył nie mniej niż dwie godziny, a czasami dłużej, w zależności od stopnia trudności danej lekcji. Jeśli zagrał niewłaściwą nutę, to zmuszał się, by zacząć utwór od nowa: od tego rytuału nie było odstępstw. Hazel nie mogła się wtrącać. Jeśli próbowała mu przerwać, kazała iść do łóżka, potrafił dostać napadu złości; jego nerwy były napięte do granic. Hazel widywała go, jak siedział przy pianinie, prężąc drobne ramiona, jakby zamierzał rzucić się do walki. Była z niego dumna i bała się o niego. I lubiła się przysłuchiwać jego ćwiczeniom, bo to jej dodawało otuchy, bo wtedy rozumiała, że zarówno Hazel Jones, jak i jej syn Zacharias znajdują się we właściwym miejscu, że właśnie dlatego oszczędzono im śmierci na Poor Farm Road, by się w nim znaleźli.

– I możesz sobie pograć na pianinie, kochanie. Jeśli chcesz.

Zgodnie z zapewnieniami Gallaghera w chacie było pianino. Poprzedniego wieczoru Gallagher grał przed kolacją hałaśliwe amerykańskie piosenki ludowe i przeboje musicalowe, a Zack siedział obok niego na ławce. Z początku chłopiec był nieśmiały, ale Gallagher namówił go, by zagrał razem z nim, by grali razem na cztery ręce. Tak więc zagrali jedną z etiud Kabalewskiego z podręcznika, ale w stylu boogie-woogie, co sprawiło, że Zack śmiał się jak szalony.

Było to pianino z matowoczną obudową, w nie najlepszym stanie. Nie używano go od lat i przez to część klawiszy się zacinała.

– Muzyka może być zabawna, chłopie. Nie zawsze poważna – tłumaczył Gallagher.

– Ostatecznie pianino to tylko pianino.

Zackowi ta uwaga wyraźnie dała do myślenia. W kuchni Gallagher pomagał Hazel w szykowaniu kolacji. Prowiant na ten weekend kupowali razem w Watertown.

– Czy pianino to naprawdę tylko pianino? – spytała Hazel, na co Gallagher parsknął śmiechem i odparł: – Tylko pianino, kochanie! Przecież nie trumna.

Hazel ta uwaga się nie spodobała; takie rzeczy Gallagher często mówił po wypiciu kilku drinków, kiedy to robił się buńczuczny i hałaśliwy, a jego oczy, błagalne i oskarżycielskie, pełne podziwu i odrazy, omiatały ją ze zbytnim naciskiem. W takich momentach Hazel sztywniała i odwracała wzrok, udając, że nic nie zauważyła.

Nie wiem, co chcesz powiedzieć. Jestem zszokowana, nie będę cię słuchała. Nie dotykaj mnie!

Domyślała się, na czym mogło polegać mieszkanie z Gallagherem, czyli coś, co jego żona robiła przez osiem lat. Był najlepszym z mężczyzn, dobrym i poczciwym, a jednak potrafił osaczać, narzucać się.

Gallagherowi, po serii komicznych niepowodzeń i w kłębach gryzącego dymu, udało się wreszcie podpalić brzozowe kłody na ogromnym, kamiennym kominku w

salonie i potem zjedli kolację przy ogniu. Zack był bardzo głodny, jadł za szybko i omal nie zwymiotował. Już wcześniej zdenerwował się posadzką w kuchni, która przyprawiła go o zawroty głowy: była wyłożona płytkami we wzór w czarno-białe romby, przez co zdawała się ruszać, wić. W salonie z kolei bał się, że iskry z kominka wylecą na dywanik, a potem zafascynowały go i zarazem przerażyły wypchane łby zwierząt powieszony na ścianach – czarny niedźwiedź, ryś, jelen z porożem o dwunastu odrostkach. Gallagher wyjaśnił chłopcu, że ma ignorować te trofea, że one są obrzydliwe, ale Zack wciąż się gapił w milczeniu. Zwłaszcza łeb jelenia przykuł jego uwagę, bo wisiał w centralnym miejscu nad kominkiem i jego szklane oczy sprawiały wrażenie nienaturalnie wielkich, szklistych i ironicznych. Sierść zwierzęcia miała barwę wypolerowanego brązu, była lekko zmierzwiona, jakby skażona. Z najwyższego odrostka poroży zwisała pajęczyna.

Hazel zaprowadziła chłopca do łóżka krótko po dziewiątej, wątpiąc jednak, że on zaśnie, był zbyt pobudzony i rozgorączkowany, a poza tym nigdy wcześniej nie spał na piętrowym łóżku. A jednak uparł się, że wejdzie tam po drabinie, że chce spać na górze. Myśl o spaniu na dolnym łóżku jakby go przerażała.

Hazel pozwoliła mu nie gasić lampki stojącej na nocnym stoliku i obiecała, że nie będzie zamykać drzwi dzielących ich pokoje. Gdyby się obudził w środku nocy, będzie wiedział, gdzie jest.

– Proszę, bądź grzeczny, Zack! – upominała go teraz. – Jest piękny poranek i to jest piękne miejsce. Nigdy nie byliśmy w takim pięknym miejscu, prawda? To przecież wyspa. Gdybyś się ożenił z panem Gallagherem, to musiałbyś mieszkać z nim w jakimś domu, prawda? Ten weekend to jest coś takiego, jakbyś z nim mieszkał. To jest jego dom, jeden z domów jego rodziny. Będzie mu przykro, jeśli nie będziesz grzeczny. – Przemawiała do niego tonem, jakim się przemawia do bardzo małego dziecka. Między sobą udawali, że Zack jest jeszcze mały.

Hazel poprawiła guziki przy jego flanelowej koszuli, bo zapiął je krzywo. Włożyła mu sweter przez głowę i uczesała włosy. Pocałowała go w ciepłe czoło. Ależ był podekscytowany! Czuła puls dziecka, który bił równie szybko jak jej puls.

Żadne z nich nie pasowało do tego miejsca. Zostali jednak zaproszeni i byli tutaj.

Wyprowadziła Zacka z pokoju. W korytarzu było dość zimno i unosiła się tam kwaskowata woń dymu z poprzedniego wieczoru.

Gdyby nie szum wiatru i odgłosy topnienia lodu, wody kapiącej z krokwi, a także ostre, nieustające wrzaski wron, w domu panowałyby idealna cisza. Niebo było osnute drobnymi, bladymi chmurami, przez które silnie przeświecało słońce. Wszystko wskazywało, że to będzie jeden z tych balsamicznych, zimowych dni. Hazel schwyciła Zacka za rękę, żeby nie pobiegł w głąb korytarza, i naszła ją szalona myśl, że ona i dziecko mogliby razem wejść do sypialni Gallaghera, która była tuż obok: mogliby obudzić jakimś żartem śpiącego mężczyznę, śmiać się z niego. Gallagher był człowiekiem, który uwielbiał, jak się z nim żartowało i śmiało z niego, do pewnego stopnia. Weszliby do łóżka, w którym spał...

Zamiast tego zatrzymali się pod drzwiami jego sypialni i wsłuchali się w chrapanie: dźwięczny bulgot, tak męczący, jakby ten człowiek wspinał się mozolnie na jakąś górę, dźwigając jednocześnie nieporęczny zapakowany ciężar. Z jakiegoś powodu brzmiało to bardzo śmiesznie, że te odgłosy chrapania i parskania wcale nie były rytmiczne, że co kilka sekund pojawiały się pauzy, cisza. Zack zaczął się śmiać i Hazel przycisnęła palce

do jego ust, ale po chwili sama zaczęła się śmiać i oboje musieli natychmiast stamtąd odejść.

Między nimi wykwitł płomień szaleństwa. Hazel bała się, że dziecko zarazi się od niej i przez wiele godzin nie będzie można nad nim zapanować. Zack wyślizgnął się z jej uścisku i zbiegł na dół. Tyle tam było do oglądania podczas nieobecności Gallaghera. Hazel była najbardziej zainteresowana ścianą pełną fotografii w ramkach, o których Gallagher opowiadał przelotnie poprzedniego dnia. Najwyraźniej rodzina Gallaghera ceniła się bardzo wysoko. Hazel podejrzewała, że to oznaka bogactwa: jak jesteś bogaty, to oczywiście cenisz się wysoko i chętnie to demonstrujesz innym ludziom.

Pośród twarzy obcych ludzi wyszukała znajomą twarz Gallaghera. Nagle zapragnęła go zobaczyć jako członka rodziny Gallagherów, jako młodego syna. O tutaj: zdjęcie dwudziestokilkuletniego Cheta Gallaghera z rodziną, na którym mrużył oczy i uśmiechał jakby wstydliwie, a poza tym miał zaskakująco gęste, ciemne włosy. Był też Gallagher na oko dwunastoletni, chudy chłopiec w białym T-shircie i kąpielówkach, który przykucnął niezdarnie na pokładzie żaglówki; był też Gallagher kilka lat starszy, już umięśniony, ściskający w dłoniach raketę do tenisa. I znowu dwudziestokilkuletni Gallagher w jasnej sportowej marynarce, sfotografowany z zaskoczenia w trakcie wybuchu śmiechu, obejmujący dwie młode kobiety w letnich sukienkach i pantoflach na obcasach. Ta fotografia została zrobiona na trawniku przed chatą, latem.

Jakie piękne były te kobiety! Cokolwiek by Hazel Jones z sobą robiła, w życiu nie dorównałyby im urodą.

Zastanawiała się, czy któraś z tych kobiet to może była żona Gallaghera. Miała na imię Veronica. Gallagher rzadko o niej opowiadał, wyjąwszy uwagi, że na szczęście nie mieli dzieci.

Hazel wiedziała, że Gallagher był o tym przekonany. Zaliczał się do ludzi, którzy mówią głośno o tym, w co wierzą, w obecności świadków.

Na wielu fotografiach występował barczysty mężczyzna, obdarzony wielką głową i twarzą o tępo przystojnych rysach, sprawiających wrażenie wykutych z kamienia. Mężczyzna był wyraźnie uparty i bardzo pewny siebie. Zawsze na tych fotografiach siedział na środku, z dłońmi na kolanach. Na tych fotografiach, na których wydawał się starszy, w rękę trzymał laskę, dziarskim gestem. Jego twarz przypominała Gallaghera tylko z oczu, ocienionych ciężkimi powiekami, jowialnych i jednocześnie złośliwych. Był dziwnie krępy, jakby jego nogi zostały skrócone albo jakby wręcz brakowało mu jakiejś części ciała, tyle że nie było wiadomo, która to część. To musiał być ojciec Gallaghera, Thaddeus.

Na kilku fotografiach zgromadzonych w jednym miejscu Thaddeus siedział obok manekinowatej postaci, która wyglądała znajomo: były gubernator Dewey? Niski mężczyzna o ulizanych, czarnych włosach i przyszczyżonych wąsikach, jakby naklejonych nad górną wargą, do tego lśniące, wyłupiaste, czarne oczy. Na tych fotografiach, na których byli jeszcze inni ludzie, Thaddeus Gallagher i Dewey siedzieli razem w samym środku, zerkając w obiektyw aparatu, jakby ktoś im przerwał rozmowę.

Niektóre fotografie robiono latem, wiele lat wcześniej, sądząc po ubraniach mężczyzn. Thomas E. Dewey, niczym manekin w wytwornych, sportowych garniturach, przeżył się na nich sztywno i ze zdecydowaniem.

Ci ludzie. Którzy nas otaczają. Nasi wrogowie.

Rozcapierzona dłoń uderzająca w pierwszą stronę gazety, na ceracie pokrywającej kuchenny stół. Ta wściekłość, która uwalniała się zniemacka, której nie dało się przewidzieć.

A jednak nauczyła się z czasem: przedmiotem jego nienawiści byli wszyscy politycy, wszystkie postacie życia publicznego. Wszyscy bogaci ludzie. To byli wrogowie.

– Mamy już inne czasy, tato. Historia się zmieniła.

O dziwo, Hazel powiedziała to na głos. A przecież nie miała zwyczaju mówić na głos do siebie, nawet gdy była sama.

Wtedy zauważyła jeszcze jedną fotografię z młodym Gallagherem: na oko szesnaście lat, pociągła twarz, ponura mina, lekko zanieczyszczona cera; ubrany w garnitur i krawat pozował obok niewielkiego fortepianu, bodajże na jakiejś scenie. Obok niego stał jakiś starszy mężczyzna, który patrzył surowym wzrokiem w stronę aparatu: Hans Zimmerman.

– Zack! Chodź, popatrz.

Hazel uśmiechnęła się, Gallagher był tutaj taki młody. A jednak najwyraźniej to był on, tak samo jak Zimmerman, tyle że młodszy, zapewne tuż po czterdziestce. Rzuciło się w oczy, że nauczyciel gry na pianinie jest raczej dumny ze swego ucznia. Hazel w tym momencie owładnęło coś dziwnego, niemalże ból, przerażenie.

– Ja go nie kocham. Prawda?

Dotarło do niej wtedy, że nigdy w pełni go nie pozna. Poprzedniej nocy, kiedy już leżała w łóżku, w obcym otoczeniu, rozmyślała o Gallagherze, który był tak blisko, i wiedziała, że on też o niej myśli, liczy, że ona do niego przyjdzie; poczuła wtedy ukłucie paniki, bała się go poznać. Po Tignorze nie chciała się kochać z żadnym mężczyzną. Nie ufała żadnemu mężczyźnie do tego stopnia, by go wpuścić do swego wnętrza.

A jednak teraz to się wydawało oczywiste, że nie mogłaby poznać Cheta Gallaghiera, nawet, gdyby została jego kochanką. Nawet gdyby z nim zamieszkała. Nawet gdyby on został ojcem Zacka, tak jak chciał. Tyle z duszy tego mężczyzny zostało zmarnotrawione, stracone.

– Zack? Kochanie? Chodź zobaczyć, co znalazłam.

Zack był zaprzątnięty czymś innym, gdzieś indziej. Hazel poszła go szukać, mając nadzieję, że niczego nie niszczył.

Stał na skórzanej kanapie, przyglądając się trofeum myśliwskiemu zawieszonemu nad kominkiem. Powietrze w tym pomieszczeniu pachniało dymem drzewnym. Jakie to było podobne do jej syna, że go ciągnęło do czegoś, co umarło!

– Kochanie! Zejdź stamtąd.

W świetle dnia jeleni był lepiej widoczny, wyeksponowany. Wielki, piękny łeb. I te niezwykle rogi. Wiedziało się, że to tylko przedmiot, bez życia, wypchany i zawieszony na ścianie, oczy błyszcząły z ironiczną wiedzą, ale tak naprawdę to były oczy ze szkła. Heraldyczne rogi wydawały się głupie i komiczne. Srebrzystobrunatna sierść jelenia była zmierzwiona i przybrudzona; Hazel zauważyła, że zwisa z niej mnóstwo pajęczyn. A jednak trofeum dziwnie imponowało, wytrącało z równowagi. Z jakiegoś powodu człowiek wierzył, że może nadal jest w nim jakieś życie. Hazel rozumiała teraz, dlaczego jej syn gapi się na nie z fascynacją i odrazą.

Stała za nim cicho, trąciła go pod żebra.

– Ktoś się z nim ożenił – powiedziała żartobliwym głosem Hazel Jones.

Zanim Gallagher zszedł na dół, późnym rankiem, Hazel i Zack zdążyli już zjeść śniadanie. Hazel posprzątała w kuchni: wyszorowała płytę kuchenki i piecyk, blaty, które kleiły się od czegoś tajemniczego, kredensy, które należało wyścielić świeżym papierem i w których Hazel wszystko poukładała, obracając puszki nalepkami do przodu. Pootwierała okna, żeby wywietrzyć dym i zapach stęchlizny. Ułożyła równo stare egzemplarze „Life'u”, „Collier's”, „Time'a” „Fortune”, „Reader's Digest”. Przystawiła sobie krzesło i odkurzyła wszystkie trofea, szczególnie starannie zajmując się porożami. Kiedy Gallagher ją zobaczył, siedziała w plamie światła słonecznego i kartkowała *Moje Tysiąc Wysp: Od czasów wojny o niepodległość do dziś*. W pokoju obok Zack ćwiczył jedną z etiud Kabalewskiego.

– Moja mała rodzinka! Dzień dobry.

Gallagher chciał być żartobliwy, jowialny, ostatecznie wstał znacznie później niż jego goście, ale jego obrzeżone na czerwono oczy były pełne łez. Hazel podniosła wzrok i zauważyła to niechcący.

Dlaczego to takie ważne, Hazel? – pytał ją, apelując do logiki. – Dlaczego to takie ważne, czy ludzie są małżeństwem czy nie są? McAlster to zwykły dozorca. Wcale nawet cię nie zna. I nie zna żadnych twoich znajomych.

A jednak Hazel Jones uparcie nie chciała poznawać dozorca.

– Dlaczego nie, Hazel? Jesteś tutaj, a on wie, że mam gości. To przecież zupełnie naturalne. Otworzył dla nas dom, będzie chciał wiedzieć, czy może coś zrobić dla ciebie albo Zacka.

Hazel nie chciała poznawać dozorca.

Uciekła na górę, kiedy pick-up McAlstera podjechał pod dom.

Gallagher się ubawił. Robiąc jednocześnie wszystko, żeby się nie irytować.

Kochał Hazel Jones! I naprawdę ją szanował. A jednak jej ochoczy, radosny śmiech czasami działał mu na nerwy. Zwłaszcza gdy miała strach w oczach. Gdy wypowiadała się beztroskim, lekkim tonem, unikając przy tym tematu, niczym aktorka, która nie wierzy w swoje kwestie.

Do Gallaghery dotarło w końcu: została w jakiś sposób zraniona. Bez wątpienia zranił ją ten, który był ojcem dziecka. Była niespokojna w sytuacjach, które groziły zdemaskowaniem jej przeszłości. Aż dziw brał, że na wyspie Grindstone nie nosiła białych rękawiczek, kapelusza, pantofli na szpilkach. Gallagher przysiągł sobie, że zdobędzie jej zaufanie, dzięki czemu mógłby ją jakoś naprostować: Hazel Jones dysponowała tak prymitywną wyobraźnią.

Jego krewni z Albany natychmiast przejrzeliby na wylot jej nieudolne pretensje do elegancji. Na myśl o tym Gallagher czuł zgrozę.

Jego ojciec! Gallagher nie myślał o swoim ojcu w kontekście Hazel Jones. Postanowił, że tych dwoje nigdy się nie spotka.

A jednak ironia losu sprawiła, że zakochał się w kobiecie, która w głębi duszy była bardziej Gallagherem niż on sam. Bardziej konwencjonalna w swoich przekonaniach, w swojej „moralności”. W rozróżnianiu między tym, co dobre, a co złe. Co uchodzi, a co nie. Hazel ukryła się przed dozorcą, bo nie mogła ścierpieć, że jakiś obcy człowiek mógłby sobie pomyśleć, że jest kochanką Gallaghery i spędza z nim wielkanocny weekend.

Inne kobiety, które Gallagher przywoził z sobą na wyspę, nie zachowywały się aż tak pruderyjnie. To były kobiety, które miały jakieś wykształcenie, doświadczenie. Ktoś taki jak McAlster dla nich nie istniał. I ani trochę ich nie obchodziło, co on sobie o nich myśli.

Nie żeby McAlster nie był taktowny. Wszyscy pracownicy Gallagherów, czy to na wyspie, czy gdzie indziej, byli taktowni. Raczej rzadko zadawali swym chlebodawcom niewygodne pytania... w ogóle jakiegokolwiek pytania. McAlster znał żonę Gallaghery, Veronicę, przez sześć czy siedem lat i zawsze uprzejmie tytułował ją „panią Gallagher”, a kiedy przestała być panią Gallagher, oczywiście wiedział, że nie powinien o nic pytać.

Kiedy McAlster odjeżdżał swoim pick-upem, Gallagher zawołał w górę schodów:

– Ha-zel! Hazel Jones! Droga wolna.

Poszli na spacer nad rzekę, do przystani Gallagherów.

W intensywnym blasku słońca spokojniejsza niż zwykle rzeka nabrała odcienia nasyconego, kobaltowego błękitu i tchnęło od niej surowym pięknem. Wiatr ucichł, temperatura podniosła się do czterdziestu trzech stopni Fahrenheita. Śnieg już topniał, cały krajobraz uległ szaleństwu topnienia, ociekania wodą, kapania. Gallagher włożył ciemne okulary, żeby osłonić oczy przed słońcem, które niczym kastaniety terkotało w jego czaszce.

Mam kaca? Ale skąd.

Kastaniety wygrywały jakąś wariacką melodyjkę. Na szczęście Hazel jej nie słyszała.

Jakże niesamowicie prezentowała się rzeka z przystani Gallagherów długiej na trzydzieści stóp! Gallagher, który nie był tam od poprzedniego lata i z pewnością nie byłby tam w tym momencie, gdyby nie jego goście, wskazał latarnię w Malin Head Bay, kilka mil na wschód; wystarczyło odwrócić głowę w drugą stronę, żeby zobaczyć mniejszą latarnię w Gananoque w Ontario.

– Latem moglibyśmy się wybrać na żagle. Ty, ja i Zack. Chciałabyś, Hazel? – wyrwało mu się spontanicznie, choć przecież nie żeglował od dwunastu lat.

Hazel odparła, że owszem, chętnie.

Typowo dla siebie bez trudu odzyskała zwykły nastrój; zeszła na dół i problem dozorczy przestał istnieć. Hazel już taka była, że nigdy nie zacinała się w sobie na długo, nie buntowała się, tylko prędko topniała, przypominając pod tym względem żywe srebro. Gallagher nigdy nie spotkał kobiety tak bardzo kobiecej i dlatego był nią zafascynowany. A jednak nie chciała z nim iść do łóżka, trzymała go na dystans, wyraźnie się płoszyła.

Rozglądała się teraz, osłaniając oczy przed blaskiem słońca, a on nie mógł się powstrzymać, musiał się z nią droczyć.

– Pytał jednak o moich gości. Pytał, czy pokoje się podobają, a ja mu na to, że chyba tak.

Hazel prędko odparła, że są zadowoleni ze swoich pokoi. Nie dała się złapać na tę przynętę. Spytała, czy pan McEnnis przyjedzie tu następnego dnia.

– McAlster – poprawił ją Gallagher. – Nazywa się McAlster. Jego przodkowie przyjechali tu z Glasgow, kiedy miał dwa lata, mieszka na wyspie od dobrych sześćdziesięciu lat. Nie, nie przyjedzie tu jutro.

Szli brzegiem rzeki. Hazel miała ochotę zejść zdradziecką, kamienistą ścieżką do plaży, gdzie połamane kawały lodu lśniły w słońcu niczym ogromne zęby, gdzie śmieci naniesione przez ostatnią burzę leżały na stertach pośród piasku, stwardniałe jak beton, ale przestraszony Gallagher powstrzymał ją.

– Hazel, nie. Skręcisz sobie nogę.

Wędrowali jeszcze jakieś pół mili wzdłuż rzeki i czekał ich teraz długi powrót pod górę. Z tej perspektywy posiadłość Gallagherów wydawała się ogromna.

Zack wolał zostać w domu i ćwiczyć, bo z powodu Wielkanocy jego sobotnia lekcja została przełożona na wtorek, po szkole. Hazel powiedziała Gallagherowi, że Zack już był na dworze, wczesnym rankiem; mówiła o tym przepaszającym tonem, jakby brak zainteresowania dziecka zewnętrznym światem mógł zirytować Gallaghera.

Ani trochę! Gallagher całym sercem był po stronie chłopca. Postanowił, że będzie zawsze po stronie tego chłopca. Jego własny ojciec nie bardzo się interesował najmłodszym synem, poza tym, że w istotnych momentach bywał nim „rozczarowany”, i

Gallagher nie zamierzał iść w jego ślady. *Sprawię, że oboje będziecie mnie potrzebowali, a wtedy mnie pokochacie.*

Przeżył zaskoczenie, bo Hazel Jones okazała się o wiele silniejsza, niż się spodziewał. Szła pod górę ze znacznie mniejszym wysiłkiem niż on, prawie bez zadyszki. Stawiała pewne kroki, ochoczo. Biło od niej szczęściem, zadowoleniem z życia. Kwietniowa odwilż wzbudzała w niej uniesienie, wielkie, rozgorzałe słońce wcale jej nie przytłaczało, tylko zdawało się popychać do przodu.

Wcześniej Gallagher chciał z nią porozmawiać. Musiał z nią porozmawiać, sam na sam. Ona oderwała się jednak od niego, jakby ze zniecierpliwieniem. Stale się ślizgała na topniejącym śniegu, co jej wcale nie złościło, tylko śmieszyło. I jakby wcale jej nie przeszkadzało, że gałęzie iglaków uderzają ją po głowie. Szła pewnie i energicznie jak młode zwierzę, właśnie wypuszczone z zamknięcia. Gallagher pocił się pod ubraniem, zaczął zostawać z tyłu. Nie zamierzał wołać za tą kobietą, żeby na niego zaczekała. Serce waliło mu jak miotem.

Ty mnie kochasz. Ty mnie musisz kochać.

Dlaczego ty mnie nie kochasz?

Hazel ubrała się wyjątkowo urzekająco na tę ich wyprawę: wiatrówka, dziewczęce kalosze oraz męski kapelusz z filcu sarniej barwy, znaleziony w jednej z szaf w chacie. Gallagher, chcąc nie chcąc, przypomniał sobie, że kiedy dotykał Hazel, w ich czułych, intymnych chwilach, kiedy ją całował, kompletnie nieruchomiała, niczym pojmane zwierzę, które nie stawia oporu, a mimo to pozostaje sztywne, czujne. Nikt by nie zgadł, że ciało tej kobiety jest takie młode, gibkie, że tak kipi życiem. Kobiece ciało, którego skóra jest taka gorąca pod ubraniem.

Po niebie nad wyspą jak zawsze krążyły szerokoskrzydłe jastrzębie. Spadały na swoje ofiary na otwartych przestrzeniach, rzadko penetrowały sosnowe lasy. Teraz ich prędkie cienie migąły po wystających spod śniegu trawach i po sylwetce Hazel, kilka krążyło tak nisko, że Gallagher widział ostre zarysy ich dziobów.

Hazel też musiała zauważyć jastrzębie, bo niespokojnie zerkała na niebo. Przyspieszyła kroku, jakby chciała przed nimi uciec.

Psiakrew! Gallagher zauważył, że weszła na szlak, na wyboiste pozostałości po szlaku wiodące dalej w górę wzgórze; przedtem wymyślił sobie, że dojdą do najbliższego rozwidlenia ścieżek i wrócą do chaty, miał już dość maszerowania na ten dzień. A jednak Hazel szła dziarsko dalej, nie zwracając uwagi na swego towarzysza. Niewielka góra, na którą się wspinali, była porośnięta gęstym lasem i miała poszarpane, nierówne zbocze, poprzecinane po ukosie wystęпами łupka przeplecionego lodem; tu światło słońca docierało jedynie sporadycznymi plamami, poza tym wewnątrz sosnowego lasu było cieniste, chłodne. Gallagher przypomniał sobie, że szczyt góry jest nie do przebycia, nie włóczył się po tym cholernym szlaku od dwudziestu pięciu lat.

– Hazel! Wracajmy!

Hazel brnęła jednak dalej, nie zważając na nic. Gallagher nie miał wyboru, musiał iść za nią.

Kupił dla niej i dziecka dom w Watertown. Piękną kolonialną rezydencję z czerwonej cegły, z dwoma osobnymi wejściami, z widokiem na park. Ale Hazel nie chciała nawet jej zobaczyć.

W głębi duszy była ekspedientką. Bileterką. Kuliła się ze wstydu przed osądem zwykłego dozorca.

Z tym kochaniem Hazel Jones to błąd. Małżeństwo z nią byłoby strasznym błędem.

Gallagher nie był przyzwyczajony do takiej fizycznej wytrzymałości u żadnej kobiety; rzadko która z odwiedzających wyspę Grindstone miała ochotę na wspinaczkę. Jego była żona wyśmiałaby go, gdyby zaproponował taką wyprawę po topniejącym śniegu. Gallagher nauczył się kojarzyć kobiety z zadymionymi barami, klubami, drogimi, mrocznymi restauracjami. A w każdym razie te kobiety, które uważał za seksualnie atrakcyjne. A tymczasem tutaj miał przed sobą Hazel, w wiatrówce i męskim kapeluszu, która wspinająca się po stromym zboczu, nie oglądając się za siebie. Inne kobiety, które gościły na wyspie, przechadzały się z Gallagherem po posiadłości jego rodziny, trzymały się blisko niego, uważnie go słuchały.

Jeszcze jedna osobliwość: jeśli pamięć go nie myliła, Hazel była jedynym gościem chaty, który nie skomentował kolekcji fotografii. Goście zawsze wykrzykiwali, kiedy pośród Gallagherów i ich przyjaciół znajdowali znajome osoby, wyglądające na doskonale zadomowione w tym towarzystwie. Niektórzy ludzie sfotografowani z Gallagherami zaliczali się do bogatych, wpływowych postaci i ich twarzy Hazel mogła nie znać, ale były wśród nich również liczne osobistości publiczne: Wendel Wilkie, Thomas E. Dewey, Robert Taft, Harold Stassen, John Bricker i Earl Warren, kandydaci na wiceprezydentów podczas kampanii Deweya w latach 1944 i 1948. I byli też republikańscy kongresmani, senatorowie. Gallagher zazwyczaj wypowiadał się z pogardą o politycznych przyjaciołach ojca, ale tym razem nie miał takiej okazji, bo Hazel nie skomentowała fotografii.

Gallagher przypuszczał, że nie znała się na polityce. Brakowało jej wykształcenia, nie skończyła studiów. Nie wiedziała prawie nic o świecie mężczyzn, działalności publicznej, historii. Czytywała rubrykę, do której pisał Gallagher, ale ani jej nie oceniała, ani nie komentowała. *Wie tak mało. Ona mnie ochroni.*

Hazel wreszcie się zatrzymała. Czekala na Gallaghera w miejscu, gdzie szlak się kończył kłębowiskiem krzaków, w sosnowym lesie. Kiedy do niej dołączył, zadyszany i spocony, wskazała szare pióra rozsypane na ziemi, pośród igieł i lśniących strumyków lodu. Pióra miały zaledwie dwa albo trzy cale długości, były bardzo miękkie i cienkie, do niektórych przywarły drobne kostki i kawałki mięsa. Gallagher zidentyfikował te szczątki jako ofiarę sowy.

– W tych lasach jest pełno sów. Słyszeliśmy je ubiegłej nocy. Skrzeczały.

– To sowy zabijają inne ptaki? Mniejsze ptaki?

Pytanie było naiwne, wyrażało zdumienie. Hazel zadała je ze zboląłą miną, niemalże się krzywiąc.

– Cóż, sowy to drapieżniki, kochanie. Muszą coś zabijać.

– Drapieżniki nie mają wyboru, prawda?

– Nie mają, bo inaczej zdychałyby z głodu. I ostatecznie, kiedy już są stare, padają z głodu i wtedy zjadają je inne drapieżniki. – Gallagher mówił to beztróskim tonem, żeby złagodzić ponury ton Hazel. Jak większość kobiet przesadzała ze znaczeniem małej śmierci.

Miała zaróżowioną twarz od wspinaczki, jej oczy były zognioniałe i czujne, lśniły od wilgoci. Wydawała się rozgorączkowana, wciąż podniecona. Biło od niej rozgrzanym ciałem, seksualnością. Gallagher niemalże kulił się przed nią.

Był wyższy od Hazel o kilka cali. Mógł ją schwycić za ramiona i pocałować z całej siły. A mimo to kulił się przed nią, jego wzrok ukryty za ciemnymi okularami był zalękniony.

Psiakość: pocił się i jednocześnie dygotał. Na tym poziomie powietrze było dość zimne, wątle podmuchy wiatru od rzeki uderzały w jego odsłoniętą twarz niczym ostrza noży. Gallagher poczuł ukłucie dziecięcej niechęci, miał przed sobą kobietę, która nie potrafiła uchronić mężczyzny przed chorobą.

Pociągnął ją za rękę i poprowadził w dół szlaku. Od razu ruszyła z miejsca, szła za nim posłusznie.

– Sowa Minierwy wylatuje o zmierzchu. – Hazel powiedziała to swym dziwnym, niezrozumiałym, zagadkowym głosem.

Gallagher zerknął na nią ze zdumieniem.

– Dlaczego to powiedziałaś, Hazel? Te słowa? Zdawała się nie wiedzieć, dlaczego to powiedziała.

– To spostrzeżenie podszyte smutkiem – stwierdził Gallagher. – To cytat z niemieckiego filozofa, Hegla, oznacza bodaj, że mądrość przychodzi do nas wtedy, kiedy jest już za późno.

– Sowa Minierwy... Ale kto to jest Minierwa?

– Rzymska bogini mądrości.

– Mówimy o jakichś dawnych czasach?

– Bardzo dawnych, Hazel.

Gallagher wspominał później tę dziwną rozmowę. Miał ochotę spytać Hazel, po kim ona to powtarza, kto to powiedział przy niej, ale wiedział, że znów zastosowałyby unik, byle tylko nie odpowiedzieć na jego pytanie. Znowu udawałyby naiwną, młodą dziewczynę, a on z jakiegoś powodu nie ufałby jej do końca.

– Dlaczego twoim zdaniem „sowa Minierwy wylatuje o zmierzchu”? Zawsze musi tak być?

– Hazel, nie mam pojęcia. To tylko takie spostrzeżenie.

Była taka odrażająco dosłowna! Gallagher zrozumiał w tym momencie, że musi uważać na to, co jej mówi, że musiałby szczególnie uważać, gdyby została jego żoną. Wtedy naprawdę by mu ufała i nie zadawała żadnych pytań.

Wyszli z lasu i zaczęli schodzić po zboczu w stronę chaty. Tutaj, w pełnym blasku słońca, Gallagher nic by nie widział, gdyby nie ciemne okulary. Poczuli w nozdrzach woń skunksa, z początku słabą, potem mocniejszą. Prawdopodobnie była od zagajnika brzozowego albo od któregoś z domków gościnnych. Z pewnej odległości ten zapach był niemal przyjemny, ale z bliska już nie; z bliska ten atramentowo-pajęczynowaty smród mógł wręcz przyprawić o mdłości.

Pod budynkami gospodarczymi potrafiły niekiedy zimować całe rodziny skunksów i teraz budziły się, bo nastąpiła cieplejsza aura.

– Skunksy muszą gdzieś mieszkać. Tak jak my.

Hazel powiedziała to żartobliwym tonem i Gallagher się roześmiał. Znowu lubił Hazel Jones, teraz, kiedy nie kazała mu się wspinać na górę, żeby tam dostał zawału.

Gallagher naciskał klamki w kolejnych kilku domkach, aż wreszcie znalazł jeden nie zamknięty na klucz. Powietrze w środku było zimne i bardzo nieruchome. Zdaniem Gallaghiera przypominało wciągnięty oddech, co sprawiło, że ogarnęło go dziwne podniecenie.

Domek został zbudowany z sezonowanych kłód, nad niewielkim, połyskliwym potokiem. Nieopodal rosły brzozy, kłujące bielą w blasku słońca. Wnętrze domku było po części ocienione, po części wypełnione oślepiającym światłem. Tu też czuło się wątki, a jednak smrodliwy zapach skunksa. Na bliźniaczych łóżkach leżały wyraźnie nowe materace nakryte prześcieradłami i poduszki bez poszewek. Podłogę pokrywał dywan utkany z nici. Kiedy stał w tym wnętrzu obok Hazel Jones, czuł tak potężny napływ emocji, że aż zrobiło mu się słabo. Bardzo chciał z nią rozmawiać, tłumaczyć się. Nie rozmawiał z nią na poważnie od przyjazdu na wyspę i ich wspólny czas gwałtownie się kurczył. Następnego dnia miał odwieźć swoją małą rodzinę do Watertown, do jej własnego życia. Kupił piękny dom dla Hazel i dziecka, ale oni jeszcze tam nie zamieszkali.

Nie miał dzieci. Nie miał ani jednego dziecka. *Jeśli zgubiłeś drogę, to lepiej, że nie masz dziecka.*

Wtedy właśnie Gallagher zaczął mówić, co mu ślina na język przyniosła. Słyszał samego siebie, jak opowiada Hazel o tym, jak w młodości obozował w lesie w letnie noce. Nie z braćmi, tylko sam. Miał „szczenięcy” namiot z moskitierą. Domków dla gości jeszcze wtedy nie było. Bał się odgłosów lasu, przez co prawie nie spał, ale to były ważne doświadczenia. Zastanawiał się, czy wszystkie ważne doświadczenia zdobywa się wtedy, gdy jesteś sam i czujesz strach.

W pewnym sensie to przypominało czasy wojny, to spanie na dworze, w namiocie. Tyle że podczas wojny jesteś tak wyczerpany, że nie masz kłopotów ze snem.

Powiedział Hazel, że to jego ojciec wybudował większość tych domków po wojnie. Thaddeus powiększył także chatę, dokupił więcej ziemi nad rzeką. W rzeczy samej Gallagherowie posiadali jeszcze inne ziemie na terenie Tysiąca Wysp i budowali na nich z wielkim zyskiem. Thaddeus Gallagher wzbogacił się podczas wojny i później też wiele zarobił: zdominowane przez republikanów władze ustawodawcze stanu Nowy Jork w latach pięćdziesiątych uchwaliły system podatkowy, który był bardzo korzystny dla Gallagher Media Group.

(Dlaczego Gallagher opowiadał o tym Hazel Jones? Chciał zrobić na niej wrażenie? Chciał, żeby się dowiedziała, że jest synem bogacza, który nie dźwiga na sobie grzechu, jakim jest dorabianie się bogactw? Hazel nie miała żadnego dostępu do wiedzy, czy Gallagher ma prawo korzystania z rodzinnych pieniędzy, czy też – być może – został wydziedziczony.)

Hazel nigdy nie wypytywała Gallaghiera o jego rodzinę, podobnie jak nie pytała o jego małżeństwo. Nie zadawała osobistych pytań. A jednak teraz spytała, z szokującą bezceremonialnością, czy walczył na wojnie.

– Na wojnie? Och, Hazel.

Gallagher zawsze miał problem z opowiadaniem o swoich przeżyciach wojennych. Jego zwykły styl bycia, junacki i rubaszny, zupełnie tu nie pasował. Napotkał spojrzeniem oczy Hazel Jones, rzewne i roznamiętnione. Stali na progu domku, tuż obok siebie, a jednak się nie dotykali. Każde z nich czuło obecność tego drugiego. Ciasna przestrzeń, wymuszająca taką bliskość, wzbudzała zdenerwowanie.

– Widziałeś obozy śmierci?

– Nie.

– Nie widziałeś obozów śmierci?

– Byłem w północnych Włoszech. Trafiłem tam do szpitala.

– To we Włoszech nie było obozów śmierci?

Zabrzmiało to jak pytanie. Gallagher nie bardzo wiedział, jak tu odpowiedzieć. Kiedy był za oceanem, najpierw we Francji, a potem na włoskiej wsi, na północ od Brescii, nie wiedział nic o sławetnych nazistowskich obozach śmierci. Zresztą wiedział niewiele nawet o własnych doświadczeniach. Dwadzieścia trzy dni po wylądowaniu w Europie został trafiony szrapnelem w plecy i kolana. Wokół szyi nosił kołnierz gruby jak chomąto i strasznie chorował od licznych infekcji, a później od morfiny. Docierało do niego, że był świadkiem ohydnych rzeczy, ale bezpośrednio nie brał w nich udziału. Przeżył to wszystko tak, jakby na oczach miał taśmę maskującą, coś w rodzaju błony.

A teraz Hazel Jones przyglądała mu się z osobliwym, łapczywym głodem. Gallagher czuł ciepło rozgorączkowanego kobiecego ciała; to było dla niego coś nowego, bardzo ekscytującego.

– Dlaczego naziści chcieli zabijać? I co to znaczy, że niektórzy ludzie są „brudni”, „nieczyści”, że wiodą „życie niegodne życia”?

– Hazel, naziści byli szaleńcami. To nie ma znaczenia, o co im chodziło.

– Naziści byli szaleńcami?

To najwyraźniej znowu było pytanie. Hazel wypowiedziała je z osobliwą zajadłością, jakby w słowach Gallaghiera usłyszała kpinę.

– Ależ oczywiście. Naprawdę byli szaleńcami i mordercami.

– Ale przecież statki z Żydami na pokładzie, które przybywały do Stanów Zjednoczonych, były zawracane. Amerykanie ich nie chcieli, tak jak nie chcieli ich naziści.

– Nie, Hazel. Nie wierzę w to.

– Nie wierzysz w to?

– Nie.

Gallagher zdjął ciemne okulary. Próbował wsunąć je po omacku do kieszeni kurtki, ale wyslizgnęły się z jego palców i upadły na podłogę. Był zaskoczony i jakby zdegustowany żarem Hazel, jej dziwnie napastliwym tonem. To nie był melodyjny, kobiecy głos Hazel Jones, tylko jakiś obcy głos, którego Gallagher nigdy nie słyszał.

– Nie, Hazel. Jestem przekonany, że tak nie było.

– Nie było?

– To była jakaś kwestia dyplomatyczna. Jeśli mówimy o tym samym.

Gallagher odpowiedział z wahaniem. Nie był pewien swojej wiedzy, cały temat był dla niego niejasny, niesmaczny. Próbował coś sobie przypomnieć, ale nie potrafił. Jego oddech przyspieszył, jakby wciąż wspinał się pod górę.

– Statki wpłynęły do portu nowojorskiego, ale urzędnicy imigracyjni nie wpuścili uchodźców. Tam były dzieci, niemowlęta. Setki ludzi. Zostali odesłani do Europy, żeby tam umrzeć.

– Ale dlaczego wrócili do Europy? – spytał Gallagher. Miał przebłysk intuicji: mógł się tu sprzeczać. – Dlaczego, skoro mogli popłynąć na jakiś inny kontynent? Dokądkolwiek?

– Nie mogli płynąć na inny kontynent. Musieli wrócić do Europy, żeby tam umrzeć.

– Byli uchodźcy, którzy płynęli na Haiti, tak mi się wydaje. Do Ameryki Południowej. Niektórzy dotarli aż do Singapuru.

Gallagher znów nie miał pewności. Właściwie to naprawdę nic nie wiedział. Mglisto przypominał sobie wstępniaki w gazetach Gallagherów i w innych

amerykańskich gazetach, w latach poprzedzających Pearl Harbor, które argumentowały przeciwko amerykańskiej interwencji w Europie. Gazety Gallagherów były bardzo przeciwne Rooseveltowi; oskarżały go na swoich łamach o uleganie wpływom żydowskim, o korupcję. W rubrykach niektórych komentatorów F.D.R. był wręcz identyfikowany jako Żyd, podobnie jak jego sekretarz skarbu, Henry Morgenthau Junior. Przez krótką chwilę zagubienia taśma maskująca obsunęła się z pamięci Gallaghera i zobaczył zaciekawionymi oczyma dziecka napis w hallu pewnego luksusowego hotelu w Miami Beach: UPRASZA SIĘ GOŚCI POCHODZENIA ŻYDOWSKIEGO O NIEWCHODZENIE NA TEN TEREN. Kiedy to było, na początku lat trzydziestych? Zanim Gallagherowie nabyli prywatną rezydencję nad oceanem, w Palm Beach?

– Dużo spraw przesadnie rozdmuchano, Hazel – odparł z wahaniem. – I nie tylko Żydzi umierali, ale również inni ludzie, łącznie z Niemcami. Całe miliony. I jeszcze kolejne miliony umarły z winy Stalina. Dzieci. Niemowlęta. To były wybuchy szaleństwa podobne do erupcji lawy... Kto był kiedyś żołnierzem, ten rozumie, na czym polega anonimowość historii.

– Czyli ty ich bronisz. „Dużo spraw przesadnie rozdmuchano”.

Gallagher wytrzeszczył oczy, kompletnie oszołomiony. Czuł teraz odruchową odrazę do tej kobiety, niemalże się jej bał, zniecka wydała mu się kimś obcym. Dotknął jej ramion.

– Hazel? O co ci chodzi?

– „Dużo spraw przesadnie rozdmuchano”. Sam powiedziałeś.

Hazel parsknęła śmiechem. Mrugała gwałtownie, nie patrząc na niego.

– Hazel, strasznie przepraszam. Nagadałem głupot. Straciłaś kogoś podczas wojny?

– Nie. Nikogo nie straciłam podczas wojny.

Hazel mówiła to oschłym tonem, na poły szydząc. Gallagher objął ją niezgrabnie, a ona przez chwilę trwała przy nim sztywno i naraz jakby stopniała, bo przyłgnęła do niego, cała dygocząc. Fala pożądania uderzyła Gallaghera niczym pięść.

– Hazel! Moja... moja najukochańsza...

Gallagher ujął twarz tej kobiety w dłoń i pocałował ją, a ona zaskoczyła go żarem, z jakim odwzajemniła pocałunek. Stali w plamie oślepiającego słońca. Na tyłach domku powietrze lśniło, jarzyło się niczym ogień. Wargi Hazel Jones były zimne, a jednak zdawały się wsysać usta Gallaghera. Nieporadnie, jak ktoś nieprzyzwyczajony do intymności, ale za to z desperacją przywarła do niego, zacieśniając uścisk ramion. Było coś zajadłego i przerażającego w tej napastliwej, kobiecej żądzy.

– Hazel, najdroższa... Moja najdroższa... – mrucał Gallagher urzeczoną, śpiewnym głosem, głosem, który zdawał się istnieć poza nim. Wciągnął ją do wnętrza domku, potykając się razem z nią, oboje spowici w opary swoich oddechów; oboje śmiali się nerwowo, całowali, czy raczej próbowali się całować, obejmowali się niezdarnie w swoich grubych ubraniach. Gallagher pociągnął Hazel na jedno z bliźniaczych łóżek. Pod luźnym, bezbarwnym prześcieradłem ukryty był goły materac. Od podłogi unosił się zapach skunksa, zwierzęcy, intymny. To był dziwnie atrakcyjny odór, nie taki bardzo silny. Na ślepo, śmiejąc się bez wesołości, bo zdawała się bardzo przestraszona, Hazel ściągnęła kurtkę z Gallaghera, a potem zaczęła szarpać za pasek w jego spodniach. Niezdarnymi, a jednak zdecydowanymi na wszystko dłońmi. *Jakby rozbierała dziecko. Matka rozbierająca dziecko*, pomyślał Gallagher. Zdumiała go. Był nią absolutnie odurzony. Dotąd Hazel Jones stawiała mu opór, a tymczasem! Leżeli już na materacu, w

plamie oślepiającego słońca, i całowali się. Całowali z wysiłkiem, nadal nieporadnie majstrując przy swoich ubraniach. Gallagher dawno temu udzielił sobie rady: *Ona nie jest dziewicą, Hazel Jones nie jest dziewicą, nie narzucam się jakiejś dziewicy, Hazel Jones ma dziecko i już była z mężczyzną*, ale teraz ta Hazel Jones była dla niego zdumiewająca, ścisnęła go z całej siły, przyciągała go do siebie, wciągała do swego wnętrza. Rozszalałe usta tej kobiety wsysały jego usta, przez co tracił świadomość samego siebie, w delirium zwierzęcego pragnienia i poddaństwa. Czuł wręcz, że ramiona tej kobiety zaraz go unicestwią, choć takie odczucia nie były dla niego czymś naturalnym, od lat czegoś takiego nie doświadczał. Od okresu dojrzewania. Teraz to nie on był tym silniejszym z nich dwojga. Jego wola nie była silniejsza od woli Hazel Jones. Zrozumiał, że ulegnie tej kobiecie nie raz, tylko wiele razy, bo to był ich pierwszy raz z wielu razy.

Włosy Hazel, wilgotne od potu, przyłgnęły do jego twarzy, wchodziły mu w usta. Jej piersi były znacznie większe, cięższe, niż to sobie wyobrażał, mlecznej barwy, z sutkami jak jagody. Nie był przygotowany na widok krzaczastych, czarnych włosów, spiczastego, czarnego trójkąta sięgającego pępka. Nie był przygotowany na muskularną siłę jej nóg, jej kolan obejmujących go w pasie. *Kocham cię kocham cię* uwięzło mu w gardle, kiedy bezradnie pompował w nią swoje życie.

Słońce prędkimi skokami ogromniało, wypełniając całe niebo.

Oddech Boga.

Kapryśny wiatr, który gnał ją zniecka w niespodziewanym kierunku, już jednak określonym, celowym. Ją i to dziecko, które było jej własnym celem.

Mężczyzna chce wiedzieć. Kochanek chce wiedzieć. Jest gotów wyssać cały szpik z twoich kości, tak bardzo chce wiedzieć.

Mężczyzna ma prawo. Kochanek ma prawo. Nabywa to prawo, kiedy już spenetruje twoje ciało.

Mówienie mu tego, czego powiedzieć nie wolno. Kochanek chce wiedzieć to, czego nie wolno powiedzieć. Trzeba złożyć w ofierze jakiś sekret.

Był już najwyższy czas. I nie tylko. Wiedziała o tym, mimo że nie była jego żoną i nie zamierzała nią być. *Była taka jedna dziewczyna w moim liceum w Milburn, wiesz, gdzie jest Milburn?*, na co odparł: *Nie, chyba nie*, i wtedy mu opowiedziała: *Kiedy miałyśmy trzynaście lat, ojciec zabił jej matkę, starszego brata i ją, a na końcu siebie, z dubeltówki, w sypialni w ich domu, mieszkali w takim śmiesznym starym domu zbudowanym z kamieni, takiej jakby chatce z bajki, tyle że była już bardzo stara, zapadała się w ziemi. Aż się wzdrygnął, kiedy to usłyszał. Jezu! Co za straszna historia! Przyjaźniłaś się z tą dziewczyną?*, a wtedy Hazel prędko zaprzeczyła, ale zaraz dodała: *Znałam ją, ale nie blisko, kolegowaliśmy się w podstawówce* i wtedy Gallagher spytał: *Dlaczego ten ojciec zrobił coś tak strasznego, był nienormalny? Zdesperowany? Biedny?*, z zaskakującą naiwnością jak na kogoś, kto był na wojnie i został ranny. Zadał to pytanie, a Hazel uśmiechnęła się w ciemnościach, nie promiennym, marzycielskim uśmiechem Hazel Jones, tylko uśmiechem wściekłości: *To są powody, dla których ktoś zabija własną rodzinę i siebie?*, ale Gallagher błędnie odczytał drżenie Hazel jako wyraz emocji, bo przytulił ją z całej siły, żeby ją ochronić, bo odtąd chciał już zawsze ją chronić. *Biedna Hazel! To musiało pewnie być straszne przeżycie dla ciebie i dla wszystkich, którzy ich znali*, na co Hazel się uśmiechnęła: *Tak uważasz?*, bo to jej nigdy nie przyszło do głowy. *Był miejscowym grabarzem*, dodała. Jakby to było jakieś wytłumaczenie. I Gallagher to wytłumaczenie przyjął.

Hazel oczywiście wiedziała, że to nieprawda. Nikt w Milburn nigdy by nie pomyślał, że to było coś strasznego. Po prostu grabarz wymordował swoją rodzinę i popełnił samobójstwo.

Wymordował ich wszystkich. Nie został nikt, by ich opłakiwać.

Dlaczego? Bo już był najwyższy czas.

Hazel Jones miała zamieszkać z Gallagherem w domu z czerwonej cegły, który Gallagher kupił dla niej w Watertown, i oczywiście miała wprowadzić się tam razem z synem. *Zgodziła się dla dobra dziecka, mieli tam zostać tak długo, jak to im będzie pasowało, tak długo, jak temu człowiekowi będzie się wydawało, że ją kocha, bo córka grabarza nie miała prawa nie skorzystać z takiej okazji,* a kiedy dwa lata później dziecku zaproponowano stypendium w Akademii Muzycznej Portmana, Gallagher postanowił, że kupi dom w Syracuse i że wszyscy troje się tam przeniosą.

Byli dla niego „jego małą rodziną”. Nigdy przez całe swoje dorosłe życie Chet Gallagher nie był taki szczęśliwy.

Tak miało być. To był oddech Boga. Że mój syn zostanie pianistą, że będzie grał dla wielkich widowni i że wszyscy będą go oklaskiwali.

– Ale co ty się tak tym przejmujesz, Hazel?

Gallagher zadał jej to pytanie łagodnym tonem. Uśmiechał się, gładził po ręce. Ciągle zresztą jej dotykał, pieścił. Uwielbiał ją! Ale ten jej upór, ta jej osobliwa, gorączkowa, nieustępliwa wola go niepokoiła. Ta jej prymitywna dusza, tak sobie myślał, a potem się wstydził, że tak pomyślał. Bo on naprawdę ją uwielbiał, wierzył, że dałby się za nią pokrajać. I dziecko też kochał, choć nie aż tak jak jego matkę.

– Bo... – Hazel urwała, oblizując wargi, zakłopotana, albo udając zakłopotaną, bo w takich momentach wydawała się nieśmiała, niepewna, przez co Gallagher nie mógł jej pokonać swoim ugodowym tonem. – ...muzyka jest piękna. Muzyka jest...

To właśnie tutaj głos Hazel opadał w sposób, który Gallagher uważał za uroczy i jednocześnie wkurzający, zwłaszcza że musiał nachylać głowę w stronę jej głowy, żeby cokolwiek usłyszeć. A jeśli i tak nie dosłyszał i musiał ją prosić, żeby powtórzyła, to Hazel kulila się z zawstydzeniem, nagle nieśmiała jak młoda dziewczyna.

– Och, nic takiego. Straszne głupstwa.

Później jednak usłyszał te wymruczane, uroczyste słowa, których najpierw nie dosłyszał: *Muzyka jest czymś najważniejszym.*

„Dlaczego durnie się zakochują”, brzmiały słowa sławnego przeboju.

Do diabła, czemu nie mieliby się zakochiwać? Miał czterdzieści dwa lata i nie robił się młodszy, mądrzejszy ani bardziej przystojny.

Śmiał się ze swojego odbicia w lustrze przy goleniu. To była twarz, na której widok, niezależnie od pory, a już zwłaszcza w tym klinicznym, bezlitosnym świetle w łazience, przywykł osłaniać oczy – w dosłownym sensie! O nie, tylko nie to! A jednak teraz, kiedy obok w kuchni śniadanie dla niego i Zacka szykowała Hazel Jones, kobieta, która autentycznie lubiła szykować śniadania i nosiła przy tym fartuch w kwiatki, Gallagher był

gotów do konfrontacji z własną twarzą, bez dawnego odruchu, by walnąć pięścią w lustro albo wyrzygać się do umywalki.

I chłopca też kochał.

Mój chłopak. Czasami nawet wyrывało mu się „mój syn”, podczas zwykłych, zdawkowych rozmów.

Frazę „moja mała rodzinka” zachowywał dla siebie i Hazel. „Moje nowe życie” zachowywał ściśle dla siebie.

– Muzyka nie jest najważniejsza, kochanie. Jest mnóstwo innych ważnych rzeczy.

Rzeczywiście? Gallagher, były młodociany geniusz pianina, który wypalił się w wieku siedemnastu lat i przez jakiś czas był bliski samobójstwa, z pewnością tak uważał.

Nie zamierzał jednak mówić tego Hazel. Było wiele rzeczy, które Gallagher ćwiczył zawczasu, by potem móc je powiedzieć Hazel, ale tej jednej nie zamierzał jej mówić ze strachu, że ją zdenerwuje, zrani.

Ze strachu, że powie prawdę.

Chet Gallagher już nie koncertował w Malin Head Inn, przeprowadził się sto mil na południe, do Syracuse, do domu oddalonego o trzy przecznice od szkoły muzycznej, w której Zack pobierał teraz intensywne lekcje u pianisty, swego czasu jednego z ulubionych protegowanych Hansa Zimmermana. Zimmerman załatwił mu stypendium, ale należało się spodziewać innych kosztów, w tym niektórych znaczących, jeśli Zack miał rozpocząć poważną karierę. Gallagher nie musiał mówić Hazel, że będzie płacił za to przedsięwzięcie, że będzie urzeczony, mogąc płacić za wszystko, co trzeba. Gallagher już nie grał jazzu na fortepianie, wolał unikać zadymionych barów, okazji do picia bez umiaru, okazji do spotykania się z samotnymi, uwodzicielskimi kobietami, o Jezus, o ileż bardziej wolał spędzać wieczory w domu, ze swoją małą rodzinką, którą tak uwielbiał.

Ze strachu, że powie prawdę.

Mimo to Hazel nie chciała wyjść za Gallaghera! Wielka zagadka jego życia.

Zagadka i powód do głębokiej urazy.

– Ale dlaczego nie, Hazel? Nie kochasz mnie?

Hazel, jak zawsze w takich sytuacjach, udzielała mu niejasnych odpowiedzi, robiła uniki, wahała się. Można wręcz było pomyśleć, że słowa to ciernie albo kamyki, które kaleczą jej gardło. Gallagherowie jej nie aprobowali, nie aprobowali matki z nieślubnym dzieckiem. Gardzili nią, nie chcieli jej wybaczyć.

– Hazel! Na litość boską.

Trzymał ją w ramionach, była taka zestresowana. Nie chciał jej denerwować jeszcze bardziej. Teraz, kiedy mieszkali razem, potrafił lepiej dopasowywać się do jej nastrojów. Hazel Jones była podobna do prostego płomienia; przykuwała oko, oszałamiała sobą, a jednak płomień to coś delikatnego, coś może mu nagle zagrozić, coś może go zgasić.

Matka z nieślubnym dzieckiem, pogarda. Wybaczenie! Gallagher aż się krzywił, słysząc takie banały. Co go to, do cholery, obchodziło, że Gallagherowie nie tolerują jego związku z Hazel Jones? Nic o niej nie wiedzieli. Tamte bzdury, złośliwości, które o niej wygadywali w Albany. A teraz, kiedy Gallagher z nią zamieszkał... Nigdy nie poznają

Hazel, jeśli uda mu się tego uniknąć. Najprawdopodobniej już go wydziedziczyli. Thaddeus wykreślił go pewnie z testamentu wiele lat wcześniej.

– Martwisz się pieniędzmi? Nie potrzebuję ich pieniędzy, Hazel. Zarobię je po swojemu.

Nie była to do końca prawda: Gallagher dostawał pieniądze z funduszu powierniczego ustanowionego przez jego dziadków od strony matki. Ale wrócił do pracy w gazecie, był producentem programów radiowych. Jeśli Hazel bała się o pieniądze, to zamierzał zarobić ich więcej!

Zamierzał opiekować się Hazel Jones, tak mu dyktował charakter. Wmawiał sobie, że tak jest: że jest człowiekiem zasad. Nawet jego ojciec, nadzwyczaj obojętny wobec cierpień ludzkich mas jak większość konserwatystów, był skądinąd lojalny, czasami wręcz zawzięty i irracjonalnie lojalny wobec istot ze swego najbliższego kręgu.

Thaddeus też miewał kobiety, czy raczej miewał je, kiedy był młodszy, zdrowszy fizycznie. Prymitywne i jakby nienasycone ciągoty seksualne zaspokajał tym, co było pod ręką. Mimo to w oczach społeczeństwa pozostał „wiernym” mężem. Nie zdradzał żony publicznie i być może w swojej naiwności (Gallagher tak sobie wmawiał) jego matka nigdy się nie dowiedziała, że Thaddeus ją zdradzał.

– Ale przecież mnie kochasz, Hazel? – wymknęło się Gallagherowi, błagalnym tonem. – Bo ja naprawdę cię Kocham.

Łamał mu się głos. Zrobił z siebie durnia. Przecież niemalże ją oskarżył.

Hazel wtuliła się w objęcia Gallaghera, jakby zbyt wstrząśnięta, by coś powiedzieć. To był dowód, że go kochała: może nie? Przyciskała się do niego tak samo jak w łóżku, nie stawiając żadnego oporu, ciepło i czule, oplatając rękoma jego szyję, otwierając usta do jego ust. Czuł teraz bicie jej serca. Czuł narastające ciepło jej ciała. Naszła go myśl: *Ona pamięta jakiegoś innego mężczyznę, tego, który ją skrzywdził.* Gallagher poczuł impuls, żeby połamać ją w swych ramionach, tak jak to zrobił tamten. Żeby połamać jej kości w brutalnym uścisku, chowając przy tym swoją rozgorączkowaną, wściekłą twarz w jej karku, w jej spiętych w kok połyskujących czerwonymi pasemkami włosach.

Ukrył swą wykrzywioną twarz i rozplakał się. Do łez nikt się nie musi przyznawać.

Ani w Watertown, ani w Syracuse nie widziała nawet przelotnie mężczyzny, który udawał jej męża, a jednak omal nie zasłabła pod wpływem tego gorzkiego objawienia: *Jeżeli wyjdę za tego człowieka, jeżeli będę go kochała, to tamten drugi nas wytropi i zamorduje.*

Chet Gallagher z pewnością był w stanie zarobić na swoją małą rodzinę.

– Hazel Jones, masz w sobie dar szczęścia! Wniosłaś tyle szczęścia do mojego życia.

Tak było, Gallagher znowu był młodym człowiekiem. Namiętnym kochankiem, durną ofiarą miłości! Człowiekiem, który kiedyś żartował sobie, że jego serce skurczyło się do rozmiarów rodzyńka, że nawet w dotyku jest pomarszczone jak rodzynek, a tymczasem teraz serce Gallaghera nabrało rozmiarów sporej, zdrowej pięści i pompowało nie tylko krew, ale także nadzieję. Jego twarz wydawała się młodsza. Cały czas się uśmiechał, pogwizdywał. (Zack musiał prosić Gallaghera, żeby zechciał nie gwizdać tak głośno, bo te melodie wchodziły mu potem do głowy i kłóciły się z inną muzyką.) Pił czerwone wino do kolacji i poza tym nic więcej. Już się nie objadał tak nałogowo, zgubił

dwadzieścia funtów w pasie i klatce piersiowej. Włosy wciąż mu wypadają, ale co tam; Hazel gładziła go po guzowatej, łysej głowie, wplatała palce między resztki włosów i twierdziła, że jest najbardziej przystojnym mężczyzną, jakiego w życiu poznała.

Była żona zraniła Gallaghera seksualnie, inne kobiety go rozczarowały. Hazel Jones wymazała jednak te wspomnienia.

Niemalże z dnia na dzień z człowieka, który chodził spać o czwartej nad ranem i następnego dnia budził się z trudem w południe, Gallagher przeobraził się w człowieka, który kładł się do łóżka o jedenastej wieczorem i wstawał o siódmej rano. Został autorem cyklicznych audycji radiowych (*Jazzowa Ameryka, Amerykańskie standardy*), pierwotnie nadawanych przez lokalną rozgłośnię w Syracuse, a później na terenie całych stanów Nowy Jork, Ohio i Pensylwania. Zaprzyjaźnił się z redaktorem naczelnym „Syracuse Post-Dispatch”, gazety należącej do imperium Gallagherów, dość jednak niezależnej, i stworzył stałą, autorską rubrykę, w której wypowiadał się na tematy związane z polityką i etyką. Pisał na przykład o prawach obywatelskich, o walce z segregacją rasową w szkołach, o Martinie Lutherze Kingu. O dyskryminacji rasowej w związkach zawodowych. O potrzebie „radykalnych reform” w ramach prawa rozwodowego stanu Nowy Jork. O „moralnie podejrzaney” wojnie w Wietnamie. Były to teksty pełne werwy, nasycone humorem, które prędko przyciągnęły uwagę czytelników, bo Chet Gallagher był postacią kontrowersyjną, jedynym liberalnym głosem dopuszczanym na łamy gazet Gallagherów. Kiedy redaktorzy naczelni wspierali, nieodmiennie zresztą, republikańskich kandydatów na urząd prezydenta, Gallagher kwieciście krytykował, rozbierał na czynniki pierwsze, obnażał. A miarą jego uczciwości było to, że potrafił być równie krytyczny wobec kandydatów demokratycznych. Publikowano gniewne listy od czytelników, w których ci potępiali jego poglądy. Im więcej kontrowersji, tym lepiej sprzedawały się gazety. Gallagher uwielbiał taki rozgłos! (Jego artykuły nie były nigdy cenzurowane w gazecie ukazującej się w Syracuse, ale inne gazety z koncernu Gallagherów czasami nie chciały ich drukować. Te decyzje nie miały nic wspólnego z Thaddeusem Gallagherem, który rzadko się wtrącał do poczynąń którejkolwiek z jego gazet, jeśli przynosiły zyski. Thaddeus najprawdopodobniej czytał wszystkie artykuły Cheta Gallaghery, bo był człowiekiem, który bacznie się przyglądał wszelkim aspektom działalności Gallagher Media, nigdy jednak nie komentował artykułów najmłodszego syna, jak Gallagher się orientował, i nigdy nie wykorzystywał swojej władzy, by wpływać na kształt rubryki. Stary znacznie wcześniej przyjął zasadę, że będzie się odcinał od kariery najmłodszego syna, bo w ten sposób mógł demonstrować własną moralną wyższość.)

I dlatego właśnie Gallagher był szczęśliwy. Do pewnego stopnia.

Ona jest mężatką? Tak to jest? Nie ma rozwodu? Okłamała mnie, czy co?

Ta myśl sama go nachodziła, nawet kiedy się kochali. Nawet gdy siedzieli obok siebie, trzymając się za ręce, słuchając, jak mały Zacharias gra na pianinie. (Po raz pierwszy grał dla publiczności na koncercie zorganizowanym w Akademii Portmana. Dziewięcioletni Zack był najmłodszym wykonawcą tamtego wieczoru i nagrodzono go najbardziej entuzjastycznymi oklaskami.) Czasami skręcał się z zazdrości i nieszczęścia, które niczym węże wyżerały mu trzewia.

Hazel powiedziała mu, że nigdy nie była mężatką. Mówiła to z taką bolesną szczerością, że Gallagher nie mógł wątpić w jej słowa.

Gallagher coraz bardziej pragnął adoptować to dziecko. Zanim będzie za późno. Ale żeby to zrobić, musiał najpierw zostać mężem matki. W głębi duszy Gallagher brzydził się ideą małżeństwa. Brzydził się ingerencją państwa w prywatne życie jednostki. W dużej mierze zgadzał się z Marksem, często cytował Marksa, żeby rozwścieczyć Thaddeusa, bo Marks na ogół ujmował to trafnie: ludzkie masy sprzedają się dla stałej płacy, kapitaliści to dranie, które byłyby gotowe poderznąć ci gardło, ściągnąć twoją krew i sprzedać ją temu, kto zapłaci najwięcej, religia to opium mas, a kościoły to kapitalistyczne przybytki tworzone dla zysku, utrwalania władzy, wpływów. Rzecz jasna prawo faworyzuje bogatych i możnych, władza dąży jedynie do mnożenia władzy, tak jak kapitał dąży do mnożenia kapitału. Rzecz jasna świat przemysłu jest owładnięty szaleństwem, pierwsza wojna światowa, druga wojna światowa, zawsze gdzieś w spektrum wojny światowej, w nieustającej walce narodów. Marks prawie wszystko ujął jak należy, a Freud całą resztę: cywilizacja to cena, którą płacisz za to, że nie poderzną ci gardła, ale to cholernie wysoka cena.

Dostanie rozwodu w stanie Nowy Jork w połowie lat pięćdziesiątych! Gallagher był jednym z tych, którzy jeszcze dziesięć lat później lizali się z ran.

– Dupek. Czyja wina, jak nie moja?

Cała ironia polegała na tym, że ożenił się, by zjednać sobie otoczenie. Matka była wtedy bardzo chora, umarła tuż po jego ślubie. Nie wolno nie doceniać roli tyranii umierającej matki w cywilizacji! Gallagher powrócił zza oceanu, zdecydowany nie poddawać się rozpacz, depresji, alkoholizmowi jak inni znani mu weterani, a wtedy dla całego pokolenia jedynym zbawieniem było małżeństwo.

Gallagher był młody: dwadzieścia siedem lat. Wdzięczny, że nie został zabity i zauważalnie okaleczony. Miał nadzieję, że jeśli zjedna sobie otoczenie, a w szczególności rodziców, to należycie zademonstruje, jaki jest wdzięczny. Błąd, którego nie zamierzał powtarzać.

Kiedy mieszkał w Albany, stolicy stanu Nowy Jork, Gallagher już jako chłopiec zdawał sobie sprawę z tego, jak wielka jest ingerencja państwa w ludzkie życie. Nie dawało się nie zauważać polityki, jeśli się mieszkało w Albany! Nie była to polityka idealizmu, tylko przepychanek, polityka „układów”. Nie istniał żaden wyższy cel niż „układ” i nie istniały żadne wyższe motywacje niż „interes własny”. Obrzydzenie Gallaghiera sięgnęło zenitu w roku 1948 za sprawą ponurego politykierstwa stojącego za ustawą Tafta-Hartleya, którą zdominowany przez republikanów Kongres uchwalił po wecie Trumana. I jeszcze ta szydercza kampania Deweya przeciwko Trumanowi, na którą Thaddeus wpłacił mnóstwo pieniędzy, całkowicie poza wiedzą opinii publicznej.

Pokłócił się z Thaddeusem i wyprowadził z Ardmoor Park. Już nigdy więcej nie miał odbudować przyjaznych stosunków ze starym.

A tymczasem Hazel Jones uważała siebie za niegodną Gallagherów i jego samego! Co za bzdura.

Błagał ją jednak, choć strasznie się tego wstydził.

– Hazel, mógłbym adoptować Zacka, gdybyśmy się pobrali. Przecież to chyba dobry pomysł?

Hazel prędko pocałowała Gallaghiera, mówiąc, że tak, dobry, chyba. Któregoś dnia.

– Któregoś dnia? Zack rośnie, najwyższy czas. Przecież nie wtedy, gdy zostanie nastolatkiem, który będzie miał gdzieś swojego ojca.

Który będzie miał w dupie swojego ojca, to chciał powiedzieć. Przepelniający go gniew narastał, przeobrażając się w desperację.

W pokoju muzycznym na tyłach domu Zack grał. Prawdopodobnie uderzył w niewłaściwy klawisz, bo muzyka ucichła znienacka i po krótkiej przerwie rozbrzmiała ponownie.

Widząc, że Gallagher jest zdenerwowany, Hazel ujęła jego dłoń, znacznie większą i cięższą od jej dłoni, podniosła ją i przycisnęła do swojego policzka, w jednym z tych impulsywnych gestów Hazel Jones, który potrafił sprawić, że jej kochankowi pękało serce.

– Któregoś dnia.

Na Konkurs Młodych Pianistów w Rochester, w maju 1967, chłopiec przygotowywał *Impromptu nr 3* Schuberta. W wieku lat dziesięciu i pół miał być najmłodszym wśród grupy wykonawców, z których najstarsi mieli osiemnaście lat.

Drugim z kolei najmłodszym był dwunastolatek, Amerykanin o chińskich korzeniach, który uczył się w Królewskim Konserwatorium w Toronto i który dopiero co zdobył drugie miejsce w międzynarodowym konkursie dla młodych pianistów zorganizowanym właśnie w Toronto.

Dziecko ćwiczyło dzień po dniu, bywało, że do późnej nocy. Takie precyzyjne, czysto wygrywane nuty, taka gwałtowność wykonania, że w życiu byś nie powiedział, że ten pianista jest jeszcze dzieckiem, i gdyby kogoś, tak jak Gallaghiera, przyciągnęło na próg pokoju muzycznego, to zobaczyłby tylko skupione, nie mrugające oczy dziecka utkwione w klawiaturze (to już nie było pianino Baldwina, tylko mały fortepian Steinwaya, który Gallagher kupił od braci Zimmermanów), jego małe palce, które uderzały w klawisze jakby za sprawą własnej woli, bo ten utwór musiał być zapamiętany, żadna nuta, żadna pauza, żadne naciśnięcie pedała nie mogły być pozostawione przypadkowi.

Gallagher słuchał oczarowany. Nie było wątpliwości: chłopiec grał znacznie piękniej i dojrzej niż on w jego wieku. I chełpił się: *Wziął ode mnie wszystko, co mogłem mu dać. Niezły talent, prawda?*

Stopniowo stawał się jego ojcem. I co dziwne, raczej się nie zastanawiał, kim był prawdziwy ojciec.

Sterczał teraz niepewnie na progu pokoju muzycznego. Czekał, aż chłopiec przestanie ćwiczyć, w którym to momencie Gallagher zaczęłby entuzjastycznie klaskać – „Brawo, Zack! Fantastycznie!” – i wtedy chłopiec zarumieniłby się z zadowolenia. A jednak dziecko ćwiczyło i ćwiczyło, bez końca, bo gdyby popełniło najdrobniejszy błąd, to musiałoby się cofnąć do początku, dlatego Gallagher stracił wreszcie cierpliwość i wymknął się, niezauważenie.

Przecież ci obiecywałam, mamo. Że będziesz ze mnie dumna.

On ma na imię Zack. To imię z Biblii. Bo on otrzymał błogosławieństwo prosto od Boga, mamo. Nikt z nas by tego nie przewidział.

Mój syn. Twój wnuk. Rozpoznasz jego twarz, kiedy go zobaczysz. Rozpoznasz tę twarz, mamo. Ma w sobie niewiele ze swego ojca.

Jego oczy, mamo! Ma piękne oczy, podobne do twoich.

I może trochę też ma oczy papy. Trochę.

Słyszę go, jak gra, i wiem, gdzie jest. Mógłby być wszędzie, a tymczasem jest tutaj, mamó. Z nami.

Jest bezpieczny w tym domu.

Źle zrobiłam, że cię zostawiłam. Trzymałam się z dala tak długo.

Czasami mi się wydaje, że moja dusza zagubiła się pośród tych pól. Nad kanałem. Trzymałam się tak długo z dala od ciebie, mamó.

Płaczę za to, mamó.

Jeśli go usłyszysz, będziesz wiedziała, mamó. Dlaczego musiałam żyć.

Kocham cię, mamó,

To dla ciebie.

To się nazywa Impromptu numer trzy Schuberta.

To się zdarzyło tak szybko, odgrywał to potem wiele razy we wspomnieniach. W których zawsze był niewidzialny, zbyt bezradny, by interweniować. Byłby bezradny, gdyby coś się przytrafiło jego matce. *Nie ostrzegłem jej, myślał sobie. Tak to wyglądało, jakby mnie tam nie było, jakby nikt mnie nie widział.*

Ten człowiek pojawił się znikąd.

Znikąd, a gapił się na Hazel Jones, jakby ją znał.

Choć w rzeczywistości Zack widział tego człowieka od jakichś dziesięciu, dwunastu sekund. Zack, który nigdy nikogo nie zauważał, zauważył człowieka, który z odległości jakichś trzydziestu stóp obserwował jego matkę, jak wędrowała po zwirowanej ścieżce biegnącej przez park, niepomna niczego.

Przy drodze nieopodal stał wóz naprawczy. Ten mężczyzna był pewnie jakimś monterem, miał na sobie brudne, robocze ubranie, robocze buty. W miastach (teraz już zawsze mieszkali w miastach i podróżowali tylko po miastach) człowiek się uczy nie zauważać ludzi, których raczej nie zna albo którzy raczej go nie znają.

A jednak ten człowiek przyglądał się z wielką uwagą Hazel Jones.

Tamten dzień! „Wolny czas” Zacka. Następny dzień po recitalu fortepianowym. Jeszcze przez jakieś siedemdziesiąt dwie godziny jego zmysły miały być czujne, pobudzone. W głowie nadal słyszał muzykę, ale ta muzyka stopniowo traciła na sile i jego palce też już nie musiały jej wytwarzać. W takich momentach ogarniało go wrażenie, że jego oczy są czymś nowym, niedoświadczonym, podatnym na ból. Łatwo łzawiły. Jego uszy straszliwe chciały słuchać, były dziwnie głodne: nie muzyki tylko zwyczajnych dźwięków. Głosów! Hałasu!

Czuł się jak stworzenie, które wyrwało się z tłamszającego je kokonu, choć wcześniej nawet nie zdawało sobie sprawy, że ten kokon istnieje.

Zack nie umiał oszacować wieku mężczyzny w roboczym ubraniu, mógł być rówieśnikiem Gallaghera, mógł być młodszy. Wyglądał jak ktoś, kogo życie przeżuło i wypluło. Miał na oko sześć stóp wzrostu, a jednak jego klatka piersiowa wydawała się połamana, zapadnięta. Wystająca dolna szczeka, cera pełna plam i zaogniona, chyba od pryszczycy. Nieznacznie zdeformowana głowa, jakby ulepiona z wosku, który po części stopniał, czaszkę oblepiały długie pasma bezbarwnych włosów podobnych do wodorostów. Zniszczona, gniewna twarz wyglądała jak coś zdrapanego z chodnika, a jednak oczy osadzone w tej twarzy lśniły dziwnie, wyrażając może tęsknotę, może zdumienie.

To on.

To on?

Wrześniowe popołudnie 1968 roku. Spędzali weekend w Buffalo w stanie Nowy Jork. Byli gośćmi Konserwatorium Muzycznego Delaware. Szli grupą złożoną z sześciu czy siedmiu osób, samych dorosłych z wyjątkiem Zacka, w kierunku hotelu Park Lane, gdzie zatrzymali się Jonesowie i Gallagher. Lunch zjedli w konserwatorium, gdzie młody

pianista występował poprzedniego wieczoru; kończył dwanaście lat dopiero w listopadzie, ale już był stypendystą tej prestiżowej uczelni muzycznej i następnej wiosny miał wystąpić razem z Orkiestrą Kameralną Konserwatorium.

Hazel i Zack szli wolniejszym tempem niż pozostali, instynktownie chcieli być sami. Idący przed nimi Gallagher rozmawiał z ożywieniem ze swoimi nowymi znajomymi, którym przedstawił się jako opiekun i menedżer Zacharias Jonesa. Z niejasnych powodów powszechnie się przyjęło, że Gallagher jest ojczymem chłopca, a kiedy ktoś tytułował Hazel Jones „panią Gallagher”, żadne z ich trójki nie protestowało tego błędnego założenia.

Podobnie jak podczas lunchu, również teraz przedmiotem rozmowy dorosłych był Zacharias Jones, niezwykle, młody pianista, ale sam młody pianista nie bardzo się angażował. Słowa takie jak „on”, „jemu”, „ten chłopiec” wpadały mu do ucha przypadkiem, jakby z oddalenia. Dawno temu nabrał umiejętności dystansowania się od uwagi, jaką skupiali na nim inni ludzie. W przydrożnych barach, gdzie jego dłonie po raz pierwszy odkryły klawiaturę, nauczył się, że to, co mówią, co myślą inni, ma niewielkie znaczenie, że liczy się tylko muzyka. Od Hazel Jones nauczył się być tu i zarazem nie tu, uśmiechać się nawet wtedy, gdy jego umysł błąkał się gdzieś indziej. Bywał czasami niegrzeczny, demonstrował zniecierpliwienie. Wybaczano mu, bo był utalentowanym młodym pianistą: należało zakładać, że on odgrywa jakąś muzykę w swojej głowie. Hazel też stale odgrywała jakąś muzykę w swojej głowie, ale nikt by nie odgadł, co to za muzyka.

Podczas lunchu w stołówce konserwatorium Zack zerkał na Hazel Jones i widział, że ona go obserwuje. Uśmiechała się i ukradkiem puszczała oko, kiedy nikt nie mógł zobaczyć, a wtedy Zack się czerwienił i prędko odwracał wzrok.

Nie musieli nic mówić. To, co było między nimi, istniało poza słowami.

Debiut. Zacharias Jones miał zadebiutować w lutym 1969 roku razem z Orkiestrą Kameralną Delaware, w której grało niewielu muzyków w wieku poniżej osiemnastu lat.

Luty 1969 roku! Podczas lunchu Hazel śmiała się z niepokojem, powtarzając, że to jest taka odległa przyszłość, że gdyby coś się stało z...

Pozostali spojrzeli na Hazel pytająco i Zack zrozumiał, że matka musiała się przejęzyczyć.

Interweniował Gallagher. Pokazał swe diabelskie zęby w uśmiechu, zwracając uwagę, że luty 1969 to już całkiem niedługo.

Zack miał zagrać koncert, ale program jeszcze nie został wybrany. Oczywiście dyrygent miał z nim blisko współpracować.

W tym momencie czuł strach, chłodny posmak paniki. *Gdyby zawiódł...*

Później Hazel Jones dotknęła lekko jego ramienia. Pozwolili pozostałym wyprzedzić się podczas spaceru przez park. Było to ciepłe, jesienne popołudnie, blade, w kolorze sepia. Hazel przystanęła, chcąc podziwiać łabędzie, te oślepiające białe i te czarne, z czerwonymi dziobami, przemierzające staw z senną energią.

Ależ im ciążyło towarzystwo tamtych ludzi! Niemalże się dusili.

Po recitalu, który odbył się poprzedniego wieczoru, Gallagher uściskał Zacka i ucałował go w czubek głowy, mówiąc, że powinien być z siebie cholernie dumny. Zack był zadowolony, ale zawstydzony. Bardzo kochał Gallaghera, ale w jego towarzystwie robił się nieśmiały i zakompleksiony.

Duma była czymś zagadkowym dla Zacka Jonesa! Nigdy nie zrozumiał, co to jest duma.

Hazel jakby też nie wiedziała. Kiedy była młodą chrześcijanką, nauczono ją, że duma to grzech, że duma poprzedza upadek. Duma jest niebezpieczna, prawda?

– Duma jest dla innych ludzi, Zack. Nie dla nas.

Zack właśnie się zastanawiał nad jej słowami, gdy nagle zauważył mężczyznę w roboczym ubraniu, na poboczu drogi. W parku było niewielu ludzi, samochody jechały wolno, jednostajnym ciągiem. Nikt w zasięgu wzroku nie miał na sobie roboczego ubrania oprócz tego osobnika, który gapił się na Hazel takim wzrokiem, jakby starał się stwierdzić, czy jej przypadkiem nie zna.

Niby nie było w tym nic niezwykłego, że jakiś obcy człowiek gapi się publicznie na Hazel Jones, a jednak ten mężczyzna miał w sobie coś takiego, co go wyróżniało, i dlatego Zack przestraszył się niebezpieczeństwa.

A jednak nic nie powiedział matce.

Mężczyzna wyraźnie coś sobie postanowił i teraz szedł zaskakująco prędkimi krokami w stronę Hazel. Nagle dało się zauważyć, że to jest ktoś, kto działa ciałem. Mimo że ta zapadnięta pierś i jakby ugotowana twarz nadawały mu chory wygląd, najwyraźniej nie był ani słaby, ani niezdecydowany. Szedł szybko i bezszelestnie niczym wilk za jeleniem, który jeszcze nie wyczuł groźby, najpierw przez trawnik z wyraźnie rzucającą się w oczy tabliczką z napisem NIE DEPTAĆ TRAWNIKÓW, a potem po zwirowanej ścieżce. Ścieżkę wytyczały szpalery ogromnych platanów i słońce rzucało na idących pod nimi plamki wielkości monet.

Hazel Jones, w pantoflach na szpilkach i stylowym, słomkowym kapeluszu, rzeczywiście miała w sobie coś z jelenia, a mężczyzna w roboczym ubraniu, z tymi niechlujnymi włosami i niezgrabną sylwetką, rzeczywiście miał w sobie coś z wilka. Zafascynowany Zack przyglądał się teraz matce oczyma obcego człowieka: lśniące, kasztanowe włosy z czerwonymi pasemkami, błysk czerwonego lakieru na paznokciach i czerwone usta. Doskonała sylwetka, dumnie zadarta głowa. Na lunch w eleganckiej stołówce konserwatorium ubrała się w kostium z bladobeżowego lnu i dodatki: kilka sznurów pereł i słomkowy kapelusz z szerokim rondem, przepasany zieloną, aksamitną wstążką. Zack zauważył, że ludzie gapią się na nią z podziwem, nikt jednak po chamsku. Po Konkursie Młodych Pianistów w Rochester, kiedy Zack, najmłodszy wykonawca, otrzymał specjalne wyróżnienie od sędziów, nagrodzeni pianiści i ich rodzice zostali sfotografowani i jeden z fotografów powiedział do Hazel:

– Jest pani taka piękna z tymi włosami i tą karnacją, powinna pani ubierać się na czarno.

Na co Hazel roześmiała się z pogardą.

– Na czarno? Czerni to kolor żałoby, a ja nie jestem w żałobie.

Mężczyzna w roboczym ubraniu dogonił już Hazel i zaczął coś do niej mówić. Zack spostrzegł, że matka obraca się i patrzy na niego z przestachem.

– Proszę pani? Można na słowo?

Hazel zaczęła po omacku szukać ręki Zacka, który stał poza jej zasięgiem.

Zauważył panikę na jej twarzy. Zauważył przerażone oczy pod maską Hazel Jones.

– Ja tylko chciałem spytać... czy pani mnie poznaje? Czy ja pani kogoś przypominam? Nazywam się Gus Schwart.

Hazel prędko potrząsnęła głową, że nie. Odzyskała panowanie nad sobą, uśmiechała się teraz uprzejmie i czujnie jednocześnie.

Idący przed nimi Gallagher i reszta towarzystwa szli dalej, w stronę hotelu, niczego niepomni.

– Proszę pani, naprawdę przepraszam, że tak zaczepiam. Ale pani wygląda mi znajomo. Czy pani mieszkała kiedyś w Milburn? To takie małe miasto, kilkaset mil na wschód stąd, nad Kanałem Erie. Chodziłem tam do szkoły...

Hazel patrzyła na niego tak obojętnie, że mężczyzna zaczął się wahać, a jego dziobata twarz okryła się rumieńcem. Próbował się uśmiechnąć, tak jak mogłoby uśmiechać się zwierzę, pokazując poźółkłe, nierówne zęby.

Zack stał dostatecznie blisko, by w razie czego móc bronić matki, ale mężczyzna ani trochę się nim nie interesował.

Hazel zaczęła mówić przeproszającym tonem, że go nie zna, że nie zna Milburn.

– Chorowałem, proszę pani. Było ze mną źle. Ale już mi przeszło i...

Hazel ciągnęła Zacka za ramię, zaraz mieli uciec. Mężczyzna w roboczym ubraniu otarł usta wyraźnie zawstydzony. A jednak nie chciał ich puścić, szedł za nimi kilka jardów, niezdarnym krokiem, jękając się.

– No bo pani... wygląda tak jakby znajomo. Przypomina mi pani kogoś z dawnych czasów. Kiedy mieszkałem jeszcze w Milburn, razem z bratem Herszelem i siostrą Rebeką... Wyjechałem stamtąd w czterdziestym dziewiątym.

– Panie, daj pan spokój – rzuciła przez ramię Hazel szorstkim tonem. – To jakaś pomyłka.

Hazel zazwyczaj tak nie rozmawiała z ludźmi, nie w taki sposób. Było w jej słowach coś wulgarного i pogardliwego, zupełnie niepodobnego do Hazel Jones.

– Zack! Idziemy.

Zack dał się ciągnąć jak małe dziecko. Był oszołomiony, nie potrafił zrozumieć tego spotkania.

Nie mój ojciec. Nie ten człowiek.

Serce biło mu ciężko z rozczarowania.

Hazel ciągnęła go za rękę, a on się wrywał. Nie miała prawa tak go traktować, jak jakiegoś pięciolatka!

– Kim był ten pan, mamó? On cię znał.

– Nie. Wcale nie.

– I ty go też znałaś. Widziałem.

– Nie.

– Mieszkałaś kiedyś w Milburn, mamó. Sama mówiłaś.

Hazel odpowiedziała mu przez zaciśnięte usta, nie patrząc na niego.

– Nie. Mieszkałam w Chautauqua Falls. – Urwała, ciężko dysząc. Wyraźnie chciała dodać coś jeszcze, ale zwyczajnie nie była w stanie.

Zack teraz dręczył matkę. Po spotkaniu w parku czuł się dziwnie pobudzony, zdenerwowany.

Po recitalu miał prawo mówić, co tylko zechce.

Był wściekły na Hazel w tym lnianym kostiumie, perłach i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem.

– Rozpoznałaś tego człowieka. Kłamczucha.

Wszedł na nią specjalnie. Miał ochotę zadać jej ból. Dlaczego nigdy nie podnosiła głosu, dlaczego nigdy na niego nie krzyczała? Dlaczego nigdy nie płakała?

– On najpierw mocno ci się przyjrzał. Sam widziałem.

Hazel zachowała godność; przeszła pospiesznie na drugą stronę ulicy, przytrzymując rondo kapelusza. Zack miał ochotę pognać za nią, rzucić się na nią z pięściami. Rzuciłby się na nią z pięściami i biłby bez końca! Niemalże był gotów połamać sobie ręce, takie drogocenne dla tych wszystkich dorosłych.

Gallagher i reszta czekali na Hazel i Zacka pod wejściem do hotelu. Gallagher stał z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, uśmiechał się. Wizyta w Buffalo udała się tak, jak na to liczył. Postanowił, że poszuka nowego domu, gdzieś w Delaware Park, najbardziej ekskluzywnej dzielnicy mieszkaniowej w mieście; wystawiłby ich obecny dom w Syracuse na sprzedaż. Gdyby mu nie starczyło pieniędzy na duży, stary dom w Delaware Park, to mógł wziąć pożyczkę u jakiegoś krewnego.

Ten wyraz na twarzy Gallaghera, kiedy podeszła do niego Hazel: jakby tam rozbłysło światło.

Sposępniały Zack włókł się za nią z rozgorączkowaną twarzą. Musiał się pożegnać z dorosłymi, podawać im ręce i w ogóle zachowywać się rozsądnie. Uwaga obcych ludzi była równie oślepiająca jak światła sceny. Tyle że na scenie nie trzeba gapić się na światła, wystarczy skupić uwagę na pięknej, czarno-białej klawiaturze.

Zack miał wrócić do Buffalo za niecały miesiąc i wtedy zacząłby pobierać lekcje u najbardziej szanowanego wykładowcy Konserwatorium Delaware, dawnego ucznia wielkiego niemieckiego pianisty Egona Petriego, w czasach, gdy Egon Petri wykładał w Kalifornii.

Gdyby zawiódł...

Nie zawiódł poprzedniego wieczoru. Zagrał *Impromptu* Schuberta, które Hazel tak uwielbiała, i jeszcze jeden, nowszy utwór, z którego był mniej zadowolony, nokturn Chopina. Tempo tego nokturnu wydawało mu się rozwścieczająco powolne, wykonawca miał wrażenie, że rozbiera się do naga. To nie była muzyka, w której można się ukryć!

A jednak chyba się spodobał widowni. Spodobał się gronu pedagogicznemu konserwatorium, w tym swojemu nowemu nauczycielowi. Fale aplauzu, kaskada oklasków zagłuszająca gorące uderzenia krwi. *Dla-cze-go! Dla-cze-go! Dla-cze-go!* W takich momentach był oszołomiony, ledwie wiedział, gdzie jest. Niczym pływak, który omal nie utonął, który walczył desperacko o życie, starał się ratować i w ten sposób przyciągał uwagę zachwyconych nim obcych ludzi. Gallagher powiedział mu, że powinien być z siebie dumny, a Hazel, która nie była taka skora do publicznego okazywania uczuć jak Gallagher, ścisnęła go za rękę, dając do zrozumienia, że jest bardzo szczęśliwa, zagrał tak fantastycznie.

– Widzisz? Mówiłam ci.

I tak oto Zack nie dał się pokonać. Nie zawiódł, na razie. I ćwiczył coraz więcej, jeszcze więcej. Ludzie prorokowali w związku z nim, snuli przepowiednie, które musiał wypełnić. Czuł straszliwe brzemie odpowiedzialności i nie cierpiał tego. Podszuchał, jak Hans Zimmermann mówił do swojego brata Edgara: *Mój najmłodszy uczeń ma oczy starca*. A jednak aż mu się kręciło w głowie z ulgi, że mu się upiekło. Na razie.

Poszedł na górę, do ich apartamentu w hotelu Park Lane, padł na łóżko i pogrążył się w głębokim śnie bez snów.

Matka i syn wjechali na górę, na dziewiąte piętro, Gallagher poszedł do hotelowego baru na drinka w towarzystwie dyrygenta orkiestry kameralnej. Gallagher był taki niezmordowany w tym planowaniu przyszłości! Jego mała rodzinka, którą wielbił bez żadnych zastrzeżeń, stała się całym jego życiem. Na górze Hazel zdjęła swój stylowy kapelusz i rzuciła go w stronę łóżka. Odwróciła się, nawet nie patrząc, gdzie wylądował. Ani ona, ani Zack nie zamienili słowa, odkąd Zack na nią nakrzyczał. W windzie, podczas jazdy na dziewiąte piętro, nie patrzyli na siebie, nie dotykali się. Zack był już zmęczony, znużenie pokonywało go niczym zaćmienie słońca. Widział swoją matkę, która stała spokojnie przed jednym z wysokich okien, patrząc na park. Poszedł do łazienki, gdzie starał się narobić jak najwięcej hałasu, a kiedy wrócił, Hazel wciąż jeszcze tam stała, opierając czoło o framugę okna. Zawsze, kiedy meldowali się w jakimś hotelu, Hazel sprawdzała pokoje pod względem czystości i nigdy nie zapomniała o oknach – przyglądała się zmrużonymi oczyma, czy błyszczą albo czy nie ma na nich śladów czyjgoś czoła. Zack obserwował ją w milczeniu. Rozmyślał o człowieku w roboczym ubraniu, który nie był jego ojcem. Nie miał pojęcia, kto to mógł być. Gdyby podszedł do Hazel, żeby spojrzeć jej w twarz, zobaczyłby, że to pusta twarz, już nie młoda i niezbyt piękna. W jej oczach nie było blasku, wyciekło z nich całe światło. I zaczynały jej obwisać ramiona, a piersi zrobiły się ciężkie, nieatrakcyjne. Był na nią wściekły. Bał się jej. Nie chciał się do niej odezwać. Hazel z pewnością zdawała sobie sprawę z jego obecności, czuła na sobie oskarżycielskie spojrzenie syna, a jednak ona też nie chciała się odzywać. Matka i syn, oboje samotni w jednym pokoju, nie rozmawiali z sobą. Nie musieli wypowiadać na głos tego, co było między nimi, splątane jak jelita w brzuchu.

Zack odwrócił się. Poszedł do swojego pokoju sąsiadującego z apartamentem dorosłych, zamknął drzwi, ale nie przekręcił zamka. Padł na łóżko, nie zdejmując ubrania, nawet nie zrzucając butów zakurzonych po przechadzce w parku. Kiedy obudził się później tamtego popołudnia, odkrył, że w pokoju jest ciemno, bo Hazel zasunęła żaluzje, i odkrył też, że Hazel Jones leży obok niego na łóżku, również ubrana, tyle że zrzuciła pantofle na szpilek, pogrążona w głębokim śnie i wyczerpana tak samo jak on.

Wlecze za sobą oszołomionego chłopca. Jakby chciał wyrwać mu ramię ze stawu. Wrzeszczy na niego, okłada pięściami, kopie. Leżący na ziemi chłopiec próbuje uciec, czołga się na czworakach, a potem podźwiga się, ale ojciec go chwyta, stawia stopę w ciężkim bucie na jego dłoniach: najpierw na prawej, potem na lewej. Słysząc trzask drobnych kości. Okrzyk chłopca, tatusiu, to boli! Tatusiu, nie zabijaj mnie! Ale gdzie jest matka, dlaczego matka nie interweniuje, przecież ta napaść jeszcze trwa i nie skończy się, dopóki chłopiec, cały krwawiąc, nie straci przytomności, a mimo to wciąż zagniewany ojciec będzie krzyczał: Jesteś moim synem! Moim zasranym synem! Moim.

Musiała jednak minąć wiele tygodni, zanim wykonała ten telefon. W rzeczy samej upłynęły lata.

I kiedy wykręcała ten numer, który zniemacka stał się doskonale znajomym numerem, a potem zbroiła się wewnątrz, wsłuchana w sygnał po drugiej stronie linii, naszła ją nagle wizja domu Meltzerów, o którym przez lata ani nie myślała, którego ani razu nie zrekonstruowała sobie w wyobraźni, i w tym momencie z bocznych drzwi tego domu zobaczyła sąsiadujący z nim wiejski dom, w którym kiedyś mieszkała i karmiła piersią niemowlę, owładnięta delirium niewysłowionego szczęścia, w tym jedynym prawdziwie szczęśliwym czasie jej życia, i wtedy zaczęła się trząść, nie była w stanie mówić swobodnie i tak jasno, jak życzyłyby sobie tego Hazel Jones.

– Pani... pani Meltzer? Chyba mnie pani pamięta... mieszkałam po sąsiedzku osiem lat temu. Na starej farmie. Mieszkałam tam z człowiekiem, który się nazywał Niles Tignor. Opiekowała się pani moim synkiem, kiedy pracowałam w mieście, w fabryce. Pani...

Głos Hazel załamał się. Słyszała po drugiej stronie linii, że ktoś nabiera oddechu.

– Rebeka? Rebeka Tignor?

To był bez cienia wątpliwości głos pani Meltzer. A jednak to był zmieniony głos, starszy i dziwnie słaby.

– Halo? Halo? Rebeka?

Hazel próbowała coś powiedzieć, ale było ją stać jedynie na zduszone monosylaby.

Serce biło jej niebezpiecznie ciężko w piersi. To cholerne dzwonięcie w uchu, do którego z czasem zdążyła się przyzwyczaić, do tego stopnia, że rzadko kiedy je słyszała w ciągu dnia, myliło się jej teraz z pulsowaniem krwi.

– Rebeka? Boże ty mój, myślałam, że umarłaś! Że oboje z Nileyem umarliście. Myśleliśmy, że on was zabił.

Pani Meltzer mówiła to takim tonem, jakby zaraz miała się rozplakać. *Proszę, nie*, błagała ją w duchu Hazel.

Edna Meltzer nie była jej matką. Robiła z siebie idiotkę, że myliła obie te kobiety. Robiła z siebie idiotkę, że tak się trzęsła, że trzymała słuchawkę rozdygotaną dłonią.

Na szczęście dzwoniła z pustego domu. Gallagher i Zack wyszli.

– Gdzie on jest, pani Meltzer?

– On nie żyje, Rebeko.

– Nie żyje...

– Tignor umarł w więzieniu w Attice, Rebeko, dwa, może trzy lata temu. W każdym razie Howie tak słyszał. Zamknęli go tam za napaść, za wymuszenie... nie jestem pewna, co to takiego wymuszenie, chyba jakiś szantaż. To nie miało nic wspólnego z Four Corners ani z tym, co ci zrobił, Rebeka. Nie widzieliśmy go więcej po tym, jak przyszedł do naszego domu cały wściekły, chcąc wiedzieć, gdzie jesteś, a my mu powiedzieliśmy, że nie wiemy! Było po nim widać, że chciał zabić ciebie albo każdego, kto mu stanie na drodze. Mówił, że ukradł mu syna, że ukradł mu samochód. Mówił, że nigdy żadna kobieta tak go nie obraziła jak ty i że zapłacisz mu za to. Zachowywał się jak jakiś dzikus,

mówił, że cię zabije gołymi rękoma za to, że go zdradziłaś, i że nas też wymorduje, jeśli się dowie, że cię ukrywamy. Howie ma strzelbę, nie jest taki, żeby się kulić ze strachu, więc mu powiedziałam, żeby odpuścił, żeby nie wkurzał jeszcze bardziej tego człowieka. I potem Tignor gdzieś zniknął. Zostawił w domu prawie wszystko jak było i tyle go widzieli.

Pani Meltzer urwała, żeby zaczerpnąć oddechu. Hazel oczyma duszy widziała starszą panią, jak się rozgrzewa, by dalej ciągnąć temat, cała podekscytowana i uśmiechnięta. Jej głos nabierał siły. To już nie był głos staruszki.

– Ale to były czasy! A teraz tu się zrobiło naprawdę spokojnie. Wprowadzili się nowi sąsiedzi, miła rodzina z dziećmi, i trochę wyremontowali dom. Och, muszę to powiedzieć, że w Four Corners nigdy nie było nikogo takiego jak Tignor, ani przedtem, ani potem.

Hazel Jones usiadła. W porażająco jasnej plamie blasku słonecznego.

Pani Meltzer spytała, jak się miewa Niley, taki miłutki dzieciaczek, a Hazel zdołała wykrztusić, że z Nileyem wszystko dobrze, że jest zdrowy, skończył już jedenaście lat i gra na pianinie, na co pani Meltzer odparła, że to wspaniale, że tak się cieszy, bo ona, Howie i inni sąsiedzi z Four Corners przez lata podejrzewali, że Tignor zamordował ich oboje i ukrył ich ciała w kanale, w takim miejscu, by nikt nie mógł ich znaleźć, a teraz sam nie żyje, pewnie zabił go ktoś jego pokroju, ci ludzie wiecznie się nawzajem zabijają w Attice, gdzie strażnicy są niemal równie niegodziwi jak więźniowie, dzięki Bogu, że to więzienie jest na swoim miejscu, daleko jak zawsze, ale tak w ogóle, to jak ona się miewa? Gdzie Rebeka teraz mieszka? Wyszła jeszcze raz za mąż? Ma rodzinę? – Rebeka? Rebeka?

Musiała się położyć. Była oszołomiona, zamroczona, jakby uderzył ją w skroń zaledwie kilka minut wcześniej, dzwonienie w uchu nabrało takiego natężenia, jakby do tego ucha wleciała jakaś obłąkana cykada.

Zadzwoni do pani Meltzer jeszcze raz, kiedy indziej. Byle nie teraz.

„Hazel Jones”. Tajemnicze nazwisko z przeszłości.

Inwalida w podeszłym wieku wychylił się ze swojego wózka, schwycił ją za rękę z niespodziewaną siłą. Tajemnicze? Nie miała pojęcia, o czym on mówi. Wielkie, szkliste oczy cynowej barwy, pokryte siatką popękanych naczynek, wpatrywały się w Hazel z takim napięciem; zdenerwowała się, bo nie wiedziała, czy Thaddeus Gallagher adoruje ją tak infantylnie, bo naprawdę pragnie adorować młodą kobietę, która przyszła do niego w gości, czy raczej tylko udaje. Jego dłonie ściskające jej dłonie były w dotyku ciepłe, wilgotne i gliniaste, jakby pozbawione kości. A jednak to był silny człowiek. Od razu rzucało się w oczy, że siła Thaddeusa Gallaghera kryje się w masywnej, górnej połowie jego ciała i że on pławi się tą siłą, kiedy tak uśmiecha się do swojego spłoszonego gościa ujmującym uśmiechem dobrotliwego gospodarza. Hazel poczuła dreszcz strachu, że on już jej nie puści, że Gallagher będzie musiał interweniować i dojdzie do nieprzyjemnej sceny.

Nie pozwól mojemu ojcu, żeby tobą manipulował, Hazel! Z nim tak już jest, że wystarczy znaleźć się w jego obecności, a natychmiast narzuca ci swoją wolę niczym tłusty pająk w samym środku sieci.

Szokujące spotkanie z ojcem Gallaghera! Starszy pan był nie tylko przykuty do wózka inwalidzkiego, ale jego ciało wydawało się zdeformowane, stanowiło bezkształtną, mięczakowatą masę obleczoną w dziwacznie wesołe kąpielówki w kratę i biały T-shirt, tak opięty na umięśnionych ramionach, jakby zaraz miał wybuchnąć. Masywne uda i pośladki były wciśnięte w nieustępliwe boczne ścianki wózka, blade, zdegenerowane nogi zwisały bezużytecznie. Spore, jakby trójkątne, bose stopy spoczywały na wyściełanym podnóżku. Wydatne, bose palce podrygiwały z wulgarnym zadowoleniem.

Inwalida! Thaddeus Gallagher był inwalidą! Hazel spojrzała z przestraczem na towarzyszącego jej Cheta Gallaghera. Jakie to było dla niego typowe, że latami skarżył się przed nią na ojca, a jednocześnie omieszkął wspomnieć, że to inwalida przykuty do wózka.

Thaddeus mrugnął do Hazel, jakby wspólnie znali jakiś dowcip, zbyt subtelny, by jego syn mógł go zrozumieć.

– Wydajesz się zdziwiona, moja miła? Przepraszam, że cię powitałem w takim niedbałym stroju, ale codziennie o tej porze pływam, względnie staram się pływać. Muszę przyznać, że w wieku siedemdziesięciu lat czuję się mniej skrupowany normami dobrego wychowania i nakazami mody niż wtedy, gdy byłem równie młody jak wy. Mój syn Chet Gallagher, wielokrotnie nagradzany dziennikarz i obywatelski prorok, powinien był cię uprzedzić, czego masz się spodziewać.

Thaddeus zaśmiał się, zasysając mięsiste wargi. Nie chciał puścić rąk Hazel, które stały się wilgotne i odrętwiałe w jego uścisku.

Przez cały ten czas Gallagher stał obok Hazel, wyraźnie skrupowany, wpatrzony w ojca z dziwnym niepokojem. Powiedział dotąd bardzo niewiele i wydawał się równie spłoszony jak Hazel. Widok ojca, z którym nie spotykał się od ładnych kilku lat, musiał wzbudzić w nim lęk. Fakt, że starszy mężczyzna siedział na wózku, stawiał ich oboje w niekorzystnej sytuacji.

– Ale usiądźcie wreszcie, oboje! – rzucił nonszalancko Thaddeus. – Przysuńcie bliżej te krzesła. Najpierw się napijemy, a potem mam nadzieję, że ze mną popływacie. Dzień jest strasznie ciepły, a wy oboje macie na sobie za dużo ubrań i wyraźnie jest wam niewygodnie.

Thaddeus przyjął swoich gości za domem, nad basenem. Był to basen olimpijskich rozmiarów; Gallagher zawczasu wytłumaczył Hazel, że płytki, którymi został wyłożony, miały sugerować styl śródziemnomorski. Mimo to od wody biło ciepłym, siarkowym odorem jak od stęchłej wody w wannie. Hazel czuła, że szczypie ją w nozdrzach. Nie potrafiła wyobrazić sobie siebie w tej wodzie, na samą myśl była bliska mdłości.

– Raczej nie, tato – powiedział prędko Gallagher. – Nie mamy tyle czasu. Jedziemy...

– Już mówiłeś. Że musicie wracać na festiwal muzyczny do Vermontu. Oczywiście. – Thaddeus mówił to z godnością, a jednak miał taką minę, jakby spotkał go afront. Wdusił guzik w podłokietniku i wózek ruszył do przodu. Słońce oświetlało tłuste paciorki potu na jego szerokiej, obwisłej twarzy. – Ale chociaż posiedźcie ze mną chwilę. Jakby – dodał z uśmiechem w kierunku Gallaghera – coś nas jeszcze łączyło oprócz nazwiska.

Był koniec sierpnia roku 1970. Gallagher przywiózł wreszcie Hazel do Ardmoor Park, na wizytę u jego starzejącego się ojca. W minionym roku Thaddeus zapraszał ich kilka razy, dając do zrozumienia, że jego zdrowie się pogarsza; dowiedział się, że syn Hazel, Zacharias Jones, jest jednym z młodych muzyków występujących na festiwalu w Manchesterze, w stanie Vermont, w odległości mniej niż godziny jazdy od Ardmoor Park. Gallagher ustąpił niechętnie.

– Może ojciec jest naprawdę chory. Może odczuwa skruchę. Może jestem szalony. – Gallagher żartował na swój zwykły sarkastyczny sposób, ale Hazel zrozumiała, że autentycznie bał się tej wizyty.

Gazety Gallaghera nieugięcie popierały wojnę w Wietnamie, a jednak większość z nich wciąż publikowała rubrykę Cheta Gallaghera, która dostawała ogólnokrajowe nagrody i pojawiała się obecnie w ponad pięćdziesięciu gazetach. Gallagher publikował też swoje teksty w poczytnych czasopiśmie i czasami brał udział w telewizyjnych debatach na tematy dotyczące polityki, etyki i kultury amerykańskiej. Hazel została jego asystentką; najbardziej lubiła robić dla niego kwerendy w bibliotece Uniwersytetu Buffalo. Gallagher miał coraz większe trudności z trzymaniem się na dystans od Gallagher Media i od Thaddeusa. Przez pośredników docierało do niego, że ojciec jest z niego dumny, „cholernie dumny”, mimo że za nic nie chce się zgodzić z „wściekłym radykalizmem” swego najmłodszego syna. Gallagherowi powtórzono także, że Thaddeus bardzo chce poznać jego „drugą rodzinę”.

Gallagher postanowił, że przedstawi Hazel jako swoją przyjaciółkę i towarzyszkę, nie zamierzał nazywać jej narzeczoną. Zacka w ogóle nie chciał przywozić do Ardmoor Park.

Ostrzegł Hazel, żeby nie dawała się wciągać do osobistej rozmowy z jego ojcem, a tym bardziej żeby nie odpowiadała na pytania, na które nie chce odpowiadać.

– Wiem, że jest cię ciekawy. Będzie cię przesłuchiwał. To stary spec od gazet, na tym się zna. Będzie tak długo grzebał, dźgał i szturchał, aż wreszcie znajdzie jakieś czułe miejsce i wtedy zada cios.

Hazel roześmiała się nerwowo. Gallagher na pewno przesadzał!

– Nie. W przypadku Thaddeusa Gallaghera trudno jest z czymś przesadzać.

Rubryce Gallaghera zawsze towarzyszyła jego karykatura: kpiąca, końska twarz z nienaturalnie wysokim czołem, podkrążonymi oczyma, krzywym uśmiechem, wystającym podbródkiem i odstającymi uszami. Prawie łysą kopułę czaszki otaczał wieniec z kędzierzawych włosów.

– Karykatura to sztuka przesady – powiedział Gallagher – a jednak potrafi przekazywać prawdę. W takich czasach jak nasze karykatura potrafi być jedyną prawdą.

A jednak podczas jazdy z Manchesteru do Ardmoor Park opanowanie Gallaghera uchodziło z niego niczym powietrze z przebitego balonu. Palił jak komin, był rozkojarzony. Unikał tematu Thaddeusa Gallaghera i mówił tylko o Zacku, który poprzedniego wieczoru miał swój występ w ramach festiwalu. Zack skończył już trzynaście lat, przestał być dzieckiem. Robił się smukły, gibki. Jego skóra nabrała oliwkowego odcienia, a nos, brwi, oczy stawały się wyraziste. W otoczeniu dorosłych wolał stać na uboczu i raczej zachowywał się z rezerwą, ale wychwalano jego wykonania, opatrując je takimi określeniami, jak: „ciepłe”, „refleksyjne”, „zaskakująco dojrzałe”. O ile występy cudownych dzieci cechowały się na ogół mechaniczną precyzją i nieobecnością uczuć, o tyle Zacharias Jones wprowadził do swej gry emocjonalną subtelność, znakomicie odzwierciedloną na przykład w takich utworach jak sonata Griega, którą zagrał na festiwalu. Gallagher nie mógł się nadziwić.

– On nie jest dzieckiem, kiedy gra. To coś niesłychanego, Hazel. *To oczywiste, że on nie jest dzieckiem!*, pomyślała Hazel. *Nie miał czasu na bycie dzieckiem.*

– Ale nie będziemy rozmawiali o Zacku z moim ojcem, Hazel. Będzie chciał cię wypytać o twojego utalentowanego syna, będzie dawał do zrozumienia, że Gallagher Media mogłyby „zaznaczyć go na mapie”. Będzie cię przepytawał, będzie cię szturchał i dźgał, jeśli mu pozwolisz. Nie odpowiadaj na pytania Thaddeusa, bo wpadniesz w pułapkę. Ujmę to wprost: przede wszystkim będzie chciał się dowiedzieć, czy Zack może zostać jego wnukiem. Bo on ma wszystko oprócz wnuków. Tak więc...

Hazel zauważyła, że twarz jej kochanka jest pomarszczona, wykrzywiona. Wydawał się jednocześnie zły i smutny, jak gargulec. Jechał z nadmierną prędkością po wąskiej drodze wijącej się przez pagórkowaty krajobraz.

– Ale przecież poznaliśmy się, gdy Zack zaczął już chodzić do szkoły w Malin Head Bay – zauważyła Hazel. – Jak twój ojciec...

– Może. Jego wyobraźnia nie ma granic. I nie mógł się dowiedzieć, kiedy się w ogóle poznaliśmy, nawet jeśli wynajął prywatnych detektywów, żeby pogrzebali w naszym związku. Tego faktu na pewno nie zna. Dlatego zamierzam puszczać jego pytania mimo uszu, Hazel. Zostaniemy tam godzinę, może półtorej. Już wszystko uzgodniłem, ale on oczywiście będzie próbował nas namawiać, żebyśmy zostali dłużej. A już z pewnością będzie namawiał ciebie.

Mijali wielkie domostwa pobudowane w sporej odległości od drogi; z daleka przypominały chatki z bajek. Wielkie zielone trawniki, na których płąsały i lśniły tęcze wśród polewających je węży. Ogromne wiązy, dęby. Jałowce. Stawki, zatoczki. Malownicze potoki. Rustykalne, kamienne murki.

– I proszę cię, nie pokrzykuj, że dom jest piękny, Hazel – dodał Gallagher. – Nie masz takiego obowiązku. Oczywiście jest piękny. Wszystkie posiadłości w Ardmoor Park są piękne. Wszystko może być piękne, jeśli wydasz na to miliony dolarów.

Zanim dotarli do domu jego ojca, do domu jego dzieciństwa, Gallagher wyraźnie już szalał ze zdenerwowania. Był to dwór w stylu normandzkim, wybudowany w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, ale odrestaurowany, przebudowany i unowocześniony w latach dwudziestych. Hazel nie powiedziała Gallagherowi, że jest piękny. Wielkie dachy wyłożone dachówkami o matowym połysku i fasady z ręcznie kutyh kamiennych bloków przywiodły jej na myśl strojne mauzolea na wielkim cmentarzu Forest Lawn w Buffalo.

Gallagher zaparkował za zakrętem podjazdu w kształcie podkowy, niczym nastolatek szykujący się do prędkiej ucieczki. Cisnął papierosa na żwir i z dziarską miną chorego człowieka drwiącego ze swoich dolegliwości uderzył się pięścią w splot słoneczny: ostatnimi czasy miewał napady bólów żołądka, które bagatelizował, twierdząc, że to z nerwów.

– Pamiętaj, Hazel: nie zostajemy na kolacji. Mamy inne plany w Vermoncie.

Thaddeus Gallagher nie czekał niecierpliwie na swych gości we wnętrzu tego ogromnego domu, tylko na tyłach, przy basenie. Drzwi otworzyła służąca, której Gallagher nie znał, uparła się, że ich tam zaprowadzi, choć Gallagher oczywiście znał drogę.

– Mieszkałem tu kiedyś, proszę pani. Jestem synem pani chlebobawcy.

Po brukowanej ścieżce, pod łukiem z wisterii, przez ogród pełen przekwitających róż. Hazel zaglądała ukradkiem do wysokich okien z witrażowymi obrzeżeniami, ale widziała jedynie swoje blade, niematerialne odbicie.

I oto nagle przed jej oczyma pojawił się automatyczny wózek inwalidzki i siedzący na nim Thaddeus Gallagher, ubrany w biały T-shirt i kraciaste kąpielówki.

Inwalida! Stary i gruby! Którego oczy wpiły się żarłocznie w Hazel Jones.

Siedzieli tuż obok basenu. Jakież radosne towarzystwo! Służący w białej marynarce przyniósł drinki. Thaddeus gadał i gadał. Miał wiele do powiedzenia. Hazel wiedziała od Gallaghery, że Thaddeus nadal nadzoruje Gallagher Media, mimo że oficjalnie przeszedł na emeryturę. Budził się bladym świtem, większą część dnia spędzał na rozmowach telefonicznych. Mimo to mówił teraz tonem kogoś, kto od dawna nie rozmawiał z drugim człowiekiem.

Na wizytę w Ardmoor Park Hazel włożyła letnią sukienkę z blado-żółtej organdy z szarfą wiązaną z tyłu, która bardzo się podobała Gallagherowi. Na głowie miała słomkowy kapelusz z szerokim rondem, jak z poprzedniej epoki. I do tego plecione sandały na szpilkach, bez palców. Chcąc uświetnić trzytygodniowy pobyt Zacka na festiwalu w Vermoncie, pomalowała paznokcie u rąk i nóg na koralowy róż dopasowany odcieniem do szminki.

Palce stóp Thaddeusa Gallaghery na podnóżku wózka cały czas dziwnie podrygiwały; nienormalnie grube paznokcie miały barwę starej kości słoniowej. Hazel, która nie potrafiła oderwać od nich wzroku, przypominały embrionalne kopyta.

Ten starzec był Thaddeusem Gallagherem! Multimilionerem. Powszechnie szanowanym filantropem. Hazel przypominała sobie ścianę pełną zdjęć na wyspie Grindstone: młodszy, mniej monstrualny Thaddeus w otoczeniu zaprzyjaźnionych polityków.

Ma na sobie cień śmierci, pomyślała. Widziała ten cień, przemknął przelotnie niczym cienie jastrzębi kołujących nad nią i Gallagherem, kiedy wspinali się po stromym zboczu na wyspie Grindstone.

A jednak starszy mężczyzna nacierał i wytrącał z równowagi tego młodszego. Gallagher coraz częściej odpowiadał mrukliwymi monosylabami, wiercił się niespokojnie na krześle i robił takie miny, jakby miał kłopoty z oddychaniem. Normalnie nie pił alkoholu o tej porze dnia, ale teraz pił, zapewne chcąc zademonstrować ojcu, że może. Hazel zauważyła, że ostentacyjnie na nią nie patrzy. Nie chciał potwierdzić, że zauważa jej obecność. Nie patrzył też w twarz Thaddeusa Gallaghera. Wyglądał jak człowiek, który stracił wzrok: miał otwarte oczy, ale zdawał się nic nie widzieć. Hazel zrozumiała, że to jej obowiązkiem, jako kobiety, jest przyglądanie się ojcu i synowi, synowi i ojcu, starszemu Gallagherowi i młodszemu. I to ona ostatecznie miała stwierdzić, że starszy z tych dwóch mężczyzn ma w sobie więcej siły woli. Taką właśnie sytuację zaaranżował Thaddeus.

Z początku litowała się nad swoim kochankiem, czuła się wręcz tak samo jak przed laty, kiedy chciała chronić małego Zacka przed atakami starszych chłopców. Ale czuła też zniecierpliwienie: dlaczego Gallagher nie stawia czoła temu znęcającemu się nad nim ojcu, dlaczego nie wypowiada się tak autorytatywnie jak zawsze? Gdzie to kąśliwe poczucie humoru, gdzie ironia Cheta Gallaghera? Gallagher miał nadzwyczaj melodyjny „radiowy” głos, który potrafił dowolnie włączać i wyłączać, dla zabawy. Rozśmieszał swoją rodzinę, potrafił być śmiertelnie zabawny. A jednak teraz w domu swojego ojca człowiek, który normalnie gadał jak najęty od rana do wieczora, wyrażał się mętnie, z wahaniem, niczym dziecko, które stara się nie jękać. Gallagher był po raz pierwszy w domu, gdzie się wychował, od śmierci matki. Po raz pierwszy widział swego ojca w takiej bliskości od tego czasu. *Przypomina sobie, co go zraniło. Jest bezradny jak dziecko, wspomina*. Hazel poczuła przypływ pogardy dla swego kochanka, pozbawionego męskości przez despotycznego inwalidę.

Hazel wolałaby nie być świadkiem upokorzenia Gallaghera. Wiedziała jednak, że jest istotnym świadkiem, bo tak to zaprojektował Thaddeus.

Za brukowanym tarasem i basenem rozciągał się łagodnie opadający trawnik. Nie został skoszony jednolicie, tu i ówdzie wystawały z niego kępy wysokich traw, sitowia i pałek. Na wzgórzu za połyskliwym stawem rósł brzozowy zagajnik; wznoszące się ku słońcu pnie wyglądały jak pionowe pasy namalowane bardzo białą farbą. Hazel przypomniawszy sobie, że podczas suszy późnego lata brzozy są najbardziej kruchymi i słabymi z drzew. Niczym we śnie na jawie nasza ją wizja, w której te drzewa łamały się, padały. Raz już zniszczonego piękna nie da się scalić.

Zauważywszy, w którą stronę patrzy Hazel, Thaddeus wyznał z dziecięcą próżnością, że to on sam zaprojektował ogród. Na początku współpracował z pewnym sławnym projektantem, ale musiał go zwolnić. Tak to już bywa, że na końcu zostajesz sam z własnym „geniuszem”, jakkolwiek by ten geniusz był.

– Co wcale nie znaczy, by kogoś z Gallagherów to obchodziło – dodał nadętym tonem. – Wszyscy mnie opuścili, cała moja rodzina. Prawie nikt mnie nie odwiedza.

– Co pan powie! Bardzo mi przykro to słyszeć, panie Gallagher.

Hazel wątpiła, czy to prawda. W Albany i okolicach mieszkało wielu ludzi spokrewnionych z Gallagherami i nie słyszała, by pozostałe dzieci Thaddeusa, brat i siostra, byli tak z nim skłócenii jak Gallagher.

– A ty masz rodzinę, Hazel Jones?

To „ty” zostało wypowiedziane z subtelnym naciskiem. Hazel wyczuła niebezpieczeństwo, Thaddeus zamierzał ją teraz przesłuchać.

– Mam syna. I mam...

Zawiesiła głos. Nagle dopadło ją onieśmienie, nie miała ochoty wymawiać imienia swojego kochanka w obecności jego ojca.

– Ale ty i Chester nie macie ślubu, prawda?

Pytanie zostało zadane zupełnie zniechęca, pozornie niewinnym tonem. Hazel poczuła, że z zażenowania pała jej twarz. Siedzący obok niej Gallagher, wyobcowany i jakby obojętny, przyłożył szklankę do ust i upił łyka.

– Nie, panie Gallagher. Nie jesteśmy małżeństwem – odparła Hazel.

– Ale przecież jesteście z sobą od sześciu lat? Siedmiu? Ach, młodzi wolnomyśliciele! Cyganeria. Chyba nic, tylko zazdrościć. Teraz, w latach siedemdziesiątych, wszystko wolno. – Thaddeus urwał, gwałtownie poprawiając swe cielsko na wózku. Jego krocze w ciasnych kraciastych kąpielówkach wydawało się spuchnięte. Głowa pod rzadkimi pasmami siwych włosów była zaczerwieniona i mokra od potu. – Choć mój syn nie jest już taki młody, prawda? Już nie.

Gallagher puścił tę uwagę mimo uszu, jakby jej nie usłyszał. Hazel nie umiała wymyślić żadnej uwagi, która nie byłaby bezsensowna, nawet w ustach Hazel Jones.

– Godne podziwu – ciągnął w najlepsze Thaddeus, wyraźnie ubawiony. – To odrzucanie okowów przeszłości. Tylko my, starsi, chcemy pielęgnować przeszłość ze strachu, że zostaniemy wepchnięci w przyszłość, w której zniszczymy. Oczywiście każde pokolenie musi ustępować miejsca następnemu! Ja, zdaje się, w jakiś sposób obraziłem swoje dzieci. – Urwał, wyraźnie chcąc powiedzieć coś mądrego. – Ale naturalnie istnieje różnica między dziećmi a spadkobiercami. Już nie mam dzieci, mam wyłącznie spadkobierców. – Zaczął się śmiać.

Gallagher nie zareagował, a Hazel się uśmiechnęła tak, jak można się uśmiechać do chorego dziecka.

Ten stary człowiek po prostu musiał sobie ulżyć swoimi smętnymi dowcipami, a oni byli popołudniową widownią. Gallagher szacował, że jego ojciec pozostawi po sobie majątek wart nieco ponad sto milionów dolarów. Thaddeus miał prawo się spodziewać, że inni będą mu nadszkwili, że będą go odwiedzali. Tłusty, purchawkowaty pajak w samym środku rozedrganej sieci. Który miał właśnie ochotę szykanować najmłodszego syna, którego kochał, a który nie kochał jego. Zamierzał szturchać i dźgać swojego syna, demoralizować go, starać się wprawić go w furję. Liczył, że Gallagher będzie się wił z poczucia winy tak, jak w ataku najsilniejszego bólu żołądka. Od dawna planował tę namiętną schadzke miłosną, która miała być także jego zemstą.

Mrugał do Hazel: *Ty i ja rozumiemy się wzajem? Mój durny syn nie ma o niczym pojęcia.*

Sugestia zmywy między nimi wprawiła Hazel w zdenerwowanie, w kompletną zaturę pewności siebie. Czuła, że pała jej twarz, bo miała przed sobą starca, który doskonale wiedział, jaki wywiera wpływ na kobiety. Cały wprost kipiał życiem, które wyciekło z jego syna.

– Oczywiście żadne z nas nie jest młode. Już nie.

Thaddeus zaczął teraz narzekać bardziej ogólnie, na rząd federalny Stanów Zjednoczonych, na sabotażystów Partii Republikańskiej i jawnych zdrajców wśród

demokratów, na tchórzostwo Ameryki, która „nie poszła na całego” w Wietnamie. No i jeszcze było to „manipulowanie mediami” przez lewicowych intelektualistów, z którymi podjął walkę senator Joe McCarthy, ale najpierw zepchnięto go na boczny tor, a potem wrogowie zatłukli biedaka na śmierć. Dlaczego, zastanawiał się Thaddeus, to zawsze Żydzi sprzeciwiali się wojnie w Wietnamie? Dlaczego większość Żydów, jak się tak nad tym zastanowić, to albo komuchy, albo sympatycy komuchów? Nawet żydowscy kapitaliści to w głębi serca komuniści! Dlaczego tak jest, do diabła, skoro Stalin nie cierpiał Żydów, Rosjanie nie cierpieli Żydów, skoro pogromów w Rosji było więcej niż w Niemczech, Polsce i na Węgrzech razem wziętych?

– A jednak w Nowym Jorku i w Los Angeles tylko to znajdziecie. W telewizji, w radiu, w gazetach. Najbardziej opiniotwórcza gazeta? Zażydzony „New York Times” oczywiście. A kto założył Krajowe Stowarzyszenie Promocji Ludności Kolorowej? Możecie być pewni, że nie kolorowi, tylko „naród wybrany”. A dlaczego? Pytam cię, Hazel Jones, dlaczego?

Hazel słuchała tego coraz bardziej niezbornego bełkotania, do którego wdzierało się coraz głośniejsze dzwonięcie w uszach. Przemieszane z oszalałymi okrzykami cykad.

On wie. Wie, kim jestem.

Tylko skąd?

Gallagher ocknął się wreszcie z ogłupienia.

– Tak to jest, Thaddeus? Wszyscy Żydzi? Nie zgadzają się między sobą na żaden temat? Nigdy?

– Przed swoimi wrogami Żydzi prezentują jednolity front. „Naród wybrany”...

– Wrogami? Kim są wrogowie Żydów? Naziści? Antysemita? Ty?

Thaddeus odjechał na wózku z miną przepelnioną oburzeniem.

Subtelność jego argumentów została zrozumiana opacznie! Jego bezstronne stanowisko filozoficzne zostało po chamsku spersonalizowane!

– Nie-Żydzi, to chciałem powiedzieć. Oni nazywają nas gojami, synu. A nie wrogami *per se* choć w rzeczywistości tak nas postrzegają. Wiesz doskonale, co mam na myśli, synu, to kwestia faktów historycznych. – Thaddeus mówił teraz uroczystym tonem, jakby jego wcześniejsze pułapki słowne to była tylko poza.

Gallagher podniósł się gwałtownie na nogi. Mamrocząc, że musi wejść na kilka minut do domu.

Odszedł chwiejnie, z chorobliwie bladą twarzą. Hazel martwiła się, że dopadł go atak bólu żołądka – niekiedy te ataki kończyły się wymiotami. Gallagher zaczął ich doświadczać kilka lat wcześniej, podczas antywojennych wieców w Buffalo. Czasami cierpiał na ich łagodniejsze formy przed publicznymi wystąpieniami Zacka.

A niech go tam: Hazel nie mogła ścierpieć, że zostawił ją samą w towarzystwie swojego ojca. Tego groteskowego starca, który gapił się na nią z wózka.

Przemówiła w stylu Hazel Jones, trzpiotowato i przepraszająco jednocześnie, wpatrując się z ogromniami oczyma w rozjarzone, groźne oczy Thaddeusa, z miną wyrażającą krańcowe zaniepokojenie.

– Chet nie chciał być niekulturalny, panie Gallagher. On bardzo przeżywa...

– O tak, na pewno. I ja też.

– Mówił, że nie był w tym domu od...

– Wiem dokładnie, jak długo tu nie był, panno Jones. Nie musi mnie pani informować odnośnie do faktów związanych z moją cholerną rodziną.

Zszokowana Hazel zrozumiała, że została potraktowana jak śmieć. Thaddeus równie dobrze mógł się wychylić z wózka i opluć jej sukienkę z żółtej organdy.

Ażeby twoja dusza zgniła w piekle, ty draniu.

Ty chory, zdychający dziadu, zdobędę twoje serce.

Hazel Jones była córką grabarza. Zawsze była córką grabarza – w każdym momencie.

– Przepraszam, panie Gallagher – wymruczała z zażenowaniem, żeby udobruchać wroga.

Służący w białej marynarce cały czas sterczał na skraju tarasu, być może podsłuchując. Thaddeus hałaśliwie dopił drinka, wstrętną z wyglądu czerwoną ciecz na bazie wódki. Niewykluczone, że sam był zażenowany, bo zbyt ostro potraktował gościa. I to wyraźnie niewinnego gościa. Patrzył teraz zamyślonym, szklistym wzrokiem na basen, na jego krzykliwy, sztuczny morski błękit. Włókniste chmury odbijały się w tej pomarszczonej powierzchni na podobieństwo jelit. Thaddeus dyszał, sapał, drapał się złowieszczą po kroczu. Potem jeszcze potarł wielki brzuch ukryty pod T-shirtem ze zmysłową bez troską. Hazel spuściła wzrok, ten gest był taki prywatny.

Fotografie Thaddeusa Gallaghera, które widziała w chacie na wyspie Grindstone, przedstawiały krzepkiego mężczyznę z wielką głową, przysadzistego, ale nie otyłego, zdecydowanie opanowanego. Teraz jego ciało było spuchnięte, rozdęte, a szczęki wydawały się uzależnione od zajadłego przeżuwania. Hazel zastanawiała się, jaki to okrutny kaprys zainspirował go do ubrania się tego dnia w rzeczy, które obnażały i parodiowały jego cielsko.

– Gównu tam, przeżywa. To zimny drań. Sama się przekonasz, Hazel Jones. Chester Gallagher to człowiek, któremu nie można ufać. To ja powinienem przeproszać, panno Jones, przeproszać za niego. Za jego idiotyczne przekonania. Za ten murzyński jazz. Nie udało mu się z muzyką poważną, to zabrał się do murzyńskiego jazzu! Do muzyki dla kundli. Nie udało mu się małżeństwo, to się bierze do kobiet, nad którymi może się litować. On nie ma wstydu. To mitoman. Jak był piętnastoletnim gówniarzem, powiedział mi: „Kapitalizm jest skazany na przegraną”. Taki mały szczył! W tych swoich artykułach tylko zmyśla, zniekształca, przesadza w imię „moralnej prawdy”. Jakby mogła istnieć jakaś „moralna prawda”, która obala historyczną prawdę. Kiedy był pijakiem – bo Chester był pijakiem, panno Jones, i to dłużej, niż pani go zna – mieszkał w batyskafie mitomanii. Zmyślał takie bajki na mój temat, na temat mojej etyki biznesowej, że przestałem się łudzić, że je kiedykolwiek odkręcę. Jestem starym specem od gazet, wierzę w fakty. W fakty i tylko fakty! W żadnej gazecie Gallagherów nigdy nie było artykułu nie opartego na faktach! Żadne liberalne bzdety, żadne sentymentalne gówna na temat pokoju na świecie, ONZ, światowego rozbrojenia, tylko fakty, bo one są podstawą rzetelnego dziennikarstwa. Tymczasem Chester Gallagher nigdy nie szanował faktów jak należy. Starał się przerobić na białego czarnucha, grając muzykę czarnuchów i broniąc ich spraw.

Hazel ścisnęła w dłoni zroszoną szklankę. Przemówiła spokojnym, lekko kokieteryjnym głosem:

– Pana syn jest mitomanem, panie Gallagher, za to pan nie?

Thaddeus spojrzał na nią zmrużonymi oczyma. Jego potrójny podbródek zadygotał, a twarz pojaśniała, jakby Hazel dotknęła jego kolana.

– Mów mi Thaddeus, Hazel Jones. Albo w ogóle Thad. Pan Gallagher jest dla służby i innych najemników.

Kiedy Hazel nie odpowiedziała, Thaddeus pochylił się sugestywnie w jej stronę.

– Będiesz na mnie mówiła Thad? To przecież brzmi podobnie do Chet, prawda? Prawie nikt już nie nazywa mnie Thad, starzy przyjaciele odpadają ode mnie jak jesienne liście.

Hazel poruszyła odrętwiałymi wargami.

– Thad.

– Bardzo dobrze! W takim razie ja będę nazywał cię Hazel. Teraz i zawsze.

Thaddeus podjechał bliżej do Hazel. Czują bijącą od niego starczą woń, smród z dusznego wnętrza starej, kamiennej chatki. A pod spodem coś jeszcze, słodkawy, ostry zapach wody kolońskiej. Miała przed sobą człowieka-potwora, który jednak ogolił się starannie tego ranka, a potem użył wody kolońskiej.

Z tak bliska widziała w tej starej twarzy rozradowanego, młodszego Thaddeusa i to ją mocno wytrącało z równowagi.

– Hazel Jones. Hazel, urocze imię z nutką nostalgii. Kto ci dał to imię, moja miła?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? Jak to możliwe, Hazel?

– Nie poznałam swoich rodziców. Umarli, kiedy byłam mała.

– Coś takiego! A gdzie to było, Hazel?

Gallagher ostrzegł, że stary będzie ją przesłuchiwał. Mimo to Hazel jakoś nie umiała temu zapobiec.

– Nie wiem, panie Gallagher. To się zdarzyło tak dawno temu...

– Ale chyba nie aż tak dawno? Jesteś młodą kobietą.

Hazel powoli pokręciła głową. Młodą?

– Hazel Jones... Już gdzieś to słyszałem, ale nie wiem gdzie. Zechcesz mi to wyjaśnić, moja miła?

– Nie wątpię, że na świecie jest więcej niż tylko jedna Hazel Jones, panie Gallagher

– odparła lekko Hazel.

– Niedobrze! Zdenerwowałem cię, moja miła. Chyba czuję się winny. I zdaje się, że zdenerwowałem mojego przewrażliwionego syna radykała, bo uciekł i zostawił nas samych.

Thaddeus energicznie wdusił jeden z przycisków w podłokietniku wózka. Hazel nic nie usłyszała, ale po kilku sekundach pojawił się służący, w T-shircie i kąpielówkach; niósł szlafroki z frotty i ręczniki. Młody mężczyzna tytułował Thaddeusa „panem G.”, a sam był nazywany imieniem, które brzmiało jak Peppy. Miał około dwudziestu pięciu lat, urodziwą, acz mało wyrazistą, młodzieńczą twarz i do tego mocno opalone ciało pływaka, z wąskim stanem i szerokimi barkami podobnymi do skrzydeł. Hazel zauważyła, że omiół ją pustym wzrokiem, prędko szacując. Znał swoje miejsce: był fizjoterapeutą bogatego inwalidy.

– Przyłączysz się do mnie, Hazel? Twierdzą, że powinienem pływać codziennie, żeby mój stan się nie pogorszył. Oczywiście mój stan pogarsza się tak czy owak. Ot, życie!

Hazel odrzuciła zaproszenie. Asystowała jednak młodzieńcowi, kiedy ten pomagał Thaddeusowi wejść do basenu, od płytkiego końca: to był gest w stylu Hazel Jones, spontaniczny i przyjacielski.

– Dziękuję ci, moja droga! Nienawidzę wody, dopóki do niej nie wejdem.

Peppy przypiął tłustemu mężczyźnie czerwone, plastikowe pływaki, do tłustych ramion i ogromnego, obwisłego brzucha. A potem z wyrazem twarzy jak u matki, która asystuje niezdanemu, lekko przestraszonemu dziecku, powoli pomógł mu wejść do wody, która iskrzyła się i falowała gwałtownie dookoła niego. Hazel podała mu rękę i Thaddeus schwycił tę rękę z ogromną wdzięcznością. A kiedy jego cielsko wpadło już do wody niczym worek betonu, ścisnął szczupłe palce Hazel z nagłą, bezradną paniką. I zaraz potem, jakby cudem był już na środku basenu, gdzie charczał, pluł i pluskał się z dziecięcą bez troską. Peppy wszedł za nim do wody i po chwili zaczął leniwie płynąć obok niego. Thaddeus się śmiał i mrugał do Hazel, która szła skrajem basenu, w rytm jego powolnego kursu.

– Hazel! Musisz się do nas przyłączyć. Woda jest fantastyczna, prawda, Peppy?

– Święta racja, panie G.

Hazel roześmiała się. Jej piękna sukienka została ochlapana i już śmierdziała chlorem.

– No dalej, Hazel! – nalegał Thaddeus, wystawiając głowę ponad powierzchnię wody z komiczną godnością. – Musisz do nas dołączyć. Jechałaś taki szmat drogi. – Ruchy jego potężnych ramion były energiczne, za to prawie wcale nie używał swych zdegenerowanych nóg.

– Nie mam kostiumu, panie Gallagher.

– Thad! Obiecałaś.

– Thad.

Thaddeus znowu się ożywił, był wręcz obłąkańczo wesoły.

– W szatniach są kostiumy dla kobiet, o tam. Proszę, idź poszukaj.

Hazel stała niezdecydowanie. Niemalże ją kusilo, żeby zrobić na złość swemu kochankowi.

– Musisz, moja droga – powiedział Thaddeus, jakby czytał jej w myślach. – Pokażesz mojemu tchórzliwemu synowi, gdzie raki zimują. Uciekł, boi się starego, ułomnego ojca, który ma raka prostaty i początki raka okrężnicy. Ale czy widzisz, by Thaddeus uciekał jak tchórz? Nie widzisz.

Hazel wiedziała, że nie powinna reagować na te rewelacje. Że nie wolno jej komentować zdrowia Thaddeusa Gallaghera. Udała więc, że nic nie słyszała. Ostrożnie zdjęła sandały na szpilkach, by móc iść brzegiem basenu. Nogi miała długie, umięśnione. Gładkie, wygolone. Golenie nóg, ud, pach i jeszcze innych części ciała, które mogły ją zdradzić czarnymi, kędzierzawymi włosami, było niczym fetysz dla Hazel Jones. Poza tym jadła niewiele, by pozostać tą Hazel Jones, która była szczupłą, bardzo kobieca i bardzo piękna. Zanurzony w cuchnącej wodzie Thaddeus Gallagher z trudem naprężył szyję, żeby się jej przyglądać.

Pluskał, machał absurdalnymi pływakami i mimo że nie był w stanie mówić wyraźnie, raz po raz wołał do Hazel, tak jak się woła do upartego dziecka.

– Przecież umiesz pływać, moja miła? Przy nas dwóch nic ci się nie stanie.

Hazel zaczęła się śmiać.

– Raczej nie, Thad. Dziękuję.

– A jeśli dam ci coś w prezencie? Na przykład tysiąc dolarów?

Thaddeus chciał tak to powiedzieć, by Hazel usłyszała w tym żart i się nie obraziła. A jednak zabrzmiało to niezręcznie, jego szkliste oczy gapiły się na nią z wysiłkiem.

Hazel potrząsnęła głową.

– Pięć tysięcy! – krzyknął radośnie Thaddeus.

Nieszkodliwe dokuczanie starca, który właśnie się zakochał w Hazel Jones. Fikał koziółki w wodzie, nawet Peppy się śmiał. Wiosłował, pluskał, wierzgał i rzeził jak mały słoń. Jego zachowanie było tak idiotyczne, tak dziwnie wzruszające, że Hazel, chcąc nie chcąc, też się śmiała.

– Moja droga, nie opuszczaj mnie! Proszę.

Myślał, że Hazel odchodzi. Tymczasem ona poszła tylko przyjrzeć się pergoli z czerwonymi różami pnącymi się na tle kremowego muru.

Po kilku minutach Thaddeus nagle kazał Peppy'emu wyciągnąć się z basenu. Hazel Jones znowu przyszła z pomocą: ujęła wielką, mięsistą dłoń starca, która silnie uchwyciła jej dłoń. Przyniosła też ręczniki i szlafroki dla obu mężczyzn. Thaddeus wycierał się energicznie, nawet swoje przerzedzone włosy tarł gwałtownie, jak zapewne robił to w młodości, kiedy miał gęste włosy. Dokładnie tak samo suszył się Gallagher. Hazel to zauważyła i poczuła odrobinę czułości wobec Thaddeusa.

Z powrotem na wózku, owinięty w ręczniki wielkie jak koce Thaddeus sapał, dyszał i uśmiechał się jak wniebowzięty. Służący w białej marynarce przyniósł mu jeszcze jednego czerwonego drinka, a do tego srebrną miseczkę z orzechami, które natychmiast zaczęła hałaśliwie pogryzać.

– Hazel Jones! Muszę wyznać, że słyszałem o tobie to i owo. Widzę teraz, że nic z tego nie było prawdą. – Thaddeus powiedział to cicho. Stale zerkał w stronę domu, bojąc się, że zaraz zjawi się jego syn. Wychylił się z wózka, by ująć Hazel za rękę. Zadrżała, ale nie cofnęła się. – Wiem, że mój syn to uczciwy człowiek. Nieraz się z nim kłóciłem, ale oczywiście na swój sposób jest moralny. Żałuję, że nie potrafię go kochać, Hazel. Widzisz, on nigdy mi nie wybaczył różnych rzeczy, które zdarzyły się dawno temu. Pewnie ci opowiadał?

Thaddeus zmrugnął oczy, spoglądając z żalem na Hazel.

– Nie. Nie opowiadał.

– Nie?

– Nigdy.

– Ale na pewno się skarży na moje podejście do polityki? Na moje przekonania, które tak bardzo się różnią od jego przekonań?

– Chet mówi o panu z szacunkiem. Kocha pana, panie Gallagher. Ale boi się pana.

– Boi się mnie! Dlaczego?

Na twarzy Thaddeusa pojawił się dziwnie lisi i zarazem chory wyraz. A jednak był też przebłysk nadziei.

– Powinien pan spytać Cheta, panie Gallagher. Nie mogę wypowiadać się za niego.

– Ależ możesz, możesz wypowiadać się za niego. Będzie znacznie lepiej, jeśli to ty będziesz się wypowiadała za niego, Hazel Jones, niż on za siebie. – Starzec przestał ze swoją bufonadą, był teraz całkowicie szczery. Niemalże błagał. – On mnie kocha? Szanuje?

– On uważa tylko, że ma pan niewłaściwe przekonania polityczne. To wszystko.

– Nigdy nic nie mówił o... o swojej matce?

– Tylko tyle, że ją kochał. I że za nią tęskni.

– Coś takiego! Ja też za nią tęsknię.

Thaddeus i Hazel byli teraz zupełnie sami na tarasie; Peppy i służący w białej marynarce odeszli. Thaddeus siedział w kokonie z ręcznika i wzdychał. Wciąż nerwowo oglądał się w stronę domu.

– Nie masz żadnej rodziny, Hazel? Wszyscy umarli?

– Wszyscy.

– Więc jest tylko twój syn?

– Tylko mój syn.

– Czy ty i Chet pobraliście się w sekrecie, moja droga?

– Nie.

– Ale dlaczego? Dlaczego się nie pobraliście?

Hazel uśmiechnęła się wymijająco. Nie, nie! Tego mu nie powie.

– Nie kochasz mojego syna? – spytał z żalem Thaddeus. – To czemu z nim mieszkasz, skoro go nie kochasz?

– On mnie kocha. Kocha naszego syna.

Te słowa wyrwały się Hazel Jones jak we śnie. Niby zawsze taka lotna, a tymczasem wcale nie wiedziała, że je wypowie, aż do tej chwili.

Zobaczyła na twarzy starca wyraz szoku, triumfu.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że o to chodzi.

– On się nie może dowiedzieć, panie Gallagher – powiedziała ze strachem Hazel, tonem kogoś, kto zdradził za dużo. – Nie zniesie myśli, że go obgadywano.

– Wiedziałem – powiedział Thaddeus, dysząc. – Zobaczyłem cię i skądś wiedziałem. Autentycznie. Hazel Jones: to będzie nasz sekret.

Starszy pan wydawał się oszołomiony, spustoszony. Przez kilka sekund siedział w milczeniu, ciężko oddychając. Hazel czuła wręcz, jak straszliwie łomocze serce w jego masywnym ciele. Thaddeus dostał, czego chciał, ale był bardzo zmęczony. Figle w basenie go wyczerpały. Ta długa scena go wyczerpała. Hazel chciała wezwać służącego, żeby mu pomógł, ale Thaddeus nadal ścisnął ją za rękę.

– Nie zostaniecie na kolacji, Hazel? Twoim zdaniem Chet nie da się namówić na zmianę decyzji?

Hazel łagodnie odparła, że nie. Że nie sądzi.

– W takim razie będę za wami tęsknił. Będę o was myślał, Hazel. I o Zachariasie Jonesie. Będę słuchał, jak ten chłopiec gra na pianinie, kiedy tylko będę mógł. Nie będę się wam narzucał, rozumiem, że to byłby taktyczny błąd. Mój syn to wrażliwy człowiek, Hazel. I zazdrosny. Jeśli... jeśli Chester kiedyś cię rozczaruje, musisz przyjść do mnie. Obiecasz mi to, Hazel?

Hazel łagodnie odparła, że tak. Że obiecuje.

Nagłym, niezdarnym gestem Thaddeus uniósł jej dłoń do swoich warg. Hazel na długo zapamiętała odcisk tego pocałunku na swojej skórze, to wrażenie nieoczekiwanego, cielesnego chłodu.

Thusty, purchawkowaty pająk i córka grabarza. Kto by się spodziewał!

Rana była tak głęboka, że Gallagher początkowo nie chciał o niej mówić.

Wracali do Vermontu w milczeniu. Twarz Gallaghery wciąż była nienaturalnie blada, ściągnięta. Hazel podejrzewała, że wymiotował w którejś z łazienek w domu ojca i teraz strasznie się wstydził.

Przypuszczała, że naprawdę go kocha. Że kocha go, wbrew słabości tego mężczyzny, która przepęłniała ją wściekłą, nieposkromioną pogardą, podobną do oszalałego, skrzydlatego stworzenia pochwyconego w sieć.

Reszta dnia upłynęła jakby we śnie. Niemile zdawali sobie sprawę, że są z sobą, ale nie rozmawiali, nawet się nie dotykali. Zjedli kolację z Zackiem i z kilkoma innymi ludźmi; Gallagher prędko zdrowiał po wizycie w Ardmoor Park. Znowu był sobą przy tej kolacji i również podczas przyjęcia po koncercie symfonicznym zorganizowanym tamtego wieczoru. A jednak dopiero wtedy, gdy razem z Hazel znaleźli się sami w pokoju hotelowym, powiedział do niej serdecznym tonem, dając do zrozumienia, że jest rozbawiony, a nie zły:

– Ty i ojciec przypadliście sobie do gustu, prawda? Słyszałem, jak się z czegoś zaśmiewacie. Oglądałem go z okna w moim dawnym pokoju; miotał się w basenie jak jakiś obłąkany słoń. Niezła parka: Piękna i Bestia.

Gallagher mył zęby w łazience, przy otwartych drzwiach. Pluł energicznie do umywalki. Hazel wiedziała bez patrzenia, że robi miny do lustra.

– On chyba jest smutny, Chet – powiedziała. – Samotny stary człowiek, który boi się śmierci.

– Co ty nie powiesz! – odparł zimno Gallagher, choć wyraźnie chciał, by go udobruchać.

– Mam wrażenie, że życie zadało mu ból.

– Czyli ja, chcesz powiedzieć.

– Jesteś całym życiem dla swojego ojca, Chet?

Nie była to oczekiwana reakcja. Kiedy Hazel Jones mówiła takie rzeczy, Gallagher często udawał, że nie słyszy. A potem oplotła go od tyłu ramionami.

– „Mój syn to uczciwy człowiek” – zacytowała z powagą, obejmując go z całej siły. – „Żałuję, że nie potrafię go kochać”.

Gallagher zaśmiał się ze zdziwieniem, niepokojem.

– Nie wmawiaj mi, że mój ojciec to powiedział, Hazel.

– Właśnie tak powiedział.

– Bzdura, Hazel. Nie wmawiaj mi.

– On ma raka prostaty, Chet. I raka okrężnicy.

– Od kiedy?

– Chyba nie chce, żebyś to wiedział. Żartował sobie z tego.

– Ja bym tak nie wierzył we wszystko, co on mówi, Hazel. Z niego jest niezły kawalarz. – Gallagher krążył niezbornie po pokoju, niczego nie widząc. Na twarzy miał dziwnie pusty, gapowaty wyraz. – Te brednie o zażydżonym „New York Timesie”... On ma z nimi na pieńku, bo „Times” dostaje Pulitzera co roku, a koncertem Gallagherów dostaje

Pulitzera raz na pięć lat, jeśli mają szczęście. Oto, co za tym wszystkim stoi. – Gallagher był oburzony, bliski łez.

– Ale on cię kocha. Z jakiegoś powodu wstydzi się przed tobą.

– Głupie gadanie, Hazel.

– Może i głupie, ale tak się składa, że zgodne z prawdą.

W łóżku, w umięśnionych ramionach Gallaghera, Hazel poczuła wreszcie, że może już trochę się z niego naśmiewać. Czowała ciepło bijące od ciała kochanka, leżała przy nim zupełnie nieruchomo. Teraz jej wybaczył. Uwielbiał Hazel Jones, zawsze szukał dróg, żeby jej wybaczyć.

Hazel wyznała mu szeptem, jaka była zaszokowana, kiedy odkryła, że Thaddeus Gallagher to inwalida przykuty do wózka!

– On? Inwalida? – Gallagher przez chwilę wiercił się w pościeli, ze wzrokiem wbitym w sufit. – O Chryste. Chyba rzeczywiście jest inwalidą.

Hazel Jones. To będzie nasz sekret.

Już do końca życia przysyłał jej drobne podarunki. Kwiaty. Co cztery albo pięć tygodni i często po publicznych koncertach Zacka. Skądś wiedział, przemyślnie się dowiadywał, kiedy Gallaghery nie było w domu, i starał się, by dostarczano podarunki właśnie w takie dni.

Pierwszy dostarczono w czasie, kiedy Hazel wróciła do Delaware Park w Buffalo, do domu, który Gallagher kupił dla nich blisko szkoły muzycznej. Kłęb pnących, czerwonych róż o drobnych płatkach w formie kolczastego bukietu, który nie chciał się zmieścić nawet do bardzo dużego wazonu. Do bukietu był dołączony list, napisany jakby w pośpiechu.

22 sierpnia 1970 r.

Najdroższa Hazel Jones!

Na chwilę nie przestłem myśleć o Tobie od zeszłego tygodnia. Mam (to sekret!!!) taśmę z występem Zachiarasa na festiwalu; twój syn jest naprawdę pierszorzędnym muzykiem! Trudno uwierzyć, że ma tylko 13 lat. Mam jego zdjęcia, jest taki młody. Oczywiście w sercu już nie jest już dzieckiem prawda? Tak jak ja w wieku 13 też już nie byłem dzieckiem, bo moje serce prędko ztwardniało, wiedziałem „na czym ten świat polega” od dzieciństwa i nie miałem złudzeń co do „wrodzonego” dobra ludzkości i tak dalej. Droga Hazel, mam nadzieję, że Cię nie obrażę. Twój mąż nie musi o niczym wiedzieć. Zachowamy to w sekrecie prawda? Bo ja ciągle myślę o Tobie, o twoich pięknych i dobrych czarnych oczach, które wybaczą i nie osądzają. Gdybyś była taka miła Hazel to mogłabyś czasem do mnie zadzwonić, podaję numer poniżej. To moja prywatna linia Hazel, nikt inny nie odbierze. Ale jeśli nie moja miła, to nie sprawisz mi bólu. Ty sprowadziłaś na świat tego niezwykłego chłopca. Jest moim wnukiem To nasz sekret, że on jest moim wnukiem (!!!) i spotkam się z nim kiedyś, ale w sekrecie. Nie bój się mnie. Dałaś mi coś na co nie oczekiwałem i na co nie liczyłem. Nie zranisz mnie. Zawsze będę o Tobie myślał. Wiem, że Chester to dobry człowiek, ale on jest słaby i zazdrosny tak jak jego ojciec w jego wieku. Do następnego razu, moja droga

Twój kochający „Teść” Thad

Hazel przeczytała ten list ze zdumieniem, z trudem go rozumiejąc ze względu na liczne błędy. Zwariował! Zakochał się w niej. Nie spodziewała się wcześniej takiej reakcji. Poczowała wyrzuty sumienia, że Gallagher o niczym nie wie.

Wyrzuciła list, nie mając zamiaru na niego odpowiadać. Hazel Jones nigdy nie odpowiedziała na namiętne listy Thaddeusa Gallaghery, które z czasem stawały się coraz mniej zrozumiałe, nie dziękowała mu też za liczne podarunki. Hazel Jones miała w sobie godność, przyzwoitość. Nie zachęcała starego człowieka, ale też go nie zniechęcała. Przypuszczała, że on dotrzyma słowa, że nie będzie dążył do spotkania z nią ani Zackiem, że będzie ich adorował z należytego dystansu. Gallagher zdawał się nie zauważać podarunków: wazonów z kwiatami, kryształowego przycisku do papieru w kształcie serca, mosiężnej ramki do zdjęć, jedwabnej apaszki w różyczki. Stary człowiek był dostatecznie

dyskretny i przysyłał Hazel jedynie drobne, stosunkowo niedrogie i mało podejrzone podarunki. I nigdy żadnych pieniędzy.

W marcu 1971 roku kurier przyniósł paczkę dla Hazel Jones, która nie zawierała prezentu, tylko szarą kopertę z adresem zwrotnym GALLAGHER MEDIA INC. W kopercie znajdowały się fotokopie artykułów gazetowych i kolejny pospiesznie nagryzmołony list od Thaddeusa Gallaghera.

Mój asytsent wreszcie zgromadził te matrialy, Hazel. Co tak długo to ja szzerze mówiąc, NIE WIEM. Ale będziesz pewnie zaintrygowała, Hazel Jones. „Tylko zbieg Okoliczności”, wiem. (DZIĘKI, DZIĘKI BOGU, że tamta biedna Hazel to nie byłaś Ty.)

Było tam jeszcze kilka stron, ale Hazel wyrzuciła je bez czytania.

W pokoju na piętrze ich domu w Delaware Park, gdzie raczej nikt jej nie przeszkadzał, Hazel wyjęła fotokopie artykułów z koperty i rozłożyła je na stole. Robiła to zdecydowanymi, niespiesznymi ruchami, mimo to ręce trzęsły jej się nieznacznie; skądś wiedziała z góry, że rewelacje przysłane jej przez Thaddeusa Gallaghera nie będą przyjemne.

Artykuły z gazety były już ułożone w chronologicznym porządku. Robiła, co mogła, by nie odrywać wzroku, tylko zapoznać się z treścią.

I tak oto przeczytała:

PONURJE ODKRYCIE W NEW FALLS
ZWIĄZANE Z DOKTOREM ŚMIERCIA
Wykopano szkielety kobiet

A także:

ZMARŁY LEKARZ Z NEW FALLS
DOMNIEMANYM PORYWACZEM
Kobiet zaginionych w latach pięćdziesiątych
I DO DZIŚ NIE ODNALEZIONYCH
Policja przeszukała posiadłość, odnaleziono szkielety

Do obu wycinków były dołączone zdjęcia przedstawiające serdecznie uśmiechniętego mężczyznę w średnim wieku: dr med. Byrona Hendricksa.

– To on! Mężczyzna w panamie.

Oba artykuły z Port Oriskany Journal, ukazały się we wrześniu 1964 roku. New Falls było niewielką, dość zamożną dzielnicą na obrzeżach Port Oriskany, nad jeziorem Erie. Hazel powiedziała sobie uroczyście: *Już po wszystkim. Cokolwiek to było, już się skończyło. Nie ma teraz ze mną nic wspólnego.*

Tak było. Tak musiało być. Od jedenastu lat nie myślała o doktorze Byronie Hendricksie. Zasadniczo wszelkie wspomnienia o tym człowieku zbladły w jej świadomości.

Cofnęła się do pierwszego artykułu, również z „Journala”, z datą z czerwca 1956 roku.

ZAGINIĘCIE DZIEWCZYNY Z NEW FALLS
POLICJA I OCHOTNICY ROZSZERZAJĄ ZAKRES POSZUKIWAŃ
Zaginioną jest Hazel Jones, lat 18

Ta Hazel Jones uczęszczała do liceum w New Falls, ale została relegowana w wieku szesnastu lat. Mieszkała z rodzicami na wsi pod New Falls i zarabiała na życie jako opiekunka do dzieci, kelnerka, sprzątaczką. W czasie bezpośrednio poprzedzającym zniknięcie zatrudniła się właśnie na lato w jednej z lodziarni Dairy Queen. W dniu zniknięcia bardzo wielu ludzi widziało Hazel Jones w lodziarni; wyszła stamtąd o zmierzchu, miała wrócić do domu rowerem, pokonując dystans trzech mil, a jednak nigdy tam nie dotarła. Jej rower znaleziono później w rowie obok drogi, jakieś dwie mile od domu.

Nic nie wskazywało, że to porwanie, nikt nie wystąpił z żądaniem okupu. Nie było świadków uprowadzenia. Nikt nie wskazał żadnej osoby, która miałaby powód działać na szkodę Hazel Jones, ponadto Hazel Jones nie miała chłopaka, który by jej zagrażał. Poszukiwania prowadzono przez wiele dni, tygodni i wreszcie lat, a jednak nigdy nie znaleziono ciała.

Oniemiała Hazel gapiała się na dziewczynę z fotografii. Bo to była znajoma twarz.

Siedemnastoletnia Hazel Jones miała bujne, falujące, czarne włosy sięgające poniżej ramion, z przedziałką z boku. Dość gęste brwi i długi nos, nieco szerszy na czubku. Niby nie była ładna, a jednak za sprawą „egzotycznej” urody mogła „wpaść w oko”. Usta miała mięsiste, zmysłowe, ale sprawiała wrażenie nadętej, wręcz ponurej. Patrzyła na świat dużymi oczyma, bardzo ciemnymi i nieufnymi. Próbowwała się uśmiechać do aparatu, niezbyt jednak przekonująco.

Jaka ta Hazel Jones była podobna do Rebeki Schwart w tym wieku! Strasznie niepokojący widok, który przyprawiał o ból.

Dawni koledzy i koleżanki szkolne z New Falls mówili o Hazel Jones, że była „cicha”, że trzymała się na uboczu, „że trudno ją było poznać”.

Rodzice Hazel Jones twierdzili, że „nigdy nie wsiadała do samochodu z nikim, kogo nie znała. Hazel nie była z takich”.

Kolejny artykuł przedstawiał panią i pana Jones pozujących do fotografii przed skromnym bungalowem na obrzeżach New Falls. Byli parą w średnim wieku, o gęstych brwiach i ciemnej karnacji jak ich córka, wpatrywali się posępnie w obiektyw aparatu niczym hazardziści, którzy chcą ryzykować, choć wiedzą, że i tak przegrają.

Okładzina z fałszywych cegieł na domu Jonesów była pełna zacieków. Na gołym podwórku od frontu leżała sterta gruzu.

Następnych kilka artykułów nosiło daty z roku 1957, pochodziły z gazet ukazujących się w Port Oriskany, Buffalo, Rochester i Albany. (Tak się składało, że gazety z Rochester i Albany należały do koncernu Gallagherów.) W czerwcu 1957 roku

doniesiono o kolejnym zaginięciu dziewczyny, tym razem z Gowandy, małego miasteczka na południowy wschód od Port Oriskany; w październiku doniesiono o jeszcze jednym zaginięciu dziewczyny z Cableport, wioski nad Kanałem Erie blisko Albany, setki mil na wschód. Dziewczyna z Gowandy nazywała się Dorianne Klinski, lat dwadzieścia; dziewczyna z Cableport nazywała się Gloria Loving, dziewiętnaście lat. Dorianne była mężatką, Gloria była zaręczona. Dorianne zniknęła „bez śladu”, kiedy wracała do domu z Gowandy, gdzie pracowała jako sprzedawczyni. Gloria zniknęła w podobnych okolicznościach, kiedy szła do domu z Cableport, ścieżką holowniczą nad Kanałem Erie, na odcinku długości mniej niż mili.

Jakie te dziewczyny były podobne do Hazel Jones z New Falls! Obie ciemnowłose, obie niezbyt ładne.

W kilku artykułach na temat Dorianne i Glorii nie było nawiązania do Hazel Jones z New Falls. Ale w artykułach na temat Glorii Loving były nawiązania do Dorianne Klinski. Dopiero w późniejszych artykułach, z lat 1959, 1962 i 1963, pojawiły się nawiązania do pierwszego zaginięcia. Policjanci z wielu wiejskich hrabstw i niewielkich ośrodków miejskich rozsianych po całym stanie Nowy Jork potrzebowali dużo czasu, by powiązać z sobą te uprowadzenia.

Hazel czytała to wszystko z coraz większym trudem. Oczy zaszyły jej łzami bólu, wściekłości.

– Co za drań! Więc to tego chciał ode mnie: chciał mnie zamordować.

Niesamowity żart. Najbardziej niesamowite objawienie jej życia. „Hazel Jones” przez cały ten czas, od samego początku, była martwą dziewczyną. Zamordowaną dziewczyną. Naiwną, ufną dziewczyną, która w czasie, gdy Byron Hendricks zagadnął Rebeke Schwart na ścieżce holowniczej na przedmieściach Chautauqua Falls, nie żyła od trzech lat. Która była martwa, już się rozkładała! To do niej należał jeden z tych kobiecych szkieletów, które pewnego dnia miały być wykopane na terenie należącym do Byrona Hendricksa.

Hazel zmusiła się, by czytać dalej. Musiała poznać całą historię, nawet jeśli nie chciała jej zapamiętać. Ostatnie artykuły skupiały się na Byronie Hendricksie, bo teraz, we wrześniu 1964 roku, ten człowiek został rozpracowany. Najobszerniejszy artykuł, na pełną stronę, pochodził z „Port Oriskany Journal”, w którym dobrotliwie uśmiechnięta twarz doktora Hendricksa była umieszczona w owalu otoczonym przez większy owal utworzony z podobizn jego sześcioro „znanych” ofiar.

Nie żył, chociaż to. Nie został zamknięty w żadnym szpitalu dla umysłowo chorych. Przynajmniej tu była jakaś satysfakcja.

Hendricks miał pięćdziesiąt dwa lata w chwili śmierci. Od lat mieszkał samotnie w przestronnym, ceglany domu w New Falls. Zdobył dyplom lekarza medycyny na Akademii Medycznej w Buffalo, ale nigdy nie praktykował, w odróżnieniu od swego ojca, który leczył przez blisko pięćdziesiąt lat; przedstawiał się jako „naukowiec prowadzący eksperymenty medyczne”. Sąsiedzi z New Falls twierdzili, że Hendricks „wydawał się sympatyczny, ale trzymał się na uboczu”, że „był zawsze uprzejmy i pogodny”, że „był dżentelmenem”, że „ubierał się elegancko”.

Z tego, co udało się ustalić policji, wynikało, że nie miał żadnych bliższych kontaktów ze swoimi ofiarami, z wyjątkiem osiemnastoletniej Hazel Jones, która sporadycznie sprzątała mu mieszkanie.

Hendricksa znaleziono martwego w pokoju na piętrze jego domu; ciało znajdowało się w stanie posuniętego rozkładu, leżało tam od co najmniej dziesięciu dni. Początkowo uważano, że zmarł z przyczyn naturalnych, ale sekcja zwłok dowiodła, że przedawkował morfinę. Policja znalazła albumy z wycinkami prasowymi na temat zaginionych dziewczyn oraz „obciążające pamiątki”. W trakcie przeszukania domu i zarośniętej dwuakrowej działki znaleziono sześć szkieletów, prawdopodobnie kobiecych.

Sześć. Uprowadził sześć Hazel Jones.

Można było tylko się domyślać, z jaką gotowością, z jaką dziecinną nadzieją z nim szły.

Hazel nie usiadła przy stole, długim i wąskim, przy którym często pracowała (tutaj, na pełnym przeciągów drugim piętrze domu, który kupił dla niej Gallagher, Hazel czuła się najbardziej komfortowo: uczęszczała na wieczorowe kursy w pobliskim Canisius College i na tym stole rozkładała swoje prace), tylko stała przy nim, wsparłszy swój ciężar na dłoniach. Stopniowo coraz bardziej kręciło jej się w głowie, a tętno biło jej w czaszce tak mocno, jakby zaraz miało ją rozsadzić. A jednak nie zemdliała! Nie uległa strachowi, panice. Zamiast tego usłyszała własny śmiech. I to nie był delikatny, kobiecy śmiech Hazel Jones, tylko ponury, suchy rechot.

– Żart! Z tą „Hazel Jones” to był żart.

Fala mdłości przywróciła ją natychmiast do porządku. W ustach pojawił się smak czegoś czarnego i zimnego. Potem poleciał na nią najbliższy róg stołu. Czoło przecięło coś tak ostrego jak ostrze topora, nagle wyładowała na podłodze i kiedy kilka minut później udało jej się podźwignąć z omdlenia, może po pięciu minutach, może po dwudziestu, ciekła z niej krew i nie wiedziała, gdzie jest, do diabła, ani też co się stało, ale nadal się śmiała z żartu, którego nie mogła sobie dokładnie przypomnieć, albo może tylko próbowała się śmiać.

Tamtej nocy, obok Gallaghiera. Rozmyślała. *Obudzę go. Powiem mu, kim jestem. Powiem mu, że moje życie to kłamstwo, kiepski żart. Nie ma żadnej Hazel Jones. Tu, gdzie jestem, nie ma nikogo.* Ale Gallagher spał, jak to Gallagher, mężczyzna pogrążony w niebycie snu, często pochrapując, miotając się i wierzgając nogami pod pościelą, cały rozgrzany, a kiedy budził się częściowo, to pojękiwał niczym dziecko pozostawione samemu sobie i wyciągał rękę w stronę Hazel Jones, żeby dotykać, trącać, gładzić, chwytać, bo przecież uwielbiał Hazel Jones, dlatego w końcu go nie obudziła i w końcu Hazel Jones sama też zasnęła nad ranem.

III

PO TAMTEJ STRONIE

Przez całe lato i jesień roku 1974 dom rozbrzmiewał *Appassionatą* Beethovena. Co za muzyka!

Ona, która była matką tego młodego pianisty, poruszała się jak we śnie, z otwartymi oczyma, a jednak nic nie widząc. Stęskniona, sama nie wiedząc, kiedy i jak, przystawała pod zamkniętymi drzwiami pokoju muzycznego, by pogrążyć się w ekstazie.

– Uda mu się. Zagra to. To jest jego czas.

Brakowało jej ucha do subtelności pianistycznej interpretacji, dlatego nie byłaby w stanie orzec, czy sonata, której teraz słuchała, ma jakiś głęboki albo choćby tylko powierzchowny związek z nagraniem Artura Schnabla, które słyszała dwadzieścia pięć lat wcześniej w saloniku starej, kamiennej chatki na cmentarzu.

Zamknięty w pokoju muzycznym jej pracowity, dokładny syn zaczynał wciąż od nowa i natychmiast się zatrzymywał. Zaczynał i się zatrzymywał. To tylko lewą dłońią, to tylko prawą. Potem obiema dłońmi i znowu od początku, znowu gwałtowna przerwa i powrót do początku w taki sposób, w jaki małe, zalęknione dziecko zaczyna chodzić, potykając się i machając rękoma, by złapać równowagę. Zack mógłby zagrać tę sonatę bez żadnych przerw, gdyby zechciał: mógłby ją zagrać od początku do końca, wygrywając wszystkie nuty. Miał taką umiejętność, mechaniczną zdolność cudownego dziecka. Ale tu była wymagana głębsza czystość brzmienia. Głębsza desperacja.

Hazel przypuszczała, że ta desperacja kryje się pod samą muzyką. To była desperacja kompozytora, Beethovena. To była dusza tego człowieka, do której musiał wejść młody pianista. Słuchała, zastanawiając się, czy ta sonata to rzeczywiście dobry wybór. Jej syn był taki młody: to nie była muzyka młodości. Od tego słuchania zrobiła się podekscytowana, niemalże rozgorączkowana. Wyczerpana odeszła chwiejnie, nie chcąc, by Zack wiedział, że podsłuchiwała pod drzwiami pokoju muzycznego, bo to by go rozzłościło i wprawiło w rozdrażnienie, jego, który znał matkę tak dobrze.

Już i tak źle, że staram się nie oszaleć, mamo, nie chcę być odpowiedzialny również za twoje szaleństwo.

Nie mógł znaleźć sobie miejsca! W wieku piętnastu lat, w 1972 roku, zajął drugie miejsce na Konkursie Młodych Pianistów w Montrealu, rok później zajął pierwsze miejsce na Konkursie Młodych Pianistów w Filadelfii, a teraz, tuż przed osiemnastymi urodzinami, przygotowywał się do Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego w San Francisco.

Godziny. Dni spędzone przy fortepianie. W konserwatorium i w domu. Do późnej nocy, a potem cała noc w okowach muzyki pędzącej przez jego uspijony mózg ze straszliwą mocą kaskad wodospadu. Muzyki, która nie należała do niego i której nie można było zatrzymać, zdławić. Ogromna fala aż po sam horyzont! Fala, która zgarniała czas i przestrzeń, umarłych i żywych. Gdyby próbował poskromić taki żywioł, toby się udusił. Bywało, że przy klawiaturze nagle rozpaczliwie łaknął powietrza, tlenu, a bijąca od instrumentu woń starej kości słoniowej, szlachetnego drewna i pasty była dla niego jak trucizna. A jednak w chwilach, kiedy uciekał od fortepianu, wiedząc, że musi zrobić sobie

przerwę dla zdrowia psychicznego, i szedł na przechadzkę po Delaware Park, nierzadko z kimś do towarzystwa (był zakochany, być może), nachodziło go wrażenie bezradności, paniczny strach, że się udusi, jeśli nie dokończy tego pasażu, który właśnie przedzierał się przez niego, a jednak jego palce nie potrafiły tego zrobić bez klawiatury i dlatego musiał wrócić do klawiatury, bo inaczej by się udusił.

Staram się nie zwariować, mamó. Pomóż mi!

W rzeczy samej obwinił ją.

Rzadko teraz pozwalał, by go dotykała.

Bo Zack się zakochał (być może). Ta dziewczyna była od niego o dwa lata starsza, chodziła razem z nim na lektorat z niemieckiego i grała na wiolonczeli.

Tyle że nie jest taką dobrą wiolonczelistką jak ty pianistą, Zack. Dzięki Bogu!

Ta dziewczyna miała zwyczaj mówić, co myśli. I śmiała się z tego, co widziała na jego twarzy. Jeszcze nie byli z sobą bardzo blisko, jeszcze się nie dotykali. Nie mogła pocieszyć go pocałunkiem, bo wtedy zafundowałyby mu szok. Bo dla niego muzyka była czymś świętym; z muzyki nie należało się śmiać, tak jak nie wolno śmiać się ze śmierci.

A jednak wolno śmiać się ze śmierci. Od tej drugiej strony. We wspomnieniach z ich spacerów po porośniętym trawą brzegu kanału po drugiej stronie była ścieżka holownicza, ale po tej bliższej stronie, gdzie nikt nie chodził prócz ich dwojga, mamusi i niego (był taki mały, mamusia musiała mocno go trzymać za rękę, żeby się nie przewrócił!), rosła trawa i chwasty.

Udało ci się przejść na drugą stronę, więc śmieć się ze śmierci, dlaczego nie, do diabła!

Wiedziała. Matka zawsze wie.

Zaczęła się denerwować, bać. Jej syn oddalał się od niej.

Nie chodziło o fortepian, o ćwiczenia. Hazel nigdy nie była zazdrosna o fortepian!

Kiedy go słuchała, jak grał, myślała sobie: *Jest teraz w najlepszym miejscu na świecie. Urodził się, żeby tu być.* Czerpała pociechę z wiedzy, że on należy do niej. Bała się raczej uczulenia na fortepian.

Na własny talent, na sukces. Widziała czasami, jak przyglądał się swoim dłoniom, jak oglądał je niczym lekarz, z jakby żartobliwym dystansem. *Moje?*

A gdyby tak pokaleczył dłonie. Gdyby coś.

Interesował się historią Europy: drugą wojną światową. Zapisał się na wykłady na uniwersytecie. Interesował się filozofią, religią. W jego głosie pobrzmiwał rozgorączkowany ton, niespokojne drżenie. Jakby tajemnice świata mogły się przed nim otworzyć, gdyby tylko miał do nich klucz. Ku przerażeniu Hazel zaczął wygadywać jakieś idiotyzmy! Jednego dnia były to *Upaniszady*, innego dziewiętnastowieczny niemiecki filozof Schopenhauer, jeszcze innego hebrajska Biblia. Zaczął się wyklócać, bywał agresywny. Znienacka stwierdzał przy kolacji, jakby to była jakaś istotna kwestia, której dotąd unikali:

– Czy z wszystkich religii ta najstarsza nie jest najbliższa Boga? I kim jest Bóg? Co to jest Bóg? Czy powinniśmy poznać tego Boga czy tylko siebie wzajem? Czy nasze

miejsce jest przy Bogu czy przy sobie na ziemi? – Wyraz jego twarzy sugerował, że naprawdę chciałby to wiedzieć. Opierał się łokciami na stole, garbił się.

Gallagher próbował rozmawiać z pasierbem, mniej lub bardziej poważnie.

– No cóż, Zack! Dobrze, że spytałeś. Osobiście uważam, że religia jest sposobem, w jaki ludzkość stara się ogarnąć to, co istnieje poza człowiekiem. Każda religia dysponuje innym zbiorem odpowiedzi narzucanych przez samozwańczą kastę kapłanów i każda religia, możesz być tego pewien, naucza, że jest tą jedyną religią usankcjonowaną przez Boga.

– Ale to nie znaczy, że któraś z religii nie jest tą prawdziwą. Przyrównaj to do dwunastu rozwiązań jakiegoś zadania z algebry, wśród których jedenaście jest błędnych, a jedno prawdziwe.

– Ale przecież Bóg to nie jest zadanie matematyczne, które można rozwiązać, Zack. Bóg to pojemny termin, którym opatrujemy naszą ignorancję.

– Albo może jest tak – odparł z podnieceniem Zack – że ludzkie wypowiedzi, nawet jeśli są prostackie i mętne, to jednak zasadniczo znaczą to samo, ale z kolei różne języki wprowadzają w nie zamęt. Na przykład to, że Bóg stoi za wszystkimi religiami, ale z Nim jest tak jak ze słońcem, na które nie można patrzeć bezpośrednio, bo inaczej byś oślepl, ale z kolei gdyby nie było żadnego słońca, to wtedy naprawdę byłbyś ślepy, bo nic byś nie widział. Może tak to jest?

O ile Hazel się orientowała, Zack nigdy wcześniej nie wypowiadał się z taką pasją na żaden inny temat z wyjątkiem muzyki. Opierał się chwiejnie na łokciach, wprawiając płomień świec w migotanie i jego twarz, zniekształcona w tym migotliwym świetle, straszliwie się upodabniała do twarzy Jakuba Schwarta.

Jej syn! Hazel gapiła się na niego z bólem i żalem.

– Zack, co ja słyszę! – powiedział Gallagher, próbując dowcipkować. – Mamy tu wśród nas pączkującego teologa.

– Nie bądź taki protekcyjny, tato. Dobra? – odparował wyraźnie zraniony Zack. – Nie jestem kimś z twojego programu telewizyjnego.

Zack był teraz legalnie adoptowanym synem Gallaghera i zdarzało mu się nazywać go „tata”. Zazwyczaj dla zabawy, z czułością. Czasami jednak także z domieszką nastoletniego sarkazmu, tak jak teraz.

– Wcale nie chcę być protekcyjny – powiedział prędko Gallagher. – Chodzi tylko o to, że tego typu dyskusje raczej wzbudzają zdenerwowanie, zamiast przybliżyć do prawdy. Istnieje podobieństwo między religiami, zgadzam się, coś w rodzaju wspólnego szkieletu, i podobnie jak ludzie, ze swoimi ludzkimi szkieletami... – Gallagher urwał, bo dostrzegł wyraz zniecierpliwienia na twarzy Zacka. – Uwierz mi, dziecko, że ja to wiem. Ja już to przerabiałem – dodał z irytacją.

– Nie nazywaj mnie dzieckiem – odparł ponurym tonem Zack. – Nie jestem żadnym dzieckiem, czytaj: idiotą.

Gallagher uśmiechał się uparcie, próbując rzucić czar na swego pasierba, żeby się uspokoił.

– Inteligentni ludzie spierają się o te kwestie od tysięcy lat. I kiedy dochodzą do porozumienia, robią to z emocjonalnej potrzeby, żeby się zgodzić, a nie dlatego, że istnieje coś autentycznego, co by posłużyło za platformę porozumienia. Ludzie bardzo chcą w coś wierzyć, więc wierzą w cokolwiek. To tak jak z wielkim głodem: jesz wtedy praktycznie wszystko, racja? Ja ze swojego doświadczenia...

– Tato, nie jesteś mną. Żadne z was nie jest mną. Rozumiecie?

W przeszłości Zack nigdy nie bywał tak niegrzeczny. Jego oczy lśniły od łez gniewu. Niewykluczone, że tego dnia miał już jedną napiętą sesję ze swoim nauczycielem. Jego życie stało się teraz skomplikowane z powodów, których Hazel nie mogła znać, bo wielu rzeczy jej nie mówił, a ona nie ośmielała się o nic go wypytywać.

Gallagher znowu próbował przemówić Zackowi do rozumu, w typowy dla niego czuły i zarazem kpiarski sposób, który był taki skuteczny w telewizji (Gallagher prowadził teraz cotygodniowy talk-show na WBEN-TV Buffalo, stacji należącej do Gallagher Media), ale nie był taki skuteczny w przypadku chłopca, który skręcał się ze zniecierpliwienia i tylko przewracał oczyma, kiedy Gallagher coś mówił. Hazel siedziała osamotniona, zagubiona. Zrozumiała, że Zack odcina się od niej, nie od Gallaghera. Odcinał się od niej, która uczyła go od dzieciństwa, że religia jest dla tych innych ludzi, nie dla nich.

Biedny Gallagher! Czerwienił się i sapał niczym zapaśnik w średnim wieku, który zawsze się chełpił swoimi umiejętnościami, a właśnie został przechytrzony przez młodego zapaśnika, którego nie potraktował poważnie.

– Muzyka to nie wszystko! – mówił teraz Zack. – To tylko część mózgu. A ja mam cały mózg, na litość boską. Chcę poznawać te inne rzeczy, które znają inni ludzie. – Z trudem przełknął ślinę. Już się golił, dolna połowa jego twarzy wydawała się ciemniejsza od górnej, miejsce nad ustami pokrywał delikatny, ciemny meszek. Umiał się zmienić w ciągu kilku sekund, być zdolny do dziecięcego posłuszeństwa, dobrodusznej ustepliwości, chłodnej arogancji. Nie spojrzał na Hazel podczas dyskusji z Gallagherem i nie patrzył na nią również teraz, kiedy nagle wypalił: – Chcę poznać judaizm, chcę wiedzieć, skąd się wziął i czym jest.

Judaizm: termin, który nigdy wcześniej nie padł w rozmowach między Hazel i Zackiem. Podobnie jak mniej formalne słowa: Żydzi, żydowski.

– To oczywiście rozumiem – odparł Gallagher. – Chcesz wiedzieć wszystko, co możesz wiedzieć w granicach rozsądku. Poczynając od starych religii. Sam byłem taki... – Gallagher zaplątał się teraz, stracił rezon. Niejasno zdawał sobie sprawę z napięcia między Hazel i Zackiem. Jako człowiek, który cieszył się pewną sławą, był przyzwyczajony, że go traktowano poważnie, z pewnością był przyzwyczajony, że pytano go o zdanie, a tymczasem we własnym domu często tracił grunt pod nogami.

– Ale fortepian, Zack! – powiedział wymijająco. – On musi być na pierwszym miejscu.

– Jest na pierwszym miejscu – odparł z żarem Zack. – Ale nie jest na drugim, trzecim czy zasranym ostatnim miejscu.

Zack cisnął zmiętą serwetkę na swój talerz. Zjadł połowę posiłku przygotowanego przez matkę jak zawsze z wielką pieczołowitością. Poczula złośliwość tego gestu, tak jak poczuła złośliwość starannie wybranego epitetu „zasrany”, wiedziała, że jest wycelowany w jej serce. Z drżąca, nastoletnią godnością Zack gwałtownie odsunął krzesło i wymaszerował z pokoju. Dorośli odprowadzili go zdumionymi spojrzeniami.

Gallagher odszukał bezwładną dłoń Hazel, żeby ją pocieszyć.

– A może ktoś z nim rozmawiał? Ktoś na uniwersytecie.

Hazel siedziała cicho i nieruchomo, zszokowana, jakby ktoś ją spoliczkował.

– To przez tę sonatę tak się stresuje. Niewykluczone, że to zbyt dojrzały utwór jak na niego. Jest jeszcze młody, jeszcze rośnie. Chryste, pamiętam ten nieszczęsny wiek!

Seks, seks i jeszcze raz seks. Szczerze ci powiem, że nie umiałem się skupić na klawiaturze. To nic osobistego, kochanie.

Żeby mi dokuczyć. Żeby mnie porzucić. Bo on mnie nienawidzi. Dlaczego?

Uciekła od syna i od ojczyma. Nie mogła tego znieść, tak ją zdemaskowano. Jakby wszystkie kręgi jej kręgosłupa zostały wystawione na pokaz!

Nie płakała, kiedy Gallagher przyszedł ją pocieszyć. Hazel Jones rzadko płakała, nie znosiła takiej słabości.

Gallagher przemawiał jej do rozumu, był czuły. Leżała bardzo spokojnie w jego ramionach. Chciał ją chronić, uwielbiał swoją Hazel Jones. Chciał ją chronić przed chamskim, nastoletnim synem. Przekonywał ją oczywiście, że Zack wcale tak nie myśli, że Zack ją kocha i nie chce zadawać jej bólu, przecież ona to wie.

– Tak, wiem.

– I ja cię też kocham, Hazel. Oddałbym za ciebie życie.

Mówił tak przez dłuższy czas: w taki właśnie sposób Gallagher kochał kobiety, nie tylko ciałem, ale również słowami. Nie był taki jak inni, którzy raczej nie potrzebowali słów. Między nią a tamtym mężczyzną, ojcem chłopca, istniał kiedyś głębszy związek. Ale teraz to się skończyło, wypaliło. Już nie mogła kochać w taki sam sposób: jej seksualne, intensywnie erotyczne życie dobiegło końca.

Była głęboko wdzięczna temu człowiekowi, który ją cenił, podczas gdy tamten nie. A jednak w tym, że tak ją cenił, dopatrywała się słabości.

Naprawdę nie chciała, żeby ją pocieszano! Niemal wolałaby poczuć, że ugodzono ją w samo serce.

W świecie zwierząt nie ma miejsca dla słabych. Na tym polega religia: jedyna religia, myślała z pogardą.

A jednak kilka razy wróciła potajemnie do parku, gdzie zagadnął ją mężczyzna w brudnym, roboczym ubraniu.

Nazywam się Gus Schwart.

Czy ja pani kogoś przypominam?

Oczywiście więcej go nie zobaczyła. Oczy zachodziły jej łzami niepokoju i oburzenia na myśl, że miała nadzieję znowu go zobaczyć, jego, który pojawił się przed nią jakby znikąd.

Nóz w serce, tym był głos tego człowieka! Wymówił jej imię, imię, którego nie słyszała od niepamiętnych czasów.

Kiedy jeszcze mieszkałem w Milburn, razem z moją siostrą Rebeką. ..

Wyszukała nazwisko Schwart w książce telefonicznej i zadzwoniła do każdej z wymienionych osób, ale bez powodzenia.

W Montrealu i w Toronto, kiedy jeździli tam wcześniej, Hazel także sprawdzała nazwisko Schwart i też wykonała kilka jałowych telefonów, bo miała takie mętne wrażenie, że Herszel jest gdzieś w Kanadzie, przecież mówił, że przekroczy granicę, żeby uciec przed pogonią...

– Jeśli on żyje. Jeśli jacyś Schwartowie jeszcze żyją.

Zaczęła się bać, mimo że przed poprzednimi konkursami w ogóle się nie bała, rozumując: *Jest młody, ma czas*, bo teraz jej syn miał już prawie osiemnaście lat i gwałtownie dojrzywał. Stał się nerwową, spiętą, seksualną istotą. Impulsywną, łatwo ulegającą irytacji. Nerwy sprawiały, że psuła mu się cera, na czole pojawiały się brzydkie skazy. Nie zwierzał się swoim rodzicom, że cierpi na niestrawność, zaparcia. Ale Hazel o tym wiedziała.

Nie mogła tego znieść, że jej utalentowany syn mógłby przegrać. Dla niej to oznaczałoby śmierć, gdyby przegrał, choć przecież zaszedł tak daleko.

– Oddech Boga.

Przydrożny bar w Apalachin! Rozgrzane dziecko, które siedziało na kolanach mamusi, wtulone w jej ramiona, i strasznie chciało grać na popsutej klawiaturze starego, zdezelowanego pianina. Mgła dymu papierosowego, smrodliwa woń piwa, pijackie okrzyki i śmiech obcych.

Jezu, jak on to robi, taki mały dzieciak?

Uśmiechnęła się, byli wtedy tacy szczęśliwi.

Był uroczym, starym pijakiem, który znał Cheta Gallaghera i bardzo chciał poznać jego małą rodzinę.

Przedstawił się jako „Zack Zacharias”. Słyszał, że pasierb Gallaghera to pianista, który też ma na imię Zacharias.

To wszystko działo się w jachtklubie na Grand Island, do którego Gallagher zabrał swoją rodzinę, dla uczczenia wiadomości, że Zack dostał się do grupy trzynastu finalistów konkursu w San Francisco.

Gallagher wyznawał taką oto filozofię: „Świętuj, kiedy możesz, bo druga taka szansa może się już nie pojawić”.

W stronę ich stolika nad brzegiem rzeki przedzierał się właśnie sympatyczny z wyglądu, stary pijak o siwobrudnych włosach przyciętych na jeża, gruzłowatej twarzy i wesołych, acz zaczerwienionych, jakby podrażnionych oczach.

Przyszedł uścisnąć rękę Gallagherowi, poznać panią, ale przede wszystkim po to, by zagadać do młodego Zachariasa.

– Zbieg okoliczności, co? Zawsze mi się wydaje, że zbiegi okoliczności coś oznaczają, mimo że raczej nic nie znaczą. Ale ty jesteś gość, synu: prawdziwy muzyk. Czytałem o tobie w gazecie. Ja, upadły, stary didżej. Dwadzieścia sześć cholernych lat, kiedy WBEN Radio Wonderful nadawało po nocach najlepszy jazz... – Jego głos przycichł do pięknie modulowanego, lekko przedrzeźniającego murzyński akcent głosu radiowego. – Te nędzne dranie wyrzuciły mnie z radia. Nie obraż się, Chet: wiem, że nie ty jesteś winny, ty to nie twój stary. Cholerny Thaddeus. Tak naprawdę, synu, nazywam się Alvin Block Junior. – I tu pochylił się nad stołem, by móc uścisnąć dłoń kulącego się przed nim chłopca. – To już tak nie brzmi, co?

Krzuszył się ze śmiechu i cały trząsł, kiedy ubrany w białą marynarkę starszy kelner podszedł pospiesznie, żeby go wyprowadzić.

(Jachtklub na Grand Island! Gallagher przepraszał, ale jednocześnie się bronił w tej kwestii.

Jako miejscowa sława Chet Gallagher miał honorowe członkostwo klubu. Ten przeklęty klub miał swoją historię – Gallagher nazywał ją nieodmiennie „łacią historią” – dyskryminacji Żydów, Murzynów, „mniejszości etnicznych” i oczywiście kobiet. Był wyłącznie męskim, prywatnym klubem dla białych protestantów, z siedzibą nad rzeką Niagara. Gallagher z pewnością gardził takimi organizacjami jako niedemokratycznymi i antyamerykańskimi, a jednak do tego klubu należeli jego bliscy przyjaciele, a poza tym była to organizacja „zasłużona” dla okolic Buffalo i bardzo stara, bo założona w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, więc czemu nie skorzystać z gościnności, którą im tak łaskawie oferowano, tym bardziej że Chet Gallagher nie musiał opłacać żadnych składek?

– I widok na rzekę jest niesamowity, zwłaszcza o zachodzie słońca. Będziesz zachwycona, Hazel.

Hazel spytała, czy ją wpuszczą do sali restauracyjnej.

– Ależ oczywiście, Hazel! – odparł Gallagher. – Ciebie i Zacka, jako moich gości.

– Mimo że jestem kobietą? Czy inni członkowie nie będą się sprzeciwiali?

– Kobiety są mile widziane w klubie. Żony, krewne, goście członków. Jest tak samo jak w Klubie Sportowym w Buffalo, byłaś tam, to wiesz.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego kobiety są mile widziane, skoro oni ich tam nie chcą? Podobnie jak Żydów i Murzynów? – Hazel wypowiedziała słowo Murzynów ze szczególnym naciskiem.

Gallagher spostrzegł, że ona się teraz z nim droczy i że wyraźnie czuje się skrępowana.

– Posłuchaj, nie jestem członkiem klubu, który opłaca składki. Byłem tu tylko kilka razy. Pomyślałem, że będzie tu miło zjeść kolację w niedzielę, żeby uczcić dobre wieści dla Zacka. – Gallagher urwał, energicznie pocierając nos. – Możemy pojechać gdzie indziej, Hazel. Jeśli chcesz.

Hazel zaśmiała się, Gallagher miał taką zawstydzoną minę.

– Nie, Chet. To nie ja tu jestem od „chcenia” czegoś.)

Czasami jestem taki samotny. O Chryste, taki samotny i pragnę życia, od którego mnie wyratowałaś. Ale i tak gapił się na nią ze zdumieniem i niedowierzaniem.

Nie ty, Hazel! Ty nigdy.

W Buffalo mieszkali na Roscommon Circle 83, w odległości mili od Konserwatorium Muzycznego Delaware, Towarzystwa Historycznego, Galerii Sztuki Albright-Knox. Często ich zapraszano, ich nazwiska znajdowały się na uprzywilejowanych listach. Gallagher gardził burżujskim życiem, ale ono go też bawiło, przyznawał. Hazel Jones z dnia na dzień stała się panią Chetową Gallagher, Hazel Gallagher.

Za młodu była sprawna, na nic się nie skarżącą pokojówką zatrudnioną w „zabytkowym” hotelu, teraz na początku wieku średniego została stróżką częściowo odrestaurowanej wiktoriańskiej kamieniczki z trzema kondygnacjami, pięcioma

sypialniami i spadzistymi dachami krytymi łupkiem. Ściany tego zbudowanego w 1887 roku domu były pokryte długimi gontami, szarymi z obrzeżeniem w kolorze głębokiej purpury. Utrzymanie siedziby jej rodziny stało się sprawą numer jeden w życiu Hazel, czymś w rodzaju fetyszu. Tak jak jej syn miał zostać koncertującym pianistą, tak Hazel zamierzała zostać najbardziej pedantyczną z gospodyń domowych. Gallagher, który wybywał na większą część dnia, zdawał się nie zauważać, że Hazel robi się coraz bardziej skrupulatna w swych obowiązkach, bo jego zachwycąło wszystko, co robiła Hazel, i rzecz jasna był beznadziejny we wszelkich kwestiach postrzeganych jako praktyczne, domowe. Hazel stopniowo przejmowała ich sprawy finansowe, bo było to łatwiejsze niż czekanie, aż Gallagher przejmie odpowiedzialność. Z pieniędzmi był jeszcze bardziej beznadziejny, obojętny wobec pieniędzy, zupełnie jak jakiś syn bogacza.

Hazel, skrzętna jak chomik, chowała rachunki za wszystkie, nawet najdrobniejsze sprawunki i usługi i miała w nich nieskazitelny porządek. Co kwartał posyłała do księgowej Gallaghera w Buffalo przesyłkę poleconą zawierającą kopie rachunków do celów podatkowych. Gallagher gwizdał z podziwem wobec poczynań swojej żony.

– Hazel, jesteś niesamowita. Gdzieś ty się tego nauczyła?

– To rodzinne.

– Jak to?

– Mój ojciec uczył matematyki w liceum.

Gallagher spojrzał na nią pytająco.

– Twój ojciec uczył matematyki w liceum?

Hazel zaśmiała się.

– Nie. Tylko żartowałam.

– To ty wiesz, kim był twój ojciec, Hazel? Zawsze twierdziłaś, że nie wiesz.

– Bo nie wiem. – Hazel przetarła oczy, wyraźnie nie mogła przestać się śmiać. Bo miała przed sobą Gallaghera, człowieka dobrze po pięćdziesiątce, który wpatrywał się w nią z powagą, człowieka tak opętanego miłością, że uwierzyłby we wszystko, co mu powie jego ukochana. Hazel czuła, że mogłaby wsunąć rękę do klatki piersiowej Gallaghera i dotknąć jego bijącego serca. – Tylko się z tobą przekomarzam, Chet.

Na czubkach palców, żeby go pocałować. Och, Gallagher był wysoki nawet wtedy, gdy się garbił. Zauważyła, że szkła jego nowych okularów są zasmarowane, więc zdjęła je z jego twarzy i zręcznie wypolerowała swoją spódnicą.

Pani Chesterowa Gallagher.

Za każdym razem, kiedy się podpisywała nowym nazwiskiem, miała wrażenie, że jej charakter pisma zmienił się subtelnie.

Sporo podróżowali. Spotykali się z wieloma osobami, często związanymi z muzyką albo z mediami. Hazel była przedstawiana tym przyjaznym obcym ludziom jako „Hazel Gallagher”, co miało dla niej lekko komiczne, lekko niedorzeczne brzmienie.

A jednak nikt się nie śmiał! W każdym razie nie w zasięgu jej słuchu.

Gallagher, najbardziej sentymentalny z ludzi i najbardziej gardzący ludźmi, wolałby bardziej formalne wesele, ale dostrzegał logikę w krótkiej, cywilnej ceremonii w jednej z mniejszych sal Sądu Hrabstwa Erie.

– Tłum fotografów to ostatnia rzecz, jakiej chcemy, prawda? Bo gdyby mój ojciec się dowiedział...

Dziesięciminutowa ceremonia została przeprowadzona przez sędziego pokoju w deszczowy, sobotni poranek w listopadzie 1972 roku: w dokładnie dziesiątą rocznicę spotkania Gallaghera i Hazel w Piano Bar w Malin Head Inn. Zack, nastoletni syn panny młodej, ubrany w garnitur i krawat, był jedynym świadkiem. Wydawał się jednocześnie zawstydzony i zadowolony.

Gallagher chciał wierzyć, że to on namówił Hazel Jones, żeby nareszcie za niego wyszła. Żartował, że Hazel zrobiła z niego uczciwego człowieka.

Dziesięć lat!

– Któregoś dnia, kochanie, będziesz musiała mi powiedzieć dlaczego.

– Dlaczego co?

– Dlaczego nie chciałaś za mnie wyjść przez dziesięć długich lat.

– To było dziesięć bardzo krótkich lat.

– Dla mnie długich! Każdego ranka bałem się, że zniknęłaś. Że dałaś nogę. Że zabrałaś Zacka i zostawiłaś mnie z pękniętym sercem.

Hazel wysłuchiwała tego ze zdumieniem. Gallagher oczywiście tylko żartował.

– A może ja nie chciałam za ciebie wyjść, bo nie wierzyłam, że sobie zasłużyłam, by być twoją żoną. Może tak to było.

Ten jej cichy, enigmatyczny śmiech Hazel Jones. Wypracowała go do perfekcji, niczym jedną z tych kadencji, które Zack wygrywał bez żadnego wysiłku.

– Nie zasłużyłaś, żeby być moją żoną?! Co ty wygadujesz, Hazel!

Gallagher załatwił nie tylko ślub z Hazel w Sądzie Hrabstwa Erie, ale także adopcję Zacka. Ależ był dumny! To było ukoronowanie jego dorosłego życia.

Adopcję przeprowadzono pośpiesznie. Najpierw spotkanie z prawnikiem Gallaghera, potem umówiona wizyta w sądzie. Sporządzono i podpisano konieczne dokumenty, a potem ich kopie złożono w Archiwum Hrabstwa Erie, razem z kopią zmiętego i zaplamionego od wody duplikatu metryki urodzenia Zacka, wydanej przez hrabstwo Chemung.

Zgodnie z prawem Zack nazywał się teraz Zack Gallagher. Postanowił jednak, że jego nazwiskiem związanym z karierą pianisty będzie nadal „Zacharias Jones”. Zack żartował, że jako piętnastolatek jest najstarszym dzieckiem w całej historii hrabstwa Erie, które adoptowano. A jednak podczas podpisywania dokumentów odwrócił się nagle od Gallaghera i Hazel, nie chcąc, by widzieli jego twarz.

– Hej, dzieciaku. Jezus...

Gallagher uściskał Zacka z całej siły, pocałował. Gallagher, najbardziej sentymentalny z mężczyzn, nie miał nic przeciwko, że ktoś widzi, jak on płacze.

Matka i syn, niczym wspólnicy zbrodni. Kiedy byli sami, wybuchali śmiechem, dzikim, histerycznym, nieokiełznanym śmiechem, który zszokowałby Gallaghera.

Ale śmieszne! Cokolwiek to było, co ich aż tak rozśmieszyło.

Zack był zafascynowany swoją metryką urodzenia. Jakoś nie przypominał sobie, by ją wcześniej widział. Małe, ciasne zawiniątko, które Hazel Jones ukrywała pośród innych swoich sekretnych skarbów jeszcze od czasów na Poor Farm Road.

Zack spytał, czy ta metryka jest legalna, na co Hazel odpowiedziała mu ostro, że tak!, oczywiście.

– Ja nazywam się Zacharias August Jones, a mój ojciec nazywa się William Jones? Kim, do diabła, jest William Jones?

– Był.

– Co był?

– „Był” to nie to samo co „jest”. Pan Jones już nie żyje.

Sekrety! W ciasnym, małym zawiniątku ukrytym w jej klatce piersiowej, tam, gdzie kiedyś było serce. Tyle tych sekretów, czasami nie była w stanie zaczerpnąć oddechu.

Thaddeus Gallagher, na przykład. Jego podarunki i namiętne listy miłosne do „Najdroższej Hazel Jones”.

Jesienią 1970 roku, krótko po tym, jak Hazel dostała pierwszy z nich, ktoś, kto wolał pozostać „anonimowym darczyńcą”, ofiarował znaczną sumę pieniędzy na Konserwatorium Muzyczne Delaware, z przeznaczeniem na stypendium i koszty podróży młodego pianisty Zacharias Jonesa. Młodzi pianiści, którzy brali udział w licznych międzynarodowych konkursach, w nadziei, że zdobędą nagrody, sławę, zaproszenia na koncerty i umowy na nagrania, musieli się liczyć z dużymi wydatkami i taki datek od anonimowego darczyńcy pozwalałby Zachariasowi podróżować, gdzie tylko zechce. Gallagher, który zamierzał kierować karierą Zacka, doskonale wiedział, jakie to otwiera możliwości.

– Andre Watts miał siedemnaście lat, kiedy wystąpił w telewizji publicznej, wykonując *Koncert Es-dur* z towarzyszeniem orkiestry pod batutą Leonarda Bernsteina. Prawdziwa sensacja.

I oczywiście był także legendarny Konkurs Czajkowskiego w 1958 roku, w którym pierwsze miejsce zajął dwudziestoczteroletni Van Cliburn; wrócił wtedy ze Związku Radzieckiego jako międzynarodowa sława. Gallagher to wiedział! Ale jednocześnie był potwornie podejrzliwy w związku z tym anonimowym darczyńcą. Kiedy władze administracyjne konserwatorium nie zgodziły się zdradzić mu tożsamości tego kogoś, Gallagher nabrał podejrzeń i poczuł się urażony.

– A jeśli to on? – skarżył się Hazel. – A niech go szlag!

– Jaki on? – spytała naiwnie Hazel.

– Mój przeklęty ojciec, a kto inny! „Anonimowy darczyńca” ofiarował konserwatorium trzysta tysięcy dolarów, to musi być on. Pewnie słyszał, że Zack gra w Vermoncie.

Gallagher wydawał się rozwścieczony, a jednocześnie bezradny, jak człowiek, któremu podcięto nogi. Jego głos nagle nabrał błagalnego, miękkiego tonu.

– Hazel, nie mogę tego tolerować, że Thaddeus wtrąca się do mojego życia jeszcze bardziej niż dotąd.

Hazel wysłuchiwała tego ze współczuciem. Nie zwróciła uwagi Gallagherowi: *To nie twoje życie, tylko Zacka.*

Zaborczy instynkt macierzyński. To on jej wskazywał, że skóra jej syna mieni się seksualnym żarem. Że jego oczy, które z poczuciem winy unikały jej wzroku, są rozgorzałe, pożądliwe.

Nie mógł znaleźć sobie miejsca! Zbyt wiele godzin przy fortepianie. Pochwycony w pułapkę nut migoczących na pięciolinii.

Często wychodził z domu i wracał późno. O północy i później. Któregoś dnia wrócił o czwartej nad ranem. (Hazel leżała, nie śpiąc, czekała. Bardzo nieruchomo, bo nie chciała obudzić Gallaghera.) Pewnej wrześnieowej nocy, na zaledwie trzy tygodnie przed konkursem w San Francisco, wrócił o świcie, zataczając się, rozmamłany, butny, śmierdzący piwem.

– Zack! Dzień dobry.

Hazel nie zbeształa chłopaka. Przemawiała lekkim tonem, bez przygany. Wiedziała, że gdyby go tylko dotknęła, cofnąłby się przed nią z odrazą. Owładnięty nagłą furią mógłby ją spoliczkować, pobić pięściami, tak jak to robił, kiedy był mały. *Nienawidzę cię, mammo! Cholera nienawidzę cię nienawidzę cię nienawidzę cię.* Nie mogła patrzeć zbyt wyglodniałym wzrokiem na jego młodą, nieogoloną twarz. Nie mogła oskarżać go o to, że chce zniszczyć życie ich obojga, podobnie jak nie mogła prosić, błagać i płakać, bo tak Hazel Jones nie postępowała, dlatego z uśmiechem otworzyła przed nim tylne drzwi i pozwoliła mu przepchnąć się brutalnie obok siebie, pod wciąż jeszcze palącym się światłem; sapnął przy tym ciężko przez usta, jakby biegł, i wtedy zobaczyła jego oczy, dla niej takie piękne, a teraz nabiegłe krwią, na poły skryte pod ciężkimi powiekami, zmętniałe, i poczuła smród potu, zapach seksu przemieszany z kwaskowatą wonią piwa, a jednak dała mu do zrozumienia: *Kocham cię i moja miłość jest silniejsza od twojej nienawiści.*

Przespał większą część dnia, Hazel go nie budziła. Późnym popołudniem zasiadł do fortepianu odświeżony i ćwiczył aż do nocy. A Gallagher, który słuchał w korytarzu, kręcił głową z podziwem.

Wiedziała!

(Chcąc nie chcąc, zastanawiał się, co miała na myśli, kiedy powiedziała swoim figlarnym, zadziomym tonem: „Pan Jones już nie żyje”. Chciała powiedzieć, że jego ojciec umarł? Jego ojciec z dawnych czasów, który krzyczał mu w twarz, potrząsał nim jak szmacianą lalką, który pobił go i cisnął nim o ścianę, ale również tulił go i okrywał pocałunkami, pozostawiając ze swoją śliną posmak tytoniu. *Hej: kocham cię!* Chcąc nie chcąc, zastanawiał się nad tym, kiedy jego palce, gwałtownie i energicznie, wędrowały ku najwyższym rejestrom, by wykonać ekstatyczne akordy finału sonaty Beethovena.) Bardzo dziwne: Chet Gallagher tracił zainteresowanie własną karierą. Czy raczej już stracił zainteresowanie własną karierą. Naprawdę dziwne i jakby ironiczne, że po nagłym i haniebnym zakończeniu wojny wietnamskiej, najdłuższej i najbardziej wstydlivej wojny w historii amerykańskiej, niemalże z dnia na dzień znudził się życiem publicznym, polityką. Mimo że jego kariera jako Cheta Gallaghery sięgała zenitu. (Własna rubryka w gazecie, artykuły na trzysta pięćdziesiąt słów, które Gallagher chwalił się, że mógłby wystukać na maszynie podczas snu, i to lewą ręką, były drukowane w gazetach w całym kraju i podziwiane w całym kraju. Telewizyjny talk-show, który mu dano w 1973 roku, zyskiwał coraz większą oglądalność. Zbiór jego esejów zgromadzonych pod dowcipnym tytułem: *Parę [moich] słów do słuchu*, wydany w 1973 roku, niespodziewanie trafił na listę bestsellerów.)

Tracił zainteresowanie Chetem Gallagherem wprost proporcjonalnie do obsesji na punkcie Zachariasza Jonesa. Bo tu chodziło o utalentowanego, młodego pianistę, prawdziwie utalentowanego, młodego pianistę, którego Gallagher osobiście odkrył w Malin Head Bay pewnej pamiętnej, zimowej nocy...

– Tak się składa, że to mój adoptowany syn. Mój syn.

Gallagher musiał przyznać, że był to fenomen, którego odmówiono jego ojcu. Bo sam zawiódł swego ojca. Zawiódł jako wykonawca muzyki klasycznej. Może chciał zrobić na złość ojcu, że zawiódł, ale w każdym razie zawiódł i wszystko się skończyło. Obecnie grał jazz już tylko sporadycznie, na lokalnych imprezach i koncertach charytatywnych, a czasami w telewizji, ale to już nie był poważny jazz, Gallagher stał się białym burzumem, cholernie nudnym mężem w średnim wieku, ojcem i szczęśliwym człowiekiem. Szczęśliwemu człowiekowi brakuje nerwu. W szczęśliwym człowieku nie ma nic jazzowego. Tak bardzo był oddany swojej małej rodzinie, że nawet rzucił palenie.

Jakie dziwne jest życie! Zamierzał pokierować karierą chłopca, bo czuł na sobie brzemień odpowiedzialności.

Oczywiście nie przymuszał, nie ponaglał Zacka do niczego. Od samego początku ostrzegał jego matkę.

– Będziemy robili to powolutku. Krok po kroku. Trzeba kierować się realizmem. Nawet Andre Watts, po swoim początkowym, fantastycznym sukcesie, wypalił się. Podobnie Van Cliburn. Na jakiś czas.

Gallagher nie liczył na poważnie, że Zack zdobędzie główną nagrodę w konkursie w San Francisco: dla kogoś tak młodego i stosunkowo mało doświadczonego to już był wielki zaszczyt, że się zakwalifikował. Sędziowie wywodzili się z najrozmaitszych narodowości i mogli patrzeć nieprzychylnie na młodego białego Amerykanina. (A może wcale nie? W końcu Zack wykonywał *Appassionatę*.) Zack miał rywalizować z laureatami nagród z Rosji, Chin, Japonii i Niemiec, którzy szkolili się pod okiem bardziej wybitnych pianistów niż jego nauczyciel z Konserwatorium Delaware. Przy całym swym realizmie Gallagher snuł potajemne plany: Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny w Tokio, w maju 1975 roku.

Nazywała się Frieda Bruegger.

Była studentką konserwatorium, grała na wiolonczeli. Piękna dziewczyna o wyrazistych rysach, migdałowych oczach, burzy gęstych, ciemnych włosów i młodym, żywym, bardzo zgrabnym ciele. Jej głos miał barwę przenikliwego sopranu:

– Pani Gallagher! Dzień dobry.

Hazel uśmiechała się i w pełni nad sobą panowała, ale patrzyła dość pustym wzrokiem na dziewczynę, którą Zack przyprowadził do domu i przedstawił jej jako swoją koleżankę: mieli razem przygotować sonatę na najbliższy recital w konserwatorium. Hazel podziwiała piękną, połyskliwą wiolonczelę w rękach dziewczyny, chciała zadawać pytania na temat instrumentu, ale coś tu było nie tak, dlaczego ci młodzi ludzie patrzyli na nią tak dziwnie? Dotarło do niej, że nie odpowiedziała. Poruszyła odrętwiałymi wargami.

– Dzień dobry, Friedo.

Frieda! To imię wywołało tak dziwny rezonans w jej wnętrzu, że poczuła się bliska omdlenia.

Zorientowała się, że już kiedyś widziała tę dziewczynę, na terenie konserwatorium. Raz nawet widziała tę dziewczynę obok Zacka, choć wtedy nie byli sami. Po jakimś recitalu, w grupie młodych muzyków.

To ona. To ona. On z nią sypia. Tak?

Zack przyprowadził dziewczynę bez żadnego ostrzeżenia, Hazel nie była na to przygotowana. Spodziewała się, że będzie tajemniczy, ostrożny. Tymczasem ta dziewczyna stała teraz przed Hazel i nazywała ją „panią Gallagher”. Była bardzo młodą kobietą, dwudziestoletnią. Tymczasem stojący obok niej Zack był jeszcze chłopcem, mimo że wyższym od niej o kilka cali. I miał takie niezdarne, niepewne ruchy, przy ludziach zawsze brakowało mu tej płomiennej zwinności i gracji, jakie demonstrował przy pianinie. Teraz nerwowo tarł nos i nie chciał spojrzeć na Hazel, był spłoszony, zacząpny. Gallagher powiedział kiedyś Hazel, że posiadanie dziewczyny, czy wręcz kilku dziewczyn, to normalna rzecz dla chłopaka w jego wieku, że obecne nastolatki są aktywne seksualnie, podczas gdy pokolenie Hazel takie nie było, dlatego nie ma w tym wszystkim nic złego, pod warunkiem że się zabezpieczają i że on pogada z Zackiem (Hazel nawet nie umiała sobie wyobrazić, jak mu z tym pójdzie), żeby nie było się o co bać.

Tak więc Zack przyprowadził do domu tę piękną dziewczynę o migdałowych oczach, dość gęstych, niewyrównanych brwiach i zdumiewająco gęstych włosach, która nazywała się Frieda Bruegger.

Poinformował Hazel, że na recitalu w konserwatorium, w połowie grudnia, będą wykonywali razem sonatę Faurégo na fortepian i wiolonczelę. Hazel dowiedziała się o tym po raz pierwszy i nie miała pojęcia, jak zareagować. (A co z *Appassionatą*? Co z San Francisco za osiem dni?) Ale nikt tu nie pytał Hazel o zdanie. Klamka zapadła.

– To będzie mój pierwszy recital w tej serii, pani Gallagher. Strasznie się denerwuję!

Chciała, by Hazel dzieliła z nią to podniecenie, dramat jej młodego życia. Hazel wzdragała się przed nią, stawiała opór.

A jednak pozostała w pokoju muzycznym dłużej, niż się spodziewała. Zajmowała się drobnymi, domowymi sprawami: układała poduszki na parapecie okna, rozsuwała żaluzje. Młodzi ludzie dyskutowali z żarem na temat sonaty, przyglądając się nutom. Hazel spostrzegła, że dziewczyna stoi dość blisko Zacka. Często się uśmiechała, ukazując duże i idealnie białe zęby, z małą czarującą przerwą między górnymi jedynekami. Skórę miała cudownie gładką, z lekką opalenizną. Górną wargę porastał blade meszek. Była taka ożywiona! Zack trzymał się od niej na ledwie dostrzegalny dystans i wyraźnie znakomicie się bawił w jej towarzystwie. Już nieraz tak bywało, że sprowadzał do domu innych młodych muzyków z konserwatorium, którzy mieli razem z nim ćwiczyć, był cenionym akompaniatorem w konserwatorium. Być może chodził z tą dziewczyną do jednej grupy, może była tylko jego koleżanką. Tyle że mniej doświadczoną muzycznie od Zacka i dlatego polegała na jego osądach, instrukcjach. Gładziła piękną wiolonczelę, jakby to była jej podobizna: podobizna jej pięknego, kobiecego ciała.

Hazel zdążyła zapomnieć, jak ona ma na imię. Czuła w sobie dziwne rozdygotanie, jakby pod wpływem paniki, to wszystko dzieje się zbyt prędko.

Jak na studentkę konserwatorium dziewczyna była ubrana prowokująco: kanarkowy sweterek, który ciasno opinał biust i równie opięte dżinsy z metalowymi ćwiekami. Miała nawyk nerwowego oblizywania warg, oddychania przez usta. Mimo to nie wydawała się nerwowa, raczej miała skłonności do dramatyzowania na własny temat, do afiszowania

się. Była bogata, prawda? Coś w jej zachowaniu sugerowało pochodzenie z bogatego domu. Zawsze ją zapewniano, że jest ukochanym dzieckiem. Że jest przedmiotem podziwu. Na prawym nadgarstku nosiła z wyglądu drogi zegarek. Jej dłonie wcale nie wyglądały niezwykle jak na dłonie wiolonczelistki, były dość drobne, kanciaste. Nie takie smukłe jak dłonie Zacka. Paznokcie miała zwyczajne, opiłowane na krótko. Hazel zerknęła na swoje nienagannie polakierowane paznokcie, których kolor pasował do koralowej szminki... A jednak ta dziewczyna była taka młoda, taka pełna życia! Zafascynowana Hazel nie mogła się na nią napatrzeć.

Usłyszała samą siebie, jak pyta, czy chcieliby się czegoś napić. Może coli albo kawy...

Odmówili uprzejmie.

Hazel naszła straszna myśl: *Czekają, aż wyjdę i zostawię ich samych.*

A jednak usłyszała samą siebie:

– Ta sonata, jaka ona jest? To coś znanego? Słyszałam ją?

Odpowiedziała jej Frieda, bystro i entuzjastycznie jak uczennica:

– To piękna sonata, pani Gallagher. Ale pewnie jej pani nie słyszała, sonaty Faurégo nie są zbyt znane. Był stary i chory, kiedy ją pisał, w 1921 roku, to jedna z jego ostatnich kompozycji, ale nigdy by pani się nie domyśliła! Fauré był prawdziwym poetą, doskonałym muzykiem. W tej sonacie kryje się niespodzianka, zmiany nastrojów, tak zwany temat pogrzebowy staje czymś, czego nikt się nie spodziewa, jest niemalże eteryczny, radosny. To jest tak, jakby pani była starym i chorym człowiekiem, który niebawem ma umrzeć, mimo to potrafiła się uwolnić od swojego ciała, które zawiodło...

Dziewczyna mówiła to wszystko z takim żarem, że Hazel poczuła niepokój.

Dlaczego ona mi to mówi, uważa, że jestem stara? Chora?

Tak jak miała kiedyś zwyczaj stawiać kwiaty na fortepianie Steinwaya w oknie wystawowym sklepu braci Zimmerman, tak teraz miała zwyczaj stawiać kwiaty na fortepianie w pokoju muzycznym. Zack oczywiście tego nie zauważał. W domu Gallaghera Zack zdawał się zauważać bardzo niewiele, muzyka absorbowała go w całości. Ale jego koleżanka zauważyła kwiaty. Zauważyła wypastowaną podłogę, dywaniki, kolorowe poduszki ułożone na parapecie, wysokie okna, z których rozciągał się widok na zielony trawnik na tyłach domu, gdzie przy wilgotnej pogodzie (akurat padała rzadka, mgielna mżawka) powietrze jarzyło się, jakby to było dno morza. Kiedy Zack prowadził ją przez parter, z pewnością zauważyła, jak pięknie jest umeblowany dom Gallagherów. Odejdzie stąd, dziwując się: *Matka Zacka jest taka...*

Hazel stała osamotniona, niepewna. Wiedziała, że powinna pozostawić młodych muzyków, by mogli ćwiczyć, ale kolejny raz usłyszała własny głos, zadający pytanie, czy potrzebują czegoś z kuchni, a oni po raz kolejny uprzejmie powiedzieli, że nie.

Kiedy wychodziła, Frieda zawołała za nią:

– Dziękujemy, pani Gallagher! Miło było panią spotkać.

Ale spotkasz się ze mną jeszcze raz, prawda? Spotkasz.

A jednak Hazel ociągała się pod drzwiami pokoju muzycznego, czekając, aż tamci zaczną ćwiczyć. Wiolonczelistka nastroiła instrument, Zack zasiadł do fortepianu. Hazel poczuła ukłucie zazdrości, kiedy usłyszała, że zabrali się do grania. Dźwięki wiolonczeli brzmiały tak barwnie, żywo, to był ulubiony instrument Hazel zaraz po fortepianie. Wołała wiolonczelę od skrzypiec. Po kilku taktach muzyka umilkła. Wrócili do początku, Zack grał, dziewczyna słuchała. Zack coś powiedział. Kolejny raz zaczęli grać sonatę i

kolejny raz przestali. I znowu zaczęli... Hazel słuchała zafascynowana. Bo tu było piękno, które potrafiła zrozumieć: nie te burzliwe kaskady nut wygrywanych na fortepianie, które odbierały dech słuchającemu, nie silnie wybijane repetycje, nie samotność wspaniałej sonaty Beethovena, tylko bardziej subtelne, delikatnie splecione dźwięki dwóch instrumentów. Dominowała wiolonczela, fortepian był dość przytłumiony. Albo tak postanowił to zagrać Zack. Splecione z sobą, wiolonczela i fortepian. Hazel słuchała przez jakiś czas, poruszona do głębi.

Odeszła. Miała pracę do wykonania. Gdzie indziej w domu, własną pracę. Ale nie mogła się skupić z dala od pokoju muzycznego. Wróciła, kręciła się po korytarzu. Za drzwiami młodzi muzycy rozmawiali z sobą. Prędko, silny śmiech dziewczyny. Niski głos chłopca. Czy skończyli już ćwiczyć? Dochodziła osiemnasta. A kiedy będą znów ćwiczyć? Młode głosy dobiegające zza drzwi były ożywione, melodyjne. Głos Zacka splatał się tak ciepło z głosem dziewczyny, traktowali się wzajem tak swobodnie, wyraźnie nawykli do wspólnych rozmów, śmiania się z czegoś. Bardzo dziwne: Zack był teraz taki czujny przy Hazel, powściągliwy i niechętny. Traciła go. Straciła go. Wciąż doskonale pamiętała ten czas, kiedy Zackowi zmieniał się głos, który tak długo był ciekim, piskliwym głosem dziecka. Ten głos do teraz potrafił czasem zawieść, łamać się. Zack jeszcze nie był mężczyzną, choć nie był już chłopcem. Ale oczywiście siedemnastolatek jest już dojrzały seksualnie. Dziewczyna pokroju Friedy, taka zmysłowa, o takich bujnych kształtach, z pewnością dojrzewała seksualnie w znacznie młodszym wieku. Hazel nie widziała syna nago od bardzo dawna i wcale nie chciała go tak oglądać, ale czasami widywała przelotnie szorstkie, ciemne włosy wyrastające mu pod pachami, widywała włosy porastające jego przedramiona i nogi. Dziewczyna była dla niej mniej obca niż Zack: znała ciało tej dziewczyny tak jak własne, utracone ciało, które też kiedyś należało do dziewczyny.

Frieda, bodajże w odpowiedzi na jakieś pytanie Zacka, mówiła teraz o swojej rodzinie. Jej ojciec był specjalistą od chirurgii oka z Buffalo, urodził się w tym mieście. Matka urodziła się w małej, niemieckiej wiosce blisko granicy z Czechosłowacją. Jako dziewczynę przetransportowano ją do Dachau, razem z rodzicami, krewnymi i sąsiadami, ale później przeniesiono ją do obozu pracy na terenie Czechosłowacji, skąd udało jej się uciec razem z trzema innymi Żydówkami; po wyzwoleniu była „bezpieństwowcem” i wyemigrowała do Palestyny, a w 1953 roku wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, w wieku dwudziestu pięciu lat. Naziści wymordowali całą jej rodzinę: nie został nikt żywy. Ale wierzyła: musi istnieć jakiś powód, dla którego ona ocalała. Naprawdę w to wierzy.

Frieda zaśmiała się, chcąc pokazać, że jej zdaniem wiara matki jest naiwna, sama wolała się od niej odciąć.

– Ale musi istnieć taki powód, Frieda – powiedział Zack. – Powód, dzięki któremu ty będziesz mogła zagrać drugą sonatę Faurégo, a ja będę mógł ci akompaniować.

Hazel oddaliła się od pokoju muzycznego, jakby ktoś unicestwił, zniszczył jej duszę.

Taka samotna!

Nie mogła płakać, w płaczu było coś tak jałowego. Kiedy nikt nie patrzył, łzy szły na zmarnowanie.

Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Pościeliłaś sobie łóżko. To teraz w nim leż!

Zgrzytliwe, chamskie głosy jej dzieciństwa. Stare głosy mądrości.

Ukryła się niczym ranne zwierzę na drugim piętrze domu, na skromnie umeblowanym poddaszu, które służyło za jej prywatną przestrzeń. Z tej odległości nie słyszała, czy młodzi podjęli swoje ćwiczenia. Nie słyszała, kiedy dziewczyna wyszła. Nie słyszała, czy Zack wyszedł razem z nią. Nie słyszała, czy zawołał coś do niej, kiedy wychodził z domu. Nie słyszała, czy dziewczyna zawołała do niej swym ciepłym, dźwięcznym głosem: *Do widzenia, pani Gallagher!*

Tylko to sobie wmawiałaś. Nigdy od niego nie uciekłaś. Papa był zbyt sprytny i zbyt szybki. Papa był cholernie silny. Wycelował dubeltówkę w mizerną dziewczęcą pierś i pociągnął za spust. Ot i wszystko. A potem odwrócił się od tego co leżało zakrwawione i skłębione na podłodze sypialni niczym kawał mięsa z rzeźni triumfując że jego wrogowie nie podporządkują go sobie nie upokorzą go i przeładował dubeltówkę równie zdumiewający nabytek w ramach jego amerykańskiego doświadczenia jak radio marki Motorola niezdarnie zwrócił lufę w swoją stronę strzelił i potem po tej strasznej eksplozji nastąpiła cisza bo już nie było żadnych świadków.

Śmiać się ze śmierci. Dlaczego nie, a jednak nie umiał przymusić się do śmiechu.

Ziemia była przesiąknięta krwią. Wiedział o tym, zanim poznał Friedę Bruegger. Wiedział o nazistowskich obozach śmierci, o Ostatecznym Rozwiązaniu. Zdawał się już wtedy wiedzieć o tym wszystkim, o czym miał się dopiero uczyć całymi latami. Po tej stronie śmierci nie można było „śmiać się ze śmierci”.

Spośród wszystkich wyczynów ludzkości, jaka nieważka, jaka efemeryczna i trywialna wydawała się muzyka! Wygasła w ciszy nawet wtedy, kiedy ją wykonywano. I trzeba było tak strasznie się napracować, żeby ją wykonać, przy czym ostatecznie i tak raczej ci się to nie udawało.

Czuł odrazę wobec własnej próżności. Wobec swoich idiotycznych ambicji. Będzie się obnażał na jasno oświetlonej scenie. Będzie grał niczym tresowana mała. Przed jury złożonym z międzynarodowych sędziów. Sprofanuje muzykę, wystawiając na pokaz własną próżność. Jakby pianiści byli końmi wyścigowymi, które wystawia się przeciwko sobie, żeby inni mogli je obstawiać w zakładach. Nagrodą miała oczywiście być gotówka.

Sześć dni przed planowanym lotem do San Francisco poinformował dorosłych, którzy otaczali Zachariasa Jonesa: nie poleci.

Ależ zamieszanie! Telefon dzwonił cały dzień, odbierał Gallagher.

Młody pianista nie chciał słuchać swojego nauczyciela gry na fortepianie. Nie chciał słuchać innych muzyków z konserwatorium. Nie chciał słuchać nawet swojego ojczyma, którego uwielbiał, a który prosił go, błagał, ugłaskiwał, próbował się targować:

– To może być twój ostatni konkurs, Zack. Skoro tak bardzo chcesz.

Jednak matka młodego pianisty nie błagała. Wiedziała, że powinna trzymać się na dystans. Być może była zbyt zmartwiona, unikała rozmów z kimkolwiek. Och, ten chłopiec wiedział, jak zranić matkę! Gdyby Hazel próbowała go przebłagać tak jak Gallagher, roześmiałyby jej się w twarz.

Wal się. Sama sobie graj. Jeśli myślisz, że jestem twoją zasraną, tresowaną małą, to się mylisz.

Minęły tak trzy dni. Zack się ukrywał, zaczynał się już wstydzić. Powoli do niego docierało, że jego decyzja to było zwykłe tchórzostwo. Moralne obrzydzenie przepełniające duszę powoli okazywało się zwykłymi nerwami, tremą. Pałała mu twarz. Wnętrznosci pluły parzącą kaskadą płynnego gówna. Nie mógł znieść swego wyczerpanego odbicia w lustrze. Nie mógł nawet rozmawiać z Friedą, która z początku mu współczuła, ale teraz już jakby się wahała. Wcale nie chciał ściągać na siebie takiej uwagi. Chciał odwrócić od siebie uwagę. Czytał hebrajską Biblię: *Wszystko to marność*. Czytał Schopenhauera: *Śmierć jest snem, w którym zapomnieniu ulega indywidualność*. Chciał się odsunąć nie tylko od potencjalnej sławy i sukcesu, ale także od potencjalnej, publicznej porażki. Teraz powoli zastanawiał się na nowo nad swoją decyzją. Cisnął coś bardzo cennego w błoto, teraz musi to podnieść i umyć. Może jednak lepiej byłoby się zabić...

I jeszcze mógł uciec, zniknąć gdzieś w Kanadzie.

Konserwatorium jeszcze nie poinformowało organizatorów konkursu, że Zacharias Jones postanowił się wycofać. A teraz rozważał decyzję na nowo. I jeszcze Gallagher przemawiał mu do rozsądku, twierdząc, że nikt nie oczekuje, że on wygra, zaszczytem jest już sama kwalifikacja.

– Posłuchaj, grasz tę sonatę Beethovena od miesięcy, więc ją zagraj. Jaka to w końcu różnica? Nie ma żadnej różnicy. Tylko taka, że Beethoven komponował muzykę, by jej słuchano, racja? Nie godził się na przedwczesne opublikowanie *Appassionaty*, bo nie wierzył, że świat jest na nią gotowy, ale my jesteśmy na nią gotowi, chłopie. Więc zagraj ją sercem. I na litość boską, przestać się tak mazać.

Wzięty z zaskoczenia Zack zaczął się śmiać. Tato jak zawsze miał rację.

W San Francisco ulice lśniły od wilgoci. Ulice tak strome, jakby je dotknął jakiś starożytny kataklizm. Powietrze, nawiewane przez wiatr od strony zamglonego oceanu, szczypało w oczy swą przejrzystością.

Ta mgła! Za oknami ich apartamentu na dwudziestym piętrze w San Francisco Pacific Hotel świat skarłał do rozmiarów kilku stóp.

Świat skarłał do rozmiarów połyskliwej klawiatury fortepianu.

– Oddech Boga.

Tak było. Nie mogło istnieć inne wyjaśnienie. Że w wieku siedemnastu lat został Zachariasem Jonesem, młodym pianistą, którego fotografię umieszczono w lśniącym programie Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego w San Francisco na rok 1974. I że ona została Hazel Gallagher.

W hotelowym apartamencie czekał na nich tuzin czerwonych róż. A także opakowany w celofan wiklinowy kosz pełen delikatesów, butelek z białym i czerwonym winem. Śmialiby się jak wariaci, jak para konspiratorów, gdyby nie to, że w minionych miesiącach zaczęli wystrzegać się siebie. Syn wycelował w serce matki i zadał głęboki, ogłuszający cios.

Gallagher stał się nieświadomym mediatorem. Nie uzmysławiał sobie napięcia istniejącego między matką i synem. Trącał Hazel, kiedy oboje słyszeli Zacka pogwizdującego w sąsiednim pokoju.

– Słuchaj! To dobry znak!

Hazel nie wiedziała, czy to dobry znak. Ona też stała się dziwnie szczęśliwa w San Francisco, w tej mgle. To było miasto prawie pionowych ulic połyskujących wilgocią i zgiełkliwych tramwajów. To było miasto całkowicie nowe dla niej i Zacka. Miało w sobie coś pośmiertnego, tętniło od niego spokojem. Oddech Boga ich tam przywiał, równie kapryśny jak wszędzie.

Na dole, w hotelowym sklepie z upominkami kupiła talię kart.

Samotna w pokoju zdarła celofan, gwałtownymi ruchami przetasowała karty i ułożyła je na stoliku ze szklanym blatem, na wprost okna, zabierając się do pasjansa.

Taka szczęśliwa, że jest sama! Gallagher bardzo chciał, żeby poszła z nim i Zackiem na lunch wydany na cześć pianistów. Ale Hazel została w pokoju. W samolocie widziała dwie nastoletnie siostry, które układały podwójnego pasjansa.

Taka szczęśliwa. Że już się nie nazywa Hazel Jones.

– Hazel? Po diabła ubrałaś się na czarno?

To była nowa sukienka z dżerseju miękko oblepiającego ciało, spływająca od stanika wdzięcznymi fałdami. Długie rękawy, przedłużony stan. Spódnica do połowy

łydki. Do tego czarne, satynowe pantofle. Październikowa noc była chłodna, postanowiła się otulić eleganckim czarnym szalem z wełny.

– A nie powinnam? Myślałam...

– Nie, Hazel. To fantastyczna suknia, ale zbyt pogrzebowa jak na tę okazję. Dobrze wiesz, jak Zack interpretuje różne rzeczy. Zwłaszcza jeśli są związane z tobą. Trochę więcej koloru, Hazel. Proszę!

Gallagher wydawał się taki poważny, że Hazel w końcu się poddała. Postanowiła włożyć kremowy kostium z cienkiej wełny, a do tego czerwoną apaszkę, jeden z bardziej praktycznych prezentów od Thaddeusa Gallaghera. Wszystko to była maskarada.

Mgła za wysokimi oknami rozchodziła się. San Francisco stopniowo się ujawniało na tle zmierzchu, miasto stalagmitów jarzących się światłami na horyzoncie. Jakże piękne! Hazel zastanawiała się, czy by jej wybaczone, gdyby została w pokoju. Serce jej się ścisnęło z panicznego strachu przed tym, co kryła najbliższa przyszłość.

– Tato? Przyjdź mi pomóc.

Zack miał kłopoty z czarną muchą. Stale wychodził ze swojego pokoju i zaraz tam wracał, kręcił się po ich łazience. Nie czuł się zbyt komfortowo tego dnia, zauważył Gallagher. Podczas lunchu i później. Pozostali pianiści byli starsi, bardziej doświadczeni. Od kilku było „osobowością”. Zack miał tendencję do trzymania się na uboczu, do robienia ponurych min. Wziął prysznic już po raz drugi tego dnia i uczesał włosy z maniacką starannością. Pryszczate czoło zakrył grzywką płowej barwy. Jego kanciasta, młoda twarz promieniała histerycznym rozbawieniem.

Od mężczyzn wymagano, by nosili czarne muchy. Wykrochmalone, białe koszule ze spinkami, zdobne, wywijane mankiety. Gallagher pomógł Zackowi przy musze i przy mankietach.

– Uszy do góry, chłopie. Frak to głupi wynalazek, ale człowiek dobrze w nim wygląda. Damy mdleją. – Dowcip był płaski, ale Gallagher i tak parsknął śmiechem.

Hazel obserwowała ich w lustrze. Nie mogła się ustrzec przed wrażeniem, że ich mała rodzinka wybiera się na egzekucję. Tylko które z nich miało zostać stracone?

Gallagher biedził się z muchą Zacka, rozwiązał ją i spróbował od nowa. Wydawało się niemal, że tych dwóch łączy więzy krwi: ojciec w średnim wieku z wysoko sklepioną, łysą głową, nastoletni syn prawie tego samego wzrostu, krzywiący się, kiedy poprawiano mu cholerną muchę. Hazel domyślała się, że Gallagher musi się powstrzymać, by nie pocałować Zacka w czubek nosa, w geście błazeńskiego błogosławieństwa.

Im bardziej nerwowy był Gallagher, tym bardziej robił się rozochocony, skory do żartów. Przynajmniej nie zginął go wpół od bólów żołądka, nie wymiotował do klozetu, jak to robił w domu swego ojca. Na poły potajemnie (Hazel o tym wiedziała, choć nie była tego świadkiem) otworzył barek w salonie i upił kilka łyków Johnniego Walkera Black Label.

Istniało takie przekonanie, że jeśli mężczyzna kocha syna innego mężczyzny, jakby to był jego własny syn, jest to wbrew naturze. A jednak Gallagher kochał Zacka tak właśnie i triumfował.

Tamtego wieczoru w sali koncertowej Centrum Sztuki San Francisco miało wystąpić pięciu pianistów i Zacharias Jones był trzeci. Następnego dnia miało wystąpić ośmiu pozostałych artystów. Ogłoszenie nazwisk zdobywców pierwszego, drugiego i trzeciego

miejsca miało się odbyć po występie ostatniego artysty tego wieczoru. Gallagherom ulżyło, że Zack gra na samym początku, bo dzięki temu prędko będzie miał za sobą te wszystkie katusze, niemniej Chet martwił się, że sędziowie będą bardziej faworyzowali pianistów grających na końcu.

– Tak czy owak nieważne, jak on się spisze – powiedział do Hazel, gładząc się z roztargnieniem po podbródku. – Już to ustaliliśmy.

Siedzieli w trzecim rzędzie, tuż przy przejściu, skąd mieli wyraźny widok na klawiaturę i na rozbiegane dłonie artysty. Kiedy już wysłuchali występu dwóch pierwszych artystów, Gallagher uścisnął rękę Hazel i oparł się na niej całym ciałem. Oddychał prędko i płytko, z ust ziało mu szokującą mieszaniną whisky i listeryny.

Po każdym z występów Gallagher klaskał z entuzjazmem; ostatecznie sam kiedyś był artystą. Hazel, która miała ołowiane ręce, zaschło w ustach. Ledwie słyszała bodaj nutę, nie chciała wiedzieć, jak utalentowani są rywale jej syna.

I nagle wyczytano imię Zacka. Wszedł na scenę zaskakująco ochoczo, nawet zdobył się na uśmiech w stronę widowni. Nie widział nic oprócz oślepiających świateł i te światła sprawiały, że wydawał się młodszy, niż był w rzeczywistości, przez co mocno kontrastował ze swoim ponadtrzydziestoletnim poprzednikiem. Usiadł przy fortepianie, pochylił się i bez chwili zwłoki zaczął grać znajome nuty otwierające sonatę Beethovena. Hazel widywała już wprawdzie Zacka na rozmaitych recitalach, a jednak zawsze przeżywała wstrząs, że te wystąpienia zaczynają się tak nagle. A kiedy już się zaczęły, musiały być wykonane do końca.

Skomplikowana sonata składała się z zaledwie trzech subtelnie kontrastujących z sobą części, które przeleciały z niepokojącą szybkością. Wydawało się, że Zack gra je jeszcze szybciej niż w domu. Tyle miesięcy przygotowań, a sam występ trwał krócej niż pół godziny! Szaleństwo.

Gallagher opierał się tak ciężko o Hazel, jakby miał ją zaraz zmiażdżyć. Ale nie ośmieliła się go odepchnąć.

Znajdowała się w stanie powstrzymywanej paniki. Nie mogła oddychać, serce jej łomotało tak gwałtownie. Powtarzała sobie w duchu, że Zack raczej nie wygra tego konkursu, że już sam fakt, że się zakwalifikował, to dla niego zaszczyt. Mimo to bała się, że popełni jakiś błąd, że pobłądzi, że się upokorzy, że zawiedzie. Wiedziała, że tak nie będzie, wierzyła w niego bezgranicznie, a jednak przeraźliwie się bała katastrofy. Żywe, krystaliczne nuty eksplodowały w powietrzu z bolesną głośnością, a jednak zdawały się natychmiast blednąć, potem rozdymać się i znowu cichnąć, tak bardzo, że przestawała je słyszeć. Była bliska omdlenia, nieświadomie powstrzymywała oddech. Ręka Gallaghiera tak bardzo ciążyła na jej kolanach, jego palce tak mocno ścisnęły jej palce, bała się, że zgruchoczą kości. Muzyka, z którą tak się zdążyła oswoić przez te wszystkie miesiące, znienacka stała się obca, niepokojąca. Nie mogła sobie przypomnieć, co to za utwór, ku czemu zmierza. Słyszała coś obłąkańczego, demonicznego w tej sonacie. Prędkość, z jaką palce pianisty płały po klawiaturze... Oczy zasły jej łzami, nie mogła się zmusić, by patrzeć. Nie mogła zrozumieć, dlaczego taki katorżniczy spektakl miałby być czymś przyjemnym, „rozrywkowym”. To było czyste piekło, nienawidziła tego. Jedynie podczas wolniejszych pasaży, pasaży najsubtelniejszej urody, potrafiła się odprężyć i oddychać normalnie. Jedynie podczas wolniejszych pasaży, które zastępowały wcześniejsze stężenie demonizmu. One były autentycznie piękne, rozdzierały serce. Podczas minionych tygodni Zack zaczął zmieniać swoją interpretację *Appassionaty*. Teraz w jego wykonaniu było

mniej bezpośredniego ciepła, za to więcej precyzji, siły, czegoś w rodzaju okiełznanej furii. Gwałtowne, ostro wybijane nuty działały jej na nerwy. Nauczycielowi Zacka nie podobał się ten nowy kierunek, w jakim zmierzał, Gallagherowi też nie. Hazel słyszała ją teraz, tę furie. Niemalże była w niej pogarda do faktu istnienia samej sonaty. Pogarda do tego efektownego aktu, jakim jest występ artysty. Hazel zauważyła, że Zack z całej siły zaciska szczęki, że dolna połowa jego twarzy jest wykrzywiona, że na jego czole lśni plama tłustej wilgoci. Wzdrygnęła się i odwróciła wzrok. Zobaczyła, że inni widzowie wpatrują się z fascynacją w pianistę. Całe rzędy pochłoniętych słuchaczy. Sala miała pięćset miejsc łącznie z balkonem i wyglądało na to, że wszystkie są zajęte. To była umuzykalniona widownia, obznajomiona z utworami wykonywanymi przez pianistów. Wielu pianistów, nauczycieli muzyki, grupa kibiców z konserwatorium, w tym również Frieda Bruegger: Hazel szukała twarzy dziewczyny, ale nie dała rady jej znaleźć. Tu i ówdzie w tej elegancko urządzonej sali koncertowej, z pluszowymi fotelami i mozaikami na ścianach, zauważała ludzi, którzy ani trochę nie pasowali do tego otoczenia; najprawdopodobniej byli to krewni pianistów, którzy wyraźnie czuli się nieswojo wśród bardziej wyrobionych słuchaczy. W jej pamięci otwarła się szczelina, o brzegach ostrych jak potłuczone szkło. Opowieść Herszela o tym, jak ich rodzice śpiewali arie operowe, w dawnych czasach w Europie. W Monachium. W starym kraju, jak na to mówiła Anna Schwart.

Ich twarze, zamazane odległością i czasem, mignęły jej na tyłach sali koncertowej. Schwartowie!

Byli zdumieni, niedowierzali. Nie posiadali się z dumy.

Zawsze w ciebie wierzyliśmy, Rebeko.

Nie. To nieprawda.

Zawsze cię kochaliśmy, Rebeko.

Nie. Nie sądzę.

Mieliśmy trudności z mówieniem. Ja nie ufałam temu nowemu językowi. A twój ojciec, sama wiesz, jaki był papa...

Co ty nie powiesz!

Papa cię kochał, Rebeko. Zawsze powtarzał, że ciebie kocha najbardziej, że ty jesteś najbardziej do niego podobna.

Twarz Hazel była teraz kruchą twarzą lalki, pełną drobniutkich spękań. Rozpaczliwie chciała ją ukryć, żeby nikt jej nie zobaczył. Z oczu wytrysnęły łzy. Udało jej się ukryć część twarzy, jedną dłoń. Widziała zaniedbany, zachwaszczony fragment cmentarza. Ten cmentarz był zawsze przy niej, tuż pod jej powiekami, wystarczyło zamknąć oczy i już go widziała. Nagrobki walające się w trawie, popękane, połamane. Groby zdewastowane przez wandalów. Nazwiska zmarłych, które się zatarły, poznikały, mimo że kiedyś wygrawerowano je w kamieniu tak starannie. Hazel uśmiechnęła się: ziemia to miejsce anonimowych grobów, wszystkie groby są bezimienne.

Otworzyła swe zapłakane oczy. Na scenie pianista kończył ostatnią, burzliwą część sonaty Beethovena. Całe jego młode życie skupiło się w tym jednym momencie. Grał sercem, to było oczywiste. Twarz Hazel, tak długo napięta i stwardniała, zapewne jaśniała teraz szczęściem. Ostatni akord i ostatnie przytrzymanie pedału. Pedał został zwolniony i na widowni wybuchła burza oklasków.

Pianista z dziecięcą skwapliwością poderwał się ze swego miejsca, by ukłonić się słuchaczom. Jego młoda, bezbronna twarz lśniła od potu, oczy jarzyły się fanatycznym

blaskiem. A jednak uśmiechał się, nieco oszołomionym uśmiechem, a potem uklonił się w pas, jakby z pokorą, jakby go przeszył nagły ból. Gallagher już wtedy stał, podnosił ręce, by klaskać z pozostałymi.

– Hazel, udało mu się! Nasz syn.

Musiał istnieć powód, dla którego przeżyła.

Wiedziała. Wiedziała, że to fakt. Mimo to nie знаła przyczyny, nawet teraz.

Taka niespokojna!

Była druga czterdzieści sześć w nocy. Umierała ze zmęczenia, a jednak nie mogła zasnąć. Te wszystkie emocje ją wykończyły, a jednak nie mogła zasnąć. Oczy ją piekły, jakby przetała je piaskiem.

Obok niej spał ciężkim snem Gallagher. Podczas snu był dziwnie potulny, podobny do dziecka. Wpijał w nią swe gorące, spocone ciało, ocierał się niczym ślepe stworzenie, które łaknie uczucia. A jednak jego oddech był taki głośny, nienaturalny: te odgłosy dobywające się z jego gardła przypominały nabieranie łopatą mokrego żwiru. Kiedy słyszała, jak on oddycha w taki sposób, nachodziła ją wizja jego śmierci, momentu, w którym zrozumiałaby, jak bardzo kocha tego człowieka, ona, która teraz nie umiała wyartykułować tej miłości.

Była kimś, komu zabrano język dzieciństwa, a przecież żaden inny język nie potrafi przemawiać sercem.

Musiała stamtąd wyjść! Wyślizgnęła się z łóżka, opuściła ciemną sypialnię i śpiącego mężczyznę. Bezsenność tak ją poganiała, jakby na jej nagim ciele roily się czerwone mrówki.

Wcale zresztą nie była naga: miała na sobie koszulę nocną. Seksowną koszulę nocną z jedwabiu koloru szampana, z koronkowym staniczkiem, podarunek od Gallaghera.

Zapaliła lampę w salonie. Była już druga czterdzieści osiem. Tak niemrawo można przeżyć całe życie. Minęło pięć godzin od czasu, gdy Zack zagrał *Appassionatę*. Podczas przyjęcia później dziewczyna o prymitywnej, pięknej twarzy objęła Hazel, jakby były starymi przyjaciółkami albo krewniaczkami. Hazel stała sztywno, nie odważając się odwzajemnić uścisku.

Zack odszedł z tą dziewczyną. Z nią i z innymi. Poprosił Gallaghera i swoją matkę, żeby na niego nie czekali, a oni obiecali, że nie będą.

O szyby łomotały krople deszczu. Rankiem znowu miała być mgła. Hazel uważała, że miasto nocą jest piękne, ale niezbyt realne. Z wysokości dwudziestu pięter mało co wyglądało realnie. Nieopodal stał wysoki, wąski budynek, być może wieża. Na jego szczycie obracało się czerwone światło, zamazane za strugami deszczu.

– Oko Boga.

Osobliwe stwierdzenie. Słowa, które wypowiedziały się jakby same.

Nie marnowała czasu na ubieranie się, zanadto się spieszyła. Prochowiec musiał wystarczyć. To był stylowy zgniłozielony prochowiec, rozkloszowany, z szerokim paskiem. Jeszcze nie wysechł po wieczornym deszczu. A jednak włożyła go niczym szlafrok na koszulę nocną. I buty: nie mogła wyjść z pokoju boso.

Kiedy szukała pantofli na płaskim obcasie, znalazła pojedynczy błyszczący, czarny but, który leżał na dywanie tam, gdzie Gallagher zrzucił go kopniakiem. Podniosła go i postawiła na półce w szafie, obok drugiego od pary.

Wrócili do apartamentu hotelowego, żeby razem świętować. Gallagher zadzwonił na room service, zamówił szampana. Na stoliku z marmurowym blatem stała srebrna taca pełna pustych opakowań, butelek, kieliszków. Resztki sera brie, ryżowych krakersów, owoców kiwi i lśniących czarnych winogron. Migdałów i orzechów brazylijskich. Po emocjonalnym napięciu programu tego wieczoru Gallagher był potwornie głodny, ale zbyt podekscytowany, by usiedzieć spokojnie, chodził po salonie, jedząc i gadając jak najęty.

Chyba nie spodziewał się, że Zack zagra tak dobrze. On też się spodziewał jakiejś katastrofy.

W maju Gallagherowie przeżyli chwile grozy. Gallagher wciąż miewał silne bóle żołądka, na zdjęciu rentgenowskim pojawiła się jakaś plama, ale na szczęście nic złośliwego. Wrzody, do wyleczenia. Postanowili nic nie mówić Zackowi, to miał być ich sekret.

Zack wyszedł na miasto z przyjaciółmi z konserwatorium i innymi młodymi muzykami, których poznali w San Francisco. Po swoim kontrowersyjnym występie Zack stał się kimś w rodzaju bohatera, w każdym razie pośród pianistów swojego pokolenia.

Hazel nie podeszła do drzwi pokoju Zacka. Nie nacisnęła na klamkę: wiedziała, że są zamknięte na zamek.

Ale dziewczyny i Zacka z pewnością nie było w tym pokoju. W łóżku. W bliskości Gallagherów. Dziewczyna miała swój pokój gdzieś indziej, przyjechała do San Francisco sama i jeśli ona i Zack leżeli teraz w jakimś łóżku, wyczerpani aktem miłosnym, to w jej pokoju. Prawdopodobnie.

Nie myślała o tym. Nie była teraz niczyją córką i odtąd nie miała być niczyją matką. To wszystko już się skończyło.

Możesz teraz żyć na własną rękę, miała odtąd mówić. Twoje życie należy teraz do ciebie, przeżyjesz je, jak będziesz chciała.

Przywiozła z sobą do San Francisco ostatnie listy Thaddeusa. To były listy miłosne, pełne albo coraz gorętszych uczuć, albo pogłębiającej się demencji. Rozłożyła sztywny, wiele razy złożony arkusz papeterii, żeby przeczytać go w świetle lampy, gdy tymczasem jej mąż spał niepomny niczego w sąsiednim pokoju. List został niechlujnie wystukany na maszynie, jakby po ciemku albo przez kogoś, kto miał zaćmę.

Najdroższa Hazel Jones!

Połchała byś próżność starego człowieka gdybyś odpowiadała na moje prośby, ale teraz widzę to teraz, że jesteś Hazel Jones, dobra żona i matka godna swojego syna. Nie odpowiadałaś, a ja cię za to szanuję. Chyba więcej do ciebie nie napisze po tej stronie grobu, Ty i chłopiec dostaniecie sporą Nagrodę za swoją wierność i dobroć. Twój płytki mąż Tuba Liberalnego Sumienia nie ma o niczym pojęcia! Jest durniem niewartym ciebie i chłopca, to jest nasz sekret Hazel Jones prawda Zobaczycie to w moim testamencie. Spadną z oczu łuski niektórym. Niech cię bóg błogosławi Hazel Jones i tego chłopca którego piękna muzyka będzie przeżyje nas wszystkich.

Hazel uśmiechnęła się i ponownie złożyła list, po czym schowała go do torebki. Słyszała ciche echo jakiegoś głosu, podobne do bębnienia deszczu o szyby: *Ty się tutaj urodziłaś. Oni ci nic nie zrobią.*

Wsunęła dłonie w rękawy wciąż wilgotnego prochowca i ściągnęła pasek. Nie musiała przeglądać się w lustrze, wiedziała, że jest potargana, że jej źrenice są rozszerzone. Piekła ją skóra, dziwnie, erotycznie ciepła. Była podniecona, radosna. Wyjęła z torebki pieniądze, kilka banknotów dwudziestodolarowych. Zabrała z barku kilka miniatuerek whisky, ginu i wódki. Wrzuciła talię kart, luzem, do kieszeni płaszcza. I w ostatniej chwili przypomniała sobie, by zabrać klucz do pokoju 2006.

Wyszła na pusty korytarz. Zamknęła za sobą drzwi, zaczęła na szcęk zamka.

Korytarz prowadzący do wind okazał się dłuższy, niż to zapamiętała. Był wyłożony grubymi, czerwonymi dywanami, ściany zdobiła beżowa tapeta w orientalny wzór. Przy windach wdusiła przycisk z napisem DÓŁ. Prędko zjechała z dwudziestego piętra na parter. Uśmiechnęła się, bo przypomniała sobie, że w przeszłości windy jeździły znacznie wolniej. Człowiek miał mnóstwo czasu na myślenie, kiedy do nich wsiadał.

O tej porze hotel wyglądał na opustoszały, na parterze panowała cisza. Muzyka stale grająca w tle, ćwierkanie obłąkanych jaskółek, jak nazywał to Gallagher, została wyłączona. Mimo że nigdy wcześniej nie była w tym hotelu, szła bezbłędnie, mijając drzwi z napisami WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU i POMIESZCZENIE PRYWATNE: WSTĘP WZBRONIONY. Na samym końcu długiego korytarza, w którym pachniało jedzeniem, zobaczyła jeszcze dwa napisy: KUCHNIA: WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU oraz: ROOM SERVICE: WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU. Jedną z cech wyróżniających San Francisco Pacific Hotel była całodobowa obsługa gości. Hazel słyszała głosy po drugiej stronie drzwi, odgłosy układania talerzy. Latynoską muzykę z radia. Pchnęła te drzwi i weszła do środka.

Ależ wytrzeszczyli na nią oczy! A jednak nie przestała się uśmiechać.

Zobaczyła pracowników kuchni w zaplamionych, białych uniformach i jakiegoś mężczyznę w czarnym, schludnie wyprasowanym uniformie, który właśnie wtoczył tam wózek wyładowany po brzegi tacami pełnymi brudnych naczyń, kieliszków i butelek. Światła były bardzo jasne, powietrze znacznie cieplejsze niż na korytarzu, nasycone zapachami gotowania, frytury i środka czyszczącego, z domieszką gryzącego smrodu śmieci. Również piwa, bo kilku pracowników kuchni piło piwo. Wystraszony mężczyzna w uniformie zaczął mówić:

– Przepraszam panią, ale...

Hazel przerwała mu prędko:

– To ja przepraszam, ale jestem głodna. Mogę wam zapłacić. Mam co pić, ale nie chcę pić sama. Nie chcę zamawiać obsługi do pokoju, musiałabym za długo czekać.

Roześmiała się, żeby zobaczyli, że jest w radosnym nastroju i żeby jej nie przegnali.

Hazel nie pamiętała później sekwencji zdarzeń. Nie pamiętała, ilu tam było tych mężczyzn, bo co najmniej dwóch nadal pracowało przy zlewach; później przychodzili jeszcze inni, tylnymi drzwiami, ziewając i przeciągając się. Kilku się z nią zaprzyjaźniło, zrobili dla niej miejsce na stole, odsuwając na bok tabloidowe gazety, zbiór krzyżówek, puste puszki po coli, 7-Up i piwie. Ucieszyli się z miniatuerek, które przyniosła ze swojego pokoju, ale nie chcieli przyjąć jej banknotów. Był wśród nich: Cesar, młody Latynos o

dziobatej cerze i rzewnych oczach, Marvell, Murzyn o cerze koloru bakłażana i mięsistej, czulej twarzy, Drake, biały około czterdziestki, o dziwnie płaskiej twarzy przypominającej rybę i w połyskliwych okularach w drucianych oprawkach, które upodabniały go do księgowego. I jeszcze był McIntyre, ten, który nosił uniform, mężczyzna po pięćdziesiątce, który przez całą noc dostarczał zamówienia do pokoi; początkowo traktował Hazel z podejrzliwością, ale prędko się z nią skumał. Byli nią tacy zaciekawieni! Podała im tylko swoje imię; wymawiali „Hazel” w taki sposób, jakby to było jakieś egzotyczne, zagraniczne słowo. Spytała, skąd pochodzi, a ona im powiedziała. Spytała, czy jest mężatką, czy jej mąż śpi na górze w pokoju, co będzie, jak się obudzi i stwierdzi, że zniknęła?

– Nie obudzi się. A kiedy się obudzi, ja już tam będę. Po prostu nie mogę zasnąć. O tej porze... Podobno ludzie meldują się w hotelach o tej porze, żeby popełnić samobójstwo. Dlaczego tak jest? Czy z tego powodu jest łatwiej? Kiedyś pracowałam w hotelu. W młodości. Byłam pokojówką. Na wschodzie, na północy stanu Nowy Jork. To nie był taki wielki i luksusowy hotel jak ten. Byłam wtedy szczęśliwa. Lubiłam innych ludzi, którzy tam pracowali, lubiłam ludzi z kuchni. Z wyjątkiem...

Mężczyźni słuchali jej z zainteresowaniem, nie odrywając od niej oczu. Latynoska muzyka wciąż grała. Hazel zauważyła, że kuchnia jest ogromna, większa niż wszystkie inne kuchnie, które kiedykolwiek widziała. Ściany na samym końcu ginęły w cieniu. Kuchenki były mamucich rozmiarów, każda z kilkunastoma palnikami. Oprócz nich wielkie lodówki osadzone w ścianach, zamrażarki, zmywarki do naczyń. Całą przestrzeń podzielono na obszary robocze, z których tylko jeden był teraz oświetlony i kręcili się po nim ludzie. Podłoga wyłożona linoleum lśniła, niedawno ktoś ją umył. Z wózków zdejmowano brudne talerze, a resztki jedzenia zdrapywano z nich do plastikowych worków, które z kolei były szczelnie związane i umieszczane w wielkich, aluminiowych pojemnikach. Wszyscy byli ożywieni, weseli i Hazel miała wszelkie podstawy, żeby się zastanawiać, czy to ma coś wspólnego z jej obecnością. Wyjęła z kieszeni karty, przetasowała je. Potrafią grać w remika? Chcieliby zagrać w remika? Tak, tak! Oczywiście. Remik. Jeszcze raz potasowała karty. Palce miała szczupłe, zręczne, z paznokciami pomalowanymi na ciemnoczerwono; wprawnie rozdała karty sobie i mężczyznom, którzy śmiali się, byli wyraźnie w doskonałym nastroju. Teraz, kiedy wiedzieli, że Hazel jest jedną z nich, mogli się odprężyć. Grali w remika, zaśmiewając się jak starzy kumple. Pili schłodzonego coorsa i alkohol z miniaterek, które przyniosła Hazel. Jedli chipsy i solone orzeszki. Orzechy brazylijskie takie same jak te, które Gallagher pożerał w ich pokoju. Zadzwoił telefon, jakiś hotelowy gość chciał, by go obsłużono. McIntyre musiał włożyć marynarkę i zrealizować zamówienie. Oddalił się i wrócił po kilku minutach. Wyraźnie się ucieszył, że Hazel jeszcze tam jest.

Karty zostały rzucone na stół, partia dobiegła końca. Kto wygrał? Hazel? Mężczyźni nie chcieli jej puścić, była trzecia trzydzieści pięć, a ich zmiana kończyła się dopiero o szóstej. Hazel zgarnęła karty, przetasowała je, przełożyła, znowu przetasowała i znów zaczęła rozdawać. Jej płaszcz rozchylił się, mężczyźni mogli zobaczyć kopyły jej białych piersi, dyndających swobodnie pod koszulą nocną z jedwabiu koloru szampana. Wiedziała, że jej włosy są potargane, że na ustach ma rozmazaną plamę starej szminki. Że wyszczerbił jej się lakier na jednym z paznokci. Od jej ciała było stęchłą wonią dawnej paniki. Czowała jednak, że jest atrakcyjną kobietą, że jej nowi przyjaciele nie ocenią jej zbyt surowo.

– Znacie cygańskiego remika? Mogę was nauczyć, jeśli go jeszcze pamiętam.

EPILOG

1998-1999

Lake Worth, Floryda
14 września 1998

Szanowna Pani Profesor Morgenstern!

Strasznie chciałabym móc nazywać Panią po imieniu, po prostu Freyda! Niestety, nic mnie nie upoważnia do takiej poufałości. Właśnie przeczytałam Pani wspomnienia. Mam podstawy wierzyć, że jesteśmy kuzynkami. Moje panięskie nazwisko brzmi Schwart (to nie jest prawdziwe nazwisko mojego ojca, myślę, że zostało zmienione na Ellis Island w 1936 roku), ale moja matka nazywała się z domu Morgenstern i cała jej rodzina pochodziła z Kaufbeuren, tak jak Pani rodzina. Miałyśmy się poznać w 1941 roku, kiedy obie byłyśmy małe, bo Pani, a także Pani rodzice, siostra i brat mieliście zamieszkać z moimi rodzicami, moimi dwoma braćmi i mną w Milburn w stanie Nowy Jork. Niestety, statek z Wami i innymi uchodźcami na pokładzie (nazywał się *Marea*) przybił do portu nowojorskiego i został stamtąd zawrócony przez amerykański urząd imigracyjny.

(W swoich wspomnieniach mówi Pani tak pobieżnie o tym epizodzie. Najwyraźniej też zapamiętała Pani inną nazwę niż *Marea*, ja jednak jestem pewna, że statek nazywał się *Marea*, bo dla mnie to słowo brzmiało tak pięknie, jak jakaś muzyka. Ale co się dziwić, była Pani wtedy taka mała. Tyle się później wydarzyło, mogła Pani nie zapamiętać. Zgodnie z moimi obliczeniami, Pani miała 6, a ja 5 lat.)

Przez wszystkie te lata nie miałam pojęcia, że Pani przeżyła! Nie wiedziałam, że ktoś z Pani rodziny przeżył. Nasz ojciec powiedział nam, że nikt nie ocalał. Tak się cieszę, że Pani żyje i że odniosła Pani taki sukces. To dla mnie szok, że mieszka Pani w Stanach Zjednoczonych od 1956 roku. Że Pani studiowała w Nowym Jorku, podczas gdy ja mieszkałam na północy stanu Nowy Jork! Proszę mi wybaczyć, że nie znam Pani poprzednich książek, choć pewnie byłabym zaintrygowana „antropologią biologiczną”! (Tak się wstydzę, nie mam Pani wykształcenia akademickiego. Nie tylko nie studiowałam, ale nawet nie ukończyłam szkoły średniej.)

Cóż, piszę z nadzieją, że się spotkamy. Och, jak najszybciej, Freydo! Zanim będzie za późno.

Już nie jestem Pani 5-letnią kuzynką marzącą o nowej siostrze (bo tak mi obiecała moja matka), która miała spać ze mną w jednym łóżku i zawsze ze mną być.

Pani „utracona” kuzynka

Rebeka

Lake Worth, Floryda
15 września 1998

Szanowna Pani Profesor Morgenstern!

Napisałam do Pani wczoraj, a teraz ze wstydem zauważyłam, że prawdopodobnie wysłałam list pod zły adres. Doczytałam się na obwolucie Pani książki, że Pani przebywa na urlopie naukowym udzielonym przez Uniwersytet Chicagowski. Spróbuję więc jeszcze raz, przesyłając list na ręce Pani wydawcy.

Załączam ten sam list. Choć czuję, że nie wyraża jak należy, co się kryje w moim sercu.

Pani „utracona” kuzynka

Rebeka

PS Oczywiście przyjadę do Pani, kiedy tylko i gdzie tylko Pani zechce, Freydo!

Lake Worth, Floryda
2 października 1998

Szanowna Pani Profesor Morgenstern!

Pisałam do Pani w zeszłym miesiącu, ale obawiam się, że moje listy zostały wysłane pod niewłaściwy adres. Załączam te same listy, bo wiem już, że Pani przebywa teraz w kalifornijskim Palo Alto, na zaproszenie Instytutu Badań Zaawansowanych Uniwersytetu Stanforda.

Niewykluczone, że Pani czytała już moje listy i że one Panią uraziły. Wiem, nie jestem mocna w pisaniu. Nie należało pisać o przeprawie przez Atlantyk w 1941 roku, bo przecież Pani sama doskonale zna te fakty. Nie chciałam Pani poprawiać, Pani Profesor, odnośnie do nazwy statku, którym płynęliście całą rodziną w tamtych koszmarnych czasach!

W wywiadzie z Panią przedrukowanym w gazecie z Miami z zażenowaniem przeczytałam, że otrzymała Pani mnóstwo listów od „krewnych” od czasu wydania wspomnień. Uśmiechnęłam się, gdy przeczytałam: „Gdzie byli ci wszyscy amerykańscy krewni, kiedy byli potrzebni?”

My naprawdę byliśmy tutaj, Freydo! W Milburn w stanie Nowy Jork, nad Kanałem Erie.

Pani kuzynka

Rebeka

Palo Alto, Kalifornia
1 listopada 1998

Szanowna Rebeko Schward!

Dziękuję za Pani listy i za Pani reakcję na moje wspomnienia. Jestem głęboko poruszona licznymi listami, które otrzymałam od czasu, gdy moja książka *Powrót z grobu: dziewczęce lata*, ukazała się zarówno w USA, jak i za granicą; naprawdę żałuję, że brak mi czasu, by odpowiedzieć na każdy z tych listów indywidualnie i bardziej konkretnie.

Z wyrazami uszanowania



Profesor Freyda Morgenstern
Katedra Antropologii, Uniwersytet Chicagowski

Lake Worth, Floryda
5 listopada 1998

Szanowna Pani Profesor!

Co za ulga, mam poprawny adres! Mam nadzieję, że Pani przeczyta mój list. Podejrzewam, że ma Pani sekretarkę, która otwiera Pani pocztę i odpowiada w Pani imieniu. Wiem, jest Pani rozbawiona (zirytowana?), że tyle osób przyznaje się do pokrewieństwa z Freydą Morgenstern. Zwłaszcza od czasu wywiadów, których Pani udzieliła w telewizji. Ja jednak jestem głęboko przekonana, że jestem Pani prawdziwą kuzynką. Bo byłam (jedyną) córką Anny Morgenstern. I wierzę, że Anna Morgenstern była (jedyną) siostrą Pani matki, Dory, która miała zamieszkać z nami, podobnie jak Pani ojciec, siostra Elżbieta, starsza od Pani o 3 albo 4 lata, oraz brat Joel, który też był od Pani starszy, ale nie aż tyle. Mieliśmy Wasze fotografie, pamiętam tak wyraźnie Pani włosy splecione w warkocze i to, że Pani była taką ładną dziewczynką, choć moja matka twierdziła, że jest pani „nastroszona” tak jak ja. Wtedy byłyśmy naprawdę do siebie podobne, Freydo, choć Pani oczywiście była ładniejsza. Elżbieta była blondynką o puciołowatej twarzy. Joel wydawał się szczęśliwy na fotografii, taki miły chłopczyk, na oko 8 lat. Tak mi było smutno, kiedy przeczytałam, że Pani siostra i brat zginęli w takich strasznych okolicznościach w Terezynie. Myślę, że moja matka nigdy nie otrząsnęła się z szoku tamtych czasów. Tak bardzo liczyła, że znowu zobaczy swoją siostrę. Kiedy *Marei* nie wpuszczono do portu, wyzbyła się nadziei. Ojciec nie pozwalał jej mówić po niemiecku, tylko po angielsku, ale nie znała dobrze angielskiego, jak ktoś przychodził do naszego domu, to się ukrywała. Później prawie się do nas nie odzywała i często chorowała. Umarła w maju 1949 roku.

Kiedy tak czytam swój list, widzę, że stawiam akcenty nie tam, gdzie trzeba! W ogóle się nie zastanawiam nad tymi dawnymi sprawami.

Widziałam Pani zdjęcie w gazecie, Freydo! Mój mąż czytał „New York Timesa” i zawołał mnie, żeby powiedzieć, czy to nie dziwne, tu jest taka kobieta, która wygląda jak siostra jego żony, choć właściwie to wcale nie jesteśmy do siebie podobne, moim zdaniem, już nie, ale przeżyłam szok na widok Pani twarzy, która jest bardzo podobna do twarzy mojej matki, takiej, jak ją zapamiętałam.

A potem Pani nazwisko, Freyda Morgenstern.

Natychmiast wyszłam na miasto i kupiłam *Powrót z grobu: dziewięć lat*. Nie czytałam niczych wspomnień z Holocaustu, ze strachu przed tym, czego się dowiem. Pani wspomnienia czytałam w samochodzie, na parkingu przy księgarni, nie mając pojęcia, która godzina, że zrobiło się późno, czytałam tak długo, aż moje oczy przestały widzieć druk. Pomyślałam: „To Freyda. To ona! Ta siostra, którą mi obiecano”. Teraz mam sześćdziesiąt dwa lata i jestem taka samotna w tym miejscu dla bogatych emerytów, którzy patrzą na mnie i myślą, że jestem jedną z nich.

Nie jestem z tych, którzy płaczą z byle powodu. Ale płakałam przy wielu fragmentach Pani wspomnień, choć wiem (na podstawie wywiadów), że Pani nie chce słyszeć o czymś takim od swoich czytelników i że Pani gardzi „tandetną amerykańską litością”. Wiem, na Pani miejscu czułabym tak samo. I Pani ma prawo tak się czuć. W Milburn nie cierpiałam ludzi, którzy litowali się nade mną jako „córka grabarza” (mój ojciec pracował jako grabarz) bardziej niż ci inni, którzy mieli gdzieś, czy Schwartowie żyją czy umarli.

Załączam moje zdjęcie, które mi zrobiono, gdy miałam szesnaście lat. Tylko ono mi zostało z tamtych czasów. (Obawiam się, że teraz wyglądam inaczej!) Bardzo bym chciała przesłać Pani zdjęcie mojej matki, Anny Morgenstern, ale wszystko uległo zniszczeniu w 1949 roku.

Pani kuzynka

Rebeka

Palo Alto, Kalifornia
16 listopada 1998

Szanowna Rebeko Schwart!

Przepraszam, że nie odpowiedziałam wcześniej. Myślę, że to dość prawdopodobne, że jesteśmy kuzynkami, ale dzielący nas dystans jest tak wielki, że to raczej abstrakcja, nieprawdaż?

Mało podróżuję w tym roku, bo staram się dokończyć książkę, zanim mój urlop naukowy dobiegnie końca. Wygłaszam mniej odczytów i mam już za sobą autorskie tournée, dzięki Bogu. (Wspomnienia były moim pierwszym i ostatnim przedsięwzięciem w dziedzinie publikacji nieakademickich. Okazało się o wiele zbyt łatwe, podobne do otwierania sobie żył.) Tak więc nie bardzo widzę możliwości, abyśmy mogły się obecnie spotkać.

Dziękuję za przysłanie mi fotografii. Odsyłam ją.



Lake Worth, Floryda
20 listopada 1998

Droga Freydo!

Tak, jestem pewna, że jesteście kuzynkami! Choć podobnie jak Ty, nie wiem, co to mogłoby oznaczać.

Sądzę, że nie mam żadnych żyjących krewnych. Moi rodzice zmarli w 1949 roku i nie wiem nic o losie moich braci, których nie widziałam od lat, nawet przelotnie.

Myślę, że gardzisz mną jako swoją „amerykańską kuzynką”. Strasznie bym chciała, żebyś mnie z tego rozgrzeszyła. Zresztą nie bardzo jestem pewna, do jakiego stopnia jestem „amerykańska”, choć nie urodziłam się w Kaufbeuren tak jak ty, tylko w nowojorskim porcie, w maju 1936 roku. (Nie wiadomo, którego dnia. Albo nie wydano żadnej metryki urodzenia, albo taka metryka została zagubiona.) Chcę powiedzieć, że urodziłam się na statku pełnym uchodźców! Ponoć w straszliwym brudzie.

Rok 1936 to były zupełnie inne czasy. Jeszcze nie zaczęła się wojna i ludzie naszego pokroju mogli emigrować, jeśli mieli pieniądze.

Moi bracia, Herszel i August, urodzili się w Kaufbeuren i oczywiście nasi rodzice też. Mój ojciec przedstawiał się w tym kraju jako „Jakub Schwart”. (Nigdy nie zdradzam tego nazwiska nikomu, kogo znam teraz. Oczywiście mojemu mężowi też nie.) Wiedziałam niewiele o swoim ojcu poza tym, że był drukarzem w starym świecie (tak go pogardliwie nazywał), a jeszcze wcześniej był nauczycielem matematyki w szkole dla chłopców. Do czasu, gdy naziści zakazali takim ludziom uczyć. Moja matka, Anna Morgenstem, wyszła za mąż bardzo młodo. W dzieciństwie grała na pianinie. Czasami słuchałyśmy muzyki z radia, kiedy papy nie było w domu. (Radio należało papy.)

Wybacz mi, wiem, że Ciebie to wszystko nie interesuje. W swoich wspomnieniach pisałaś, że Twoja matka zajmowała się prowadzeniem ewidencji ludności na rzecz nazistów, że zaliczała się do żydowskich urzędników, którzy pomagali przy transportach Żydów. Nie jesteś sentimentalna w kwestii swojej rodziny. W tym wszystkim jest coś tchórzliwego, nieprawdaż? Szanuję odczucia kogoś, kto napisał *Powrót z grobu*, książkę tak krytyczną wobec krewnych, Żydów, żydowskiej historii i przekonań typu powojenna „amnezja”. Wcale nie mam zamiaru odwozić Cię od uczuć, które wyrażasz tak szczerze, Freydo!

Mnie samej brakuje szczyrych uczuć, to znaczy takich, które inni mogliby poznać.

Tato mówił, że wszyscy przepadliście, że odesłano was jak bydło do Hitlera. Pamiętam jego podniesiony głos: DZIEWIĘCIUSET UCHODŹCÓW. Do dziś robi mi się mdło, kiedy słyszę ten głos.

Tato mówił, że mam przestać myśleć o moich kuzynach! Oni nie przyjadą. Nie ma ich.

Nauczyłam się na pamięć wielu stron Twoich wspomnień, Freydo. I Twoich listów do mnie. W Twoich słowach słyszę Twój głos. Uwielbiam ten głos taki podobny do mojego. To znaczy do mojego sekretne go głosu, tego, którego nikt nie zna.

Przylecę do Kalifornii, Freydo. Udzielisz mi pozwolenia? „Powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja”.

Twoja kuzynka

Rebeka

Lake Worth, Floryda

21 listopada 1998

Kochana Freydo!

Tak mi głupio, w moim wczorajszym liście do Ciebie zrobiłam błąd w słowie „sentymetalna”. I kiedy pisałam o tym, że nie mam żadnych żyjących krewnych, to miałam na myśli rodzinę Schwartów. (Mam syna z pierwszego małżeństwa, jest żonaty i ma dwoje dzieci.)

Kupiłam sobie inne Twoje książki. *Historię biologii* oraz *Historię rasy i rasizmu*. Ależ by to zrobiło wrażenie na Jakubie Schwarcie, ta mała dziewczynka z fotografii nie tylko nie umarła, ale go prześcignęła, i to bardzo!

Czy pozwoliłabyś, żebym cię odwiedziła w Palo Alto, Freydo? Mogłabym przylecieć na jeden dzień, zjadłybyśmy razem kolację i odleciałabym następnego dnia. Przyrzekam.

Twoja (samotna) kuzynka

Rebeka

Lake Worth, Floryda

24 listopada 1998

Kochana Freydo!

Prośba o cały wieczór to chyba za dużo. Godzina? Godzina nie byłaby za dużo, prawda? Może opowiedziałabyś mi o swojej pracy, wszystko opowiedziane Twoim głosem byłoby dla mnie bezcenne. Nie chciałabym wciągać Cię do kloaki przeszłości, bo wypowiadasz się o niej tak dosadnie. Kobieta taka jak Ty, zdolna do takiej wspaniałej pracy intelektualnej i tak ceniona w swojej dziedzinie, nie ma czasu na jakieś miłe sentymenty, zgadzam się.

Czytam Twoje książki. Podkreślam i sprawdzam w słowniku. (Kocham ten słownik, to mój przyjaciel.) To takie podniecające, kiedy się zastanowić: *W jaki sposób nauka dowodzi genetycznych podstaw ludzkich zachowań?*

Załączam pocztówkę, żebyś miała na czym odpowiedzieć. Wybacz, że nie pomyślałam o tym wcześniej.

Twoja kuzynka

Rebeka

Palo Alto, Kalifornia
24 listopada 1998

Szanowna Rebeko Schwart!

Twoje listy z 20 i 21 listopada są interesujące. Obawiam się jednak, że nazwisko „Jakub Schwart” nic dla mnie nie znaczy. Żyje wciąż wielu Morgensternów. Być może są wśród nich również Twój kuzyni. Mogłabyś ich odszukać, skoro jesteś samotna.

Wydaje mi się, że już wytłumaczyłam, że jestem obecnie bardzo zajęta. Pracuję większą część dnia, a wieczorami nie jestem usposobiona towarzysko. „Samotność” to problem, który rodzi się przede wszystkim ze zbytnej bliskości innych ludzi. Jednym z doskonałych remediów jest praca.

Wyrazy uszanowania



PS Podejrzewam, że to Ty zostawiałaś dla mnie wiadomości na sekretarce w Instytucie. Jest dokładnie tak, jak Ci to wyjaśniała moja asystentka; nie mam czasu odpowiadać na takie telefony.

Lake Worth, Floryda
27 listopada 1998

Kochana Freydo!

Nasze listy minęły się w drodze! Obie napisałyśmy je 24 listopada, może to jakiś znak.

Zadzwoiłam pod wpływem impulsu. „Gdybym tak mogła usłyszeć jej głos” – taka nasza mnie myśl.

Zamykasz serce przed swoją „amerykańską kuzynką”. To było takie odważne, kiedy w swoich wspomnieniach stwierdziłaś wyraźnie, że musiałaś zamknąć serce przed tyloma rzeczami, aby przeżyć. Amerykanie wierzą, że cierpienie robi z nas świętych, ale to żart. A jednak dotarło do mnie, że obecnie nie masz dla mnie czasu. Ja nie stanowią żadnego „celu”.

Nawet jeśli się teraz nie spotkamy, czy pozwolisz, żebym do Ciebie pisała? Zaakceptuję to, jeśli nie odpowiesz. Chciałabym jedynie, żebyś czytała, co napiszę, to by mnie uszczęśliwiło (tak, bardzo samotna!), bo wtedy mogłabym rozmawiać z Tobą w myślach, tak samo jak wtedy, kiedy obie byłyśmy małe.

Twoja kuzynka

Rebeka

PS W Twoich tekstach naukowych tak często posługujesz się terminem „adaptacja gatunku do otoczenia”. Gdybyś mnie zobaczyła, swoją kuzynkę w Lake Worth na Florydzie, nad oceanem, na południe od Palm Beach, jakże daleko od Milburn w stanie Nowy Jork i od starego świata, ależ byś się śmiała.

Palo Alto, Kalifornia

1 grudnia 1998

Droga Rebeko Schwart!

Moja nieustępliwa amerykańska kuzynko! Obawiam się, że to nie jest żaden znak, nawet nie zbieg okoliczności, że nasze listy zostały napisane tego samego dnia i że „minęły się w drodze”.

Ta pocztówka. Przyznaję, że wybór mnie zaciekał. Tak się składa, że taka sama wisi na ścianie mojego gabinetu. (Czy pisałam o tym w swoich wspomnieniach? Nie wydaje mi się.) Jakim cudem weszłaś w posiadanie reprodukcji *Sturzacker* Caspara Davida Friedricha – przecież nie byłaś w muzeum w Hamburgu, prawda? Rzadko który Amerykanin zna w ogóle nazwisko tego artysty bardzo cenionego w Niemczech.

Z wyrazami uszanowania



Lake Worth, Floryda

4 grudnia 1998

Kochana Freydo!

Tę pocztówkę z reprodukcją Caspara Davida Friedricha i jeszcze inne pocztówki z muzeum w Hamburgu dał mi ktoś, kto tam był. (W rzeczy samej mój syn, który jest pianistą. Być może znasz jego nazwisko, jest zupełnie inne niż moje.)

Wybrałam tę pocztówkę, bo odzwierciedla Twoją duszę. Jak ją postrzegam na podstawie Twoich słów. Może również odzwierciedla moją. Ciekawe, co pomyślisz o tej pocztówce, która też jest niemiecka, choć brzydsza.

Twoja kuzynka

Rebeka

Palo Alto, Kalifornia
10 grudnia 1998

Droga Rebeko,

Owszem, podoba mi się ten brzydki Nolde. Dym czarny jak smoła i Łaba jak stopiona lawa. Zaglądasz do mojej duszy, co? Co wcale nie znaczy, że chciałam się maskować.

Dlatego zwracam *Holownik na Łabie* mojej nieustępliwej amerykańskiej kuzynce. Dziękuję Ci, ale nie pisz do mnie więcej. I nie dzwoń. Mam Cię dosyć.

Palo Alto, Kalifornia
11 grudnia 1998, druga w nocy

Droga „kuzynko”!

Zrobiłam sobie odbitkę tej fotografii z Tobą w wieku szesnastu lat. Podoba mi się ta niesforna burza włosów i te szczęki, takie mocne. Może w tych oczach jest strach, ale już my wiemy, jak go ukrywać, nieprawdaż, kuzynko?

W obozie nauczyłam się udawać wysoką. Nauczyłam się, jak być dużą. To taka sztuczka dla oka, wzięta z obyczajów zwierząt, które starają się wyglądać na duże. Domyślałam się, że ty też byłaś „dużą” dziewczyną.

Zawsze mówię prawdę. Nie widzę powodu, by mataczyć. Gardzę fantazjowaniem. Możesz być pewna, że narobiłam sobie mnóstwo wrogów „wśród swoich”. Kiedy „wracasz z grobu”, nic cię nie obchodzą cudze opinie i wierz mi, to mnie dużo kosztowało w tej tak zwanej „profesji”, gdzie awans zależy od całowania w tyłek i jego seksualnych wariantów, wcale nie takich odmiennych od zachowań naszych kuzynów naczelnych.

Już i tak źle, że nie zachowywałam się jak pokorna samica, kiedy robiłam karierę. We wspomnieniach przyjmuję żartobliwy ton, kiedy mówię o studiach magisterskich na Columbii pod koniec lat pięćdziesiątych. A jednak wtedy rzadko się śmiałam. Kiedy się spotykałam ze starymi wrogami, którzy chcieli stłamsić niepokorną kobietę na samym początku jej kariery, nie dość że kobietę, ale również Żydówkę, i to taką, która uciekła z obozu, zawsze patrzyłam im w oczy i nigdy się nie wzdrygnęłam, za to oni tak, dranie. Mściłam się zawsze i wszędzie, kiedy tylko mogłam. Teraz te pokolenia już wymierają, nie podchodzę nabożnie do ich wspomnień. Na konferencjach organizowanych, żeby ich uczcić, Freyda Morgenstern jest „porażająco dowcipnym” prawdomówcą.

W Niemczech, gdzie przez tak długi czas zakłamywano prawdę, *Powrót z grobu* był bestsellerem przez pięć miesięcy. Już został nominowany do dwóch ważnych nagród. I w tym cały dowcip, i to całkiem niezły, prawda?

W tym kraju książka nie spotkała się z takim przyjęciem. Może widziałaś jakieś dobre recenzje. Może widziałaś skąpą reklamę, którą mój wydawca wykupił wreszcie w „New York Times Review of Books”. Było wiele ataków. Jeszcze gorszych niż te, do których przywykłam w mojej profesji.

Ten szok, przerażenie, obrzydzenie w prasie żydowskiej i tej ze skrzywieniem żydowskim. Żydówka pisząca bez sentymentu o matce i innych krewnych, którzy zginęli w Terezynie. Żydówka, która mówi tak zimno i „naukowo” o swoim dziedzictwie. Jakby tak zwany Holocaust był dziedzictwem. Jakbym nie zasłużyła na prawo do mówienia prawdy takiej, jak ją widzę. Będę nadal mówiła prawdę, bo jeszcze długo nie zamierzam kończyć z badaniami naukowymi, pisaniem, uczeniem i prowadzeniem doktorantów. (Przejdę na wcześniejszą emeryturę w Chicago, wezmę przyjemny pakiet emerytalny i osiadę gdzieś indziej.)

Ta świętość Holocaustu! Śmiałam się, użyłaś tego słowa z taką czcią w jednym ze swoich listów. Nigdy nie używam tego słowa, które spływa z amerykańskich języków niczym tłuszcz. Jeden z tych siermiężnych recenzentów nazwał Morgenstern zdrajczynią, która brata się z wrogiem (którym? Jest ich wielu), bo na każdym kroku powtarza, że „holocaust” był incydentem w historii, tak jak wszystkie zdarzenia w historii są incydentami. Będę to jeszcze powtarzała za każdym razem, kiedy mnie pytają. Historia nie ma celu, tak jak ewolucja, nie ma w niej ani celu, ani postępu. Ewolucja to termin, którym określa się to, co jest. Świętobliwi fantaści chcą twierdzić, że ludobójcza kampania nazistów była pojedynczym zdarzeniem w historii, że wyniosła nas ponad historię. To brednie, powiedziałam i nadal będę tak mówić. Tak długo, jak istnieje ludzkość, zawsze dochodziło do aktów ludobójstwa. Historia to wynalazek książkowy. W antropologii biologicznej wskazujemy, że doszukiwanie się „znaczenia” to tylko jedna cecha naszego gatunku pośród wielu. A jednak to dążenie bynajmniej nie kryje w sobie postulat „znaczenia” w świecie. Jeśli historia naprawdę istnieje, to jest wielką rzeką/kloaką, do której spływają niezliczone, drobne strumyki i odnogi. W jednym kierunku. W odróżnieniu od ścieków tego nie da się powstrzymać. Nie da się „przetestować”, „zademonstrować”. Tak po prostu jest. Jeśli poszczególne strumienie wysychają, rzeka znika. Nie ma „rzeki-przeznaczenia”. Są tylko incydenty w czasie. Naukowcy zauważają to bez sentymentów czy żalu.

Może wyślę do Ciebie te brednie, moja nieustępliwa amerykańska kuzynko. Jestem dostatecznie pijana, w radosnym nastroju.

Twoja kuzynka (zdrajczyni)



Lake Worth, Floryda
15 grudnia 1998

Droga Freydo!

Strasznie mi się spodobał Twój list, aż mi się ręce trzęsły. Od dawna się tak nie śmiałam. To znaczy w nasz, szczególny sposób.

Na tym polega nienawiść. Kocham ją. Mimo że wyżera cię od środka. (Chyba.)

Tu jest zimna noc, wieje od Atlantyku. Na Florydzie często bywa zimno i mokro. W Lake Worth i Palm Beach jest bardzo pięknie i bardzo nudno. Chciałabym, żebyś tu przyjechała, mogłabyś spędzić tu resztę zimy, bo oczywiście bywa tu też słonecznie.

Zabieram Twoje drogocenne listy na poranne spacerunki po plaży. Mimo że nauczyłam się Twoich słów na pamięć. Jeszcze rok temu biegałam całe mile! Biegałam deszczowym skrajem huraganu. Gdybyś mnie zobaczyła, moje umięśnione nogi i prosty kręgosłup, w życiu byś nie zgadła, że nie jestem młodą kobietą.

Jakie to dziwne, że mamy już po sześćdziesiąt lat, Freydo! Nasze lalki nie postarzały się o nawet jeden dzień.

(Nienawidzisz tego, że się starzejesz? Na fotografiach wydajesz się taka energiczna. Mówisz sobie: „Mój każdy kolejny dzień nie był mi pisany” i czujesz, że to jest właśnie szczęście.)

Freydo, w naszym domu, zbudowanym głównie ze szkła, z widokiem na ocean, miałabyś własne skrzydło. Mamy kilka samochodów, dostałabyś jeden na własność. Nikt by nie pytał, dokąd jedziesz. Nie musiałabyś poznawać mojego męża, byłabyś moim drogocennym sekretem.

Powiedz, że przyjedziesz, Freydo! Najlepiej po Nowym Roku. Pracowałabyś tu sobie, a po pracy chodziłybyśmy na spacerunki po plaży. Obiecuję, że nie będziemy musiały rozmawiać.

Twoja kochająca kuzynka

Rebeka

Lake Worth, Floryda
17 grudnia 1998

Kochana Freydo!

Wybacz mi ten ostatni list, taki nachalny i poufaly. To oczywiste, że nie masz ochoty składać wizyt jakiejś obcej osobie.

Muszę to sobie zapamiętać: jesteśmy kuzynkami, ale jesteśmy sobie obce.

Jeszcze raz przeczytałam *Powrót z grobu*. Ten ostatni rozdział, w Ameryce. Twoje trzy małżeństwa – „źle wybrane eksperymenty w dziedzinie intymności/szaleństwa”. Jesteś bardzo surowa i bardzo zabawna, Freydo! Nie oszczędzasz ani siebie, ani innych.

Moje pierwsze małżeństwo też wyniknęło z zaślepienia miłością i chyba z „szaleństwa”. A jednak gdyby nie ono, nie miałabym mojego syna.

We wspomnieniach nie wyrażasz żalu za swoimi „zmarnowanymi płodami”, mówisz tylko o „ból i upokorzeniu” towarzyszącym nielegalnym aborcjom w tamtych czasach. Biedna Freyda! W 1957 roku, w brudnym pokoju na Manhattanie omal nie wykrwawiłaś się na śmierć, w czasie, kiedy ja byłam młodą matką tak bardzo zakochaną w swoim życiu. A jednak przyjechałabym do Ciebie, gdybym wiedziała. Wiem, że Ty tutaj nie przyjedziesz, ale mam nadzieję, że to zrobisz, że nagle mogłabyś! Odwiedzić mnie, zatrzymać się u mnie na tak długo, jak będziesz chciała. Twoja prywatność byłaby chroniona.

Twoja wciąż nieustępliwa kuzynka

Rebeka

Lake Worth, Floryda
Nowy Rok 1999

Kochana Freydo!

Nie mam od Ciebie żadnych wieści, zastanawiam się, czy wyjechałaś. Ale może to przeczytasz. Jeśli Freyda to przeczyta, choćby po to tylko, żeby to wyrzucić...”

Czuję się szczęśliwa i pełna nadziei. Jesteś naukowcem i oczywiście masz prawo gardzić takimi uczuciami jako „magicznymi” i „prymitywnymi”, ale myślę, że w tym nowym roku może się zdarzyć jakaś nowość. Mam taką nadzieję.

Mój ojciec Jakub Schwart wierzył, że w świecie zwierząt nie ma miejsca dla słabych, że trzeba zawsze ukrywać swoją słabość. Ty i ja wiedziałyśmy o tym, kiedy byłyśmy małe. Ale wiemy też, że jest w nas coś więcej niż tylko zwierzę.

Twoja kochająca kuzynka

Rebeka

Palo Alto, Kalifornia
19 stycznia 1999

Rebeko:

Tak, wyjechałam. I czeka mnie jeszcze jeden wyjazd. Co Cię to obchodzi?

Już zaczęłam myśleć, że sama sobie Ciebie wymyśliłam. Wiem, że to mi powinno schlebiać, mało komu chciałoby się uganiać za „trudną” profesor Morgenstern teraz, kiedy jestem już starą kobietą. Wrzucam Twoje listy do szuflady, potem powodowana słabością je otwieram. Któregoś razu, kiedy przetrząsałam papiery na makulaturę, wyciągnęłam jeden z Twoich listów. A potem powodowana słabością go otworzyłam. Wiesz, jak nienawidzę słabości!

Kuzynka i tylko tyle.



Lake Worth, Floryda
23 stycznia 1999

Kochana Freydo!

Wiem, przepraszam.

Nie powinnam być taka zachłanna. Nie mam do tego prawa. Kiedy odkryłam, że Ty żyjesz, we wrześniu ubiegłego roku, pomyślałam tylko: „Moja kuzynka Freyda Morgenstern, moja utracona siostra, ona żyje! Nie musi mnie kochać, nie musi nawet mnie znać ani o mnie myśleć. Wystarczy, że wiem, że nie zmarniała i że żyje swoim życiem”.

Twoja kochająca kuzynka



Palo Alto, Kalifornia
30 stycznia 1999

Droga Rebeko!

Ośmieszamy się tymi emocjami w naszym wieku, równie dobrze mogłybyśmy pokazywać piersi. Oszczędź nam tego, błagam!

Nie chcę się z Tobą spotkać, tak jak nie chciałabym spotykać się z samą sobą. Dlaczego sobie ubrdałaś, że chciałabym mieć kuzynkę, siostrę w moim wieku? Podoba mi się, że już nie mam żadnych żyjących krewnych, bo nie jestem zmuszona myśleć: *Czy on/ona jeszcze żyje?*

Tak czy owak wyjeżdżam. Będę w podróży przez całą wiosnę. Nienawidzę tego miejsca. Kalifornijskie przedmieścia są nudne, nie ma w nich duszy. Moi koledzy z pracy i znajomi to płytycy oportuniści, którzy postrzegają mnie jak jakieś źródło możliwości.

Nienawidzę takich słów jak „zmarnieć”. Czy mucha „marnieje”, czy coś gnijącego marnieje, czy twoi „wrogowie” marnieją? Męczą mnie takie egzaltowane wyrażenia.

W obozach nikt nie „zmarniał”. Wielu umarło, zostało zabitych. To wszystko.

Żałuję, że nie mogę Ci zabronić tego szacunku do mnie. Dla Twojego własnego dobra, droga kuzynko. Widzę, że ja też jestem Twoją słabością. Może chcę Cię oszczędzić.

Ale gdybyś tak była moją magistrantką! Natychmiast bym Cię naprostowała prędkim kopniakiem w tyłek.

Nagle Freyda Morgenstem zaczęła dostawać nagrody i zaszczyty. Nie tylko jako pamiętnikarka, ale także „wybitny antropolog”. Dlatego będę podróżowała, żeby je przyjmować. Wszystko to dzieje się oczywiście za późno. Ale podobnie jak Ty, jestem osobą zachłanną, Rebeko. Czasami mam wrażenie, że moja dusza kryje się w moim brzuchu! Napycham się bez przyjemności, żeby odbierać jedzenie innym.

Oszczędź sobie. Dość tych emocji. Koniec z listami!

Chicago, Illinois

29 marca 1999

Droga Rebeko Schwart!

Myślałam o Tobie ostatnio. Minęło trochę czasu, odkąd dostałam Twój list. Rozpakowywałam tutaj swoje rzeczy i natrafiłam na Twoje listy i fotografię. Wszyscy mamy takie nagie oczy na czarno-białych fotografiach! One są jak rentgen duszy. Moje włosy nigdy nie były takie gęste i piękne jak Twoje, moja amerykańska kuzynko.

Czuję, że Cię zniechęciłam. Szczerze mówiąc, tęsknię za Tobą. Minęły prawie dwa miesiące, odkąd napisałaś. Te zaszczyty i nagrody nie są aż takie drogocenne, jeśli nikogo nie obchodzą. Jeśli nikt Cię nie obejmuje, żeby Ci pogratulować. Skromność nie ma sensu, a ja mam w sobie za dużo dumy, żeby się chwalić przed obcymi.

Oczywiście powinnam być z siebie zadowolona: przegnałam Cię. Wiem, jestem „trudną” kobietą. Przez chwilę nie lubiłabym siebie. Nie tolerowałabym siebie. Mam wrażenie, że pogubiłam niektóre Twoje listy, nie jestem pewna ile, mętnie sobie przypominam, że pisałaś, że Ty i Twoja rodzina mieszkaliście na północy stanu Nowy Jork, że moi rodzice mieli z Wami zamieszkać? To było w 1941 roku? Dostarczyłaś faktów, których nie było w moich wspomnieniach. Pamiętam jednak, że moja matka wyrażała się z taką miłością o swojej młodszej siostrze Annie. Twój ojciec zmienił nazwisko na Schwart – ale z jakiego nazwiska? Był nauczycielem matematyki w Kaufbeuren? Mój ojciec był szanowanym lekarzem. Miał wielu nieżydowskich pacjentów, którzy go uwielbiali. Jako młody człowiek służył w armii niemieckiej podczas pierwszej wojny, dostał Złoty Medal za Odwagę i obiecywano mu, że to odznaczenie będzie go chroniło w czasie, gdy innych Żydów wsadzano do transportów. Ojciec zniknął tak nagle z naszego życia, natychmiast nas przetransportowano w tamto miejsce, przez wiele lat wierzyłam, że pewnie uciekł, że gdzieś mieszka i skontaktuje się z nami. Myślałam, że moja matka ma informacje, którymi nie chce się ze mną podzielić. Nie była do końca tą

matką-Amazonką z *Powrotu z grobu*. No cóż. Dość tego! Antropologia ewolucyjna musi nieustająco oczyszczać przeszłość, ludzie robić tego nie muszą.

Tu w Chicago jest oślepiająco słoneczny dzień, widzę to z mojego orlego gniazda na pięćdziesiątym drugim piętrze wspaniałego apartamentowca, z którego mam widok na wielkie, śródlądowe morze jeziora Michigan. Kupiłam to nowe lokum dzięki tantiomom za książkę, dzieło mniej kontrowersyjne by na to nie zarobiło. Nic więcej nie trzeba, prawda?

Twoja kuzynka



Lake Worth, Floryda
13 kwietnia 1999

Kochana Freydo!

Twój list wiele dla mnie znaczył. Przepraszam, że nie odpisałam wcześniej. Nie mam usprawiedliwienia. Zobaczyłam tę pocztówkę i pomyślałam: „Dla Freydy”!

Następnym razem napiszę więcej. Już niedługo, przyrzekam.

Twoja kuzynka



Chicago, Illinois
22 kwietnia 1999

Droga Rebeko!

Dostałam Twoją pocztówkę. Nie bardzo wiem, co o niej myśleć. Amerykanie mają hopla na punkcie Josepha Cornella, tak samo jak na punkcie Edwarda Hoppera. O co chodzi z tymi *Walcami Lannera*? Dwie małe dziewczynki podobne do lalek, które płyną na wielkim grzywaczu, a w tle jakiś przedpotopowy statek z rozdętymi żaglami? To jakiś *collage*? Nienawidzę sztuki, która zadaje zagadki. Sztuka jest po to, żeby ją oglądać, nie po to, by dawać do myślenia.

Czy stało się coś złego, Rebeko? Wydaje mi się, że Twój ton się zmienił. Mam nadzieję, że nie bawisz się w przestraszoną, żeby się zemścić za tamten styczniowy list, w którym Cię złażałam. Mam taką doktorantkę, bystrą, młodą kobietę, która jednak nie jest aż taka bystra, jak jej się wydaje, i ona uprawia ze mną takie gierki, na własne ryzyko! Gierek też nienawidzę. (No chyba że to są moje gierki.)

Twoja kuzynka

Freyda

Chicago, Illinois

6 maja 1999

Droga kuzynko: tak, Ty na pewno jesteś na mnie zła. Albo jesteś chora.

Wolę myśleć, że jesteś zła. Że Cię naprawdę obraziłam, mimo że masz takie miękkie, amerykańskie serce. Jeśli tak, to przepraszam. Nie mam kopii swoich listów, które pisałam do Ciebie, i nie pamiętam, co w nich powiedziałam. Może się myliłam. Lubię się mylić, kiedy jestem trzeźwa do bólu. Kiedy jestem pijana, już się tak raczej nie myślę.

Załączam kartkę w kopercie. Wystarczy, że wypełnisz jedno z okienek: zła, nie chora.

Twoja kuzynka

Freyda

PS Ten *Staw* Josepha Cornella przypomina mi Ciebie, Rebeko. Dziewczynka podobna do lalki, która gra na skrzypcach obok błotnistej zatoczki.

Lake Worth, Floryda

19 września 1999

Kochana Freydo!

Jaka Ty byłaś silna i piękna na ceremonii rozdania nagród w Waszyngtonie! Byłam tam, na widowni w Bibliotece Folgera. Wybrałam się tam specjalnie dla Ciebie.

Wszyscy nagrodzeni autorzy przemawiali wspaniale. Ale nikt nie był taki dowcipny i zaskakujący jak Freyda Morgenstern, która wywołała niezłe zamieszanie.

Ze wstydem przyznaję, że nie potrafiłam się przełamać i dlatego do Ciebie nie podeszłam. Czekałam w kolejce z tyloma innymi ludźmi, żeby dostać Twój autograf, ale kiedy przyszła moja kolej, byłaś już wyraźnie zmęczona. Ledwie na mnie spojrzałaś, byłaś zła na asystującą Ci dziewczynę, że tak niezdarnie podała Ci książkę. Wymamrotałam „Dziękuję” i pospiesznie odeszłam.

Zatrzymałam się tylko na jedną noc w Waszyngtonie, następnego dnia poleciałam już do domu. Łatwo się teraz męczę, to, co zrobiłam, to było szaleństwo. Mąż by mi nie pozwolił, gdyby wiedział, dokąd się wybieram.

Widziałam, jak podczas przemówień ledwie mogłaś usiedzieć na miejscu, Twoje oczy stale błąkały się po sali. Widziałam Twój wzrok na sobie. Ja siedziałam w trzecim

rzędzie. Ta mała salka teatralna w Bibliotece Folgera jest taka piękna. Tak teraz sobie myślę, że na całym świecie jest tyle piękna, którego człowiek jeszcze nie widział. Tęskni za tym pięknem, kiedy jest już prawie za późno.

Ten kościotrup z wygolonymi włosami to byłam ja. W tych wielkich, ciemnych okularach, które zakrywały połowę twarzy. Inne w moim stanie noszą kolorowe turbany albo lśniące peruki. Odważnie malują twarze.

W Lake Worth i Palm Beach jest nas wielu. Nie przejmuję się swoją głową, kiedy na dworze jest ciepło i kiedy otaczają mnie obcy ludzie, bo oni patrzą na mnie takim wzrokiem, jakbym była niewidzialna. Ty z początku wbiłaś we mnie spojrzenie, ale potem prędko odwróciłaś oczy, a ja później nie potrafiłam do Ciebie zagadać. To nie był właściwy moment, nie uprzedziłam Cię, że wyglądam, jak wyglądam. Nie cierpię litości, a zresztą nawet współczucie potrafi być czymś przykrym. Nie miałam pojęcia, że wybiorę się w tę beztroską podróż aż do tamtego ranka, bo obecnie wszystko zależy od tego, jak się czuję rano, tego nie da się przewidzieć.

Miałam dla Ciebie prezent, ale zmieniłam zamiar i zabrałam go z sobą, czując się jak idiotka. A jednak ta wyprawa była dla mnie czymś cudownym, zobaczyłam swoją kuzynkę z tak bliska! Oczywiście teraz żałuję swojego tchórzostwa, ale jest już za późno.

Pytałaś o mojego ojca. Nie powiem Ci nic więcej, bo nie znam jego prawdziwego nazwiska. Przedstawił się jako „Jakub Schwart” i dlatego ja byłam „Rebeką Schwart”, ale z tym imieniem i nazwiskiem rozstałam się dawno temu. Posługuję się teraz znacznie bardziej stosownym, amerykańskim imieniem, i przyjęłam także nazwisko po mężu; tylko dla Ciebie, moja kuzynko, identyfikuję się jako „Rebeka Schwart”.

Cóż, powiem Ci jeszcze jedno: w maju 1949 roku, mój ojciec, który był grabarzem, zamordował Twoją ciotkę, Annę, i chciał także zamordować mnie, ale mu się nie udało, więc skierował lufę w swoją stronę i zastrzelił siebie, kiedy ja miałam trzynaście lat i próbowałam mu wyrwać dubeltówkę, i moje najwyraźniejsze wspomnienie z tamtego wydarzenia to jego twarz w tych ostatnich sekundach i potem to, co zostało z jego twarzy, jego czaszka i mózg i to, że krew, którą mnie ochlapał, była taka ciepła.

Nikomu nigdy o tym nie opowiadałam. Proszę, nie wspominaj o tym, jeśli znowu do mnie napiszesz.

Twoja kuzynka

Rebeka

(Nie miałam zamiaru pisać takich obrzydlistw, kiedy zabierałam się do tego listu.)

Chicago, Illinois
23 września 1999

Droga Rebeko!

Jestem zszokowana. Byłaś tak blisko mnie i nie zagadałaś.

I jeszcze Twoje wyznanie – to, co ci się przydarzyło, kiedy miałaś trzynaście lat.

Nie wiem, co powiedzieć. Prócz tego, że naprawdę przeżyłam szok. Czuję się zła i zraniona. To nie przez Ciebie. Chyba nie jestem zła na Ciebie, tylko na siebie.

Próbowałam zadzwonić do Ciebie. W książce telefonicznej Lake Worth nie ma żadnej „Rebeki Schwart”. Ale oczywiście sama mi powiedziałaś, że żadna „Rebeka Schwart” nie istnieje. Czemu, do diabła, nigdy mi nie podałaś swojego nazwiska po mężu? Co ty się tak czaisz? Nienawidzę gierki, nie mam czasu na gierki.

Tak, jestem zła na siebie. Jestem zaniepokojona i zła, że z Twoim zdrowiem jest kiepsko. (Nie odesłałaś mojej kartki. Czekałam i czekałam, a Ty jej nie przysłałaś.)

Czy ja Ci mogę wierzyć z tym „Jakubem Schwartem”? Życie uczy, że najgorsze obrzydliwstwa potrafią się dziać naprawdę.

W moich wspomnieniach tak nie jest. Kiedy je spisywałam, czterdzieści pięć lat później, tworzyłam tekst za pomocą słów specjalnie dobranych dla „efektu”. Owszem, fakty zawarte w *Powrocie z grobu* są prawdziwe. A jednak fakty nie są „prawdziwe”, dopóki nie zostaną wyjaśnione. Moje wspomnienia musiały współzawodniczyć z innymi memuarami tego typu i dlatego musiałam być „oryginalna”. Jestem z przyzwyczajenia kontrowersyjna, potrafię rozdawać prztyczki w nos. Memuar rzuca światło na ból i upokorzenie jego narratora. To prawda, wcale nie czułam, że będę jedną z tych, którzy umrą; byłam zbyt młoda, głupia i zdrowa, w porównaniu z innymi. Moja siostra Elżbieta, krzepka i blondwłosa, którą w rodzinie tak bardzo się zachwycano, bo była uosobieniem niemieckiej lalki, bardzo szybko straciła te swoje włosy, a jej kiszki zamieniły się w krwisty łój. Joel został stratowany na śmierć, dowiedziałam się o tym później. To, co opowiadam o mojej matce, Dorze Morgenstern, jest zgodne z prawdą tylko na początku. Nie była żadnym kapo, tylko kimś, kto liczył, że współpraca z nazistami pomoże (oczywiście) jego rodzinie i innym Żydom. Była dobrą organizatorką i osobą godną zaufania, ale nie aż tak, jak ją przedstawiłam. Wcale nie mówiła tych wszystkich okrutnych rzeczy, w ogóle nie pamiętam niczego, co do mnie mówiono, oprócz rozkazów wykrzykiwanych przez władze. Wszystkie cicho wypowiedziane słowa, sam oddech naszego wspólnego życia, poszły w niepamięć. A jednak memuar musi zawierać wypowiedziane słowa i musi oddychać życiem.

Otacza mnie teraz sława-niesława! W tym miesiącu trafiłam na listy bestsellerów we Francji. W Wielkiej Brytanii (w której antysemici mogą wypowiadać się otwarcie, co jest bardzo krzepiące!) powątpiewają w moją historię, ale książka i tak się sprzedaje.

Rebeko, ja muszę z Tobą pogadać. Załączam tutaj swój numer. Będę czekała na telefon od Ciebie. Najlepiej po dziesiątej wieczorem, wtedy nie jestem taka trzeźwa do bólu i okropna.

Twoja kuzynka



PS Przechodzisz teraz chemoterapię? W jakim jesteś stadium? Proszę, napisz.

Lake Worth, Floryda
8 października

Kochana Freydo!

Nie gniewaj się na mnie, naprawdę chciałam zadzwonić. Z różnych powodów nie mogłam, ale już niedługo będę silniejsza i obiecuję, że zadzwonię.

To było dla mnie bardzo ważne, że Cię zobaczyłam i usłyszałam. Jestem z Ciebie taka dumna. Boli mnie, kiedy jesteś taka surowa względem siebie samej, proszę, nie bądź taka. „Oszczędź nam tego” – dobrze?

Przez połowę czasu coś mi się śni i jestem bardzo szczęśliwa. Dopiero co wachałam kwiaty rdestu wężownika. Być może nie wiesz, co to takiego, zawsze mieszkałaś w mieście. W Milburn, za kamienną chatką grabarza, był taki bagienny teren, gdzie rosła ta roślina, która potrafiła osiągać wysokość nawet pięciu stóp i kwitła mnóstwem drobnych, białych kwiatków. Były bardzo kruche i wydzielały dziwny, silny zapach. Wśród tych kwiatów zawsze uwijało się mnóstwo pszczół, które buczały tak głośno, że ten rdest wydawał się żywą istotą. Przypomniało mi się, że kiedy tak czekałam, aż przyjedziesz do mnie zza oceanu, miałam dwie lalki, Maggie, przeznaczoną dla Ciebie, bo była ładniejsza, i moją Minnie, zwyczajną i zniszczoną, ale bardzo ją kochałam. (Te lalki znalazł mój brat Herszel, na miejskim wysypisku śmieci. Na tym wysypisku znajdowaliśmy całe mnóstwo użytecznych rzeczy!) Bawiłam się całymi godzinami z Maggie, Minnie i Tobą, Freydo. Cały czas z sobą paplałyśmy. Moi bracia nabijali się ze mnie. Zeszłej nocy te lalki śniły mi się tak wyraźnie, mimo że przecież nie widziałam ich od pięćdziesięciu siedmiu lat. Ale Ciebie, Freydo, w tym śnie nie było i to było takie dziwne. Mnie też nie było.

Niedługo znowu coś napiszę. Kocham Cię.

Twoja kuzynka

Rebeka

Chicago, Illinois
12 października

Droga Rebeko!

Teraz to już naprawdę jestem zła! Nie zadzwoniłaś i nie podałaś swojego numeru, więc jak mam do Ciebie dotrzeć? Mam Twój adres, ale znam Cię tylko jako „Rebeke Schwart”. Mam tyle pracy, straszny czas. Mam wrażenie, że ktoś mi rozłupał głowę wielkim młotem. Och, jestem na Ciebie taka zła, kuzynko!

A jednak czuję, że powinnam przyjechać do Lake Worth, żeby się z Tobą zobaczyć.

Powinnam?

